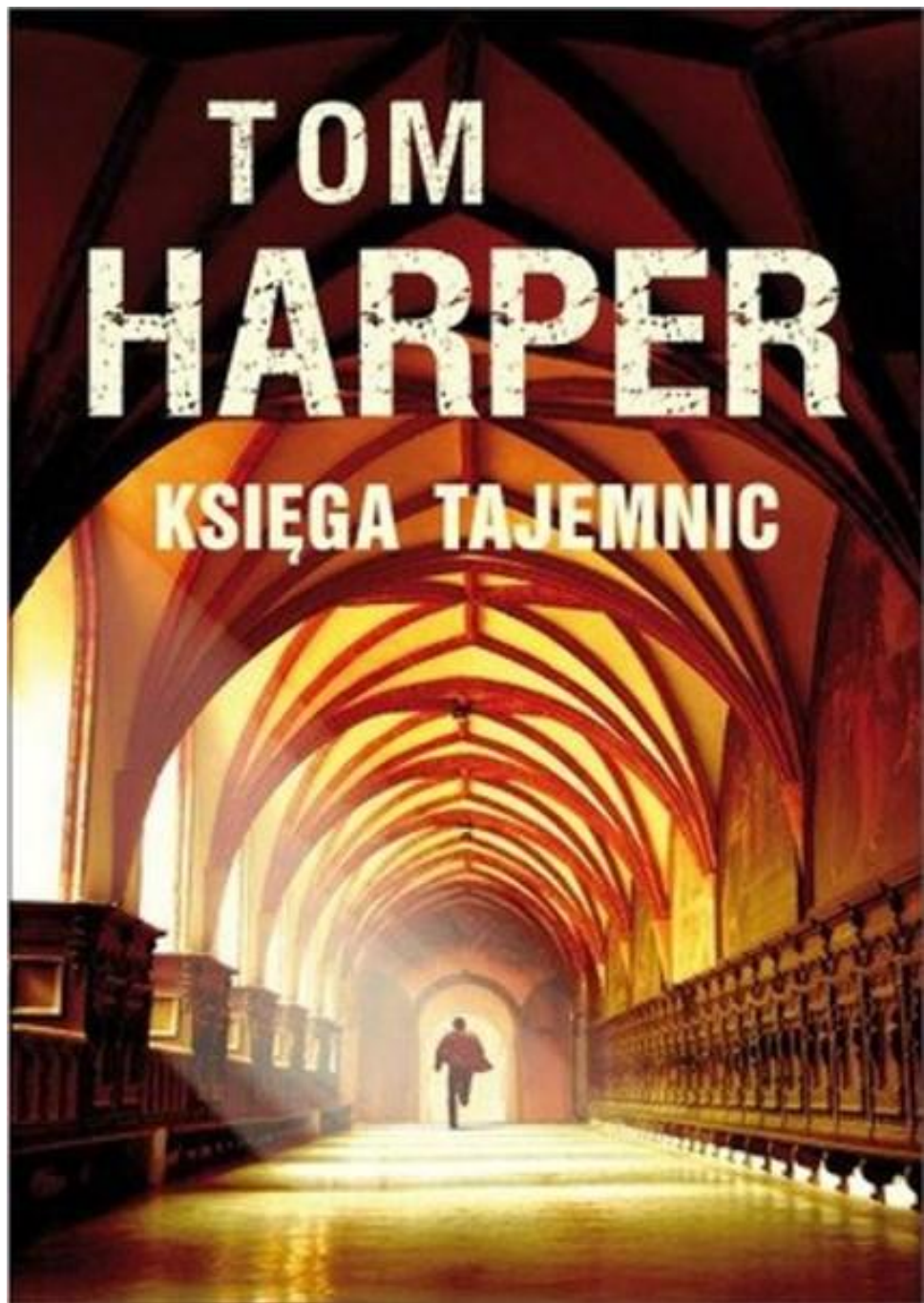


TOM HARPER

KSIĘGA TAJEMNIC



TOM HARPER

KSIĘGA TAJEMNIC

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK



Tytuł oryginału: THE BOOK OF SECRETS

Copyright © Tom Harper 2009 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2011

Redakcja: Magdalena Koziej

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-519-1 Książka dostępna także jako e-book

Dystrybutor

firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hlonda 2A/25,

02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2011. Wydanie I Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne, Łódź

Dla Owena
Sztuka i Przygoda

I

Oberwinter, Niemcy

Tego ranka wioskę zasypała gruba warstwa śniegu. Ulice spowiła zimna cisza. Samochody zaparkowane naprzeciwko hotelu okrył całun szronu. Tylko jeden wyróżniał się nieregularnym kręgiem wydrapanym na szybie po stronie kierowcy. Za czarną szybą jarzyło się i migotało czerwone oko papierosa.

Zza zakrętu wyłoniła się młoda kobieta i szybkim krokiem zaczęła wchodzić po hotelowych schodach. Miała na sobie strój do biegania: bluzę z kapturem, spodnie, sportowe buty, wełnianą czapkę oraz niewielki plecak na plecach. Jednak rano nie zachęcał do joggingu; na świeżym śniegu wokół hotelu nie było widać odcisków butów. Kobieta otworzyła drzwi i znikła w środku. Papieros zajarzył się mocniej, a następnie zgasł.

Gillian dotarła do szczytu schodów, zbliżyła się na palcach do drzwi swojego pokoju i weszła. Przez zasłony sączyło się brudnawe światło, w którym nędzny pokoik prezentował się jeszcze gorzej. Cuchnął dymem papierosowym, który wgryzł się w cienki materac i nietkniętą pościel, w grubą politurę mebli oraz w wytarte chodniki rozciągnięte na deskach podłogi. Czarny laptop stojący na toalecie stanowił jedyną zmianę, jaka zaszła w tym pomieszczeniu od trzydziestu lat.

Ściągnęła czapkę i potrząsnęła kruczoczarnymi włosami. Zerknęła na siebie w lustrze i zdziwiła się: nowy kolor włosów wciąż jej nie pasował. Jeśli sama nie może się poznać, może inni także jej nie rozpoznają. Rozpięła bluzę i ją zdjęła. Na białych ramionach ciemniały smugi błota. Od wspinaczki w

ciemności palce jej popękały i nabiegły krwią, lecz prawie tego nie zauważała. Znalazła to, czego szukała. Uniosła pokrywę komputera i go włączyła. Z ulicy dobiegło trzaśnięcie drzwiczek samochodu.

Laptop ożył, a Gillian poczuła, że poziom adrenaliny w jej krwi szybko się obniża. Opadło ją wyczerpanie i zadrżała z zimna. Zbyt zmęczona, by czekać na uruchomienie się komputera, weszła do łazienki i zdjęła wilgotne ubranie. Zostawiwszy na podłodze stosik odzieży, weszła pod prysznic. Stary hotelik nie dawał poczucia komfortu, lecz przynajmniej hydraulika była sprawna. Gorąca woda spadła na twarz Gillian, włosy przylepiły się do skóry głowy. Uderzenia kropeł rozgrzały jej ciało, mięśnie się rozluźniły. Zamknęła oczy. W ciemności ujrzała sylwetę zamku na skarpie, lodowatą powierzchnię skały i maleńką rozpadlinę. Wróciło wspomnienie ściskającej gardło trwogi towarzyszącej otwieraniu starodawnych drzwi...

Nagle otworzyła oczy. Mimo szumu wody usłyszała jakiś odgłos dochodzący z pokoju. To mogło być zwyczajne skrzypienie desek w starym hotelu, lecz w ciągu ostatnich trzech tygodni Gillian odkryła nieznane dotąd lęki. Zostawiła płynącą wodę i wyszła spod prysznica, owijając się skąpym hotelowym ręcznikiem. Na deskach podłogi zebrały się niewielkie kałuże wody.

W pokoju nikogo nie było. Laptop tkwił na toalecie między oknami, gadając sam do siebie.

Ktoś zapukał do drzwi. Gillian się nie poruszyła.

– *Fräulein*, telefon.

Męski głos nie należał do właściciela hotelu. Gillian spojrzała na drzwi. Zapomniała zapiąć łańcuch. Ośmieli się go teraz założyć, ryzykując, że zaalarmuje nieznanego mężczyznę za drzwiami? Wciągnęła bluzę, zapięła ją na pierśsiach, a następnie wyjęła spod poduszki dół piżamy. Poczowała się odrobinę pewniej.

– *Fräulein*. – Głos był szorstki i zdradzał niecierpliwość.

A może tylko się jej zdawało? Nie. Z przerażeniem zobaczyła, że klamka zaczyna opadać.

– Jestem – odpowiedziała, starając się nie okazać strachu. – Kto tam?

– Ważny telefon do pani. – Zdanie zabrzmiało niczym kłamliwa kwestia w filmowym dialogu, która wskutek złej synchronizacji pada w niewłaściwym

momencie. Ktoś wciąż naciskał klamkę. Zasuwa zamka pod naporem męskiego ciała uderzała o futrynę.

– Teraz nie mogę odebrać – oznajmiła Gillian. Chwyciła laptop i wsunęła go do plecaka. – Zejdź za pięć minut.

– Ale to ważne. – W zamku zazgrzytał źle dopasowany klucz.

Drzwi się otwierały. Gillian skoczyła, by zapiąć łańcuch. Chwyciła klamkę i chciała ją przytrzymać, lecz napór z drugiej strony był nieubłagany. Palce Gillian pobielewały, nadgarstek się przekręcił.

Drzwi ustąpiły z trzaskiem. Gillian upadła na podłogę. Łańcuch napiął się, ale nie puścił. Drzwi zatrzęsyły się i znieruchomiały. Intruz wymamrotał jakieś przekleństwo. Niewidoczna ręka odciągnęła drzwi i pchnęła ponownie. Łańcuch wciąż trzymał.

Oszołomiona i zdesperowana Gillian zerwała się na równe nogi. W miejscu na policzku, w które uderzyły drzwi, płynęła krew, lecz ona nie zwróciła na to uwagi. Wiedziała, co musi zrobić. Zarzuciwszy plecak na ramię, otworzyła okno i wydostała się na małe balkon. Po ścianie biegła zardzewiała drabina służąca jako zejście przeciwpożarowe. Gillian domagała się pokoju sąsiadującego z wyjściem ewakuacyjnym, jakkolwiek nie przypuszczała, że będzie go potrzebować. Myślała, że za Moguncją zgubiła prześladowców. Podwinęła rękawy i wyciągnęła rękę do najbliższego szczebla.

Nim go dotknęła, cała drabina się zatrzęsała. Śnieg zebrany na szczeblach nagle się zsunął. Trzymając wyciągniętą rękę, Gillian spojrzała w dół.

Lodowate powietrze niemal zamarzało w jej płucach. W tumanie mgły i śniegu majaczyła wspinająca się ciemna postać. Z pokoju dobiegł głośny trzask. Łańcuch omal nie wyrwał się z gniazda. Gillian wątpiła, czy ktoś usłyszał łoskot. Od początku swojego pobytu w hotelu nie widziała ani jednego gościa.

Znalazła się w potrzasku. Teraz liczyło się tylko jedno. Weszła przez okno do pokoju, pobiegła do łazienki i zamknęła się w niej. Drzwi nie wytrzymają dłużej niż dwie minuty, ale może tyle jej wystarczy. Roztrzęsiona przysiadła na krawędzi wanny i otworzyła laptop. Odgłos pękającego drewna świadczył o tym, że drzwi pokoju ustąpiły. Ktoś wtargnął do środka, zatrzymał się i ruszył w stronę okna. Gillian zyskała kilka sekund.

Za mało czasu, by napisać wiadomość i wytłumaczyć, co się stało. Sięgnęła ręką za ekran i włączyła wbudowaną kamerę. Światelko na karcie sieciowej

zamrugało, sygnalizując połączenie. Na ekranie otworzyło się nowe okienko z listą nazwisk. Gillian zakłęta. Wszystkie były szare, czyli nieaktywne. Prawdopodobnie odbiorcy wciąż twardo spali.

Intruzy naradzali się przez chwilę w pokoju, a następnie podeszli do drzwi łazienki. Mocny kopniak omal nie wyrwał drzwi z zawiasów. Gillian gorączkowo przeszukiwała wzrokiem listę. Ktoś na pewno nie śpi. Światelko na karcie zamigotało pomarańczowo, lecz po chwili połączenie zostało przywrócone i dioda się zazieleniła. Drugie kopnięcie wyraźnie naruszyło drzwi.

Na samym dole listy Gillian zobaczyła imię zapisane wyraźnymi drukowanymi literami. Ależ to jasne, że Nick o tej porze nie śpi. Jakieś złe przecucie targnęło Gillian, lecz walenie w drzwi łazienki momentalnie je rozwiąło. Musi to zrobić. Kliknęła klawisz widniejący obok imienia, nawiązując połączenie. Nie czekając na odpowiedź, odnalazła plik i wybrała klawisz z napisem „Wyślij”. Światelko na karcie sieciowej zamigotało w przyspieszonym rytmie, sygnalizując przesyłanie danych z komputera.

Szybciej, powiedziała bezgłośnie Gillian. Czekala, aż na ekranie pojawi się twarz Nicka. Chciała go ostrzec, powiedzieć mu, co ma robić, lecz okienko pozostawało puste. Odezwij się, do jasnej cholery.

„Pozostało około minuty”, głosił napis na pasku stanu. Jednak Gillian nie miała tyle czasu. Za wanną znajdowało się małe okienko. Wcisnęła w nie laptop, wystukawszy na klawiaturze dwie krótkie linijki tekstu. Modliła się, żeby ktoś odebrał wiadomość. Rozległo się następne kopnięcie w drzwi. Gillian zaciągnęła zasłonę wanny, by ukryć komputer.

Drzwi pękły z łoskotem. Przez roztrzaskaną futrynę wkroczył do środka mężczyzna w długim czarnym płaszczu i czarnych rękawicach. Papieros jarzył się w jego ustach niczym rozgrzana szpila. Gillian bezwiednie zapięła bluzę.

□ □ □

Słaby krzyk rozniósł się po ulicy i zamarł w chłodnej mgle. Odciski stóp przed frontowymi drzwiami przyprószył sypki śnieg. Samochód odjechał, zło-wieszczo pobrzękując łańcuchami na kołach. Po drugiej stronie globu na ekranie komputera zamigotała zbitka pikseli, sygnalizując odebranie wiadomości.

II

Spowiedź Johanna Gensfleischa

*A Pan zstąpił z nieba, by zobaczyć to miasto i wieżę, które budowali ludzie, i rzekł: „Są oni jednym ludem i wszyscy mają jedną mowę, i to jest przyczyną, że zaczęli budować. A zatem w przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzają uczynić...” **

* Rdz 11, 5-6. Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

Boże zmiłuj się, albowiem zgrzeszyłem. Jak mieszkańcy miasta Babel wzniosłem wieżę sięgającą niebios i zostałem strącony. Nie przez zawistnego boga, lecz przez moją własną ślepą dumę. Powinienem być zniszczyć tę rzecz przeklętą, wrzucić do rzeki albo palić, aż złocenia spłyną ze stronic, inkaust wyparuje, a papier zetli się na popiół. Jednakże zwiedziony przez jej piękno oraz stwórcę nie zdołałem tego uczynić. Zakopałem ją w kamieniu. Teraz spiszę swoją spowiedź w jednym jedynym egzemplarzu i spoczną razem na wieki. A Bóg mnie osądzi.

Zaczyna się – ja zacząłem – w Moguncji, mieście przystani i wież nad rzeką Ren. Wiele imion może nosić człowiek za życia; moje w owym czasie brzmiało Henchen Gensfleisch. Henchen to dziecinne zdrobnienie od Johann;

Gensfleisch to nazwisko mego ojca. Oznacza gęsinę i dobrze doń pasowało. Nasza rodzinna fortuna urosła, on zaś utył wraz z nią. Jego brzuch zwisał poniżej pasa, a policzki opadły wokół szczęki. I tak jak gęś potrafił dotkliwie uszczypnąć.

Naturalną kolejną rzeczą działania finansowe ojca koniec końców doprowadziły go do źródła. Został udziałowcem mennicy i synekura ta wybornie schlebiała jego próżności. Zapewniła mu pensję oraz prawo chwalebego uczestnictwa w procesji z okazji Dnia Świętego Marcina, wymagając w zamian niewiele poza sporadycznymi inspekcjami mennicy. Pewnego dnia, gdy miałem dziesięć lub jedenaście lat, zabrał mnie ze sobą.

Był ciemny listopadowy dzień. Chmura zawisła wokół wieżyczek katedry, a deszcz siekł nas, gdy spieszyliśmy przez plac. Tego dnia nie było targu; deszcz zmiótł z ulic wszystko, co żyje. Jednak w mennicy panowało ciepło i ożywiony ruch. Mistrz osobiście wyszedł nam na spotkanie i poczęstował gorącym winem jabłkowym, które piekło w gardło, lecz rozgrzało mnie w środku. Raz po raz zwracał się z szacunkiem do mojego ojca, co radowało mnie i wprawiało w dumę (później dowiedziałem się, że kierował mennicą na mocy umowy i liczył na jej odnowienie). Stałem tuż obok ojca, ściskając mokry rąbek jego płaszcza. Podążyliśmy za mistrzem w głąb warsztatu.

Czułem się tak, jakbym wkraczał do świata baśni, do pracowni czarnoksiężnika lub do jaskini krasnoludków. Unoszące się wewnątrz zapachy całkowicie mnie oszalały: snuła się tam woń soli i siarki, węgla drzewnego, potu i spalenizny. W jednym pomieszczeniu kowale wylewali tygle parującego złota na złobione stoły. Za drzwiami biegła długa galeria z bijakami, którymi pracownicy spłaszczali blachę. Nieco dalej mężczyzna z ogromnymi nożycami ciął metal na kawałeczki nie większe od kciuka z taką łatwością, z jaką przecina się sukno. Później kobiety obrabiały ich krawędzie za pomocą kół, aż nierówne sztuki złota zamieniały się w krążki.

Byłem oczarowany. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że tak wspaniała harmonia i jedność dążenia do wspólnego celu może istnieć poza niebem. Bez zastanowienia sięgnąłem po kawałek złota, lecz ciężka dłoń ojca spadła na moją rękę.

– Nie dotykaj – pouczył.

Jakiś mały chłopiec, młodszy ode mnie, zebrał złoto do drewnianej miski i zaniósł je do siedzącego przy stole urzędnika, który ważył każdą sztukę na wadze.

– Każda musi być dokładnie taka sama jak inne, gdyż w przeciwnym razie cała nasza robota jest nic niewarta – oznajmił mistrz. – Bicie monet tylko wówczas ma sens, gdy wszystkie sztuki są identyczne.

Urzędnik zgarnął złote krążki ze stołu do zamszowej sakwy. Zważywszy ją, zanotował coś w leżącej obok księdze. Następnie podał sakwę uczniowi, który z powagą wyszedł z nią przez drzwi w tylnej ścianie pomieszczenia. Podążyliśmy za nim.

Od razu zauważyłem, że pomieszczenie różni się od innych. W oknach tkwiły żelazne kraty, a drzwi były wyposażone w ciężkie zamki. Mincerze, czterej potężnie zbudowani mężczyźni z obnażonymi ramionami, ubrani w skórzane fartuchy, stali przy stole roboczym i walili w matryce przypominające miniaturowe kowadła. Uczeń zaniósł torbę jednemu z nich. Mincierz wysypał zawartość na ławę, wsunął krążek do formy, uniósł młot i uderzył. Trysnęły iskry, matryca rozwarła się i nowa moneta spadła na stos takich samych.

Ja zaś chłonałem to wszystko wzrokiem. W blasku lamp monety mieniły się i połyskiwały, czarując swoją doskonałością. Ojciec i mistrz stali plecami do mnie, oglądając formę przez szkło powiększające. Mincierz skupił całą uwagę na ułożeniu sztuki złota w matrycy.

Wiedziałem, że tak nie wolno, ale czy na miano kradzieży zasługuje wzięcie czegoś, co natychmiast zostanie po stokroć zastąpione? To było jak zaczerpnięcie garścią wody z rzeki lub zerwanie dzikiej jeżyny z krzaka. Wyciągnąłem rękę. Moneta była jeszcze ciepła po zetknięciu z formą. Wybita na niej twarz świętego Jana spojrzała na mnie z wyrzutem, by wnet zniknąć w mojej zaciśniętej dłoni. Nie poczułem wyrzutów sumienia.

Nie kierowała mną żądza zdobycia złota. To była tęsknota nieznaną mojemu dziecięcemu umysłowi: pragnienie czegoś doskonałego. Zdawałem sobie niejasno sprawę, że monety pójdą w świat i wiele razy będą ulegały przemianie – staną się czyjaś własnością, komuś dadzą władzę, komuś innemu przyniosą

wojnę, a jeszcze komu innemu ocalenie. Wszystko dzięki temu, że każda jest duplikatem, tryplikatem i powieleniem wszystkich innych, razem zaś tworzą system tak samo niepodzielny jak woda.

Kontrola dobiegła końca. Ojciec uściśnął rękę mistrzowi i wypowiedział kilka słów pochwały; mistrz uśmiechnął się skwapliwie i zaproponował napitek w swojej kwaterze. Obrócił się, by powiedzieć coś do mincerzy, ja zaś pociągnąłem ojca za rękaw i wskazałem drzwi, wymownie ściskając nogi. Ojciec spojrział na mnie i zdziwił się, że z nim jestem. Zmierzył mi dłonią włosy. Był to największy wyraz czułości, na jaki potrafił się zdobyć.

Gdy tylko przekroczyliśmy drzwi, wiedziałem, że mnie przyłapano. Urzędnik i uczeń stali po obu stronach wagi i spoglądali na nią skonsternowani. Jedna szala uniosła wysoko zamszą sakwę, a druga spoczywała nieruchomo na stole przygnieciona miedzianym odważnikiem. Poczulem pustkę w brzuchu, lecz nawet w takiej chwili nie mogłem wyjść z podziwu dla systemu, którego precyzja pozwala wykryć brak jednej monety.

Mistrz podbiegł do stołu. Padły gniewne słowa; urzędnik dźwignął sakwę i położył ją na wadze. Szale drgnęły, lecz w następnej chwili pokazały to samo co przedtem. Zawołano mincerza, ale ten zapalczywie głosił swoją niewinność. Urzędnik otworzył sakwę i przeliczył monety, przypisując każdej krzyżyk na kraciastym materiale. Po cichu liczyłem wraz z nim, nieomal wierząc, że brakująca moneta w cudowny sposób się odnajdzie. Na stole pojawił się szereg dziesięciu monet, potem drugi, trzeci oraz początek czwartego.

– Trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć. – Urzędnik wsunął dłoń do worka i wyrócił go na lewą stronę. – Nic tam nie ma – oznajmił, zerkając do księgi. – Przedtem było czterdzieści monet.

Urzędnik wlepił oczy w mincerza. Ten spojrział na mistrza, mistrz zaś popatrzył z niepokojem na mojego ojca. Nikomu nie przyszło do głowy, by skierować wzrok na mnie, lecz to nie stanowiło różnicy. Wiedziałem, że patrzy na mnie wszystkowiedzące oko Pana Boga, czulem na sobie Jego gniewne spojrzenie. Po mojej dłoni spłynęła strużka potu. Gulden zaciążył mi jak ołów. Skupiło się w nim całe moje poczucie winy.

Ręka się otworzyła. Być może moneta się wyśliznęła, a może chciałem ją

wypuścić. Gulden spadł przed moimi stopami i potoczył się w bok. Pięć par oczu śledziło jego drogę na kamiennej posadzce, by po chwili z wolna odwrócić się w moją stronę. Jedna była szybsza od innych. Kąśliwie bolesny cios spadł na tył mojej głowy i rzucił mnie na ziemię. Przez łzy zobaczyłem, że urzędnik schyla się po zaginioną monetę, ociera ją z kurzu i pieczołowicie umieszcza w ostatnim szeregu. Zanim ojciec wywlókł mnie na zewnątrz, zobaczyłem, że mężczyzna liże czubek ołówka i notuje wynik ważenia w ogromnej księdze.

Wieczorem ojciec zbił mnie ćwiekowanym pasem, przeklinając moje grzechy i wysyłając mnie na wiekiwie męki piekielne. Nie powstrzymywałem płaczu, jako że spokojne przyjmowanie kary jeszcze bardziej go gniewało. Jednak gdy pochylony nad krzesłem spoglądałem w płomienie skaczące w kominku, nie widziałem nic oprócz niekończącej się kaskady lśniących złotych guldenów, z których każdy stanowił maleńką lśniącą drobinę doskonałości.

III

Nowy Jork

Niegdyś ludzie mieli kręgi przyjaciół, teraz mają ich listy, pomyślał Nick. Miniaturki zdjęć figurują na stronach internetowych niczym wizerunki samolotów strąconych przez pilota myśliwca bądź tworzą chronologiczne drabinki kontaktów przypominające tabele ligowe. Nieważne, jak się czujesz; jeśli z nimi nie rozmawiasz, twoi znajomi nieuchronnie wpadają do towarzyskiego czyśćca. Na swój sposób niepokoiło to Nicka, lecz mimo to korzystał z programów komunikacyjnych. Spoglądał na listę wyświetloną na monitorze; obok wyróżnionego imienia migало zielone światełko. Od wielu miesięcy imię to tkwiło na samym dole listy wśród byłych kolegów z pracy, kolegów szkolnych oraz przyjaciół znajomych. To jednak nie dawało najmniejszego wyobrażenia o istocie sprawy.

Gillian. Nick opadł na oparcie krzesła. Mieszkanie było pogrążone w mroku; jedyne oświetlenie stanowiła purpurowa poświata monitorów na biurku, kontrolka automatycznej sekretarki oraz ekran telewizora, na którym przesuwały się obrazy nieoglądanego nocnego filmu. Nick czekał na tę chwilę od miesięcy: czytał wiadomości w telefonie komórkowym, odsłuchiwał pocztę głosową, zaglądał do komunikatorów i rozmaitych kont pocztowych. Jego nadzieje budziły się codziennie nawet przy okazji wizyty listonosza. Można być ignorowanym na wiele sposobów. A teraz Gillian nagle się odezwała.

Kursor zawisł nad zielonym światełkiem, które wciąż migало. Serce Nicka

zaczęło bić w szybszym tempie. Zacerpnął głęboko tchu, by się uspokoić, i obciągnął sweter. Szkoda, że się nie ogolił. Kliknął.

Widok na ekranie podzielał nań jak pchnięcie nożem. W pierwszej chwili Nick pomyślał, że obraz pochodzi z telewizora, w którym wyłączono dźwięk. Odczekał chwilę, lecz nic się nie działo. Czyżby wszystko odbywało się w jego wyobraźni? Na ekranie widniało okienko z ziarnistym obrazem przypominającym szarobiałą tapetę usianą rysunkami maleńkich choinek. A może to była zasłona, gdyż drzewka poruszały się i falowały przed kamerą. Obraz drgał, więc trudno było stwierdzić, co przedstawia.

– Gillian? – powiedział Nick do mikrofonu umieszczonego nad komputerem, wpatrując się w ekran. – Jesteś tam? Żartujesz sobie ze mnie? – Ogarnęła go gorycz. Powinien był się domyślić, że czeka go rozczarowanie.

Jednak ktoś musi tam być. Usłyszał męskie głosy i szamotaninę. Nagle choinka odskoczyła i ukazała się twarz jakiegoś mężczyzny. Była śniada i miała śródziemnomorskie rysy. Zniekształcona kamerą wyglądała jak kartofel. W ustach nieznajomego jarzył się papieros. Na jego policzku czerwieniała plama krwi; może zaciął się przy goleniu. Nick dostrzegł brązowe kafelki i niewielkie łazienkowe lustro nad ramieniem nieznajomego.

Mężczyzna krzyknął gniewnie kilka niezrozumiałych słów, a potem wysunął rękę, jak gdyby chciał wciągnąć Nicka w głąb obrazu. Jego dłoń była rozmyta i ziarnista, lecz wyglądała tak sugestywnie, że przestraszony Nick odruchowo cofnął głowę. Potem obraz zniknął.

Nick spoglądał na ekran oszołomiony. Okienko było puste, lecz drugie, służące do wpisywania wiadomości tekstowych, pozostało otwarte. Dopiero teraz zauważył widniejące w nim dwa wersy tekstu.

wykorzystaj to. niedźwiedź jest kluczem
pomóż mi oni nadchodzą

Migocząca obok ikona sygnalizowała, że plik został przesłany.

Neapol, Włochy

Czarny mercedes krążył po brukowanych uliczkach niczym drapieznik na łożach. W bladym porannym świetle świat wyglądał ponuro; mężczyźni i kobiety w ciemnych płaszczach i kostiumach spieszyli do pracy pod zachmurzonym niebem, co jakiś czas zerkając na swoje odbicia w oleistych kałużach. Cesare Gemato obserwował ich z tylnego siedzenia samochodu przez przyciemnione okna sprawiające, że świat jawił się niemal czarny. Cesare lubił tę porę dnia i roku. Całe życie spędził w cieniu.

Panującą w limuzynie ciszę przerwał piskliwy dźwięk opery: w głośniczku telefonu komórkowego rozbrzmiał śpiew Pavarottiego, który wykonywał arię Pucciniego. Wnuk Gemata zmienił dzwonek, nie pytając dziadka o zgodę, ten zaś, mimo bezdyskusyjnej władzy, którą dysponował, jak dotąd nie znalazł sposobu, by przywrócić dawny sygnał.

Młody mężczyzna siedzący obok Gemata wydobyl telefon z trzymanej na kolanach skórzanej walizeczki. Wypowiedziawszy kilka słów, podał aparat szefowi.

– Ugo – rzekł.

– *Si*. – Gemato nadstawił uszu. – Znalazłeś coś przy niej? Jakąś książkę?

Gemato zmarszczył brwi.

– Czy to możliwe, żeby tamten zobaczył cię w tej maszynie? – Przez szybę Gemato dostrzegł młodą kobietę w białym płaszczu przeciwdeszczowym mocno pedałuącą na rowerze. Pukle czarnych włosów spływały po jej plecach, a wiatr napinał materiał na jej ciele.

– Wyślij to naszym przyjaciołom w Tallinie. Dowiedz się, co to za jeden, gdzie jest i co wie.

Cesare zakończył połączenie i przekazał telefon asystentowi. Przysługi zawsze nastęrczają problemów, nawet jeśli wyświadcza się je swojemu protektorowi, któremu tak wiele się zawdzięcza. Później okazuje się, że jest jeszcze jedna rzecz, którą trzeba załatwić.

– Daj mi Nevada.

Nowy Jork

Nick siedział na ławce w barze. Laptop stał na stoliku obok arkusza papieru i kubka z nierdzewnej stali z koktajlem waniliowym. O czwartej rano lokal świecił pustkami, ale on chętnie tam przychodził, gdy nie mógł spać. Lubił neony i chrom, skóropodobną tapicerkę, blaty z laminatu oraz bezdenny kubek kawy za półtora dolara. Wszystko wydawało się autentyczne, choć Nick wiedział, że odnosi takie wrażenie wyłącznie dzięki setce hollywoodzkich filmów, które uszlachetniły fikcję. Gillian mu to uzmysłowiła.

Gillian.

Spojrzał na ekran laptopa. Prowadzący bar Grecy nie byli przesadnie staroświeccy, toteż widząc, że klientela odpływa do znajdującej się nieopodal kafejki, zainstalowali bezprzewodowy Internet. Nick zalogował się ponad godzinę temu i zmęczonymi oczyma wpatrywał się w ekran, czekając na pojawienie się Gillian. Jej imię przeskoczyło na czoło listy, ale widniejąca obok niego ikonka była szara i pozbawiona życia.

Ostatnie połączenie: 06 stycznia 07:48:26

Nick wziął łyk koktajlu. Siódma czterdzieści osiem, czyli sześć godzin temu. Gdzie to może być? W Europie. Co ona tam robi?

Pomóż mi oni nadchodzą.

To na pewno jakiś żart. Z Gillian wszystko jest możliwe. Ale jeśli wszystko jest możliwe...

Wybrałaby się aż do Europy, aby spłatać mu figła? Nick odtworzył sobie w myślach scenę, którą ujrzał na ekranie komputera: krzyk trwogi, skrzywiona gęba wypełniająca ekran, ręka wyciągająca się w stronę kamery. Jakoś nie wyglądało to na żart.

Z Gillian wszystko jest możliwe.

No i ten plik, który przysłała. Nick przysunął sobie wydruk i popatrzył. Oczekiwał, że plik rozwieje wątpliwości; że znajdzie w nim coś w rodzaju puenty, która okaże się rozwiązaniem zagadki. On tymczasem jedynie spotęgował zamęt. Nie zawierał tekstu, tylko czarno-biały obraz ukazujący osiem narysowanych ręcznie lwów i niedźwiedzi w rozmaitych pozach: podkradających się, siedzących, śpiących, ryczących, grzebiących w ziemi i wspinających

się. Jeden z lwów siedział na zadzie i lizał łapy. Gapił się z papieru na Nicka, jakby rzucał mu wyzwanie, jakby nakazywał podejść bliżej.

Bliżej czego?

Gillian z pewnością nad czymś pracowała. Ale dlaczego przysłała mu ten obraz? Czyżby był cenny? *Niedźwiedź jest kluczem*. Nick klikał niedźwiedzia na obrazku, lecz nic to nie dało.

Spróbował inaczej. Otworzywszy wyszukiwarkę, odnalazł strony odwiedzane przez Gillian. Postępował jak nieszczęśnik wędrujący śladem dawnej miłości. Zjrzał na blogi, do których wysyłała komentarze, oraz fora, na które mogła wchodzić. Nie znalazł wiele: recenzję książki, którą widział w jej rękach niedługo przed tym, zanim od niego odeszła, oraz uwagi o złotnictwie na stronie dyskusyjnej dla mediewistów. Zaczął je czytać, lecz słowa zamazywały mu się w głowie. Nie było prawie nic od lipca, kiedy widział Gillian po raz ostatni. Czy to zbieg okoliczności? Może rozstanie dotknęło ją bardziej, niż dała po sobie poznać. Ta myśl dziwnie go pocieszyła.

Przemknęło mu przez głowę, by wejść na portal społecznościowy, z którego Gillian korzystała. Tak jak wielu użytkowników przez dwa tygodnie po wpisaniu się uaktualniała swój profil, zachęcała znajomych do przyłączenia się, a następnie uznała, że ma ważniejsze zajęcia. Nick wiedział, że od tamtego czasu wcale nie wchodziła na stronę portalu. Jednak ostatnio musiała do niego wrócić. Na górze strony, w miejscu, w którym użytkownicy umieszczają krótkie treściwe komentarze na temat tego, czym się w danej chwili zajmują, Nick przeczytał:

Gillian Lockhart

jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie ☹

(ostatnie uaktualnienie 02 stycznia 11:54:56)

Czyżby to również był żart? Gillian specjalizowała się w takich melodramatycznych hiperbolach. Jednocześnie lubowała się w ironicznie dwuznacznych stwierdzeniach, prawdziwych i nieprawdziwych zarazem. Drażniła się z rozmówcą, nigdy nie udzielając odpowiedzi.

Nick wysączył ostatnie krople koktajlu z kubka. W pustej słonce zasyczały bąbelki.

IV

Frankfurt, 1412

W młodości widziałem dwóch ludzi palonych żywcem. Działo się to we Frankfurcie, jeden dzień drogi od Moguncji. Ojciec miał coś do załatwienia na rynku w Wetterau i zabrał mnie ze sobą. Stało się to trzy miesiące po incydencie w mennicy. Był w wesołym nastroju, razem z towarzyszami kpił z przekupniów i kalek, od których roilo się na trakcie. Ja także się śmiałem, mimo że nie rozumiałem żartów.

Tłum zagęścił się, gdy dotarliśmy na plac. Ojciec wykorzystał swoją posturę oraz łaskę, żeby przepchnąć się naprzód. Chciał, by nic nie przysłaniało mi widoku. Oczy rozszerzyły mi się z podniecenia. Nie wiedziałem, jaka to rozrywka ściągnęła tak liczną rzeszę widzów. Miałem nadzieję ujrzeć tańczącego niedźwiedzia.

Rusztowanie sterczało pośrodku placu niczym futryna niewidzialnych drzwi. Nawet w dzieciństwie wiedziałem, dokąd one prowadzą. Poniżej piętrzył się stos słomy. Zebrało mi się na łzy, ale ojciec nie pozwoliłby mi płakać.

Dwóch strażników wyprowadziło więźniów. Jeden był ubrany w długi czarny płaszcz oraz białą mitrę z namalowanym diabelskim kręgiem i wstęgą z napisem „Herezjarcha”, czyli arcybiskup heretyków. Drugi miał ogoloną głowę, jego nadgarstki i kostki skuto zaś łańcuchem.

– Co on zrobił? – zapytałem.

– Ten człowiek był mistrzem w mennicy. Zubażał monety niczym szczywny browarnik, który rozwadnia piwo – wyjaśnił ojciec, po czym przykucnął obok mnie i wyciągnął guldena. Obrócił go w palcach, tak aby złota twarz mrugnęła do mnie. – Cóż widzisz?

- Świętego Jana.
- A na odwrocie?
- Książęcy herb.

Ojciec uśmiechnął się z aprobatą. Zrobiło mi się ciepłej na sercu.

– Święty i książę. Moc Pana Boga i ludzka władza. Dwa filary naszego świata.

Wskazał ręką mistrza mennicy. Strażnicy przytwierdzili mu dłonie do żelaznego haka tkwiącego w poprzeczce rusztowania i zabrali się do mocowania jego nóg do drugiego haka. Jeden stanął między nogami skazańca, drugi zaś ukucnął i napierał od dołu. Gapie zaczęli gwizdać i wykrzykiwać szydercze zachęty.

- Przeciw komu on zgrzeszył?
- Przeciw księciu, ojczu.
- Oraz?
- Przeciw Panu Bogu.

Ojciec oblizwał grube wargi i skinał głową.

– Jeśli bicie monet odbiega od doskonałości, nawet jeśli w monecie zabraknie jednego ziarnka złota, żaden człowiek nie da jej wiary i boski porządek się załamie. Wystarczy jedno ziarnko.

Strażnicy zdolali w końcu zawiesić mistrza między hakami niczym zwierzęcą tuszę na rożnie. Dzięki temu będzie dłużej płonął, nim umrze. Heretyk miał więcej szczęścia, gdyż przywiązano go do słupa w pozycji stojącej. To sprawi, że płomień pochłonię go prędzej. Domyśliłem się, że jego zbrodnia była lżejsza.

Przyniesiono drewno i podpałkę z narożników placu i ułożono na słomie. Strażnicy spryskali stos oliwą z flakonu, oblewając także więźniów. Sędzia pokoju stanął na skrzyni i odczytał zarzuty spisane na wielkim zapieczętowanym zwoju. Nie słyszałem jego słów, lecz ojciec z wielką lubością mi je powtarzał. Heretyk zaprzeczał, że Chrystus był Synem Bożym i że Kościół stanowi drogę zbawienia. Wzywał Kościół, by zrzekł się swojej własności. W czasie czarnej mszy o północy przyzywał samego Lucyfera; wsypywał do wina mszalnego prochy dzieci, które urodziły się martwe; cudzołożył na ołtarzu i popełniał kazirodztwo ze swoją siostrą. Trudno mi było w to uwierzyć, gdy

patrzyłem na mężczyznę o łagodnej twarzy z wydatnym jabłkiem Adama. Jednakże, jak powiedział mój ojciec, szatan znajduje rozkosz w przybieraniu fałszywych postaci. Powinienem być uważniej słuchać.

Zebrały się chmury, zerwał się wiatr. Ściemniło się. Pochodnia w dłoni strażnika zaświeciła mocniej. Potępieńcy gorączkowo wypowiadali modlitwy. Sędzia pokoju z zaczerwienioną twarzą przekrzykiwał zgilek czyniony przez zwierzęta, dzwony i gapiów. Skończywszy, zeskoczył ze skrzyni i dał strażnikom znak do podpalenia stosu.

W ciągu kilku sekund płomienie przebiegły po drewnie i liznęły skazańców. Heretyk skonał natychmiast, a może zemdłał; fałszerz przetrwał dłużej. Płomienie rozdarły jego koszulę w miejscach nasączonych oliwą. Wyglądało to tak, jakby ogień zżerał go od środka. Ryk bólu i trzask płomieni mieszały się z okrzykami gawiedzi.

Poczułem uderzenie w plecy i uniosłem głowę. Ojciec stał z szeroko rozstawionymi nogami i oczami zwróconymi ku niebu. Jego twarz pałała nabożną radością. Raz po raz uderzał mnie laską w ramiona, aby to wspomnienie dobrze wryło mi się w pamięć.

W późniejszych latach widywałem też innych ludzi płonących na stosie za grzechy nieczystości. Za każdym razem cząstka mojej duszy ścisnęła się z żalu.

V

Nowy Jork

Pogoda może człowieka załamać nawet w Nowym Jorku. Nicka obudził deszcz. Twarde jak lód igielki siekły w szybę okna. Przetoczył się na drugi bok, by jeszcze przez kilka sekund wtulać się w strzępy snu. Nagle sobie przypomniał.

Raptownie otworzył oczy. Zegarek na nocnym stoliku wskazywał za dziesięć jedenastą, lecz niebo było tak ciemne, że mogła być każda godzina. Nic dziwnego, że zasnął. Szybkim ruchem zsunął się z łóżka i nachylił nad laptopem, który stał na półce pod oknem. Zostawił komputer włączony przez całą noc, nastawiwszy głośność na maksimum. Liczył na to, że Gillian znów się odezwie, ale na ekranie nic nie było. Przejrzał pocztę, nie facygując się nawet, by skasować spam. W jego skroniach odezwał się tępy ból. Poczował, że musi natychmiast napić się kawy.

Na widok Breta zrozumiał, że się spóźnił. Jego współlokator, rozparty wygodnie w fotelu przed komputerem, jedną ręką stukał w klawiaturę, w drugiej zaś luźno trzymał ostatni kawałek wieczornej pizzy.

– Co ty kombinujesz?

– Captchas – odparł Bret, mieląc w ustach kęs pepperoni. – Na tej stronie dostajesz darmowe porno za każdą setkę.

Kiedy maszyny zawładną planetą, zatrudnią Breta jako swoją piątą kolumnę. Współlokator Nicka był niczym pasożyt żerujący na miękkim podbrzuszu Internetu. Gromadził adresy dla spamerów, podbijał ceny na aukcjach internetowych, reklamował podejrzane medykamenty, a obecnie rozszyfrowywał

zamazane litery, którymi właściciele stron posługiwali się w celu blokowania automatycznych rejestracji; nie było takiej rzeczy, której Bret nie zrobiłby dla paru centów. Gdyby istniała antyinternetowa grupa nacisku – Nick podejrzewał, że takowa istnieje – Bret mógłby jej służyć jako koronny argument. Nick wciąż nie wiedział, jak to się stało, że wylądowali w jednym mieszkaniu.

– Późno się położyłeś – zauważył Bret. – Telefon od sutenera?

Nick podszedł do kuchenki i włączył czajnik.

– Dostałem wiadomość od Gillian.

– Mmm. – Bret zlizął tłuszcz z palców i sięgnął po myszkę. – Wróciła?

– Zdaje się, że jest w Europie.

– Sto. – Bret kliknął. Literki zniknęły, a w ich miejsce na ekranie pojawiły się dwie splecione w uścisku nagie kobiety. Ich nieruchome otwarte usta wyrażały rozkosz. – Ładna jest.

Nick zalał wrzątkiem zmielone ziarna kawy, po czym uznał, że nie chce mu się czekać. Kupi kawę w sklepie na rogu.

– Wychodzę.

Bret machnął ręką. Pizza w jego dłoni poruszyła się niczym martwa skóra.

– Ja tu będę.



Nick dojechał metrem do Sto Dziewięćdziesiątej Ulicy i dotarł pieszo do Fort Washington Avenue. Deszcz zmienił się w marznącą mżawkę, która wpaadała za kołnierz i przenikała aż do kości. Ostatnio był tutaj w środku lata; liściaste korony drzew ocieniały ulice, a dzieci goniły się po chodniku z pistoletami na wodę. Kupił Gillian loda w budce. Teraz drzewa stały ogołocone, a ulica była pusta. Na szarym pagórku stała kamienna wieżyca średniowiecznego klasztoru, wycinek obcego miejsca i czasu wskrzeszony na skrawku Manhattanu. Muzeum Cloisters. Zbocze wzgórza opadało w stronę rzeki Hudson, której przeciwległy brzeg jawił się jako cień we mgle. Basowy ryk silników samochodowych na moście Jerzego Waszyngtona wisiał w powietrzu niczym odległy grzmot.

Muzeum było niemal puste. Nick kupił bilet i skierował się w stronę

przewodniczki. Białowłosa pani przypominała jastrzębia czyhającego na gości. W klapie jej kostiumu tkwił znaczek z napisem PAM przypominający etykietę eksponatu. Manhattan, połowa dwudziestego wieku, najprawdopodobniej żydowskiego pochodzenia. Oczy przewodniczki rozbłysły na widok Nicka. On zaś wyjął wydruk rysunku nadesłanego przez Gillian.

– Poznaje to pani?

Uczona skierowała wzrok na kartkę, z której patrzyły na nią cztery lwy i cztery niedźwiedzie.

– Raczej nie. – Nick dostrzegł rozczarowanie w jej oczach. – Doktor Sutherland może panu pomóc.

– Gdzie go znajdę?

– To kobieta. Wydaje mi się, że jest w Sali Jednorożca. – Przewodniczka wskazała salę za otwartymi drzwiami. – Na samym końcu.

□ □ □

Muzeum Cloisters to osobliwe miejsce. Gillian nazywała je chimera. Gmach stanowił zlepek fragmentów różnych budynków sprowadzonych ze Starego Świata. Romański korytarz prowadził do gotyckiej sali, hiszpańska kaplica sąsiadowała z francuskim kapitularem. Nick ruszył długimi arkadami, przeszedł dwunastowiecznymi drzwiami i wkroczył do długiego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Ściany prawie znikły pod siedmioma ogromnymi arrasami, które na nich zawieszono. Przed jednym z nich klęczała młoda kobieta i oglądała go, świecąc sobie małą latarką. Obraz na arrasie przedstawiał horde psów i mężczyzn z włóczniami, która otoczyła jednorożca. Mityczne stworzenie nadziało jednego psa na róg. Przepelnione smutkiem oczy osaczonego zwierza wyrażały rozpacz.

Kobieta drgnęła, słysząc pisk butów Nicka na wypolerowanej posadzce.

– Doktor Sutherland?

Uczona wyglądała tak, jakby wyszła prosto z czarno-białej fotografii. Jej czarne włosy były związane czarną wstążką, gładka skóra była biała jak kość słoniowa, a pod schludnym czarnym kostiumem ze spódnicą bielila się zapięta pod szyją bluzka. Tylko jej buty wyróżniały się połyskliwą czerwienią.

– Nazywam się Nick Ash. Proszę wybaczyć, że panią niepokoję... – Nick się zawahał. – Jestem znajomym Gillian Lockhart. – Zrobił krótką pauzę. – Ona tu kiedyś pracowała.

– Ach. – Kobieta uśmiechnęła się przepraszająco. – Jestem tutaj dopiero od października...

Mówiła z brytyjskim akcentem.

– Może zdoła mi pani pomóc. – Nick rozwinął wydruk i podał uczonej. W jej ciemnych oczach pojawił się jakiś błysk. – Odebrałem to wczoraj... w dość zagadkowych okolicznościach. Miałem nadzieję, że ktoś z muzeum objaśni mi, co przedstawia ten rysunek.

Doktor Sutherland przez chwilę oglądała wydruk, poruszając bezgłośnie ustami.

– Piętnastowieczny miedzioryt autorstwa niemieckiego artysty, przypuszczalnie pochodzący z okolic górnego Renu. Powstał około tysiąc czterysta trzydziestego roku. – Widząc konsternację na twarzy Nicka, uczona roześmiała się z zażenowaniem. – To karta do gry.

– Czy nie powinna przedstawiać serc, żołądki lub czegoś w tym rodzaju?

– Lwy i niedźwiedzie to koszulka. – Uczona odgarnęła za ucho niesforny lok. – Wydaje mi się, że rysunek przedstawia dzikie zwierzęta. Liczba bestii na karcie odpowiada wysokości karty.

– Widzę, że sporo pani o tym wie.

Doktor Sutherland wzruszyła ramionami, ponownie okazując zmieszanie.

– Podstawy historii sztuki. Moje badania dotyczą zwierzęcej symboliki. Ale te karty są słynne. Stanowią bodaj najstarszy przykład miedziorytu, jaki posiadamy.

– Kto je wykonał?

– Tego nie wiadomo. Większość średniowiecznych dzieł nie jest sygnowana i nie ma świadectw pochodzenia. Historycy sztuki nazywają autora Mistrzem Kart do Gry. Istnieją inne sztychy, które przypisujemy mu na podstawie cech stylistycznych, lecz karty to jego najważniejsze zachowane dzieło.

– Są inne?

– W Europie zachowało się ich kilkadziesiąt. Większość znajduje się w

Paryżu, jak sądzę. Ta talia jest nietypowa, bo zawiera pięć zbiorów zamiast czterech. Przedstawiają jelenie, ptaki, kwiaty, ludzi... – Uczona stuknęła palcem w wydruk. – Oraz dzikie zwierzęta.

Między rozmówcami zawisła niezręczna cisza. Podchodząc z arkuszem do historyczki, Nick niejako ją osaczył. Doktor Sutherland stała w świetle padającym przez wysoko osadzony witraż. Wielobarwna plama wyglądała jak rana na jej piersi. Nagle Nickowi stanął przed oczyma obraz gniewnej twarzy zbliżającej się do kamery. Wstrząsnął nim dreszcz.

– Mogę to zatrzymać? – spytała doktor Sutherland, unosząc arkusz z wydrukiem i bacznie obserwując Nicka. Ten się zawahał.

– Oczywiście.

– Po pracy zobaczę, czy uda mi się znaleźć coś więcej. – Skinieniem głowy wskazała arras. – Teraz powinnam...

– Ależ naturalnie.

Nick wydobyl wizytówkę z portfela. Biorąc ją od niego, przesunęła szczerpłymi białymi palcami po jego palcach. Paznokcie były pomalowane na szkarłatny kolor. Przeczytała wizytówkę.

– Cyfrowa rekonstrukcja patologiczna?

– Składam kawałki w jedną całość.

Recytował tę kwestię, ilekroć chciał kogoś zainteresować. Teraz stary greps zabrzmiał bezsensownie.

□ □ □

W drodze do wyjścia Nick ponownie zobaczył przewodniczkę. Nie mając gości, których mogłaby oświecić, stała i patrzyła na strugi deszczu spływające po dachówkach do ogrodu. Spod jej ramienia patrzył kamienny święty tkwiący na piedestale.

– Znalazł pan doktor Sutherland?

– Bardzo mi pomogła. – Nick nie miał pewności, czy faktycznie tak było.

– Chciałbym jednak o coś panią zapytać. Od dawna pani tutaj pracuje?

Kobieta nieco się wyprostowała.

– Od siedemnastu lat.

– Znała pani Gillian Lockhart? Ona też była pracownicą muzeum.

Widoczne przez szkła okularów mocno podmalowane oczy się zwężyły.

Przewodniczka udała, że spogląda na posązek świętego.

– Gillian jest pana znajomą?

– Była. Straciłem z nią kontakt. Chciałem tylko zapytać, czy wie pani, dokąd się udała po odejściu stąd.

Kobieta zdecydowanie spojrzała Nickowi w oczy. Siedemnaście lat wyprowadzania ignorantów z błędu znalazło wyraz w budzącym trwogę spojrzeniu.

– My także utraciliśmy kontakt z Gillian. Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak wyznanie licealistki, ale w moim przekonaniu cholernie nam się poszczęściło. Proszę wybaczyć to wyrażenie.

Nick usiłował wytrzymać spojrzenie rozmówczyni, ale nie zdołał. Zanim zdążył odpowiedzieć, nieruchomą ciszę krużganka, maconą jedynie szmerem deszczu, rozdarł tryl jego telefonu komórkowego. Przewodniczka patrzyła na Nicka tak, jakby chciała obrócić go w kamień. Raptownie się czerwieniąc i gapiąc w podłogę, wyłowił komórkę z kieszeni i otworzył klapkę. Zdążył zobaczyć numer widniejący na ekranie i zatrzasnął aparat. Sygnał zamilkł.

– Znajdujemy się w muzeum – pouczyła przewodniczka głosem przypuszczalnie donośniejszym od dzwonka.

– Już wychodzę, ale gdyby mogła mi pani udzielić jakiejś informacji o Gillian... Dokąd się wybierała, cokolwiek...

Przewodniczka najwyraźniej marzyła o tym, by pozbyć się natręta.

– Słyszałam, że stara się o pracę w Stevens Mathison. – Uczona zmierzyła Nicka wzrokiem, oceniając, czy nazwa coś mu mówi. – To taki dom aukcyjny. Mają ekspozycję przy skrzyżowaniu Piętnastej i Dziesiątej. Nie wątpię, że panna Lockhart idealnie pasowała do tego miejsca.

Nick nie wiedział, co to może znaczyć, lecz nie ośmielił się zapytać.

VI

Moguncja, 1420

*Sara widząc, że syn Egipcjanki Hagar, którego ta urodziła Abrahamowi, naśmiewa się z Izaaka, rzekła do Abrahama: „Wypędź tę niewolnicę wraz z jej synem, bo syn tej niewolnicy nie będzie współdziedzicem z synem moim Izaakiem”**.

* Rdz 21, 9-10.

Głos lektora wydostawał się z refektarza. Przez zwieńczone łukiem drzwi widziałem, jak czyta z olbrzymiej Biblii rozpostartej na pulpicie mównicy. Mnisi siedzieli na ławkach i w milczeniu chłonęli naukę. Słyszałem jedynie fragmenty czytania, gdyż sędzia dawał właśnie wykładnię orzeczenia.

– Zasadniczą kwestią w rozpatrywanej przez sąd sprawie dotyczącej podziału spadku po Friedrichu Gensfleischu jest kwestia precedensu.

Słabe kwietniowe słońce rzucało nikłe cienie we wnętrzu klasztoru. Pod mrocznymi arkadami życie klasztoru toczyło się jak co dzień. Świeccy bracia wykonywali swoje proste obowiązki. Do moich uszu dochodził odgłos toczenia beczki do spiżarni. Jednak w sali sądu uwaga wszystkich skupiła się na sędzi. On zaś siedział naprzeciwko nas przy stole zastawionym księgami, do których ani razu nie zajrzał. Jedna jego ręka spoczywała na kolanach i bawiła się różańcem, druga zaś gładziła futro togi, jak gdyby wciąż rosło ono na żywym zwierzęciu.

– Z drugiej strony mamy do czynienia z roszczeniami dzieci zmarłego, które miał z żoną Elsą. – Sędzia wskazał ręką ławę, na której siedziałem ja wraz z bratem Friedrichem, siostrą oraz jej mężem Clausem. – Nikt nie śmie wątpić, że zmarły kochał swoją żonę, córkę sklepiarza. Nikt także nie kwestionuje, że przekazując w spadku swój znaczny majątek trójce dzieci, kierował się tym, co dyktowało mu serce.

Mój ojciec zmarł w listopadzie. Jego śmierć była nagła, lecz nieszczególnie tragiczna. Przeżył lat siedemdziesiąt i do samego końca zachował animusz. Doprawdy miał w sobie tyle życia, że bez wahania wyciągnął skórzany pasek, by ukarać pokojówkę, która zostawiła odrobinę śnieżki na srebrze. Powiadano, że strach służącej kazał jej odczekać dziesięć minut po upadku mojego ojca, zanim odwróciła się, by zobaczyć, dlaczego razy ustały. Przebywałem wówczas poza domem, lecz ci, którzy byli tam obecni, mówili, że jego twarz wyrażała spokój tak wielki, jakiego nigdy nie widzieli.

– Wszelako głowa musi władać sercem, tak jak mąż włada żoną, a Chrystus Kościołem. – Sędzia powiódł wzrokiem ku drugiej ławie, na której siedziała moja przyrodnia siostra Patze ze swoim wujem i kuzynem. – Dlatego musimy również wziąć pod uwagę roszczenia drugiej strony w tej sprawie, czyli córki zmarłego ze związku z pierwszą żoną.

Mój brat posłał Patze mordercze spojrzenie. Ta spuściła głowę jak do modlitwy.

– Nikt nie podaje w wątpliwość, że wdowa po Friedrichu Elsa jest cnotliwą kobietą, która z głębi serca oplakuje męża. Jednakże sklep zbudowany z kamienia wciąż pozostaje sklepem.

Był to ciężkawy kalambur nawiązujący do panińskiego nazwiska mojej matki, które oznacza „ze sklepu zbudowanego z kamienia”.

– Sąd zaniedbałby swoich obowiązków, nie uwzględniając charakteru pierwszej żony zmarłego. Czy godzi się zapomnieć, że była córką sędziego pokoju i bratanicą kanclerza? Był to zaiste starożytny ród. Sąd dowiedział się, że w duchu służby i posłuszeństwa charakteryzującym tę rodzinę jej córka Patze zamierza złożyć śluby i połączyć się z Chrystusem w zakonie Błogosławionej Dziewicy Maryi.

Przedziwnym sposobem słowa te sprawiły, że poczułem się tak samo jak w chwili, gdy dowiedziałem się o śmierci ojca. Było to wytchnienie – poczucie, że odebrano mi coś, czego nigdy w istocie nie posiadałem. Brat zareagował prędeej: zacisnął pięści tak mocno, że spod paznokci omal nie popłynęła krew.

– Ostatnimi czasy wiele się mówi o zmianie porządku rzeczy w Moguncji. O tym, że stare rody, które zawsze trzymały pieczę nad swobodami w mieście, winny podzielić się tym brzemieniem z rzemieślnikami i kupcami. – Rysy sędziego stwardniały w wyrazie pogardy. – W tym mieście zawsze znaleźmy i wspieraliśmy ład ustanowiony przez Boga. Jednocześnie ochramiamy ubogich i skromnych, jak przykazał Chrystus. Mając to na względzie, sąd przyznaje dom Zum Gutenberg wraz ze sprzętami oraz tyle, ile jest konieczne do zapewnienia wygodnego życia, wdowie Elsie do końca jej dni. Każdemu z trojga dzieci Friedricha, z szacunku dla jego przywiązania do nich, przyznajemy sumę dwudziestu guldenów. Pozostałą część spadku, zgodnie z prawdami precedensu, przyznajemy pierworodnej, najukochańszej i najcnotliwszej córce zmarłego, Patze.

Sędzia stuknął łaską w stół, jak gdyby gwoździem przybił swój werdykt.



Nie czułem gniewu – jeszcze nie wtedy. Miałem dwadzieścia lat i odebrano mi przyszłość. Złość mogła we mnie narastać przez całe życie.

Mój brat Friele był ode mnie o trzynaście lat starszy, jego przyszłość była więcej niż w połowie miniona. Jego odczucia domagały się ujścia bardziej natarczywie.

– Złodzieje, łajdacy. Wszeteczne, pazerne na złoto chędożące chłopców Żydki.

W niszy klasztornej sali jaskrawo pomalowany święty Marcin schylał się z grzbietu drewnianego konia, by ofiarować żebrakowi swój płaszcz. Milczałem. Friele wyprowadził się z domu rok po moim przyjeździe na świat. Nasza braterska więź była jak kłoda, która nas rozdzielała, a nie zbliżała.

– Czekali trzydzieści lat, by zemścić się na ojcu za to, że ożenił się z córką sklepikarza. I dopięli swego.

Od chwili gdy pojąłem, dlaczego matka spędza tak dużo czasu w domu, dlaczego sąsiadki zawsze mają coś do załatwienia, ilekroć spotykają ją na ulicy – zachodziłem w głowę, czemu ją poślubił. W całym jego życiu obliczonym na pomnażanie majątku był to jedyny uczynek, który nie przyniósł mu zysku.

Twarz Frielego płonęła od gniewu i niedowierzania. Miałem wrażenie, że za chwilę ściągnie świętego z wierzchowca i roztrzaska go o posadzkę klasztoru.

– Matka będzie żyła wygodnie, a mąż Elsy zapewni jej opiekę. Ja przynajmniej wyrobiłem sobie skromne nazwisko w kręgach kupieckich, w których umiejętności mężczyzny ceni się wyżej niż jego dziedzictwo. Ale co będzie z tobą? – Brat spojrział na mnie ze szczerym zatroskaniem. Widział we mnie, jak przypuszczam, odbicie zmagających się w jego głowie. – Nie masz majątku, fachu ani pozycji. Co ze sobą poczniesz?

Jako syn swojego ojca odziedziczyłem po nim przynajmniej jedno. Wiedziałem, co kocham najbardziej na świecie.

– Zostanę złotnikiem.

VII

Nowy Jork

Pociąg przetoczył się tunelem pod Harlemem. Blask światel odbijał się od ścian, skacząc po zakurzonych kablach i rdzewiejących rurach. Nick oparł głowę o podrapane szkło i zamknął oczy.

Gillian była jedyną osobą, którą poznał w pociągu. I przypuszczalnie jedyną, którą mógł w ten sposób poznać. Stało się to po południu na trasie z New Haven. Oprócz niego w wagonie siedziało paru uczniów prywatnych szkół oraz rodzina udająca się do teatru w centrum miasta. Gillian wsiadła w Greenwich. Miała do dyspozycji cały wolny wagon, lecz usadowiła się naprzeciwko Nicka. Jak przystało na nowojorczyka, unikał jej wzroku, usilnie skupiając uwagę na laptopie, który trzymał na kolanach. Jednak Gillian nie dawała łatwo za wygraną.

– Wiesz, że czasownik *commute** pochodzi od łacińskiego wyrazu *commutare*, który oznacza „całkowicie się zmienić”? – spytała znieca.

* *Commute* (ang.) – dojeżdżać do pracy.

Nick pokręcił głową i dalej gapił się w ekran.

– Zakrawa na ironię, nie uważasz?

Mruknął coś niewyraźnie. To także nie zniechęciło Gillian.

– Jeśli jesteś dojeżdżającym, nic się nigdy nie zmienia. Codziennie o tej samej porze wsiadasz do tego samego pociągu, zajmujesz miejsce naprzeciwko tych samych osób i jedziesz do tej samej pracy. Potem wracasz do tego samego domu, tej samej żony i dzieci, hipoteki i planu emerytalnego. – Gillian

spojrzała przez okno na przesuujące się peryferie wielkiego miasta. – Czy te dzielnice, Rye, New Rochelle, Harrison, w ogóle istnieją? Spotkałeś kiedyś kogoś, kto w nich był?

Nick pamiętał jak przez mgłę, że w dzieciństwie był w wesołym miasteczku w Rye.

– Ludzie wolą się do tego nie przyznawać.

Gillian podskoczyła niczym małe dziecko.

– Wiesz, do czego jeszcze może się odnosić ten czasownik?

– Do kary śmierci?

Nieznajoma się rozpromieniła.

– Otóż to. Mam na imię Gillian, tak przy okazji. – Przesadnie oficjalnym gestem wyciągnęła rękę. Później odkrył, że przesadza we wszystkim; mimochodem zaznaczała w ten sposób swój ironiczny dystans. Jeszcze później zrozumiał, że w ten sposób się chroni. – A ty na pewno jesteś...?

– Nick.

Wyciągnął niezręcznie rękę obok pokrywy laptopa i uściśnił dłoń Gillian. Nie miała urody dziewczyny z reklamy: dołeczek w jej brodzie był za duży, ręce za długie, a kasztanowym włosom brakowało połysku. Wyglądała na taką, która gardzi makijażem. Było w niej jednak coś, co nie pozwalało oderwać wzroku – jakaś energia lub aura sugerująca szerokie możliwości.

– Nie jestem dojeżdżającym – dodał Nick. Czuł potrzebę usprawiedliwienia się.

Gillian wykonała półobrót i usiadła obok niego.

– Czym się zajmujesz?

Nick zatrzasnął komputer i roześmiał się niezręcznie. Rozglądał się, nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok. Ich spojrzenia się spotkały. Błysk jej zielonych oczu wyrażał chęć psoty. Patrzyła na niego bez zażenowania.

– Uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że ten materiał jest objęty klauzulą tajności?

Gillian przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć „wygłupiasz się”. Po chwili pisnęła z zachwytem, widząc, że Nick mówi serio.

– Nie wytrzymam. Jesteś szpiegiem?

– Niezupełnie. – Nick odchrząknął. – Ja... składam kawałki w całość...
Hamulce zapiszczały, gdy pociąg wjeżdżał na stację przy Czternastej Ulicy.

□ □ □

Nick podążył za podróżnymi na ulicę. Znow się rozpadało; woda ściekała po stopniach. Poczul się jak łośoś zmagający się z rzeczonym progiem. Dom aukcyjny znajdował się dwie przecznice dalej. Gdy Nick tam doszedł, był już przemoczony. Na szczęście włożył dobry płaszcz. Wszyscy, których spotkał w budynku, wydawali się nietknięci deszczem. Wszędzie widział wykrochmalone koszule i ostre kanty spodni, jak gdyby pracujący w tym gmachu ludzie żyli w świecie, w którym zawsze jest ciepło i świeci słońce. Gdyby sądzić po holu, świat ten składał się ze szkła, stali oraz marmuru. Twardy świat. I bardzo niepasujący do Gillian.

– Czym mogę panu służyć? – Recepcjonista był młodym mężczyzną z opadającą grzywką. Nosił okulary bez oprawek, a w jego angielskim po-brzmiewał europejski akcent. Uśmiech zdradzał, że bardzo się stara, by nie wprawić Nicka w zakłopotanie.

– Próbuję namierzyć swoją znajomą Gillian Lockhart. Dowiedziałem się, że być może tu pracuje.

– Zaraz to sprawdzę.

Recepcjonista stuknął palcami w terminal komputerowy stojący na jego biurku.

– Panna Gillian Lockhart. Dział Rękopisów Późnośredniowiecznych i Ma-
teriałów Drukowanych. – Mężczyzna stuknął w jeszcze jeden klawisz. – Pracuje w naszej paryskiej filii.

– Czy ma tam telefon?

– Mogę panu podać numer sali wystawowej. – Recepcjonista sięgnął po pióro i zapisał numer na odwrocie wizytówki. Spinki przy jego mankietach zastukały o blat biurka. – Wie pan, naturalnie, że trzeba wybrać numer między-
narodowy zero jedenaście.

Nick rzucił okiem na rząd zegarów zawieszonych na ścianie niczym trofea myśliwskie. W Nowym Jorku była szesnasta, w Paryżu dwudziesta druga.

– Tam już pewnie zamknięte.

Recepcjonista ponownie stuknął palcem w klawiaturę.

– Być może dopisało panu szczęście. Dzisiaj mają wieczorną aukcję. Rękopis Duca de Berry. Wzbudzi zainteresowanie. Wydaje mi się, że panna Lockhart na pewno tam będzie.

Nick poszedł do kafejki po drugiej stronie ulicy. Miał wyłączoną komórkę. Nie włączył jej po wyjściu z muzeum. Wcisnął klawisz, a następnie wybrał zapisany na wizytówce numer.

– Stevens Mathison, *bonsoir* – odpowiedział kobiecy głos. Nie była to Gillian.

– *Bonjour*. – Źle, nie tak. – Czy jest tam może Gillian Lockhart?

– *Moment, s'il vous plait*.

W słuchawce zabrzmiał koncert Vivaldiego. Nick starał się nie myśleć, ile go kosztuje każda nuta. Co powie Gillian? Od czego zacznie?

Piśnienie telefonu zasygnalizowało połączenie przychodzące. Nick odsunął aparat od ucha i spojrzał na wyświetlacz. Rozpoznał migający numer, lecz dopiero po chwili uświadomił sobie dlaczego. Dzwoniono z jego mieszkania. Czyżby Bret?

Koncert Vivaldiego zamilkł; Nick przekierował połączenie na pocztę głosową i przystawił telefon do ucha.

– Kto mówi? – zapytał męski głos. Nick ukrył rozczarowanie.

– Nazywam się Nick Ash. Próbuję skontaktować się z Gillian Lockhart. W nowojorskiej placówce poinformowano mnie, że być może Gillian dzisiaj pracuje.

– Miał pan od niej wiadomość? – Mężczyzna mówił z gładkim brytyjskim akcentem. W tle Nick słyszał pomruk rozmów i brzęk kieliszków.

– Dostałem e-mail. Nie powiedziała, gdzie się znajduje. – Nick zrobił pauzę. – Przyznam, że się o nią martwię.

– My również. Nie widzieliśmy Gillian od niemal miesiąca.

– Chce pan powiedzieć, że odeszła?

– Chcę powiedzieć, że znikła.

Nick przypomniał sobie twarz ogromniejącą w obiektywie kamery. *Pomóż mi oni nadchodzą*. Ale to było wczoraj.

– Mówi pan, że nie ma jej od miesiąca?

Przez chwilę słychać było tylko syczenie, jak gdyby echo fal Atlantyku wdarło się do słuchawki.

– Czy mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko?

– Nick Ash. Jestem znajomym Gillian. Mieszkam w Nowym Jorku.

– Powiedział pan, że wczoraj dostał od niej e-mail?

– Owszem.

– Zatem wiemy przynajmniej, że Gillian żyje. – Brytyjski akcent rozmówcy uniemożliwił Nickowi stwierdzenie, czy tamten żartuje. – Napisała, gdzie przebywa?

Nick nie wiedział, ile może powiedzieć.

– Wiadomość była bardzo krótka. Brzmiała tak, jakby Gillian zagrażało jakieś niebezpieczeństwo.

– O Boże. – Akcent odbierał słowom głębię, mogły wyrażać zarówno niepokój, jak i zwyczajne zdudzenie. – Dzwonił pan na policję?

– W gruncie rzeczy nie miałbym co powiedzieć.

– Ja dzwoniłem, ale na próżno. Usłyszałem, że młode kobiety wciąż się gdzieś włóczą. Policjanci pouczyli mnie, że prawdopodobnie w grę wchodzi sprawy sercowe. Zwłaszcza po tym, jak pokazałem im zdjęcie. Wie pan, jacy potrafią być Francuzi. Ale skoro mowa o naszych galijskich przyjaciółach, Duc de Berry za chwilę pójdzie pod młotek, ja zaś powinienem...

– Jeszcze tylko jedno pytanie. – Nick przypomniał sobie nazwę. – Słyszał pan o Mistrzu Kart do Gry?

– Naturalnie – odparł zaskoczony mężczyzna. – To piętnastowieczny niemiecki rytownik. Tworzył bardzo niezwykle karty.

– Gillian wspomniała o nim w e-mailu.

– Doprawdy?

Nick czekał na następne pytanie, które jednak nie padło.

– Czy Gillian zajmowała się zawodowo tymi kartami? Było to związane z jakąś aukcją bądź wyprzedazą?

– Nic mi nie wiadomo o tym, by w ciągu ostatnich stu lat pojawiły się jakieś nowe dzieła, których twórcą był *Meister der Spielkarten*. Z całą pewnością nie trafiły pod nasz dach.

W połączeniu znów nastąpiła przerwa. Fale przewalały się na linii telefonicznej.

– Teraz już naprawdę muszę się zająć klientami. Bardzo dziękuję za telefon. Proszę dać znać, jeśli dowie się pan czegoś nowego. Bardzo martwimy się o Gillian.

Dopiero po zakończeniu połączenia Nick uzmysłowił sobie, że nie spytał rozmówcy o nazwisko. Zaklął i przyszło mu na myśl, by zadzwonić ponownie, ale miał wrażenie, że nikt nie odbierze. Za oknem kawiarni panował mrok oznaczający koniec krótkiego styczniowego dnia. Postanowił dopić kawę i wrócić do domu.

Nagle ekran jego komórki zaświecił się na niebiesko. Leżący na stoliku telefon wydał kilka gniewnych piśnięć.

„Siedem nieodebranych połączeń, jedno nagranie w poczcie głosowej”, oznajmiał komunikat. Nick spojrział na numery. Wszystkie połączenia pochodziły z jego mieszkania.

Zignorował pocztę i zadzwonił do Breta. Współlokator odebrał za pierwszym razem.

– To ty? – spytał bez tchu Bret głosem bliskim płaczu. – Musisz przyjść do domu. Chodzi o Gillian.

Nick siłą woli zachował spokój.

– Dzwoniła? Nic jej się nie stało?

– Tak, Gillian dzwoniła. Słuchaj, musisz przyjść do domu. *Pronto*.

– Rozmawiałeś z nią? Co mówiła? Ma kłopoty?

– Kłopoty? Owszem, ma zajebiste kłopoty. Tak bym to określił. Słuchaj, nawet sobie nie... – Bret zamilkł. Jego głos zabrzmiał jak szloch. Po chwili dodał: – Przepraszam. Wracaj do domu, dobrze? Dryndnij, kiedy dotrzesz.

□ □ □

Droga powrotna zajęła Nickowi dwadzieścia pięć minut. W deszczowy wieczór w mieście nie dało się złapać taksówki; Nick prawie całą trasę pokonał biegiem. Gdy wreszcie stanął przed kamienicą, jego wełniane palto było całe mokre. Wpadł pędem do holu, minął stalowe skrzynki pocztowe i blado oświetlone dzwonki.

„Dryndnij, kiedy dotrzesz”.

Po co miałby dzwonić, skoro ma klucze?

Od chwili gdy Nick odebrał wiadomość od Gillian, wszystko stanęło na

głowie. Może gdyby się dobrze zastanowił... Ale on nie chciał się zastanawiać, pragnął odpowiedzi. Wszystko inne może poczekać. Nacisnął guzik windy, ale uznał, że schodami dotrze prędzej. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, zerkając na znajome, wyrażające zdumienie twarze bezimiennych sąsiadów. Znalazłszy się na drugim piętrze, wcisnął się przez drzwi przeciwpożarowe.

W korytarzu panował mrok. Nick wcisnął włącznik. Energooszczędna świetlówka zabrzęczała i zaświeciła się.

„Dryndnij, kiedy dotrzesz”.

Czemu głos Breta zdradzał strach? Co powiedziała mu Gillian? Cóż mogło go to obchodzić? Zdaniem Nicka była dlań jedynie rudą laską z ładnymi cymbkami.

Pomóż mi oni nadchodzą.

W dwudziestym pierwszym wieku istnieje wiele sposobów, by do kogoś dryndnąć.

Później Nick sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Jedyne wyjaśnienie było takie, że w zdziwaczałym świecie najdziwniejsze rzeczy wydają się normalne. Wyjął z torby laptop, położył na podłodze i włączył. Znajdował się tak blisko mieszkania, że urządzenie bez trudu połączyło się z bezprzewodowym routerem. Kliknął ikonę na pasku zadań. Nowy program wypełnił ekran.

Witamy w Dzwonku

Telefon Wiadomość Wideo Transfer plików

Poniżej widniała lista kontaktów. Gillian wciąż znajdowała się na czele.

Ostatnie połączenie: 06 stycznia 07:48:26

Bez zmian. Nick przewinął niżej, aż znalazł Breta.

Ostatnie połączenie: Jest online

Nick czuł się idiotycznie, kłęcząc na linoleum prawie przed drzwiami swojego mieszkania. Kliknął przycisk „Wideo”.

Na ekranie pojawił się zamglony obraz pokoju. Na pierwszym planie widać było twarz Breta, który leżał bezwładnie w fotelu. Miał otwarte oczy, jak gdyby

usiłował krzyknąć, lecz żaden dźwięk nie mógł się wydostać z jego ust zaklejonych taśmą. Z rany na skroni sączyła się krew. Nad jego ramieniem Nick widział stojącego na środku pokoju naprzeciwko drzwi mężczyznę w skórzanej marynarce i czarnej kominiarce. Intruz poruszył się niecierpliwie, przesuwając ciężar ciała z nogi na nogę. W jego dłoni połyskiwał pistolet z długą lufą.

Pomóż mi oni nadchodzą.

Kimkolwiek są tajemniczy oni, właśnie nadeszli.

VIII

Kolonia, 1420

– Czy wszystko ci odpowiada?

Siedziałem przed stołem roboczym i usiłowałem się skupić na leżącym przede mną arkuszu papieru. Chciałem zaimponować nowemu mistrzowi pilnością, lecz otoczenie rozpraszało moją uwagę. To było tak, jakby wszystkie marzenia mojej wyobraźni eksplodowały w tym jednym pomieszczeniu. Na gwoździach w ścianie wisiały niezliczone narzędzia: rylce i polerki, drapak i dłuta oraz wiele innych, których nazw nie znałem, lecz się ich nauczę. Całą jedną belkę zajmowały młotki wszelkich rozmiarów, od ogromnych drewnianych bijaków do młoteczka wielkości klejnotu, którym można było kuć anielski włos. Regał na przeciwległej ścianie mieścił jeszcze więcej skarbów: szklane i srebrne paciorki na długich sznurkach, kawałeczki kryształu i ołowiu, fiolki antymonu i rtęci do mieszania ze złotem, różowy koral rozgałęziony jak poroże jelenia oraz długie żelazne palce obwieszane pierścionkami. Złote puchary i talerze spoczywały w szafce z ażurowym frontem, oczekując na właścicieli. Nawet ślady po przypaleniu na blacie stołu obok mojego łokcia opowiadały o cudownościach. Naprzeciwko warsztatu wokół niedokończonej katedry wznosiły się rusztowania i wieżyczki.

Konrad Schmidt, mistrz złotniczy, a obecnie także mój mistrz, westchnął, by zwrócić moją uwagę.

– Na siedem lat przyjmuję cię do szkoły. Będziesz poznawał metody, arkana i tajniki złotniczego fachu. Zamieszkas pod moim dachem, będziesz

jadał razem z moją rodziną i wykonywał wszelkie prace, które ci zlecę zgodnie z prawami cechu. Nie będę wymagał od ciebie niczego poniżej twojej godności ucznia. Będziesz czerpał wodę do hartowania żelaza, lecz nie do picia, będziesz znosił drewno do pieca, ale nie do pieca kuchennego mojej żony. W zamian zapłacisz mi teraz dziesięć guldenów i jednego guldena co trzy miesiące za wikt i dach nad głową. Będziesz się prowadził tak, jak przystoi członkowi tego szlacheckiego cechu. Nikomu nie ujawnisz sekretów naszego rzemiosła. Nie będziesz okradał warsztatu ani mojej rodziny. Będziesz powściągał swoje apetyty i nie sprowadzisz hańby na mój dom. Nie popełnisz pod moim dachem żadnego czynu niemoralnego czy też odrażającego ani nie obrazisz mojej rodziny. Czy te warunki cię zadowolają?

Chwyciłem trzciniowe pióro spoczywające w kałamarzu i dużymi literami nabazgrałem swoje nazwisko u dołu strony. Przepelniony chęcią zaimponowania mistrzowi swoim wykształceniem podpisałem się po łacinie: Johannes de Maguntia, czyli Johann z Moguncji. Henchen Gensfleisch, chłopiec, odszedł w przeszłość. Sześć dni temu został na nabrzeżu w moim rodzinnym mieście.

Konrad Schmidt niełatwo popadał w entuzjazm. Wziął arkusz, posypał mokry atrament piaskiem i pozostawił go, by wysechł.

Przez chwilę obserwowałem człowieka, w którego rękach spoczywała obecnie moja przyszłość. Miał około pięćdziesiątki. Jego oczy były ciemne i głębokie, policzki zaś zapadły się pod wpływem czasu. Był ubrany w fartuch o barwie wina sięgający wysoko pod szyję oraz w serdak wykończony futrem. Na lewej dłoni mistrza lśnił gruby pierścień, drogi, lecz niekrzykliwy. Spod zamszowej czapki, którą nosił, spływały siwe kędziory; powaga znamionowała każdy rys jego twarzy. Gdy się uśmiechał – a czynił to rzadko – wyglądał smutno.

Co za to wszystko miał? Zobaczyłem się w srebrnym lustrze wiszącym na ścianie nad ramieniem mistrza. Bez wątplenia byłem modelowym młodym uczniem. Miałem na sobie świeżą białą koszulę, którą kupiłem w Moguncji i przez cały tydzień podróży barką po rzece trzymałem zawiniętą. Moje włosy pod sukienną czapką były przystrzyżone i uczesane, skóra wyszorowana w wannie, a policzki ogolone. Cały mój dobytek spoczywał w sakwie leżącej u

moich stóp. Od chwili gdy postawiłem nogę na molu w Kolonii i ujrzałem katedrę na wzgórzu lśniąca niczym tafla szkła, czułem się wolny. Wreszcie wyzwoliłem się spod ręki ojca i z dusznych więzów rodzinnych. Wiedziałem, że właśnie tam zostawię po sobie ślad.

Schmidt zobaczył, że wybałuszam oczy, ale nic nie powiedział.

– Pokażę ci resztę domu.

Wziąłem sakwę i podążyłem za mistrzem. Drzwi na tyłach prowadziły na niewielkie podwórze, na którym znajdowała się wygodka, składzik, drewniana szopa oraz duży piec przylegający do tylnej ściany. Mężczyzna w skórzanym fartuchu dał w syczące miechy pieca. Usłyszawszy nas, odwrócił się.

– To jest Gerhard – oznajmił Schmidt. – Zakończył termin zeszłego lata. Teraz pracuje u mnie jako czeladnik.

Z miejsca poczułem niechęć do Gerharda. Jego duże dłonie wydawały się zbyt niezgrabne, by mogły stworzyć jakiegokolwiek z misternych cudeniek, które zobaczyłem w warsztacie. Miał tłustą i zaczerwienioną gębę zlaną potem od gorąca miechów. Jego wąskie oczka otaczała pulchna skóra. Przypominał mi ojca, choć nie mógł być więcej niż pięć lat starszy ode mnie. Skinął mi i mruknął coś na powitanie, a następnie odwrócił się i zajął przerwana czynnością.

– Gerhard będzie cię nadzorował, gdy ja będę zajęty w warsztacie.

Mój wspaniały nastrój przygasł. Konrad Schmidt był dokładnie taki, jak sobie wyobrażałem mistrza: poważny i władczy. Łatwo spełniać rozkazy kogoś takiego. Wiedziałem od razu, że Gerhard to fajtlapa, która niczego mnie nie nauczy. Z ponurą miną podążyłem za Schmidtem zewnętrznymi drewnianymi schodami prowadzącymi na piętro domu.

– Tu mieszkam z żoną.

Piętro było podzielone na dwie części – hol i sypialnię. Na kamiennych ścianach wisiały zielone tkaniny dekoracyjne, a przy ścianach pomieszczenia stały trzy ciemne kufry. Przy jednej z nich obok kołyski siedziała kobieta w rozpiętej sukience i karmiła piersią niemowlę.

– Oto moja żona – rzekł burkliwie Schmidt. Zanim zdążył pociągnąć mnie za sobą ku schodom, kobieta zdołała mi posłać przyjazny uśmiech. Wiekiem musiała być zbliżona bardziej do mnie niż do męża, a czas obszedł się łagodnie

z jej figurą. Teraz rozumiałem, dlaczego Schmidt kładł taki nacisk na moje zobowiązania moralne.

– Ma pan więcej dzieci? – spytałem, gdy wspinaliśmy się w stronę poddasza. Znajdowaliśmy się wysoko: we wszystkich kierunkach rozpościerały się dachy domostw, kominy i wieżyczki. Nawet trudzący się na podwórzu Gerhard wydawał się mały.

– Córkę, która terminuje u tkacza, i syna. Niebawem go poznasz. Gildia niedawno wyraziła zgodę na to, by został moim uczniem. Będziecie mieszkali w jednym pokoju.

Dotarliśmy do końca schodów i schylając głowy, weszliśmy na poddasze. Okienko w szczycie dachu wpuszczało do środka kolumnę jesiennego światła. W pokoju znajdowała się jedynie lampa, kufer oraz jedno łóżko.

– Tutaj będziecie spali, ty i Pieter.

Podszedłem do okna i wyjrzałem. Dokładnie naprzeciwko wznosiła się nieukończona katedra; cienka jak igła kaplica była jedyną częścią budowli, która osiągnęła swoje pełne rozmiary. Miasto biegło w obie strony od katedry szerokim półksiężycem stanowiącym odbicie zakola rzeki płynącej na południe ku Moguncji. Ten widok mnie uspokoił. Może nauki Gerharda nie okażą się wielką mordęgą.

Drzwi otworzyły się z łoskotem, a ja się odwróciłem, myśląc, że to wiatr je rozwarł. Na stopniu stał młodzieniec, chłopiec właściwie, i przyglądał mi się z zaciekawieniem. Miał delikatną białą skórę nieskażoną żadną zmarszczką ani znamieniem oraz czuprynę złocistych kędziorów. Przez chwilę myślałem, że to anioł. Później dostrzegłem podobieństwo do Konrada. Byli niczym dwa gliniane naczynia, które wyszły spod tej samej ręki: jedno wypalone i spękanе, drugie zaś wilgotne i gładkie, nietknięte gorącym podmuchem pieca. Uśmiechnął się do mnie.

Schmidt wykonał gest ręką.

– To jest mój syn Pieter.

Poczułem, że do mojej duszy wstępuje demon.

IX

Nowy Jork

Oczy Breta się rozszerzyły. A więc żyje. Spoglądając z okienka na ekranie laptopa, skinieniem głowy wskazał za siebie. Napastnik miał wzrok utkwiony w drzwiach i nie zauważył twarzy Nicka na ekranie komputera Breta.

Nickowi zebrало się na mdłości. Co to wszystko może znaczyć?

Drzwi za nim się otworzyły.

– Nick, co ty wyprawiasz?

To był Max, ośmioletni sąsiad Nicka z tego samego piętra. Jego matka pracowała non stop w wielkiej kancelarii prawnej i zostawiała malca z kluczem na szyi. Nick parę razy pomógł mu w odrabianiu pracy domowej. Max stał w drzwiach, popijając napój gazowany i spoglądając ze zdziwieniem na sąsiada.

– Bret znów nie zostawił ci klucza?

– Ja...

Nick usłyszał strzały za ścianą. Po ułamku sekundy ten sam odgłos powtórzył się w głośnikach komputera niczym cyfrowe echo, niemal głośniejsze od właściwego dźwięku. Bret już nie żył. Jego ciało zatrzęsło się pod uderzeniami pocisków i drżało nadal w dziwnej, nienaturalnej pozie, jak gdyby potworność zdarzenia przekraczała możliwości łącza kamery. Mężczyzna patrzył na ekran monitora, obserwując Nicka. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę w wirtualnej przestrzeni. Zabójca ruszył w stronę wyjścia.

Max z krzykiem zatrzaskał drzwi. Nick chwycił laptop i rzucił się do ucieczki. Pędzony strachem i siłą adrenaliny wpadł na klatkę schodową. Na dół

czy do góry? W dole znajdowała się ulica i ludzie, a więc było bezpiecznie. Czy morderca tego właśnie oczekuje? Może ktoś czai się przy wyjściu? Czy ucieczka do góry oznacza wejście w pułapkę?

Drzwi mieszkania się otworzyły i Nick podjął decyzję. Na dół. Ślizgając się i trzymając poręczy niczym koła ratunkowego, zbiegał po stopniach. Mijając drzwi na pierwszym piętrze, kopnął je, mając nadzieję, że zmyli prześladowcę. Jednakże był jedynym człowiekiem na klatce schodowej; odgłos jego kroków musiał docierać do samego dachu. Zabójca nie mógł się pomylić.

Nick z poślizgiem zatrzymał się u stóp schodów. Przedsiónek był pusty, lecz za szklanymi drzwiami prowadzącymi na ulicę Nick dostrzegł ruch. Jakiś mężczyzna kręcił się na ulicy kilka kroków od drzwi. Przez prawe ramię miał przewieszony czarny płaszcz zakrywający to, co trzymał w dłoni.

To mógł być ktokolwiek: facet czekający na kobietę, z którą się umówił, narkoman albo kierowca mający kogoś zabrać do samochodu. Nick wolał się tego nie dowiadywać. Zwierzęcy instynkt wziął górę. Strach, oszołomienie i lęk zostały zepchnięte na dalszy plan. Na schodach dudniły kroki.

Skoczył do czekającej windy i wcisnął kciukiem guzik. Odgłos stóp był tuż-tuż.

Drzwi zsunęły się z pomrukiem. Przez zwężającą się szparę Nick zobaczył wbiegającego do holu zabójcę, który ściągnął kominiarkę, odsłaniając ogoloną na łyso głowę i szereg złotych ćwieków w uchu. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał prosto na Nicka. Drzwi się zamknęły i winda zaczęła się wznosić.

Jechał na najwyższe piętro. Tę decyzję także podjął pod wpływem odruchu; pierwotny instynkt kazał mu jak najbardziej oddalić się od zagrożenia. Ale co to w istocie oznaczało? Wszystkie korytarze były ślepe. Jedne drzwi prowadziły na dach. Nick zabrał tam Gillian latem, aby mogli popatrzeć razem na gwiazdy. Zobaczyli jednak tylko światła pozycyjne samolotów schodzących ku lotnisku La Guardia. Dokąd można stamtąd uciec?

Winda się zatrzymała. Nick znów usłyszał tupot stóp na schodach. Skręcił w krótki korytarz zakończony drzwiami z przymocowaną zieloną tabliczką z napisem WYJŚCIE PRZECIWPOŻAROWE. Trzasnął ręką w metalową klamrę i wypadł na dach.

Rozległo się piskliwe zawodzenie syreny, jak gdyby budynek buntował się przeciwko złamaniu przepisów. Alarm przeciwpożarowy. Kiedy wychodzili z Gillian na dach, rozbrajali alarm za pomocą karty kredytowej i taśmy klejącej. Teraz był wściekły, wypełniając dźwiękiem wieczorne powietrze. Dobrze, myślał Nick. Ktoś przybędzie na pomoc, straż pożarna albo policja.

Jednak do tego czasu...

Krople deszczu spadały na twarz Nicka. Dreszcz rozpaczy wstrząsnął jego ciałem. Znalazł się na niewielkim prostokącie astroturfu, który jacyś optymiści rozłożyli na dachu z nadzieją, że zastąpi trawnik. Dach zapełniały zbiorniki na wodę, ujścia instalacji grzewczej oraz czasze anten satelitarnych. Było tam wiele miejsc pozwalających się ukryć, ale nie na długo.

Odgłos syreny znów wtargnął do uszu Nicka. Teraz nawet nie słyszał, czy zabójca biegnie po schodach. Tkwił zeszywniały na mokrej sztucznej trawie, nie mogąc podjąć decyzji. Przez całe życie kierował się rozumem; wszystko toczyło się metodycznie, nudno i bezpiecznie. Teraz utracił grunt pod nogami i nie miał czasu na zastanowienie. Instynkt, który przywiódł go wysoko na dach, przestał mu podpowiadać, co robić. Nie było dokąd iść.

O dziwo, w tej chwili pustki nie myślał o Gillian, o rodzicach ani o siostrze. Pomyślał o Brezie leżącym bezwładnie na fotelu cztery piętra niżej. Bret, który tysiącom mężczyzn tłumaczył, jak to robić przez całą noc, a który wedle wiedzy Nicka nigdy nie sprowadził dziewczyny do mieszkania. Bret, który brał udział w niezliczonych aukcjach internetowych, nie mając zamiaru niczego kupować. Bret, który, siedząc z pistoletem przystawionym do skroni, zdołał ostrzec Nicka. „Dryndnij, kiedy dotrzesz?”

Nick przebiegł po mokrym dachu i rzucił się za urządzenie klimatyzacyjne. Zebrana w kałuży woda spłynęła mu za koszulę. Dobrze, że miał na sobie czarny płaszcz. Wychylił głowę za krawędź dmuchawy i spojrzał między słupkami mocującymi zbiornik na wodę.

Przez chwilę zdawało mu się, że jego prześladowca dał za wygraną. W różowym świetle udającym noc zobaczył drzwi trzaskające na wietrze. Alarm przeciwpożarowy wciąż był. Mokra koszula napierała na jego klatkę piersiową niczym serce w czasie zawału.

Raptem dojrzał zabójcę, który przykucnął w drzwiach i omiatał wzrokiem zagracony dach budynku. Lufa pistoletu ominęła kryjówkę Nicka i podążyła

dalej. Mężczyzna był niski i krępy i wyglądał, jakby brakowało mu tchu. Nick po raz pierwszy przestał o nim myśleć jak o nadludzkiej istocie.

Jak gdyby wiedząc, że tego się po nim oczekuje, poczuł przemożny samobójczy impuls, by rzucić się do ucieczki. Zwalczył go. Nie mogą trwać w ten sposób bez końca. Nawet w takim mieście jak Nowy Jork ktoś musiał usłyszeć strzały i wezwać policję.

Zabójca także był tego świadom. Oderwał się od drzwi, szybkimi ruchami kierując broń to w tę, to w drugą stronę. Jego sylwetka poruszała się bezgłośnie w dźwiękowym tle wycia syreny.

Alarm zamilkł równie nagle, jak się włączył. Uszy Nicka wypełniła rozpaczliwa cisza. Nawet zabójca okazał zaskoczenie. Zatrzymał się i rozejrzał niepewnie.

Nick sięgnął do kieszeni i namacał zimne mokre klucze. Zacisnął na nich dłoń i wyciągnął je. Do jego uszu obok dzwonienia wsączał się szum miasta, lecz on wolał nie narażać się na to, by zabójca go usłyszał. Ten zaś pomału się zbliżał.

Ręka Nicka zwisła wzdłuż przemoczonego palta. Musiał to zrobić. Rzuci klucze, odwróci uwagę zabójcy, skoczy nań i wyrwie broń z ręki. Niech tylko zrobi jeszcze jeden krok...

Nick drżał. Jeszcze nigdy w życiu na coś takiego się nie porwał.

Przeciwnik zbliżył się o pół kroku i odwrócił. Nick naprężył rękę, gotów cisnąć klucze, lecz zabójca akurat patrzył prosto w jego stronę. Jeśli teraz się poruszy, zginie z kluczami w dłoni. A nawet jeśli będzie trwał w bezruchu... Wstrzymał oddech, czując, jak powietrze naciska na jego pierś i gardło. Nie myślał już o niczym, tylko o tym, by wrzasnąć na całe gardło.

Raptem zabójca odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Nick czekał, wciąż nie odważając się oddychać. Ścisnął klucze w dłoni i zamknął oczy. Czy to jest odpowiedni moment? Nigdy nie przypuszczał, że może się tak bardzo bać.

Otworzył oczy. Zabójca klęczał obok klimatyzatora, zerkając przez ramię. Był zwrócony plecami do Nicka. Jeśli mam go dopaść, to właśnie teraz, powiedział sobie Nick.

Wziął głęboki oddech i sprężył się do skoku. Jego mięśnie zeszywniały z zimna. A jeśli okaże się zbyt powolny? Jeśli przeciwnik usłyszy jego kroki na sztucznej trawie?

Zabójca się wyprostował. Rozejrzał się po raz ostatni po dachu, znów kierując wzrok ponad głowę Nicka, a następnie zniknął w otworze drzwi. Jego szybkie kroki zadudniły na schodach.

Nick czekał aż do chwili, gdy uzyskał pewność, że prześladowca odszedł na dobre, i wtedy się wyprostował. Całe jego ciało zaczęło niepohamowanie drżeć. Ledwo stał na nogach. Bogu dzięki, że nie popełnił głupstwa i nie rzucił się na zabójcę. Zdjął płaszcz i niepewnym krokiem ruszył w stronę drzwi, zerkając nerwowo w tamtą stronę. Prześladowca mógł wrócić. Omal nie osunął się na kolana, gdy przykucnął, by zobaczyć, co zabójca tam robił.

W miejscu, w którym kłapa nie została domknięta, Nick dostrzegł ciemną szparę. Podniósł kłapę. Między tarczami i rurkami tkwił czarny pistolet.

Nick wsunął rękę do środka i ujął broń. Była cięższa, niż się spodziewał. Prawie wypadła mu ze zgrabiących palców. Czy ma jakieś zabezpieczenie? Nie trzymał broni w ręku od czasów obozu skautów. Pistolet bardzo się różnił od karabinków kalibru .22, z których strzelał do papierowych tarcz. Samo trzymanie go w dłoni dawało poczucie zatrważającej siły. Ten pistolet zadał śmierć Bretowi.

Nick położył go na sztucznej trawie i odszedł. Niebieskie i czerwone światła odbijały się od ścian kanionów ulic biegnących między kamienicami. Czarne okna wielokrotnie błysnęły. Dopiero wtedy usłyszał syreny.

X

Kolonia, 1420 – 1421

Jesienią owego roku dokonałem szeregu odkryć na temat Konrada Schmidta.

Był sprawiedliwym mistrzem, lecz trudno było zrobić na nim wrażenie. Ja zaś byłem więcej niż zdolnym uczniem. Gdy Konrad pokazał nam przyrząd do wyrobu drutu ze złota, już pierwszy wykonany przeze mnie odcinek okazał się giętki i prosty. Pieter spędził całe popołudnie oraz zużył немало ojcowskiego złota, uzyskując kolejne kawałki, które rozciągały się, krzywiły i pękały niczym mokre ciasto. Kiedy kuliśmy złoto między arkuszami pergaminu, moje listki wychodziły cieniutkie i wiotkie niczym babie lato, listki Pietera były zaś grudkowate jak owsianka. Konrad pokazał nam, jak za pomocą płonącego siarczku srebrowego uwypuklać linie grawerunku. Moje linie wychodziły ostre jak krawędzie szkła, a te, które wyszły spod ręki Pietera, wyglądały tak, jakby spędziły za dużo czasu na ruszcie.

Jednak Konrad Schmidt nie chciał dostrzegać moich talentów. Ilekroć pokazałem mu swoją robotę, słyszałem tylko burknięcie i otrzymywałem następne zadanie, a mistrz podejmował mozolne dzieło naprawiania błędów syna. Gdy po wielu godzinach obserwacji zasugerowałem sposób udoskonalenia konstrukcji ciągarki do złotego drutu, Konrad wysłuchał mnie w milczeniu, a następnie odprawił machnięciem ręki. Początkowo przypisywałem to jego ojcowskiej miłości, lecz im dłużej go obserwowałem, tym mniej prawdopodobna zdawała mi się owa przyczyna. Konrad rzadko krytykował wyniki pracy Pietera,

ale bił go za drobne uchybienia, takie jak pozostawienie w słońcu cebra z mlekiem, nieuchylenie czapki przed klientem, odłożenie młotka na półkę w niewłaściwym miejscu. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że jedno zastępuje drugie: Konrad dostrzega tak wiele niedociągnięć Pietera, gdyż nie chce przed sobą przyznać, że syn nie odziedziczy po nim warsztatu. Uznałem, że właśnie z tego powodu musiał wziąć go na ucznia, co spotkało się z nieprzychylną oceną cechu. I być może z tego powodu krzywo patrzy na moje zdolności.

Gerhard także okazywał mi niechęć, to jednak w oczywisty sposób wynikało z rywalizacji. Jego grube dłonie zaskakująco zręcznie obrabiały metal – o wiele lepiej, niż się spodziewałem – lecz czeladnik nie miał mojej smykałki do złota. Z początku usiłował ograniczać mój rozwój, przydzielając mi poszczególne zajęcia, a Pieterowi przypochlebiać się tymi bardziej odpowiedzialnymi, lecz rychło praktyka ta obróciła się przeciwko niemu, gdy musiał brać na siebie błędy Pietera. Wtedy uznał, że lepiej będzie przypisywać sobie moje zasługi, niż wytykać pomyłki syna mistrza. Zadowalał się wymierzaniem mi razów, ilekroć dałem mu najmniejszy pretekst.



Tego roku odkryłem również inne rzeczy o Konradzie Schmidcie i jego domu.

Okazało się, że jego żona jest trzecią *Frau* Schmidt. Chwaliła mnie często i do przesady za pilność, uczciwość i uzdolnienia. Czulem się doceniony aż do czasu, gdy uświadomiłem sobie, że robi to wyłącznie po to, by upokorzyć Pietera, który nie był jej synem.

Dowiedziałem się, że Gerharda nie stać na złoto potrzebne do wykonania swojego dzieła mistrzowskiego i dlatego nie może uzyskać pełnego członkostwa cechu jako mistrz. On zaś, zamiast oszczędzać, przepuszczał pieniądze w nadrzecznych gospodach, topiąc swoją niedolę w trunkach.

Odkryłem, że Konrad nosi klucz do swojej gabloty ze złotymi przedmiotami na sznurku zawieszonym na szyi i zdejmuje go tylko raz w miesiącu, gdy idzie do łaźni. Dowiedziawszy się o tym, poszedłem za nim i kiedy brał kąpiel, zrobiłem odcisk klucza w dwóch bloczkach wosku zmiękczonego nad parą.

Wieczorem odlałem w kuźni kopię klucza, a później, gdy Pieter kładł się spać, zakradałem się do gabloty, by dotykać schowanych tam skarbów i je pieścić.

Dom Konrada nie należał do szczęśliwych, lecz nie inaczej działo się w moim domu w Moguncji, więc mi to nie przeszkadzało. Praca sprawiała mi radość. Przekonawszy się, że moje umiejętności podsycają jedynie zawiść i niechęć, trzymałem je dla siebie i cieszyłem się nimi w samotności.

Jedyną osobą podziwiającą mój talent był nieszczęsny, pozbawiony daru Pieter. Był o cztery lata młodszy i darzył mnie bezrefleksyjną braterską czcią. Stanowiło to dla mnie nowość, jako że zawsze byłem najmłodszy i ostatni z rodzeństwa. Podziw Pietera czasem mi ciążył, lecz częściej wbijał mnie w zachłanną dumę. Roztoczyłem nad nim opiekę; dawałem mu rzeczy przez siebie zrobione, by mógł przedstawiać je jako swoje, zaniedbywałem swoje prace, by po wielokroć uczyć go, jak uporać się z prostym zadaniem. Bywało, że zbierałem za to razy, lecz się nie przejmowałem. Ilekroć jego kolano otarło się o moje przy stole roboczym, ilekroć prowadziłem ręką jego dłoń z rylcem, demon w moim wnętrzu piał z zachwytu. Naturalnie cierpiałem ból i wstyd, lecz był to ból tętniący życiem i najśłodszy wstyd, który rozpałał ogień w moim ciele. W czasie niedzielnej mszy w katedrze wpatrywałem się w krzyż Naszego Zbawiciela i błagałem, by mnie uwolnił, lecz w głębi serca tego nie pragnąłem. W nocy, gdy leżeliśmy w jednym łóżku, wbijałem paznokcie w dłonie, aż krwawiły jak ręce Chrystusa. Tak walczyłem z dzikimi pokusami, które mnie osaczały. Czasem zimną na wpół śpiący Pieter przytulał się do mnie, szukając ciepła, a ja musiałem się odsuwać, by nie zdradziła mnie moja nabrzmiąta żądza. Zobaczywszy, że mnie nie posiadzie, demon opuści moje ciało i znajdzie sobie węższe naczynie, tłumaczyłem sobie. Do tego czasu będę się grzał w płomieniu mego pożądania, pławił w cudownych mękach i drżał w subtelny uśpieniu.



Wiosną, rok po werdykcie sędziego w Moguncji, dokonałem jeszcze jednego odkrycia. Był ciepły kwietniowy dzień, a do zrobienia miałem niewiele. Konrad postanowił udzielić nam nauki. Gerhard pilnował kasy i wyglądał

klientów, a Konrad zaprowadził mnie i Pietera do stołu roboczego. Umieścił na nim butelkę, skrawek papieru, spodeczek oraz szpikulec z sygnetami.

- Skąd się biorą nasze talenty i umiejętności? – spytał mistrz.
- Od Pana Boga, ojciec – odparł Pieter.

Zauważyłem, że Gerhard uśmiecha się z przekąsem. Być może pomyślał tak jak ja, że w rzemiośle Pietera trudno jest dopatrzeć się boskiego majestatu.

– Wszelka sztuka od Boga pochodzi, a my uczymy się jej najlepiej, jak nas na to stać. – Konrad skrzywił się, spojrzawszy na syna. – Największą daniną, jaką możemy złożyć doskonałości, jest jej doskonałe naśladowanie.

Zdjął pierścień ze szpikulca i wsunął go na palec wskazujący tuż za knykciem. Potem zrobił coś, czego jeszcze nigdy nie widziałem: przelał z butelki nieco atramentu na spodek i dotknął sygnetem płynu. Pierścień zrobił się czarny i lepki. Przesunął palcem po czole pierścienia, a następnie przycisnął go mocno do skrawka papieru. Gdy uniósł dłoń, na papierze widniał idealnie odbity obraz biegnącego jelenia. Powtórzył wszystkie czynności i obok pierwszego wizerunku pojawił się drugi identyczny. Konrad przedał papierek na dwie części. Każdemu z nas dał po jednej, a oprócz tego po jednym sygnecie bez grawerunku.

- Oto wzór. Dam pensa temu, który wykona najdoskonalszą kopię.

Pens mnie nie interesował. Byłem pewien, że wygram. W słowach Konrada zabrzmiała jakaś fałszywa nuta, ale nie wiedziałem, na czym ów fałsz polega. Usiłowałem to odgadnąć, obrabiając pierścień. Najpierw wziąłem nasączony skrawek pergaminu i ołowiowym rylcem nakreśliłem rysunek na papierze. Pokryłem czoło pierścienia cieniutką warstewką wosku i potarłem ołowiem drugą stronę pergaminu. Następnie umieściłem sygnet w imadle, przyłożyłem doń pergamin i odtworzyłem wizerunek, mocno naciskając rylcem. Gdy uniosłem pergamin, na nawoskowanym czole pierścienia ukazał się szary jeleni.

Wziąłem oryginał i porównałem z moim rysunkiem. Momentalnie zauważyłem, co się nie zgadza.

- *Herr* Schmidt, który wizerunek mamy skopiować?

Mistrz odwrócił się, przerywając rozmowę z Gerhardem, i spojrzał na mnie jak na idiotę.

– Ten na pierścieniu.

– Ale... – Zamilkłem pod jego wzrokiem, lecz zebrałem się w sobie. – Jeleń na pierścieniu biegnie w prawo, a ten na papierze w lewo. Naprawdę doskonała kopia... – Zawiesiłem głos.

– Rysunek na pierścieniu – powtórzył mistrz i odwrócił się. Palilem się, by sprostać wyzwaniu. Zdrapałem z pierścienia wosk z rysunkiem jelenia zwróconego w niewłaściwą stronę i zacząłem od nowa. Wziąłem większą kulkę wosku i rozrabiałem ją na stole, aż stała się płaska i gładka. Pieter przyglądał się temu z szeroko otwartymi oczyma, ale nic nie mówił. Jego kopia bardziej przypominała psa niż jelenia.

Odrysowałem wizerunek na wosku. Wyżłobiłem go rylcem, a później zanurzyłem wosk w naczyniu z inkaustem i przycisnąłem do papieru tak, jak Konrad uczynił z pierścieniem. Uzyskałem drugą kopię jelenia, który stał teraz tyłem do pierwszego i patrzył w lewo. Uradowany sukcesem nakreśliłem nowy rysunek i przeniósłem go rylcem na czysty sygnet.

Jednak im dokładniej mu się przyglądałem, tym bardziej byłem niezadowolony. Jeleń stał w odpowiedniej pozycji, lecz pod każdym innym względem ustępował oryginałowi. Jego poroże wyglądało jak płatanina linii. Jedna noga była cieniutka jak igła, druga zaś przypominała szynkę. Ogon jawił się jako wypustka zadu, a nos całkowicie zniknął.

Przyjrzałem się rysunkom na papierze, pergaminie, wosku i złocie. Każda kolejna kopia uwidaczniała zmiany. Na każdej jeleń coraz bardziej oddalał się od pożądanej doskonałości, aż stał się trudnym do rozpoznania monstrum godnym jedynie księgi bestii.

Dzwon na wieży katedry wybił pełną godzinę. Przy ladzie zgromadzili się klienci; wiedziałem, że niebawem Konrad nas zawoła i przydzielili inne zadania. Nie było czasu na podjęcie kolejnej próby. Wyryłem zwierzę rylcem w obecnej postaci, starając się jak najdokładniej naprawić zniekształcenia. Teraz rysunek bardziej przypominał jelenia, lecz różnice w stosunku do oryginału się powiększyły.

Skończywszy, zaniósłem pierścień mistrzowi. Ten zerknął przelotnie na moje dzieło, mruknął coś pod nosem i rzucił pensa Pieterowi. Jego twarz rozjaśniła się, gdyż rzadko odnosił takie sukcesy. Moja poczerwieniała ze wstydu. Walczyłem ze łzami. Konrad musiał to zobaczyć.

- Prawdziwa doskonałość istnieje tylko w Bogu – rzekł łagodnie. Ja jednak wiedziałem, że stać mnie na więcej.

XI

Nowy Jork

Bret za życia nigdy nie cieszył się takim zainteresowaniem jak po śmierci. Nick stał w korytarzu z ramionami okrytymi kocem i obserwował armię policjantów oraz techników, którzy wchodzili do mieszkania i z niego wychodzili; wyglądali jak armia mrówek rozbierająca zwłoki Breta. Dlaczego tylu ludzi rozwiązuje zagadkę jego śmierci, skoro Nick widział ją na własne oczy? Nawet nie wpuścili go do środka, tylko kazali stać na zewnątrz z kubkiem kawy i kocem. W drzwiach rozciągnięto czarno-żółtą taśmę.

Nick był wykończony; marzył tylko o tym, by się położyć. Już dwa razy opowiedział przebieg wydarzeń dwóm policjantom. Nie okazali mu tyle współczucia, ile się spodziewał. Zapowiedzieli, że detektyw wkrótce będzie chciał z nim porozmawiać, lecz od tej chwili minęło pół godziny.

W drzwiach pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie mundur, a drugi był w szarym garniturze wyglądającym na droższy niż najlepszy garnitur Nicka. Mundurowy policjant wskazał Nicka i powiedział coś do towarzysza. Ten skinął głową, schylił się i przeszedł pod taśmą.

– Pan Ash? Jestem detektyw Royce.

Detektyw Royce był szczupły i zbyt opalony jak na tę porę roku; wyglądał jak maratończyk. Miał krótko obcięte, przypuszczalnie siwiejące włosy i szpiczaste baki, które wyglądały na jego policzkach jak włócznie.

– Słyszałem, że ma pan ciekawą historię do opowiedzenia.

Nick oparł się o ścianę i dokładniej otulił kocem. Zrobiło mu się słabo.

– Jest szansa, żebyś dostał drugi kubek kawy?

– To nie potrwa długo na tym etapie śledztwa. Gdyby zechciał mi pan powiedzieć własnymi słowami...

Czyimi miałby mówić?

– Bret...

– To znaczy zmarły pan Deangelo?

– Zadzwoił do mnie na komórkę.

– Mniej więcej o której godzinie?

– Około piątej, tak mi się zdaje. Można sprawdzić w telefonie.

– I tak będziemy sprawdzać zapisy zarejestrowane przez operatora. Nie było pana wtedy w mieszkaniu?

Czy on w ogóle słucha?

– Powiedziałem panu, że zadzwonił na komórkę. Nie było mnie w domu.

– Pamięta pan, gdzie pan wtedy przebywał?

Nick cofnął się pamięcią o kilka godzin. Zdawało mu się, że upłynęły wieki.

– W kawiarni na rogu Piętnastej i Dziesiątej. Miałem wyłączony telefon.

Kiedy...

Royce odwrócił głowę i spojrzał w głąb korytarza, którym zbliżał się mężczyzna w białym kostiumie z kapturem oraz w masce. Wyglądał, jakby wyszedł z wnętrza reaktora jądrowego. W obleczonej w rękawicę dłoni niósł pistolet zabójcy umieszczony w foliowej torebce.

– Znaleźliśmy to na dachu. Poszukamy na nim odcisków palców i przeprowadzimy badanie balistyczne.

Nick drgnął.

– Chwileczkę. Będą na nim odciski moich palców.

Detektyw spojrzał nań z większym zainteresowaniem.

– Wziąłem go do ręki w miejscu, gdzie został ukryty, za klimatyzatorem.

Już panu o tym mówiłem.

Technik skinął głową na detektywa.

– Umieście tę informację w zeznaniu.

Mężczyzna zniknął w mieszkaniu Nicka. Royce spojrzał na Nicka z bezradną miną.

– Proszę wybaczyć. Pewnie uważa pan, że to nie jest najlepsza chwila. Niech mi pan wierzy, ona nigdy nie jest dobra. Słyszał pan o tym, że dziewięćdziesiąt procent spraw o zabójstwo rozwiązuje się w ciągu pierwszej doby albo nigdy?

Nick ze znużeniem skinął głową.

– Owszem.

– To bzdura. Ale im więcej teraz się dowiemy, tym szybciej nam pójdzie.

– Z detektywa Royce'a emanowała kofeinowa energia i niecierpliwość. – Jutro na posterunku wysłucham całości pańskiego zeznania. Ale teraz muszę wiedzieć, czy wedle pana wiedzy pan Deangelo był zamieszany w działania o charakterze nielegalnym bądź kryminalnym?

Nick się zawahał. Co może powiedzieć o Brezie, by nie było to uwłaczające dla zmarłego współlokatora? Niechlujny, szemrany, może nawet ordynarny. Jednak przestępcą nie był.

Royce dostrzegł wahanie Nicka i wyciągnął własne wnioski.

– Musimy to wiedzieć. – Stał blisko rozmówcy i patrzył mu w oczy. Jego głos brzmiał zbyt donośnie w ruchliwym korytarzu. – Tego nie zrobiła rozgniewana dziewczyna ani złodziej, który spaprał robotę. Morderca miał motyw. Czy Bret siedział w narkotykach?

Nick poruszył się niespokojnie. Policja błyskawicznie przewracała mieszkanie do góry nogami. I tak wkrótce się dowiedzą.

– Palił trawkę. Tak jak wielu ludzi.

Chciał, żeby jego słowa zabrzmiały swobodnie, jakby mówił o drobiazgu, jednak wypadły tak, jak gdyby się bronił.

– A pan?

– Nie. – Nick mocniej owinął się kocem. – Raczej nie. – Czy zabrzmiało to przekonująco? – Myślę, że nie chodziło o Breta. Oni chcieli dopaść mnie.

– Jacy „oni”? – Royce wyciągnął cienki notes i przerzucił kilka kartek. – Sierżantowi powiedział pan, że sprawca był tylko jeden.

– Był jeden. – Nicka opadło zmęczenie. Bolała go głowa, a jego oczy chciały się zamknąć. – Tak, oni... – Wykonał niewyraźny ruch ręką. – No wie pan...

– Taak.

– Proszę mnie posłuchać. – Nick złapał detektywa za rękaw marynarki. Koc zsunął mu się z ramion i opadł na posadzkę. – Wczoraj wieczorem dostałem rozpaczliwy e-mail od byłej dziewczyny. Pisała tak, jakby ktoś ją ścigał.

Włączyłem kamerę i wtedy usłyszałem krzyk. Tamten mężczyzna wyłączył komputer. – Po spojrzeniu detektywa Nick zorientował się, jak obłąkańczo zabrzmiała jego relacja.

Royce odsunął rękę i wygładził zmarszczkę na materiale.

– Zajmiemy się tym. Czy pana dziewczyna ma jakieś nazwisko?

– Była dziewczyna. Gillian Lockhart. Pracuje obecnie w Paryżu w firmie Stevens Mathison. To dom aukcyjny.

Royce wyjął notes i nic nie zapisał.

– Jutro odbierzemy od pana pełne zeznanie. Teraz powinien pan odpocząć.

Nick cofnął się na widok dwóch mężczyzn w kombinezonach niosących dużą srebrną skrzynię w foliowym pokrowcu. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, co znajduje się w środku.

– To jest mój komputer.

– Dowód – odparł jeden z techników z kamiennym wyrazem twarzy. Podsunął Nickowi notatnik. – Proszę tu podpisać.

– Bret nie dotykał tego sprzętu. – Nick omal nie dodał: „Zabiłbym go, gdyby to zrobił”. – Korzystał ze swojego komputera, kiedy... kiedy to się stało.

– Tamten także mamy – oznajmił Royce. – Ale jeśli zabójcy chodziło o pana, jak sam pan powiedział, komputer może mieć z tym związek. Był w mieszkaniu w chwili, gdy Bret zginął. Może kamera była włączona... – Jeden z funkcjonariuszy dał mu znak dłonią. – Zobaczmy, co udało się znaleźć.

Detektyw skinął mu głową, a potem odwrócił się do Nicka i zmierzył go bezlitosnym spojrzeniem.

– Dopadniemy gościa, który to zrobił. Ma pan moje słowo.

□ □ □

Nick nie zdawał sobie sprawy, ile biurokracji towarzyszy odebraniu człowiekowi życia. Była północ, kiedy go zwolniono. Rozmawiał z policyjnym portrecistą, który zanotował rysopis zabójcy. Technik laboratoryjny szukał na jego dłoniach śladów prochu. Później Nick musiał wziąć do ust kłębek bawełny do pobrania próbki DNA.

– To wyłącznie po to, żebyśmy nie tracili czasu – zapewnił go laborant.

Pożegnała go poważna pani z sekcji opieki nad ofiarami, która wręczyła mu wizytówkę i powiedziała, że może w każdej chwili zadzwonić. Kiedy procedury dobiegły końca, Nick przekroczył granice zmęczenia. Ledwo powłócząc nogami, zdołał pokonać kilka przecznic i rzucić się do łóżka. Mógł zatrzymać się u znajomych, ale na myśl, że musiałby im tłumaczyć przebieg wydarzeń, zrobiło mu się niedobrze. Zameldował się w hotelu przy Washington Square i opadł na posłanie.

Gdy tylko głowa dotknęła poduszki, z jego oczu popłynęły łzy.

XII

Kolonia, 1421 – 1422

Konrad Schmidt był wielkodusznym nauczycielem, wszelako o jednym aspekcie swojego fachu nigdy nie mówił. Nie powiedział mi, ile zarabia. Ja zaś nie pytałem, bo nie musiałem. Majątek mojego ojca pozostawał zawsze w sferze domysłów, gdyż był rozproszony w magazynach i barkach na całej długości Renu. Tymczasem bogactwo złotnika mogli ocenić wszyscy po zawartości zabezpieczonej żelaznymi kratami gabloty widocznej w witrynie warsztatu. Z miesiąca na miesiąc w czasie swoich nocnych eskapad znajdowałem mniej skarbów. Ekspozyty znikwały i nie były zastępowane nowymi, a te, które pozostały, przesuwały się do przodu, aby klienci nie widzieli pustych półek za nimi. Pewnego razu zastałem Konrada klęczącego na czworakach przed paleniskiem pieca. Czarnymi od sadzy rękami przesiewał zimny popiół. Dzikie spojrzenie w jego oczach zaszokowało mnie.

– Co się dzieje ze złotem, które przy odlewaniu przelewa się przez formę? – zapytał. – Tu powinien być prawdziwy skarbiec, a ja nie znajduję ani ziarenka. Wiesz coś o tym, Johannie?

Milczałem. Wymiatanie popiołu z paleniska należało do zadań Pietera, ale ja go wyręczałem. Powiedziałem, że robię to po to, by miał więcej czasu na swoje zajęcia w warsztacie. Dodałem, że jeśli ojciec się dowie, przydzielili mu coś innego do roboty. Zbierałem okruchy rozlanego złota i trzymałem w mieszk pod deską na strychu. Nie był to skarbiec, lecz gdy przyjdzie czas

wykonania mojego dzieła mistrzowskiego, nie zabraknie mi materiału.



Nastrój Konrada obniżał się wraz ze spadkiem wielkości jego fortuny. Tłukł mnie i Pietera za byle uchybienie, a na Gerharda złorzeczył za wymaginowane przywary. Ten zaś dawał upust swojej frustracji, bijąc mnie i Pietera. Tej zimy niewiele sobie posiedzieliśmy. Wieczorem leżeliśmy nago na łóżku i porównywaliśmy siniaki, a ja musiałem ukrywać swoje tęsknoty.

W domu zaczęły się dziać osobliwe rzeczy. Na półkach warsztatu pojawiły się flaszki i słoje oznaczone zagadkowymi symbolami, które nic mi nie mówiły. Konrad zabraniał nam nawet ich otwierać. Raz w miesiącu w okolicy pełni Księżyca kazał nam kłaść się wcześniej spać i wówczas z warsztatu do późna w nocy dochodziły odgłosy poważnych dyskusji. Nigdy nie zobaczyliśmy, kto odwiedzał mistrza. Kiedyś w nocy, wyszedłszy na schody, by sobie ulżyć, spojrziałem w dół i zobaczyłem rozgrzany piec w kuźni. Konrad siedział przed nim z obnażoną pierśią. Trzymał w szczypcach długą jajowatą formę, którą wsuwał do ognia, mamrocząc niezrozumiałe słowa. Nie zauważył mnie.

Pewnej majowej nocy odkryłem sekret Konrada. Poszedł do karczmy na spotkanie ze znajomym. Zaczekałem, aż Pieter zacznie cichutko pochrapywać na poduszce, a następnie wysliznąłem się z poddasza i zszedłszy po schodach, zakradłem się do warsztatu. Wziąłem mieszki i klucz. Ostatnimi czasy Konrad chciał być obecny przy tym, jak Pieter wymiata z paleniska, lecz ten musiał czekać do rana na wystygnięcie drewna. Odkryłem, że w nocy mogę wybrać dla siebie największe bryłki i zostawić tyle, by Konrad uważał, że nie jest oszukiwany. Czasem parzyłem sobie dłonie, zwłaszcza jeśli odlewaliśmy późnym popołudniem, jednak pęcherze i odparzenia stanowiły cenę, którą chętnie płaciłem.

Ułożywszy się na brzuchu przed paleniskiem, ustawiłem rękę nad popiołem, by oswoiła się z ciepłem. Zbierałem się w sobie, by wsunąć ją do popiołu, gdy nagle do moich uszu dobiegły jakieś odgłosy z frontowej części warsztatu. Rozległy się kroki kilku osób oraz suchy kaszel, który słyszałem setki razy.

Zerwałem się na równe nogi, parząc wierzch dłoni o kratą, i popędziłem do tylnych drzwi, które zostawiłem otwarte. Jednakże powstrzymała mnie ciekawość. W kącie pomieszczenia stały dwie baryłki na wodę; wskoczyłem za nie akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi.

Ktoś zapalił lampę. Tania oliwa zaskwierczała, zalewając warsztat diabolicznym blaskiem, który szczęśliwie nie dotarł do mojego kącika. Zerkałem przez szparę między beczkami.

Wokół stołu ustawiło się czterech ludzi: mój mistrz, mężczyzna z zakrzywionym nosem prowadzący aptekę przy sąsiedniej ulicy oraz diakon z katedry, którego imienia nie znałem. Czwartego mężczyznę widziałem po raz pierwszy. Był karłem, a w każdym razie za takiego z racji wzrostu mógł uchodzić. Miał najeżoną czarną brodę, a na głowie czapkę przekrzywioną na bakier. Karzeł przyciągnął sobie taboret sprzed paleniska i wskoczył na niego, by móc patrzeć pozostałym w oczy. Odpiął niewielką sakwę od paska i złożył ją na stole.

– Aptekarz powiedział mi, że zmagacie się z wieloma trudnościami. Może zdołam wam dostarczyć tego, czego potrzebujecie.

Karłowaty mężczyzna mówił chrapliwym, skrzeczącym głosem przypominającym krzyk sowy. Rozpiął sakwę. Jego ręce zasłaniały mi widok, lecz między palcami dostrzegłem kształt niewielkiej szkatułki.

– Zakupiłem to w Paryżu, w cieniu kościoła Niewiniątek. – Karzeł zaśmiał się brzydko. – Ten, kto mi go sprzedał, nie znał wartości tego przedmiotu. Ale ja ją znam i wy ją poznacie, jeśli zdołacie mnie przekonać, żebym się z nim rozstał.

– Możemy zobaczyć?

Diakon wyciągnął nad stołem dłoń, w której trzymał lampę. Rzuciła monstrualny, rozedrgany cień na przeciwległą ścianę. Myślę, że tego drżenia nie mogło spowodować światło.

– Każdy może zobaczyć – odparł lekceważąco karzeł, podając diakonowi szkatułkę. Dopiero gdy ten ją otworzył, zobaczyłem, że nie jest to szkatułka, lecz księga. Brązowe paski na obwolucie połyskiwały w blasku lampy.

Diakon przewrócił kilka kartek i bez słowa przekazał księżkę aptekarzowi. Ten przyjrzał się jej dokładnie.

- Czy tylko z tej książki korzystał Flamel? – spytał tajemniczo.
- Wszystkie sekrety z Księgi Abrahama – odparł równie zagadkowo Karzeł.

Aptekarz podał książkę Schmidtowi.

- Co o tym sądzisz?

Konrad długo się zastanawiał. Nie widziałem jego twarzy, tylko plecy zgarbione nad księgą oraz żyły na zaciśniętych na stole dłoniach. Bolały mnie kolana; udo zaczęło drżeć, skurczone w niewygodnej pozycji.

- Jeśli prawdą jest wszystko, co powiadasz, dlaczego proponujesz nam tę księgę? – spytał po długim namyśle złotnik.

Karzeł parsknął szorstkim, ryczącym śmiechem.

- Czemu ludzie sprzedają surowe złoto, skoro mogliby za wyższą cenę sprzedawać puchary? Dlatego że nie mam umiejętności, talentu, narzędzi ani w rzeczy samej materiałów. Mam jedynie tę księgę. Jest w niej wszystko, czego potrzeba do udoskonalenia waszej sztuki.

Posłał Konradowi łotrowski uśmiezek i sięgnął po książkę. Złotnik przykrył ją swoją ciężką dłonią.

- Weźmiemy ją.

Zdjął klucz z szyi i otworzył gablotę. Karzeł zeskoczył ze stołka i podążył za nim, by pożerać wzrokiem kielichy, puchary, patery i misy ustawione na półkach. Obliznął wargi. Wyjął jeden eksponat i obejrzał go, a potem to samo uczynił z drugim. Czasem wskazywał coś na górnej półce i Konrad sięgał po wybrany przedmiot. Dotykał precjozów z charakterystyczną, dobrze mi znaną łapczywością. Rozpoznałem w nim bratnią duszę.

- Za tę rzecz sprzedam księgę.

Karzeł uniósł bogato emaliowany puchar. Jego podstawę zdobiły sceny z życia świętego Jana, czarę zaś podtrzymywały ramiona z misternie splecionych drucików. Zamówił go opat pewnego klasztoru, który później zmarł. Jego następcą, mnich o bardziej ascetycznych zapatrywaniach, odmówił dotrzymania umowy. Konrad był wściekły, lecz zarazem przyjął decyzję z ulgą, gdyż chciał sobie zatrzymać unikalne dzieło. Ja także wybrałbym ten puchar.

Złotnik przelknął ślinę, a następnie skinął głową. Płomień lampy zadrżał, liżąc jej brzegi niczym język węża. Karzeł wsunął puchar do sakwy.

– Ubiłeś świetny interes.

□ □ □

Pozostali uczestnicy spotkania nie zabawili długo. Diakon i aptekarz przeprosili i odeszli, a Konrad jeszcze przez jakiś czas siedział przy stole i wpatrywał się w księgę. Następnie zamknął ją niechętnie i schował w gablocie. Czeakałem. Gdy wyszedł, wsłuchiwałem się w odgłos kroków wspinających się po zewnętrznych schodach i przemierzających strop. Deska w progu zapiszczała, a później łoże zaskrzypiało pod ciężarem ciała. Policzyłem do stu. Wysunąłem się zza baryłek, zapaliłem lampę i otworzyłem gablotę.

Księga była małych rozmiarów i zniszczona. Krawędzie okładki postrzępiły się, a stronicze skurczyły. Oprawę spinała mosiężna klamerka z haczykiem, lecz poza tym nic nie świadczyło o tym, by nabytek Konrada był wart tak wielkiej ceny. Rozpiąłem haczyk.

Tekst został napisany po łacinie w wielkim pośpiechu. Zawierał wiele poprawek oraz uwag dopisanych brązowym atramentem na marginesach. Siedem stron poświęcono ilustracjom. Przedstawiały węża owiniętego wokół krzyża, ogród z pnącym się rozwidlonym drzewkiem, króla z olbrzymim mieczem obserwującego, jak jego żołnierze ćwiartują dzieci i wrzucają je do cebrów. Zadrzałem i ogarnęła mnie wielka ciekawość historii, którą opowiadała tajemnicza księga.

Gdy przewracałem stronicę, rzucały mi się w oczy poszczególne zdania. „Otworzyłem Księgi Filozofów i poznałem z nich ich ukryte sekrety”. I dalej: „Za pierwszym razem, dokonując projekcji Rtęci, zdołałem zamienić pół funta, lub mniej więcej tyle, w czyste Srebro, lepsze niż to, które pochodzi prosto z kopalni”. Na koniec zobaczyłem takie oto zdanie: „W roku restauracji ludzkości 1382, dwudziestego piątego dnia kwietnia, w obecności żony, dokonałem projekcji Czerwonego Kamienia na tożsamą ilość Rtęci, którą transmutowałem w niemal pół funta precudnego, miękkiego, doskonałego Złota”.

□ □ □

Cały następny dzień spędziłem we śnie; w mojej głowie wirowały rozmaite możliwości. Byłem dziewczcą, która nie może się doczekać nocy z ukochanym.

Gerhard przyłożył mi, gdy rozlałem złoto z formy, a później jeszcze raz, gdy przez nieuwagę zrobiłem rylcem brzydką rysę na grawerowanej broszy. Konrad był niewiele lepszy. Przez noc jego twarz postarzała się o dziesięć lat; błękał się po warsztacie niczym duch, co rusz dotykając klucza na szyi i trzy razy na godzinę zaglądając do gabloty.

Tego wieczoru mistrz późno położył się spać. Dzwon katedry wybijał godziny, ja zaś odliczałem każdą z nich. Wreszcie usłyszałem skrzywienie schodów, stłumiony pisk desek podłogi w sypialni i senne mruknięcie żony Konrada. Wciąż czekałem, aż najdonośniejszym odgłosem w domu stanie się cichy oddech leżącego obok mnie Pietera.

Wtedy mogłem zakraść się na dół. Wówczas znałem już każdy centymetr drogi w ciemności. Piąty i ósmy stopień za głośno skrzypiały; skobel należało podnieść tak, by nie zazgrzytał, a zamek gabloty trzeba było nacisnąć z odpowiednią siłą, by nie robił hałasu. Wsunąłem rękę do środka. Moje palce przemknęły po znajomym kształcie patery i wyczuły skórzaną oprawę książki.

Gdzieś z tyłu dobiegł jakiś szmer, a ja zamarłem. Wsłuchałem się w noc, nie dając wiary ciszy. Pewnie tylko węgielki przesunęły się na ruszcie albo Konrad obrócił się w łóżku, lecz ja musiałem się skupić. Potrzebowałem również światła i nie chciałem, by jakiś gorliwy strażnik zajrzał w nocy przez okno.

Wspiąłem się na swój stryszek. Dopiero na szczycie schodów uświadomiłem sobie, że zostawiłem otwartą gablotę. Zakląłem, lecz pomyślałem, że to bez znaczenia. Tak czy inaczej, będę musiał przed świtem odłożyć książkę. Zapaliłem lampę przy łóżku i obniżyłem knot. Pieter odwrócił się i mruknął coś przez sen, po czym raptownie wysunął rękę, jakby spadał. Opadła na moje udo, a ja jej nie zdjąłem. Dzięki niej chwila stała się jeszcze doskonalsza.

Nie wiem, jak długo leżałem, dziwując się tajemniczej księdze. Żadnym sposobem nie mogłem jej bowiem pojąć. Przedstawiała cudowną historię o tym, jak jej autor, mężczyzna narodowości francuskiej, przez dziesięciolecia mozolił się nad odkryciem zagadki Kamienia. Ów Kamień zaś nie był odłamkiem skały, lecz Pierwiastkiem, dzięki któremu rtęć zamieniała się w srebro i złoto. Jednak sposób, w jaki ów Francuz tego dokonał, pomimo zapewnień karła pozostawał tajemnicą. Autor pisał o zmijach i ziołach, o Słońcu,

Księżycu i Rteci, o białych proszkach, a nawet o niemowlęcej krwi. Ale co chciał przez to wszystko powiedzieć, zgłębić nie umiałem.

„Żyd, który księgę ozdobił, obmyślił ją wielce przebiegle i zręcznie, albowiem, mimo że była zacnie i czytelnie ilustrowana, żaden człowiek nie potrafił jej pojąć, nie będąc obznajomionym w ich Kabale”. Wpatrywałem się w obrazki, aż rozbolały mnie oczy, lecz żydowskiej kabały nie znałem. Widoczne jak na dłoni tajemnice pozostawały przede mną ukryte.

W pewnym momencie musiał zmorzyć mnie sen. Wszystkie moje senne majaki mieniły się złotem. Stałem na wierzchołku góry skąpanej w gorącym blasku, który barwił na złoto trawę, skały, wzgórza i doliny. Za moimi plecami wznosił się złoty krzyż. Spojrzawszy w dół, zobaczyłem w trawie dwa sunące ku mnie węże. Krzyknąłem, lecz gady, zamiast mnie zaatakować, zwróciły się przeciwko sobie. Jeden pożarł drugiego, a później zaczął sam siebie gonić w kółko, aż zamienił się w mgiełkę. Zacisnął szczęki na ogonie i jął siebie połykać w całości.

Spojrzałem ponownie i zobaczyłem, że wąż przeistoczył się w złoty pierścień. Podniosłem go i włożyłem sobie na głowę jak koronę. To uczyniwszy, poczułem, że przenika przeze mnie kolumna złocistego światła niczym fontanna, łącząc górę pod moimi stopami z niebem w doskonałą jedność. Ukazał się anioł z trąbką, podobny do mojego ojca. Dotknął mego czoła i pojawiła się na nim pieczęć proroków, cała w złocie. Upadłem na kolana i objąłem ramionami złotą ziemię, ona zaś była miękka, ciepła i nieskończenie przebacząca.

Wyrwałem się ze snu. Z trwogą i rozkoszą ujrzałem, że wyprostowana ręka Pietera przesunęła się po moich biodrach i zamknęła między moimi nogami. We śnie ocierałem się o niego. Moje ciało wypełniło się słodyczą w kolorze złocistym.

Biada! Demony, które biorą nas w posiadanie, znają nasze słabości i czyhają na właściwy moment. Senne marzenia mnie oszołomiły: wiedziałem, że powinienem przestać, lecz nie umiałem. Albo ten sam demon opętał Pietera, albo chłopiec spał zbyt twardym snem, by wiedzieć, co czyni. Tak czy inaczej, syn mistrza zareagował chętnie, a nawet skwapliwie. Całowałem go po całym ciele, gładziłem palcami jego złote włosy i przyciskałem jego twarz do swojej

piersi. Miętosilem delikatną skórę, wzbudzając jego westchnienia. Przesunął mnie na bok i przywarł do mnie, całując mnie po karku. Pasowaliśmy do siebie niczym dwie łyżeczki w szufladzie. Moje ciało drżało z pożądania, a krew krążyła we mnie jak płynne złoto.

Drzwi strychu otworzyły się z hukiem przypominającym grzmot pioruna. Złoto w mych żyłach stężało w ołów. Na schodach stał Konrad Schmidt z latarnią w dłoni i twarzą znieruchomiałą w oszołomieniu. Nie wiem, co spodziewał się zastać, lecz na pewno nie swojego syna splecionego w objęciach z uczniem w najbardziej wyuzdanej pozie.

Konsternacja zamieniła się w furię. Mój mistrz wkroczył do pokoju, sięgając do miejsca przy pasie, w którym powinien znajdować się nóż. Poddasze było wąskie i ciasne; nie miałem żadnych szans, by przemknąć obok niego do drzwi.

Ostatni raz spojrzałem tęsknie na Pietera, który kulił się nago na łóżku i krzyczał, że to nie jego wina. Potem wyskoczyłem przez okno.

XIII

Nowy Jork

Przez dziesięć, może piętnaście sekund Nick nic nie pamiętał. Leżał w sztywnej hotelowej pościeli, rozkoszując się ciepłem i poczuciem oderwania, wędrując pomiędzy światami. Deszcz przestał padać, przez białe zasłony sączyło się słońce.

Nagle wszystko wróciło i zrozumiał, że świat już nigdy nie będzie taki sam. Przetoczył się na bok i wcisnął twarz w poduszkę, jakby w ten sposób mógł zdławić przytłaczające go myśli. Zaszlochał, a potem szarpnął się pod kołdrą niczym tonący. W jego głowie pojawiły się obrazy: Gillian, Bret, zabójca ściągający Nicka po niekończących się schodach. Ogarnęło go przygnębienie.

Dzwonek telefonu komórkowego wdarł się w jego żal. Nick jęknął i nie odebrał, licząc na to, że sygnał zamilknie. On jednak dźwięczał nadal.

Wyciągnął rękę i przesunął nią po blacie nocnego stolika.

– Nick?

Kobięcy głos mówił z brytyjskim akcentem. Nie wiedział, czy go zna.

– Tu Emily Sutherland. – Na chwilę zapadła cisza. – Poznaliśmy się w muzeum.

– A, tak, pamiętam. – Jakaś część jego świadomości wciąż funkcjonowała.

– Proszę posłuchać, to nie jest...

– Poszukałam informacji związanych z rysunkiem, który przyniósł pan do muzeum. Okazały się... intrygujące.

– W porządku.

– Możemy się spotkać i pomówić?

– A mogłaby mi pani teraz coś powiedzieć?

Kobieta się zawahała.

– Osobiście byłoby mi łatwiej. Ten rysunek nasuwa parę ciekawych pytań. Dziś po południu muszę być w Metropolitan Museum. Możemy się spotkać na tarasie na dachu?

– Jasne. – Nick był gotów zgodzić się na wszystko, byleby się jej pozbyć.

– Będę tam o szesnastej.

Wymamrotał słowa pożegnania i rozłączył się. Nadal trzymał aparat w rękę, gdy ten ponownie zadzwonił. Nick przystawił go do ucha.

– Tak?

– Jak się pan miewa z samego rana? – To był Royce. Głos z koszmarów Nicka. Detektyw mówił dalej, nie czekając na odpowiedź. – Chcemy, żeby zjawił się pan na posterunku i złożył nam zeznanie na temat wydarzeń z wczorajszego wieczoru.

Nicka ogarnęła druga fala zmęczenia.

– Która jest godzina?

– Dwadzieścia po dziewiątej. Proszę przyjść jak najprędzej.

□ □ □

Komenda policji przy Dziesiątej Ulicy mieściła się w przysadzistym bloku, który kiedyś musiał wyglądać nowocześnie. Po jego obu stronach stały szare wieże. Mundurowy policjant czekał na Nicka w holu i labiryntem beżowych korytarzy zaprowadził go do niewielkiego pomieszczenia w głębi budynku. Nie było w nim okien, tylko szerokie lustro w ścianie okolone linoleum. Nick zerknął na swoje odbicie i wzdrygnął się. Wciąż miał na sobie wczorajsze ciuchy. Na dachu położył się w czymś, co na przedzie jego koszuli pozostawiło oleistą plamę. Jego policzki szpecił krótki kłujący zarost. Miał worki pod oczami, a jego włosy wyglądały nędznie, mimo że umył je hotelowym szamponem. Serce mu zamarło, gdy zobaczył kamerę wideo ustawioną naprzeciw siebie na trójnogu.

Royce kazał mu czekać kwadrans. W chwili gdy wszedł do pomieszczenia, Nick poczuł, że opuszczają go siły. Royce był wampirem karmiącym się energią innych osób. Klapnął na krzesło Po drugiej stronie stołu i oparł się na kościstych łokciach.

– Dzięki, że przyszedłeś. Wiem, że to dla ciebie trudne chwile. – Detektyw odsunął krzesło od stołu i odchylił się do tyłu, krzyżując nogi. Zabębnił palcami o bok buta, podczas gdy technik gmerał przy kamerze. – No dobra. – Spod obiektywu mignęło na Nicka czerwone światelko. – Zaczynamy. Dla porządku podaj swoje nazwisko i zawód.

– Nick Ash. Zajmuję się cyfrową rekonstrukcją kryminalistyczną.

Royce patrzył na rozmówcę bez zrozumienia. Zachowywał się tak jak większość ludzi w tej sytuacji.

– A co to takiego?

– Moja praca polega na składaniu w całość dokumentów, które zostały podarte lub poszatkowane tak, że nie sposób ich odczytać. Korzystam z systemów, które pozwalają skanować fragmenty, a następnie rekonstruować je cyfrowo za pomocą algorytmów. Mogą być później wykorzystywane jako dowody.

– Robisz to dla nas?

– Dla rządu, czyli dla FBI oraz innych agend. – Ta kwestia robiła wrażenie na większości rozmówców. Dla Royce'a był to zwykły początek przesłuchania.

– Masz dostęp do poufnych dokumentów?

Nick pokręcił głową.

– To jest program badawczy. Wartość tej metody nie została jeszcze dowiedziona.

Royce stracił zainteresowanie wątkiem.

– Wróćmy do wczorajszego wieczoru. Jeśli możesz, na początek scharakteryzuj swoje kontakty ze zmarłym.

Nick opowiedział wszystko, co mógł, poczynając od dnia, w którym razem wprowadzili się do mieszkania. Później mówił o e-mailu od Gillian, o pełnym przerażenia telefonie Breta i swojej decyzji, by spojrzeć na obraz z kamery komputerowej. Oraz o tym, co zobaczył. Jego puls przyspieszył, kiedy opisywał ucieczkę schodami i straszne chwile na dachu, gdy czuł, że grozi mu śmierć.

Royce słuchał tego wszystkiego, zwinięty na krześle niczym nietoperz. Inaczej niż wczoraj wieczorem nie przerywał Nickowi. Milczenie detektywa nie uspokoiło Nicka, a wręcz przeciwnie. Do pomieszczenia nie docierały żadne dźwięki. Nick słyszał jedynie swój głos i zawodzący szmer kamery.

Skończył i uniosł głowę. Royce przyglądał się plamie w narożniku stołu.

- Nadzwyczajna historia. Co to miało znaczyć?
- Powiedziałbyś, że łączyła cię przyjaźń ze współlokatorem?
- Jesteśmy... byliśmy bardzo różni. Jakoś nam się układało.
- W laboratorium zajrzano do komputera znalezionego w twoim mieszkaniu. Nie znaleźli wiele, bo połowa twardego dysku jest zakodowana.
- Mówiłem ci, że pracuję na umowę z FBI.
- Tymczasem sprzęt twojego kumpla sporo nam ujawnił – ciągnął Royce.
- Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, że zapisano w nim sporą liczbę, w gruncie rzeczy całe mnóstwo, nieprzyzwoitych obrazów?

Nick czuł się za bardzo zmęczony, by udawać.

- Bret lubił sobie pooglądać porno. Nie on pierwszy, a to nie jest wbrew prawu.

- Dzielił się z tobą zbiorami?

Trudno było rozgryźć detektywa Royce'a. W jednej chwili zachowywał się jak wyniosły kutas z policyjną odznaką, by w następnej robić za starszego brata.

- Miałem dziewczynę.

Na Róisie nie zrobiło to wrażenia.

- Widziałeś, co oglądał?

- Unikałem tego.

Royce oparł się o blat stołu.

- Dlaczego? Te obrazki były aż takie straszne?
- Nie, ale...
- Bret opowiadał o nich? Gęba mu się nie zamykała.
- Tak, czasami.
- Czy wspominał kiedyś o nieletnich dziewczętach?

To pytanie zaskoczyło Nicka. Starał się, jak mógł, okazać swoje zaskoczenie, tymczasem jego mózg pracował na pełnych obrotach. W odniesieniu do Breta nie było czarno-białych odpowiedzi, a jedynie rozmazane odcienie szarości. Jednak nawet on miał swoje ograniczenia.

- Bret nigdy nie zrobiłby niczego wbrew prawu.

– Sam przyznałeś, że brał narkotyki. Gdyby był wśród żywych, zgarnełi-
byśmy go za posiadanie nielegalnych środków odurzających w ilościach wska-
zujących na to, że je rozprowadzał. Tyle tego znaleźliśmy w twoim mieszka-
niu.

– Do czego ty...

Royce odepchnął krzesło do tyłu, omal nie przewracając kamery. Rozłożył
ręce i pochylił się nad stołem. Klapy marynarki rozpostarły się za jego plecami
na kształt skrzydeł.

– Śmierć Breta nie była przypadkowa. Ktoś przytroczył go do krzesła i za-
bił, bo tego chciał. Na tym etapie śledztwa nie musimy daleko szukać motywu.

Nick milczał. Royce usiłował go przygwoździć, potwierdzić przyjęte przez
siebie założenia.

– Myślę, że popełniasz błąd – odparł po chwili Nick. – Zabójca musiał
włamać się do mieszkania i zwięzać Breta. Później kazał mu do mnie zadzwonić i
ściągnąć do domu. Zabił Breta dopiero wówczas, gdy zorientował się, że
zobaczyłem go dzięki kamerze.

– Często szpiegujesz Breta?

To było jak rozmowa z dziesięciolatkiem. Policjant słyszał, co się do niego
mówi, lecz rozumiał to całkiem opacznie.

– Nigdy nie szpiegowałem Breta. Powiedział mi, żebym do niego drynd-
nął.

– Słucham? – spytał ze zdziwieniem Royce. Wyraz jego twarzy mówił
jednak, że zna odpowiedź.

– Dzwonek to komunikator, program służący do prowadzenia rozmów.
Pozwala natychmiastowo przysyłać wiadomości, obraz z kamery wideo i głos.
Wszystko jest w jednym pakiecie.

– Świetna sprawa. – Royce znów zmienił taktykę. – Chcielibyśmy, żebyś
odkodował swój komputer.

– Nie mogę tego zrobić. Moja umowa z FBI...

– Zapomnij o niej. Możemy zdobyć nakaz, ale sprawa będzie wyglądała
lepiej, jeśli będziesz z nami współpracował.

Nick popatrzył na detektywa.

– W czyich oczach? Przyszedłem tutaj, żeby odpowiedzieć na pytania. Je-
stem aresztowany?

– Nie. – Royce się wycofywał. – Składasz zeznanie. Wszystko jest fajowo.

Policjant rzucił okiem na kamerę. Nickowi przemknęło przez myśl pytanie, czy na czymś się potknął. Pożałował, że nie przyszedł z adwokatem.

– Spójrz na sprawę z mojego punktu widzenia – rzekł nieco łagodniej Royce. – Znaleźliśmy pistolet, z którego zabito Breta. Na broni są twoje odciski palców. Wciąż czekamy na wynik badania obecności śladów prochu na twoich dłoniach.

Czyby policja uważała, że to on strzelał z pistoletu? Czy proch mógł dostać się na dłonie, gdy wziął broń do ręki?

– Mamy świadków, którzy widzieli cię na miejscu zbrodni...

– To jasne, że byłem na miejscu zbrodni – wpadł mu w słowo Nick, prawie krzycząc. – Ja tam mieszkam, do kurwy nędzy.

– A ty sprzedajesz mi, powiedzmy sobie szczerze, niewiarygodną bajeczkę o zamaskowanym typie, który goni cię z pistoletem po dachu, a później odpuszcza i znika w mroku nocy. I zostawia pistolet. – Royce oparł dłonie na oparciu krzesła i pochylił się. – Chcę ci wierzyć, Nick. Naprawdę. Ale ty mi tego wcale nie ułatwiasz.

Nick usilnie szukał w pamięci czegoś, co uwolniłoby go od podejrzeń.

– Max.

– Że co?

– Max. Chłopiec mieszkający na tym samym piętrze. Rozmawialiśmy, kiedy Bret został zastrzelony. On ci powie, że nie miałem z tym nic wspólnego.

Royce po raz pierwszy stracił pewność siebie. Przeprosił i wyszedł z pomieszczenia. Wróciwszy, osunął się na krzesło.

– Jeszcze z nim nie rozmawialiśmy. Mama mówi, że mały jest w szoku, nie chce nas do niego dopuścić.

Brzmiało to prawdopodobnie. Matka Maksa była jak huragan piątego stopnia. Rzadko widywała syna i próbowała mu rekompensować swoją nieobecność szaleńczą nadopiekuńczością. Gdyby potknął się o sznurowadła, pewnie pozwałaby do sądu producenta tenisówek.

– Czy chłopiec widział zabójcę?

– Nie wiem, wszystko działo się bardzo szybko. – Nick odchrząknął. Jego gardło było suche jak pieprz. – Chciałbym już wyjść. Wolno mi?

XIV

Górna Nadrenia, 1432

Wędrowiec podprowadził konia do skarpy i spojrzął na dolinę. Co zobaczył? Nurt rzeki naturalnie przyspieszał, gdy koryto zwężało się przy zakolu, a następnie zwalniał, gdy woda rozlewała się i wygładzała między lesistymi wzgórzami. Ryby wygrzewały się na słońcu w przybrzeżnych płyciznach, uwijając się między wodorostami ciągnącymi się w wodzie niczym smugi dymu. Nad powierzchnią brzęczały ważki. Żłociste promienie słońca nagrzewały piaszczyste dno.

Tuż za zakrętem rzeka tworzyła płytką zatoczkę, do której wpadał dopływ, młody i żwawy w porównaniu ze statecznym Renem. Spojrzawszy w dół, podróżnik zobaczyłby polanę w miejscu, z którego wypływała rzeczka, a gdyby słońce nie świeciło mu w oczy, także prymitywny szałas z gałęzi i błota. Przed szałasem, na opadającym ku rzeczulce brzegu, ujrzałby stół z odpilowanymi dwiema nogami nachylony w stronę wody. Przybito do niego gwoździami szeregi desek układających się w coś w rodzaju stopni. Całość konstrukcji lśniła od mokrego mułu. Obok niej wydrążony pień drzewa tworzył proste koryto.

Wędrowiec szarpnął lekko uzdę i skierował wierzchowca między drzewa. Ścieżka była stroma, lecz nie zdradliwa. Podszyt lasu upstrzyły plamy słońca; las mruczał brzęczeniem pszczoł i innych owadów. Stopniowo coraz wyraźniej dawał się słyszeć szum płynącej wody. Wkrótce jeździec dotarł nad brzeg dopływu Renu. Rzeczka była głębsza, niż przypuszczał. Zsunął się z siodła,

owinał uzdę wokół konara i wszedł do wody, by poszukać brodu.

Silny prąd ciągnął go za nogi, gdy próbował utrzymać równowagę na śliskich kamieniach. Nieco dalej w dół koryta rzeczutki stos głazów świadczył o tym, że ktoś usiłował zbudować zaporę. Nurt przebił się przez nie i kamienie mające wstrzymywać bieg wody teraz go przyspieszały. Jeździec uznał jednak, że jego koń zdoła pokonać prąd.

Gdy się odwrócił, promień słońca przedarł się przez listowie i padł mu prosto w oczy. Uniósł rękę, by je osłonić, lecz nagły ruch pozbawił go równowagi. Wędrowiec z pluskiem runął głową do wody.

Nurt porwał go momentalnie, niosąc prosto w stronę kanału w niedokończonyj tamie. Mężczyzna zamachał rękoma, ale prąd był za silny. Obrócił go niczym gałązkę, po czym wessał. Jeździec napił się wody i łapiąc oddech, wy dostał się na powierzchnię. Jego głowa odbiła się od kamienia i świat utonął w ciemności.



W zatoczce, w której łączyły się koryta obu rzek, na srebrzystym szklwie wody pojawiła się ciemna plamka. Ktoś patrzący ze skarpy wziąłby ją za zmarszczkę na powierzchni lub cień szybującego jastrzębia. Jednak z bliższej odległości widać było, że cień przybiera postać człowieka. Mężczyzna przedstawiał dziwny widok. Jego włosy sięgały do ramion, a broda niemal do piersi; jedno i drugie zlepił brud, toteż trudno było odgadnąć ich kolor. Stał zanurzony do pasa w wodzie, kołysząc się swobodnie w nurcie. Zagłębił stopy w mialkim mule, a wokół jego nóg wiły się wodorosty i węgorsze. Nabrał wodnego błota do popękanego drewnianego cebra. Gdy naczynie prawie się nappełniło, mężczyzna po trosze przeniósł, a po trosze przeciągnął je po wodzie i wygramolił się na brzeg.

Był nagi. Jego klatkę piersiową, ręce i twarz oblepił muł wyglądający jak spēkana na słońcu glina garncarska. Poniżej pasa jego skóra była biała, obmyta do czysta wodą z rzeczki. Dźwignął wiadro do pochyłego stołu i przechylił. Muł spłynął po szczeblach, zostawiając na nich biały osad, który przywarł do desek. Mężczyzna zebrał go i wrzucił do koryta, które następnie nappełnił wodą

z cebra. Zamieszał w nim ręką. W wodzie spiętrzyły się i zawirowały białe tumany, lecz w miejscach na dnie, do których przedzierało się słońce, pojawiła się jedyna w swoim rodzaju iskra połyskującego złota.

Nagle wzrok mężczyzny przykuł kształt, który ukazał się przy ujściu rzeczulki. Z początku wziął go za kłodę, martwego lisa bądź nawet owcę przyniesioną przez nurt z odległego pastwiska. Dopiero gdy rzecz znalazła się na jego wysokości, zorientował się, co ma przed oczyma.

Zawahał się przez chwilę, gdyż nie nawykł do szybkiego działania. Potem wbiegł do zatoczki, odbił się od dna i zanurkował. Był silnym pływakiem; kilkanaście ruchów rąk zaniósło go do ciała. Chwycił w garść przemoczoną koszulę mężczyzny i pociągnął. Nurt w tym miejscu przyspieszał, pędząc ku większej rzece. Pływak opuścił nogi, lecz nie sięgnął dna. Tonący szarpnął się, machając rękoma i krztusząc się. Nieprzytomnie walcząc o życie, mógł ściągnąć śmierć zarówno na siebie, jak i na swojego wybawcę. Wściekle młóćąc nogami wodę, ubłocony mężczyzna zdołał go obezwładnić. Jedną ręką oplótł go w ramionach, a drugą w pasie, i przeciągnął do brzegu. Wywłókłszy niedoszłego topielca na piach, posadził go, chwycił w pół i zgiął, wypompowując zeń wodę niczym z pęcherza.

Mężczyzna uratowany z topieli splunął, zacharczał i zwymiotował, a następnie przetoczył się na bok i leżał na pokrytej liśćmi ziemi, dysząc ciężko. Samotnik zostawił go na słońcu, a sam przyniósł chleb i miód i zostawił w pewnej odległości od nieznanego. Rozdmuchał ognisko dymiące obok chaty i podgrzał mleko w misce. Kiedy wrócił, jedzenie znikło, a mężczyzna siedział oparty o kłodę. Zerknął na swojego wybawcę spod przymrużonych powiek.

– Dziękuję – rzekł, wykonując dłońmi gest wdzięczności. – Gdyby nie ty...

– Jak ci na imię? – spytał samotnik. Mówił wolno, gdyż rzadko posługiwał się słowami. Jego język i usta szukały odpowiednich dźwięków.

Przybysz się uśmiechnął.

– Aeneas.

Imię podziałało jak kamień ciśnięty w przeszłość. Z odmetów czasu wypłynęły bąbelki wspomnień. Słoneczne światło sącące się przez okno klasy,

mnich w szarym kapturze, stara księga pełna opowieści.

– *Multum ille et terris iactatus et alto* *.

* Po mórz głębi i lądach pędzony (łac).

Zaskoczony Aeneas usiadł i przyjrzał się odludkowi.

– Dziwny z siebie jegomość. Włóczysz się po kniei jak faun lub dzikus, pływasz jak syrena i ratujesz wędrowców od zguby. A potem cytujesz Wergiliusza. Powiedz, jak ci na imię?

Samotnik był zmieszany i prawie załęczniony. Minione lata przyniosły tak wiele imion wykrzykiwanych w gniewie, w pogardzie, w ignorancji i strachu. Imion nadawanych, nigdy nieprzyjętych. Jedno z nich poprzedzało wszystkie inne.

– Johann.



Tę noc Aeneas spędził w mojej chacie. Okazywał nadzwyczaj dużo radości jak na człowieka, który omal nie zginął. Po południu zdołał stanąć na nogi z pomocą laski, którą wyciąłem mu z wierzby. O zmierzchu poszedł ze mną ścieżką do miejsca, w którym zostawił konia, a gdy zapadła noc, dołożył drew do ogniska i podzielił się butelką wina, którą wioził w sakwie. Podarował mi również lustro, posrebrzany kawałek szkła oprawiony w żelazną ramkę.

– Pochodzi z Akwizgranu – oznajmił. – Nasiąkło świętym blaskiem relikwii w tamtejszej katedrze. Weź je. Może pewnego dnia przyniesie ci błogosławieństwo, gdyż ocaliłeś mi życie.

Aeneas lubił gawędzić i radował się towarzystwem. Słowa przepelnione energią płynęły z niego jak potok. Szczególną jego ciekawość budziłem ja, choć unikałem odpowiedzi na pytania. Gdy zapytał, skąd pochodzę, wskazałem ku rzece, a gdy zaczął dociekać, dlaczego wiodę tak nędzny żywot, czerpiąc muł z dna Renu, wrzuciłem szczapę do ogniska i nic nie odpowiedziałem. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele się wydarzyło, lecz wypadki te były jak uderzenia o dreny człowieka spadającego w głąb studni. Każde boli w swoim czasie, on jednak pamięta później jedynie upadek na dno.

Opowiedział mi o sobie. Był ode mnie o pięć lat młodszy, jakkolwiek każdy, kto spojrzełby w moją twarz, sądziłby, że ze dwadzieścia. Urodził się w

Italii w wiosce nieopodal Sieny. Jego ojciec był drobnym rolnikiem, wszelako Aeneas porzucił pola na rzecz uniwersytetu.

Nachylił się ku ognisku, aż jego twarz zajaśniała w blasku płomieni.

– Doznałeś kiedyś poczucia, że Bóg stworzył cię dla jakiegoś celu? Ja takowe miałem. Wiedziałem, że jestem przeznaczony do celów wyższych aniżeli ojcowskie pastwiska. Studiowałem wszystko, co mogłem. Gdy nauczonych w Sienie spadła zaraza, nie mogli zabrać swoich ksiąg. Kupiłem je za półdarmo, nauczyłem się wszystkiego, co w sobie zawierały, a następnie sprzedałem za pięciokrotnie wyższą cenę, gdy pomór dobiegł końca. Zaiste nie ma nic zyskowniejszego niż wiedza. – Mój gość zaśmiał się z żartu, po czym zamilkł na chwilę. – A może powinienem rzec: Nic nie przynosi człowiekowi większego zysku niż nauka? Które zdanie brzmi lepiej?

Wzruszyłem ramionami i wzdrygnąłem się na myśl o tym porównaniu: oto dziedzic zamożnego mieszczanina ryje w rzeczonym błocie niczym wieprz, a syn kmiecia osiągnął tak wiele. On jednak jeszcze nie dotarł do sedna swej opowieści.

– Początkowo chciałem zostać lekarzem, a może prawnikiem. Zawsze miałem talent do słów. – Aeneas był do cna nieskromny, lecz zarazem tak szczerzy, że nie sprawiał wrażeń samochwały. – Próbowałem wielu specjalności i żadna mi nie odpowiadała. Pewnego dnia w zeszłym roku przez naszą wioskę wędrował pewien człowiek. Był to kardynał zmierzający do Bazylei.

Aeneas zerknął na mnie, najwyraźniej spodziewając się jakiejś reakcji bądź skojarzenia.

– Wiadomo ci o tym, że w Bazylei obraduje obecnie wielki sobór mający się zająć przewinami Kościoła?

Jeśli w ogóle o tym wiedziałem, ta wiedza poszła w niepamięć.

– Przyjąłem służbę u kardynała i towarzyszyłem mu.

– Ale nie jesteś księdzem? – spytałem. Mój gość nie wyglądał na kapłana. Gdy tylko odszukaliśmy jego wierzchowca, dobył z sakwy czystą koszulę i rajtuzy. Nawet gdy tonął w rzece, miał na sobie miękkie skórzane kozaki. Modnie wywinięte cholewy butów ukazywały zieloną jedwabną wyściółkę oraz łydki właściciela.

Aeneas się roześmiał.

– Nie znam boskich zamiarów wobec mnie, lecz na pewno nie przeznaczył mnie do święceń. Za bardzo miłuję świat. Ale, ale... sam zakłóciłem sobie opowieść. Przystąpiłem do kardynała jako sekretarz, a on zawiódł mnie do Bazylei. Rychło odkryłem, że jego bogactwa znajdują się w niebie, on zaś nie ma pieniędzy, żeby mi zapłacić. Opuściłem jego służbę, lecz znalazłem sobie inną. – Gość puścił do mnie oko. – Nie było to trudne. Sobór przysparza tyle pracy, że każdy, kto potrafi napisać swoje nazwisko, ma gwarantowane zatrudnienie.

Przybysz oparł rękę na brodzie, przybierając karykaturalną pozę zadumy.

– Powinieneś udać się ze mną.

Rzecz jasna, opierałem się. Jednak Aeneas powiedział prawdę: potrafił zręcznie posługiwać się słowami. Spierał się ze mną przez całą noc, aż drewno się dopaliło i zaśpiewały ptaki. Ani myślał przyjmować odmowy.

Nazajutrz rano opuściłem szalas i wyruszyłem do Bazylei.

XV

Nowy Jork

Ostry podmuch wiatru uderzył Nicka w twarz, gdy ten wyszedł z windy na taras. Opadło go wspomnienie wydarzeń poprzedniego wieczoru: zbiorniki z wodą, sztuczna murawa i lęk przed śmiercią. Tu było zupełnie inaczej: posadzkę stanowiły białe jak kość płyty, a parę kroków dalej znajdowała się przeszklona kawiarnia osłonięta na zimę okiennicami. Balustradę zdobił pająk z kutego żelaza wyższy od dorosłego mężczyzny. Za nią w oddali rozciągał się pozbawiony życia Central Park. Martwy las. Przez огоłocone gałęzie Nick widział jezioro. Przypomniał mu się znany ze szkoły wiersz:

*Choć z jeziora spelzła trzcina
I umilkły ptaki*.*

* John Keats, *La Belle Dame Sans Merci*, przekł. Jerzy S. Sito.

Emily Sutherland siedziała na stalowej ławeczce i czekała na niego. Miała w sobie jakiś anachroniczny rys. Nie kojarzyła mu się ze studiami nad średniowieczem ani nie była długowłosą damą w kwiecistej sukni, znaną z obrazów prerafaelitów, lecz cechowała ją oficjalna elegancja typowa dla połowy dwudziestego wieku. Miała na sobie obcisłą czarną spódnicę sięgającą tuż za kolano oraz czerwony płaszcz z wysokim kołnierzem. Jej lśniące włosy były związane czerwoną wstążką, a ręce trzymała splecione na kolanach. Wyglądała na zagubioną.

Nick usiadł obok niej. Poczul na udach chłód stalowej ławki.

- Proszę wybaczyć spóźnienie.
- Nie wiedziałam, czy pan przyjdzie.

Mało brakowało, a Nick by nie przyszedł. Gdy Royce wypuścił go ze swych szponów, włóczył się bez celu przez niemal dwie godziny. Mdlilo go na samą myśl, że musi z kimś rozmawiać. Co można powiedzieć, kiedy twój świat rozpadł się na kawałki? Mijani na ulicy ludzie – sprzedawcy hot dogów, policjanci z drogowki oraz turyści wysypujący się z galerii handlowej – wszyscy oni nie mieli z nim nic wspólnego. Stapał wśród nich jak duch. Po jakimś czasie wstrząs i litość nad sobą się wyczerpały. Jeśli wycofa się do swojej skorupy, zwariuje. Musiał działać, coś robić. Poszedł więc na umówione spotkanie.

- Powiedziała pani, że coś znalazła.

Emily wyciągnęła z torebki książkę i otworzyła ją na kolanie. W środku spoczywał złożony we dwoje arkusz, który przekazał jej Nick. Książka była napisana po niemiecku.

- *Najstarsze istniejące niemieckie karty do gry* – przeczytał Nick widniejący u góry strony tytuł. Emily zerknęła nań ze zdziwieniem.

- Zna pan niemiecki?

- Kilka lat pracowałem w Berlinie.

- Powinien pan więc rzucić okiem na tę książkę. Zawiera wykaz wszystkich zachowanych talii przypisywanych Mistrzowi Kart do Gry.

- I co z tego wynika?

- Tej karty nie ma w wykazie.

Emily wsunęła paznokcie między stronicę i otworzyła książkę na końcu. Z kartki spoglądały na Nicka misternie narysowane lwy i niedźwiedzie zdobiące dwie umieszczone obok siebie karty. Zwierzęta zostały przedstawione w różnych pozach.

- Oto dwa zachowane egzemplarze ośmiu dzikich bestii. Jeden znajduje się w Dreźnie, a drugi w Bibliothèque Nationale w Paryżu. Coś zwróciło pana uwagę?

Nick przyjrzał się kartom.

- One się różnią.

Wskazał prawe górne rogi kart. Karta drezdeńska ukazywała stojącego lwa z groźnie przechylonym w ryku łbem, tymczasem na karcie paryskiej lew

siedział na zadzie i spoglądał władczo przed siebie.

Nick wyjął z książki arkusz. Układ zwierząt był taki sam – karta przedstawiała cztery niedźwiedzie i cztery lwy w trzech rzędach – lecz w prawym górnym rogu widniał drapiący się łapą niedźwiedź.

– Mówiła pani, że karty były drukowane. Jeśli wszystkie pochodzą z tej samej matrycy, czy nie powinny wyglądać tak samo?

– Po jakimś czasie oryginalne matryce zostały pocięte. Niekiedy widać ślady tego na kartach. – Emily obwiodła paznokciem lwa na karcie ze zbiorów paryskich.

Nick się nachylił. Dostrzegł nieregularną linię wokół zwierza. Lew wyglądał jak obrazek wycięty nożyczkami z gazety i umieszczony na kartce.

– Dlaczego tak zrobiono?

– Według najlepszej teorii pierwsze karty zdobyły tak wielką popularność, że twórca chciał ich wykonać więcej. Miedziane matryce zużywają się dość prędko, jeśli robi się zbyt wiele odbitek. Może rytownik pociął te, które wciąż nadawały się do użytku, by je pomieszać i stworzyć nową talię? – Doktor Sutherland położyła dłoń na stronie, zakrywając dwa lwy pośrodku. – Po odjęciu tych dwóch wizerunków z ósemki zostaje szóstka. Dodawszy jeden, uzyskujemy dziewiątkę. Co, nawiasem mówiąc, jest prawdą. – Emily przewróciła stronę i ukazała się ilustracja przedstawiająca kartę z dziewięcioma portretami zwierząt. W każdym z trzech rzędów znajdowały się trzy dzikie bestie. Dodatkowym zwierzęciem był niedźwiedź. – W pewnym sensie można to uznać za antycypację drukowania tekstów za pomocą ruchomej czcionki – dodała. – Podział elementów strony na mniejsze jednostki pozwala uzyskać większą elastyczność.

Nick przyjrzał się dokładniej.

– Na tej karcie nie widać śladów wycinania wizerunków.

– Owszem – potwierdziła Emily. – Choć jest to wydruk cyfrowego obrazu, który przedstawia... któż może wiedzieć co? Niewyraźne linie mogły łatwo zaniknąć. Skąd pan wziął ten obrazek?

Nick rozejrzał się po tarasie. Niebo znów się zachmurzyło; większość zwiedzających zeszła do budynku. Paru studentów oglądało rzeźbę, popisując się

znawstwem tematu, a ortodoksyjny Żyd w czarnym garniturze i kapeluszu stał oparty o balustradę, rozwiązując krzyżówkę. Stróż zmiatał martwe liście z posadzki. Poza tym na tarasie nikogo nie było.

I umilkły ptaki.

Nick uzmysłowił sobie, że Emily spogląda na niego wyczekująco. Jej blade policzki zaróżowiły się od chłodu. Co jej powiedzieć, by nie wyjść na pomyłkę?

– Gillian Lockhart, moja... znajoma, przysłała mi ten obrazek przedwcześnie w nocy.

– Nie może jej pan zapytać, jak go zdobyła?

Nick zignorował pytanie.

– Sądzi pani, że odkryła oryginał karty, o którym nikt nie wiedział?

– Istnieje taka możliwość. Ale równie dobrze może to być falsyfikat. Pana znajoma natrafiła na materialną bądź cyfrową podróbkę, którą wykorzystwała, by sobie zażartować. – Po chwili Emily dodała, jak gdyby zdołała odczytać myśli rozmówcy: – Kiedy powiedział pan, że zna Gillian Lockhart, zaczęłam o nią pytać w muzeum. Wygląda na to, że zasłynęła z nieprzewidywalności.

Podmuch wiatru porwał jej słowa. Nick poczuł zimny dreszcz na plecach. To miałyby być żarty? Gdy odebrał plik z rysunkiem, właśnie takie wyjaśnienie mu się nasunęło. Częścią swej świadomości Nick wciąż pragnął, aby tak było. Jednakże zobaczył śmierć Breta, a później musiał uciekać na dach przed uzbrojonym zabójcą i składać wyjaśnienia na policji; wszystko to było ze wszech miar realne. A cała historia zaczęła się od tajemniczej karty.

– Jeśli ta karta jest prawdziwa, ile może kosztować?

Emily zmarszczyła brwi.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Nie pracuję w akwizycji. Wydaje mi się, że żadna karta od dziesięcioleci nie zmieniła właściciela, więc nawet nie ma jej z czym porównać.

– Proszę podać orientacyjną wartość. Czy mówimy o milionach dolarów?

Nick zauważył, że pytanie dotknęło rozmówczynię. Poczuli się zakłopotani, jak gdyby zaproponował jej pieniądze za seks.

– Widziałam sztychy Dürera sprzedawane przez prywatnych właścicieli za mniej niż dziesięć tysięcy dolarów. To późniejszy twórca, ale bardziej znany.

Dzieła Mistrza Kart do Gry... – Doktor Sutherland zastanawiała się przez chwilę. – To może być kilkadziesiąt tysięcy, najwyżej sto tysięcy dolarów.

– Warto dla takiego dzieła zabić?

– Słucham?

Nick wziął głęboki oddech. Czuł rozpaczliwą chęć wyjawienia prawdy, wypowiedzenia na głos myśli, które nie dawały mu spokoju. Zatajając je, z każdą sekundą coraz bardziej czuł się oszustem. Jednocześnie bał się, że Emily weźmie go za wariata.

– Wysyłając mi obraz karty, Gillian napisała wiadomość, z której wynikało, że grozi jej niebezpieczeństwo. Od tego czasu nie miałem od niej wieści. A wczoraj wieczorem zamordowano mojego współlokatora.

Zszokowana Emily otworzyła usta.

– Przykro mi. To straszne... – powiedziała, spoglądając na książkę spoczywającą na jej kolanach. Ręce przycisnęła mocno do boków.

– Myślę, że tym ludziom, kimkolwiek oni są, chodziło o mnie.

Jego słowa zabrzmiały niedorzecznie i zarozumiale, jak gdyby przywłaszczył sobie tragedię Breta. Spojrzał na Emily. Ona zaś patrzyła w drugą stronę.

– Rozmawiał pan z policją?

– Oczywiście. Wzięli mnie za szaleńca. Podejrzewają, że ja to zrobiłem.

– To nie jest szaleństwo – oznajmiła Emily cicho, lecz wyraźnie. – Nie wiem, co się przydarzyło Gillian Lockhart, ale... Wystarczy wymienić w muzeum jej nazwisko, a wszyscy zachowują się tak, jakby zobaczyli intruza. Nie wiele mówią, lecz mimo to...

Stado ptaków zerwało się z drzew rosnących nad brzegiem jeziora i zatoczyło koło obok wieżyc budynków wznoszących się po drugiej stronie parku. Emily szarpnęła dłonią kołnierz swego płaszcza.

– Te karty są takie dziwne. Żadne zwierzę nie wygląda na szczęśliwe. A ludzie... – Doktor Sutherland otworzyła książkę na ilustracji. Pięć miniaturowych ludzkich postaci tańczyło i kroczyło ulicą. Jednak im dokładniej Nick im się przyglądał, tym mniej przypominały ludzi. Niektórzy byli owłosieni jak zwierzęta, na innych skóra zwisała niczym listowie. Dęli w rogi, celowali z

łuków, wymachiwali maczugami. Jakiś głupek, nieświadomy panującego wokół chaosu, pociągał palcami strunę lutni.

– Oto piąta gromada przedstawiająca dzikusów. Jest w nich coś niepokojącego. – Emily roześmiała się smutno. – Teraz pewnie to pan uzna mnie za obłąkaną.

– Ależ skąd – odparł Nick, uspokajającym gestem kładąc dłoń na jej ramieniu. Momentalnie tego pożałował. Odsunęła się niczym spłoszony ptak i przycisnęła ręce do piersi. – Przepraszam. – Nick pożałował również, że wypowiedział to słowo. Poczul się przez to winny.

Emily wstała, wygładzając spódnicę z tyłu. Jej twarz niemal znikła za wysokim kołnierzem.

– Powinam już iść.

Nick także wstał, zachowując niezręczny dystans.

– Proszę na siebie uważać. Jestem naprawdę wdzięczny za konsultację, ale może byłoby lepiej, gdyby mi pani teraz nie pomagała.

XVI

Bazylea, 1432 – 1433

Ojciec powiedział kiedyś, że nie ma takiej odmiany w życiu, do której człowiek nie przywyknie w ciągu dwóch tygodni. Nie dotyczy to być może duszy, lecz działań i codziennych czynności, wyborów i oczekiwań. Podczas pierwszej nocy podróży z Aeneasem spałem na podłodze w karczmie i jadłem tylko chleb. W połowie drugiej nocy wczołgałem się do wspólnego łóża i okryłem rogiem koca. Trzeciej nocy jadłem tyle samo co inni, napiłem się do syta i nie wahałem się spać na słomie zamiast na ziemi. Aeneas zapłacił golibrodzie za ostrzyżenie mi włosów i brody. Dzięki tym zabiegom wyglądałem o dziesięć lat młodziej. Godzina szorowania w łaźni odjęła mi kolejnych pięć lat.

– Mimo to koniecznie powinienes zająć do świętej łaźni w Bazylei – rzekł do mnie Aeneas. – Mężczyźni i kobiety kąpią się tam wspólnie bez odrobiny wstydu. Widuje się takie rzeczy... – Mój towarzysz wykonał obsceniczny gest ręką. Powstrzymałem się, by nie zadrzeć. Z niektórych wspomnień człowiek leczy się dłużej niż dwa tygodnie.



Gdy dotarliśmy do Bazylei, byłem innym człowiekiem. Miałem nowe buty, nowy kapelusz oraz płaszcz, który Aeneas nabył za trzy pensy od francuskiego kupca. Mimo to wielkie miasto napawało mnie lękiem. Przypominało Moguncję, bogate miasto nad Renem z wysokimi domami i strzelistymi wieżami, na których kurki i krzyże lśniły w porannym słońcu niczym rosa. Otaczał je pierścień grubych murów, za którym niemal we wszystkie strony biegły jednolicie zabudowane wsie.

Wszystkie budynki w mieście zatłoczone były niemal po dachy gośćmi przybyłymi na sobór, lecz dzięki srebrnym ustom Aeneasa znalazła się dla mnie kwatera w klasztorze. Zaprowadził mnie tam, a następnie poprosił o wybaczenie i odszedł. Nie było go dwa miesiące, toteż miał wiele do opowiedzenia swoim panom. Leżałem na pryczy i drżałem z przerażenia, czując się porzucony w obcym mieście. Przyszło mi na myśl, by pobiec do rzeki i wskoczyć na pierwszą barkę, która zanieś mnie do mojej leśnej chaty. Wszelako strach minął i zasnąłem. Nazajutrz rano rażnym krokiem nadszedł Aeneas, promieniając z radości.

– Wyborna okazja – oznajmił wylewnie. – Twój rodak, nadzwyczajny jegomość. Jego sekretarz umknął z dziewczyną poznaną w łaźni. – Aeneas mruknął do mnie porozumiewawczo. – Mówiłem ci, że są rozwiązłe. Jednakże ów człowiek to myśliciel; jeśli szybko nie znajdzie skryby, który spisze jego myśli, te wnet rozsądzą mu głowę. Poznałem go dziś rano. Ledwie wspomniałem twoje imię, a on niezwłocznie kazał mi cię sprowadzić.

Jedną z najbardziej urzekających cech Aeneasa był jego całkowity brak zahamowań. Nigdy nie znałem człowieka, który miałby tak doskonały instynkt polityczny, lecz Aeneas potrafił wychwalać innych z niewyobrażalną wielkodusznością. Bez wątpienia odmalował mnie jako najlepszego skrybę od czasów świętego Pawła. Obawiałem się tylko, że nie zadowolę swojego ewentualnego pracodawcy, jeśli ten uwierzył choćby w połowę tego, co mu napłótł mój towarzysz.



Mężczyzna zajmował pokój nad bielonym dziedzińcem na piętrze domu braci augustynów. Aeneas zapukał i nie czekając na zaproszenie, pchnął drzwi. Ja wszedłem nieco ostrożniej.

W kwaterze znajdowało się niewiele oprócz łóżka i biurka. To drugie było większych rozmiarów. Dwie świece nadawały mu wygląd świętego ołtarza. Każdy centymetr powierzchni zajmowały pliki papieru obciążone wszystkim, co się nawinęło: scyzorykiem, ogarkiem świeczki, Biblią, a nawet zbrązowiałym ogryzkiem jabłka. Stały na nim trzy kałamarze na czerwony, czarny i granatowy atrament, zestaw trzciny i gęsiich piór, szkło powiększające oraz niedopity kubek wina, w którym utopiła się mucha. Biurko otaczały sterty książek

niczym szańce; jeszcze nigdy nie widziałem tylu tomów zebranych w jednej izbie. Za biurkiem siedział władca owego papierowego królestwa, człowiek, do którego przyszliśmy.

On zaś, wpatrzony w obraz Chrystusa zawieszony na gwoździu w ścianie, sprawiał wrażenie, jakby nas nie zauważał. Jego oczy były bladoniebieskie i czyste niczym woda. Wydawało się, że nie ma konkretnego wieku, choć w toku mej służby dowiedziałem się, że jest o kilka miesięcy młodszy ode mnie. Miał ogoloną na łyso głowę, której kanciaste kości niemalże wypychały skórę. Przypomniałem sobie żarcik Aeneasa, który napomknął, że myśli mogą rozsądzić głowę mojego pracodawcy. Czyżby w tym powiedzeniu tkwiło ziarno prawdy? Rękawy jego sutanny były poplamione inkaustem, lecz dłonie pozostały zaskakująco czyste.

Aeneas nie zwlekał, tylko od razu przeszedł do sedna.

– Oto Johann, o którym księdzu opowiadałem. Johannie, mam zaszczyt przedstawić ci Nicholasa Cusanusa.

Ukloniłem się lekko i spałem w oczekiwaniu na nieuniknione pytania o moją przeszłość.

– Umiesz pisać?

– Zna łacinę lepiej niż Cycero – odpowiedział za mnie Aeneas. – Wiesz, jakie były pierwsze słowa, które do mnie wyrzekł, wyłowiwszy mnie z rzeki? Powiedział...

– Weź pióro i notuj to, co ci podyktuję. – Nicholas odepchnął krzeselko i wstał. Prawie nie patrząc, wziął kubek i napił się wina. Nie zauważyłem, czy połknął muchę. Usiadłem na jego krześle, zaostrzyłem nożem pióro i naciąłem je. Ręce trzęsły mi się tak mocno, że omal nie rozpołowiłem pióra.

Nicholas obszedł biurko i stanął do mnie tyłem, wciąż nie spuszczać oczu ze świętego obrazu.

– Ponieważ Bóg jest postacią doskonałą, w której wszelkie różnice się jednoczą, sprzeczności zaś zostają pogodzone, nie może w Nim istnieć różnorodność form.

Nicholas poczekał, aż zapiszę jego słowa. W jego milczeniu kryło się coś głębokiego, co uciszyło nawet Aeneasa. Jedyne słyszalny dźwięk stanowiło skrzypienie mojego pióra. Poczułem swędzenie potu na policzkach, usiłując

przypomnieć sobie, jak formułuje się wyrazy. Od dziesięciu lat prawie nie miałem pióra w ręku. Jeśli zaś chodzi o pamiętanie wypowiedzianych przez Nicholasa słów, czułem się, jakbym kroczył po omacku. Absolut. Słowa osaczyły mnie niczym mgłą.

Gdy tylko odłożyłem pióro, Nicholas odwrócił się błyskawicznie i wziął arkusz do ręki.

– Ponieważ Bóg jest doskonałą postacią, w której wszystkie różnice są różne, a wszystkie sprzeczności zjednoczone, nie może On istnieć. – Kapłan cisnął arkusz na bok. – Wiesz, co znaczą moje słowa?

Pokręciłem głową. Zrobiło mi się gorąco. Pragnąłem tylko jednego: znaleźć się znów w rzece i poczuć na skórze dotyk chłodnej wody.

– Oznaczają one, że Bóg jest jednością wszystkich rzeczy. Zatem nie może być w Bogu różnorodności, a z całą pewnością nie może być różnorodności, gdy o Bogu piszemy. Różnorodność prowadzi do błędu, błąd zaś do grzechu. – Nicholas odwrócił się do Aeneasa. – Potrzebuję kogoś, kto będzie notował moje słowa tak, jakby to mój język zapisywał je na kartce.

Aeneas był głęboko zawiedziony. Nie należał jednak do tych, którzy łatwo wyrzekają się entuzjazmu.

– Nawet święci w niebie mieliby trudności z uchwyceniem twoich słów. Johann wyszedł z wprawy, poza tym oszołomił go twój intelekt. Pozwól mu spróbować raz jeszcze.

Nicholas odwrócił się w stronę obrazu. Nie patrząc, czy jestem gotowy, zaczął ponownie dyktować:

– Panie, widzieć Ciebie oznacza miłować. Tak jak Twój wzrok czuwa nad mną z wielkiej oddali i nigdy nie zbacza, tak samo jest z Twoją miłością. A ponieważ miłość Twoja zawsze przy mnie jest, Ty, którego miłość jest niczym innym niż Ty, który mnie miłujesz, tak oto Ty zawsze jesteś przy mnie. Nie opuszczasz mnie, Panie, lecz strzeżesz mnie na każdym zakręcie z najczulszą troską.

Kapłan zapewne mówiłby dalej, lecz moje pióro przestało się poruszać. Spoczywało w zapomnieniu nad niedokończonym zdaniem, a po mojej twarzy spływały łzy. Czułem się jak dureń albo coś gorszego niż dureń, ale nie umiałem nad sobą zapanować.

Słowa Nicholasa niczym młot jednym uderzeniem zdruzgotały mur, którym otoczyłem swoją duszę. Ich echo rozbrzmiewało we mnie, wprawiając w drżenie same fundamenty mojego jestestwa. Czułem się obnażony przed obliczem Boga.

Aeneas stał na środku pokoju i patrzył na to z zaskoczeniem, lecz bez gniewu. Minę Nicholasa trudniej było odczytać. Jego wiara była gorąca, ale z emocjami w małej ludzkiej skali nie umiał sobie radzić. Widziałem zdumienie w jego oczach, niemożność znalezienia właściwej odpowiedzi. Ratunek podsunęła mu procedura, której mnie poddał. Wziął papier ze stołu i szybko przeczytał. Niewiele było do oglądania. Spodziewałem się, że wyrzuci kartkę, a mnie wraz z nią.

Zmarszczył czoło.

– Teraz sprawiłeś się lepiej. Nie doskonale, gdyż zrobiłeś błąd ortograficzny w słowie *amandus* w trzecim wersie, ale widzę zdecydowaną poprawę. Można nawet powiedzieć, że jest obiecująco.

Podniosłem na niego oczy, w których obok łez błyszczała nadzieja.

– Zatrzymam cię przez tydzień. Jeśli zadowolisz mnie swoją pracą, zostaniesz u mnie do końca soboru.

Aeneas klasnął w dłonie.

– Mówiłem, że Johann nie sprawi ci zawodu.

I tak ja, złodziej, kłamca i rozpustnik, zacząłem pracować u jednego z najświętszych ludzi, jacy stąpali po ziemi.



Dla kapłanów uczestniczących w obradach nie był to, jak przypuszczam, czas szczęśliwości. Nie brakowało im ambicji; wielu, między innymi Aeneas, pragnęło ni mniej, ni więcej, tylko całkowitego podporządkowania papieża decyzjom rady. Cel ten jednak pozostawał nieosiągalny. Gromadzili się w komisjach i debatowali nad wnioskami, a następnie przekazywali je zgromadzeniu ogólnemu do ratyfikacji. Stamtąd rezolucje trafiały do papieża. Tej jesieni tak wielu posłańców krążyło w obie strony, że ich stopy zdołały wydeptać nową przełęcz w Alpach. Ja jednak nie zobaczyłem niczego, co zmieniłoby moje pierwsze wrażenie z pobytu w Bazylei: zbyt wielu było tam żebraków, a za mało ludzi bogatych, by obrady soboru miały istotne znaczenie.

Nie obchodziło mnie to. Nicholas dał mi zatrudnienie na czas trwania soboru, byłbym więc szczęśliwy, gdyby debatowali do dnia Sądu Ostatecznego. Byłem zadowolony ze swojego prostego losu. Przychodziłem codziennie do gabinetu Nicholasa i pilnie zapisywałem wszystko, co mi dyktował, a wieczorem wracałem do swojej kwatery i czytałem albo się modliłem. Sporadycznie, lecz nie często, spotykałem się w gospodzie z Aeneasem. Miał wiele zajęć, ustawicznie podejmował jakieś czynności w służbie swojej ambicji. Z przyjemnością słuchałem jego opowieści i nie zazdrościłem mu postępów w karierze. Ogarnęło mnie sielankowe poczucie, że ogromne fale ciskające mnie po świecie to w jedną, to w drugą stronę, odpłynęły.

Sobór obradował przez całą zimę. Na rzece pokazały się kry lodu twarde jak kamień; pewnego ranka zobaczyłem, jak jedna z nich uderza w barkę i kruszy ją na pół. W gabinecie Nicholasa owijałem sobie dłonie szmatami, żeby móc uchwycić pióro. Mój pan nigdy nie zauważał chłodu. Dzień w dzień stał, wpa-trując się w obraz. Jedynym jego ustępstwem na rzecz zimy był futrzany szal, który pojawił się na sutannie.

– *Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo**.
Wiesz, od czego zaczęło się psuć, Johannie?

* J 1, 1.

Gdy Nicholas do mnie przywykł, jego wykłady nieco upodobniły się do konwersacji. Traktował mnie jak kowadło, na którym wykuwają się jego koncepcje. Podobnie jak kowadło nie rozumiałem złożoności dzieła tworzego na moich plecach, lecz mimo to spełniałem swoją funkcję.

– Co zapoczątkowało upadek? Może wąż w Raju?

– Dla ludzkości bez wątpienia tak. Wszelako grzech Adama polegał na nieposłuszeństwie, nie na ignorancji. – Nicholas przesunął się w stronę okna. Jego sylwetka ukazała się na tle surowego zimnego światła. – Największym ciosem w Słowo, gdy świat był wciąż młody, stała się katastrofa miasta Babel. Gdy ludzie przestali rozumieć jeden drugiego, jak mogli zrozumieć Słowo?

– Zdawało mi się, że wieża Babel była obrazą Boga.

– Ona przybliżała budowniczych do Boga. Grzechem, za który Bóg ich ukarał, nie była ambicja, lecz jej przerost. Spójrz, jak rozszerza się teraz owo

dziedzictwo. Jaki jest pierwszy owoc herezji głoszonej przez husytów i zwolenników Wiklefa? Milczałem. To także należało do moich obowiązków.

– Nauczają, że Biblię powinno się podzielić i przekazywać po angielsku, czesku, niemiecku lub w każdym innym języku, jaki im odpowiada. Wyobraź sobie pomyłki, bolesny zamęt i spory, które z tego wynikną. – Nicholas wyjrzał przez okno na wieżę katedry, w której obradowało zgromadzenie ogólne soboru. – Pan Bóg wie, że i bez tego znajdujemy wystarczająco wiele powodów do kłótni.

Spojrzał na święty obraz na ścianie.

– Bóg jest doskonałością. Jak ci już kiedyś powiedziałem, nie ma w Nim miejsca na różnorodność. Dlaczego zatem tolerujemy różnorodność w Kościele? Nie możemy nawet ustalić jednej liturgii. Każda diecezja ma swoje obrzędy i modlitwy i dąży do tego, by jej rytuał był wspanialszy od rytuału sąsiada. Sądzą, że w ten sposób zasłużą sobie na większą przychylność Boga, w istocie zaś pogłębiają podziały w Jego Kościele.

Moje pióro zawisło nad biurkiem. Krople inkaustu kapały na kartkę.

– Mam to zapisać?

Nicholas westchnął.

– Nie. Napisz tak: Musimy mieć wzgląd na ludzkie słabości, jeśli nie stoją one na drodze ku wiecznemu zbawieniu.

□ □ □

W południe mój pan zwolnił mnie na obiad. Tego dnia umówiłem się na spotkanie z Aeneasem – nie rozmawialiśmy od dwóch tygodni – spieszyłem więc ulicą do karczmy pod szyldem tańczącego niedźwiedzia. Był to wesoły, tętniący życiem przybytek ukryty w piwnicach pod składem sukieniczym nad rzeką. Od łukowatego sklepienia odbijały się śmiechy i piosenki; nad paleniskiem na rożnie obracał się wieprzek. Tłuszcz skapywał do ognia i zamieniał się w smugi dymu.

Szukałem Aeneasa w wielu salach, lecz nie zdołałem go znaleźć. Często się spóźniał, lecz nikt nigdy nie miał mu tego za złe. Kupiłem sobie kufel piwa i przycupnąłem na końcu ławy. Większość stołu zajęła grupa kupców ze Strasburga; rzucili mi parę słów na powitanie, a później nie zwracali na mnie uwagi.

Jeden rzut oka na moje odzienie powiedział im, że nie mam nic cennego na sprzedaż.

Urozmaicałem sobie czekanie, obserwując gości. Zauważyłem paru znajomych – księdza z Lyonu oraz dwóch braci narodowości włoskiej sprzedających papier, którego mój mistrz tak swobodnie używał – lecz nie było nikogo, z kim chciałbym porozmawiać. W piwnicy panowało ciepło; piwo mieszano tam z ziołami i miodem.

Wtem go zobaczyłem. Siedział na ławce dwa stoły dalej, połowicznie uczestnicząc w rozmowie z paroma złotnikami. W jednej ręce trzymał kufel piwa, a w drugiej ogromny kawał wieprzowiny, którą pochłaniał ogromnymi kęsami. Rozmazany tłuszcz błyszczał wokół jego warg w blasku świec, a podpuknięte oczy śledziły salę z podejrzliwą niechęcią, która przez dziesięć lat ani trochę się nie zmniejszyła. Tyle bowiem upłynęło od czasu, gdy bijał mnie w warsztacie Konrada Schmidta. Był to Gerhard.

Powinienem był momentalnie odwrócić wzrok i liczyć na to, że dawny prześladowca mnie przeoczy, ja jednak byłem zbyt zszokowany. Patrzyłem niczym królik schwyty w potrzask. Rzadkie włosy Gerharda jeszcze bardziej odsłoniły czaszkę, ukazując czerwoną jak po oparzeniu skórę na czubku głowy. Przygarbił się, być może od schylania się przez długie lata nad paleniskiem pieca. Ale to na pewno był on. Skoro ja go rozpoznałem, to i on mnie rozpoznał.

Nasze oczy się spotkały. Przeklinałem się za zgolenie brody, która mogłaby mnie zamaskować. Dotknąwszy pielgrzymiego zwierciadła, które nosiłem w sakiewce, modliłem się o to, aby dziesięć lat cierpienia zmieniło moją twarz tak, by Gerhard nie zdołał jej rozpoznać. Jednak Aeneas zbyt pieczołowicie przywrócił mnie do życia. W oszołomieniu patrzyłem, jak zaskoczenie na twarzy wroga zamienia się w niedowierzenie, a następnie w pewność. Oraz w poczucie triumfu.

Gerhard odepchnął ławkę i wstał. Spojrzałem na palenisko i świnie obracającą się nad płomieniami wśród kapiącego tłuszczu. Wiedziałem, że właśnie to mnie czeka, jeśli prześladowca doniesie o mojej zbrodni.

Pokojówka z tacą pełną kufli znalazła się przed Gerhardem, blokując mu drogę. Ten cofnął się i w tej samej chwili podjąłem decyzję. Zerwałem się z

ławki i pomknąłem do schodów, nie bacząc na to, że zwracam na siebie uwagę. Gorący tłuszcz oparzył mnie w rękę, gdy mijałem palenisko. Wzdrygnąłem się, lecz przepelniał mnie strach przed spotkaniem z Aeneasem. Nie mogłem znieść myśli o tym, że dowie się, jakiemu człowiekowi dopomógł.

Wypadłem na ulicę i popędziłem wąską alejką prowadzącą do katedry. Dotarłszy do rynku, skręciłem za straganem garbarza i zawróciłem ku rzece. Biegłem niemal opustoszałą uliczką wzdłuż szeregu warsztatów. Gdyby Gerhard za mną pogonił, teraz bez trudu mógł mnie zobaczyć.

Znalazłem się na nabrzeżu pod mostem. O tak wczesnej porze roku niewiele łodzi wypuszczało się na rzekę, lecz ku mojej ogromnej uldze u stóp schodów ujrzałem niewielką barkę, której szyper właśnie rzucał cumy. Zatrzymałem się raptownie na krawędzi kładki.

- Dokąd zmierzasz?! – zawołałem.
- Do Akwizgranu, a stamtąd do Paryża.

Odpowiedział mi nie szyper, lecz jeden z pasażerów. Mężczyzna miał na sobie krótki płaszcz podróżny z kapturem, w rękę trzymał zaś długą laskę. Jeśli barka ma go zawieźć do Akwizgranu, przez kilka tygodni nie będzie musiał robić ani kroku. Obok niego na dziobie barki zgromadziła się niewielka grupka mężczyzn i kobiet ubranych jak na pielgrzymkę.

Zerknąłem nerwowo przez ramię. Czy Gerhard już przyzywa strażników i opowiada, jakiego to zbrodniarza wpuścili do miasta?

- Mogę się do ciebie przyłączyć?

Pielgrzym zamienił kilka zdań z towarzyszami, a następnie spojrzał na szypra. Ten wzruszył ramionami.

- Jeśli zdołasz dołożyć dwa srebrne pensy na pokrycie kosztów podróży.

Zbiegłem po schodkach i wskoczyłem na pokład łodzi. Wsunąłem dłoń do sakiewki i wyłowilem dwie monety, które stanowiły większą część jej zawartości. Nie miałem przy sobie nawet kapelusza.

Szyper posłał mi dziwne spojrzenie, lecz nic nie powiedział. Wybrał linę i tyczką odepchnął barkę od nabrzeża. Prąd zaczął ją nieść. Usiadłem na dziobie tyłem do miasta i nie obejrzałem się za siebie.

XVII

Królestwo Iskiard

Karczma wznosiła się na wichrowym pagórku nad wielką rzeką, wysoka i pochyła, tak jak otaczające ją drzewa. Wiszący na szczycie dachu szyldek kołysał się niczym pętla na wietrze. W oddali na tle zachodzącego słońca rysowały się sylwety czterech warowni strażników czuwających nad królestwem, w którym z wolna zapadała ciemność. Samotny wędrowiec przyspieszył kroku, stukając kosturem w nawierzchnię traktu. Nie chciał przebywać pod gołym niebem po zmroku, gdy wargowie wychodzili na łów.

Wszedł po stopniach i wkroczywszy do karczmy, rozejrzał się, nie unosząc ciemnego kaptura. Świece się dopalały, a ogień w palenisku nie dawał rady mrokowi. Trzech wojowników w kolczugach siedziało, popijając miód z rogów i chępiąc się swoimi czynami. W rogu dwóch kupców, z których jeden był karłem, po cichu liczyło monety. Poza tym w pomieszczeniu nie było nikogo prócz stojącej za ladą dziewczki w bluzce z głębokim dekoltem. Szynekarka podeszła, by obsłużyć gościa.

- Rzeknij, czego pragniesz, nieznajomy?
- Poszukuję Urthreda Nekromanty.

Twarz dziewczyny nie zdradzała lęku, lecz jej głos przepelniał trwoźny podziw.

- Urthred nie opuszcza swojej komnaty na piętrze. Strzeż się tych, którzy go pilnują, o nieznajomy.

Wędrowiec skinął głową. Zbliżył się do krętych schodów i ruszył na górę. Minął okienka zasnutę pajęczynami oraz pociemniałe ze starości drzwi i znalazł się w ciemnym korytarzu. Przez okna na kamienną posadzką wpadały smugi

księżycowego światła. Na końcu korytarza były drugie drzwi, przed którymi jaśniał terkoczący motek niebieskiej wełny.

Przybysz zrobił krok w jego stronę i nagle stanął. Zdawało mu się, że usłyszał jakiś szmer.

– *Ni-jaar!* – wrzasnęła postać, która wychynęła z cienia. Wędrowiec zdołał jedynie dostrzec zakrzywiony nos i krwiożercze kły. Ostrze miecza zaślniło w blasku księżyca. Jednak przybysz był herosem, który stoczył w swojej krainie tysiąc bitew. Wykonał unik i nastawił kij niczym lancę skierowaną prosto w środek ciała przeciwnika. Odrzucony do tyłu goblin stracił równowagę. Wędrowiec zrobił krok do przodu, wykonał zamach i dwoma szybkimi ciosami kostura uwolnił się od wroga.

– Kto zakłóca spokój Nekromanty?

Dochodzący znikąd głos zadudnił w uszach przybysza. Nitki światła w końcu korytarza pulsowały niczym struny harfy.

– Nicholas Wędrowiec. – Mężczyzna podciągnął rękaw płaszcza, obnażając znak Bractwa wypalony na nadgarstku. – W imię Faranga wzywam cię, byś pozwolił mi wejść.

Kamienna komnata tonęła w półmroku oświetlana jedynie blaskiem księżyca oraz dwiema naftowymi pochodniami przytwierdzonymi do ściany. Sklepienie było tak wysokie, że belki, na których nietoperze urządziły sobie grzędę, pozostawały prawie niewidoczne. Wszystkie kąty ciemnej komnaty wypełniały przyrządy magiczne i alchemiczne: retorty, flakony, słoje ze smoczym zielem oraz włosiem jednorożca. Za kamiennym stołem, mierząc nieproszonego gościa przesywającym spojrzeniem, siedział starzec w poszarpanym szarym płaszczu. Jego białe włosy otaczała srebrna opaska. Był to Urthred Nekromanta.

– Nicholas Wędrowiec. Minęło wiele księżyców od chwili, gdyś przekroczył próg tych krain.

– Przepraszam – odparł Nick. – Miałem trochę zajęć.

Twarz Urthreda pozostała nieporuszona, lecz Nick wiedział, że gospodarz nie lubi impertyncji.

– Wybacz, ale nie mam czasu na formalności. Muszę z tobą pogadać.

– Dlaczego nie sięgnąłeś po telefon? To nie jest chat room.

– Nie chciałem zostawiać śladów.

Urthred westchnął.

– Robota znów wpędza cię w paranoję?

– Wczoraj wieczorem zamordowano mojego współlokatora.

Mówienie do awatara to niepokojąca czynność. Próżno dopatrywać się w cyfrowej twarzy oznak współczucia czy zaszokowania. Pozbawione wyrazu oczy spoglądały na Nicka.

– O cholera, przykro mi. – Ostentacyjnie brytyjski akcent Urthreda ustąpił miejsca akcentowi ze środkowego zachodu Stanów Zjednoczonych. Maniak komputerowy o imieniu Randall mieszkał w okolicach Chicago. – Jak to się stało?

Nick opowiedział całą historię, zaczynając od e-maila Gillian. Uzupełnił ją informacjami na temat karty.

– Jeśli jest prawdziwa, ma pewną wartość. Ale równie dobrze może być podróbką.

– Chcesz, żebym się jej przyjrzał?

– Zrób to, proszę cię.

Wędrowiec sięgnął do płaszcza i wyjął coś, co wyglądało jak ogromna szklana kula do gry wypełniona wirującymi tumanami kolorowej mgły. Podał ją Urthredowi, ten zaś umieścił kulę na półce obok podobnych. Gdzieś w parku serwerów w Oregonie lub w Chinach plik komputerowy został skopiowany i przeniesiony ze skrzynki Nicka do skrzynki Randalla.

– Zaraz go prześwietlę.

Awatar Randalla znieruchomiał, gdy właściciel się wylogował. Po kilku sekundach Nekromanta zaczął się wiercić i machać ramionami; był to swoisty humanoidalny wygaszacz ekranu. To dziwne, pomyślał Nick. Na ekranie nic się nie zmieniło, lecz świadomość, że Randall nie spogląda nań spoza elektronicznego oblicza, sprawiła, że poczuł się samotny w wyimaginowanej komnacie. Było to tym bardziej dziwne, że nigdy nie widział prawdziwego Randalla.

Poznali się parę lat temu jako uczestnicy sympozjum internetowego. Randall wyrobił sobie nazwisko, przekonując sędziego, że zamieszczona przez tabloid fotka supermodelki wchodzącej do kliniki antynarkotykowej została spreparowana. Modelka otrzymała od gazet nieujawnioną sumę, a Randall zdobył sławę jednego z czołowych specjalistów w swojej dziedzinie. Według

pogłosek pochodzących z dobrze poinformowanych źródeł inkasował również sporą część odszkodowań. Ordynarna plotka głosiła zaś, że Randall otrzymał także bardziej osobiste wyrazy wdzięczności od klientki.

– Rzetelność cyfrowych materiałów dowodowych stanowi jedno z największych wyzwań dla wymiaru sprawiedliwości w dwudziestym pierwszym wieku – oznajmił w czasie konferencji. – Przy użyciu aparatu za pięćdziesiąt dolarów i komputera można sfalszować niemal wszystko. Istnieje jednak nadzieja. W chwili gdy zmieniasz cyfrowy obraz, zostawiasz na nim odciski palców. Prawie nie sposób połączyć realistycznie dwóch obrazów, nie obracając jakichś elementów i nie zmieniając ich rozmiarów. Są to manipulacje matematyczne, które pozostawiają ślady, tak jak kamień rzucony do stawu pozostawia fale na wodzie. Gdyby dokonać wstecznych pomiarów wysokości, długości i prędkość tych fal, można byłoby określić, gdzie spadł kamień i jaki był duży. Zasada jest taka sama.

Owa zasada wymagała tegiej znajomości matematyki potrzebnej zarówno do składania w całość prawdziwych dokumentów, jak i do wykrywania fałszerstw. Nick wysłał później e-mail Nekromancie, aby podzielić się wrażeniami z sympozjum. Od tego czasu sporadycznie ze sobą współpracowali. Randall wciągnął Nicka do Gotyckiej Jaskini. Przez kilka miesięcy niemal co noc wspólnie wędrowali po internetowym królestwie fantazji: zabijali smoki, ratowali księżniczki i zdobywali zamczyska pełne niewyobrażalnych bogactw. Później Nick zamienił towarzystwo księżniczek na Gillian.

Nimb światła otoczył Urthreda Nekromantę, gdy ten ponownie się ożywił.

- Trafiłeś na coś?
- Znalazłem same śmieci.

Spędziwszy wiele godzin w oczekiwaniu na werdykt komputera, Nick wiedział, że lepiej nie spodziewać się zbyt dużo. Teraz jednak nie chodziło o zabawę. Ze zdenerwowania nacisnął myszkę, przypadkowo posyłając Wędrowca w ciemny kąt komnaty Urthreda.

- Nie chodzi o algorytm. Obraz jest kompletnie pomieszany.
- Co chcesz przez to powiedzieć? – Nick przeprowadził Wędrowca na środek komnaty. – Plik jest uszkodzony?
- Tu nie chodzi o plik.

Nick uświadomił sobie poniewczasie, że Randall usiłuje mu coś przekazać.

– Pamiętasz analogię z falami na powierzchni stawu? Wyobraź sobie, że bierzesz próbkę, a tu się okazuje, że staw nawet nie jest wodą. To właśnie chcę ci powiedzieć.

– Ale ja...

– Ktoś majstrował przy pliku. Obraz wciąż w nim jest, widzę go wyraźnie. Ale pod spodem dzieje się coś, co kompletnie zmieniło kod pliku.

Dopiero teraz Nick zrozumiał.

– Szyfrowanie.

– Otóż to. Ktoś wpakował do pliku coś, czego nie widać, kiedy patrzy się na obrazek. Składa się na niego ponad pięć milionów pikseli, z których każdy jest zapisany w postaci pięciu znaków. Wystarczy zmienić garść z nich tak, by liczby i litery składały się na wiadomość, i możesz ukryć w pliku ciąg tekstu tak, aby nikt o tym nie wiedział. Będzie niewidoczny dla oka.

Nick wiedział, na czym to polega, gdyż zetknął się z podobnym zabiegiem. Czemu na to nie wpadłem? – pomyślał.

– Gillian mogła wiedzieć, jak wykonać taką operację?

– Jasne. Istnieje sporo programów do tego służących. Zbadaj, z którego korzystała, przepuść przez niego plik i odzyskasz dane. Wydaje mi się jednak, że są zabezpieczone hasłem.

Niedźwiedź jest kluczem.

– Zaraz się do tego zabiorę. – Nick poczuł nadzieję po raz pierwszy od chwili, gdy na ekranie ukazało się podświetlone imię Gillian.

– Możesz także wykorzystać jej adres IP – podsunął Randall. – Gdzie była?

– Połączyła się ze mną przez Dzwonek. Peer-to-peer. Myślałem, że takiego łącza nie da się namierzyć.

– Ktoś musiał to zrobić. – Urthred odwrócił się i spojrzał na Nicka. – W przeciwnym razie by cię nie znaleźli.

□ □ □

Na ekranie komputera Nicholas Wędrowiec oparł się na kosturze i spoglądał na zalaną księżycowym światłem komnatę Nekromanty. W ruchliwej

kawiarence internetowej Nick wyprostował się na wysokim stołku z nierdzewnej stali. Lokal był zapełniony; brakowało w nim czarodziejów i karłów, lecz kręciły się tam wszelkie typy ludzkie. Filipińczycy i Hindusi rozmawiający przez Internet z rodzinami, podróżujący z plecakami turyści z Europy wzbogacający swoje blogi, młodzi Meksykanie grający w counterstrike'a. W tym miejscu rozbrzmiewała nieskończenie mała część rozmów biegnących po łączach i na falach radiowych całego świata. Tymczasem ktoś zdołał w tym zgiełku wyłowić wiadomość od przerażonej dziewczyny w Europie skierowaną do mieszkania w Nowym Jorku. Nick zerknął przez ramię. Jakiś Koreańczyk z fryzurą na zapalną i dołeczkami w policzkach czekał na wolny komputer. Czy znam skądś tę twarz?

– Jesteś teraz w domu? – spytał Randall przez słuchawki.

Nick pokręcił głową, lecz zaraz sobie przypomniał, że Randall go nie widzi.

– Mój dom to miejsce zbrodni. Nie mam tam wstępu.

– To może ci wyjść na zdrowie. – Urthred obszedł stół i stanął na wprost Wędrowca. – Musisz się pilnować. Zajmujemy się tymi sprawami, traktujemy nielegalny materiał jak papier, fotky i liczby. Ale tu chodzi o coś rzeczywistego. To są prawdziwi ludzie i prawdziwe pociski. Nie daj się udupić.

– Będę uważał.

Nick nacisnął klawisz Escape i opuścił Gotycką Jaskinię. Znalazł się w świecie, w którym grozę budzi coś gorszego niż potwory.

XVIII

Paryż, 1433

Aeneas powiedział kiedyś, że ludzkie życie to czysta kartka, na której Bóg pisze, co zechce. Wszelako papier musi zostać uformowany, zanim przyjmie atrament. Rozmyślałem o tym, czekając w warsztacie papiernika. Izba cuchnęła wilgocią i zgnilizną niczym skład jabłek pod koniec zimy. Przy stole siedziała kobieta z nożem i cięła na maleńkie skrawki mokre szmaty leżące przed nią na kupce. Trafiały do drewnianej kadzi, a dwóch uczniów długimi wiosłami ubijało je na miazgę. Każdą odstawiano na tydzień, by szmaty zbutwiały, a następnie ubijano ponownie tak długo, aż postać szmat całkowicie zanikła. Wtedy mistrz czerpał maź do drucianej formy, wyciskał ją na prasie i utwardzał klejem. Później tarł ją pumeksem, aby była gładka dla pióra. Tak musi się rozpuścić ludzkie życie i odbudować ponownie, by mogła na nim zostać zapisana część boskiego planu.

Papiernik przyniósł mi owinięty sznurkiem zwój. Jeden z uczniów przykręcił śrubę prasy. Rozległ się siorbiący odgłos, który towarzyszył wylewaniu się wody z mokrego papieru na ułożony w przetykane warstwy filc. Wyobraziłem sobie, że woda jest inkaustem, a słowa są wyciskane z papieru i pozostaje czysta kartka na przeznaczenie.

Twój pan nie daje ci wytchnienia – zauważył papiernik, przyjmując ode mnie monety.

Wzruszyłem ramionami.

– Sprzedajemy zbawienie grzesznikom i wiedzę ignorantom. Nigdy nie brakuje nam klientów.



Zaniosłem papier do naszej pracowni, przekraczając most tak zabudowany domami, że nie widziało się rzeki. Jediną oznaką istnienia wody był pomruk kół młyńskich w łukach pod powierzchnią mostu. Z katedry Notre Dame śledził mnie uważny wzrok dwudziestu ośmiu królów Izraela wykutych na jej fasadzie. Ponownie przeszedłem na drugą stronę niewidzialnej rzeki i wkroczyłem do labiryntu uliczek otaczających kościół Świętego Seweryna. Znalazłem się w cieniu uniwersytetu. To był mój dom. Gęsi puch i drobinki pergaminu unosiły się w powietrzu niczym śnieg; oddychając, wciągało się do płuc całe ich garście. Kopiści siedzieli przy otwartych drzwiach i oknach z otwartymi księgami ustawionymi na pulpitych; ilustratorzy powoływali nowe baśniowe bestie do życia w inicjałach i na marginesach rękopisów, a studenci w przetartych strojach targowali się ze sprzedawcami papieru, by zaoszczędzić na dziwki urzędujące przy rue St Jacques.

Pracownia znajdowała się w połowie ulicy. Płócienna markiza wisiała nad wystawionym na trakt stołem, na którym leżało kilka zniszczonych książek. Duży afisz przybity do ściany obok drzwi reklamował liczne specjalności piśmiennika: grube pismo gotyckie ze zdobnymi inicjałami, misterna kursywa z literami splecionymi niczym łodygi roślin, gęste minuskuły, które można odczytać jedynie za pomocą szkła powiększającego. Na narożniku domu figurka Minerwy przycupnęła na stosie książek i spoglądała z góry na ulicę.

– Ach, jesteś.

Olivier de Narbonne, piśmiennik, introligator i mój pracodawca, uniósł głowę znad Biblii, której widokiem sycił się wraz z klientem. Miałem iść na górę, by rozpocząć robotę, którą zobowiązałam się tego dnia wykonać, gdy Olivier skinął na mnie i wskazał klientowi.

– Jest tu twój krajan. Pozwól, że cię przedstawię Johannowi Fustowi z Moguncji.

Wiedziałem, że stamtąd pochodzi. Wiedziałem, gdzie mieszkał, do którego kościoła i do której szkoły uczęszczał. Był o dwa lata starszy ode mnie, choć

przetykane siwizną włosy wskazywały, że jest inaczej. Przemierzyłem całą krainę chrześcijaństwa, by uciec przed swoją przeszłością. Jedno nieszczęście puszczało w ruch następne jak w klockach domina. W paryskim warsztacie piśmienniczym ni stąd, ni zowąd pojawiła się twarz znana z mojego dzieciństwa i uśmiechała się do mnie dziwnie. On także mnie znał.

– Henchen Gensfleisch.

Przybysz zbliżył się do mnie i uściskał niezręcznie. Ja zaś odsunąłem się, szukając w jego twarzy oznak tego, że zna moją historię. Ukryłem strach przed Olivierem, który promieniał z radości. Po ucieczce z Kolonii nie dowiedziałem się, co o mnie mówiono i jak szeroko rozeszła się wieść o mojej zbrodni. Może Konrad zachował tajemnicę w trosce o syna. Twarz Fusta nie świadczyła o tym, że coś wie. Wyrażała jedynie szczere zdziwienie na widok starego znajomego, którego spotkał tak daleko od domu.

Odwzajemniłem uścisk.

– Miło cię widzieć.

Nigdy się nie przyjaźniliśmy. Ambitny i dalekowzroczny Fust wiązał się z kolegami pochodzącymi ze szlacheckich rodów, z chłopcami, których matki nie były sklepikarkami. Musiało mu się dobrze powodzić: jego granatowy ku-brak był uszyty z kosztownego materiału, oblamowany futrem i przetykany złotą nicią. Nie stanowił ostatniego krzyku mody, lecz mógł go nosić mężczyzna w starszym wieku zniecierpliwiony kapryсами współczesności.

– Co cię sprowadza do Paryża? – zapytałem.

Przybysz uniósł Biblię.

– Kupuję książki, które zabiorę do Moguncji.

– Nie myślałem, że zostaniesz księgarzem.

Fust uśmiechnął się, zaciskając usta.

– Zarabiam na życie tu i tam. Mam kilka interesów. A co u ciebie? Słyszałem, że wyjechałeś do Kolonii, by uczyć się złotnictwa.

– Okazało się, że to fach nie dla mnie. – Uśmiechnąłem się pustym uśmiechem. – Przybyłem do Paryża i pracuję jako kopista.

– Nie ma lepszego miejsca – orzekł z entuzjazmem gość. – Mnóstwo ksiąg, nadzwyczajna jakość. Skupuję wszystko, co się da. – Fust wskazał

wózek stojący przed pracownią. – Do wieczora go zapełnię i niebawem przybędę po więcej.

– Musisz wziąć tę Biblię – wtrącił Olivier. – Od każdego innego zażądałbym siedem złotych *ecus*, ale jako że kopiował ją twój przyjaciel, proponuję ci ją za cztery *sous* mniej.

– Ponieważ została przepisana przez mojego przyjaciela, zapłacę ci siedem *ecus*, pod warunkiem że różnica trafi do skryby.

– Naturalnie. W rzeczy samej spod jego ręki wyszło więcej książek. Pozwól, że ci pokażę...

– Nie dzisiaj. – Fust zamknął Biblię. – Czas nagli. Przed zmrokiem muszę odbyć jeszcze kilka spotkań, a jutro wyruszam w drogę do Moguncji. – Odwrócił się do mnie. – Wrócę wiosną.

– Może się wtedy spotkamy.

– Taką mam nadzieję. Zawsze dobrze jest zobaczyć znajomą twarz. – Ruszył do drzwi, lecz nagle coś sobie przypomniał i się zatrzymał. – Wybacz, że nie powiedziałem tego od razu. Przykro mi z powodu twojej matki.

Nie mogłem się doczekać, kiedy wyjdzie. Znaczenie jego słów mi umknęło.

– Mojej matki?

– Była zacną kobietą i chrześcijanką. Na jej pogrzeb przybyło wielu żałobników. Oby Pan Bóg przyjął ją do nieba.

□ □ □

Usiadłem przy biurku i chciałem przywołać łzy. Moja dusza łkała, lecz ciało było zbyt otępiałe, by jej odpowiedzieć. Nie widziałem matki od dnia, w którym wyruszyłem do Kolonii. Stała sztywno w szarym płaszczu na brzegu rzeki. Myślałem o niej w ciągu minionych dziesięciu lat, ale nieczęsto. Gdyby nie Fust, mógłbym przeżyć jeszcze długie lata w beztroskim przekonaniu, że matka jest wśród żywych. Nie wiedziałem nawet, czy to jej żałuję, czy wspomnienia życia, które dawno temu utraciłem. Czułem się tak, jakby wyschła we mnie głęboka studnia.

Zbyt wiele myśli kłębiło się w mojej głowie. Spojrzałem na biurko, pergamin, inkaust i książkę, które na mnie czekały. Praca nie zagoi ran, lecz przyniesie pociechę niemyślenia. Natarłem pergamin kredą, by go wybielić, a

następnie nakreśliłem na nim grube linie świadczące o staranności kopisty. Zostawiłem kratkę na pierwszy inicjał oraz dwa wiersze na tytuł.

Umieściłem księgę na pulpicie. Tom był cienki; nie zajmie dużo czasu. Zaostrzywszy pióro, otworzyłem dzieło i spotkał mnie trzeci wielki wstrząs tego dnia. Przed moimi oczyma stanął następny odprysk utraconego życia: krewki karzeł oraz księga cudów, którą sprzedał Konradowi Schmidtowi.

„Otworzyłem Księgi Filozofów i poznałem z nich ich ukryte sekrety”.

XIX

Nowy Jork

Pobieranie ukończone

Nick zerknął na ekran, obracając ostatni kawałek gofra na talerzu, by zebrać jak najwięcej syropu. Znowu schronił się w zaciszu neonowego baru i jadł pierwszy tego dnia prawdziwy posiłek. Zapadał zmierzch. Usiadł w narożnym boksie w końcu sali, czujnie obserwując wchodzących i wychodzących gości. Stanowili typową klientelę przychodzącą po godzinach pracy: finansiści w garniturach, sekretarki, paru studentów. Nikt nie zabawiał długo. Z szafy grającej obok baru dobiegały dźwięki piosenki *The Devil Went Down to Georgia* w wykonaniu Charlie Daniels Band.

Zlizawszy syrop z palców, Nick nacisnął klawisz laptopa.

Na pewno chcesz zainstalować program Cryptych?

Tak.

Był to trzeci program, którego Nick próbował. Darmowy, podobnie jak dwa poprzednie. Żuł koniec słomki, podczas gdy na ekranie wypełniał się pasek stanu instalacji.

Co pchnęło Gillian do zrobienia czegoś takiego? Kiedy się znali, nie była technofobką, lecz ilekroć rozmowa schodziła na tematy techniczne, jej twarz wyrażała zniecierpliwienie. Należała do tych ludzi, którzy chcą, by komputery działały bez ich znajomości rzeczy. Teraz znalazła drogę, aby zaszyfrować

dane w sposób, którego nawet Nick nie znał.

Chcesz teraz uruchomić program Cryptych?

Tak. Na ekranie otworzyło się nowe okienko, prosty interfejs z trzema równoległymi białymi polami. Nick kliknął środkowe.

Wybierz plik do odkodowania

Po kolejnych kilku kliknięciach w środkowym polu ukazała się karta z rysunkami ośmiu zwierząt. To była najłatwiejsza część zadania.

Wziąwszy głęboki oddech, Nick kliknął ponownie. Ekran zamigotał.

Wpisz hasło:

Udało się. Uradowany Nick trzasnął pięścią w stół. Pusty talerz zabrzączał na laminowanym blacie. Siedząca przy sąsiednim stole dziewczynka uniosła głowę znad porcji lodów, po czym wróciła do przerwanej zajęcia. Nick starał się wyciszyć w sobie nadzieję, która w nim kipiała.

Niedźwiedź jest kluczem.

Nic z tego nie będzie, pomyślał. Odsunąwszy talerz na bok, przyciągnął do siebie komputer, żeby nie pomylić się w pisowni. BEAR.

Hasło niepoprawne

Wpisz hasło:

Spróbował ponownie, tym razem pisząc słowo małymi literami. Niecierplive palce ślizgały się po klawiaturze. Dopiero za trzecią próbą wpisał poprawnie wyraz. Za każdym razem padała odmowna odpowiedź.

Nadzieja była trudna do zniesienia. Okienko czekało na właściwe hasło niczym dziurka na pasujący klucz. Gdyby tylko zdołał otworzyć drzwi... Próbował raz po raz, zmieniając litery z małych na duże i odwrotnie i dodając liczby: urodziny Gillian, rocznicę ich znajomości (jakkolwiek czuł, że to żałosne). Chciał wybić dziurę w ekranie, przedrzeć się przez ścianę pikseli i siłą wydostać ukryte za nią sekrety. Poznać przyczyny, dla których w ciągu trzydziestu

sześciu godzin jego życie zostało wywrócone do góry nogami.

Nałożył słuchawki i ponownie zalogował się do Gotyckiej Jaskini. Randall musiał czekać na połączenie. Zjawił się znikąd w chmurze iskier sekundę po nadejściu Nicka.

– Cryptych. Tak nazywa się ten program – wyjaśnił, na wypadek gdyby Randall się nie domyślił.

– Wiem. Rzuciłem okiem.

– Można go złamać?

Randall milczał przez chwilę.

– Program jest dość solidny. Nie wydobędziesz z niego błyskawicznie informacji bez podania hasła. Czy Gillian nie przysłała ci niczego, co pozwoliłoby otworzyć plik?

– Napisała „niedźwiedź jest kluczem”. – Nick zapisał zdanie. W zalanej księżycowym światłem komnacie Wędrowiec wyjął spod płaszcza zwój pergaminu i wręczył Nekromancie. – Rysunek przedstawia cztery niedźwiedzie. Może taki jest sens hasła?

Nick zmienił programy. W cyfrowej klatce cztery niedźwiedzie brykały obok lwów. Jeden kopał niewidzialną dziurę. Nick kliknął i na ekranie ukazała się budząca trwogę zachęta.

Wpisał „four”.

Hasło niepoprawne

Wpisz hasło:

– A może... – Randall myślał przez chwilę. – Powiedziałeś, że karty powstały w średniowieczu. Czy wtedy nie używano łaciny?

– Jak jest po łacinie „niedźwiedź”?

Urthred podszedł do zakurzonej półki i otworzył ogromny oprawiony w skórę tom spoczywający na pulpicie. Zaczął go przeglądać. Na swoim komputerze Randall otworzył stronę internetową.

– *Ursus* – odparł Randall, literując słowo. – I co?

Nick wpisał wyraz wielkimi literami, a potem małymi.

– Pudło.

– A może...

Do uszu Nicka przez słuchawki dobiegło stłumione popiskiwanie telefonu.

– Poczekaj. – Zdjął słuchawki i wziął do ręki aparat. – Tak?

– Hej, kolego – odezwał się jak zawsze wylewny Royce. – Mamy do ciebie parę pytań. Może byś do nas zajrzał?

Nick spojrział na zegarek. Jak gdyby widząc Nicka, Royce dodał:

– Nie teraz, bo właśnie wychodzę. Jutro rano. Zabierz ze sobą przyjaciela.

Kiedy Nick wszedł ponownie do gry, Urthreda nie było. Wędrowiec stał, trzymając w dłoniach nowy pergamin.

Musiałem się wyłączyć. Miłego polowania na niedźwiedzia.

Nick nawet się nie uśmiechnął. Zamówił jeszcze jeden napój i otworzył Cryptycha. Wpisywał wszelkie kombinacje słowa „niedźwiedź” oraz liczb i dat, jakie przyszły mu na myśl. W rogu ekranu zmieniał się czas. Sekundy mięły wraz z uderzeniami w klawisze. Może przerażona Gillian pomyliła litery w słowie *bear*? Wpisał „beat”, „neat” oraz „near”.

– Bez sensu.

Zatrzasnął pokrywę laptopa i zamachał ręką na kelnerkę. Rzuciwszy kartę kredytową na tacę, wpatrzył się w rozjaśnioną neonowym blaskiem przestrzeń. Kelnerka wsunęła kartę do czytnika. Zachęta do wpisania hasła wryła mu się w pamięć; będzie ją widział, kładąc się spać. Będzie mu tańczyła przed oczyma.

– Przepraszam pana...

Kelnerka podeszła z kartą. Nick sięgnął po długopis, żeby podpisać wydruk, lecz świstka nie było.

– Przepraszam pana, ale karta została odrzucona. – Oznajmiła to znużonym tonem, jakby wymieniała specjalności zakładu. Nick się zdziwił.

– Mogłaby pani spróbować ponownie?

– Próbowałam już trzy razy. Powinien pan skontaktować się z bankiem.

Ma pan inną kartę?

– Ile jestem winien?

– Dwadzieścia siedem siedemdziesiąt pięć.

Nick zjrzał do portfela. Miał dwudziestkę i dziesiątkę. Wyjął oba banknoty i położył na stole. Kelnerka obliczyła wysokość napiwku i pogardliwie nadmuchała balon z gumy.

– Miłego dnia.

□ □ □

Wróciwszy do hotelu, Nick natychmiast wybrał numer telefonu wydrukowany na odwrocie karty kredytowej. Po otrzymaniu informacji wystukał na klawiaturze komputera numer karty, a następnie rozciągnął się na łóżku przygotowany na czyściec długiego oczekiwania. Ku jego zaskoczeniu pracownica banku połączyła się niemal w tej samej chwili.

– Jak mogę panu pomóc, panie Ash? – zapytała po sprawdzeniu zabezpieczeń.

– Chciałem zapłacić kartą kredytową za posiłek i kelnerka oznajmiła, że karta została odrzucona.

– Kartę unieważniono, proszę pana.

– Jak to „unieważniono”?

– Przed trzema godzinami otrzymaliśmy zgłoszenie o jej kradzieży.

– O kradzieży? – Nick zachodził w głowę, co się stało. – Kto tak powiedział?

Po drugiej stronie rozległo się stukanie w klawiaturę.

– To pan zgłosił kradzież.

Nick osunął się na łóżko. Czuł się jak cień sięgający po rzeczy, których nie może uchwycić.

– Karty nie było w portfelu, więc uznałem, że została skradziona. Wygląda na to, że spanikowałem. – Czy przyznanie się do winy wypadło przekonująco?

– Ale ją znalazłem. Można ją reaktywować?

– Przykro mi, ale nie da się reaktywować unieważnionej karty. Powinien pan otrzymać następną w ciągu siedmiu do dziesięciu dni roboczych.

Nick zakończył połączenie. Drżał. Jak ci nieznani „oni” tego dokonali? Zadzwonili do banku i tak po prostu unieważnili część jego życia?

A może nikt nie zrobił tego specjalnie. Operatorzy kart kredytowych popełniają błędy, może unieważniono niewłaściwą...

Podegrali mu kartę, gdy zameldował się w hotelu. Czy będzie to widoczne na wydruku? W takim razie znają miejsce jego pobytu. A czy komórka jest bezpieczna? W Nowym Jorku znajduje się mnóstwo stacji bazowych, więc jeśli mają tak dobre dojścia, momentalnie go namierzą.

Oni.

Zsunął się z łóżka. Musiał wydostać się z hotelu. Nie miał nic do spakowania poza laptopem i wilgotnymi ubraniami, które miał na sobie wczoraj, leżącymi na kanapie w kącie. Wcisnął je do torby na pranie, którą znalazł w szafie. Zgasił światło, a następnie znów zapalił. Ktoś mógł obserwować pokój.

Wyszedł na korytarz. W drugim końcu obok windy boy hotelowy z wózkiem stał przed drzwiami pokoju. Usłyszawszy otwieranie drzwi, odwrócił głowę i obserwował Nicka o sekundę dłużej, niż było to konieczne.

Czy on jest jednym z nich? Rozpoznał mnie? Z nagłym zakłopotaniem Nick uzmysłowił sobie, jak wygląda: nieogolony, nieuczesany, z laptopem przewieszonym przez jedno ramię i workiem na pranie na drugim ramieniu. Nic dziwnego, że tamten spoglądał nań podejrzliwie.

Niewidoczny gość otworzył drzwi. Boy hotelowy wepchnął wózek do pokoju, znów rzucając w stronę Nicka podejrzliwe spojrzenie. Gdy tylko zniknął z widoku, Nick schował się do swojego pokoju. Oparł się o ścianę. Był roztrzęsiony, na jego czole zebrały się kropelki potu.

Bez zapłacenia rachunku nie wymelduje się z hotelu. Wtedy Royce naprawdę go zamknie. Nie może jednak zapłacić bez karty. Jeśli tamci go obserwują, natychmiast dowiedzą się, że opuścił hotel. Dokąd pójdzie? Miał znajomych, lecz ilekroć o nich pomyślał, przypominał sobie Breta leżącego bezwładnie na fotelu. Nie wolno mu narażać nikogo na ten sam los.

Zamknął dokładnie drzwi na zamek, wsunął łańcuch do gniazda i podstawił krzesło pod klamkę. Sprawdzał, czy okna się nie otwierają. Rozebrał się i położył do łóżka.

Sen długo nie nadchodził, a kiedy już przyszedł, nie przyniósł odpoczynku. Nickowi śniło się, że pędzi przez gęsty splątany las, jakby żywcem wyjęty z Gotyckiej Jaskini, goniąc niewidzialnego zwierza, który głośno przedzierał się przez podszyt lasu. Nick mknął szybko, lecz ani trochę się nie zbliżał. Las

rozbrzmiewał hałasem, inni myśliwi także ścigali tę samą zwierzynę – a może Nicka? Wiedział, że Royce jest wśród nich. Przyspieszył kroku, potykając się na kamieniach i kalecząc sobie twarz o gałęzie.

Wybiegł na polanę wyglądającą jak długa łąka kończąca się u stóp wysokiego urwiska. Dostrzegł swoją zdobycz. Niedźwiedź o czarnym grzbiecie śmigał przez wysoką trawę długimi zygzakowatymi susami.

– Zastrzel go – powiedziała stojąca obok Gillian. Do tej pory jej nie widział. – Niedźwiedź jest kluczem.

Nick spojrział w dół i zobaczył strzelbę w dłoni. Była zadziwiająco ciężka. Miał okropne wrażenie, że robi coś złego, ale nie wiedział, co to może być. Uniósłszy broń, wymierzył do niedźwiedzia, który zwinął się w kłębek i drapał łapą, nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa.

– Biedny miś – rzekła Emily, która zjawiała się znikąd. Ale już było za późno; Nick pociągnął za spust. Jednak niedźwiedź nie był już niedźwiedziem, tylko Bretem. Osunął się na ścianę klifu, brocząc krwią.

Nadszedł brzask, a Nick od kilku godzin nie spał. I wciąż nie wiedział, jak brzmi hasło.

XX

Paryż, 1433

Mężczyzna w płaszczu stał na dziedzińcu kościoła, zerkając to na łuk, to na trzymaną w ręku książkę. Dla postronnego obserwatora – nie dla mnie – musiało to wyglądać na przejaw bogobojności. Ów obserwator pomyślałby, że książką jest Biblia albo modlitewnik. Ja jednak znałem prawdę.

Spędziłem pół nocy przy świeczce, kopiując książkę i drżąc z podniecenia na myśl o zdaniach spływających z mojego pióra na papier. Powiniennem był przekazać ją innemu skrybie; oznajmić Olivierowi, że nie mam czasu, i zrzec się wynagrodzenia. Ale nie mogłem. Słowa wsączały się we mnie i brały w posiadanie tak samo jak tamtej nocy w Kolonii. Od Oliviera dowiedziałem się nazwiska klienta: Tristan d'Amboise. Gdy zjawił się po swój rękopis, stanąłem przy schodach na zapleczu pracowni. Wyszedł, a ja podążyłem za nim aż do kościoła.

Ustawilem się za kamieniem nagrobnym i obserwowałem. Słońce zachodzące za wieżą kościoła Świętego Innocentego rzucało długi cień na ramiona mężczyzny. Siedem wielkich płyt zdobiło ogromny łuk nad bramą kościoła. Umieścił je tam Nicholas Flamel, mag, który zmieszał Rtęć z Czerwonym Kamieniem i uzyskał pół funta czystego złota. Ryciny powróciły do mnie niczym na wpół zapomniany sen: król z mieczem, krzyż i wąż, samotny kwiat na szczycie góry strzeżony przez gryfy. Po obu stronach łuku widniały namalowane na ścianie dwa szeregi kobiet w kolorowych sukniach. Zmierzały w stronę bramy w pełnej powagi procesji.

Skierowałem wzrok niżej. Tristan d'Amboise zniknął. Nie zdążyłem mru-
gnąć okiem, gdy mocna ręka oplótła moje ramiona i je unieruchomiła. Ostrze
noża dotknęło mej szyi. Jednocześnie poczułem na policzku zarost, gdy na-
pastnik przystawił usta do mojego ucha.

– Ktoś ty? Co tutaj robisz?

– Modłę się... – wyszeptałem. Bałem się, że jeśli przełknę ślinę, niezna-
jomy poderżnie mi gardło.

– Śledziłeś mnie od pracowni piśmiennika. W jakim celu?

– Księga – wykrztusiłem. Przewracałem oczyma, desperacko rozglądając
się za kościelnym bądź wikariuszem, który mnie ocali. Jednak dziedziniec ko-
ścioła był całkowicie pusty.

– Dlaczego?

– Wiem, czego szukasz. Chcę pomóc...

Mężczyzna odsunął nóż i obrócił mnie, trzymając mnie na długość ramie-
nia. Nóż pozostawał między nami.

– W jaki sposób?

Po raz pierwszy zobaczyłem coś więcej niż jego plecy. Był piękny. Miał
ciemne kędziory i białą jak mleko skórę, która łatwo się rumieniła. W jego
oczach płonął żar młodości. Mimo niebezpieczeństwa poczułem, jak długo
uśpiony demon budzi się w moich lędźwiach.

– Terminowałem u złotnika. Wiem, jak stapiać metale i oczyszczać je za
pomocą rtęci. Umieję wypalać je proszkami, kuć z nich blachę cienką jak po-
wietrze lub rzeźbić w nich mistyczne symbole. I poznałem tajniki złota.

Ostrze noża drgnęło. Mężczyzna zniżył głos, mimo że mogli nas usłyszeć
jedynie nieboszczycy.

– Znasz sekret Kamienia?

– Nie – przyznałem. Spojrzałem mu w oczy i zbliżyłem się, rzucając mu
wyzwanie. Albo opuści sztylet, albo mnie przebije. Ostrze powędrowało w dół.

– Pozwól mi sobie pomóc.

□ □ □

„Błądząc przez trzy długie lata lub mniej więcej tyle, w którym to czasie
nie trudniłem się niczym poza studiami i pracą, wreszcie znalazłem to, czegom
pragnął”.

Tak napisał Flamel w swojej księdze. Nie wytrzymałem trzech lat, lecz po sześciu miesiącach odkryłem jedynie owe błędy. Wydaje mi się, że im bardziej zagłębiałem się w arkana Sztuki, tym bardziej się od niej oddalałem. Mimo to nie umiałem zarzucić poszukiwań. Początkowo asystowałem Tristanowi przez jeden bądź dwa wieczory w tygodniu, lecz w te pierwsze odurzające dni wydawało się, że czynimy raptowne postępy, że sukces jest na wyciągnięcie ręki. Wieczory przerodziły się w długie noce. Spędzaliśmy je w kuźni, rozdzielani do pasa i spoceni. O brzasku przemykałem się do domu Oliviera. Mało spałem, toteż oczy zaczęły mnie zawodzić. Moje rękopisy stały się niemal nieczytelne. Były nędznymi imitacjami wspaniałych okazów spoczywających na wystawie. Podczas korekty Olivier wylewał na nie tyle czerwonego atramentu, że patrzyłem na to z zakłopotaniem.

Wkrótce zorientował się, jak mało czasu spędzam w łóżku. Musiało to nastąpić nieuchronnie. Za pierwszym razem, gdy nakrył mnie, jak wślizguję się do domu tuż po świcie, udzielił mi ostrzeżenia, żeby to się więcej nie powtórzyło. Za drugim razem zagroził, że wyrzuci mnie z domu. Za trzecim razem błagał, żebym nie pozbawiał się źródła utrzymania. Jego dobroć budziła we mnie większą niechęć aniżeli jego gniew. W głębi duszy wiedziałem, że mówi prawdę.

Odszedłem nazajutrz. Tristan dał mi izbę w swoim domu i od tej pory poświęcałem każdą godzinę, by odkryć sekret Flamela. Spałem tylko wówczas, gdy zmogło mnie wyczerpanie, jadłem mało i prawie nie opuszczałem domostwa. Sąsiedzi niechybnie brali mnie za ducha. Po sześciu tygodniach zdałem sobie sprawę, że wszystko wskazuje na to, iż jestem więźniem.

XXI

Nowy Jork

Znajdowali się w tym samym pomieszczeniu z tym samym plastikowym stołem i składanymi metalowymi krzesłami. Tym razem drzwi pozostały otwarte i można było obserwować to, co dzieje się na ruchliwym korytarzu. Być może dzięki temu Nick czuł się bezpieczniejszy. A może dlatego, że zabrał ze sobą Setha Goldberga. Za pierwszym razem postąpił idiotycznie, przychodząc bez adwokata. Jednak wtedy nie myślał, że może mieć coś do ukrycia.

Seth usiadł przy stole i przekartkował jakieś papiery w teczce. Nick zawsze uważał adwokatów za czarodziei – mądrych, siwobrodych panów, szorstkich w obejściu, lecz dobrotliwych. Tymczasem Seth miał około trzydziestu pięciu lat, mógł więc studiować w tym samym czasie co Nick. Jednakże różnica mogła równie dobrze wynosić dziesięć lat. Nick czuł się jak wieczny dzieciak niemogący dopchać się do baru, a Seth poruszał się z pewnością siebie, która na wszystkich robiła wrażenie. Poznali się na Uniwersytecie Nowojorskim przez znajomych i przy okazji gry w softball. Nickowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że spotkają się na posterunku policji w rolach adwokata i klienta.

Wyjrawszy przez drzwi, dotknął świeżej blizny na brodzie. Rano Seth zaczął od postawienia Nickowi śniadania. Potem posłał go do apteki po drugiej stronie ulicy po maszynkę i żel do golenia. Później namówił go, by ogolił się w toalecie zatłoczonej kawiarni.

– Zasada numer jeden: jesteś niewinny tylko wówczas, gdy na takiego wyglądasz. Jeśli w sądzie gliny odtworzą nagranie z przesłuchania i dwunastu przysięgłych ujrzy kogoś, kto wygląda jak terrorysta, nawet nie zwrócą uwagi na to, co powiesz.

– A zasada mówiąca o tym, że nie ocenia się książki po okładce?

– Kupiłeś kiedyś książkę z głównianą okładką?

Drzwi odbiły się od ściany i do sali wpadł Royce. Tego dnia znów miał na sobie szary garnitur, lecz ten był w białą jodelkę, która sprawiała, że wyglądał jak makler giełdowy.

– Dziękuję, że przyszedłeś i tym razem. Nie zabierzemy ci wiele czasu.

Royce usiadł, a technik zajął się ustawianiem kamery.

– Rozmawialiśmy z dzieckiem twojej sąsiadki. Ustaliliśmy, że mały widział cię w korytarzu mniej więcej w tym samym czasie, gdy padł strzał.

– Dokładnie w tym samym czasie – poprawił go Nick.

– Chłopak nie potwierdził obecności zamaskowanego zabójcy, którego opisałeś, ponieważ schował się do mieszkania, gdy tylko usłyszał strzał. Ale słyszał kroki.

Po raz pierwszy od chwili, gdy Bret do niego zadzwonił, Nick poczuł, że mięśnie jego brzucha się rozluźniają. Z wielką ulgą oparł się o krzesło. Prawie nie słyszał, co Royce mówi o innych kierunkach śledztwa, o potencjalnych powiązaniach, różnych punktach widzenia. Przywróciło go do rzeczywistości nazwisko...

– Mógłbyś opisać charakter swojego związku z panną Gillian Lockhart?

Zamrugał. Imię Gillian jeszcze teraz wywoływało u niego fizyczną reakcję. Coś wciąż sprawiało, że czuł usilne pragnienie, by o niej mówić. Był jak zdeperowany, smutny pijak w barze. Seth posłał mu spojrzenie, które miało oznaczać: „Uwaga, ostrożnie”.

– Poznałem Gillian mniej więcej rok temu w pociągu. Zaczęliśmy rozmawiać. Podałem jej numer telefonu, dzwoniлиśmy do siebie, później zaczęliśmy... Właściwie co zaczęliśmy? Nick spotykał się z dziewczynami i znał na to odpowiednie słowa. Każdy etap związku można przeanalizować i nadać mu nazwę. Umawianie się, randki. Chłopak i dziewczyna. Ślub. Rozwód. Pełna systematyka. Z Gillian wszystko po prostu się zdarzało.

– Zeszliśmy się.

Royce'owi to nie wystarczyło.

– Czy był to związek seksualny?

Nick się zaczerwienił. Poczł się jak nastolatek w leśnym domku na obozie. W ciemności chłopcy przechwalają się, który już to robił. Zerknął na Seta, lecz ten tylko wzruszył ramionami.

– Tak.

– Mieszkaliście razem?

– Gillian miała swoje mieszkanie. Gdzieś w East Side oraz współlokatorkę z piekła rodem. Nigdy tam nie chodziliśmy.

To była następna rana. W sensie emocjonalnym był wciąż o jeden krok przed nią, zawsze gotów na poważny związek. Ona jednak pozostawała niezłomna. „Potrzebuję przestrzeni. Kiedyś się otwierałam. Muszę to robić pomału”. On zaś przysięgł sobie, że udowodni, iż jest inny. Że można mu zaufać.

– Czym się wówczas zajmowała?

– Pracowała jako konserwatorka w muzeum Cloisters. – Nick mógł iść o zakład, że Royce nigdy tam nie był. – Mieści się w Fort Washington Park. Muzeum Metropolitan przechowuje tam swoje zbiory średniowieczne.

– Panna Lockhart знаła twój współlokatora Breta Deangela?

Nick zaczekał na znak Seta, który skinął głową i zapisał coś w żółtym notatniku.

– Oczywiście. Wynajmowaliśmy jedno mieszkanie, kiedy chodziłem z Gillian.

– Dobrze się ze sobą dogadywali?

– Chyba tak.

Mieszkanko było małe, a Bret nieczęsto wychodził, lecz Nick zapamiętał, że spotkali się we troje raptem kilka razy. Pamiętał niezręczność tych sytuacji: Bret usiłował się powstrzymać, by nie patrzeć na biust Gillian. Ona siedziała sztywno na kanapie, a Nick wychodził z siebie, plotąc głupstwa, które miały przełamać lody. Poza tym Bretowi jakoś udawało się pozostawać niewidzialnym podczas odwiedzin Gillian. Przez większość tamtego okresu. Nickowi przyszło na myśl, że współlokator wyświadczał mu przysługę.

- Kiedy ostatnio widziałeś pannę Lockhart?
 - W lipcu. – Dwudziestego trzeciego lipca około wpół do jedenastej.
 - Rzuciła cię? – Nickowi znów przypomniała się niedojrzałość ze szkolnych czasów. Wzdrygnął się, lecz Seth niezwłocznie interweniował.
 - Mógłby pan inaczej sformułować to pytanie?
- Royce poprawił krawat.
- Czy wasz związek zakończył się w bolesnych okolicznościach?
 - Nie.



Było między nimi wiele kłótni. Czasem zdawało mu się, że Gillian świadomie je prowokuje z powodu wrodzonej skłonności do dramatyzmu. Groziła, że go opuści, a on do czwartej w nocy błagał ją, by jeszcze to przemyślała. Kiedy indziej znowu było tak, jakby dwie płyty tektoniczne zderzały się ze sobą albo rozdzielały. Takie sytuacje ciągnęły się całymi dniami. Nick żył w ciągłej niepewności.

Jednak tego wieczoru, kiedy od niego odeszła, nie było sprzeczki. Naszykowała kolację, ponabijała się z jego nowej fryzury, a później poszła z nim do łóżka. Przez cały wieczór sprawiała wrażenie przygaszonej, co było nietypowe, ale się zdarzało. Nazajutrz rano Nick obudził się sam i znalazł kartkę na poduszce.

Między nami wszystko skończone. G

Bez żadnych przeprosin, wyjaśnień, smutku, drogi powrotu. Jednonocny romans, który trwał pół roku.



- Próbowaleś ponownie nawiązać z nią kontakt? – drażył Royce.
- Nick poruszył się z niepokojem na krześle.
- Kilka razy.

Do tych wspomnień nie chciał wracać. Ponure dni, gdy telefon dzwonił i nikt go nie odbierał; Nick pisał e-maile, przepisywał je od nowa i nie wysyłał;

zapominał o posiłkach i zaniedbywał pracę tak bardzo, że nawet Bret zaczynał się martwić.

– Powiedzmy to więc, żeby nie było niejasności. Kiedy ostatnio kontaktowałeś się z panną Lockhart?

– W lipcu ubiegłego roku. Później przez długi czas nie miałem od niej żadnej wiadomości, a trzy dni temu nawiązała ze mną połączenie wideo.

– Nie wiedziałaś więc, że panna Lockhart przeprowadziła się do Paryża i podjęła pracę w domu aukcyjnym?

– Dowiedziałem się o tym po odebraniu wiadomości.

– Mimo że przez pół roku nawet się nią nie zainteresowałeś?

– Zaniepokoiłem się. Powiedziałem ci, co zobaczyłem na ekranie komputera.

Royce nachylił się do Nicka.

– A później dzwoniłeś z komórki do panny Lockhart mniej więcej godzinę przed tym, zanim zamordowano Breta Deangela?

Ściany sali jakby się zacieśniły, światła stały się zbyt jaskrawe.

– Zdobyłem numer paryskiej placówki firmy i zadzwoniłem.

– Czas paryski wyprzedza czas wschodnioamerykański o sześć godzin.

Spodziewałeś się ją zastać?

– W domu aukcyjnym uzyskałem informację, że tego dnia odbywa się wieczorna aukcja. Pomyślałem, że warto spróbować. Możesz to sprawdzić w firmie Stevens Mathison, jeśli chcesz – dodał Nick. Wzrok Setha powiedział mu, że w jego głosie dało się słyszeć poczucie winy.

– I było? – spytał Royce.

– Co?

– Czy było warto?

– Nie zastałem Gillian, jeśli o to pytasz.

– Ale z kimś rozmawiałeś? Z kimś, kto może potwierdzić twoją wersję.

– Nie pamiętam nazwiska tego mężczyzny. Zdaje się, że go nie podał.

Mówił z brytyjskim akcentem.

– Sprawdzimy to – oznajmił lekceważąco Royce i przeszedł do następnego wątku. – Kiedy panna Lockhart skontaktowała się z tobą e-mailowo...

– Przez Dzwonek – uściślił Nick.

– A, tak. Ten sam program, którym posłużyłeś się do podglądania swojego współlokatora.

Seth bez słowa uniósł długopis.

– No dobrze, ona odezwała się do ciebie przez Dzwonek. Zgadza się?

Nick kiwnął głową.

– Czy przysłała ci coś wraz z wiadomością?

Royce usiłował mówić obojętnym tonem, lecz mu to nie wychodziło. On wie, pomyślał Nick. Ja mu powiedziałem? Raczej nie. Musieli zajrzeć do zabranego z mieszkania komputera.

Uniki nie miały sensu.

– Przysłała mi plik ze zdjęciem średniowiecznej karty do gry. – Wiedział, jakie padnie pytanie, i uprzedził je. – Nie mam zielonego pojęcia, w jakim celu to zrobiła. A chciałbym wiedzieć.

Ton beznadziejności w głosie Nicka sprawił, że Royce na chwilę umilkł. Seth wykorzystał sposobność.

– Mój klient chętnie odpowiedział na wszystkie pańskie pytania. Czy mógłby go pan poinformować, dlaczego tak bardzo interesuje się pan jego byłą partnerką?

Royce wstał.

– Panie Goldberg, myślę, że powinniśmy zostać przez chwilę sam na sam. – Otworzył drzwi i wskazał Nickowi korytarz. – To potrwa minutę.

Potrwało dziesięć. Nick obserwował ich przez szybę w drzwiach zabezpieczoną drutami przypominającymi więzienną kratę. Adwokat i policjant stali naprzeciwko siebie po obu stronach stołu i toczyli zażarty spór. Gdy skończyli, z sali wyszedł nie Seth, lecz Royce.

– Adwokat chce cię zobaczyć – oznajmił z krzywym uśmiechem. – Będę obok ekspresu do kawy.

Nick wszedł do pomieszczenia. Kamera została wyłączona. Seth wydał pełne zmęczenia westchnienie.

– Policja chce, żebyś oddał paszport. Uważają, że możesz spróbować uciec z kraju. Uczepili się tego telefonu do Paryża, tuż przed śmiercią Breta.

– Myślą, że wynająłem jakiegoś Francuza, aby zabił mojego współlokatora?

– Ciszej. – Seth zerknął na okna. – Zasada numer jeden: nigdy nie bądź sarkastyczny w rozmowie. To samo dotyczy ironii. Takie zagrywki to pożywka dla prokuratorów, którzy mają materiał i podsuwają przysięgłym w dowolnej postaci. A sprawa śmierdzi. Powinieneś być ze mną skontaktować, zanim cokolwiek im powiedziałaś. Dotyczy to zwłaszcza historyjki z zabójcą na dachu. Spodziewałaś się, że ją kupią?

– Ale to jest prawda – zaprotestował Nick.

– Nie o tym mówię. Royce uważa, że albo ci odbija, albo jesteś winny jak wszyscy diabli. Przed aresztowaniem chroni cię zeznanie ośmioletniego szczeniaka. Zabójstwo Breta to nie jest dla obrony bułka z masłem. Na Gillian też coś mają.

– Co? – Nickowi zakręciło się w głowie. Czyżby policja rozkodowała zdjęcie? Czym jeszcze dysponują?

– Zrobiłem dla ciebie, co mogłem – mówił Seth. – Royce był gotów cię w tej chwili aresztować. Przekonałem go, żeby na razie odpuścił. Oddanie paszportu to kompromis.

– Paszport jest w mieszkaniu. Wpuszczą mnie do środka?

– Pojadę z tobą.

XXII

Paryż, 1433

Dom Tristana był ogromnym gmazyskiem zbudowanym z kamieni na planie prostokąta. Wznosił się w pobliżu kościoła Saint-Germain, lecz mógł stać wszędzie. W chwili gdy gość przekraczał jego bramę, miasto zamieniało się w mglistą płataninę smug dymu i wież za murem. Ojciec Tristana pełnił jakąś funkcję na dworze króla Karola i został wysłany z misją dyplomatyczną do Konstantynopola. Nie było go od miesiący i miał zabawić za granicą przez wiele kolejnych. Zabrał żonę, dwie córki oraz większość domowników, zostawiając Tristana w niemal opustoszałym domostwie z surowym nakazem, by ten dobrze się prowadził.

Jeśli ojciec martwił się, że Tristan może się zadawać z prostytutkami, utracjuszami i hazardzistami, miał wszelkie powody do niepokoju. Gdyby tajemnicę Kamienia dało się odkryć metodą rozpusty lub wygrać w karty, Tristan posiadłby ją w ciągu miesiąca. Wszelako dziwki, pijaństwo i hazard stanowiły zaledwie rozrywki na drodze do prawdziwego celu. Miał trzech starszych braci oraz dwie siostry, które niebawem będą potrzebowały posagu, wiedział zatem, że dni jego życia we wspnianym domu – jedynym znanym mu otoczeniu – dobiegają końca. Owa świadomość rozdzierała go, wywołując prawdziwą wojnę między połówkami duszy młodzieńca. Z jeszcze większym zapalem trwonił swoje dziedzictwo na romanse i zakłady, które sprawiały mu satysfakcję jedynie tym, że wyrażały bunt. Jednocześnie podążał tropem Sztuki z obsesyjnym przeświadczeniem, że dzięki niej wyzwoli się od spuścizny ojca.

Tristan urządził laboratorium w wieży dobudowanej przed paroma laty do wschodniego skrzydła budynku. Gdy pierwszy raz mnie tam zaprowadził, widok zapał mi dech w piersiach. Za sprawą architektonicznego roztargnienia, na które stać jedynie arystokratów, wewnątrz wieży nie zostało wykończono: stanąwszy na ziemi, można było dotknąć wzrokiem stożkowego dachu tak wysokiego, że wydawało się, iż sięga aż do nieskończoności. Na ścianach w górze ziały otwory wielkich okien nigdy niezbudowanych komnat, a na naszym poziomie widniały na nich doskonale kopie paneli Flamela zdobiących kościół Świętego Innocentego. Ich jednolitość zakłócał tylko ceglany piec wbudowany w przeciwległą ścianę oraz drzwi naprzeciwko.

Gospodarz wskazał ręką ciemność w górze.

– Oto właściwe miejsce do zgłębiania sekretów niebios.

Przypomniał mi się Nicholas i wieża Babel. Grzechem, za który Bóg ukarał budowniczych, nie była ambicja, lecz jej przerost.

Tristan okazał się posępnym i drażliwym współpracownikiem, ani panem, ani przyjacielem. Nie dbałem o to. Znów byłem w swoim żywiole. Myślałem jedynie o tym, by rozwikłać zagadki Flamela. Powróciła gorączka, którą poczułem w Kolonii, a wraz z nią inne uczucia, jeszcze trudniejsze do zwalczania. Nie lubiłem Tristana; czasem go nienawidziłem. Jednak w mokre od potu noce, gdy półnaczy mozoliliśmy się przy piecu albo gdy jego ręka musnęła moją podczas mielenia proszków w móżdżerzu, tkwiący we mnie robak drżał z perwersyjnej żądz. Wieża stała się moim więzieniem, a następnie światem. Malowidła Flamela wyznaczały mój horyzont, ciemne sklepienie było mi niebem, a nietoperze i jaskółki gnieżdzące się w belkowaniu – moimi aniołami.

Pewnego dnia bardzo podekscytowany Tristan przyprowadził do naszej pracowni zgarbionego staruszka. Mężczyzna miał białe włosy do ramion i takiego koloru brodę sięgającą do piersi. Kuśtykał, podpierając się laską niczym szyper sterujący barką. Ślepotą zamglili mu oczy, lecz mimo to w jego postawie i obejściu zachował się pierwiastek wigoru i czujności.

Tristan posadził go na ławie wśród naszej aparatury i przyniósł wino.

– Oto Mistrz Anselme – oznajmił. – Ile masz lat?

– Siedemdziesiąt osiem – odparł słabym głosem starzec, uśmiechając się.

– Powtórz mojemu przyjacielowi to, co powiedziałeś mi w kościele.

– Wiele lat temu, przed śmiercią mego ojca, niech Pan ześle pokój jego duszy, gdym był młody i pełen zapału, zacząłem zgłębiać tajniki Sztuki. Tak jak wy. Bóg zechciał sprawić, że poznałem największego jej adepta owych czasów, wszystkich czasów, człowieka, który swoim blaskiem przyćmiewał nas tak, jak słońce przyćmiewa blask księżyca. Poznałem Nicholasa Flamela.

Wyprostowałem się jak struna. Zdawało się, że nawet postacie na obrazach przyjęły postawę pionową.

– Znałeś Flamela?

– Siedziałem w jego pracowni, tak jak teraz siedzę z wami.

– Jak długo?

– Wiele lat. Zmarł, niech Bóg ma go w swojej opiece, piętnaście zim temu.

– Byłeś przy nim obecny, gdy wytworzył złoto?

Mężczyzna pokręcił głową. Wino zabarwiło brodę wokół jego ust niczym krew płynąca z rany.

– Perenella, jego ukochana żona. Ona przy tym asystowała.

– Ale później – zachęcił Tristan. – Wyjawil ci swój sekret?

Mistrz Anselme wyciągnął dłoń z kieliszkiem po wino. Tristan czekał.

– Sztuka nie jest magią. Wiecie, czym naprawdę jest Kamień? Lekiem, który koi wszelką chorą materię tego świata.

Uniósł zwiędłą i pokaleczoną rękę, zupełnie bezużyteczną.

– Ta kończyzna wciąż jest częścią mnie, choć uchodzi z niej siła. Dusza jednocząca moje jestestwo wciąż w niej pulsuje tak jak wszędzie indziej. Podobnie jest z metalem. To, co nazywacie ołowiem lub cyną, nie różni się od złota i srebra niczym innym poza stopniem doskonałości. Istnieje we wszechświecie jedna doskonała substancja: eter, esencja, pierwsza materia, nazwijcie ją, jak chcecie. W swoim najprawdziwszym stanie nie ma postaci. Dopiero po stopieniu się z materią tego świata przyjmuje kształt. Jest to zasada, idea,

która ożywia. Najczyściej pulsuje w metalach szlachetnych, a w pospolitych najslabiej. Nie przemienicie ołowiu w złoto tak, jak uliczny sztukmistrz zmienia jajko w kociaka. Oczyszczacie go, łączycie z Kamieniem dopóty, dopóki ziarna uwięzione w metalu nie zakwitną, dopóki w jedności perfekcji nie przyjmie dowolnej postaci, jakiej zażądacie. Nie po to, by zdobyć bogactwo lub majątek, lecz by udoskonalić wszechświat.

Tristan, którego zainteresowanie raz rozpałało się, a raz ochładzało nad węglami, spojrział podejrzliwie na bezwładne ramię Anselme'a.

– Słyszałem, że Kamień może również leczyć. Jeśli tak dobrze znałeś Flamel, czemu siebie nie wyleczyłeś?

Starzec zakaszłał.

– Wątle ze mnie naczynie. Kamień jest cenny ponad wszelką miarę. Nie chciałem go marnować na tak nędzną powłokę. Flamel uważał, że Kamień użyty we właściwy sposób może oddziaływać na ludzką postać tak głęboko, iż uczyni nas nieśmiertelnymi. Tej sztuki wszakże nie opanował.

– Rzecz oczywista – zauważył Tristan.

– Ale jak Flamel odkrył Kamień? – Podrapałem się po pęcherzach powstałych na moich dłoniach w miejscach, którymi zbyt niecierpliwie dotykałem naczyń, wyciągając je wprost z ognia. – Czytałem, że można go uzyskać ze złota.

– Właśnie tak. – Z ust starca ciekła ślina. Zbierał jej część językiem, mocno oblizując wargi. Miał olbrzymi język. – W złocie występuje najobficiej. Jednak nawet złoto jest brudne jak muł, gdy porównać je z Kamieniem. Trzeba je oczyścić w trzech piecach, wydobyć ziarna siarki i rtęci, a następnie złączyć w Hermetycznym Strumieniu. Tak postąpił Flamel.

– Ale w jaki sposób...

– Musicie obserwować kolor. Odmieni się w ogniu siedem razy, aż w chwili osiągnięcia doskonałości rzuci światło podobne do tęczy. To będzie znak.

Tristan zerwał się na równe nogi. Mistrz Anselme rozejrzał się z lękiem.

– Łiesz. Wynoś się stąd. – Tristan kopnął w stół. Stojące na nim słoje, butelki i flakony zatrzęsły się i zagrzechotały. – Myślisz, że możesz tu wejść i wyrecytować mgliście zapamiętane brednie, które zaczerpnąłeś z rysztoła Flamela? Jeśli w ogóle go znałeś. Precz z mojego domu.

Chwycił starca za ramię i pchnął go w stronę drzwi. Gdybym nie stał w połowie drogi i go nie złapał, ten byłby sobie skreślił kark.



Incydent z Mistrzem Anselme'em na dwa tygodnie sprawił Tristana w osobliwy nastrój. Pewnego razu, wszedłszy do wieży, zastałem go nad odłamkami roztrzaskanej butelki. Na jego nadgarstku gromadziła się krew, a gdy chciałem go zabandażować, odepchnął mnie z gniewem. Noce spędzane z dziewczkami stały się częstsze. Od czasu do czasu zapraszał mnie do towarzystwa. Początkowo, gdy myślał, że przyjmę zaproszenie, czynił to bez przekonania. Później, uświadomiwszy sobie, że się nie zgodzę, sprawiało mu to złośliwą przyjemność. Gdy był grzeczny, przezywał mnie „mnichem”, a kiedy indziej znowu „eunuchem”. Nigdy jednak nie odgadł prawdziwego powodu mojej abstynencji.

Być może Mistrz Anselme był szalbierzem czyhającym na dziedzińcu kościoła Świętego Innocentego i żerującym na snach tych, którzy przybywali, by oglądać postacie namalowane przez Flamela. Wszelako jakieś ziarno w jego paplaninie trafiło do mnie; było jak nić w labiryncie. Podążałem za nią dzień w dzień, czasem naciągając ją tak, że omal nie pękła, a kiedy indziej doprowadzając swoje myśli do zapętlenia. Jednocześnie zaczynałem rozumieć.

Przez całe życie byłem zniewolony przez złoto. W czasie najgłębszego upadku wydrapywałem jego cenne drobiny z rzeczno błota. Nawet w Bazylei określiłem siebie, wyrzekając się swojej obsesji. Teraz jednak wiedziałem, że nie blask kruszcu mnie oczarowuje, tak jak to czyni z innymi. Pomimo swej ignorancji umiałem spojrzeć w jego głąb; wyczuwałem, że pod powierzchnią, w głębi lśniącego metalu kryje się cząstka boskiego uniwersum. Wyczuwałem to w perfekcji guldena, w złotym liściu, który wykuwaliśmy w warsztacie Konrada Schmidta oraz w mądrości Nicholasa Cusanusa.

Znałem powód, dla którego te sprawy mnie opętały. Działo się tak dlatego, że umiałem sobie wyobrazić doskonałość. Była prawdziwa jak marzenie, świat zaś nie stanie się jednością, dopóki jej nie uchwycę.



Zdwoiłem wysiłki. Tristan oddał się swoim wątpliwym przyjemnościom, a ja udałem się z księgą Flamela do kościoła Świętego Innocentego. „Na dziedzińcu kościoła, na którym umieściłem Figury Hieroglificzne – pisał Flamel – przedstawiłem również na ścianie Procesję, która w kolejności barw pokazuje wszystkie kolory Kamienia tak, jak pojawiają się i znikają”. Malowidła w wieży Tristana ukazywały siedem płyt z łuku kościoła; tę samą siódmkę obrazów zawierała księga. Były jednak takie, których trudu skopiowania sobie nie zadał. Przedstawiały kobiety po obu stronach łuku, zmierzające ku środkowi.

Badałem je w świetle tego, co powiedział Mistrz Anselme. „Trzeba wydobyc ziarna siarki i rtęci”. Wiedziałem już wówczas, że siarka i rtęć nie są substancjami, które określa się tymi potocznymi mianami, lecz mądrymi imionami mistycznych pierwiastków, dwiema przeciwstawnymi zasadami gorąca i zimna.

„Musicie obserwować kolor. Odmieni się w ogniu siedem razy”. Policzyłem kobiety kroczące w procesji; było ich siedem po każdej stronie. Przyjrawszy się im, uświadomiłem sobie, że wszystkie są takie same. Namalowano je zręcznie w taki sposób, by żadna nie wyglądała dokładnie tak samo jak inna; niektóre stały twarzą do kościoła, inne patrzyły w bok lub przed siebie, uśmiechały się, marszczyły czoło, śmiały się lub smuciły. Wszystkie jednak stanowiły wcielenie tej samej kobiety, różniły się jedynie kolorem i długością włosów. Czasem były one białe niczym księżyc, czasem czarne jak noc; brązowe, kasztanowe, bursztynowe, miodowożółte bądź stalowoszare. Na czele obu procesji poprzez szerokość architektonicznego łuku kroczyły naprzeciw siebie dwie identyczne niewiasty z mądrymi uśmiechami. Ich włosy były czerwone jak kora cedru. Barwa Kamienia.

Jąłem tedy przeczesać apteki i czerpać z wiedzy aptekarzy. Poszukiwałem uczonych mężów i mądrych białogłów. Wertowałem księgę Flamela tak

długo, aż mogłem ją recytować słowo w słowo i we śnie rysować postacie. Wydobywałem znaczenie z zagadek i zgłębiałem rysunki dopóty, dopóki nie natrafiłem na nowe pokłady zrozumienia. Stapiałem, łączyłem, hartowałem i warzyłem. Dowiadywałem się o metalach więcej, aniżeli nauczyłbym się przez siedem lat terminowania w warsztacie Konrada Schmidta. Wśród licznych omyłek i fałszywych kroków podążałem tropem wyczynu Flamela.

Po drodze dokonałem kilku ciekawych odkryć. Wypaliłem tlenek miedziowy, zredukowałem go glectą ołowiową i uzyskałem ciecz czarną jak sam grzech, która jednak w bardzo krótkim czasie wysychała pod dotykiem. Kiedy indziej znów stopiłem ołów z antymonem i cyną, otrzymując cudowny nowy metal, który topił się łatwo nad płomieniem, lecz ochłodzony robił się twardy niczym stal. Gdy pokazałem go Tristanowi, ten tylko burknął i zapytał, czy to przybliży nas do Kamienia.

Nie były to szczęśliwe chwile. Gdy przemęczenie bądź drobne okrucieństwa Tristana doprowadzały mnie prawie do łez, przeklinałem swój los i rozpaczalem. Co za diabeł mnie pchał? Przez dziesięć lat leczyłem się ze swych nieprzystojnych pragnień. Lata bólu i umartwiania zaprowadziły mnie do bagnistej rzeki. W Bazylei cela i pióro dawały mi spełnienie; byłem wiernym sługą ambicji godniejszych od siebie. Przypadkowe spotkanie i jedno zdanie z książki wszystko to przekreśliły. Miałem wrażenie, że brnę w ciemnym tunelu, uginając grzbiet pod olbrzymim ciężarem i pobrzękując kajdanami u nóg.

Jednakowoż czyniłem postępy. Złoto czerniało, brązowiało i przyjmowało barwę mglistej szarości, a następnie robiło się czerwone jak wino. Znajdowałem sposoby barwienia go zgodne z przepisami Flamela. Srebro opierało mi się dłużej, lecz po tygodniach nieudanych prób i ono uległo. Wreszcie pewnej nocy w środku listopada uniosłem moździerz i z drżącym sercem spojrzałem na czerwonawy proszek o odcieniu cedrowej kory.

Rozgniotłem kilka ziarenek na palcu i uniosłem do lampy. Miałka niczym kurz substancja pachniała słodko, lecz w dotyku była sucha jak sól. Było jej zatrwająco mało. Po tygodniach mozołu zdołałem uzyskać niewiele więcej niż naparstek.

Przykryłem miskę odwróconym słoikiem, wziąłem lampę i ruszyłem po Tristana. W domu panowała ciemność kryjąca jego brud. Koszty eksperymentów

rosły, a gospodarz zwalniał służących jednego po drugim, aż zostaliśmy sami pośród niechłujstwa. Za jego sprawą ogromny jak pieczara dom przerażał jeszcze bardziej. W miejscach, do których nie docierało światło lampy, uganiały się szczury; okropne stwory śledziły mnie z draperii wiszących na ścianach. Potknąłem się o drewniany stołek i omal nie skończyłem ze strachu. Opadło mnie posępne wyczerpanie, lecz jednocześnie drżałem z podniecenia w tej cudownej chwili.

Zastąpiłem Tristana w łóżku z kościstą prostytutką. Oboje leżeli nago, pogrążeni w półśnie. Widziałem na jej nogach stupy po ukąszeniach pcheł. W jej włosach poruszało się coś, co przypominało wszy. Najwidoczniej Tristan oszczędzał nie tylko na służbie.

Oparł się na łokciu. prostytutka stoczyła się z niego, ukazując rachityczne piersi i bujne owłosienie.

– Czyżbyś mimo wszystko postanowił się do nas przyłączyć? – zadrwił lubieżnie Tristan.

– Mam to.

Mój pan odepchnął dziwkę i zeskoczył z łóżka, strącając na podłogę kieliszek wina. Chwytał ojcowski miecz spoczywający na półce wraz z futerałem.

– Jesteś pewien?

– Istnieje tylko jeden sposób, by tego dowieść.

□ □ □

Skierowaliśmy kroki do wieży pod okiem nieprzeniknionych postaci Flamela. Nad nami ziała czarna nieskończoność. W milczeniu zebrałem proszek w stosik na skrawku papieru. Chciałem zachować pewną ilość, w razie gdyby pierwsza próba zakończyła się fiaskiem, lecz było go tak mało, że nie odważyłem się ująć ani ziarenka. Zawinałem proszek w papier, który zakleiłem woskiem. Na ławie leżało srebrzyste lustro spoczywające tam od dnia, w którym usiłowałem uwiezić słoneczne promienie. Zerknąłem na swoje odbicie i zadrżałem. Moja skóra poszarzała, włosy się przerzedziły, a oczy zapadły się tak, że ledwo widziałem. Skóra na moich dłoniach zaróżowiła się i błyszcząca. Zrobiła się gładka jak skóra niemowlęcia za sprawą oparzeń, których nabawiłem się w pośpiechu. Bryźnięcie kwasu wypaliło na moim policzku szramę w kształcie półksiężyca.

Tristan przyniósł jajowate naczynia zrobione z dmuchanego szkła. Nappełnił je ołowianym proszkiem zważonym na wadze, a następnie spryskał kilkoma kroplami rtęci. Zaszpuntował je kryształowym korkiem i opalił krawędzie cienką świecą. Ja tymczasem dorzuciłem łopatą węgla do paleniska i nacisnąłem miechy. Czerwony kolor ognia zmienił się w pomarańczowy, a później przybrał tak oślepiająco białą barwę, że od patrzenia bolały oczy. Wówczas zrozumiałem, że jesteśmy gotowi.

Ująłem szklane jajo w żelazne szczypce i wrzuciłem w sam środek ognia. Tristan oparł rękę na moim ramieniu i nachylił się, by lepiej widzieć. Choć noc była zimna, obaj splywaliśmy potem.

– Jak długo to potrwa?

– Dowiemy się, gdy nadejdzie ta chwila – odparłem.

Staliśmy i patrzyliśmy. Nasze ciała były tak blisko siebie, że nasz pot się mieszał. Prawie tego nie zauważałem. Z metalu w wazie ulatywała para. Ołów zmiękł, stopił się i zaczął puszczać bąbelki, pochłaniając rtęć.

Oderwawszy się od Tristana, poruszyłem miechami. Ogień zapłonął z nową furią. Żar buchnął mi w twarz, dym wzbił się i uleciał ku sklepieniu wieży. Tristan zatoczył się i odstąpił od pieca, osłaniając oczy, lecz ja stałem jak przykuty do ziemi.

Coś błysnęło pod szkłem i wiedziałem, że nadeszła pora. Wyciągnąłem rękę i wyjąłem pogrzebaczem kryształowy korek, a następnie ująłem zwitek papieru w szczypce i wrzuciłem go do naczynia. Wleciał przez otwór do środka, spadł na wrzący metal i buchnął płomieniem. Był to najczystszy i najbielszy płomień, jaki kiedykolwiek widziałem, podobny do odbłasku słońca na śniegu. Ponad nim ujrzałem poświatę, świetlistą aureolę, która wypełniła naczynie barwami tęczy.

Krzyknąłem do Tristana. On także musiał zobaczyć tęczę, bo podbiegł i stanął u mojego boku. Razem wyciągnęliśmy naczynie z ognia i ustawiliśmy pionowo na posadzce. Tristan dobył miecza, wykonał zamach i uderzył. Szklane jajo trzasnęło i rozpękło się na dwie części. Przez dym i pot szczypiący w oczy patrzyliśmy na to, cośmy stworzyli.

XXIII

Nowy Jork

Powrót do mieszkania okazał się gorszy, niż Nick przewidywał. Mundurowy gliniarz wręczył jemu i Sethowi foliowe rękawice oraz przypominające czepki kąpielowe elastyczne kaptcie, które włożyli na buty. Wtedy uniósł taśmę i otworzył drzwi. Schylili się, by wejść do dużego pokoju.

Nick widział go ostatnio za pośrednictwem komunikatora internetowego. Spojrzał na biurko Breta, a następnie w miejsce, w które skierowana była kamera. Usiłował sobie wyobrazić, gdzie stał zabójca. Komputer Breta znikł podobnie jak krzesło, do którego biedak był przywiązany. Na szczęście znikły także jego zwłoki, choć na dywanie zostały plamy po tym, co kiedyś mogło być jego ciałem. Jak długo przechowuje się dowody na miejscu zbrodni?

Wszedł do swojego pokoju. Policja również musiała go przeszukać. Pomieszczenie było wysprzątane, lecz rzeczy leżały w bezładzie. Takie wrażenie sprawia nowy zakup wciśnięty z powrotem do opakowania. Nick chciał usiąść na łóżku, ale się zreflektował. Dostawał dreszczy na myśl, że może zanieczyścić wszystko, czego dotknie. Ukucnął przed szafką nocną i wyciągnął szufladę. Skórzany portfel podróżny, prezent od rodziców z okazji ukończenia studiów, spoczywał w tylnej części szuflady wśród płynów po goleniu, książek i prezerwatyw. Nick wziął paszport, a następnie wsunął portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nigdy nie wiesz, co ci się może przydać. Z okładki paszportu spoglądał nań złoty orzeł z pękiem strzał w szponach.

– Nick?

Zamknął szufladę i odwrócił się, ukrywając poczucie winy. Seth stał w drzwiach, a sponad jego ramienia zerkał policjant. Czyżby zauważyli? Czy portfel wypycha kieszeń?

– Mam – odrzekł głosem, który zabrzmiał głucho w pozbawionym życia mieszkaniu. Rzucił Sethowi dokument. – Chodźmy.

Rozejrzał się po raz ostatni. Wybrzuszona skarpeta tkwiła w tym samym miejscu podłogi, w którym zostawił ją przed trzema dniami wieczorem. Magazyn był otwarty na artykule czytany tego dnia przy kolacji. Na drzwiach garderoby wisiały dwie pomięte koszule, które zamierzał wyprasować. Jego dawne życie. Przypomniawszy sobie przeczytany niegdyś w „National Geographic” artykuł o jaskiniowcu, którego znaleziono zamrożonego w Alpach. Był doskonale zachowany; przetrwała nawet miska jagód, którą wciąż ścisnął w dłoniach. Zdaniem naukowców mężczyzna zasnął obok lodowca i został pochłonięty przez posuwający się lód. Nick dużo o nim rozmyślał. Czy ów człowiek był świadom tego, co się dzieje? Czy w pewnej chwili przebudził się i zobaczył, że tkwi w pułapce? Czy lód był przezroczysty i pozwalał widzieć słoneczny świat na zewnątrz? Krzyczał czy też lód zmroził mu płuca?

Spojrzał na budzik obok łóżka, aby lepiej zorientować się w sytuacji, lecz nawet zegarek padł ofiarą złego zaklęcia. 00:00. 00:00. 00:00. Niebieskie cyferki mrugały na Nicka, wyświetlając bezczas. Policjanci musieli go wyłączyć, gdy przeszukiwali pokój.

– No, chodź już – rzucił Seth.

Nick ruszył powoli do drzwi, starając się wtłoczyć do głowy jak najwięcej wspomnień. Raptem zauważył zdjęcie Gillian. Tkwiło na jego toalecie, spoglądając spoza buteleczek i aerozoli. Tak jakoś wyszło, że go nie schował. Podszedł, by dokładniej mu się przyjrzeć.

– Lepiej tego nie ruszaj – ostrzegł Seth. – I tak za bardzo pomogłeś policji.

□ □ □

Nie korzystał z paszportu od czasu powrotu z Berlina przed półtora rokiem. Nawet nie miał pewności, czy dokument wciąż jest ważny. Jednak teraz, po oddaniu go, poczuł się zamknięty w pułapce, jak gdyby wręczył strażnikom

klucze do celi. Odcięty od domu, uwięziony w mieście. Prawie tak było.

Włączył się po ulicach, bo nie miał dokąd iść. Przez noc się ochłodziło; w radiu zapowiadano opady śniegu. Z pokryw włazów w powierzchni ulic buchały pióropusze pary; haitańscy uliczni handlarze usiłowali sprzedać mu drapaki do lodu i czarne rękawice. W oknach budynków odbijało się betonowe niebo.

Wiedział, że powinien udać się do banku, ale wciąż to odkładał. Myśl o tym, że znów zostanie zbesztany i spotka się z podejrzliwością, napawała go lękiem. Znalazł sobie inne zajęcia: gapił się na wystawy sklepów i wchodził do księgarni, by oglądać magazyny na półkach. Natrafił na taką, w której mieściła się również kafejka, przeszukał więc plecak i wyłowił ilość drobników wystarczającą na espresso.

Kawiarenka była zatłoczona i panował w niej upał. Nie znalazłszy wolnego stolika, przysiadł się do młodej kobiety, która wertowała dziesięciocentymetrowy stos magazynów mody. Kiedy siadał, posłała mu zniechęcające spojrzenie, a następnie całkowicie go zignorowała.

Postawił laptop na krawędzi stolika i włączył go. Przyszło mu na myśl, że może nieco popracować, lecz większość materiałów znajdowała się na serwerach FBI, a reszta w komendzie policji przy Dziesiątej Ulicy. Jego myśli nieuchronnie wróciły do karty. To było jak drapanie strupa, który już został wydrapany. *Niedźwiedź jest kluczem*. Okazało się inaczej. Zawiodły również pokrewne słowa: grizzly, panda, koala, polarny, kodiak, Jogi, brunatny...

Nick zamknął program. Zaczynał odczuwać ból głowy. Ponownie przetrząsnął plecak i wydobyl ćwierćdolarówkę, ale nie znalazł tabletek przeciwbólowych. Były w mieszkaniu, lecz wątpił, czy Royce wpuści go z tego powodu po raz drugi na miejsce zbrodni. Mógł sobie wyobrazić ich rozmowę: „Jesteś uzależniony od tabletek przeciwbólowych? Dostarczałeś proszków panie Lockhart? Dlaczego trzymałeś jej zdjęcie na biurku, skoro, jak sam przyznałeś, zerwaliście pół roku temu?”

Przypomniał sobie o zdjęciu i otworzył nowy folder na pulpicie. W prawdziwym świecie pokryłyby je kurz i poźółkłoby na krawędziach; może nosiłoby plamy po paru wyschniętych łzach. W cyfrowym królestwie było jedną z kilkunastu identycznych ikonek, świeżą i sterylną jak w dniu, w którym je

stworzył. W środku znajdowało się kilkadziesiąt fotek ułożonych równo niczym motyle przyszpilone do tablicy. To wszystko, co zostało mu po Gillian. Jak na babkę, która potrafiła się umówić z obcym w pustym pociągu, okazywała zaskakujący lęk przed obiektywem. Nick kliknął przycisk POKAZ SLAJDÓW i zdjęcia jęły przeskakiwać na ekranie. Pół roku jego życia przemknęło w niespełna minutę.

Fotka stojąca w mieszkaniu pojawiła się pod koniec. Pamiętał dokładnie, kiedy ją pstryknął. Wyszedł zamknąć drzwi, a gdy wrócił do sypialni, Gillian leżała zwinięta na łóżku, ubrana tylko w starą uniwersytecką koszulkę, której używała jako piżamy. Nie był to rzadki widok, lecz w tamtej chwili coś przykuło uwagę Nicka. Słabe światło lampy, cień między jej udami, osłoniętymi koszulką, zaokrąglenie piersi pod podartym dekoltem, kasztanowe włosy splecione na szyi. Zdjęcie określało Gillian w sposób doskonały: była piękna, zniewalająca i należała do niego. Zobaczył aparat na półce, chwycił go i nacisnął przycisk, zanim zdążyła zaprotestować. Później kazał wydrukować zdjęcie i oprawił je. Gillian utyskiwała, lecz nic sobie z tego nie robił. Pierwszy raz poczuł się na tyle pewnie, by pochwalić się trofeum świadczącym o ich związku, i czuł dumę z posiadania.

Wkrótce potem wszystko się skończyło.

Jednak po raz pierwszy od miesiący nie martwił się tym. Patrzył na zdjęcie, prawie nie dostrzegając Gillian. Powiększył je i zrobił zbliżenie na koszulkę. Ekran wypełniła granatowa tarcza ze słowem BROWN wypisanym na piersi Gillian. Za tarczą, obejmując ją potężnymi łapami, stał ogromny niedźwiedź brunatny.

□ □ □

W księgarni mieli łącze internetowe, ale znajdowało się na dole. Nick popędził na klatkę schodową i zerknął na plan. DZIAŁ EDUKACJI ORAZ DZIAŁ ZAWODOWY: PIWNICA. Wsiadł do windy. Prawie nikogo tam nie było; ludzie wracający ze świątecznego urlopu jeszcze nie zdążyli sobie przypomnieć, jak bardzo nie znoszą swojej pracy.

Znalazł to, czego szukał, w ślepym zaułku księgarni tuż obok zaplecza: książka autorstwa J.B. Morforda nosiła tytuł *Ivy League od środka*. Przerzucił

zdjęcia gotyckich krużganków i blondynek ze zbyt równymi zębami ściskających egzemplarze dramatów Szekspira. Nie musiał długo szukać.

Uniwersytet Browna

Liczba studentów: 7740 (w przybliżeniu)

Maskotka: Miś Bruno

Przycupnął na pokrytym gumą szarym stolku i ustawił laptop na kolanach, na wszelki wypadek rozglądając się, czy nikt go nie widzi. Cryptych otworzył się w jednej chwili. Nick kliknął zdjęcie.

Wpisz hasło:

bruno

Hasło niepoprawne

Wpisz hasło:

Bruno

Hasło przyjęte

XXIV

Paryż, 1433

Obudziłem się na gołym kamieniu. Moja skóra była wilgotna i zimna, kości sztywne jak żelazo. Byłem nagi, miałem na sobie jedynie pasek materiału na biodrach. Bolała mnie głowa, a gdy otworzyłem oczy, poraziło mnie ostre zimowe światło.

Dźwignąłem się. Nie mogąc znaleźć ubrań, ściągnąłem tkaninę ze ściany i owinąłem nią ramiona. Wlokła się za mną w kurzu, gdy kroczyłem bosy przez pusty dom. Doszedłszy do drzwi wieży, zatrzymałem się. Ból głowy odezwał się z jeszcze większą siłą. Wiedziałem, co zastanę w środku.

Nie uświadamiałem sobie, w jak okropnym stanie znalazła się wieża podczas ostatnich gorączkowych tygodni. Wszystko przykrył brud. Czarny osad skrzystalizował się w nieumytych słojach; duchy nieudanych doświadczeń zagnieździły się w miejscach, w których je porzuciłem. Stół pokryła gruba warstwa ptasich odchodów. Na posadzce przed zimnym piecem spoczywało pęknięte jajo. Odłamki szkła błyszczały niczym strzaskana korona; obok leżał miecz.

Usłyszałem jakiś odgłos przy drzwiach i odwróciłem się. Tristan stał w brązowym płaszczu z pucharem wina w dłoni. Miał mocno podkrążone oczy. Nie zdziwiłbym się, gdyby porwał miecz i odciął mi głowę tak jak Herod przedstawiony na obrazie. Może przyjąłbym to z radością.

Spojrzał na podłużny kawałek zastygłego metalu spoczywający wśród połamanej szkła. Był matowoszary i tylko nieznacznie różnił się od ołowiu, którym go wypełniliśmy. Po proszku, nad którego wytworzeniem tak długo

się mozoliłem, nie zostało ani śladu.

Ponieśliśmy klęskę.



Resztę dnia spędziłem na doprowadzaniu laboratorium do porządku. Wymiotłem z paleniska. Napełniłem wodą ceber i wyszorowałem każdy kubek oraz naczynie, którego dotknąłem. Chłód wody spotęgował ból głowy, lecz zmusiłem się do pracy i sprzątałem dopóty, dopóki wszystko nie było czyste. Następnie wyszedłem na zewnątrz i wylałem sobie na głowę wiadro wody, by się umyć. Ułożyłem narzędzia na regałach, a materiał umieściłem w pudełkach i słojach. Nic więcej nie mogłem uczynić. Ten dzień był pustką, luką między źle dopasowanymi fragmentami mojego życia. Nie mogłem zostać w domu Tristana, ale nie wiedziałem, dokąd skierować kroki.

Wieczorem trzech przyjaciół gospodarza zjawilo się, by zagrać w karty. Tristan napalił w kominku w holu i przytasczył beczkę wina. Zwykle unikałem towarzystwa i zamykałem się w wieży, lecz tego wieczoru nie mogłem się tam schronić. Nie chciałem również kryć się w innym zakątku domu. Teraz, gdy moje oczy znów dostrzegały otoczenie, wszystko napawało mnie trwogą.

Nie miałem nic do powiedzenia znajomkom Tristana. Odgadłem, że są nimi młodszy synowie mniej lub bardziej szlacheckich rodów, młodzieniaszkowie bez celu w życiu. Mogli jedynie trwonić okruchy fortuny, czekając, aż odziedziczą starsi bracia. Milczałem więc, skupiając uwagę na kartach. Nie na grze, gdyż hazardowałem się jak najmniej, choć i tak więcej niż kiedyś. Ilekroć wyciągałem rękę, rozlegały się prześmiewcze zawołania: „Jałmużna, jałmużna”. Mnie jednak czarowały same karty: piękna, zwariowana menażeria ptaków, bestii, kwiatów oraz ludzi, którzy w blasku ognia wsuwali się do mojej ręki i z niej wysuwali. Poczulem, że w popiele mej duszy znów rozjarza się maleńki węgielek. Dwa razy przegrałem rozdanie, które mogłem wygrać, gdyż trzymałem karty tylko po to, aby lepiej im się przyjrzeć. Widniejące na nich stworzenia zostały narysowane z niespotykaną zręcznością; delikatne linie nakreślono tak mocno, że zdawało się, iż są wryte w papierze. Przypominały mi postacie, które wycinałem w złocie, pracując w warsztacie Konrada Schmidta. Przywiodło mi to na myśl pewne wspomnienie, którego jednak nie mogłem do końca

uchwycić. Martwiłem się tym, przegrywając następne dwa rozdania. Wtedy postanowiłem skupić się na grze.

Nie była skomplikowana. Jej celem było zgromadzenie czterech kolejnych liczb z jednej gromady bądź czterech identycznych liczb z czterech gromad. W każdej turze gracz wyrzucał jedną kartę z ręki i dobierał inną – albo odrzuconą przez innego gracza (którą widział), albo jedną z talii (której nie mógł widzieć). Dobrawszy kartę, gracz mógł podnieść stawkę, następny zaś musiał albo ją wyrównać, albo spasować.

Do tej pory grałem bez zaangażowania: stawiałem bardzo mało, a następnie poddawałem się przy pierwszym sprawdzeniu. Pozostali błyskawicznie się w tym zorientowali i urządzili sobie zabawę: pokpiwali ze mnie, klepali mnie po plecach i drwiąco zachęcali, bym sprawdzał ich karty. Kiedy się od tego uchylałem, nie szczydzili mi kpin. Nagle zauważyłem, że fortuna dała mi nęcące karty: trzy ósemki – bestię, ptaka i jelenia – oraz dziewiątkę i waleta z gromady jeleni.

Jak zwykle postawiłem żałośnie mało i obserwowałem przeciwników. Nie wiedziałem, czy dobierać do ósemek, czy do sekwencji jeleni. Tristan wziął dwa ptaki i wyrzucił piątkę z jeleni; był to dobry znak. Jego przyjaciel dobrał kartę z talii, której nie mogłem widzieć, zrobił kwaśną minę i wyrzucił dziewiątkę z jeleni.

– Nie obstawiam.

Starałem się zachować spokój. Udawałem, że przyglądam się moim kartom, że waham się między talią a odrzuconymi kartami. Wziąłem dziewiątkę. Teraz miałem ósemkę, dziewiątkę i waleta z jeleni, ale również trzy ósemki. Myśl, że wystarczy mi jedna karta do zwycięstwa, była jak gorzalka krążąca w żyłach. Nie pociągały mnie pieniądze, lecz radość z pokonania Tristana i jego kompanów. Wystarczyłby tylko jeden raz.

Nie mogłem jednak podążać jednym tropem, nie poświęcając drugiego. Karty były trudne do odczytania: liczyłem wizerunki raz i drugi, by mieć pewność, że mam właściwe liczby. Gdzieś na stole kryły się dwie ósemki, z których jedna dopełniłaby moją kartę. Zarazem siódemka bądź dama uzupełniłaby sekwencję jeleni. Konieczność podjęcia decyzji paraliżowała mnie.

– Jak długo będzie dumał, zanim się podda? – spytał gracz siedzący po mojej lewej stronie. Miał na imię Jacques; karty należały do niego. Pragnąłem dowiedzieć się o nich więcej, lecz nie mogłem się przemóc, aby zapytać.

Spojrzawszy ponownie w swoje karty, zauważyłem, że jedna leciutko wystaje nad inne. Była to ósemka z gromady ptaków. Wyciągnąłem ją i rzuciłem na stół. Następnie położyłem na niej ćwierć pensa. Takie nikczemne miedziaki decydowały o naszym życiu.

Pozostali jak zwykle zareagowali na mój ruch eksplozją wesołości. Doskonale się bawili, teatralnie przeszukując sakiewki, drapiąc się po głowach i żegnając się znakiem krzyża w udawanej rozpacz. Wszyscy oprócz siedzącego obok mnie Jacquesa, który znieruchomiał w chwili, gdy postawiłem. Nie zauważyłbym tego, gdyby nie tchnęła we mnie życia możliwość wygranej. Inni wciąż byli pochłonięci wygłupami, on zaś szybko podniósł ósemkę z ptaków i podbił stawkę do pensa.

Tura zatoczyła krąg. Przy następnej wyciągnąłem kartę z talii, modląc się o siódemkę lub damę. Zamknąłem kartę w dłoni i nachyliłem ją do blasku ognia.

Ośmiu dzikusów skoczyło mi do oczu, wymachując maczugami, obnażając się i okrutnie drwiąc z moich nadziei. Gdybym w poprzedniej kolejce nie wyrzucił ósemki z gromady ptaków, zwycięstwo byłoby moje.

Cisnąłem ją z powrotem na stół, nawet nie udając, że się zastanawiam. Ogarnęła mnie rozpacz; z czystej złości dorzuciłem pensa do puli. Jacques spojrział na mnie bez ukrywania swoich intencji i zagarnął odrzuconą kartę. Dzięki moim błędom miał obecnie dwie ósemki oraz te karty, które dostał w rozdaniu.

Obserwowałem innych graczy, usiłując odgadnąć, czy trzymają w dłoniach potrzebne mi karty. Dwóch spośród przyjaciół Tristana nic nie miało, gdyż wcześniej rzucili karty na stół. Zostały potasowane i odłożone do talii. Tristan grał w taki sposób, że na podstawie odrzucanych przezeń i dobieranych kart nie mogłem odczytać żadnego zamysłu. Nigdy nie podbijał stawki i zawsze z zimnym wzrokiem dokładał do puli. Ja zaś za każdym razem ciągnąłem ślepą kartę i modliłem się. Wyciągałem same ptaki i kwiaty. Jedyłą dla mnie pociechą było to, że Jacquesa spotykało to samo. Nie dobierał kart leżących na stole,

tylko podobnie jak ja ciągnął je z talii. Ja zaś wiedziałem, że dopóki trzymam dwie pozostałe ósemki, on nie zbiera czterech. A do tego właśnie dążył.

Mój skromny stosik monet skurczył się i prawie znikł, a ja wciąż nie miałem pożądanej karty. Dobrałem następną i odrzuciłem, ledwie na nią zerknąwszy. Jacques pociągnął kartę z talii, udał, że wtasowuje ją do trzymanyh kart, a następnie odrzucił. Na stół powędrowała sztuka srebra.

– Ktoś podbija?

Tristan zaklął i cisnął karty na stół. Spojrzałem na swoją rękę: miałem cztery jelenie włącznie z ósemką oraz ósemkę z bestii. Nie wątpiłem, że Jacques chce mnie wyeliminować z gry. Przez całą noc nie byłem tak bliski zwycięstwa. Ale wyczerpały mi się pieniądze.

– Wchodzę.

Na stole wylądowała srebrna moneta, potoczyła się po lakierowanym stole i upadła na stosie. Spojrzałem na Tristana.

– Dokładam za ciebie. Pula zamknięta. Grajcie do zwycięstwa. W tamtej chwili kochałem go bardziej niż kiedykolwiek, choć później przyszło mi na myśl, że zrobił to na złość przyjacielowi. Stanowili watahę dzikich psów, które rozdarłyby się na strzępy przy pierwszej oznace słabości.

Zostało nas dwóch. Jacques przesiadł się na drugą stronę ogniska, naprzeciwko mnie. Połowa jego twarzy lśniła w blasku ognia, druga nikła w cieniu. Pozostali usiedli z boku i robili zakłady: z jakiej gromady będzie następna karta, ile kolejek potrwa gra, czy odrzucona przeze mnie karta będzie wyższa od tej, którą odrzucił Jacques. Nie musieliśmy podbijać stawki, więc tury przebiegały szybko. Nasze dłonie śmigały nad stołem niczym muchy nad mięsem. Wyciągaliśmy karty z talii i pozbywaliśmy się ich niemal jednym ruchem.

Ósemka z kwiatów. Poczułem bolesne klucie w brzuchu; Bóg na niebiosach z pewnością drwił sobie ze mnie. Trzeci raz tej nocy trzymałem w dłoniach trzy ósemki i nic nie mogłem z nimi zrobić. Odrzuciłem kartę na stół.

Jacques podniósł ją zgodnie z moimi oczekiwaniami. Wsunął między inne i zamaszystym ruchem wyciągnął następną kartę. Patrzyłem, jak spada na stół. Królowa siedziała na łące, podziwiając swoje odbicie w zwierciadle, a karłowaty jelonek skubał rąbek jej rozpostartej sukni. Dama z gromady jeleni.

Wyciągnąłem po nią dłoń, lecz Jacques chwycił ją i ścisnął, aż zatrzęszczały mi knykcie. Drugą ręką wyłożył swoje karty na stół. Cztery ósemki. Z kwiatów, dzikusów, ptaków... oraz z bestii.

Tristan gniewnie kopnął nogę stołu. Jego dwaj kompani zaryczeli. Nie puszczając mojej ręki, Jacques zagarnął pulę.

– Chwileczkę.

Moją rękę przeszywał ból, lecz ledwie na niego zważałem. Zacisnąwszy zęby, położyłem swoje karty na stole figurami do góry. Cztery jelenie i ósemka bestii. Kolejna ósemka z bestii.

Wyrwałem dłoń z uścisku Jacquesa i przysunąłem jedną kartę do drugiej. Były takie same. Nie podobne, lecz identyczne. Doskonałe kopie niczym dwie monety wybite tą samą matrycą.

Tristan zauważył pierwszy. Pozostali zareagowali wolniej, lecz w mgnieniu oka dotarło do nich, że byli oszukiwani. Rzucili się na Jacquesa i strącili go ze stołka. Chcieli go przygwoździć do ziemi, lecz okazał się silniejszy. Kopnął jednego przeciwnika w krocze, aż ten się zatoczył, a drugiego rąbnął pogrzebaczem i skoczył w stronę drzwi. Tristan rzucił się w pościg, a jego poturbowani towarzysze, zataczając się, podążyli za nim.

Wziąłem kartę ze stołu i pobiegłem za nimi. Zastałem całą czwórkę na dziedzińcu zamku. Przyjaciele trzymali Jacquesa, wymyślając mu od oszustów i Żydów. Kopali go, okładali pięściami i gryźli. Szczególnie Tristan zapamiętał się w szale. Bałem się, że zatką Jacquesa na śmierć.

Nie mogłem na to pozwolić. Podbiegłem do kłębowiska wijących się postaci, uchylając się przed zadawanymi na oślep ciosami. Tamci pomyśleli, że przyłączam się do napaści, i zwietrzyli zabawę. Odciągnęli Tristana, wołając, że i sługa powinien dokonać zemsty. Jeden usiadł Jacquesowi na nogach, mimo iż było to zbyteczne. Oszust miał zakrwawioną koszulę i rozciętą wargę, a jedno jego oko nie mogło się otworzyć. Palce lewej dłoni zostały zmiażdżone butem.

Usiadłem okrakiem na piersi Jacquesa i przysunąłem kartę do jego twarzy. W blasku księżyca widać było parę buchającą z moich ust.

– Gdzie to zdobyłeś?

Jacques obrócił głowę i splunął krwią. Wybity ząb zaterkotał na kamieniach.

– Od pewnego człowieka w Strasburgu.

– Jak miał na imię?

Kompan Tristana pokręcił głową.

– Jak on to zrobił?

Jacques nie zrozumiał mojego pytania.

– Sprzedał mi ją.

Pozostałych nudziło to przesłuchanie.

– Ukatrup go! – krzyczeli.

Nie zwracałem na nich uwagi.

– Gdzie mogę znaleźć tego człowieka?

– Pod znakiem niedźwiedzia.

Jacques zakrztusił się i zakaszłał krwią. Czerwone kropelki spadły na kartę, a ja czym prędzej ją odsunąłem. Wyprostowawszy się, odszedłem, zamykając uszy na radosne pokrzykiwania, które rozległy się za moimi plecami. Krew i wino szumiały mi w głowie. Spoglądałem na kartę w swojej dłoni. W tym przeklętym zamczysku tylko ona miała jakąkolwiek wartość.

Ile takich istniało na świecie? I jakim sposobem twórca zdołał je wykonać z taką perfekcją?

XXV

Nowy Jork

Karta podzieliła się na części, które rozbiegły się do plansz po lewej i prawej stronie. Na jednej ukazał się obraz karty identyczny z jej zakodowanym wizerunkiem na środku ekranu, a na drugiej pojawiły się trzy wiersze tekstu.

Rue de Rivoli 177
Boite 628
300-481

– Przepraszam?

Nick uniósł głowę tak szybko, że omal nie strącił laptopa na ziemię. Z góry spoglądała nań ekspedientka z naręczem podręczników w dłoniach. Nachylił się nad ekranem, by go zasłonić.

– Pomóc panu coś znaleźć?

Zatrzasnął pokrywę komputera.

– Nie, dziękuję.

– W kafejce jest łącze internetowe – odpowiedziała dziewczyna.

– Dzięki.

Powoli wszedł schodami na parter, przyciskając komputer do piersi. Uniesienie wywołane złamaniem hasła rozwiązało się i jego miejsce zajęła konsternacja. Omal nie umknęło jego uwagi wibrowanie komórki na pasku przy biodrze.

Na ekranie widniał komunikat o dwóch nieodebranych połączeniach w ciągu dziesięciu minut. W podziemiu musiało brakować zasięgu. Nick sprawdził

numery. Jedno połączenie było od Setha, a drugie z miejscowego numeru, którego nie kojarzył. Zadzwoił do adwokata.

– To ty, Nick? – Seth odpowiedział niemal natychmiastowo. – Bogu dzięki.

– Co się stało? – Adwokat jechał samochodem. Nick musiał krzyczeć, żeby jego głos przedarł się przez szum ulicy.

– Złe wieści. Ten mały zmienił wersję.

Obok telefonu Setha ryknęło coś niczym rakieta kosmiczna.

– Teraz mówi, że być może nie widział cię w korytarzu, kiedy padł strzał. To mogło być tuż przed wystrzałem albo po nim.

– Jak to? Przecież to właśnie odgłos strzału skłonił go do ukrycia się w mieszkaniu. Halo...?

Aparat zamilkł. Kiedy Seth odezwał się ponownie, jego głos dochodził fragmentarycznie i był prawie niezrozumiały.

– Musisz... Royce... Gillian... aresztuje cię...

– Nie słyszę cię! – krzyknął Nick.

– Wjeżdżam do tunelu Holland. Masa samochodów. Zadzwoię...

Głuchy ton obwieścił koniec połączenia. Nick spoglądał na aparat. Otumaniiony, na wszelki wypadek zadzwonił ponownie. Od razu włączyła się poczta głosowa.

Jednocześnie odezwał się ból głowy. Nick poczuł, że trzęsie się z przemęczenia. Dlaczego Max zmienił zeznanie? Czyżby matka nakłoniła do tego syna, aby go nie narażać? Wielokrotnie skarżyła się, że spod drzwi mieszkania Nicka wydostaje się dym trawki, i teraz się za to mści. To było tak niesprawiedliwe, że zapragnął rąbnąć w coś pięścią.

Telefon zadzwonił ponownie. Ludzie oglądający przecenione książki wyłożone na stołach mierzyli go nieprzychylnymi spojrzzeniami. Zerknął na wyświetlacz. Numer miejscowy. Czyżby to był Royce?

Kolejny dzwonek zmusił go do podjęcia decyzji.

– Nick? Mówi Emily.

– Jak się masz? – Odpowiedział odruchowo, prawie jakby podawał jej rękę. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że coś jest nie tak.

– Boję się. – Głos doktor Sutherland rzeczywiście zdradzał lęk. – Ktoś mnie śledzi.

– Gdzie jesteś?

– W toalecie biblioteki publicznej.

– To ta biblioteka, przed którą są lwy?

– Tak. Róg Piątej Alei i Czterdziestej Drugiej Ulicy.

– Dobrze. – Nick myślał szybko. – Jak wyglądał ten mężczyzna, który cię śledził?

– Nie widziałam jego twarzy. Miał kaptur na głowie. On... – Głośne westchnienie. – Ktoś tu jest. Ja...

Nick usłyszał głośne uderzenie w drzwi i jakiś rumor. Potem zapadła cisza.

– Zaraz tam będę – powiedział Nick. Mówił do głuchego telefonu.



Nowy Jork jest bezlitosnym miastem, jeśli nie masz forsy. Nickowi brakowało nawet na taksówkę. Podbiegł do wejścia metra przy Washington Square Park i wrzucił do otworu ostatni zeton. Czy pieszo doszedłby prędzej? Stał na peronie i patrzył w otwór tunelu, jak gdyby to mogło przyspieszyć pociąg. Sekundy przeskakiwały na zabrudzonym dworcowym zegarze.

Kiedy dojechał do Czterdziestej Drugiej Ulicy, na wyświetlaczu komórki nie było powiadomień o nowych połączeniach. Przebiegł sprintem od dworca do biblioteki, zmagając się z wiatrem i skurczem w boku. Ze schodów spoglądały nań dwa lwy noszące imiona Cierpliwość oraz Hart Ducha. Na parterze znalazł punkt informacyjny.

– Gdzie są łazienki? – wykrztusił, z trudem łapiąc oddech. Kobieta musiała go wziąć za szaleńca albo ćpuna. Zerknęła nad jego ramieniem w stronę ochroniarza, po czym skierowała wzrok na sufit.

– Drugie piętro.

Wspinał się szybko schodami, usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Jednocześnie spoglądał w twarze mijanych ludzi. Mężczyzna, który śledził doktor Sutherland, miał kaptur na głowie. Dzień był zimny, więc połowa tych, których widział na schodach, nosiła kurtki z kapturami. Na szczycie schodów na piętrze zauważył mężczyznę w białej koszuli i dżinsach. Przypomniał sobie zabójcę, który ścigał go po dachu z pistoletem. Omal nie pośliznął się na schodach.

Jednak ten prezentował nordycki typ urody i miał jasne włosy. Zabójca wyglądał inaczej.

Nick dotarł na drugie piętro. W lśniąco białym korytarzu za wyłożoną drewnem rotundą, której omal nie przeoczył, dojrzał znak wskazujący drogę do łazienek. Zatrzymał się przed drzwiami.

Co teraz? Nie może tak po prostu wpaść do damskiej toalety. Royce nie posiadałby się z radości.

Drzwi się otworzyły i w ciszę biblioteki wdarł się poszum suszarki do rąk. Nick zdrętwiał, lecz były to tylko dwie dziewczyny w wieku szkolnym.

– Przepraszam.

Zwolniły kroku, lecz się nie zatrzymały.

– Może mogłybyście mi pomóc. Gdzieś zgubiłem dziewczynę i nie mogę jej znaleźć. Czy któraś z was mogłaby...?

– Jasne.

Jedna z dziewcząt uśmiechnęła się uprzejmie i wsunęła głowę przez drzwi.

– Nikogo tam nie ma – oznajmiła.

Serce Nicka zamarło.

– Dziękuję.

Gdy tylko dziewczyny zniknęły, wśliznął się do łazienki. Ani śladu Emily. Tylko biała glazura, umywalki oraz białe światło odbijające się od śnieżnobiałej posadzki.

Drzwi jednej z kabin nie były zamknięte na zamek. Nick wsunął się do środka, wciąż dręczony poczuciem, że łamie jakiś święty zakaz. Kabina była pusta, lecz w muszli coś błyszczało. Zajrzał do środka. W miejscu, w którym zakole odpływu nikło w ciemności, dojrzał koniuszek srebrnego aparatu komórkowego sterczący z rury kanalizacyjnej niczym zatopiony skarb. Czyżby to był telefon Emily?

Ciszę zmaćcił elektryczny tryl. Przez sekundę Nick spoglądał w odrętwieniu na lśniący w wodzie telefon. Wtem usiadł sobie, że sygnał dochodzi z jego kieszeni.

– Halo.

– Nick?

Całe jego ciało rozluźniło się na dźwięk głosu Emily. Z ogromną ulgą oparł się o ściankę kabiny.

- Gdzie jesteś?
- Dzwonię z automatu na klatce schodowej. – Zmieszana Emily zawiesiła głos. – Upuściłam komórkę do muszli klozetowej.
- Przed chwilą ją znalazłem. Wszystko w porządku?
- Tak, raczej tak. Ten mężczyzna chyba stracił mnie z oczu. A ty gdzie jesteś?
- Ruszam w twoją stronę. Nie rozłączaj się. – Nick otworzył ramieniem drzwi rad, że wraca na dozwolony teren. Elegancko ubrana kobieta krocząca korytarzem posłała mu nieprzyjemne spojrzenie; uśmiechnął się i stuknął telefonem w głowę niczym idiota.
- Zaraz. – W głosie Emily znów dał się słyszeć strach. – On chyba wrócił. Spotkajmy się w Galerii Salomona na drugim piętrze.

Nick ruszył biegiem. Wychodząc zza węgła, ujrzał plamę czerwieni znikającą w galerii za główną rotundą. Czy to była Emily? Na chwilę zwolnił kroku i wyteżył wzrok. Do sali weszło pięciu japońskich turystów, a para starszych ludzi zmierzała w przeciwnym kierunku. Niski, dobrze zbudowany mężczyzna w kurtce przemknął obok nich, omal nie potykając się o laskę staruszka. Nad opuszczonym kapturem widniała ogolona głowa, a w lewym uchu połyskiwało złoto. Nick widział już tę twarz.

Zerwał się do biegu.

Galeria Salomona była słabo oświetloną salą z regałami na książki oraz gablotami. Jedna z nich stała na samym środku niczym ołtarz lub relikwiarz. Punktowe reflektory oświetlały ogromną otwartą księgę. Kremowe stronicę błyszczwały, a czarny druk tworzył wrażenie mozaiki na odbiciu w szklanej ścianie gabloty. Za nią majaczyła drobna postać w lśniącej czerwieni. Nick nie wiedział, czy Emily dostrzegła zmierzającego ku niej pod osłoną cienia mężczyznę w kurtce.

W rogu siedział ochroniarz, leniwie zerkając na gości. Nick zbliżył się do niego.

- Przepraszam pana, ale zauważyłem, że tamten mężczyzna niesie broń.

Ton strachu słyszalny w jego głosie uwiarygodnił kłamstwo. Strażnik dzwignął się z krzesła, odpiął klapę kabury i ruszył przez salę, mamrocząc coś do radiotelefonu. Nick podążył za nim, omijając gablotę z przeciwnej strony. Emily udawała, że ogląda otwartą księgę, rzucając wokół nerwowe spojrzenia.

Była tak wylękniona, że zauważyła Nicka dopiero, gdy znalazł się tuż obok niej.

– Jeszcze nie jesteś bezpieczna.

Położył rękę na jej ramieniu i skierował dziewczynę w stronę wyjścia. Ruszyli ku niemu skrajem sali. Drugi ochroniarz dołączył do kolegi. Stali na środku i rozmawiali z mężczyzną w kurtce. Nick wskazał ich gestem.

– To był on?

Emily skinęła głową.

Wymknęli się z galerii i szybkim krokiem ruszyli do windy. Żaden z trzech mężczyzn nie zauważył ich wyjścia. Nick nie oglądał się za siebie. Dopiero gdy znaleźli się przed budynkiem i gdy owiał ich pędzący ulicą mocny wiatr, pozwolił sobie na odprężenie.

– Pojedziemy do domu.



Złapali taksówkę. Nick pozwolił Emily zapłacić. Jej dom znajdował się przy ładnej uliczce w centrum. Ciasno rosnące drzewa i proste fasady domów nie mogły przesłonić dyskretnego bogactwa kryjącego się za oknami. Emily zauważyła wzrok Nicka.

– Mieszkanie należy do muzeum. – Posłała mu przepraszający uśmiech. – Dostałam je na pół roku, później muszę się przeprowadzić do prawdziwego świata. Mój czas prawie minął.

Nick rozejrzał się badawczo, a Emily zaczęła gmerać przy zamku. Wejście prowadziło do ponurego holu pełnego schodów i drzwi. Podążył za Emily na piętro. Nie wiedział, czy jest zaproszony, lecz gospodyni nie protestowała. Stąpali po okrytych wykładziną schodach. Cały dom zdawał się pogrążony we śnie.

Ciszę przerwał krzyk Emily. Nick, który szedł dwa kroki za nią, uniósł głowę. Dziewczyna stała przed drzwiami mieszkania i na coś patrzyła. Odsunęła się na bok, aby i on mógł spojrzeć.

Drzwi były otwarte. Zostały minimalnie uchylone, lecz to i tak było o wiele za dużo. W Nowym Jorku żadnych drzwi nie powinno się zostawiać otwartych. Drzazgi drewna wokół zamka wskazywały miejsce, w którym je sforsowano.

Przez dłuższą chwilę oboje stali i patrzyli niczym dwa pyłki kurzu schwyte

w snop światła. Potem odwrócili się i rzucili do ucieczki. Schodami, przez drzwi i na ulicę. Biegli wzdłuż szpaleru drzew i zatrzymali się dopiero na skrzyżowaniu. Tam obejrzeni się za siebie. Ulica była pusta.

– Zadzwoń na policję. – Nick pochylił się, opierając dłonie na udach. – Nie wchodź do środka przed przybyciem glin. Czy mieszka tu ktoś oprócz ciebie?

Emily pokręciła głową. Była bliska płaczu.

– Jeszcze jedno. Nie mów glinom, że tu byłem. Proszę cię. Oni już uznali mnie za winnego.

Emily się przeraziła.

– Nie poczekasz ze mną?

– Jeśli mnie tutaj zastaną, ani trochę ci to nie pomoże.

– Proszę. – Emily wyciągnęła rękę. Przypominała ptaka ze złamanym skrzydełkiem. – Nie powiem im, że ze mną byłeś.

Nick zerknął na ulicę. Z restauracji Burger King dochodził zapach hamburgerów.

– Tam będzie cieplej.

□ □ □

Emily przycupnęła na krawędzi plastikowej ławeczki wśród rozwrzeszczanych dzieci wracających ze szkoły. Piła wodę, nie zdjawszy płaszcza. Nick obracał w palcach pusty papierowy kubek, który ktoś zostawił na stoliku.

– Znasz tego mężczyznę, który był w bibliotece?

– Nie.

– Kiedy się ostatnio widzieliśmy, przestrzegłeś mnie, żebym ci nie pomagała.

– Mówiłem, że lepiej, abyś mi nie pomagała.

– Nie wiedziałam, co chcesz przez to powiedzieć.

Nick się zastanowił.

– Ta karta jest jak wirus. Każdy, kogo dotknie... Najpierw Gillian, później Bret. Teraz ty.

– A ty?

Emily odwróciła pytanie, wskazując Nicka skinieniem głowy. Miała oczy ciemne jak letnia burza.

– Włamano się do mojego mieszkania. Mój współlokator został zastrzelony, ja ledwie uniknąłem jęgo losu. Ktoś zdołał unieważnić moją kartę

kredytową. Policja skonfiskowała mój paszport i komputer. Przypuszczalnie chcą mnie aresztować za morderstwo. Oraz za włamanie, jeśli dowiedzą się, że tutaj byłem.

Nick mówił szybko, jakby wyrzucał z siebie cały żal za niesprawiedliwości, które go spotkały. Wraz z poczuciem oczyszczenia wróciła energia.

– Wszystko z powodu tej karty.

– Z powodu karty – powtórzyła Emily. Wyglądała na wstrząśniętą jego wybuchem, ale nie tak bardzo, jak się spodziewał. – Wczoraj wieczorem przyjrzałam jej się dokładniej. Spośród ośmiu widocznych na niej zwierząt trzy nie pojawiają się na żadnej innej.

– I tak może być sfalszowana.

– Lecz jeśli nie jest, Gillian Lockhart dokonała najcenniejszego odkrycia w tej dziedzinie od dwudziestu lat. – Emily mówiła poważnie, bez cienia przesady.

– Powiedziałaś, że wartość tej karty nie przekracza dziesięciu tysięcy dolarów.

Wzrok Emily sprawił, że Nick się wzdrygnął.

– Ona stanowi jedną z pierwszych odbitek zrobionych za pomocą miedziorytu. Poza tym jest wspaniałym dziełem sztuki. Pieniądze w najmniejszym stopniu nie odzwierciedlają jej wartości.

– Jest warta aż tyle, by zabić dla niej człowieka?

Emily nieco się wycofała.

– Być może nie chodzi o kartę. Może jest ona fragmentem jakiejś całości.

– Przechyliła głowę na bok i przyjrzała się Nickowi tak, jakby oglądała średniowieczny arras. – Jest coś jeszcze, prawda?

Nick nigdy nie umiał kłamać.

– Tego nie mogę ci powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Wierz mi, wolałabyś nie wiedzieć.

Emily oparła się o blat stolika.

– Chcę wiedzieć. – Ponownie zmierzyła go badawczym wzrokiem. – Czego poza tym się dowiedziałeś?

Nick przełknął ślinę. Laminowane ścianki papierowego kubka, który wciąż obracał w palcach, zmarszczyły się niczym kora drzewa. Wyjrzał przez okno, wsłuchując się w jęk syren.

– Gillian przysłała mi jeszcze jedną wiadomość. Razem z kartą, ale dopiero niedawno ją odebrałem. – Nie wyjaśnił, dlaczego tak się stało. – Zawarła w niej pewien adres.

– Sądzisz, że Gillian może pod nim przebywać. Albo że coś tam zostawiła. – Twarz Emily rozjaśniła się z podniecenia, nie tracąc wyrazu bezbronności. – A ty chcesz to znaleźć.

Nick nie zaprzeczył.

– Proszę cię, nie mów policji. Przynajmniej do jutra.

– Dobrze, nie powiem. – Emily zakręciła butelką wody na stole. Nick zauważył, że ma nawyk przyciskania rąk do tułowia, kiedy intensywnie myśli. Gdy podniosła oczy, jej wzrok był jasny i wyrażał mocne postanowienie.

– Pojadę z tobą.

Skłamałby, mówiąc, że nie przyszło mu to na myśl. Po części pragnął, żeby z nim była – jako towarzyszka, powierniczka oraz przyjaciółka, mimo że ledwo ją znał. To jednak było szaleństwo.

– Nie – rzekł, siłąc się na zdecydowanie.

Emily tylko na niego patrzyła, nie mówiąc ani słowa.

– To będzie zbyt niebezpieczne dla nas obojga. Nie znamy się. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi jestem złodziejem i mordercą.

Błysk w oczach Emily jednoznacznie temu zaprzeczył.

– A to nie będzie wycieczka do New Jersey, tylko długa podróż...

– Ten adres znajduje się w Paryżu, prawda? – Emily zagryzła wargę. – Powiedziałeś, że policja skonfiskowała twój paszport.

Nick dziwił się, że ktoś tak delikatny może być tak nieugięty.

– Karta mnie nie interesuje. Chcę odnaleźć Gillian.

– Naturalnie. A ja pragnę ci pomóc.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę zostać w Nowym Jorku i każdego wieczoru bać się, że przyjdą po mnie do domu. Bo chcę się dowiedzieć, czy ta karta naprawdę istnieje. I jeszcze dlatego, że przyda ci się wszelka pomoc.

Emily odstawiła butelkę, która stuknęła głucho o plastikowy blat.

– A więc jak się tam dostaniemy?

□ □ □

– Jest lot linii Continental z lotniska Kennedy'ego do Zaventem w Brukseli dziś wieczorem o osiemnastej trzydzieści. – Agent biura podróży stuknął w klawiaturę. – Są wolne miejsca.

Nick nie pamiętał, kiedy ostatnio był w biurze podróży; przypuszczalnie działo się to w czasach licealnych, zanim wynaleziono Internet. Zapomniał, jak ślamazarnie wszystko się toczy. Powstrzymał się, by nie zerkać przez ramię na samochody wlokące się Czterdziestą Drugą Ulicą.

– Muszę zobaczyć państwa paszporty.

Emily otworzyła torebkę i położyła dokument na biurku. Nick sięgnął do portfela, wyczuwając twarde zgrubienie tkwiącej w środku książeczki. Wyłowił ją i umieścił na paszporcie Emily. Leżały lekko rozłożone niczym wachlarz kart czekający na wycenę dealera.

Agent przekartkował dokument i zerknął na zdjęcie.

– Jest pan Brytyjczykiem? – zapytał Nicka.

– Ze strony matki. – Postarał się o paszport, wyjeżdżając do Niemiec. Chciał sobie oszczędzić fadygi ubiegania się o pozwolenie na pracę. Nawet nie przyszło mu na myśl, że posłuży się nim w celu potajemnego opuszczenia rodzinnego kraju. Wciąż nie miał pewności, czy to mu się uda.

Agent wydawał się usatysfakcjonowany. Zwrócił oba paszporty.

– Przyjemnej podróży.

XXVI

Strasburg, 1434

Strasburg, miasto gościńców. Gościńce z północy, z bogatych rynków sukienniczych Brugii i jeszcze dalszego Londynu; południowe trakty z Mediolanu i Pizy oraz morskie, wiodące przez Morze Śródziemne ku ciemnemu wybrzeżu Afryki; trakty z zachodu, z Paryża i Szampanii, biegnące na wschód do serc cesarstw: Wiednia, Konstantynopola, Damaszku i korzennych miast Wschodu. A kilka kilometrów od niego wielki wodny szlak Renu, osnowa mojego życia.

Trakty stanowiły życiodajne arterie chrześcijaństwa, a Strasburg był jego sercem. Stał na wyspie na rzece Ill będącej dopływem Renu. Konieczność oraz ludzka przemyślność uczyniły z niej wielowątkowy naszyjnik kanałów otaczających miasto, utworzony z wody i kamienia. Przybysz wkraczający do miasta odbywał niezwykłą podróż przez mosty i fosy, bramy, wieże oraz wąskie alejki prowadzące do kolejnych mostów, by wreszcie znaleźć się na ogromnym placu. Tam, w miejscu, w którym zbiegały się wszystkie szlaki, stała katedra Notre Dame. I właśnie tam znalazłem to, czego szukałem.

Przybyłem traktem wiodącym z zachodu. Był piękny wiosenny poranek, na szafirowym niebie wisiało łagodne słońce; padający wczoraj wieczorem deszcz wymył ulice do czysta. W powietrzu unosiła się rześka wilgoć, od której zarumieniły mi się policzki. Trudno było dopatrzeć się we mnie żałosnego straszysła, które miało się przed piecem w wieży Tristana. Pęcherze i odparzenia na moich dłoniach już się zagoiły; tylko w zaroście na policzku ziała łyśa plama

w miejscu poparzonym wotriolem. Miałem na sobie nowy surdut z pastelowego niebieskiego sukna oraz nowe buty. Kupiłem to wszystko w Troges za pieniądze zarobione na kopiowaniu odpustów w czasie Bożego Narodzenia. Poczuję się jak zupełnie inny człowiek. Nieznajomi już nie wzdrygali się ani nie umykali na drugą stronę ulicy, gdy pytałem ich o drogę. W ten sposób dotarłem do domu pod znakiem niedźwiedzia.

Znalazłbym go tak czy inaczej. Stał naprzeciwko katedry po przeciwnej stronie placu, który stał się placem budowy nowej wieży w zachodniej elewacji świątyni. Kluczyłem między ogromnymi blokami kamienia, zmierzając w stronę złożonego niedźwiedzia wspinającego się po żelaznym pnączu winorośli nad drzwiami warsztatu złotniczego.

Wyjąłem kartę z mieszka wiszącego na szyi. W istocie było to zbyt cenne. Po czterech miesiącach oglądania każdy umieszczony na niej wizerunek wrył się we mnie niczym doskonała kopia. Niedźwiedź w lewym górnym rogu był taki sam, jakkolwiek na karcie nie uwidoczono winnej latorośli.

Nerwowo zbliżyłem się do warsztatu. Widok był aż nazbyt dobrze znajomy: pierścienie na szpikulcach, pudełka z paciorkami i koralami, złote patery i pu-chary lśniące w cieniu za kratą gabloty. Nawet mężczyzna stojący za kontuarem przypominał mi Konrada Schmidta. Emanowała zeń aura ojcostwa, której mój ojciec nigdy nie roztaczał. Właściciel pracowni przywitał mnie ostrożnie.

Uniosłem kartę i zobaczyłem, że od razu ją rozpoznał.

– Czy to pan ją wykonał?

Paryż

Tego ranka o ósmej rano na dworcu Gare du Nord wisiała delikatna mgiełka niczym para sprzed stu laty, która dopiero teraz zaczęła osiadać. Policjant kręcił się obok kafejki przy końcu peronu i obserwował pasażerów wysiadających z porannego pociągu z Brukseli. W sobotni poranek nie było ich wielu: klubowicze, którzy jeszcze nie wytrzeźwieli, i kibice piłkarscy, którzy jeszcze nie zdążyli się upić; garstka samotnych biznesmenów oraz tabuny wędrowców z plecakami; ich szorty i sandały świadczyły o tym, że dla nastolatków lato nigdy się nie kończy.

Na samym końcu z pociągu wysiadła osobliwa para: mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna w dżinsach i długim czarnym płaszczu oraz młoda kobieta w czerwonym palcie zapiętym pod szyję i jasnoczerwonych butach. Policjant zwrócił na nich uwagę. Podróżowali razem, lecz dzieliła ich niewidzialna bariera świadcząca o braku zażyłości. Rozmawiali, nie patrząc na siebie, a gdy mężczyzna przy omijaniu kolumny ocierał się o rękę kobiety, oboje przeprasza-
li. Jednonocny romans, uznał policjant; dwoje kolegów po fachu, którzy wspólnie się upili, a byli zbyt młodzi, by takie przygody weszły im w krew. Z tych dwojga przypuszczalnie mężczyzna uważał się za większego szczęśliwca. Dziewczyna była piękna, choć nieco sztywna. Policjant rozebrał ją oczami. Powiedział wzrokiem po szczupłych nogach, ściśniętej paskiem wąskiej talii i pełnych piersiach. Spojrzał na ciemne oczy, potargane włosy i prowokacyjnie szkarłatne usta. Facet był zaniedbany, a jego twarz wyrażała konsternację. Być może ma żonę, z którą niebawem się spotka.

Nicka ścisnęło w żołądku na widok czujnego policjanta. Czyżby został rozpoznany? Czy amerykańska policja rozesłała za nim międzynarodowy list gończy i zawiadomiła Interpol? Zmierzając w stronę gliniarza, poruszał się coraz bardziej nienaturalnie. Nerwowość usztywniała jego mięśnie. Odwrócił głowę w stronę Emili i cicho wypowiedział jakąś nieistotną uwagę. Skinęła głową. Widać było, że czuje się nieswojo.

Zmęczenie wywołane zmianą strefy czasowej wyjątkowo okazało się pomocne, gdyż na zaspanej twarzy nie widać napięcia. Nick przesiedział całą krótką noc, a Emili drzemała obok niego okryta kocem. Lęk nie pozwolił mu zmruzzyć oka – lęk przed tym, co zostawił za sobą po drugiej stronie Atlantyku, oraz przed tym, co go czeka. Akurat wtedy, gdy zaczął go morzyć sen, zapalono światła i samolot rozpoczął podchodzenie do lądowania w Brukseli. Później w pośpiechu przebiegli lotnisko, dojechali taksówką do centrum i wsiedli w pierwszy pociąg do Paryża. Był to pomysł Emili. Z Brukseli mogli dojechać wszędzie w Europie bez konieczności okazywania paszportów. Istniały jednak inne sposoby, za pomocą których można ich było namierzyć.

Rozejrzawszy się, Nick zobaczył, że minęli policjanta. Był tak zmęczony, że nawet nie odczuł ulgi. Później dziesięć minut czekali na taksówkę.

– *Cent soixante dix-sept rue de Rivoli* – powiedziała Emily do kierowcy. Nick spojrział na nią z zaskoczeniem.

– Przed doktoratem mieszkałam tutaj pół roku – wyjaśniła. – Trudno prowadzić pracę badawczą nad oryginalnymi dokumentami, nie znając języka.

Ta uwaga przypomniała obojgu, jak mało o sobie wiedzą. Emily zacisnęła dłoń na torebce, którą trzymała na kolanach, a Nick spojrział przez okno.



Pod numerem 177 przy rue de Rivoli stał anonimowy gmach banku, wciśnięty między sklep należący do amerykańskiej sieci, oraz sklep obuwniczy. Dojechali do niego w chwili, gdy ochroniarz otwierał stalową bramę. Zamówili kawę i rogaliki w kafejce po przeciwnej stronie ulicy, czekając, aż w banku zjawi się więcej klientów. Zmęczeni i pogrążeni w myślach prawie nie rozmawiali. Nick czuł się tak, jakby kulejąc, przebiegał metę długiego koszmarnego wyścigu. Marzył jedynie o tym, by znieruchomieć i zasnąć.

O wpół do dziesiątej weszli do banku. Recepcjonistka siedząca za szarym biurkiem przywitała ich, a potem cierpliwie wysłuchiwała Emily opowiadającej o tym, że na czas półrocznych studiów w Paryżu chce złożyć w bezpiecznym miejscu cenny naszyjnik подарowany jej przez babcię.

Kobieta skinęła głową i oznajmiła, że bank posiada szafki przeznaczone na tego rodzaju depozyty.

– Czy są dobrze zabezpieczone?

Recepcjonistka wzruszyła ramionami. Tego gestu z pewnością uczy się we wszystkich francuskich szkołach.

– *Oui, je pense.* – Widząc, że Nick nie rozumie, płynnie przeszła na angielski. – Dostaje pani kartę otwierającą drzwi do sejfu oraz numer PIN, który otwiera szafkę.

– *Et ça coûte combien?* – dopytywała po francusku Emily.

– Teraz wpłaca pani pięćset euro i co miesiąc sto.

Emily udała, że się waha.

– Czy można zobaczyć sejf?

Recepcjonistka wskazała szklane drzwi w tylnej ścianie sali.

– *C'est là.*

Nick i Emily podeszli do wskazanych drzwi. Znajdowało się za nimi niewielkie pomieszczenie z wykładziną na podłodze oraz rzędami anonimowych stalowych regałów biegnących od ściany do ściany. Na płytach czołowych widniały czerwone wyświetlacze cyfrowe. Nick usiłował odszukać wzrokiem numer 628, lecz gruba kuloodporna szyba uniemożliwiła odczytanie cyfr. Drzwi przypominały wyglądem drewno, jednak były zimne w dotyku. Zbudowano je ze stalowej płyty grubości ośmiu centymetrów.

– Raczej się tam nie włamiemy – mruknął pod nosem.

Wrócili do stanowiska recepcjonistki. Emily wyjęła z portfela paszport i pięćset euro.

Recepcjonistka uśmiechnęła się przepaszająco.

– Trzeba zapłacić za pół roku z góry. Jeszcze sześćset euro.

Nick się skrzywił. Emily podała banknoty i czekała, aż recepcjonistka wprowadzi dane do komputera. Umieszczona pod biurkiem maszyna wypluła plastikową kartę, którą pracownica banku wręczyła Emily wraz z paszportem i arkuszem papieru.

– Oto pani numer PIN. Ma pani szafkę numer siedemset siedemnaście. *Merci beaucoup.*

Emily przesunęła kartę przez czytnik. Stalowe drzwi otworzyły się z sykiem powietrza, a następnie zamknęły z głośnym stuknięciem, gdy tylko dwoje klientów je przekroczyło. Stąpali w milczeniu po wykładzinie. Czerwone liczby na tysiącu szafek migały po obu stronach pomieszczenia każda w swoim rytmie. Z góry padało ostre fluorescencyjne światło. Nick miał wrażenie, że znalazł się we wnętrzu wizualizacji migreny.

Emily stanęła przed jedną z szafek.

– Ta ma numer sześćset dwadzieścia osiem.

Nick ustawił się między nią a drzwiami; musiał walczyć ze sobą, by nie spojrzeć, czy ktoś ich obserwuje. Emily wyjęła czarne skórzane rękawiczki. Ostrymi ptasimi ruchami wystukała liczbę 300481.

Drzwiczki się otworzyły, a ona wsunęła rękę do środka.

□ □ □

Złotnik Hans Dunne wziął kartę z mojej ręki i spojrzał na nią.

– Jak pan ją zdobył?

– Od pewnego szlachcica w Paryżu. – Mignął mi przed oczyma obraz zmasakrowanej twarzy Jacquesa. – Powiedział, że karta pochodzi stąd.

Dunne położył ją na ladzie.

– Nie ode mnie.

Hołubiona przez cztery miesiące nadzieja nagle się zachwiała. Nim jednak runęła, Dunne znów się odezwał:

– Ta wyszła spod ręki Kaspara Dracha, malarza. – Na twarzy złotnika pojawił się osobliwy wyraz. – Karta oraz inne rzeczy.

– Czy on tu jest?

Złotnik zauważył, że spoglądam nad jego ramieniem na uczniów znajdujących się w warsztacie.

– W tej chwili nie. Jeśli nadal będzie pan chciał go zobaczyć, proszę przyjść jutro.

– Gdzie przebywa dzisiaj?

– Na krzyżówce w St Argobast. – Mistrz spojrzał na słońce. – Trudno będzie panu tam dzisiaj dojść i wrócić przed zmrokiem.

– Po czym go rozpoznam? – dopytywałem.

– Będzie stał na drabinie.

Jest wiele dni – być może większość – gdy przeznaczenie nam umyka. Wyślizguje nam się z rąk, a my błądzimy niczym ślepcy. Zdarzają się jednak i takie – rzadkie wprawdzie i nieliczne – gdy wybiega nam na spotkanie niczym matka poszukująca swych dzieci. Są również takie dni, w których przeznaczenie drażni się z nami, lecz pokazuje obietnicę zwycięstwa tym, którzy wytrwale do niego dążą. Tamtego dnia ani myślałem rezygnować. Czułem je w swojej duszy. Drżałem z podniecenia, które narastało, w miarę jak przekraczałem mosty i kanały i mijałem młyny oraz wiejskie domki nad brzegami Ulu. Płócienne żagle odbijały promienie słoneczne. Na skraju wody kacząta o żółtym puchu taplały się w błocie.

Dotarłem do krzyżówki godzinę przed zachodem słońca. Rolnicy zeszli z pól i droga opustoszała. W powietrzu zawisła mgiełka. Nieliczne ptaszęta świergotały w żywopłotach, lecz poza tym panowała cisza. Dostrzegłem parę

drewnianych domostw tworzących wioskę St Argobast.

Tuż obok skrzyżowania gościńców stały trzy pączkujące jarzębiny. Na stojącym obok wysokim słupie umieszczono obraz Maryi Dziewicy. Kapliczka dla wędrowców. O słup była oparta drabina, a na niej stał mężczyzna z paletą w jednej dłoni i pędzlem w drugiej. Najwyraźniej nie przejmował się wysokością. Mimo że był zwrócony tyłem do mnie, od razu wiedziałem, że to właśnie jego szukam. Wystarczył mi rzut oka na Madonnę, którą malował. Zamiast korony jej głowę otaczała aureola, jelonka zaś zastąpiło Dzieciątko siedzące na jej kolanach, lecz mimo tych różnic postać wyglądała tak samo jak dama z talii kart. Miała te same bujne włosy, a uniesiona dłoń bezwiednie głaskała drugą. Miała również takie same pełne usta, a oczy kokieteryjnie podziwiała odbicie w zwierciadle. Na tej wersji obrazu zamiast lustra widniała twarz dziecka. Szerokie biodra, obfite piersi i szeroko rozstawione nogi pod fałdami spódnicy – wszystko to czyniło z tej postaci najbardziej wyzywającą Dziewicę, jaką kiedykolwiek widziałem. Podszedłem do drabiny.

– Ty jesteś Drach?

Mężczyzna spojrział w dół. Słońce wisiało za jego głową niczym świetlisty obłok, kryjąc jego twarz w blasku.

– Czy to ty wykonałeś te karty? Talię z ptakami, bestiami, kwiatami i dzikusami, które w cudowny sposób się zdublowały? – Uniosłem ósemkę, którą trzymałem w ręku. Słoneczne światło sprawiło, że karta zabłysła bursztynowo w mojej dłoni. Na jej tylnej stronie uwidoczniła się płatanina linii.

Do moich uszu dobiegł cichy śmiech, który z biegiem czasu tak dobrze poznałem.

– Tak, to ja.

XXVII

Paryż

Taksówka przemknęła obok turystów gromadzących się przed katedrą Notre Dame. Przejechała nad rzeką mostem Pont Neuf i skręciła w kwartał malutkich alejek wijących się obok kościoła St Severin w pobliżu Sorbony. Zatrzymała się w połowie długości uliczki przed starym hotelem z wejściem ocienionym markizą, na której widniała reklama marki piwa. Pręgowany kot zeskoczył z krzesła recepcjonisty i odszedł niespiesznie, gdy Nick i Emily zjawili się w holu. Po chwili z sąsiedniego pomieszczenia wyłonił się starszy mężczyzna. Na pytanie Emily odpowiedział skinieniem głowy i uśmiechem, po czym wyciągnął z szuflady parę kluczy. Nie zaprzątał sobie głowy papierkami.

Wsiedli do windy i znaleźli pokój. Nick spojrzał na podwójne łoża. Mimo wysiłków nie zdołał ukryć swoich myśli.

– Prosiłam o bliźniacze pokoje – oznajmiła przepraszająco Emily. – Zejdę i poproszę o zamianę.

– Mogę spać na podłodze. – Nick był gotów spać wszędzie, ale jeszcze nie w tej chwili.

Rzuciwszy torbę na ziemię, podszedł do stolika przy oknie. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął sztywną kopertę. Zgodnie z niewypowiedzianym ustaleniem czekali z tym, aż dotrą do hotelu.

Niczym para niezdarnych kochanków oboje sięgnęli po kopertę w tej samej chwili. Ich dłonie zetknęły się i cofnęły. Nick wsunął palec pod górną część koperty i rozdarł ją. Wewnątrz kryło się coś twardego i gładkiego. Nachylił kopertę tak, by zawartość sama wysunęła się na stół. Był to prostokątny płaski obiekt wielkości pocztówki owinięty w białą bibułę.

– Mogę?

Emily wsunęła paznokciec pod tasiemkę i odwinęła bibułę.

Po tym wszystkim, co przeszedł, Nicka ogarnęło przytłaczające rozczarowanie. Cel poszukiwań był doskonale znany. Cztery niedźwiedzie i cztery lwy. Tym razem już nie wyświetlone na ekranie, tylko wydrukowane na sztywnym żłobkowanym papierze. Był poszarzały od starości, lecz linie rysunku zachowały wyrazistość.

Emily włożyła rękawiczki i ujęła kartę za krawędź.

– Nie ma na niej żadnych stempli ani oznaczeń.

– A powinny być?

– Tak, jeśli karta pochodzi z biblioteki lub znanej kolekcji. – Zapaliła lampę na nocnym stoliku i uniosła kartę pod światło. – Wokół zwierząt nie ma obwódki. Karta została odbita z jednej miedzianej matrycy, a nie ze składanki pochodzącej z późniejszego okresu. Spójrz tutaj. – Wskazała środek karty. – Znak wodny: korona. Taki sam jak na innych najstarszych kartach.

– Co to jest? – Nick wskazał skupisko ciemnych plam rozmazanych w prawym dolnym rogu karty. Niektóre były czarne, a inne czerwonawobrązowe. – Przypominają zakrzepłą krew.

– Może wino rozlało się w czasie gry? – Emily z namaszczeniem owinęła kartę w bibułę, jak gdyby to były ludzkie zwłoki. Jej usta zwilgotniały z podniecenia. – Ta karta jest autentyczna, Nick. Pierwsza, jaką odkryto od stu lat.

Nick milczał. Entuzjizm Emily tylko powiększył jego zniechęcenie. Nagle zapragnął chwycić kartę i podrzeć ją na strzępy.

– Mamy odnaleźć Gillian.

– Ona chciała, żebyś zdobył tę kartę.

– I co mam z nią teraz począć? Umieścić w muzeum z tabliczką? „Dar Gillian Lockhart, która niestety zaginęła”. – Nick miał świadomość, że ulega przemęczeniu, ale nie mógł w sobie wzbudzić zainteresowania niezwyklej znaleziskiem.

– Gillian zostawiła coś jeszcze?

Pytanie Emily wstrząsnęło nim jak policzek. Poruszył kopertę. W środku coś zaszeleściło.

Obrócił kopertę i na stół wypadł kawałek plastiku wielkości karty kredytowej oraz mały złoty chip.

Nick obejrzał plastikową kartę. Była czerwona; obok wizerunku otwartej książki widniały litery „BnF”. Odwrócił kartę. W narożniku w pustym kwadracie wielkości półtora na półtora centymetra widniała twarz Gillian. Spoglądała w obiektyw niczym w lunę pistoletu. Nick rozpoznał ją dopiero po chwili. Blask lampy padający z góry odbijał się od jej czoła. Tonąca w cieniu twarz prezentowała się niekorzystnie jak na oficjalnej fotografii. Gillian skróciła włosy i ufarbowała je na blond. Przypomniał sobie wers wiersza, który lubiła cytować: „Przetrwa jedynie zmienność”.

– „BnF” to skrót od Bibliothèque Nationale de France – oznajmiła Emily.
– Francuska Biblioteka Narodowa. Znajduje się tam czterdzieści spośród oryginalnych kart do gry. To musi być jej karta wstępu. – Wskazała chip. – A co to takiego?

Nick ujął płytkę w palec.

– Karta SIM do telefonu komórkowego.
– Dlaczego Gillian ją zostawiła?
– Może po to, abyśmy zobaczyli, do kogo dzwoniła. Wyjął swoją komórkę i ściągnąwszy tylną pokrywę, włożył kartę SIM Gillian w miejsce swojej. Już miał włączyć telefon, gdy nagle znieruchomiał. Jego palec zawisł nad przyciskiem. – Albo...

– Albo co?

– Mogła to zostawić dlatego, że ci ludzie namierzili ją za pomocą sygnału.

Wsunął aparat do kieszeni, chwycił płaszcz i skierował się do drzwi. Emily podskoczyła zaniepokojona.

– Dokąd idziesz?

– Na stację metra.

□ □ □

Zimno owionęło go, gdy tylko zaniknął za sobą drzwi hoteliku. Nisko nad Paryżem zawisła płachta bałwaniastych chmur. Szczypiący chłód zapowiadał opady śniegu. Nick skręcił za rogiem i szybkim krokiem ruszył w stronę stacji Saint-Michel. Na przeciwległym brzegu Sekwany stado ptaków zatoczyło krąg nad wieżycami Notre Dame. Kupił bilet, przepchnął się przez ciasny kołowrotek i zbiegł po schodach na zatłoczony peron.

Uruchomił telefon. Wyszukiwanie sygnału, głośił komunikat na ekranie. Upewniwszy się, że sygnał nie dociera do aparatu, Nick zabrał się do roboty.

Zaczął od przejrzania książki telefonicznej. Kilka nazwisk budziło niejasne skojarzenia; niektóre były francuskie, inne wyglądały na amerykańskie. Żadne nie rzuciło mu się w oczy. „Muzeum”, „Natalie Komórka”, „Paul Dom...”.

Imienia Nick nie było. Coś ścisnęło go w żołądku. Usunęła mnie. Po wszystkim innym, co się wydarzyło, było to drobne rozczarowanie, lecz zabolalo go jak postrzał w brzuch. Może tym bardziej że rzecz była tak banalna: w grę nie wchodził gest ani wiadomość, lecz czynność przypominająca uprzątnięcie obejścia.

Może zrobiła to po to, by mnie chronić, tłumaczył sobie. Nie zdołał się jednak przekonać.

Dlaczego więc przysłała mi tę kartę?

Na stację wjechał czerwony piętrowy pociąg. Przez minutę panował chaos, gdy jedna grupa turystów oraz ludzi zmierzających na zakupy zamieniała się miejscami z drugą. Skład oddalił się powoli.

Nick przeszukiwał foldery, by odczytać wiadomości tekstowe. Wszystkie zostały usunięte. Oprócz jednej.

*Nie wiem, co takiego zrobiłem, ale proszę, zadzwoń do mnie.
Nawet jeśli nie chcesz rozmawiać, zadzwoń chociaż raz. Wciąż
cię kocham. Nick*

SMS nosił datę sprzed pół roku. Gillian nie odpowiedziała. Czemu więc go zachowała w zapomnianym zakamarku, by pokrył się cyfrowym kurzem?

Nick opuścił folder z wiadomościami. Peron zaczynał się znów zapełniać. Gdzieś na jego końcu gitarzysta z dredami na głowie śpiewał po francusku piosenkę Pink Floydów. Bez większej nadziei Nick wszedł do rejestru połączeń telefonu.

Znalazł trzy. Dwa były z numerami wyglądającymi na francuskie, niewymienionymi w książce telefonicznej. Trzecie połączenie, najnowsze, było z kimś o imieniu Simon. Nick sprawdził numer. Ten również wyglądał na miejscowy.

Zanotował numery oraz godzinę i czas trwania rozmów, a następnie wyłączył aparat.

□ □ □

Spędziwszy kwadrans w kawiarence internetowej, wrócił do hotelu. Emily siedziała na łóżku z podwiniętymi nogami niczym uczennica i oglądała kartę.

– Znalazłaś coś? – spytał Nick.

Pokręciła głową.

– Nie. A ty?

– Trzy numery telefoniczne. – Wyjął z kieszeni skrawek papieru. – Ostatnie trzy połączenia Gillian z tego telefonu.

– Jeśli telefon należał do niej – zauważyła Emily. – Tego nie wiesz.

– Należał do niej. – Nick osunął się na fotel. Ręce nadal miał sztywne od panującego na dworze zimna. – Jedno połączenie było z firmą taksówkarską. Znam jego czas i datę. Można sprawdzić, czy firma prowadzi wykaz rozmów. Telefonowała również do jakiegoś Simona.

– Czy on ma nazwisko?

– Nie ma nawet inicjału. – Co z tego wynika? Nigdy nie słyszał, by Gillian wspominała o znajomym o tym imieniu. Postanowił pominąć ten trop. – Z trzecim połączeniem miałem więcej szczęścia. Ten człowiek to profesor Jean-Baptiste Vandeveld, uczony zajmujący się fizyką cząstek elementarnych w Instytucie Georges Sagnac nieopodal Paryża. Specjalizuje się we fluoroskopii rentgenowskiej, cokolwiek to znaczy.

Emily uniosła brwi.

– Zaczerpnąłeś te informacje z telefonu Gillian?

– Ten człowiek prowadzi stronę internetową. – Nick podał towarzyszcze wydruk, który zrobił w kafejce. – Są tam jego namiary. Strona wyskoczyła, kiedy szukałem numeru.

Emily przyjrzała się wydrukowi.

– O czym Gillian miałyby rozmawiać z fizykiem atomowym?

– Zapytajmy go.

XXVIII

Strasburg, 1434

Co mogę powiedzieć o Kasparze Drachu? Był najbardziej obrzydliwie utalentowanym człowiekiem, jakiego znałem; jeszcze bardziej, jak mi się zdaje, niż Nicholas Cusanus. Ten drugi pielęgnował swoje myśli w obmurowanych ogrodach, a Drach wędrował swobodnie po ziemi. Cusanus przyszywał, podlewał, kształtował i przycinał, Drach natomiast rozsiewał swe nasienie, ani przez chwilę nie zaprzatając myśli dociekaniem, gdzie ono upadnie. Gdziekolwiek stanęła jego stopa, strzelały w górę splątane łąki fantastycznych kolorowych kwiatów. Jednak między ich poskręcanyimi łodygami czały się węże.

Nie wiedziałem tego wszystkiego owego wiosennego ranka. Pamiętam klaskanie jego bosych stóp na szczeblach drabiny, gdy z niej zstępował. Krzywy uśmiech na jego ustach, kiedy zobaczył moje zaskoczenie. Spodziewałem się ujrzeć kogoś podobnego do złotnika: mądrego i czcigodnego mężczyznę, który poświęcił życie na opanowanie nowej sztuki. Zobaczyłem tymczasem drobne-go człowieczka z niesforną czupryną czarnych kędzierzawych włosów o kilka lat młodszego ode mnie. Miał skórę barwy surowego miodu, a jego oczy zmieniły kolor wraz ze światłem niczym lepka oliwa: były niebieskie, zielone, szare lub czarne. Jego czoło barbarzyńsko przecinała smuga błękitnej farby.

Wziął kartę z mojej dłoni i rzucił na nią okiem. Szukałem w jego oczach oznak świadczących o tym, że rozpoznaje swoje dzieło, czegoś w rodzaju ojcowskiej dumy z powrotu syna marnotrawnego. Niczego takiego się nie dopatrzyłem. Zwrócił mi kartę.

- Przegrałeś?
- Co takiego?

Byłem nieuważny. Jego palce prześliznęły się po moich, gdy podawaliśmy sobie kartę. Mieszkający we mnie demon zadygotał. To było jak podmuch wiatru niosący posmak burzy.

- Pytam, czy przegrałeś partię?

Znów przypomniła mi się zmasakrowana twarz Jacquesa oraz jego krew na kamieniach.

- Nie.

Drach ponownie uśmiechnął się do mnie krzywo.

– Marny rzemieślnik zrzuca winę na narzędzia. Kiepski hazardzista obwinia tego, który zrobił karty.

Nagle odwrócił się do mnie tyłem i ruszył w stronę rzeki. Nie umiałem odgadnąć, czy w ten sposób mnie odprawia, czy zaprasza. Podążyłem za nim. Przykucnął nad brzegiem i chlusnął nieco wody na paletę. Do rzeki spłynęły kolorowe smugi.

Stanąłem na skarpie i patrzyłem.

– W jaki sposób je wykonałeś?! – krzyknąłem. W wieczornej ciszy mój głos zabrzmiał nienaturalnie głośno. – Jak to robisz, że są tak doskonałe?

Drach nawet się nie obejrzał.

- Czym się trudnisz?

Zawahałem się.

- Kiedyś byłem złotnikiem. – Tylko na tyle umiałem się zdobyć.

– Gdybym zjawił się w twoim warsztacie i zapytał o tajniki emaliowania albo o sposób rozgrzewania złota miedzią w celu ożywienia rytów, powiedziałbyś mi?

- Ja...

– Odkryłem coś, czego nie odkrył dotąd żaden człowiek. Myślisz, że będę dzielił się tym sekretem z każdym, kogo spotykam na rozstaju dróg?

Wyciągnąwszy paletę z rzeki, strząsnął z niej wodę i wsunął paletę pod pachę. Wdrapał się na brzeg i ominął mnie.

- Chcę stworzyć coś doskonałego – oznajmiłem. W moim głosie musiała

zabrzmieć prawdziwa nuta desperacji lub rozpacz. Drach się odwrócił.

– Jedyne Bóg jest doskonały.

Na papierze te słowa wyglądają jak pompatyczna przygana. Wszelako zapis nie oddaje sposobu, w jaki zostały wypowiedziane. Ich przesadnej solenności towarzyszyło bowiem skrzywienie kącików ust i potny błysk w oczach artysty, które dojrzały we mnie wspólnotę grzechu.

– Bóg oraz twoje karty.

Moja odpowiedź wielce go zadowoliła. Rozłożył ręce i uklonił się. U Dracha wszystko było teatrem.

– Nawet Bóg nie zdołałby stworzyć dwóch ludzi tak podobnych do siebie jak moje karty. – Rozważał swoje słowa, a ja starałem się nie okazać zaszokowania. – Z wyjątkiem bliźniaków. Oni jednak są nienaturalni.

Drach spojrział na niebo. Słońce znikło, nieboskłon pociemniał. Wkrótce stanie się czarny.

– Jesteś głodny?



Ruszyliśmy przez pola ku wiosce. Wąska ścieżka była przeorana pługiem, toteż często na siebie wpadaliśmy. Pragnąłem wziąć go za rękę i iść z nim ramię w ramię, gdyż już wtedy byłem oczarowany, lecz rzecz jasna nie śmiałem. Zadowalałem się otarciem ręki o jego rękaw i sporadycznym zderzeniem ramion.

Drach trzymał słoje w sakwie, która brzęczała niczym dzwonki upręży, ilekroć postawił krok. Podobnie było z jego mową: jej płynność radowała moje ucho i nigdy mnie nie drażniła. Zapytał mnie o nazwisko i miejsce pochodzenia. Powiedziałem „Paryż”, a on rzucił mi takie spojrzenie, jakby wszystko wiedział.

– Za tym kryje się jakaś historia – oznajmił. – Pewnego dnia wydobędę ją z ciebie.

Nikommu nie opowiedziałbym jej chętniej niż jemu.

Dotarliśmy do karczmy o nazwie L'Homme Sauvage, czyli Dzikus. Widniejący na szyldzie mężczyzna o skórze odpadającej niczym listowie z drzewa grał na lutni i oglądał się przez ramię. Czułem się tak, jakbym wkroczył do innego

świata: gdziekolwiek skierowałem wzrok, widziałem ożywione karty. Drach zauważył moje spojrzenie i skinął głową.

– Jestem tu zawsze mile widziany. Podadzą nam posiłek i przenocują.

Powiedział „nam” tak bezwiednie, że nie wiedziałem, czy to coś znaczy. Dla mnie było to jak guzik, który niezauważenie odpadł od jego surduta, a ja mogę go podnieść i hołubić długo po tym, jak on o nim zapomniał.

Przemierzywszy podwórze stajni, wkroczyliśmy do karczmy. Blask świec wydawał się jeszcze jaśniejszy po panującym na zewnątrz mroku, a ogień w kominku rozpraszał wiosenny chłód. Jakkolwiek wioska leżała zbyt blisko Strasburga, by gospoda mogła liczyć na mnogość podróżnych, gości nie brakowało. Na środku sali trzech zbrojnych w pięknych strojach chełpiło się swoimi triumfami. Dwóch kupców z Wiednia usiadło w kącie, by potargować się i wymienić plotki.

Dziewczyna z włosami jak len, związanymi w kucyki, przyniosła wino. Drach niemal natychmiast opróżnił naczynie i krzyknął, by podano więcej. Czekałem, aż karczmarka odejdzie. Myśl, którą nosiłem w sobie przez wszystkie miesiące mozolnej podróży przez Francję, przyprawiała mnie o drżenie.

Wreszcie dziewczyna się oddaliła.

– Mam dla ciebie propozycję – oznajmiłem. Zamierzałem poczekać, zachęcać Dracha subtelnymi aluzjami i niedomówieniami. Jednakże nie umiałem się powstrzymać: słowa popłynęły ze mnie strumieniem. – Nauczyłeś się, jak tworzyć doskonałe kopie swoich obrazów. Pomyślałeś kiedyś, co jeszcze mógłbyś kopiować?

Drach uniósł brwi, zachęcając mnie, bym kontynuował. Zaczepnąłem tchu.

– Słowa.

Chwilę potrwało, nim zrozumiał, co mam na myśli. Wtedy parsknął śmiechem.

– Słowa? Ile można za nie zapłacić? Ilustrowałem rękopisy i wiem, ile płaci się skrybom za kopie.

– Niektóre słowa mają większą wartość.

Wróciłem myślą do mennicy mojego ojca i ujrzałem strumień monet spływający na szale wagi. W Paryżu zasada doskonałości nie przemieniła ołowiu

w złoto. Byłem przekonany, że w Strasburgu lepiej powiedzie mi się z papierem.

– Na przykład Słowo Boże.

Drach prychnął tak mocno, że wino trysnęło mu przez nos. Popatrzył na mnie, zastanawiając się, czy nie pomylił się w ocenie.

– Biblia?

– Odpusty.

To go zaskoczyło. Rozparł się na krzesło i zamyślił. Nawet w zadumie jego twarz miała w sobie więcej życia niż twarze większości ludzi.

– Odpusty to kwity – odrzekł po namyśle. – Świstki, które Kościół sprzedaje jako dowody, że wykupiłeś darowanie grzechów. Nie ma w tym nic pięknego.

– W jednym egzemplarzu nie ma – przyznałem. – Ale w tysiącu dokładnie takich samych...

– Tysiąc – powtórzył mój towarzysz, napawając się tym słowem.

– Uzyskanych za pomocą twojej sztuki.

– To byłaby jedna kartka.

– Standardowy tekst.

– Zostawilibyśmy miejsce na nazwiska i daty.

– No i cena. – Zarumieniłem się z radości na samą myśl. Poczułem się tak, jakbym zdołał dopasować klucz do zamka. Nigdy z nikim nie czułem takiego niezwykłego porozumienia.

– Bóg mi świadkiem, że nie zabrakłoby nam klientów.

– Pamiętajmy jednak, że łaska boża pewnego dnia uczyni nas wszystkich doskonałymi.

Ten odruchowo wypowiedziany, nieunikniony komentarz rozwiął czar chwili i znów ściągnął na mnie taksujące spojrzenie Dracha.

– Doskonały świat byłby lichym miejscem do życia. I dawałby znacznie mniej okazji do zarobku.

– Naturalnie – bąknąłem. Teraz pragnąłem tylko, by oblicze mojego rozmówcy znów się rozjaśniło. – Chciałem tylko powiedzieć...

Drach przerwał mi, wskazując gestem przeciwniegi kąt sali. Stała tam kobieta, która nalewała napitki, roztaczając swoje wdzięki przed kupcami i

parobkami. Jej piersi zwisły prawie do pasa; dekolt sięgał niemal równie nisko. Grubo nałożony czerwony puder nadawał policzkom fakturę źle otynkowanej ściany.

– Dopóki będą istnieli tacy mężczyźni i takie kobiety, pozostaniemy bogaci.

Zadrzałem z odrazy, spoglądając na nierządnicę. Kontrast między nią a Drachem – pełnym ogłady, bystrym i wyniosłym – był ogromny. Uświadomiłem sobie, że obserwuje mnie niczym ksiądz w czasie spowiedzi. Zapanowawszy nad wyrazem twarzy, usiłowałem wymyślić jakąś wymówkę, która uratuje mnie w jego oczach. Drach pokręcił głową, jak gdyby wiedział, co zamierzam powiedzieć, i chciał oszczędzić mi kompromitacji. Wyciągnął rękę i położył ją na mojej dłoni.

– Twój sekret jest bezpieczny.

Roześmiał się, widząc zmieszanie w moich oczach.

– Mam na myśli twoją propozycję. To genialny plan.

– Karty... – zacząłem.

– To jedynie początek. Sprzedałem je bogatym hazardzistom obdarzonym dobrym gustem. Ale to ograniczony rynek zbytu. Dzięki odpustom naszą klientelą stanie się cała ludzkość. I będzie rosła dopóty, dopóki ludzie będą grzeszyli.

Nasze kolana otarły się pod stołem. Wtedy zrozumiałem, że dopóki Kaspar Drach i ja pozostaniemy razem, nie zabraknie grzechu na tym świecie.

XXIX

Paryż

Instytut Georges Sagnac mieścił się w miasteczku akademickim składającym się z niskich betonowych zabudowań na zachodnim przedmieściu Paryża. Większość okien zasłaniały plastikowe rolety; nieliczne okna z zapalonymi światłami wyglądały jak telewizory. Gromadka nastolatków szalała na deskach na rampie, lecz poza tym teren był opustoszały.

Nick i Emily stanęli przed frontem jednego z budynków i nacisnęli dzwonek obok nazwiska VANDEVELDE. Plastikowa obudowa domofonu popękała. Mikrofon był oklejony kolażem wyblakłych nalepek reklamujących kapele undergroundowe, radykalne ugrupowania polityczne, twórczość nikomu nieznanym artystów lub po prostu sławiących anarchię.

– *Oui?*

Emily nachyliła się do ściany.

– Profesor Vandevelde? Tu doktor Sutherland.

W głośniku rozległ się dźwięk przypominający jazgot piły łańcuchowej. Drzwi się otworzyły.

– *Venez.*

Winda była popsuta, poszli więc schodami. Gabinet profesora Vandevelde'a mieścił się na trzecim piętrze na końcu długiego korytarza z posadzką pokrytą linoleum, które prawdopodobnie leżało w nim od 1968 roku. Zapukali i rażny głos zaprosił ich do środka.

Gabinet był rozległy. Z okna w lewej ścianie rozpościerał się posępny widok

na blokowisko zasłaniające horyzont. Pokryte politurą biurko tonęło pod papierami, a na białej tablicy widniały do połowy starte równania. Obok stały dwa niskie krzesła. Z dziur w ich siedziskach wyzierała żółta pianka. Jediną ozdobę stanowił przyklejony do ściany plakat przedstawiający stronę z ilustrowanego magazynu reklamującą dawno zakończoną wystawę w Luwrze.

Profesor Vandavelde wstał i obszedł biurko, by powitać gości. Był roslym, mocno zbudowanym mężczyzną ubranym w sztruksowe spodnie i granatowy sweter z podwiniętymi do łokci rękawami. Gdyby nie okulary w srebrnych oprawkach, Nick wziąłby go za rybaka, a nie za fizyka.

– Emily Sutherland. A to mój asystent Nick.

Vandavelde włączył czajnik ustawiony na wierzchołku szarego regału. Gestem zaprosił gości, by usiedli. Emily przycupnęła na krzesło i splotła nogi.

– Dziękujemy, że zgodził się pan spotkać z nami tak szybko, i to w sobotnie popołudnie. Bardzo mi przykro, że mój e-mail do pana nie dotarł.

Vandavelde otarł łyżeczkę w sweter i otworzył słoik Nescafe.

– *Ça ne fait rien*. I tak tutaj jestem. A państwo przybyli aż z Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku.

– Przeczytałam wiele pańskich prac. – Zostały ściągnięte z Internetu i przejrzone w czasie, w jakim wypija się kawę espresso. – Jednak mój kolega miał trudności ze zrozumieniem procesu.

Nick uśmiechnął się przepraszająco. Uśmiech miał znaczyć, że autor nie ponosi winy za niepojętość asystenta Emily.

– Przyszło mi na myśl, że może pan zdoła mu go objaśnić.

– Naturalnie. – Profesor wstał i poprowadził przybyszów do pozbawionej okien salki. – Tutaj trzymamy milisonde protonową.

Maszyna przypominała urządzenie dentystyczne: ze ściany i sufitu wystawały białe metalowe rurki zbiegające się w dyszy skierowanej w stronę stalowego pulpitu. Od niego zaś odchodził pęk grubych kabli biegnących do komputera stojącego na biurku przy ścianie.

– Wykorzystujemy tutaj technikę emisji promieni wywołanej przez cząstki. – Profesor przeciągał każde słowo, a jego mocny obcy akcent sprawiał,

że stawało się prawie niezrozumiałe. – Metoda została opracowana w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku w San Diego. Wystrzeliwuje się wiązkę protonów przez tę rurę, *ici*, w obiekt poddawany analizie. Protony przenikają przez kartkę, uderzają w atomy i rozbijają je. To wyzwała promieniowanie X, które mierzymy za pomocą systemu fluoroskopowego.

Vandavelde stuknął w dyszę podwieszoną do sufitu i wskazał na komputer.

– On analizuje emisję i mówi nam, co znajduje się w środku kartki.

– Czy w ten sposób nie niszczy się książki?

– *Non*, Skanujemy jedynie milimetr strony, więc protony rozbijają zaledwie kilka atomów. Nie ma żadnych zniszczeń poza tymi na poziomie molekularnym.

Nick zerknął na Emily. Najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, by indagował dalej.

– I w ten sposób można się dowiedzieć, co jest w papierze?

– Można się dowiedzieć, co jest w atramencie. Każdy rodzaj atramentu ma swoją sygnaturę chemiczną, którą identyfikujemy. Analizujemy pierwsze drukowane teksty, aby zobaczyć, kto je stworzył.

Nick wziął głęboki oddech i sięgnął do kieszeni kurtki.

– Co pan odkrył podczas skanowania tego obiektu? – spytał, pokazując kartę i nie spuszczać oka z naukowca.

– Pracuję tylko z książkami. Nie badałem tej karty.

Jednak wyraz jego twarzy świadczył o tym, że Vandavelde rozpoznaje kartę. Nick dostrzegł w nim coś jeszcze. Czyżby strach?

– Dostarczyła ją panu Gillian Lockhart.

– Nigdy nie widziałem Gillian Lockhart – odparł profesor w taki sam sposób, w jaki tłumaczył działanie systemu. Wyuczył się tego zdania na pamięć.

– Co pan odkrył?

– Już panu mówiłem. Nigdy nie widziałem tej karty. – Vandavelde wstał. – Myślę, że chyba jednak nie są państwo zainteresowani moją pracą. Przykro mi, ale nie mogę pomóc. – Położył rękę na klawiszach. – *S'il vous plait...*

Nick i Emily się nie ruszyli.

– Kiedy Gillian tu była?

- Nigdy.
- Dzwoniła do pana miesiąc temu. Trzy tygodnie później zniknęła. Vandavelde westchnął.
- Przykro mi to słyszeć. Naprawdę. Ale nie mogę pomóc.
- Pamięta pan tamtą rozmowę?
- Jak się nazywała ta kobieta?
- Gillian Lockhart.

Vandavelde pokręcił głową o ułamek sekundy za wcześnie.

- *Non.*
- Mamy rejestr jej połączeń. Tamta rozmowa trwała prawie kwadrans.
- Może sekretarka przełączyła ją na oczekiwanie, kiedy mnie szukała.

Może nie podała mi nazwiska albo podała nieprawdziwe. Może udaje, że jest zainteresowana moją pracą, a chce czegoś innego.

Profesor puścił klamkę i podszedł do urzędu.

– Myślicie, że coś przed wami ukrywam? Niczego nie ukrywam. Przyrzekam wam, że nigdy nie widziałem waszej znajomej ani tej karty. Ale jeśli chcecie, żebym wykonał jej analizę, jeśli to was zadowoli, zrobię to dla was. *Oui?*

Wyciągnął rękę, przechyliwszy na bok głowę. Nick zerknął na Emily, a ta ostrożnie skinęła.

Francuz położył kartę na pulpicie przed wylotem rurki i skorygował ustawienie dyszy. Nick nachylił się i przyjrzał dokładnie.

- Dysza jest skierowana w puste miejsce.
- Dokonujemy dwóch pomiarów. Papier absorbuje atrament, tak? Najpierw mierzymy sam papier, a później papier z atramentem. Jeśli odejmiemy pierwszy pomiar od drugiego, zostaje to, co pochodzi z atramentu.

Naukowiec przekręcił rączkę mocującą dyszę i podszedł do komputera. Nick wciąż był pełen złych przeczuć.

– Musimy opuścić pomieszczenie?

– Metoda jest bardzo bezpieczna. Więcej protonów absorbuje się, stojąc piętnaście minut na słońcu. Jeśli mi pan nie ufa, może pan trzymać kartę przez cały czas trwania eksperymentu.

Nick cofnął się o krok.

- Popatrzę stąd.

Nie było wiele do oglądania. Vandevelde wcisnął przycisk na klawiaturze komputera. Zza ściany dobiegł dudniący dźwięk i nad rurą zapaliła się czerwona lampka. Po kilku sekundach zgasła i dudnienie ustało. Vandevelde przestał dyszeć, kierując ją na grzywę lwa, na której znajdowała się największa ilość atramentu. Lampka ponownie zamigotała i zgasła. Na ekranie komputera pojawił się nierówny wykres.

– Co to oznacza?

– Pokazuje różne pierwiastki, które możemy wykryć. – Vandevelde przesunął palcem po jednym z wierzchołków wykresu. – Ta linia określa zawartość sodu. A to jest miedź.

– I co z tego wynika? Można zbadać, z czego zrobiony był atrament?

– Nie w całości. Niektórych pierwiastków nie da się zbadać metodą fluoroskopii rentgenowskiej. Czasem nie wiemy, skąd się biorą. Na przykład znajdujemy ołów. Może pochodzi z masykotu, środka suszącego, albo z ogrzanego tlenku ołowiu do barwienia. Albo, jeśli jest to książka, stał się z czcionek wykonanych ze stopów ołowiu. Dzięki tej maszynie wiemy tylko tyle, że jest tam ołów.

– Czemu więc to wszystko służy?

– Każdy atrament to podpis, rozumie pan? Każdy drukarz używa innego atramentu. Mamy bazę danych.

– Może pan sprawdzić ten atrament?

– *Bien sur*. Pokażę panu.

Profesor nacisnął klawisz komputera. Nad wykresem powoli obracała się klepsydra. Po kilku sekundach w dole ekranu ukazała się linijka tekstu. Nick odgadł jej znaczenie, zanim Vandevelde podsumował ją jednym słowem.

– *Rien*. – Wzruszywszy ramionami, odsunął się od komputera. Nick pomyślał, że porusza się czujnie niczym pies, którego wielokrotnie kopano. Posłał Nickowi i Emily smutne spojrzenie. – Gdyby wasza przyjaciółka tu była, a przyrzekam, że jej nie było, powiedziałbym jej to samo.

Nick zdjął kartę z pulpitu, owinął ją w bibułę i schował do plecaka. Patrzył na Vandevelde'a. Był pewien, że nie usłyszał wszystkiego, ale nie wiedział, o co jeszcze można zapytać.

Profesor otworzył drzwi i uśmiechnął się smutno.

– Mam nadzieję, że znajdziecie swoją przyjaciółkę.

Nick wyszedł niechętnie na ciemny korytarz. Usłyszał, że Vandavelde przed zamknięciem drzwi mówi coś cicho do Emily. W milczeniu zmierzali do schodów. Słońce zaszło, deskorolkowcy zniknęli. Jedyne źródłem światła były teraz uliczne latarnie, które rzucały pomarańczowe kręgi na ziemię. Powietrze było przenikliwie zimne.

– Co on mówił, kiedy wychodziłaś?

– „Nie wszystkie ślady na karcie to atrament”, tak powiedział.

Nick zerknął za siebie, nie wiedząc, co to znaczy. Okno na trzecim piętrze było już ciemne.

XXX

Okolice Strasburga, 1434

– Uważaj. Jeśli rozlejesz choćby kropelkę, spłoniemy na stosie jak heretycy.

Drach nadział cebulę na zaostzony patyk i uśmiechnął się. To mnie przstraszyło. Śmiał się tylko wtedy, gdy był poważny.

Być może wieszczył zagrożenie, lecz tego dnia wszystkie moje zmysły śpiewały na najwyższych tonach. Otaczała mnie słodka woń węgla i cierpki zapach oleju lnianego, sierpniowe słońce malowało kolumny światła w kłębach dymu, a lepkie bąbelki puchły i pękały w stojącej między nami kadzi. Wyczuwałem każdą kroplę potu spływającą po moich obnażonych plecach.

Drach przykucnął obok kadzi z nadzianą na patyk cebulą. Włożyłem skórzane rękawice i sięgnąłem po miedziany kapeluszy okrywający naczynie. Nasze spojrzenia spotkały się w oleistej parze.

– Pamiętaj. Ani jednej kropli.

Stanowiłem jedność z całym światem. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy.



Choć dziś wydaje się to dziwne, Drach przywrócił mi szacunek. Przez wzgląd na to wybaczam mu wiele z tego, co się później zdarzyło. Święty Tomasz z Akwinu powiada, że wszystkie stworzenia rodzą się dla jakiegoś przeznaczenia na tym świecie. Spełnienie bierze się z osiągnięcia tego celu. Zawsze

znałem swój cel, lecz przez dwadzieścia lat miotałem się wokół niego jak ślepy byk. Dzięki Drachowi dostrzegłem wreszcie swoją ścieżkę. Sposobność obu dziła ambicję, ambicja poczęła nadzieję, a nadzieja przywróciła mnie do życia, od którego uciekałem od dnia śmierci ojca.

Uznałem, że moje życie zostało przekreślone dawno temu. Tymczasem okazało się, że jedynie spało niczym niedźwiedź czekający na wiosnę. Napisałem do swojego brata Frielego mieszkającego w domu ojca w Moguncji i otrzymałem ostrożną odpowiedź, w której brat wita mnie na powrót w rodzinie. Dzięki Frielemu dokonałem kilku odkryć. Po pierwsze, wciąż miał prawo do pobierania pewnej renty na moje nazwisko, która co kwartał dawała określoną ilość złota. Jako człowiek uczciwy, obdarzony urzędniczymi przymiotami, Friele mógł rozliczyć się z każdego pensa, który wpłynął po moim odejściu. Z żalem poinformował mnie, że znaczna część powędrowała do Konrada Schmidta w Kolonii, który zażądał pełnego odszkodowania po złamaniu przeze mnie umowy czeladniczej. Friele zapowiedział, że resztę przekaze do Strasburga.

Mój brat w żaden sposób nie nawiązywał do powodu, dla którego odszedłem od Schmidta. Z tego wywnioskowałem jedno: Schmidt wołał ocalić reputację syna, niż oczernić mnie, dlatego skandal związany z moim odejściem zachował dla siebie. Dowiedziałem się, że mistrz zmarł przed kilkoma laty, tajemnicę zabrał więc ze sobą do grobu. Nigdy nie było mi dane poznać, jak potoczyły się losy małego Pietera.

Przekaz od Frielego zapewnił mi niewielki kapitał i widoki na pewien dochód. Dzięki osobliwej alchemii przepływów pieniężnych sprawiającej, że ci, którzy najmniej potrzebują pieniędzy, najmocniej je przyciągają, zdołałem za pomocą pożyczek przekształcić skromną sumę w większą. Rychło okazało się, że to ja będę finansował nasze przedsięwzięcia. Drach pomimo swojego geniuszu wykazywał spektakularną wręcz niedbałość w kwestiach finansowych. Byłem wstrząśnięty, gdy ujawnił mi, za jak drobne sumy sprzedawał karty. A gdy wyznał, że nie może wytwarzać nowych, gdyż sprzedał prasę, by spłacić dług, jąłem się zastanawiać nad charakterem człowieka, z którym związałem swoją fortunę.

– Spójrz na świętego Franciszka – odpowiadał, gdy do tego nawiązywałem.

– Nie ma nic chwalebniejszego nad życie w ubóstwie.

– I w pokorze – przypomniałem. Parskał śmiechem, gdyż był próżny do szpiku kości i miał tego świadomość. Mierzwiał mi włosy i nazywał gderliwą starą babą. Później rzadko nawiązywałem do tej sprawy.

Zamieszkałem w wiosce St Argobast leżącej obok skrzyżowania, przy którym poznałem Dracha. Ładny niski domek miał trzy pokoje i stodołę oraz podwórze z kamiennym budynkiem gospodarczym. Od gościńca oddzielał go topolowy zagajnik. Po przeciwnej stronie wodnej łączki rzeka Ill wiała się w stronę miasta, które znajdowało się jakieś pięć kilometrów dalej. Nie miałem sąsiadów, którzy widzieliby, jak Drach przychodzi i wychodzi o najróżniejszych porach. Nikt nie czuł dziwnych zapachów często wydostających się późną nocą z komina kamiennej stodoły i nikt nie skarżył się z powodu hałasu, gdy pewnego wieczoru Drach przypadkowo podпалиł kurę. Był to pierwszy dom, którego byłem panem. Przyniósł mi cudowne poczucie wolności. Miałem trzydzieści pięć lat.

Dzięki pomocy Dracha w bardzo krótkim czasie wydzwignąłem się z dna i odzyskałem swoje miejsce w świecie.

□ □ □

Ściągnąłem miedziane wieko, trzymając je pod takim kątem, by płyn nie przelał się do ognia. Obaj mieliśmy szmaty na twarzach chroniące nas przed plugawym oparem buchającym z kadzi. Drach zanurzył cebulę w bąbelkującej zupie. W chwili gdy bulwa dotknęła powierzchni, z oliwy wystrzelił brązowy osad, który zagotował się wokół cebuli i pomknął po ściankach naczynia.

– Nie wypuść go za krawędź!

Drach wyciągnął bulwę, a ja zatrzasnąłem wieko.

– Za gorące – oznajmił.

Za pomocą pogrzebacza i szczypiec rozprowadziłem węgle pod trójnogiem, aby obniżyć temperaturę. Gdy wrzenie oleju nieco się uspokoiło, powtórzyliśmy eksperyment z cebulą. Tym razem osad uniósł się wolniej, parząc skórkę warzywa, lecz nie grożąc rozlaniem.

– Doskonale – orzekł Drach.

Ja trzymałem wieko, on zaś wziął miskę ze sproszkowaną żywicą i za pomocą chochli posypał nią powierzchnię. Ilekroć proszek zetknął się z olejem, dochodziło do wybuchu osadu i piany. Wówczas należało szybko mieszać w kadzi, żeby olej nie przysnął w ogień, podpalając kadełko. Była to najniebezpieczniejsza część operacji; nie tylko z powodu zagrożenia – które było znaczne – lecz także dlatego, że Drach świadomie je prowokował. Za każdym razem dosypywał więcej zmielonej żywicy, przez co piana podchodziła bliżej do krawędzi, a ja musiałem mieszać z jeszcze większą desperacją. Drachowi ogromnie się to podobało; w podobny sposób dziecko drażni kijem psa. Ja byłem zły. Opary, wyczerpanie i strach przyprawiały mnie o mdłości.

Mikstura stopniowo gęstniała. Gdy uzyskała konsystencję zupy i barwę sików, przelaliśmy ją z kadzi do szklanych słoików. Czekając, aż ostygnie, wygasiliśmy ogień i poszliśmy do rzeki.

Ściągnąłem spodnie i zanurkowałem, odpychając się nogami tak, bym mógł obserwować rozbierającego się na brzegu Kaspara. Przylepiony do mojej skóry cuchnący olej odpląnął, a wraz z nim mój gniew. Było mi głupio, że pozwoliłem sobie na irytację z powodu jego igraszek.

Kaspar wszedł do wody i przykucnął na płyciźnie. Z ogniem poczynał sobie nader lekkomyślnie, lecz osobiście bał się wody. Było to jedyne pole, na którym go prześcigałem; przez kilka minut pluskałem się w nurcie, nurkując i wstrzymując oddech, by go zaniepokoić. Gdy otwierałem oczy pod wodą, promienie słońca świecące wśród trzciny przywodziły mi na myśl czasy, gdy odsiewałem złoto z Renu. Nie mogłem uwierzyć, że tak kiedyś żyłem.

Wynurzywszy się, podpląnąłem do brzegu. Kaspar wyszedł tak daleko, że woda sięgała mu prawie do bioder. Na widok jego nadąsanej miny parsknąłem radosnym śmiechem. Lubiłem go kokietować i prowokować do zazdrości.

Opląnąłem Kaspara i stanąłem w błocie, oblewając go wodą i zdrapując z ciała sadzę i olej. Miał jędrną skórę i piękne mocne ramiona uformowane w toku wielogodzinnej pracy. Gdy się odwrócił, zanurzyłem się, by nie zobaczył mojego wzrodu.

Ubraliśmy się i pobiegliśmy do domu. Zanieśliśmy olej do stodoły, w której zamiast słomy i obory znajdowały się teraz dwa drewniane stoły. Wylaliśmy wywar na kamienną płytę. Mikstura ostygła i zamieniła się w tłustą pastę. W

muszli ostrygi znajdowała się niewielka ilość sadzy z lampy, którą stopniowo wcieraliśmy w wywar. Czarne smugi kłębiły się w politurze, a następnie w niej rozpuszczały.

Drach zanurzył w niej czubek palca i wytarł go w skrawek papieru. Na papierze pojawiła się czarna plama, lecz gdy atrament wysechł, wyblakła i poszarzała. Włożyliśmy w nasze dzieło mnóstwo trudu, poczułem się więc nieco rozczarowany.

– Powinien być ciemniejszy i mocniejszy. Jak prawdziwy inkaust. – Wróciłem myślą do okresu spędzonego w wieży Tristana w Paryżu, gdy dążyłem do uchwycenia wszystkich barw tęczy. – Miedziany proszek spala się na czarno, jeśli płomień jest wystarczająco gorący. Jeśli zmieszamy go z sadzą z lampy, barwa może się ożywić. A czerwony masykot przyda mu głębi.

Twarz Dracha wyrażała złość. Dotknął moich ust, uciszając mnie.

– To wystarczy. Wszak nie mamy jeszcze prasy.

XXXI

Paryż

– Dlaczego on kłamał?

Pociąg toczył się w stronę Paryża. Przedmieścia spowiła noc; wyrzawszy przez okno, Nick zobaczył tylko swoje wodniste odbicie i Emily naprzeciwko. Wyglądali jak duchy w ciemności.

– W jakim celu miałby kłamać? – Nick inaczej sformułował pytanie. – Po co miałby udawać, że nigdy nie widział Gillian ani karty?

Emily zadrżała i otuliła się płaszczem.

– Bardzo skwapliwie położył kartę na maszynie. Wiedział, że nie znajdzie w bazie odpowiednika.

– Dlatego że już ją badał razem z Gillian.

– Ale jeśli niczego nie znalazł...

– ...to po co kłamał?

Pociąg zatrzęsł się, przejeżdżając po przecznicy. Za oknami mignęły światła dworca.

– Zastanawiam się, po co Gillian ją tam zabrała.

Nick spojrział z konsternacją na Emily.

– Po to, by zbadać atrament.

– Vandevelde pracuje wyłącznie nad drukiem, czyli nad książkami. Ale pierwsza książka została wydrukowana dopiero około tysiąc czterysta pięćdziesiątego piątego roku. O ile wiadomo, karty pochodzą z okresu o dwadzieścia lat wcześniejszego. Są drukowane metodą intaglio: atrament nanoszony był na rowki wyżłobione w płycie, którą przyciskano do papieru. Tymczasem

czcionki drukuje się reliefem: atrament znajduje się na wypukłej powierzchni litery. Nie wiem tego na pewno, ale sądzę, że w obu metodach używa się innych rodzajów atramentu.

– A zatem Gillian udała się do człowieka, który nie mógł jej pomóc, i niczego nie odkryła. To miałyby być ta tajemnica, z której powodu Vandavelde kłamał? – Nick poczuł w skroniach ból głowy po nieprzespanej nocy.

– W tym musi kryć się coś więcej – odrzekła cicho Emily. – Ktoś ścigał Gillian, może dotarł także do profesora. Może dlatego się bał.

□ □ □

Wysiedli na następnej stacji. Nick podszedł do automatu na pustym peronie i wybrał drugi numer z listy połączeń w telefonie Gillian. Ręce tak mu się trzęsły, że z trudem zdołał wrzucić monetę do otworu. Wmawiał sobie, że to z powodu zimna.

Telefon został odebrany po trzecim dzwonku.

– Atheldene.

Nick nie wiedział, czy jest to nazwisko, czy też nazwa firmy bądź hotelu.

– Jest tam Simon?

Krótką cisza świadczyła o tym, że rozmówca zachowuje ostrożność.

– To ja jestem Simon Atheldene.

Mężczyzna mówił z brytyjskim akcentem. Głos cudzoziemca okazał się zaskakująco znajomy. Nick postanowił zaryzykować.

– Pracuje pan w domu aukcyjnym Stevens Mathison?

– Owszem.

– Nazywam się Nick Ash. Jestem przyjacielem Gillian Lockhart. Wydaje mi się, że rozmawialiśmy ze sobą przed paroma dniami.

Tamten ponownie zawiesił głos.

– Jest pan w Paryżu?

Aparat Atheldene'a musiał wyświetlić numer automatu.

– Tak.

– Wobec tego powinniśmy się spotkać.

□ □ □

Nick i Emily przybyli o dwudziestej. Dla Nicka, który nigdy nie był w Paryżu, oberża Nicolasa Flamela stanowiła szczyt wyobrażeń o francuskiej restauracji. Grube dębowe belki spoczywały na kamiennych kolumnach, okna z szybami w ołowianych ramach otaczała kamieniarka, a sponad olbrzymiego kominka spoglądał na salę łeb byka. Większość stolików była zajęta, wnętrze wypełniał przyjemny gwar. Nick nagle poczuł wilczy głód.

Simona Atheldene'a nie było trudno znaleźć, gdyż jako jedyny mężczyzna w restauracji miał na sobie dwurzędowy garnitur. Siedział sam w tylnej części sali z otwartą butelką wina. Wstał na widok przybyszów i wyciągnął rękę.

– Ładny lokal – zauważył Nick. Atheldene napełnił kieliszki.

– Najstarszy dom w Paryżu, wzniesiony przez Nicolasa Flamela, słynnego alchemika.

– Myślałem, że to postać fikcyjna – palnął Nick i zaraz tego pożałował.

Ku jego uldze Atheldene parsknęła śmiechem.

– Harry Potter narobił sporo zamieszania. – Na widok zdziwionej miny Nicka Atheldene uśmiechnął się skromnie. – Mam dwie córki... Kiedy matka pozwala mi się z nimi widywać, robią wszystko, abym nie był całkowicie zagubiony w średniowieczu.

Emily rozłożyła serwetkę na kolanach.

– Flamel naprawdę istniał. Jego płyta nagrobna znajduje się w tutejszym Muzeum Sztuki Średniowiecznej.

– Był pierwszym alchemikiem, który zamienił pospolity metal w złoto. Nauczył się tej sztuki z siedmiu starożytnych obrazów alegorycznych, które następnie skopiował i umieścił na łuku cmentarza Świętego Innocentego. Podobno.

– Obrazy były prawdziwe – oznajmiła Emily. – Jest to dobrze udokumentowane.

– Wciąż tam są? – spytał Nick.

– Cmentarz Świętego Innocentego uległ zniszczeniu w osiemnastym wieku. Pozostały jedynie kopie obrazów.

– Ale nigdy nie słyszałem, by ktoś skutecznie wykorzystał je do przekształcenia ołowiu w złoto – zauważył Atheldene.

Nick się rozejrzył.

– Z pewnością stać go było na taką ładną siedzibę.

Kelner zbliżył się i zapytał o coś po francusku. Atheldene odprawił go machnięciem ręki, uśmiechając się przepraszająco.

– Możecie zamówić wszystko, czego sobie zażyczycie – oznajmił. – To moje zawołanie, a właściwie slogan firmy Stevens Mathison.

W milczeniu przeglądali jadłospis. Wstęp towarzyski się wyczerpał; nawet Atheldene nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście pojawił się kelner.

Nick zamówił, nie wiedząc na pewno, jakiego posiłku oczekuje jego przemęczony lotem i bezsennością organizm. Każda potrawa zawierała ryby, śmietaną bądź *pâté*, a czasem wszystkie trzy składniki. Gdy kelner zabrał karty, Atheldene spowaźniał.

– Pewnie chcecie się czegoś dowiedzieć o Gill.

Nick nigdy nie słyszał, by ktoś ją tak nazywał. Wcale mu się to nie spodobało.

Atheldene zakułysał kieliszkiem z winem i popatrzył w jego głąb.

– Przybyła z Nowego Jorku mniej więcej przed czterema miesiącami i zaczęła u nas pracować. Wcześniej, jak wiecie, pracowała w Met. Była bardzo bystra i miała doskonałe oko. Wiedziała, co jest cenne i co może się sprzedać. Zdziwilibyście się, gdybym powiedział, ilu ludzi w naszym fachu nie umie tego połączyć. Współpracowaliśmy przy wielu aukcjach. Zrobiła na mnie wrażenie. Miesiąc temu, około dwóch tygodni przed Gwiazdką, przydzielono nam nowe zadanie. Chodziło o dużą posiadłość nieopodal Rambouillet. – Atheldene wymówił nazwę po angielsku. – Nadzwyczajne miejsce. Ogromne wałace się *chateau* w lesie, przypuszczalnie nietknięte od rewolucji. Ściany obwieszane draperiami, malowidło podejrzanie przypominające jedno ze słabszych dzieł van Eycka i meble tak stare, że pewnie wyszły spod ręki samego Jezusa Chrystusa. W holu stała nawet autentyczna zbroja. Wszystko to nie było naszą sprawą. Gill i ja przybyliśmy tam do biblioteki.

– Kiedy to się działo? – spytała Emily.

– Dwunastego grudnia. Wtedy przypadają urodziny mojej młodszej córki. Bałem się, że nie zdążę wrócić na czas do domu, żeby do niej zadzwonić.

Atheldene przerwał swoją opowieść, gdy podano przystawki. Posmarował tost grubą warstwą *foie gras* i nałożył na wierzch dużo marmolady cebulowej.

– Pojechaliśmy tam, nie wiedząc, czego się spodziewać. Prowadziliśmy transakcję z córką niedawno zmarłego mężczyzny mieszkającą na Martynice. Oznajmiła, że jej zdaniem jest tam parę książek, które mogą być coś warte. Nie ma w tym nic dziwnego. Nawet nie przypuszczacie, jak wiele dzieci nie zna stanu posiadania rodziców. Przeważnie w grę wchodzi parę ładnych tomów na półkach albo efektownych prezentów, które starszerek dostał przy okazji zapisa-
sania się do klubu książki. Zwykle ci, którzy mówią, że nie ma nic ciekawego, siedzą na żyłach złota. Tak czy inaczej, znaleźliśmy w tej ruinie drogę do biblioteki. Otworzyliśmy brązowe drzwi wysokości trzech metrów, przypuszczalnie pochodzące z renesansowego kościoła. Zajrzeliśmy do paru szafek i nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Rękopisy, starodruki, inkunabuły.

– Co to jest inkunabuł? – zapytał Nick. Zwracał się do Emily, lecz odpowiedział mu Atheldene.

– W dosłownym tłumaczeniu *incunabulus* oznacza kołyskę, okres niemowlęcy. Tym terminem określa się książki wydane w pierwszym okresie drukarstwa, datujące się sprzed roku tysiąc pięćsetnego. Jak można się domyślić, nie rosną one na drzewach. Trafiają na aukcje rzadko i osiągają ceny setek tysięcy, a nawet milionów. Przy wstępnych oględzinach naliczyliśmy ich tam trzydzieści. I co najmniej tyle samo ilustrowanych manuskryptów. Gill i ja poczuliśmy się jak Carter i Carnarvon w grobowcu króla Tutenchamona.

Atheldene wgrzył się w tost.

– Przed wyjazdem odrobiliśmy pracę domową. Przejrzeliśmy listy aukcji i wyprzedaży, by móc zidentyfikować to, co zmarły miał w swojej kolekcji. Ani jedna pozycja spośród znalezionych nigdy nie pojawiła się w sprzedaży.

Mężczyzna rozejrzał się, by podkreślić to zdanie.

– Ani jedna. Oznacza to, że leżały tam sobie co najmniej od pięćdziesięciu lat. Może od wieków. Zaginione dla świata. Mniejsza o implikacje finansowe. Z naukowego punktu widzenia była to kopalnia złota. W pewnym momencie spojrzeliśmy do góry. Był to typowy włoski sufit, niebo wypełnione cherubinami. Tyle że z tego błękitnego nieba padał deszcz. Dach się zawalił. Starzec umierał od miesięcy i nie wychodził z łóżka. Córka, jak wspomniałem,

mieszka za granicą, a gosposia nie miała wstępu do biblioteki, więc nikt nie zauważył. Pamiętajcie, jaka okropna była jesień? Deszcz przelatywał przez dach *chateau* i lał się prosto do biblioteki.

– Co zrobiliście?

– Wezwaliśmy natychmiastową pomoc. Jednostka specjalizująca się w konserwacji i naprawach załadowała książki do samochodów i je wywozła. Dwa dni później Gill znikła. Ani widu, ani słyhu. Później wysłała do pana e-mail.

Atheldene odłożył nóż i widelec na talerz. Splótszy dłonie, spojrzał na Nicka, który w milczeniu dokończył zupę. Gdy tylko odłożył łyżkę, zjawił się kelner i zaczął zbierać naczynia. Czyżby podsłuchiwał rozmowę? Dołał wina do kieliszków, mimo że Nick prawie nie tknął swojego.

– Czy jakieś książki zaginęły wraz z Gillian?

Anglik westchnął dobrodusznie.

– Muszę przyznać, że w pierwszej chwili tak pomyśleliśmy. *Honi soit qui mal y pense*, jednak firma robi się nerwowa, gdy tylko zapachnie skandalem. Takie rzeczy nie sprzyjają interesom. Stary zniedołężniał pod koniec życia, ale głupcem nie był. Skatalogował cały zbiór. Przeczesał go pieczołowicie. Wszystko było na swoim miejscu.

– I wtedy zawiadomiliście policję?

– Wie pan, jaka jest Gill. – Atheldene oparł się na krzesło, by kelner mógł podać danie główne. Noga jagnięca sterczała do góry jak wieża otoczona fosą sosu i szańcami z gotowanych ziemniaków. – Wolny duch. Z początku myśleliśmy, że wróci i usłyszymy malowniczą opowieść o ucieczce z Cyganami albo o tym, że przez dwie doby balowała na lewym brzegu ze zgrają anarchistów. Ale naturalnie martwiliśmy się. Gdy nie pojawiła się trzeciego dnia, zadzwoniłem na policję. Usłyszałem, że przypuszczalnie w grę wchodzi jakaś historia miłosna. Odpowiedziałem, że to raczej nieprawdopodobne, ale Francuzi tylko spojrzeli na mnie znacząco.

– Zdołał pan przeszukać jej mieszkanie, gabinet?

– Nic tam nie było – odparł szybko Atheldene, ocierając sos z brody. – Gill mieszkała u mnie. Później znalazła sobie własne mieszkanie. Przysłano ją tu nagle, a znalezienie lokum w Paryżu to cholernie trudna sprawa.

W tonie głosu Anglika dał się słyszeć obronny ton. Nick skubnął ryby. Miał wrażenie, że głowa spuchła mu tak, jakby nafaszerowano go nowokainą.

– Po pańskim telefonie przejrzałem katalog. Szukałem informacji związanych z Mistrzem Kart do Gry. Na nic nie natrafiłem.

Oparł ręce na stole i zmierzył Nicka wyczekującym spojrzeniem. Ten spojrział niechętnie na swój talerz. Atheldene westchnął.

– Jeśli naprawdę chce pan odnaleźć Gill, proszę pozwolić sobie pomóc. Powiedział pan, że napisała o kartach.

– W tym samym e-mailu wezwała pomocy – rzekła Emily, która odezwała się po raz pierwszy od chwili, gdy weszli do restauracji. – Do pliku dołączony był skan jednej z kart. Ósemka z gromady bestii.

– Egzemplarz paryski czy drezdeński?

– Paryski – odparł Nick. – Widzę, że zna pan te karty.

– Pański telefon mnie zaintrygował. Poszedłem do biblioteki i trochę przeczytałem. Namówiłem nawet kustosa Bibliothèque Nationale, aby pokazał mi kilka kart. Nadzwyczajne dzieła. Ale na moje oko w żaden sposób niezwiązane z tym, nad czym pracowaliśmy z Gill. Nie powiedziała nic więcej?

Nick pokręcił głową.

Atheldene się wyprostował.

– Gill to niezwykła dziewczyna. Wiele bym dał, żeby była bezpieczna. Albo za to, aby dowiedzieć się, czy broń Boże nie wpadła w jakieś tarapaty.

XXXII

Strasburg

– Tu jest za ciemno.

– Nikt nie będzie nas szpiegował – oznajmił Drach, zgarniając pajęczynę z belki na suficie. Pająk zwisał z jego dłoni, bezradnie przebierając nogami w powietrzu.

Rozejrzałem się po zakurzonej piwnicy. Na wysokości głowy widziałem przesuwające się mozolnie za oknami koła wozów, kopyta i stopy. Trzeba je zasłonić matowymi szybami, które będą wpuszczały światło, nie pozwalając przechodniom zaglądać do środka. Nie było to miejsce, które wybrałbym na wytwórnię misternych precjozów, lecz wzbudziło zachwyty Dracha.

– Poza tym są koszty – zauważyłem. – Po co płacić więcej za tę piwnicę, skoro w domu w wiosce mamy tyle miejsca, ile nam trzeba?

Utrzymanie domku nad rzeką kosztowało mnie więcej, niż się spodziewałem; pochłaniało gros dochodu z renty. Tymczasem wielkość pożyczek już urosła za sprawą składników atramentu, narzędzi, blachy miedzianej, węgla i papieru... Obciążenia mojej sakiewki nie miały końca. A Drach upierał się, że potrzebujemy drugiego warsztatu na prasę, której wciąż nie mieliśmy.

– Gdzie garbarze barwią skórę? – spytał.

– Na polu za miastem.

– Po to, by smród nie kaził miasta. A gdzie tapicerzy i rymarze wytwarzają swoje towary?

– Tutaj, w Strasburgu.

– Aby być bliżej klientów. Powinniśmy zrobić to samo. – Drach powiódł dłonią ku górze i w lewo, ogólnie wskazując położenie katedry. – Tu znajdujemy się na odległość siknięcia od serca miasta. A tam, gdzie jego serce, będą nasze bogactwa.

Ze schodów dobiegło skrzywienie. Właściciel, rosły mężczyzna, Andreas Dritzehn, schylał się, omiatając belki. Przy pierwszym spotkaniu ludzie często traktowali go z nadzwyczajną rewerencją ze względu na jego wzrost i pozycję; później okazywało się, że nie pragnie niczego bardziej niż dobrej opinii i jest gotów wiele ścierpieć, aby nikogo nie urazić. Wszelako sądząc po rozmiarach i solidności domu, nie przepuszczał okazji do zarobku.

– Czy wszystko odpowiada? – spytał. Za sprawą narośli na gardle jego głos zawsze brzmiał chrapliwie.

– Doskonale – odparł Drach, zanim zdążyłem otworzyć usta. – Piwnica świetnie nadaje się do naszej działalności.

Jest zbyt ciemna, zbyt droga i wcale jej nie potrzebujemy, chciałem powiedzieć. Może przynajmniej zdołałbym wytargować zniżkę czynszu. Ale nie umiałem przeciwstawić się Drachowi. Stałem więc tylko, czując się niezręcznie, i milczałem.

Dritzehn zerknął na nas.

– A czymże to się zajmujecie?

– Kopiowaniem – odrzekłem.

Gospodarz czekał, chcąc usłyszeć więcej. Spojrzeniem uciszyłem Dracha i nic nie powiedziałem.

– Bylebyście nie palili ognia i za bardzo nie smrodzili. – Dritzehn machnął ręką przed nosem. – Moi poprzedni najemcy byli kuśnierzami. Nie suszyli dokładnie skór i śmierdzieli jak nieboszczycy.

Za oknem przechodzący koń zostawiał za sobą gnój. Jedna kulka potoczyła się do rynsztoka, przeleciała przez okno i wylądowała na podłodze.

□ □ □

Przemierzyliśmy plac i znaleźliśmy się w warsztacie Hansa Dunne'a. Spojrzałem na katedrę wznoszącą się spośród rusztowań niczym kobieta zrzucająca suknię. Budowla wprawiała mnie w podziw. Misterność rusztowania, doskonałość

jego prostoty oraz skromność przeznaczenia niemal dorównały urodą majestatu murów, które podtrzymywało. Gdy podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Kasparem, ofuknął mnie.

– Sznury, tyczki i drabiny. Piękno bierze się z życia: z pożądania, szaleństwa, śmiechu, nędzy.

– Co może być pięknego w nędzy?

Kaspar wskazał kalekę zebrzącego o datki pod katedrą. Nie miał nóg, a jego prawa ręka kończyła się w łokciu. Siedział na niskim wózku, na którym odpychał się rozwidlonym na końcu kijem przymocowanym do kikuta. Udar sprawił, że połowa jego twarzy była bezwładna, a druga nosiła zadrapania i blizny po goleniu.

– On wygląda groteskowo, a nie pięknie.

Kaspar chwycił mnie za rękę.

– Ale ty czujesz się żywy. Czy na jego widok każdy członek twojego ciała nie śpiewa z radości tylko dlatego, że istniejesz? Jak możesz mówić, że to nie jest piękne?

Tego rodzaju dziwaczne i niepokojące opinie wygłaszał od czasu do czasu Kasper, by prowokować. Nauczyłem się puszczać je mimo uszu i jak najlepiej ukrywać swoje wzburzenie.

Gdy dotarliśmy do warsztatu, ominął ladę i wszedł bocznymi drzwiami. Zamki i skoble niewiele dlań znaczyły. Nie posiadał wiele prócz swego talentu, lecz świat traktował jak swoją własność. Czekaliśmy, aż Hans skończy rozmowę z klientem; Kaspar oglądał szafirowy pierścienek.

– Znalazłem kogoś, kto zbuduje wam prasę – oznajmił Dunne, dobiwszy targu. – To Saspach, który wyrabia kufry. Mówi, że będzie kosztowała sześć guldenów z drewnianą śrubą albo osiem z żelazną.

– Wałek śrubowy musi być z żelaza – oznajmił Kaspar.

– Naprawdę? – spytałem. Serce miałem ciężkie, a sakiewkę bardzo lekką.

– Wiesz, że tak. Im większy nacisk, tym wyraźniejszy wizerunek. Drewniany wałek poluzuje się albo po prostu pęknie.

Nim zdążyłem przytoczyć jakikolwiek argument, Dunne sięgnął do szafki i wydobył jakieś zawiniątko. Miało rozmiary niewielkiej książki. Jednak gdy wziąłem je do ręki, ciężar okazał się znaczny.

– To pierwszy wsad.

Rozwinąłem szmatę. W środku znajdowało się kilkanaście miedzianych blach, wypolerowanych i nie grubszych od ostrza miecza.

Dunne odkaslnął grzecznie. Ten odgłos stawał mi się aż nazbyt dobrze znany. Westchnąłem.

– Naturalnie, trzeba wam będzie zapłacić.

XXXIII

Paryż

Kiedy Nick się obudził, panowała ciemność, mimo że zegarek wskazywał wpół do dziewiątej. Różnica czasu między Nowym Jorkiem a Paryżem siała spustoszenie w jego organizmie. Leżał na podłodze dziesięć minut, usiłując znów zasnąć, lecz jego mózg zaczął już pracować na przyspieszonych obrotach. Nick wstał i omal nie przewrócił się ze zmęczenia.

Emily wyszła z malutkiej łazienki, już ubrana i umalowana. Miał wrażenie, iż jest coś kociego, wręcz niepojętego w tym, że potrafi zachować prywatność w tak bliskim kontakcie. Spędził z nią całą noc w jednym pomieszczeniu i nawet nie znał koloru jej piżamy. Teraz miała na sobie gruby kremowy sweter, czekoladową spódnice oraz czarne pończochy.

Nick ściągnął koszulkę i rzucił ją na krzesło. Twarz Emily wyrażała lęk.

– Za rogiem jest kawiarnia. Poczekam tam na ciebie.



Prysznic, golenie i czysta koszula przywróciły Nickowi poczucie człowieczeństwa. Pół godziny później odważył się stawić czoło mrozowi i pokonał krótką drogę do kafejki. Emily siedziała w ogrzewanej oranżerii z filiżanką czarnej kawy i czytała „Le Monde”. Gillian rozglądała się, zagadywała kelnerów, co dziesięć sekund zerknęła na drzwi, a Emily, pozostając sama, sprawiała wrażenie spokojnej.

Nick zamówił amerykańskie śniadanie i modlił się, żeby szybko podano kawę. Emily odłożyła dziennik.

– W gazecie nic o tobie nie ma.

Nawet się nie uśmiechnął. Nie zapomniał, że jest uciekinierem. Każde odległe wycie syreny radiowozu, każde badawcze spojrzenie przechodnia, błysk aparatu fotograficznego przypadkowego turysty – wszystko było dla niego udręką.

Emily odgadła przyczynę milczenia.

– Co będziemy dzisiaj robili?

– Nie mam pojęcia.

Czuł się pusty w środku. Za oknem przemknęła gromadka motorowerów. Jeźdźcy ścigali się, lawirując i śmigając niczym stado ptaków. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Przylot do Europy był szaleństwem. Należało zostać w Nowym Jorku i zdać się na obronę Setha.

– Gillian pozostawiła nam trzy informacje: kartę do gry, kartę SIM oraz kartę biblioteczną.

– Tak, trzy karty. – Nick zmarszczył czoło i zastanowił się, czy to coś znaczy. Nawet teraz przyszło mu na myśl, że to może być jakiś przewrotny żart. Gillian to niezwykła dziewczyna. – Jeszcze dwie i mielibyśmy fuła.

Emily zwięzła oczy, zastanawiając się nad jego słowami.

– Nie wiemy, czy zostawiając te rzeczy, chciała, by je znalazł.

– Przysłała mi kod.

– Ale dopiero później. – Emily wyjęła długopis i narysowała pionową linię na marginesie gazety. Następnie przekreśliła ją u góry. – Gillian jedzie do *chateau* w Rambouillet dwa tygodnie przed Gwiazdką, dwunastego grudnia. – Zrobiła drugą kreskę. – Dwa dni później znika. Czternastego grudnia. Później nie daje znaku życia, a szóstego stycznia pojawia się w sieci. – Emily spojrzała na Nicka. – Masz listę jej połączeń telefonicznych?

Nick wyjął skrawek papieru.

– Po południu trzynastego grudnia dzwoniła do Vandeveld'a. Dzień przed swoim zniknięciem.

– I dzień po odwiedzinach w *chateau*.

– To nie musi nic znaczyć – zauważył Nick. – Miała taką pracę, że mogła znaleźć kartę wszędzie. Mogła ją mieć od miesięcy, a nawet przywieźć ze sobą z Nowego Jorku.

Emily zrobiła powątpiewającą minę.

– Znajduje kartę do gry, która zaginęła pięćset lat temu, a dzień przed zniknięciem spędza w bibliotece pełnej nieznanymi rękopisów z piętnastego wieku. Wiem, od czego rozpocząłbym poszukiwania.

– Atheldene opowiadał o książkach. Nie wspominał nic o kartach.

– Większość kart zachowała się dlatego, że była wklejona w książki. Często trafiały do nich wkrótce po wydrukowaniu. Biblioteka została zalana, a książki były wilgotne. Klej osłabł i karta mogła jej wypaść prosto na kolana.

Nick patrzył na zarumienione z ożywienia policzki Emily. Wykonała przesadzony gest, jakby chciała pokazać kartę wylatującą z książki. Myśli pozbawiły ją oporów niczym alkohol.

– Nazajutrz dzwoni do Vandeveldel'a. Składa mu wizytę, poddaje kartę badaniu... i coś odkrywa.

– Tyle że Vandeveldel twierdzi, że go nie odwiedzała, a nawet jeśli to zrobiła, z karty nie można niczego odczytać.

– Profesor łże – orzekła z ujmującą pewnością Emily. – Do kogo później zadzwoniła Gillian?

– Do firmy taksówkarskiej. Szesnastego grudnia.

– A rozmowa z Atheldene'em?

– Odbyła się wcześniej. Wieczorem w przeddzień zniknięcia.

– Ale po znalezieniu karty. – Emily pomieszała piankę na powierzchni kawy. – Wspomniała o niej Atheldene'owi?

– Nie sądzę – odparł Nick. – Zdziwił się, kiedy zapytałem go przez telefon o Mistrza Kart do Gry.

Kawałkiem wafła Nick zebrał z talerza stopione masło.

– Przyjrzelśmy się karcie i rejestrowi połączeń. Nie zajęliśmy się jeszcze kartą biblioteczną – zauważyła Emily, biorąc łyk kawy. – Bibliothèque Nationale to biblioteka badawcza. Spędziłam w niej trochę czasu, kiedy pisałam pracę. Trzeba zamawiać książki, które mają ci być dostarczone.

– I co z tego wynika?

– Za pomocą karty bibliotecznej logujesz się w katalogu. Zamówione pozycje są rejestrowane. Możemy sprawdzić, co Gillian czytała.

Nicka ogarnęła ponura, paraliżująca rozpacz.

- Co w ten sposób osiągniemy?
- To jedyne, co nam pozostaje.

Nick dopił kawę.

- Pójdę do hotelu i zajrzę na stronę Gillian. Może jest tam coś jeszcze.

Emily spojrzała nań z niepokojem.

- Czy to bezpieczne tak się rozdzielać?

– Dla ciebie bezpieczniejsze niż trzymanie się razem. Pamiętaj, że włóczył się ze zbiegiem. – Nick wstał. – Miejmy nadzieję, że wszystkie czarne charaktery zostały w Nowym Jorku.

XXXIV

Strasburg

Prasa stała na mocnym stole we frontowej części pomieszczenia. Składała się z podstawy z łożyskiem, dwóch nóg trzymających poprzeczkę oraz drewnianej deski dociskowej zawieszanej pomiędzy nimi na żelaznym wale śrubowym. Niewiele różniła się od pras używanych przez papierników do wyciskania wody z płacht miazgi papierowej.

W piwnicy było nas czterech. Wolałbym, żebyśmy byli tylko we dwóch, ja i Kaspar, lecz nasze przedsięwzięcie już dawno zdążyło się rozrosnąć. Naturalnie był tam Dunne, a także Saspach nadzorujący pracę zbudowanej przez siebie maszyny. Dritzehn, właściciel domu, na pewno podsłuchiwał pod drzwiami, lecz otwarcie odmówiłem wpuszczenia go na dół. Im więcej wydawałem złota, tym zazdrośniej strzegłem naszej tajemnicy.

Jednak mimo że tak długo wyczekiwałem tej chwili, czułem się od niej dziwnie oderwany. Nie dlatego, że wymigiwałem się od pracy. Gotowałem atramenty z Kasparem, mierzyłem drewno z Saspachem i obrabiałem miedziane płytki z Hansem Dunne'em, spiłowując ostre krawędzie pozostałe po rylcach. Zapiisałem tekst odpustu, a następnie spędziłem niezliczone godziny, wpatrując się weń przed lustrem, aby przenieść go wspak na miedź. A przede wszystkim sfinansowałem całe przedsięwzięcie. Pomimo to nie czułem się panem wydarzeń.

Drach wyjął płytę z zamszowej sakwy i wytarł ją szmatką. Ułożywszy ją na końcu stołu, wylał na nią czarny atrament ze słoja. Rozprowadził go szpatułką

z brzoźowego drewna, aż miedz poczerniała, a następnie zdrapał atrament ostrą krawędzią. Na koniec wytarł płytę sztywnym płótnem. Podziwiałem jego zręczność. Często zdarzało mu się być lekkomyślnym w pewnych sprawach, a czasem rozmyślnie niedbałym, lecz kiedy zechciał, umiał także pracować z najwyższą dokładnością. Ściereczka poczerniała, nasiąknąwszy atramentem zebrany z powierzchni, lecz w grubych załedwie na szerokość kilku włosów nacięciach inkaust pozostał nietknięty.

Kaspar ułożył matrycę na kamiennym łożysku prasy. Zwilżyłem gąbką arkusz papieru i podałem mu. Umieścił go na płycie i cofnął się o krok.

Saspach i Dunne stopniowo przekręcali drążek obracający śrubę, która trzeszczała na żłobieniach. Drewniany docisk dotknął papieru i przywarł do niego. Usłyszałem cichutki odgłos ssania. Przypuszczalnie wydała go woda, którą zwilżyłem arkusz, ja jednakże wyobraziłem sobie, że papier wyciąga inkaust z rowków w matrycy.

Mężczyźni dokręcili docisk do samego końca, a następnie poluzowali drążek. Spoglądałem na papier, imaginując sobie blade cienie na spodzie. Drach oderwał go od miedzianej matrycy i uniośł, aby nam pokazać. Wstrzymałem oddech.

To, co ujrzałem, było szkaradne. Odcinające się od bieli litery, które w żłobieniach układały się równo i regularnie, wyglądały jak nakreślone ręką dziecka. W niektórych słowach atrament był cienki jak pajęczyna, w innych zaś gruby i gęsty niczym smoła. Zachciało mi się płakać, lecz w obecności trzech mężczyzn nie pozwoliłem sobie na łzy.

– Dlaczego tak wyszło?

– Miedz jest jak ludzkie ciało. Im głębsza rana, tym silniejsze krwawienie.

– Drach powiódł palcem po wyjątkowo pękatej literze A.

– Ale na twoich kartach każda linia była doskonała. Zabrzmiało to jak skarga malca zżeranego przez zazdrość. I tak właśnie się czułem.

– Owszem. – Drach pogładził się po brodzie i udał, że przygląda się arkuszowi papieru. – Te nie są tak dobre.

– Łatwiej jest wyciąć długą linię niż krótką – zauważył Dunne. To on wyłobiał część tekstu, musiał się więc bronić. – Każda litera wymaga wielu

delikatnych nacięć, dlatego niektóre muszą wyjść zbyt głębokie lub zbyt płytkie. Nie sposób tego uniknąć.

– Jeśli ręka jest nieodpowiednia – mruknął pod nosem Drach.

Wskazałem literę U, która była tak koślawa, że przypominała B.

– A to co?

– Kształt liter nie pozostawia marginesu na błąd – oznajmił Dunne. – Każdy głupiec narysuje obrazek. Zmienisz kształt poroża jelenia i wciąż będzie to jelen. Ale jeśli zmienisz kształt litery A, znak stanie się niczym. Myślę, że może sztuka Dracha nie nadaje się do tego celu.

– A może to ty się do niego nie nadajesz – odparł Kaspar.

– Może następna kopia wyjdzie lepsza. – Saspach usiłował zaprowadzić spokój. Jego twarz nie zdradzała rozpaczy, którą czułem ja, tylko irytację. Z jego punktu widzenia była to jedynie praca, na którą marnował swój talent.

Powtórzyliśmy całą procedurę. Drach wyjął papier z prasy i złożył go na ławie obok pierwszego arkusza. Nachyliliśmy się.

– Tak samo – burknął Dunne i odwrócił się z odrazą. Ja patrzyłem dalej. Tam, gdzie on ujrzał potwierdzenie naszej klęski, ja dopatrzyłem się iskierki nadziei. Odbitki były takie same. Litery były w taki sam sposób zniekształcone; linie wyglądały jak pijane, a w trzecim zdaniu błędnie zapisany wyraz *misere* brzmiał *misere*. Dalekie od ideału odbitki w doskonały sposób powielały widoczne jak na dłoni defekty.

– Sam proces jest właściwy – orzekł Drach, który lubował się w przewrotności. – Musimy go jedynie udoskonalić.

XXXV

Paryż

Nad Sekwaną hulał zimny wiatr. Na nabrzeżu sterczały w niebo cztery wieże w kształcie litery L. Architekt chciał, by przypominały stojące otwarte księgi, lecz Emily kojarzyły się z basztami ogromnego szklanego zamczyska. Jednak żadnego zamku nie było widać. Przestrzeń między wieżami, płyta wielkości kilku boisk piłkarskich, była pusta. Dopiero spojrzawszy w dół, dostrzegąło się otwarte serce kompleksu: prostokątną szklaną sztolnię zagłębioną na osiemnaście metrów w ziemię. Z obniżonej powierzchni dziedzińca widziało się poziomy biblioteki. Zamiast zamku w lesie był las w zamku, gdyż dziedzińiec porastały drzewa. Znajdowały się tak głęboko, że ich najwyższe konary ledwie sięgały poziomu gruntu. Paryska biblioteka nie przypominała żadnej, jaką Emily widziała.

Drzewa zaczęły się wznosić nad jej głową, gdy zjeżdżała windą w głąb sztolni. Dotarła nią do połowy wysokości podziemnego gmachu na antresolę, na której znudzony ochroniarz pobieżnie przejrzał jej torebkę. W bibliotece panowało ciepło: czerwona wykładzina i polerowane drewno tworzyły przytulny nastrój teatralnego foyer. Nawet komputery umieszczono w drewnianych przegrodach. Emily podeszła do jednego z nich i umieściła kartę Gillian na płaskim metalowym skanerze. Na ekranie wyświetlił się komunikat po francusku witający Gillian Lockhart. Emily spojrzała na wiązkę kabli biegnącą od komputera w kanaliku podłogowym. Nikt nie wie, jak daleko sięgają te macki i do jakich zakątków elektronicznego świata dotrze powiadomienie o tym, że

Gillian Lockhart zjawiła się ponownie w Biblioth que Nationale.

Emily stuknęła palcem w ekran dotykowy. Ukazała się lista:

Zaginione księgi Biblii

Badania nad fizjologią w wiekach średnich

Physiologus (autor anonimowy, XV wiek)

Zmarszczyła brwi. *Physiologus* był bestiariuszem, zbiorem baśni mającym uchodzić za zoologię. Widziała ich wiele podczas pracy nad średniowiecznymi motywami zwierzęcymi. Dlaczego Gillian się nimi zajmowała? Czyżby na kartach do gry odkryła coś mającego związek ze zwierzętami?

Ponownie stuknęła w ekran, by zamówić książki spoczywające w wieżach służących jako magazyny biblioteczne.

Merci, Gillian Lockhart

Emily poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach. Nie odpowiadała jej rola Gillian Lockhart. Nie poznały się, lecz Gillian czaiła się w muzeum Cloisters niczym duch straszący wśród średniowiecznych kamieni. Wystarczyło wspomnieć jej imię, by rozmówca natychmiast zmieniał temat. Wszystkie muzea mają swoje tajemnice, a Emily, świeżo upieczona doktorantka chcąc się wszystkim przypodobać i mając własne sekrety, nie starała się ich dociekać. Zastanawiała się, czy Nick coś o nich wie. Zaangażował się bez reszty w poszukiwanie Gillian. Było w tym coś rozpaczliwie niewinnego; przypominał błędnego rycerza, który pędzi na ratunek swojej wybrance. Emily przeczytała wiele średniowiecznych opowieści i wiedziała, że kobiety nakłaniające swych rycerzy do wypraw nie zawsze bywały takie, za jakie uchodziły.

Książki trafią do czytelnicy mieszczącej się na poziomie dziedzińca. Emily zostawiła torebkę w szatni, podeszła do kołowrotków i przycisnęła kartę do czytnika. Bariereka się otworzyła i Emily przeszła na drugą stronę. Siłą woli powstrzymała się od drzenia, gdy przez pończochę poczuła dotyk zimnego metalu.

□ □ □

GILLIAN LOCKHART

jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie ©

(ostatnie uaktualnienie 02 stycznia 11:54:56)

Nick westchnął. Siedział w kawiarence internetowej przy rue St Georges. W Gillian zawsze było coś, co pozostawało dla niego tajemnicą. Smarowała hamburgery masłem orzechowym. Czasem wyłączała telefon i nie wracała na noc do domu. Gdy ośmielił się spytać, czy spotyka się z kimś innym, oskarżyła go o brak wyobraźni i zamknęła się w łazience.

Dlaczego napisała o „śmiertelnym niebezpieczeństwie”? Gdyby naprawdę coś jej groziło, zadzwoniłaby na policję albo uciekła, a nie zalogowała się w Internecie, aby uaktualnić swój profil. Chyba że był to ostatni gest wyzwania, żart mający umniejszyć to, co nadchodzi. Wówczas miałyby to sens.

Obok nazwiska widniało miniaturowe zdjęcie, inne niż to, które znajdowało się na karcie biblioteczej. To było starsze. Gillian miała na nim długie czarne włosy z prostą grzywką oraz makijaż upodabniający ją do pandy, nasuwający skojarzenia z egzaltowanymi studentami szkół plastycznych.

Nick zaczął przeglądać profil Gillian. Na stronie znajdowała się tablica, na której inni użytkownicy umieszczali banały, rozmaite wymysły oraz nieortograficzne wyzwiska uchodzące w sieci za wyraz błyskotliwości. Pustka. Przeszedł do albumu fotograficznego. Było w nim kilka zdjęć: Gillian w ogromnym sombrero pijąca piwo na jakimś przyjęciu; Gillian rozłożona na wielkim kamieniu w Central Parku, z nieśmiałą miną obejmująca głaz; Gillian stojąca przed *boulangerie* z bagietką pod pachą. Miała już wówczas jasne włosy, jej twarz wyglądała tak samo jak na karcie biblioteczej. Nick zastanawiał się, kto zrobił to zdjęcie. Czyżby Atheldene?

Na żadnym zdjęciu nie było jego, Nicka. Powiedział sobie, że nie spodziewał się takowych zobaczyć. Kogo właściwie szuka?

Przed wyjściem sprawdził, czy na stronach dzienników są jakieś wiadomości o nim. Zakładał, że gdzieś pojawi się tytuł w rodzaju: PODEJRZANY O MORDERSTWO UCIEKA ZA GRANICĘ. Znalazł kilka notek o zabójstwie Breta, lecz w ciągu ostatnich dwóch dób nic się nie pojawiło. Czyżby nie

wiedzieli o jego ucieczce? Poszli po rozum do głowy i dotarło do nich, że jest niewinny? Nick przypomniał sobie Royce'a i wykluczył taką możliwość.

Przywołał na pamięć słowa wypowiedziane kiedyś przez Gillian, gdy przyłapał ją na tym, jak wygląda przez żaluzje na pustą ulicę. Na jego uwagę, że nikogo tam nie ma, odpowiedziała teatralnym basem: „To, że ich nie widzisz, nie znaczy, że oni nie widzą ciebie”.

Uznał to za żart, kwestię zaczerpniętą z jakiegoś filmu. Gillian zmieniała osobowości niczym okrycia. Poszedł naszykować kanapkę, lecz zerknąwszy przez drzwi kuchni, zobaczył, że Gillian wciąż stoi przy parapecie i obserwuje.

□ □ □

Kiedyś środkiem przekazu alarmu był telefon z czarnego bakelitu podłączony do tablicy rozdzielczej; przewody zwisały z niego niczym łańcuchy ze ściany lochu. Później zmienił się w pager, a następnie w coraz mniejsze i inteligentniejsze telefony komórkowe. Pomimo tych przemian jedna rzecz pozostała niezmienna: alarm prawie nigdy się nie odzywał. W ciszy upływały miesiące, a czasem lata.

Teraz alarm zabrzmiał po raz drugi w ciągu trzech tygodni. Ojciec Michel Renais, ostatni z długiej linii mężczyzn, w których rękach znajdował się ów telefon, wpatrywał się w ekran. Kiedy aparat zadzwonił poprzednio, ojciec Michel spocił się i omal nie wypuścił go z ręki. Tym razem był gotowy.

– *Oui?*

– Jedna z naszych flag się uniosła. Bibliothèque Nationale, poziom ogrodu, miejsce N czterdzieści osiem.

– *Bien.*

Technika zbyttnio to ułatwiła, pomyślał ojciec Michel. Kiedyś musieli przesiewać papierowe rewery biblioteczne, porównywać rejestry uniwersyteckie i biedzić się nad najbardziej podstawowymi zapytaniem. Teraz wiedzą wszystko, zanim czytelnik zdążył zająć swoje miejsce.

Wybrał numer podany przez kardynała.

– Bibliothèque Nationale. Ta sama książka co poprzednio. I to samo nazwisko. Gillian Lockhart.

Po drugiej stronie linii usłyszał cierpki śmiech.

– Bardzo wątpię, czy jest to Gillian Lockhart.

□ □ □

To było niczym wchodzenie do statku kosmicznego lub średniowiecznego lochu odtworzonego w wyobraźni przyszłej cywilizacji. Emily zjeżdżała długimi ruchomymi schodami w głąb olbrzymiej groty tworzącej zewnętrzną skorupę kompleksu. Podziemna fosa otaczała podziemny zamek. Zewnętrzny mur zbudowany był z betonu, a od wewnątrz chroniły go ogromne kotary ze stalowych pierścieni przypominające kolczugę. U dołu schodów następna maszyna sprawdziła kartę, nim otworzyła ostatnie drzwi. Emily znów znalazła się w zamku, wśród biurek, wykładzin i polerowanego drewna.

Odnalazła miejsce przydzielone przez komputer i usiadła. Wyjrzała przez okna na zadrzewiony dziedziniec wyglądający jak sceneria baśni: gęste iglaste drzewa jeżyły się między bezlistnymi brzoźami i dębami, których gałęzie pokrywała cienka warstewka śniegu. Nawet teraz, zimą, trudno było dojrzeć przez drzewa drugą stronę dziedzińca.

Czerwona lampka, która rozbłysła nad biurkiem, wezwała Emily do kontuaru. Znużona bibliotekarka wyciągnęła rękę.

– *Votre carte?*

Emily zamaskowała uśmiechem swój niepokój. Podała kartę, kciukiem zasłaniając górną część ze zdjęciem Gillian. Bibliotekarka ledwie na nią zerknęła, a następnie sięgnęła do przegródki i położyła na blacie dwie książki.

– Zamówiłam trzy pozycje – oznajmiła po francusku Emily.

Bibliotekarka zwięźliło grubo umalowane oczy. Zanim Emily zdążyła zaprotestować, wyjęła jej kartę z dłoni i położyła ją na czytniku komputera. Spojrzała na monitor.

– *Physiologus*, autor anonimowy. Ta książka zaginęła. – Przewinęła listę.

– Zamawiała już pani tę pozycję?

– Owszem. W grudniu.

– Wtedy też jej nie było.

Czy to miało być pytanie? Emily mruknęła coś z charakterystyczną francuską manierą i lekko wzruszyła ramionami.

– W systemie znajduje się adnotacja, że poprzednim razem także nie mogliśmy znaleźć tej książki.

Emily oparła się o kontuar.

– Myślałam, że może się odnalazła.

– *Non*.

– W katalogu internetowym figuruje jako dostępna – zauważyła Emily.

– A zatem w katalogu jest błąd. Dodam następną adnotację. – Bibliotekarka skierowała wzrok na osobę czekającą za Emily. Ta zrozumiała aluzję.

Wróciła do swojego biurka z dwiema książkami. Były to *Badania nad fizjologią* oraz *Zaginione księgi Biblii*. Nic, co wiązało się z Gillian Lockhart, nie było jasne i wyraźne. Emily widziała jedynie dalekie znikające cienie i nie miała pewności, czy są rzeczywiste, czy złudne. Czula do Nicka coś w rodzaju litości.

Jednak mogła pracować tylko z tym, co miała w ręku. Zaczęła od *Badań nad fizjologią*, łącząc nowe fakty z tym, co już wiedziała. Określenie „fizjologia” wyszło z użycia w średniowieczu, lecz znów zaczęto go używać, gdy przedstawiciele nowego rzemiosła drukarskiego zapragnęli przydać swoim książkom staroświeckiej autentyczności. Zamówiona książka, której Emily nie otrzymała, widniała w katalogu jako pozycja z piętnastego wieku. Emily przewertowała apendyks. Przed rokiem tysiąc pięćsetnym powstało jedenaście drukowanych wydań *Physiologus*. Żadne z nich nie było tym, które figurowało w katalogu.

Ślepa uliczka. Zajął się *Zaginionymi księgami Biblii*. Trudno jej było zagłębić się w tekst, gdyż nie wiedziała, na co zwracać uwagę. Przewracała kartki, szukając uwag na marginesie, które mogła zrobić Gillian, oraz słów, które być może podkreśliła. Poszukiwała odniesień do zwierząt, bestiariuszy lub kart, a tymczasem widziała jedynie proroków, starożytnych królów oraz gniewne bóstwa.

Usłyszała kaszlnięcie i obejrzała się. Była to bibliotekarka.

Serce Emily zabiło szybciej.

– Znalazła pani tę książkę?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Jest wiadomość. Musi pani iść do punktu informacyjnego na górnej kondygnacji. Ktoś tam na panią czeka. *Monsieur Ash*. Mówi, że to pilne.



Ostatni numer, który Gillian wybrała na komórce, należał do firmy taksówkarskiej. Nick mógł tam zadzwonić, lecz nie chciał tego robić od razu. To był ostatni trop. Jeśli go straci, nic mu nie pozostanie. Wziął więc adres z Internetu i wyszedł. Tym sposobem może nieco dłużej oszukiwać się, że dąży do czegoś konkretnego.

Nie znosił poczucia, że nie wie, co się wydarzy. Gillian śmiała się z niego, że chciałby, aby całe życie było jak szkoła. „Gdyby Bóg dał ci plan na resztę życia: trzy lekcje, pół godziny na lunch, czterdzieści minut w Internecie i godzina ponadprogramowego seksu, byłbyś całkowicie usatysfakcjonowany”. Nick nie zaprzeczył.

Gillian była spontaniczna. Czasem, gdy czuł się zbyt zmęczony, by za nią nadążyć, miał wrażenie, że to prawie neuroza. Znalazłszy na ulicy darmowy karnet na koncert lub wystawę, szła na imprezę tego samego dnia; przyjaciele, o których Nick nigdy nie słyszał, dzwoniли w środku nocy, że przybyli do Nowego Jorku, a ona pędziła na dworzec i sprowadzała ich do domu. Poznawała faceta w pociągu i spędzała pół nocy w jego mieszkaniu, grając w kanastę.

„Ludzie żyją według zegarka – mawiała. – Początkowo kipią energią, a gdy dobijają trzydziestki, są totalnie wypompowani. Jeśli nie działasz, twój los jest przesądzony. Trzeba zaprawiać życie dawką przypadkowego chaosu”.

Kiedy go opuściła, na widok frunącego ulicą karnetu zastanawiał się, czy był czymś, co Gillian przypadkowo znalazła i wykorzystała, by pokazać, że wciąż może zrobić wszystko, co chce. Przypadkowy chaos.

Siedziba firmy taksówkarskiej mieściła się w kiosku, który niczym robak zdołał się wcisnąć w szczelinę między dwoma większymi budynkami. W środku znajdowały się okłaple plastikowe rośliny w doniczkach, trzy plastikowe krzesła oznaczone śladami po papierosach oraz dwie kobiety siedzące za szybą przed wyblakłą mapą Paryża. Ich twarze były tak grubo pokryte kosmetykami, że one także wyglądały jak plastikowe. Obie miały na sobie kurtki, wełniane

czapki i rękawiczki bez palców. Ilekroć dzwonił telefon, ta z lewej odbierała, rzucała kilka pytań i przekazywała odpowiedzi koleżance. Ta z kolei brała mikrofon radiowy i powtarzała wszystko za pierwszą. Taki podział obowiązków mogli opracować jedynie Francuzi. Nick podszedł do okienka.

– Mówicie po angielsku?

Ta, która obsługiwała radio, wciąż wykrzykiwała polecenia do mikrofonu. Druga zerknęła na Nicka i skinieniem głowy wskazała koleżankę. Nick czekał.

– *Anglais* – warknęła telefonistka.

Jej koleżanka się skrzywiła.

– Trochę.

– Moja znajoma zamówiła taksówkę czternastego grudnia. Chcę wiedzieć, dokąd pojechała. – Rozejrzał się niepewnie. W pomieszczeniu nie było komputera ani nawet archiwum. – Prowadzicie zapisy?

Oczy kobiety otaczały turkusowe zatoczki cienia do powiek.

– *Non*.

Gdyby Nick miał być szczery, musiałby przyznać, że nie spodziewał się innej odpowiedzi. Nadzieja wywołuje ból; Nick był prawie wdzięczny, że ktoś ją uśmiercił. Odwrócił się w stronę drzwi.

– *Nom* – odezwała się kobieta za szybą. – *Sa nom*. Jej nazwisko.

Nick odwrócił się, ze wstydem uświadomiwszy sobie, że źle zrozumiał.

– Gillian Lockhart.

Wymianę zdań przerwał dzwonek telefonu. Kobiety powtórzyły swój rytuał. Po jego zakończeniu specjalistka od radia spojrzała na Nicka. Zamknąwszy oczy, wyrecytowała, jak gdyby mówiła do mikrofonu:

– Gillian Lockhart, czternasta trzydzieści. Z rue Saint Antoine przyjeżdża tutaj.

Nick rozejrzał się po plastikowym biurze.

– Tutaj? *Ici*?

Recepcjonistka wskazała majestatyczny gmach w stylu neoklasycystycznym wznoszący się po przeciwnej stronie ulicy.

– Dworzec. Gare de l'Est.

Chcąc przedłużyć poszukiwanie o kilka minut, Nick przeszedł ulicę i znalazł się na dworcu. W powietrzu unosiła się woń dieslowskiego paliwa i stali. Popatrzył na szereg umieszczonych w ścianach monitorów wyświetlających nazwy stacji docelowych. Zawsze był zauroczony europejskimi dworcami kolejowymi; podobały mu się imponujące budowle poczerniałe od sadzy, lśniące pociągi, trasy prowadzące przez cały kontynent, jakże różne od bezpiecznych połączeń z miejsca pracy do domu na przedmieściu. Odczytywał nazwy migające na wyświetlaczach: Bazylea, Epernay, Frankfurt, Monachium, Salzburg, Strasburg, Wiedeń.

I co teraz?



Język kołowrotka obrócił się i wypchnął Emily do foyer. Stanowisko informacyjne znajdowało się na środku sali. Rozejrzała się za Nickiem, ale nigdzie go nie było.

Zerknęła na szklaną ścianę po prawej stronie. Za balkonem rozpościerał się zadrzewiony dziedziniec. Latem zamieniał się w kafejkę pełną stolików i krzeseł, lecz teraz był prawie opustoszały. Niski mężczyzna w srebrnej puchowej kurtce stał oparty o balustradę i palił papierosa. Czyżby patrzył na Emily?

Rzucił niedopałek na ziemię i przydepnął czubkiem buta. Emily podeszła do informacji.

- Otrzymałam wiadomość w czytelnicy. Czy Nick Ash...
- Jest tutaj.

Dłoń zacisnęła się na jej ramieniu tak mocno, jakby chciała złamać kość. Ktoś odciągnął ją od kiwającej głową recepcjonistki i pchnął w stronę drzwi. Strach zmusił Emily do posłuszeństwa. Czy to właśnie spotkało Gillian? Obejrzawszy się, zobaczyła mocno zbudowanego mężczyznę z zakrzywionym nosem i krzaczastymi czarnymi brwiami. Lewą ręką przytrzymał Emily, a prawą przystawił do zagłębienia jej pleców coś tępego i okrągłego.

- Mam broń. Nie krzycz i nie próbuj uciekać.

Ucieczka była niemożliwa. Nogi Emily zrobiły się jak galareta; ledwo nimi poruszała. Napastnik prawie włókł ją po podłodze. Znajdowali się w połowie drogi do drzwi. Mężczyzna w puchowej kurtce wychodził im na spotkanie.

Przerażona Emily usłyszała dźwięk alarmu. Pilnujący wejścia ochroniarz oklepywał dłońmi długowłosego studenta. Liczne łańcuchy i ćwieki uruchomiły wykrywacz metalu. Emily spojrzała w tamtą stronę. Naprawdę można przejść tamtędy z bronią? A może porywacz blefuje?

– Nie zabierajcie mnie, proszę – wyszeptła. Prawie dotarli do wyjścia. – Wiem, czego szukacie. Jest w mojej torebce. Możecie sobie wziąć. Puśćcie mnie.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przed zamszową linką wyznaczającą koniec foyer. A zatem słucha. Spojrzał na puste ręce Emily.

– Gdzie jest twoja torebka?

Skinęła głową w stronę szatni.

– Musiałam ją zostawić przed wejściem do czytelnii.

Porywacz obrócił Emily równie gwałtownie, jak ją chwycił, a następnie skierował ją w stronę szatni. Gdy się do niej zbliżali, pchnął ją tak, że straciła równowagę i zatoczyła się na kontuar. Podsunęła bilet zaskoczonemu szatniarzowi, który wrócił po chwili z okrągłą brązową torebką. Gdy tylko Emily ją odebrała, poczuła uścisk na łokciu.

– Jedno euro – oznajmił szatniarz.

Emily otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać. Ręka zaciskała się na jej łokciu niczym imadło. Z bólu zrobiło jej się słabo. Znalazła jednak to, czego szukała. Niezręcznie wypuściła monetę z palców, a ta upadła na wykładzinę.

Uśmiechnąwszy się przepraszająco do szatniarza, schyliła się, by podnieść zbugę. Porywacz, nie wiedząc, jak postąpić, rozluźnił uścisk.

To wystarczyło Emily. Podniosła się szybciej, niż tamten się spodziewał, i odepchnęła go. W ten sposób zyskała miejsce na to, by się odwrócić. Uniosła dłoń do jego twarzy i zanim zdołał zareagować, nacisnęła mocno pojemnik, który trzymała w dłoni.

Z dyszy trysnął na twarz porywacza pióropusz gazu pieprzowego. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i podniósł dłoń do oczu. Zaskrzeczał alarm; Emily pomyślała, że spray uruchomił wykrywacz dymu. Jednakże dźwięk dobiegał od wejścia. Mężczyzna w puchowej kurtce, widząc, co się dzieje, skoczył przez drzwi. Odezwał się wykrywacz metalu. Napastnik sięgał za pazuchę grubej kurtki, lecz ochroniarz przygwoździł go do podłogi.

Emily chwyciła torebkę i rzuciła się do ucieczki.

XXVI

Strasburg

Łapa zaczynała nabierać kształtów. Tak jak matka niedźwiedzica liże pozbawione postaci ciało, rzeźbiąc z niego swoje młode, tak język dłuta wydobywał wizerunek z kamienia. Widziałem już zaokrąglenie zadu wystające z bloku, pochyłość grzbietu oraz grudę, która zamieni się w ucho lub nos.

Rzeźbiarz stał nad ławeczką na placu i stukał w kamień. Za nim wznosiła się ogromna katedra, w której pośród marmurowych polan i konarów zwierzę będzie kiedyś żerował.

W taki sposób Bóg kształtuje nas wszystkich, myślałem: za pomocą ciosów wydobywa nasze kształty z surowego kamienia. Stuknięcie i odgłos pęknięcia, obłoczek pyłu, grzechot odprysków syjących się na bruk. Kolejna drobina naszej niedoskonałości odrzucona. Najgładsza skóra to tkanka blizny.

– Łuk kolana jest za ostry.

Na ławkę padł cień. Drach podkraść się do mnie od tyłu. Zerknął na niedźwiedzia wyłaniającego się z kamiennej bryły niczym z kniei, a następnie spojrzął na rysunek przypięty do stołu.

Kamieniarz uniósł głowę. Zdażył przywyknąć do uwag Dracha.

– Niedźwiedź musi pasować do kolumny. Trochę go obniżyłem.

Drach zaśmiał się i odszedł. Podążyłem za nim. Plac przypominał cmentarz: wypełniały go kamienie w różnych stadiach obróbki; były tam głazy sprowadzone prosto z kamieniołomu oraz kolumny podtrzymujące łuki, którym brakowało jedynie zworników.

– W taki sposób wykonuje się kopie – rzekł Drach. – Ja rysuję, a on kopiuje. Czy może być coś prostszego?

– Sam powiedziałeś, że to nie jest wierna kopia.

– Dostatecznie wierna.

– Nie dla mnie.

Usiedliśmy na z grubsza ociosanym kamieniu. Na stojącym naprzeciwko nas kapitela brodaczu rozsuwał listowie niczym kurtynę. Przyjrzałem mu się, ale to nie było dzieło Kaspara.

– Odkryłem sposób, w jaki możemy zebrać pieniądze – oznajmił bez żadnych wstępów.

Minął cały sezon od naszego eksperymentu w piwnicy Dritzehna. Nie było to zgodne z moim zamierzeniem, lecz bywa, że czas wymyka się wszelkiemu planowaniu i zamysłom. Później przez trzy dni nie mogłem się zebrać nawet na tyle, by pomyśleć o naszym przedsięwzięciu. Gdy minął najgorszy okres mojej melancholii, przestało mnie ono obchodzić. Zająłem się innymi sprawami; skupiłem energię na zarobkowaniu i utrzymaniu domu. Moje pobyty w wiosce St Argobast zaczęły się przedłużać, a wizyty Dracha stały się rzadsze. Namiętność, która tak ożywiała moją krew, osłabiła się. Jednak kiedy Drach wezwał mnie przez posłańca na spotkanie, zawładnęła mną samorzutnie z dawną siłą.

– Mów zatem.

– W mieście nieopodal rynku winnego mieszka wdowa o imieniu Ellewibel.

Drach zawiesił głos, by podnieść napięcie. Dostosowałem się do jego gry.

– Spodziewasz się, że wezmę ją za żonę dla fortuny?

– Nie. Ale wdowa ma córkę Ennelin. To dwudziestopięcioletnia dziewczyna, która jeszcze nie wyszła za mąż. Gdyby Ellewibel znalazła dla niej męża, posag byłby olbrzymi. Mielibyśmy fundusze na rozwój naszej sztuki.

Spojrzałem na niego. Uśmiechnął się i skinął głową, zachęcając mnie do podążenia tym tropem.

– To najbardziej absurdalny pomysł, jaki kiedykolwiek od ciebie wyszedł.

– Dlaczego?

– Znasz powód.

Nigdy nie rozmawialiśmy o demonie, który mnie opętał. Jednak od chwili, gdy razem napiliśmy się trunku w karczmie Pod Dzikusem, Drach musiał o nim wiedzieć. Pozwalał, bym obmywał mu plecy w rzece i patrzył, jak się ubiera; kiedy zostawał w moim domu, spaliśmy w jednym łóżku spleceni jak stare małżeństwo. Nie protestował, gdy czasem wsuwałem rękę w zagłębienie między jego biodrami; leżałem wtedy i zadręczałem się tym, co mogłoby nastąpić. Nigdy nie posunąłem się dalej. Demon wśliznął się niczym robak w moją duszę tak głęboko, że stał się częścią mnie. Rozrósł się niczym guz, którego nie zdołałam usunąć, nie niszcząc samego siebie. Drach był inny. Wiedziałem, że mnie nie pragnie, lecz rozniecał moje tęsknoty, gdyż uwielbiał perwersję i niebezpieczeństwo. Lubił kroczyć po cienkiej jak włos grani nad przepaścią potępienia. Oby robił to z miłości do mnie, błagałem Boga w czasie długich samotnych nocy.

Teraz jednak był bezlitosny.

– Jesteś trzydziestoparoletnim kawalerem. Masz dochody, dom i pochodzisz z dobrej rodziny. Czemu nie miałbyś ożenić się z tą dziewczyną?

Bo cię kocham, coś krzychało we mnie. Rozumiałem jednak, że mówiąc to, wszystko bym zniszczył.

– Jeśli ona ma dwadzieścia pięć lat i znaczny posąg, dlaczego wciąż pozostaje niezamężna?

Kaspar głośną mnie kusząco palcem po policzku.

– Okaż trochę wielkoduszności, Johannie. Załóżmy, że jest pączkiem, który jeszcze się nie rozwinął.

– W wieku dwudziestu pięciu lat?

– A więc może jest brzydka jak dwugłowy muł. – Wzruszył ramionami. – Nie powinno ci to przeszkadzać. Gdy odpusty zaczną płynąć z naszej prasy jak wino, kupisz sobie jeden i ocalisz sumienie.

Drach zsunął się z kamienia i okrążył mnie.

– Gdyby każde wyzwanie było pokonywane za pierwszą próbą, nigdy nie stałoby się wyzwaniem. Wiesz, ile arkuszy papieru i miedzi zmarnowałem, by zrobić karty? Ile trójnogich niedźwiedzi i jednorożców wyglądało jak kozy?

- Twój jednorozec i tak wygląda jak koza. – Chciałem go zranić, lecz Kaspar sparował cios rzadką u niego skromnością.
- Złap jakiegoś, to lepiej go narysuję.
- Jednorozec przynajmniej byłby coś wart.
- Ale my polujemy na rzadszą bestię. Jeśli, a raczej kiedy nam się uda, nasza bestia będzie cenniejsza.

Wyjął z kieszeni monetę i pstryknął ją w moją stronę. Musiał ją przynieść specjalnie z myślą o tej teatralnej sztuczce, gdyż nigdy dotąd nie widziałem u niego pieniędzy. Chwyliłem pieniążek w powietrzu.

- Wyobraź sobie, że to twoja narzeczona.

Na monecie widniał wizerunek Jana Chrzciciela z głową w aureoli w kształcie serca. Odczytałem inskrypcję widniejącą na jej obrzeżu. IOHANNIS ARCHIEPISCOPUS MAGUNTINUS. Jan, arcybiskup Moguncji.

- Wczoraj widziałem Dunne'a złotnika – ciągnął Drach. – Żłobił nową płytę, która sprawi, że litery będą równiejsze. Ale zajmuje to wiele godzin. Nie będzie go na to stać, jeśli nie otrzyma dodatkowej zapłaty.

Nie słuchałem go. Widok liter na pieniążku przeniósł mnie w czasy dzieciństwa. Niektórzy znajomi ojca z mennicy przez jakiś czas mieszkali w naszym domu. Jednym z nich był wytwórca kości do gry. Pamiętam, że pewnego dnia po południu zakradłem się do jego pokoju i patrzyłem, jak pracuje. Wziął sztabkę żelaza, na której wyrył wzór, przyłożył do niego stalowy pręt i uderzył młotkiem. Posypały się iskry, a ja pisałem z zachwytem. Usłyszał mnie i przywołał. Pozwolił mi wziąć pręt do ręki i wyjaśnił, że narzędzie nazywa się punktak. Pokazał mi koniuszek, na którym dumnie widniała litera A. Uderzywszy nim w bloczek żelaza, pozostawił na nim idealny odcisk. Później został on napełniony złotem i wizerunek litery wybijano młotkiem na monecie. Tak przebiegał niustający cykl tworzenia i odtwarzania: uderzenie i forma, mężczyzna i kobieta, pchnięcie i odbitka.

Ze wszystkimi oczywistymi pomysłami jest tak, że po fakcie trudno się naziwić, iż tak długo trwało ich znalezienie. Dlaczego zmarnowaliśmy tyle miesięcy na żłobienie słów ryłcem, skoro Dunne i ja wiedzieliśmy, że najlepiej jest

wybijać litery w metalu za pomocą punktaka? Mogę powiedzieć tylko tyle, że Drach wyrył swoje karty, a my, uparliśmy się, by naśladować jego metodę, nie daliśmy sobie szansy pomyśleć.

Drach obserwował mnie ze zniecierpliwieniem. Nie znosił, gdy się go ignorowało. Spojrzałem mu w oczy i uśmiechnąłem się. Naturalnie wiedziałem, do czego zmierza, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Ile wynosi posag Ennelin?

XXXVII

Paryż

– Czy oni mogli mnie śledzić?

Powrót zajął Emily trzy godziny. Zmieniała pociągi, przesiadała się z jednego autobusu do drugiego, spoglądała na odbicia w witrynach sklepowych, nagle zbaczała z trasy. Przez cały czas oglądała się przez ramię, aby sprawdzić, czy jest ścigana. Było już ciemno, gdy wśliznęła się do hotelu. Potrząsając Nickiem, wyrwała go ze snu i zawlokła do kawiarni przy spokojnym ślepym zaułku nieopodal Montparnasse. Wciąż nie czuła się bezpiecznie.

– Gdyby cię śledzili, dotarliby do hotelu. – Nick napił się piwa i po raz kolejny rozejrzał się po salce. Wciąż nie mógł spokojnie usiedzieć. – Co za szczęście, że miałaś przy sobie gaz.

– Przeżyłam kiedyś coś nieprzyjemnego. – Emily prawie się nie poruszała. Wstrząs nadal ją paraliżował. – To musiała być ta książka. Gdzieś uruchomił się alarm. Tak jakby ktoś miał sznurek przywiązany do nogi.

Jeszcze niedawno Nick uznałby te słowa za przejaw paranoi. Teraz jedynie skinął głową.

– Może właśnie w ten sposób znaleźli Gillian. Dlatego zostawiła kartę biblioteczną w skrytce bankowej. – Pozostawione przez nią karty przestawały być skarbem, a zaczynały przypominać skrzynkę pełną żyłek. – Gdybyśmy samą Gillian znaleźli tak łatwo...

Emily w milczeniu opłótła palcami filiżankę kawy. Dwa razy jakby zamierzała coś powiedzieć, lecz się powstrzymała. Nick domyślił się, co chodzi jej po głowie.

– Jeśli chcesz wrócić, zrozumiem. – Powiedział to szybko, wiedząc, że żałowałby, gdyby dał sobie czas na zastanowienie. – Bóg jeden wie, co te lotry by z tobą zrobiły, gdybyś się nie wymknęła. Nie ma powodu, żebyś narażała się z powodu Gillian.

Emily się wzdrygnęła.

– Ja... – Zamilkła, lecz po chwili dokończyła zdanie. – Nie chcę wracać.

Wiedział, że powinien ją przekonać, ale nie umiał się na to zdobyć. Spojrzała na niego niepewnie, a on wytrzymał jej wzrok, starając się dodać jej otuchy. Nie było to łatwe, bo sam miał jej niewiele.

– Przynajmniej zostałam nagrodzona za swoje wysiłki. – Policzki Emily odzyskały kolor. – Gillian czytała *Physiologus*, bestiariusz. Idę o zakład, że właśnie w nim znalazła kartę. Coś podobnego na pewno znajdowało się w kolekcji w leśnym *chateau*.

Nick pomyślał przez chwilę.

– Znam kogoś, kto będzie to wiedział.

□ □ □

– Atheldene.

Wystudiowana neutralność jego głosu budziła lęk.

– Mówi Nick.

Obok budki telefonicznej przejechała taksówka. Szum kół na śliskim bruku zagłuszył milczenie zaskoczonego Anglika. Gdy hałas ucichł, Atheldene spytał:

– Są jakieś wieści o naszej wspólnej znajomej?

– Być może, ale nie mamy pewności. Musimy przejrzeć listę książek, które znalazła w *chateau*. Może pan to załatwić?

– Jeśli powód jest dobry.

– Gillian zaginęła. Emily wybrała się do Bibliothèqu Nationale i omal nie spotkała jej to samo. Czy to wystarczający powód?

– Bardzo przykro mi to słyszeć.

Nick zerknął na Emily, która patrzyła nań przez drzwi budki. Skinęła głową.

– Gillian znalazła kartę. Starą kartę.

– Przypuszczam, że wyszła spod ręki Mistrza Kart do Gry. – Atheldene nie był zdziwiony. – Macie ją?

– Uważamy, że mogła ją znaleźć w starym bestiariuszu albo... – Nick zająknął się, wymawiając nazwę. – W *Physiologus*.

– Naprawdę?

Nick prawie widział uniesione brwi i badawcze spojrzenie. Był rad, że dzieli go od rozmówcy linia telefoniczna. Przeczekał milczenie.

– Sprawdzę spis zbiorów z Rambouillet. Może pan zadzwonić jeszcze raz pod ten numer?

– Dzwonię z budki.

– To nie potrwa długo.

Atheldene się rozłączył. Nick czekał w budce, rozglądając się przez popękane szkło. Nieco dalej jakiś bezdomny siedział zgarbiony pod brudną kołdrą na stosie tekturowych pudeł. Trudno było pojąć, jak uniknął zamrażnięcia. Nick wsunął dłoń do kieszeni, żeby wyjąć parę euro, lecz strach go powstrzymał. A jeśli starzec okaże się kimś innym, niż się wydaje? Był pewny, że czytał w książkach o szpiegach przebranych za bezdomnych w celu prowadzenia obserwacji. Czy bezdomny spogląda w tę stronę? Nick obserwował go uważnie, nie wyjmując ręki z kieszeni.

Kątem oka zauważył jakiś cień. Nick podskoczył, ale to była tylko Emily. Przeszła pustą uliczką i przykucnęła obok bezdomnego. Wrzuciła parę monet do styropianowego kubka, zamieniła z mężczyzną kilka słów i wróciła. Nicka ogarnął wstyd.

– Co powiedział?

– Żebyś przestał się na niego gapić.

Dzwonek telefonu uchronił Nicka przed jeszcze większym wstydem. Z wdzięcznością chwycił słuchawkę.

– Tak?

– Mam dobre wieści. W kolekcji starszego pana znajdował się bestiariusz. Tylko jeden. Gillian wpisała go do katalogu. Datowany na środek bądź koniec piętnastego wieku. Uwagi: wykazuje pewne podobieństwo stylistyczne do warsztatu Mistrza *Godzinek z Bedford*.

– Do kogo?

- Później wyjaśnię. Spodoba się to panu.
- Kiedy możemy zobaczyć tę książkę? Rozległ się cierpki śmiech.
- Obawiam się, że nie jest to takie proste.
- Co chce pan przez to powiedzieć?
- Po pierwsze, książki nie ma już w Paryżu. Pamięta pan, że była przemo-
czona? Konserwatorzy zabrali ją do specjalnego magazynu.

– Gdzie on się znajduje?

– W Brukseli.

Nick zaklął.

– Możemy się tam dostać?

– Ja mógłbym wam to załatwić. – Zawarta w zdaniu niejasna propozycja otwierała pole do negocjacji. Nick myślał gorączkowo. Spojrzawszy na ulicę, zobaczył, że żebrak zniknął. Z pieniędzmi od Emily w kieszeni szuka sobie ciepłego noclegu czy melduje złamanemu nosowi o zlokalizowaniu ściganych?

– Kiedy możemy wyjechać?

– Zaraz, jeśli sobie życzycie. To zaledwie trzy godziny jazdy. Ale jest pe-
wien problem.

Nick milczał.

– Książka jest zamrożona na kość.

XXXVIII

Strasburg

Dom przypominał domostwo ojca. To skojarzenie w jednej chwili zwiększyło moje poczucie dyskomfortu. Stał nieopodal przystani. Uliczne mury odbijały odgłos wytaczania beczek z rzecznych barek. Plac naprzeciwko wyglądał jak siedlisko królików: przed każdym domem ziały otwory prowadzące po opuszczanych kładkach do piwnic, w których składowano wino.

Przed domem wdowy Ellewibel także znajdowała się kładka, lecz była zamknięta na zamek, podobnie jak okiennice na parterze. Zapukałem do drzwi z nadzieją, że nikt nie odpowie.

Drzwi otworzyły się do środka. Przywitała mnie służąca w czarnej sukience i zaprowadziła do pokoju wychodzącego na placyk. Odniosłem wrażenie, że dom prezentuje się dobrze. Ściany ozdobione były draperiami w kolorze wina, a w kominku przyjemnie trzaskał ogień. Nie było jeszcze ciemno, ale paliły się świece. Cztery duże kufry ustawione pod ścianami świadczyły o tym, że w domu panuje dostatek.

Jednak dokładniejsze oględziny zepsuły nieco ten obraz. Kurz na podłodze obok kufarów znaczyły smugi świadczące o tym, że skrzynie mogły zostać tam niedawno przyciągnięte. Kandelabry zostały oczyszczone ze starego wosku, lecz tkwiące w nich świeceki zasługiwały tylko na miano ogarków. Tkaniny na ścianach nosiły liczne ślady cerowania; jedna z nich wyglądała jak stara sukienka, która zmieniła swoje przeznaczenie. Nawet ja, który połowę życia spędziłem w norach i na poddaszach, dostrzegałem tę grę pozorów. Po raz pierwszy znalazłem się w sytuacji, w której ktoś próbuje mi zaimponować.

Kobieta około pięćdziesięcioletnia wstała, gdy wszedłem. Była ubrana w długą czarną suknię ściśniętą paskiem tuż poniżej biustu. Pod szyją miała biały kołnierzyk, a na głowie chustę założoną w taki sposób, by przykrywała rzadkie siwe włosy. Kąciki jej ust opadały, a oczy były małe i pełne zaciętości. Jednak i ona, podobnie jak dom, starała się jak najlepiej zaprezentować to, co miała. Zmusiła się do uśmiechu i nie przestawała się uśmiechać, prowadząc mnie przez pokój. Posadziła mnie na honorowym miejscu, które kiedyś musiał zajmować jej mąż, i kazała służbie podać najlepsze wino w najlepszych srebrnych kieliszkach.

– Córka niedługo do nas dołączy – oznajmiła. – Pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli wpierv się zapoznamy.

Służąca przyniosła wino na tacy. Wziąłem kielich i chciwie skosztowałem. Wypiłem znacznie więcej, niż wypadało. Ellewibel zdziwiła się, lecz nie dała tego po sobie poznać. Wzięła mały łyk ze swojego kieliszka.

– Podobno jest pan złotnikiem, *Herr Gensfleisch*.

– Owszem, odsłużyłem termin.

Więcej informacji na ten temat nie podałem, wątpiąc, czy wdowa chciałaby wiedzieć, jak zakończyło się moje terminowanie.

– Mój zmarły mąż handlował winem.

Tego nie mogłem zakwestionować.

– Słyszałam, że Moguncja także słynie ze swoich win – mówiła, spoglądając na mnie z nadzieją. – Stamtąd pan pochodzi, prawda?

– Owszem.

– Kim był pański ojciec...? Brutalem? Świnia?

– Handlował sukнем. Był także nadzorcą mennicy.

Na ściągniętej twarzy Ellewibel pojawiła się nadzieja.

– A rodzina matki?

– Sklepikarze.

Wdowa wyraźnie się zniechęciła, zgodnie z moimi oczekiwaniami. Ucieszyło mnie to. Wino i złe przeczucia usposobiły mnie okrutnie.

– Proszę mi opowiedzieć o swojej pracy tu, w Strasburgu.

– Zajmuję się tym i owym – odparłem wymijająco.

- Andreas Dritzehn mówi, że uczył go pan sztuki obróbki klejnotów.
- Byłem mu winien pieniądze.

Kobieta nie wzdygnęła się na tę wiadomość.

- Ale ma pan dochody?

– Niewielkie.

- Oraz dom?

– Wynajęty. W St Argobast. To taka wioska w sporej odległości od Strasburga. Zapewne pani jej nie zna.

Wdowa spojrzała na mnie zwężonymi oczyma.

- Znam ją dobrze. Ładna wioska i wcale niedaleko od miasta.

Już miałem przytoczyć nieprzyjemną anegdotę o kobiecie napadniętej i uprowadzonej przez rozbójników na drodze do St Argobast, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Ellewibel wstała.

- To moja córka. Ucieszy się na pana widok.

Przygotowałem się na wejście poczwary. Tymczasem zaskoczyła mnie całkowita zwyczajność dziewczyny. W istocie nie była piękną. Miała płaską twarz o twardych rysach przypominającą za mocno wypieczony chleb. Biały czepek podkreślał jej owalny kształt. Jej nos był mały, zęby krzywe (lecz nie bardziej niż u przeciętnej kobiety), a skóra straciła już gładkość. Wobec dwustu guldenów posagu nie było żadnego powodu, dla którego dowolny mężczyzna nie zechciałby się z nią ożenić. Mógłby to zrobić każdy oprócz mnie.

Dygnęła. Staliśmy oboje, nie wiedząc, co zrobić. Nagle uświadomiłem sobie, że dziewczyna lustruje mnie tak, jak ja ją. Co zobaczyła? Mężczyznę w średnim wieku pocącego się pod ciężarem futrzanej czapki i pożyczonego palta. Miałem zgarbione plecy i twarz noszącą ślady licznych niefortunnych wypadków w kuźni. W mojej brodzie pojawiła się siwizna, choć jasne włosy dobrze ją maskowały. Miałem dobre nazwisko i odpowiednie dochody, dlaczego więc miałyby mnie nie zechcieć?

- Naturalnie istnieje kwestia posagu – oznajmiłem.

– Mój zmarły mąż, świeć Panie nad jego duszą, był uczciwym i oszczędnym człowiekiem. Kiedy zmarł, jego majątek był oceniany na dwieście guldenów. Chętnie zrzeknę się mojej części na rzecz Ennelin.

Ellewibel powiedziała to tonem, w którym coś się kryło.

- Jest pani bardzo szczodra.
- Radość matki z dobrego małżeństwa córki nie ma ceny.

Nie odpowiedziałem. Pożyczony palto ciążyło mi jak kamień, kołnierz mnie dusił. Ledwie potrafiłem zmusić się do spojrzenia na Ennelin. Robak poruszył się w moich trzewiach.

- Będę musiał rozważyć...

Ennelin była dobrze wychowana. Patrzyła na mnie skromnie, nie zdradzając najmniejszych oznak wątpliwości. Jej matka okazała większą bezpośredniość.

- *Herr* Gensfleisch, chce pan ożenić się z moją córką?

XXXIX

Paryż

Jaguar odjechał od krawężnika Boulevard de Sebastopol i skierował się w stronę autostrady E19 i Belgii. Atheldene przeciął dwa pasy jezdni i minął Gare du Nord, a następnie przycisnął pedał gazu, gdy dotarliśmy do autostrady. Nick rozparł się na skórzanym fotelu i pomyślał o Gillian. Czy ona też wsłuchiwała się z podziwem w pomruk potężnego silnika?

Obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy ktoś śledzi samochód. Trasa była pusta. Emily skuliła się w rogu na tylnej kanapie i wyglądała przez okno.

– Co to znaczy, że książka jest zamrożona? – spytała cicho. Jej głos ledwie przedzierał się przez szum maszyny.

– To najnowsza metoda konserwacji. Po ogniu woda stanowi najgorszego wroga książki. Trzeba się jej pozbyć najszybciej, jak to możliwe. Ale osuszenie książki, cennej książki, to diabelnie trudne zadanie. Jeśli ma się na głowie całą bibliotekę, nie sposób zajmować się każdą pozycją z osobna. Nie ma na to czasu. Zamraża się je więc błyskawicznie i trzyma w chłodni dopóty, dopóki nie można ich rozmrozić i odpowiednio zakonserwować. Tym właśnie zajmuje się ta placówka.

– Jak długo trwa rozmrażanie?

– Parę godzin. Cały sprzęt znajduje się na miejscu. – Atheldene wyprzedził sznur ciężarówek. – Wtedy zobaczymy, co jest wewnątrz. Może wasza tajemnicza karta do gry. – Nacisnął hamulec, gdy przed jaguarem pojawił się mały peugeot, a następnie odbił w lewo i go wyminął. – A może już ją znaleźliście?

Nick spodziewał się tego pytania i długo debatował z Emily, jak postąpić. Sięgnąwszy do torby pod nogami, wydobyl z niej kartę umieszczoną w sztywnej kopercie. Atheldene zerknął na nią.

– Skąd ją wzięliście?

– Gillian ją zostawiła – odparł niepewnym tonem Nick.

Popatrzył na kartę, a potem na znaczek na kierownicy przedstawiający warczącego jaguara. Gdziekolwiek Nick spojrzal, szczyrzyły się kły.

– Nie zostawiła żadnych wskazówek co do miejsca swojego zniknięcia, jak przypuszczam?

– Absolutnie żadnych.

– Szkoda. – Atheldene skierował wzrok na drogę. Igła prędkościomierza powędrowała nieco wyżej.

– Nick powiedział, że w czasie rozmowy telefonicznej wspomniał pan o *Godzinkach z Bedford* – odezwała się Emily. – Jaki to ma związek?

– Jak pani zapewne wie, godzinki to modlitewnik dla ludzi świeckich z modlitwami na różne pory dnia, wzorowany na życiu klasztorным. *Godzinki z Bedford* to jedna z takich książeczek, zamówiona na ślub księcia Bedford w tysiąc czterysta dwudziestym trzecim roku. Jest to misternie zdobiony tomik powstały w Paryżu. Nie znamy nazwiska artysty, który go stworzył, nazywamy go więc Mistrzem *Godzinek z Bedford*.

– To tak jak z Mistrzem Kart do Gry – zauważył Nick. – Czy ci ludzie nie mają nazwisk?

– Prawie żaden z nich go nie ma – potwierdził Atheldene. – Zmieniło się to dopiero pod koniec piętnastego wieku. Do tego czasu przeważa średnio-wieczny etos anonimowości. Sztuka nie miała wyrażać geniuszu twórcy, lecz Boga. Uważano, że wszelka inspiracja pochodzi od Niego, więc artysta czy rzemieślnik jest zaledwie pośrednikiem. Dopiero w renesansie sztuka odzyskuje egocentryzm. Można przeprowadzić prostą linię od Leonarda da Vinci do Picassa, straszego pana Hirsta i reszty towarzystwa.

– To bardzo atrakcyjna wizja – oznajmiła Emily.

– Ale nieszczególnie pomocna przy ustalaniu pochodzenia dzieła. Pozwala jedynie identyfikować pracę na podstawie stylu. Dlatego wspomniałem o

Mistrz Bedford. O ile wiadomo, musiał mieć pracownię w Paryżu i zatrudniał akwizytorów oraz asystentów. Wielu ludzi zajmowało się badaniem księzek przypisywanych jego pracowni; zauważyli, że w księgach tych występują pewne motywy znane z kart do gry. Ptaki i zwierzęta wyglądają bardzo podobnie, a czasem są identyczne z tymi, które pojawiają się na kartach. Podejrzewam, że Gillian usiłowała pośrednio udowodnić, że ryciny w znalezionym przez nią bestiariuszu są ściśle powiązane z wizerunkami na kartach.

Nick zamyślił się nad tym.

– Sądzi pan, że Mistrz Kart może być tą samą osobą co Mistrz Bedford?

– Raczej nie. – Atheldene kojarzył się Nickowi z jednym z profesorów na uniwersytecie, który uwielbiał pyszczyć swoją wiedzą niczym paw ogonem; szczególnie chętnie robił to, mając do czynienia z ładnymi doktorantkami. Czyżby Atheldene olśnił w ten sposób Gillian? – Mógł terminować w jego pracowni albo zobaczyć rysunki i je skopiować. A może istniała jedna książka wzorcowa.

– Książka wzorcowa?

Pytanie Nicka nie oderwało Atheldene'a od głównego wątku.

– Europa w piętnastym wieku wkracza w zmierzch średniowiecza i przedświt czasów nowoczesnych. Wszystko się zmienia, a najbardziej jest to widoczne w sferze idei. Ludzie uświadamiają sobie potrzebę szerszego komunikowania się, ale nie mają do tego narzędzi. Książki wzorcowe stanowią jedną z odpowiedzi na to wyzwanie. Jest to księga zawierająca zbiór rozmaitych rysunków i każdy, komu wpadnie ona w ręce, może zrobić mniej lub bardziej dokładną kopię ilustracji. Do niektórych dołączane były szczegółowe instrukcje, jak taki obrazek wykonać i go pokolorować. Malowanie z użyciem liczb. Mistrz Kart do Gry doprowadza ten zamysł do logicznego końca, wynajdując druk za pomocą rytowanej płyty miedzianej: powstaje produkcja masowa. – Atheldene parsknął przez nos. – A parę lat później Gutenberg otwiera nową erę, budując prasę drukarską.

Samochód pędził z rykiem pustą autostradą.

□ □ □

Heloise Duvalier paliła papierosy. To ułatwiało sprawę. „Nie dzwoń z biura – ostrzeżono ją. – Skorzystaj z ulicznego automatu”. Zaopatrzone ją w kartę telefoniczną, żeby nie potrzebowała bilonu.

– Jeśli *monsieur* Atheldene wybierze się w podróż do Brukseli, natychmiast musi nas pani zawiadomić – pouczył ksiądz. Dwa dni później Atheldene wyszedł sprężystym krokiem ze swojego gabinetu, włożył płaszcz i krzyknął do sekretarki, że udaje się do magazynu w Brukseli. Heloise akurat pieczołowicie czyściła szklane przepierzenie w sąsiednim gabinecie. W tamtym tygodniu bardzo przykładała się do pracy.

Skąd ksiądz wie, że Atheldene pojedzie do Brukseli?

Jest księdzem; zna tajemnice tego świata. W zamian za tę informację obiecał jej pięćset euro, czyli więcej, niż zarabiała na miesiąc, sprząając biura firmy Stevens Mathison. Jej pracownicy wydają tyle na butelkę wina do obiadu.

Dla bezpieczeństwa postanowiła odczekać kwadrans. Po upływie dziesięciu minut uznała, że to wystarczy. Opóźnienie mogło ją wiele kosztować. W Abidżanie Heloise miała sześć siostr, które żyły z przysyłanych przez nią pieniędzy; zarobiwszy pięćset euro, będzie nawet miała trochę dla siebie. Dała ręką sygnał nadzorcy, że idzie na papierosa, a ten stuknął palcem w zegarek i uniósł trzy palce. Trzy minuty. Nadzorca okropnie kantował na czasie. Ochroniarz nacisnął przycisk i wypuścił sprzątaczkę z gmachu.

Jakaś dziewczyna w różowym płaszczu oblamowanym sztucznym futerkiem paplała przez telefon. Heloise, trzęsąc się z zimna, słuchała utyskiwań małej księżniczki. Pewnie dzwoni do chłopaka. Minęła minuta, potem druga. Heloise zapukała w ściankę budki, ale tamta posłała jej lekceważące spojrzenie. Wkrótce Heloise będzie musiała odejść; nie mogła sobie pozwolić na utratę pracy. Nawet za cenę pięciuset euro.

Dziewczyna odwiesiła słuchawkę. Heloise wcisnęła się do środka, zanim tamta wyszła z budki. Podniosła słuchawkę i wybrała numer, który jej podano. Ksiądz odebrał po pierwszym dzwonku.

– *Oui?*

– On jest w drodze.

XL

Strasburg

Co ja uczyniłem?

Oszołomiony wyszedłem z domu, potykając się w drzwiach. Po drugiej stronie ulicy dwóch tragarzy za pomocą drągów wtaczano beczkę wina do otwartej piwnicy. Zapragnąłem rzucić się do otworu i skręcić sobie kark albo zanurzyć łeb w trunku i się utopić. Po mojej prawej stronie rzeka wartko toczyła swój nurt obok przystani na końcu doliny. W sam raz dla mnie. Woda ponieśsie mnie w dół Renu do Moguncji. Mój brat lub siostra oderwie się na chwilę od pracy i zobaczy niewyraźny kształt mający na powierzchni. A później zwłoki znikną w wielkim oceanie.

Zgubę przyniosło mi złoto. Od tamtej chwili, gdy moja dziecięca piątka zacisnęła się na skradzionej monecie, marzenia o złocie i doskonałości opętały mnie z taką samą siłą jak mój demon. Stanowiły nierozłączną parę. Złoto było doskonałe. Perfekcja wiele kosztowała. Ja sprzedałem się za dwieście guldenów wraz ze wszystkimi swoimi niedoskonałościami.

Szaleństwo opanowało mnie niczym gorączka. Błąkałem się ulicami Strasburga, nie wiedząc, dokąd zmierzam, i nie dbając o to. Zapadła noc, a w moim sercu rozkwitł nieczysty gniew. Toczący mnie robak nabrzmiał i zamienił się w monstualnego smoka, który wleciał i rozpałił ogień w mojej duszy. Przez lata trzymałem żądzę w szachu, lecz teraz pozwoliłem jej sobą zawładnąć. Pragnąłem ciała; pragnąłem wbijać pazury i drapać, gryźć i ścisnąć. Pożądałem dominacji.

Wiedziałem, gdzie można doznać takich wrażeń, gdyż były one dostępne w każdym mieście. Unikałem ich od dnia przybycia do Strasburga. Teraz rzuciłem się do szarży. Miejsce znajdowało się nieopodal katedry, gdyż grzech zadości cnoce i nigdy nie jest od niej daleko. W alejce, w której tandetnie umalowane niewiasty nawoływały do niechcianych przeze mnie rozkoszy. Dalej był zaułek, w którym oferowano bardziej wyszukane przyjemności, oraz alejka niewiele różniąca się od otwartego rynsztoka na tyłach domów.

Zdziwiłem się, że tak tam rojno. Długo trzymałem swojego demona na uwięzi i zacząłem myśleć, że istnieje on tylko w moim ciele. Tymczasem ujrzałem całą kongregację wyznawców. Byli tam mężczyźni przebrani za kobiety z czerwoną farbą rozsmarowaną na szczeciniastych policzkach, mężczyźni z umięśnionymi ramionami pokrytymi bliznami, chudzielcy o ostrych rysach, pożerający mnie wzrokiem, oraz szczupli młodzieńcy w tunikach ledwie zakrywających miękką skórę na udach.

Zapewne mogłem poczuć jakąś więź łączącą mnie z tym plemieniem, lecz jej nie poczułem. Była we mnie niechęć; samo istnienie tych odmieńców pomniejszało mnie. Zazdrość podsyciała mój gniew i spychała na bok wątpliwości. Wkraczałem głębiej w alejkę. Czyjeś ręce dotykały mnie i ciągnęły za rękaw pożyczonego palta, mężczyźni gwizdali i rzucali propozycje, wymieniali ceny. Puszczali ich okrzyki mimo uszu.

Przy końcu zaułka, gdzie cienie były najgłębsze, a smród najohydniejszy, znalazłem to, czego szukał: drobnego mężczyznę o oliwkowej skórze z czupryną czarnych kędziorów. Nie dorównywał urodą Kasparowi: był nieco garbaty, a jego twarz po latach grzeszenia zmarszczyła się jak stare winorośle. Była w nim jednak odrobina podobieństwa. Wymienił cenę, a ja zapłaciłem bez słowa. Posag Ennelin.

Odwrócił się i skinął na mnie palcem. Ogień w mej duszy ochładzał się. Nie wiedziałem, co robić; byłem przerażony. Ale czułem w sobie determinację, by doprowadzić rzecz do końca choćby na przekór Drachowi, Ennelin i całemu światu, który skazał mnie na rozpacz i upodlenie.

W murze znajdowało się zagłębienie niewiele szersze niż grubość ramienia. To miał być nasz intymny kącik. Mój towarzysz wepchnął mnie do środka

i odwrócił, a potem przykucnął i rozsunał poły mojego płaszcza. Usiłowałem się odprężyć i oddać rozkoszy. Zamknąłem oczy. Słyszałem jedynie szmer rynsztoka w zaułku. A także kroki. Znów otworzyłem oczy. Zdawało mi się, że zaułek jest najczarniejszym miejscem na ziemi. Tymczasem niemożliwe stało się możliwe i ciemność się pogłębiła. Jakiś cień przesłonił wejście do naszej niszy. Odciągnął ode mnie męską prostytutkę i pchnął ją do rynsztoka.

– Johann?

To był głos Dracha.

– Czyś ty postradał zmysły? Jeśli strażnicy cię tu pochwyć, spłoniesz żywcem.

Zauważyłem, że mężczyzna unosi się z rynsztoka i ocieka jego zawartością. W jego rękę dostrzegłem szarość stali.

– Kaspar – jęknąłem.

Drach się odwrócił. Poruszał się tak szybko, że nie zobaczyłem, co zrobił, lecz mężczyzna potoczył się po ziemi, wyjąc z bólu. Drach podniósł nóż i rzucił za nim w stronę otworu, którym ściek, spływał do kanału. Spojrzał na mnie.

– Ty drżysz.

Osunąłem się. Złapał mnie w ramiona.



Nie było mowy o powrocie do St Argobast. Trząsałem się jak źdźbło trawy. Drach po trosze zaniósł, a po trosze zawlókł mnie do swojej kwatery. Nieopodal kościoła Świętego Piotra zatrzymało nas dwóch strażników. Stanęła mi przed oczyma koszmarna wizja płonącego stosu, lecz Drach pokazał gestem, że się spiłem, i wyjaśnił, że wpadłem do piwnicy. Puścili nas.

Kwaterą Dracha była mansarda domu należącego do Andreasa Dritzehna. Wpadłem w gniew, dowiedziawszy się o tym; przyszło mi na myśl, że Drach nalegał na wynajęcie przeze mnie sutereny, działając w zмовie z właścicielem. Teraz cieszyłem się, że nie posunąłem się wtedy o krok dalej.

Wtaszczył mnie po schodach i złożył na słomianym materacu, który obok skrzynki z narzędziami stanowił jedyne wyposażenie pokoju. Wtedy usiadł przy mnie na podłodze i pogładził po czole.

– Co ci strzeliło do głowy?

- Ennelin zgodziła się za mnie wyjść – wymamrotałem.
- Rozpiął mi płaszcz i zdjął go ze mnie.
- Pożyczony – wykrztusiłem.
- Wiem. – Podniósł palto i przyjrzał mu się. – Mogło być gorzej. Stanałeś tylko po kostki w gównie.
- Dzięki tobie.
- Drach zaszedł mnie od tyłu i ściągnął mi koszulę przez głowę. Była przesiąknięta potem.
- Idź spać.
- Przykrył mnie kocem. Zamknąłem oczy. Moje ciało zapadło się w siennik.
- Kocham cię – wyszeptalem. Nie wiedziałem, czy Drach mnie usłyszał, lecz nie odważyłem się otworzyć oczu.



Obudził mnie dotyk czegoś twardego na czole. Przez cudowną chwilę zdawało mi się, że to twarz Dracha opiera się o moją, a nasze ciała przylegają do siebie. Wyciągnąwszy rękę, poczułem tylko słomę. Z niechęcią pozwoliłem iluzji rozwiać się i otworzyłem oczy.

Na materacu obok mnie leżała paczka owinięta w starą koszulę. Oparłem się na łokciu i rozejrzałem. Przez okna w ścianie szczytowej sączyło się światło, lecz Dracha nie było widać.

Rozchyliłem zawiniątko; poszło łatwo. W środku znajdował się mały stosik papieru. Była to nieoprawiona książka. Strony zostały zebrane i zszyte, lecz niezamknięte w okładce. Otworzyłem pierwszy listek.

Leo fortissimus bestiarum ad nullius pavebit occursum, przeczytałem. „Lew to najdzielniejsza z bestii i nie lęka się niczego”.

Był to bestiariusz; skopiowałem podobny w Paryżu. Ten był znacznie wspanialszy, bogato ornamentowany i pięknie wykaligrafowany na welinowym papierze. Pierwszą linijkę otwierało przepięknie ozdobione duże L, rozrastające się w gąszcz gałęzi i liści. Pod listowiem lew zawisł w skoku nad bezbronny wół. Lew przypominał zwierza z kart, lecz wołu nie znałem. Najwyraźniej jednak pochodził z tej samej menażerii.

Przewracałem kartki, nie zwracając uwagi na tekst, lecz sycąc oczy ilustracjami. Widziałem obrazy Kaspara wyłącznie w czerni i bieli lub namalowane na szyldach, które słońce i deszcz pozbawiły żywości. Na stronicach tej książki rozkwitały w swoim idealnym naturalnym stanie. Bujne liście pyszniły się na marginesach niczym w ogrodzie Edenu. Ptaki z olśniewającym upierzeniem śpiewały na gałązkach lub nurkowały między kolumnami tekstu. Spoza złoconych inicjałów nieśmiało wyglądały fauny. Niedźwiedź skwapliwie wdrapywał się po nóżce litery P, zmierzając do miodu spoczywającego w jej zagłębieniu, a drugi siedział u podstawy pnia i wygrzebywał pokarm z ziemi. Złoty liść połykał niczym niebo o świcie. Wszystkie kolory były głębokie i czyste jak ocean. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Z dojmującym zalem dotarłem do ostatniej strony i przeczytałem kolofon: „Napisane ręką Libellusa i zilustrowane przez Mistrza Francisca”.

W otworze ukazała się głowa i ramiona Dracha.

– Mistrz Francis, jak sądzę.

Kołysząc się na drabinie, wykonał niewielki ukłon.

– Jak posiadasz tę księgę? Z pewnością należy do królewskiego księgozbioru.

Kaspar wszedł zwawo po stopniach i usiadł na końcu materaca.

– Książęcego. Księcia zabrał mór, nim zdążył wypłacić należność za zlecenie. Wdowa nie uhonorowała umowy, zatrzymałem więc księgę. Teraz należy do ciebie.

– Ależ ja nie mogę...

Drach nachylił się ku mnie.

– Chcę, abys ją wziął.

Przycisnąłem książkę do piersi. W tamtej chwili zrobiłbym dla Dracha wszystko. Jednak następne słowa, które wypowiedział, były niczym sztylet przystawiony do mojego gardła.

– Uznanaj to za swój pierwszy prezent ślubny.

XLI

Okolice Brukseli

Kiedy Atheldene wspomniał o Brukseli, Nick wyobraził sobie brukowane uliczki, spadziste dachy i barokowe kamienice. Tymczasem Anglik przywiózł swoich gości w okolice wyglądającą jak belgijskie New Jersey. Jaguar skręcił z autostrady i wjechał w labirynt falistego sidingu, łańcuchowych ogrodzeń i ostrych reflektorów. Jedynymi mijanymi pojazdami były ciężarówki.

Zjechali z drogi i zatrzymali się przed szlabanem obok budki. Atheldene opuścił szybę, by pokazać ochroniarzowi przepustkę. Do samochodu wdarł się powiew lodowatego powietrza. Emily poruszyła się na tylnej kanapie. Przez całą drogę od granicy spała.

Nick spojrział na zegarek. Była pierwsza w nocy.

– Wpuszczą nas?

– Mają klientów z całego świata – odparł Atheldene. – Dyżurują dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Rzeczywiście strażnik zwrócił kartę i barierka powędrowała do góry. Atheldene wjechał na zamknięty teren i zatrzymał auto przed bezimiennym szarym magazynem. Zgasił silnik. Po trzech godzinach spędzonych na autostradzie cisza stanowiła ulgę.

Wysiedli z samochodu. Nick skrzywił się, gdy ziab spadł na niego z pełną siłą. Para z ust zamieniała się w mgiełkę. Nick i Emily wspięli się za Atheldene 'era niskimi schodkami, a następnie weszli przez drzwi, które otworzył kluczem numerycznym. Znaleźli się w pomieszczeniu o ścianach z niepomalowanych pustaków. Ochroniarz w brązowym mundurze siedział rozparty za okienkiem

w ścianie, czytając świński magazyn. Szyba nie robiła wrażenia jako zabezpieczenie, dopóki nie знаło się jej grubości. Gdy strażnik otworzył automatyczne drzwi, Nick zobaczył, że są zrobione z dwunastocentymetrowej stalowej płyty.

– Czy ci ludzie spodziewają się napadu? – spytał, gdy wsiadali do windy.

– Książki i rękopisy składowane w tym miejscu warte są miliony – odparł spokojnie Atheldene. – Odrobina paranoi jest ze wszech miar na miejscu.

W windzie nie było przycisków. Głos z syntezy mowy powiedział coś krótko po francusku. Drzwi się zamknęły, winda zaszumiała i ruszyła w dół. Nick zerknął na Emily wciąż opatuloną w czerwony płaszcz. Miała wylękniony wzrok, lecz zdobyła się na uśmiech.

Drzwi się otworzyły. Nick miał wrażenie, że znalazł się we wnętrzu okrętu podwodnego. Wszystko było skąpane w czerwonym świetle odbijającym się od szeregów wysokich szafek ze szklanymi frontami. Salę wypełniał basowy szum urządzeń elektrycznych.

– Dobry wieczór, *Herr* Atheldene.

Spomiędzy szaf nadchodził mężczyzna w prążkowanym garniturze i białym fartuchu laboratoryjnym. Miał okrągłą twarz, przylizane włosy i szerokie wąsy z opadającymi końcami, które nadawały mu poważny, a zarazem przymilny wygląd. Późna pora najwyraźniej nie robiła mu różnicy.

– Doktor Haltung. – Mężczyzna z radością uściśnął ręce Atheldene'owi, Nickowi i Emily. – Państwa wizyta jest, jak by to powiedzieć, zaskakująca.

– Skłoniła nas do niej pilna prośba klienta – odparł Atheldene. – Chodzi o kolekcję Morela.

– Oczywiście, żaden kłopot, oczywiście. – Naukowiec unosił się na palcach i opadał. – Chodźcie, chodźcie, proszę.

Podążyli za doktorem korytarzem wiodącym między regałami. Nick czuł się dziwnie: przy każdym kroku czujniki ruchu zapalały światła w posadzce, wskazując drogę, a następnie gasły. W szafkach spoczywały książki i stosy papieru niczym mięso na sklepowych półkach. Cyfrowe wyświetlacze nad drzwiczkami podawały temperaturę panującą wewnątrz: minus dwadzieścia pięć stopni Celsjusza.

Doktor Haltung zatrzymał się przed szafką w pobliżu środka sali i wydobył z kieszeni fartucha mały przenośny komputer.

- Kolekcja Morela.
- Czy ktoś ją oglądał od czasu, gdy się tu znalazła? – spytał Nick.

Haltung stuknął w ekran komputera.

- Nikt nie prosił o dostęp do tych materiałów oprócz naszego personelu.

Zgodnie z pańską instrukcją, *Herr Atheldene*.

Nick poczuł znajomy ból rozczarowania. Gillian tutaj nie było.

- Którego dokładnie eksponatu państwo szukają?

– Numer katalogowy dwadzieścia siedem D – odparł Atheldene. – Anonimowy bestiariusz z piętnastego wieku.

– Oczywiście. – Haltung ponownie stuknął w ekran komputera, a następnie nacisnął klawisz na drzwiczkach jednej z szafek. Nick usłyszał trzask pękającej pieczęci, a następnie syk powietrza. Haltung wyjął parę grubych rękawic, policzył półki, zdjął tom i położył go na drewnianym wózku.

Nick przyglądał się książce w słabym świetle lamp. Była mniejsza, niż się spodziewał, wielkości zwyczajnej współczesnej książki, i miała skórzaną okładkę postrzępioną na krawędziach. Na grzbiecie pojawił się chropawy szron taki jak na lodach, które zbyt długo stały w lodówce. Dwa paski gazy trzymały okładkę zamkniętą.

Haltung żwawo pchał wózek do oszklonego pomieszczenia w końcu sali. Gdy przekroczył drzwi, zapalił się rząd górnych świateł.

Nick potarł oczy zaskoczony nagłą jasnością. Na środku pomieszczenia stała ogromna, przytwierdzona do posadzki maszyna przypominająca turbinę lub silnik odrzutowy. Składała się z wielkiego cylindra przymocowanego do skrzyni; całość była wykonana ze lśniącej nierdzewnej stali. Z boku świeciły się czerwone i zielone światelka, a od ścian i sufitu biegły do maszyny przewody i rurki.

– Proces jest bardzo uproszczony – wyjaśnił Haltung. – Jak parzenie kawy rozpuszczalnej.

Naukowiec otworzył drzwiczki na przedniej części urządzenia. W środku znajdowało się rusztowanie takie jak w piecu piekarskim. Włożywszy książkę do środka, obszedł maszynę i wcisnął kilka przycisków. Na płycie czołowej zapaliły się światelka.

– Teraz, w tej chwili, ciśnienie w komorze jest normalne. Tysiąc milibarów. Redukujemy je do sześciu milibarów. To prawie doskonała próżnia.

Wcisnął ostatni klawisz. Nagle maszyna zasyczała i zadrzała. Rozległ się głośny ryk podobny do tego, który wydaje suszarka do włosów na pełnych obrotach.

– Próżnia zamienia lód od razu w gaz zamiast w wodę. Sublimacja, tak? Dlatego książka jest sucha. Atrament nie cieknie, a materiał utrzymuje strony na swoim miejscu. Doskonale, prawda?

– Możemy na nią spojrzeć?

Haltung cmoknął.

– Książka ma obecnie temperaturę minus dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Przy odwracaniu kartka rozpadłaby się w rękę. Teraz musimy przywrócić normalne ciśnienie i normalną temperaturę plus dwadzieścia stopni.

– Jak długo to potrwa?

– Może dwie godziny. – Haltung odstał od maszyny, która już nie ryczała, tylko wydawała niski pomruk. – Chcą państwo kawy podczas oczekiwania?

– Kawę też parzy pan w tej maszynie? – zapytał Nick.

Haltung nie zrozumiał żartu.

– Mamy nescafé.

Podniósł słuchawkę umieszczoną na ścianie, wybrał numer i czekał.

– Może ochroniarz poszedł do toalety. – Odłożył słuchawkę nieco zdezorientowany. – Pójdę na górę. Proszę tu poczekać.

Nick odprowadził naukowca wzrokiem. Poświata podłogowych lamp pojawiała się przed nim jak fala przed dziobem statku, a później znikwała. Haltung wszedł do windy i zniknął.

Zbliżywszy się do maszyny, Nick zajrzał przez szybkę. Książka spoczywała nieruchomo na półce. Lodowej powłoki nie było. Dwa mierniki obok drzwiczek wskazywały rosnącą powoli temperaturę i ciśnienie.

– To niewiarygodne, kiedy się o tym pomyśli – odezwała się z tyłu Emily. – Pięćset czy sześćset lat temu gdzieś w Paryżu leżał stos arkuszy welinu, a obok stał kałamarz z atramentem. Powstała książka, która przetrwała nie wiadomo ilu królów, wojen i właścicieli... Nasiąkla wodą, a później została zamrożona i odmrożona na sucho za pomocą arsenału techniki dwudziestego

pierwszego wieku... I po tym wszystkim wciąż będzie można odczytać słowa, które wyszły spod ręki autora.

– Jeśli dopisze nam szczęście – zauważył Atheldene.

Nicka opadło zmęczenie. Dochodziła druga w nocy, a różnica czasu nadal czyniła zamieszanie w jego organizmie. Haltung zniknął, kawy także nie było.

– Idę na spacer – oznajmił Nick.

Atheldene spojrział na niego, jakby chciał zaprotestować, ale mruknął tylko:

– Proszę niczego nie dotykać.

Drzwi otworzyły się automatycznie i Nick znalazł się w zalanym czerwoną poświatą magazynie. Wędrował wśród regałów pełnych zamrożonych książek, zahipnotyzowany podłogowymi światłami, które rozlewały się pod jego stopami. Spoglądał przez drzwiczki na zawinięte tomy i rękopisy, próbując odgadnąć, co kryją w sobie strzępy okładek. Czy mogą w nich być stronice, których nikt nigdy nie czytał, skamieliny zastygłe w wiecznej zmarzlinie i czekające na odkrycie? Czy właśnie coś takiego znalazła Gillian?

Skręciwszy, znalazł się przed betonową ścianą; dotarł do końca magazynu. Pomyślał, że powinien wrócić do towarzyszy.

Niemal w tej samej chwili w połowie ściany frontowej rozsunęły się drzwi windy i na podłodze ukazała się plama żółtego światła. Stanął na niej Haltung. Na szczęście nie niósł kawy, gdyż trząsł się tak mocno, że ani chybi by ją rozlał.

Z windy wysunęła się dłoń w czarnej rękawiczce i przystawiła pistolet do pleców naukowca.

XLII

Strasburg

Wałek śrubowy zacisnął się, a docisk zatrzeszczał, napierając na wilgotny papier. Przytrzymaliśmy go przez chwilę, a potem unieśliśmy. Drach odkleił papier od matrycy i zawiesił na sznurze rozciągniętym między dwiema belkami.

– Dwadzieścia osiem.

Dwadzieścia osiem. Puściłem rączkę prasy i podszedłem, by się przyjrzeć. W pewnym sensie nie było na co patrzeć: arkusz wyglądał dokładnie tak samo jak dwadzieścia siedem poprzednich. Jednak dla mnie nie istniało nic ważniejszego. Spoglądałem na niego jak ojciec na dziecko. A nawet na coś więcej, gdyż syn jest zaledwie niedoskonałą kopią ojca. Ta kopia była nieskazitelna.

Nie oszałamiała uroda. Tekst miał jednostajny wygląd i był trudny do odczytania, gdyż wycinanie stalowych punktaków trwało bardzo długo i mieliśmy wyłącznie wersaliki. Skryba stworzyłby litery rozmaitej wielkości. Jediną ozdobę stanowił fantazyjny inicjał, który Kaspar wrył osobno w miedzianej płycie. Po raz dwudziesty ósmy spojrzałem na arkusz i westchnąłem. Proste szeregi moich liter, których główną cnotą było to, że zachowywały dyscyplinę, stały naprzeciwko tętniących życiem, szalonych zawijasów jednej litery Kaspara. Ten kontrast wyrażał coś istotnego.

Kaspar nałożył następny arkusz papieru i zajęliśmy miejsca po przeciwnych stronach rączki prasy. To były dla mnie złote czasy: spędzaliśmy spokojne popołudnia, zamknięci w suterenie, pracując jak jeden z myślą o wspólnym celu. W takich chwilach niemal zapominałem o cenie, którą przyjdzie mi za to zapłacić.

– Poznałem kiedyś pewnego włoskiego kupca, który zawędrował aż do Chin – oznajmił Kaspar. – Wiesz, co tam zobaczył?

– Ludzi z psimi łbami i stopami jak grzyby?

Drach się nie roześmiał. Inteligentni mężczyźni często nie mają cierpliwości dla poczucia humoru innych.

– Nie płaci się tam złotem ani srebrem, tylko papierem.

Parsknąłem śmiechem, kiwając głową w stronę ściany piwnicy. Na stole roboczym leżała tam bela papieru, czekając na swoją kolej.

– Jedźmy do Chin, będziemy bogaczami. Za papier kupilibyśmy srebro, przywieźli tutaj, żeby kupić papier, a za niego kupilibyśmy więcej srebra w Chinach... – Spojrzałem na Kaspara, nie wiedząc, czy znów nie zrozumiałem jego wyrafinowanego dowcipu. – Gdyby to było takie proste, każdy kupiec handlujący papierem w Italii byłby bogaty jak papież.

– Być może. – Kaspar wzruszył ramionami. – Myślę, że ich księżęta znaczą papier jakimiś symbolami, tak jak nasi królowie biją monety.

– Możesz usunąć z monety głowę króla, a ona wciąż będzie złotem. Zedrzyj ją ze skrawka papieru i uzyskasz tylko papier. Spal go i nie będziesz miał nic. – Odciągnąłem śrubę i zdjąłem papier z matrycy. – Dwadzieścia dziewięć. Zdaje mi się, że ten kupiec uraczył cię jedną z podróżniczych baśni.

– Tak trudno w to uwierzyć? Czy my nie robimy tego samego? Bierzymy papier, który kupujemy po pensa za tuzin, i sprzedajemy Kościołowi po trzy pensy za sztukę. A księża sprzedają go po sześć pensów. Czy papier zmienia swoją naturę?

Drach robił sobie kpiny.

– Ludzie nie płacą za papier, tylko kupują oczyszczenie z grzechów. Papier to tylko kwit wydawany przez Kościół.

– Ale bez papieru nie ma transakcji. Uważasz, że ostatniego dnia wstaniemy, ściskając w dłoniach odpusty, i przedstawimy je świętemu Piotrowi tak, jakbyśmy realizowali wypłatę renty?

– Bóg jeden wie.

– Jeśli Bóg wie, to do czego Mu potrzebny świstek papieru? Ludzie potrzebują papierków, bo są łatwowiernymi durniami.

Zawsze mnie zdumiewało, że Kaspar mówi o ludziach tak, jak gdyby należał do innego gatunku.

– Papier otrzymuje błogosławieństwo Kościoła.

– Ponieważ Kościół wie, że ludzie zapłacą więcej, jeśli dostaną coś w zamian. Nawet jeśli jest to warte tyle samo, co tak zwane pieniądze chińskie. – Kaspar posłał mi swój jedyny w swoim rodzaju uśmiech, zarazem konspiracyjny i pobłażliwy. – Wiesz, że to prawda. Oto alchemia, która uczyni cię bogatym: bierzesz coś bezwartościowego i nadajesz temu wartość.

– Jeśli się uda.

Odwróciłem się tyłem do prasy. Podczas naszej rozmowy wyszły z niej trzy odpusty. Wyjąłem ostatnią odbitkę i sprawdziłem wciąż oczarowany jej perfekcją. Ile jeszcze razy się zachwyć? Sto? Tysiąc? Dziesięć tysięcy?

Jednak mój zachwyt zaczął topnieć. Przyjrzałem się dokładniej arkuszowi. Wszystkie litery były na swoich miejscach, lecz straciły swą pierwotną wyrazistość niczym kamień, po którym przemaszerowało zbyt wiele stóp. Potarłem oczy. Czyżby długie godziny spędzone w piwnicy stępiły mi wzrok?

– Co się stało?

Stałem przy oknie. Chropowate szkło rzucało cienie na papier, lecz litery były wyraźnie widoczne. Nie pomyliłem się. Krawędzie rozmyły się i rozszerzyły, pogrubiając każdą literę. Niektóre z nich wyglądały jak nieczytelne kleksy. Nawet inicjał wykonany przez Dracha utracił swą gładkość.

Odszukałem pierwszą wydrukowaną stronę i porównałem z ostatnią. Tekst był wyrazisty, znacznie czytelniejszy niż na ostatniej. Pokazałem ją Kasparowi.

– Może za słabo docisnęliśmy.

Wytłoczyliśmy następny arkusz i jeszcze jeden. Przy trzeciej próbie nie można już było się łudzić. Podczas druku linie traciły wyrazistość. Stopniowa degeneracja w końcu sprawi, że tekst stanie się nieczytelny.

Rozejrzałem się. Na stole i na sznurze znajdowało się nieco ponad trzydzieści odpustów. Zadrwiły ze mnie złudną doskonałością.

Miałem jednak na głowie ważniejsze zmartwienia.

– Dlaczego do tego doszło?

Drach schylił się nad prasą i dotknął palcami rowków wyżłobionych w miedzianej płycie.

– Miedź jest miękka, a ciśnienie potrzebne do zrobienia wydruku ogromne. Wywierając nacisk, za każdym razem odkształcamy płytę.

– I nie można temu zaradzić?

– Można zrobić następną matrycę.

– Dunne'owi zabrało to tydzień. – Policzyłem z grubsza w myśli. – Zapłaciłem mu trzy guldeny za robociznę i miedzianą blachę. Gdyby jedna płyta starczała na czterdzieści lub pięćdziesiąt odpustów po trzy pensy za sztukę, tracilibyśmy całego guldena na każdej partii. Bez wliczania kosztów inkaustu, papieru, czynszu...

– Gadasz jak kupiec.

– Jeden z nas musi nim być – odparowałem. – Czemu mnie nie uprzedziłeś, że tak będzie się działo?

– Nie wydrukowałem aż tylu kart, by to wiedzieć.

Osunąłem się na podłogę. Obietnica posagu Ennelin przekonała lichwiarza Stoltza, by zwiększył mi kredyt, lecz już wykorzystałem wszystko, co mogłem. Nawet jeśli ją poślubię, będę musiał przeznaczyć większość kapitału na spłatę bieżących zobowiązań.

Podniosłem z ziemi odpust leżący u moich stóp. Moje łzy całkowicie zamazały tekst. Zastawiłem swoje życie po to, by zrealizować ten projekt. Wierzyłem, że zdołam stworzyć coś wartościowego.

Teraz miałem jedynie papier.

XLIII

Okolice Brukseli

Mężczyzna pchnął Haltunga i wyszedł z windy. Za nim pojawił się drugi. Obaj mieli na sobie czarne skórzane kurtki oraz czarne kominiarki zakrywające twarz. A także pistolety w dłoniach.

Jeden z nich nachylił się i szepnął coś do ucha uczonemu, który drżącą ręką wskazał maszynę umieszczoną w drugim końcu magazynu. Napastnicy zamienili kilka zdań. Pierwszy wskazał towarzyszowi drogę wzdłuż ściany pomieszczenia. Nick cofnął się odruchowo.

Był to błąd. Światła pod jego stopami zgasły, gdy stał nieruchomo, lecz teraz czujniki wykryły ruch i lampy momentalnie rozbłysły. Nie były jasne, lecz wystarczająco silne, by zdradzić jego obecność w spowitym cieniem podziemiu. Napastnicy odwrócili się i zobaczyli Nicka. Jeden z nich uniósł broń, lecz w tej samej chwili Haltung wyrwał mu się i ruszył biegiem w stronę pomieszczenia, w którym znajdowała się maszyna. Uzbrojony mężczyzna się zawahał. Nick wykorzystał ten moment i skoczył w głąb korytarza po lewej stronie.

Powrócił koszmar, który poznał na dachu domu w Nowym Jorku. Rozległy się strzały. Nick nie wiedział, do kogo celują napastnicy. Popędził korytarzem prowadzącym między regałami i skręcił w prawo. Przed nim ścieliła się rozświetlona droga. Zaklął, lecz nic nie mógł na to poradzić. Znowu skręcił w lewo, a potem w prawo i zatrzymał się, czekając, aż światła zgasną. Oceniał, że jest w połowie drogi do maszyny. A jeśli prześladowcy dotrą tam pierwsi?

Lampy przygasły i Nicka otoczył półmrok. Dyszał ciężko, oparłszy się o zimne szkło. Usiłował odwrócić się, nie poruszając stopami, by zobaczyć, czy poświata nad szafami sygnalizuje ruch.

Tak go to zaabsorbowało, że o mały włos nie przeoczyłby zagrożenia. Ocałił go szósty zmysł: odbicie w szybie lub coś, co zauważył kątem oka. Zerknął w stronę, z której nadbiegł, po czym zamarł. Światła zapalały się falowo, a jednocześnie słychać było kroki. Zastukały za rogiem i zbliżyły się do stóp Nicka niczym woda. Nagle się zatrzymały.

Intruz musiał znajdować się tuż-tuż, za zakrętem. Czy wie o obecności Nicka? Czy czeka na ruch światła? Całe ciało Nicka chciało biec, on jednak wiedział, że oznacza to pewną śmierć. Nie mógł jednak zostać w tym miejscu.

Światła wciąż się paliły. Nick mógł się poruszyć bez narażania się na wykrycie, lecz tylko w stronę niebezpieczeństwa. Zwalczył strach.

Bojąc się, że światła zgasną, ruszył w stronę narożnika regałów niczym dziecko przesuujące się w stronę krańca wysokiej deski nad basenem. Tam przykucnął, czując na twarzy ciepło bijące od lamp.

Zapaliły się ponownie, gdy intruz wychynął zza zakrętu. Nick nie czekał, tylko odbił się nogami i skoczył na przeciwnika. Tamten strzelił, ale za wysoko. Nick powalił go ciężarem ciała i odtoczył się na bok. Nie wygra z nim walki. Wykopnął broń z dłoni napastnika, zerwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki.

Przerażony pędził zygzakiem między regałami, kierując się w stronę pomieszczenia z maszyną. Był uwięziony w labiryncie, nie widząc przed sobą dalej niż na długość ramienia. Padły jeszcze trzy strzały. W nisko sklepionym podziemiu zabrzmiały głośno niczym gromy. Ostatni zadzwonił Nickowi w uszach i błysnął w ciemności. Czyżby to oznaczało, że został trafiony? Czy w taki sposób się umiera?

Był to alarm. Może któryś z pocisków trafił w czujnik. Jednak dla Nicka nie stanowiło to żadnego pocieszenia. Światła błyskały, a syrena zagłuszała ruchy wrogów. Z drugiego końca hali dał się słyszeć odgłos opadania z sufitu stalowych osłon odgradzających szklane ściany pomieszczenia z maszyną. Znajdowały się już na wysokości głowy i sunęły w dół ze złowrobną szybkością. Nick nie miał wyboru. Popędził korytarzem, modląc się, by z tyłu nie zaszedł go uzbrojony napastnik. Wszystkie światła podłogowe paliły się z pełną mocą, a nagrany głos wydawał naglące polecenia, których Nick ani nie słyszał, ani

nie rozumiał. Do jego uszu wdzierał się zgrzyt opadających osłon i wibrujący dźwięk dzwonek. W tle słychać było jeszcze ryk przypominający odgłos silników startującego odrzutowca.

Czujniki drzwi zareagowały na ruch i rozsunęły się automatycznie. Osłony opadły już prawie do końca. Otwór miał niespełna pół metra. Nick rzucił się na posadzkę i prześliznął pod krawędzią.

Osłona dotknęła podłogi i zatrzasnęła się. Nick się rozejrzał, drżąc na całym ciele. Atheldene i Emily zerkali spoza maszyny. Napastników nie było.

Uklęknął, ale nie czuł się na tyle pewnie, by wstać.

– Co się stało?

Musiał krzyczeć, by towarzysze go usłyszeli. Ryk dobiegający spoza zasłon był ogłuszający.

– Dym wystrzałów uruchomił alarm przeciwpożarowy – wyjaśnił Anglik.
– Włącza się bardzo łatwo, co jest zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę zawartość magazynu.

– Dlaczego zraszacie się nie włączyły?

– Bo ich nie ma. Spryskanie książek wodą byłoby dla nich prawie tak samo zgubne jak spalenie. Magazyn zostaje szczelnie zamknięty, a później instalacja wysysa z niego powietrze. – Atheldene stuknęła pięścią w maszynę do zamrażania i suszenia. – Tak jak się dzieje w tym urządzeniu, tyle że na większą skalę.

Nick podrapał się po głowie.

– Miałem szczęście, że się wydostałem.

– Owszem.

– Co się stało z Haltungiem?

– Zabili go – odparła Emily, której twarz była pozbawiona kolorów. – Nie wiadomo, kim są ci ludzie, ale zastrzelili go.

Ryk powietrza po drugiej stronie osłon zamilkł, dzwonek alarmowy także. A może ucichł dlatego, że dźwięk nie wędruje w próżni? – pomyślał Nick.

– Co teraz zrobimy?

Atheldene skinął na stalowe osłony.

– Nic. Te płyty można uruchomić jedynie z górnego poziomu. Nawet gdybyśmy mogli je otworzyć, nie byłoby to rozsądne. Po drugiej stronie panują warunki jak w przestrzeni kosmicznej.

– Zatem jak się stąd wydostaniemy?

Nick się rozejrzył. Pomieszczenie miało tylko jedne drzwi prowadzące do głównego magazynu.

– Musimy czekać na przybycie policji. To nie powinno długo potrwać.

Zapewnienie to nie pocieszyło Nicka. Znajdował się w Belgii, lecz gdy tylko gliny wpiszą jego nazwisko do komputera, wszystkiego się dowiedzą. Musi być jakiś przewód wentylacyjny, kłapa ratunkowa albo kanał serwisowy. Tymczasem wokół widział tylko betonową cełę. Jedyne otwory znajdował się w ścianie za maszyną; wychodziła z niej rura o średnicy sześćdziesięciu centymetrów.

Nick przyjrzał się jej. „Niemał doskonała próżnia”, powiedział Haltung. Powietrze musiało więc gdzieś uchodzić. Rurę otaczała stalowa złączka z czterema nakrętkami motylkowymi. Nick podbiegł i przekręcił jedną z nich, ale nie puściła.

Rozejrzył się i zobaczył toporek strażacki w zagłębieniu ściany. Chwycił go, przekręcił i uderzył śrubę płaszczyzną narzędzia. Nakrętka drgnęła i przesunęła się o kilka stopni. Nick walił w nią rozpaczliwie raz po raz, aż wykonała kilka obrotów. Śruba musiała mieć ze dwa centymetry średnicy, lecz teraz była na tyle luźna, że dała się obracać ręką.

– Tutaj ! – krzyknął do Emily, wskazując śrubę. – Spróbuj ją wyciągnąć.

Zrozumiała od razu. Pozostały jeszcze trzy śruby. Nick zerknął na stalowe osłony wokół ścian pomieszczenia. Ciekawe, co się za nimi dzieje? Czy zjawiała się policja? Intruzi w kominiarkach udusili się z braku powietrza czy zdążyli umknąć tak jak on, zanim magazyn został odcięty od zewnętrznego świata?

Czwarta nakrętka okazała się najtrudniejsza do ruszenia. Nim ją przekręcił, Emily zdążyła zdjąć pozostałe trzy. Uklęknął obok dziewczyny. Ich dłonie ocierały się o siebie niczym rączki dzieci rozpakowujących prezenty gwiazdkowe. Mimo przejmującego chłodu Nick się spocił.

Śruba puściła. Nick odskoczył, spodziewając się, że rura spadnie na ziemię niczym kamień. Ona tymczasem ani drgnęła.

Z drugiej strony pomieszczenia coś rąbnęło w osłonę. Wściekły i sfrustrowany Nick kopnął podeszwą w rurę, która z cichym odgłosem wyskoczyła ze złączki i opadła na ziemię tuż obok czubka jego stopy. W ścianie ziała czarna

dziura. Wsunąwszy rękę do środka, Nick poczuł prąd zimnego powietrza.

– Lepsze to niż nic – mruknął niepewnie. Spojrzał na maszynę. – Czy książka zdążyła się rozmrozić?

Atheldene spojrzał na mierniki.

– Minie co najmniej godzina, zanim osiągnie temperaturę pokojową.

– Nie mamy tyle czasu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Atheldene złapał go za rękę. – Ta księga jest bezcenna. Nie możesz jej tak po prostu wyjąć w połowie rozmrażania.

Nick wyrwał rękę z uścisku i podbiegł do płyty kontrolnej. Spojrzał na przyciski i znalazł dużą czerwoną gałkę z napisem NOTAUSSCHALTUNG. Wyłączanie awaryjne. Rąbnął w nią otwartą dłonią. Pomruk maszyny ucichł. Zamek stuknął. Nick otworzył drzwiczki i wyjął książkę. Była zimna, ale nie twarda.

Nawet nie wiem, dlaczego ją zabieram, pomyślał. Jednak ktoś uważa, że warto dla niej zabijać.

– Ona nie należy do ciebie – zaprotestował Atheldene. – Poczekaj na policję.

– Nie mogę.

Włożył książkę do plecaka, w którym trzymał kartę, i podał go Emily. Wsunął głowę do otworu. Tunel był tak wąski, że ledwo mieścił jego ramiona. Na długości kilku metrów biegł prosto, a potem zaczynała się jednolita ściana.

– Powietrze musi uchodzić jakąś drogą.

Nick uniósł rękę nad głowę i wyczuł pustą przestrzeń. Obrócił się, ułożył na plecach i spojrzał do góry. Niewiele ponad metr nad nim na tle miejskiej poświaty widać było kratkę. Podwinął kolana, odepchnął się i wcisnął w szyb, aby sięgnąć kraty. Uniosła się, nie stawiając oporu. Wsunął się wyżej, wypchnął się przez otwór i spadł na zamrożoną trawę.

Znajdował się przed boczną ścianą budynku. Emily wydostawała się z otworu, a Nick tymczasem wstał i podszedł do narożnika. Na asfalcie obok budki strażnika leżała jakaś postać, a druga spoczywała przy schodach prowadzących do drzwi frontowych. Czarny terenowy lexus z włoskimi tablicami stał ukośnie na parkingu, blokując jaguara Atheldene'a.

Mroźne nocne powietrze rozbrzmiewało dalekim, lecz szybko zbliżającym się wyciem syren. Jak się stąd wydostać? Na parkingu nie było innych pojazdów, a na terenie sąsiednich posesji panował całkowity bezruch. Nick i Emily znajdowali się w samym środku rozległego parku przemysłowego. Pieszko daleko nie uciekną.

Właśnie wtedy usłyszał muzykę.

W pierwszej chwili pomyślał, że to złudzenie wywołane jazgotem panującym jeszcze przed chwilą w podziemiach. Jednak dźwięk nie zamilkł i nie powtarzał się tak, jak zwykle powtarzają się urywki piosenek. Muzyka Boba Marleya była ostatnią rzeczą, jaka pasowałaby do tych okoliczności. Dochodziła z lexusa.

Jeden utwór się skończył, a po nim zaczął się następny. Nick przyjrzał się dokładniej samochodowi i zobaczył, że z rury wydostają się spaliny. Czyżby ktoś siedział w środku? Podkraść się bliżej i spojrzeć na zagłówek fotela. Przednią szybę rozświetlał blask reflektorów padających na ścianę budynku. Gdyby w aucie ktoś siedział, byłby doskonale widoczny na jasnym tle. Nikogo nie było, a silnik pracował.

Posuwając się poniżej poziomu okien, Nick zbliżył się do drzwi kierowcy. Wziął głęboki oddech i nacisnął klamkę.

Z wnętrza samochodu wionęło rozgrzane powietrze. Kabina była pusta. Nick wskoczył na fotel i włączył wsteczny bieg. Pedał gazu zareagował energiczniej niż w samochodach, do których przywykł. Auto wyrwało do tyłu z piskiem opon. Nick zobaczył w lusterku Emily biegnącą z jego plecakiem w rękę. Nagle potknęła się, upadła na ręce i kolana i znikła z pola widzenia.

Nick się rozejrzał. Drzwi frontowe magazynu otworzyły się gwałtownie i stanął w nich zamaskowany mężczyzna z pistoletem w dłoni. Rozejrzał się szybko. Wycie syren narastało.

Emily otworzyła przednie drzwiczki samochodu i rzuciła się na fotel. Nick wcisnął pedał gazu. Był spanikowany i nie znał możliwości auta, toteż omal nie zdruzgotał latarni. Skręcił kierownicę i wiraż zniósł go w stronę budki strażniczej. Nieprzewidywalna jazda przypuszczalnie go uratowała. Napastnik dopiero teraz ocenił sytuację. Okienko od strony pasażera eksplodowało. Szkło rozprysło się na kawałki, spadając na ręce i twarz Nicka, lecz pocisk przeszedł bokiem. Nick prawie tego nie zauważył. Był już za bramą. Skręcił w drogę dojazdową i nacisnął gaz.

XLIV

Strasburg

– Honor nakazuje mi zawiadomić panią, że nie daję już tak dobrych perspektyw na przyszłość jak jeszcze niedawno. Poczyniłem pewne inwestycje, które nie przyniosły spodziewanego zysku. Spowodowały długi, które pochłoną większość moich dochodów, a może nawet wszystkie. W tych okolicznościach nie będę miał pretensji, jeśli zerwie pani moje zobowiązanie ożenku z pani córką.

Ellewibel słuchała mojej wyćwiczonej przemowy z niezmiennym wyrazem twarzy.

– To bardzo szlachetne z pańskiej strony, *Herr* Gensfleisch. Uczciwość przemawia na pana korzyść i potwierdza dobrą opinię, którą wyrobiłam sobie na temat pańskiego charakteru. Z tego powodu nigdy nie stanęłabym na drodze tego związku. Mój mąż był kupcem, dlatego wiem, że fortuna raz idzie do dołu, a raz do góry. Wiara i charakter czynią człowieka tym, kim jest. Wiem, że moja córka się nie rozczaruje.

Zgiąłem się nisko jak mężczyzna ugodzony nożem w brzuch.

– Dziękuję pani.

□ □ □

Stałem w budynku gospodarczym w St Argobast i patrzyłem na szczątki swoich dążeń. Kaspar malował ołtarz w Strasburgu, a ja zostałem sam na sam ze swoją klęską. Składały się na nią miedziana płyta, którą wyżłobiłem, trzy odpusty, które spod niej wyszły, parę butelek atramentu, dwadzieścia sześć

punktaków z wrytymi literami alfabetu oraz ryza niezużytego papieru obciążona kamieniem. Przepelniało mnie echo tego, co poczułem rankiem ostatniego dnia mojej bytności w Paryżu. W szklanej formie zawarłem wszystkie swoje nadzieje i wysiłki i podgrzałem ją w ogniu siedem razy. Tristan machnął mieczem i stopione wewnątrz metale okazały się nic niewartym prochem.

W głębi mojej duszy ozwał się ten sam instynkt, który sprawia, że królik wyczuwa lisa lub wędrowiec słyszy pękającą w kniei gałąź. Ten właśnie instynkt wypędził mnie z Moguncji, z Kolonii, z Bazylei i z Paryża. Ze wszystkich miejsc, w których zagroziło mi niebezpieczeństwo. Ale teraz dobiegałem czterdziestki, a czterdzieści lat to nie dwadzieścia. Miałem dom i pozycję, nie mogłem dłużej wieść żywota wagabundy. I nie mogłem opuścić Kaspara, jedyne go przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem.

Byłem osaczony. Nie przez kraty i ściany, lecz przez bezlitosne okoliczności. Wezbrał we mnie bezradny gniew. Rąbnąłem pięścią w stół. Zabrzęczało szkło i metal, buteleczka przewróciła się i atrament rozlał się na gruby drewniany blat. Dotarł do rozrzuconych punktaków i pokrył czernią ich końcówki.

Jak we śnie wziąłem jeden z nich do ręki i uderzyłem nim w stół. Drewno zadrżało, jak gdyby nawet ono pojęło doniosłość tej chwili. Uniosłem punktak. Na drewnie pozostał odcisnięty znak. Litera A.

Ponownie zanurzyłem punktak w atramencie i zrobiłem następny znak, a później jeszcze jeden. Wkrótce były ich dziesiątki. Nacisk i forma, element męski i żeński. Jeden wnika w drugi i odtwarza.

Przebiegłem podwórko i znalazłem się w kamiennej stodole. Od tygodni nie paliłem ognia; miałem zapas węgla, lecz brakowało podpałki. Chwyciłem resztkę odpustów i podarłem je na kawałki. Ukłękawszy przed paleniskiem, potarłem krzesiwo. Iskry poleciały na papier i jego krawędzie się zajarzyły. Dmuchałem, by tchnąć życie w ogień i spalić swoją klęskę.

Na szafce koło okna znalazłem sztabkę ołowiu, którym czerniłem inkaust. Gdy ogień się rozpalił, włożyłem ołów do żelaznego kociołka zawieszzonego nad paleniskiem. Metal zmiękł i roztopił się niczym masło. Mieszałem go chochlą i uważnie obserwowałem: jeśli zbyt się rozgrzeje, za mocno przywrze do formy.

Umieściłem miedzianą płytę nad stołem między moździerzami i naczyniami, których używaliśmy do wyrobu inkaustu. Zaczerpnąłem chochlą płynnego ołowiu i rozlałem na płycie. Zetknięciu metali towarzyszyło syczenie pary. Roztopiony ołów wsączył się do rowków liter. Postukałem w miedzianą płytę, by usunąć bąbelki powietrza.

Gdy ołów ostygł, wyważyłem go nożem z miedzi. Drżały mi ręce; nie odważyłem się naciskać mocno z obawy, by nie zgiąć miękkiego metalu. Wreszcie go wydobyłem. Miał postać podłużnego płaskiego wycinka wielkości kciuka. Zaniósłem go do drugiego budynku, zanurzyłem w atramencie i przycisnąłem dłonią do świeżego arkusza papieru. Przytrzymałem metal w tej pozycji, bojąc się zobaczyć rezultat operacji.

Zrobiłem to po dłuższej chwili.

EGO TE ABSOLVO

Zdanie było zapisane wspak, gdyż w tego rodzaju kopiach dziecko jest lustrzanym odbiciem rodzica. Mogłem je jednak bez trudu odczytać. Słowa odezwały się krzykiem w mej duszy.

ODPUSZCZAM CI.

XLV

Okolice Brukseli

Trzy policyjne radiowozy mknęły w stronę magazynu. Policjanci nie zauważyli czarnego lexusa zaparkowanego w bocznej alejce w cieniu przemysłowej instalacji gazowej. Nick poczekał, aż przejadą, a następnie ostrożnie ruszył.

– Jak oni nas znaleźli? – spytała Emily cichym przytłumionym głosem. – Dopiero kilka godzin temu dowiedzieliśmy się, że tam jedziemy.

Nick mocniej uchwycił kierownicę. Przez roztrzaskaną szybę do wnętrza wpadało lodowate powietrze. Termometr na tablicy rozdzielczej wskazywał, że temperatura na zewnątrz wynosi minus dziesięć stopni. Ustawił ogrzewanie na maksimum i skierował na siebie strumień.

– Co się stało z Atheldene'em?
– Został. Chciał zaczekać na policję.
– Świetnie – ucieszył się Nick. – Będzie mógł powiedzieć, że to nie ja zaabiłem tych ludzi.

Karetka pogotowia przemknęła ulicą w przeciwną stronę. Nick spuścił głowę, by ukryć twarz.

– Dokąd jedziemy?
– Musimy znaleźć miejsce, w którym będziemy mogli obejrzeć książkę. Potrzebujemy specjalnego sprzętu?

– Książki są wytrzymałe. Jeśli ta przetrwała rozmrażanie, będzie można jej dotykać. Oczywiście lepiej będzie to zrobić w pomieszczeniu o stałej temperaturze i wilgotności, a nie w pędzącym samochodzie z odkręconym

ogrzewaniem i arktycznym wiatrem dmuchającym przez okno.

Nick zobaczył stację benzynową. Światła były zgaszone, pompy wyglądały w ciemności jak wyciosane z kamienia. Zatrzymał samochód za kioskiem tak, by nie było go widać z drogi. Emily usiadła na fotelu pasażera.

– A więc zobaczymy.

Był zbyt zdenerwowany, by dotykać książki. Podał ją Emily, która rozłożyła tom na kolanach i otworzyła go. Patrzył na kremowy welin oświetlony żółtym blaskiem lampy w kabinie samochodu.

Rękopis zaczynał się od pierwszej strony.

– *Et si contigerit ut queratur a venatoribus, venit ad eum odor venatorum, et cum cauda sua tetigit posttergum vestigia sua...* – czytała Emily. – „A jeśli tak się zdarzy, że lew jest ścigany przez myśliwych, wyczuwa ich zapach i zaciera za sobą ślady ogonem. Wówczas myśliwi nie mogą go wytropić”.

Emily zmarszczyła czoło.

– Nie w taki sposób zaczynają się bestiariusze.

Jednak Nick prawie jej nie słuchał. W połowie strony w tekście pojawiała się niewielka ilustracja. Wilgoć rozmazała ją tak, że obraz niemal rozmywał się wśród liter, lecz wciąż był wyraźny. Siedzący na zadzie lew unosił jedną łapę i patrzył władczo przed siebie, obnażając kły.

– Ten sam co na karcie – szepnął Nick.

Emily powoli przewracała kartki, odsłaniając kolejne bestie z mitycznej menażerii zamieszkujące księgę. Nie na wszystkich stronach były ilustracje, a niektóre ucierpiały bardziej od innych z powodu wilgoci oraz innych klęsk, które spadły na nie w ciągu długich stuleci. Wielu spośród przedstawionych stworzeń Nick nigdy by sobie nie wyobraził: były tam ptaki wykluwające się z drzew, bestia z łbem byka, rogami barana i tułowiem konia, gryfy, bazyliczki oraz jednorożce. Jednak nie wszystkie pochodziły z krainy fantazji. Dwa koty, czarny i pręgowany, pędziły za myszą po podłodze kuchni, a piersiasta kucharka popijała wino przy kominku. Inna ilustracja pokazywała wołu ciągnącego pług na jesiennym polu. Jeleń stał na leśnym pagórku, a niedźwiedź grzebał w ziemi, szukając pożywienia.

Nick z trudem hamował się, by nie okazywać entuzjazmu.

Pamiętał niedźwiedzia i był prawie pewien, że jelenia także widział na jednej z kart z innej gromady.

– Co jest napisane o niedźwiedziu? – spytał.

– „Młode niedźwiadki wychodzą z łona bez postaci jako białe grudki mięsa pozbawione oczu. Matki nadają im kształt za pomocą języków” – czytała Emily, bez wysiłku tłumacząc łaciński tekst. – „Niczego nie ląkną bardziej niż miodu. Jeśli atakują byki, wiedzą, że najlepiej uderzać w nos albo w rogi. Zwykle wybierają nos, gdyż ból jest największy w najczulszym miejscu”.

Nick wyprostował się na fotelu. Silnik był wyłączony, toteż w kabinie znów zapanował przenikliwy chłód.

– Zdaje się, że bliższy sedna był opis lwa zacierającego ślady ogonem, by myśliwi nie zdołali go wytropić. Cała Gillian. Mamy książkę, mamy jej kartę i nadal nie mamy pojęcia, co w nich znalazła. A jakieś łotry usiłują nas wykończyć.

Emily zamilkła. Nick zerknął na nią z ukosa.

– O czym myślisz?

– Jest ktoś, kto mógłby nam pomóc. Ktoś, kto przeanalizowałby tę książkę i powiedział, co Gillian mogła w niej znaleźć. Oraz dokąd ją ona zaprowadziła.

– Kto to taki?

Emily zabębniła palcami w kławkę.

– Brat Jerome. Jest jezuitą... a raczej był. To znawca średniowiecznych ksiąg. Uczył mnie na Sorbonie. Teraz jest na emeryturze.

– Mieszka gdzieś w pobliżu? Można mu ufać?

– Niedaleko granicy z Niemcami. Mniej więcej godzinę jazdy stąd. Jeśli chodzi o zaufanie... Myślę, że ty możesz mu ufać.

Nick odwrócił głowę i spojrzał na Emily.

– Jeśli coś jest nie tak, powiedz mi. Skoro ten gość nie jest czysty, nie chcę mieć z nim do czynienia.

– Ty możesz mu zaufać – powtórzyła Emily głosem bliskim płaczu. – To trochę niezręczne... Byłam jego studentką. Zaczął się do mnie przystawiać, a ja się na niego poskarżyłam. Stracił posadę.

Nick z zakłopotaniem skierował wzrok przed siebie.

– Jeśli uważasz...

– To jedyny człowiek, który może nam pomóc.

Zanim odjechali, Nick znalazł lewarek pod tylnym siedzeniem i wybił z okna resztki potłuczonego szkła. Z daleka auto wyglądało nieco przyzwoiciej. Uruchoił silnik i opuścili stację benzynową. W oddali widział ciężarówki pędzące po moście. Niebieskie znaki wskazywały prawą i lewą stronę. Nick zwolnił.

– Którędy teraz?

Włochy

Cesare Gemato siedział za biurkiem i wyglądał przez okno swojego gabinetu na siódmym piętrze. Na kulo odpornej szybie perliły się krople deszczu; statki przecinające Zatokę Neapolitańską wyglądały jak rozmazane szare plamki na tle równie szarego morza.

– *Nessun dorma! Nessun dorma!*

W telefonie zadźwięczał głos Luciano Pavarottiego. Gemato zobaczył numer na wyświetlaczu i chwycił aparat. Słuchał przez minutę w milczeniu. Knykcie jego palców pobiełały.

– Okay – rzekł i rozłączył się.

Przez pięć minut odwlekał to, co musiał zrobić. Istniało niewielu ludzi, do których bał się dzwonić, lecz Nevado był jednym z nich. Może jedynym.

Podniósł słuchawkę spoczywającego na biurku czarnego telefonu podłączonego do bezpiecznej linii i z pamięci wybrał numer.

Głos odezwał się od razu.

– Co się stało?

– Moi ludzie pojechali za nimi do magazynu, tak jak im kazałeś... – Cesare przełknął ślinę. – Zaskoczyło ich jakieś urządzenie alarmowe. Dwóch zginęło, jeden się wymknął. Mężczyzna i kobieta uciekli.

Spodziewał się potoku złorzeczeń. Zamiast niego usłyszał zadane chrapliwym głosem pytanie:

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Oni ukradli samochód należący do moich ludzi. Tak jak wszystkie nasze pojazdy ten także jest wyposażony w system namierzania. Ustaliliśmy, że znajduje się na przedmieściu Liège, blisko niemieckiej granicy.

– Czy Amerykanin zabrał książkę?

– Policja przybyła za wcześnie. Nie zdążyliśmy tego sprawdzić.

Gemato zamilkł.

– Sam tam pojedę – oznajmił głos. – Niech twój człowiek czeka na mnie.

□ □ □

Sto sześćdziesiąt kilometrów dalej na północny zachód starzec odłożył słuchawkę i zapatrzył się w ścianę gabinetu. W budynku znajdowały się komnaty ozdobione przez Rafaela i Michała Anioła, a inne mieściły dzieła sztuki gromadzone przez niemal dwa tysiące lat. Nevada mógł upiększyć ścianę swojego gabinetu każdym z nich. On tymczasem wybrał dla siebie małą wolną izdebkę wychodzącą na brzydkie dziedziniec, której jedyną ozdobę stanowił krucyfik z kości słoniowej. Spoglądał na niego przez chwilę.

Mógł zajrzeć do archiwów, ksiąg i teczek, jako że nie powierzał swoich tajemnic komputerom, lecz było to zbytęczne. Gdzieś w olbrzymiej kartotece Watykanu znajdowała się karta z nazwiskiem Emily Sutherland. Oglądał ją nie dalej jak wczoraj. Widniał na niej odnośnik do innej, znacznie grubszej teczki spoczywającej w innym podziemiu. Ją także przeczytał. Wiedział, do kogo w Liège wybiera się Emily Sutherland.

Zadzwoił do sekretarki.

– Muszę się udać prywatnie do Liège. Natychmiast.

Okolice Liège, Belgia

Nick nigdy nie myślał o tym, że mnisi odchodzą na emeryturę. Gdyby się nad tym zastanawiał, założyłby, że pełnią swoje obowiązki do śmierci, tak jak papież. Z pewnością nie odgadłby, jak jest w rzeczywistości. Brat Jerome zamienił Towarzystwo Jezusowe na ponure przedmieście, brukowany ślepy zaułek wśród ceglanych domków na skraju małego miasta. To było jak koniec świata.

Zaparkował samochód przy żywopłocie, by zbita szyba nie rzuciła się w oczy. Niskie chmury opóźniały brzask; ziemia pograżyła się w cieniach, w tysiącu odmian szarości. Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta w obszytym futerkiem zakiecie wyprowadzała na spacer teriera. Przechodząc, zmierzyła obcych Podejrzliwym spojrzeniem. Poza tym uliczka była pusta.

Emily podeszła do białych drzwi frontowych i nacisnęła dzwonek. Nick potarł dłonie. W tej chwili jedynie zimne powietrze powstrzymywało go przed zaśnieżeniem.

Dziewczyna zadzwoniła ponownie. Sekundę później za chropowatą szybą w drzwiach coś się poruszyło. Jakiś głos poprosił o cierpliwość. Zabrzęczały klucze, stuknął bolec zamka. Drzwi rozchyliły się na długość łańcucha i ze szpary wyjrzała chuda twarz.

Oczy mężczyzny się rozszerzyły.

– Emily. Czy ja miałem cię oczekiwać? – Gospodarz zauważył Nicka. – Jesteś z przyjacielem. Kto to taki?

Gdyby Andy Warhol przyjął święcenia zakonne i na starość osiadł w Belgii, być może tak właśnie by wyglądał. Brat Jerome był kościstym mężczyzną z czupryną białych włosów, które prawie spadały mu na oczy. Miał na sobie luźno związany szlafrok z chińskim wzorem; kiedy się poruszał, widać było jego nogi aż do ud. Nicka naszło niemiłe podejrzenie, że pod spodem nic nie ma.

Odpiąwszy łańcuch, gospodarz ucałował Emily w oba policzki. Ta zeszywniała, lecz się nie odsunęła. Nicka przywitał skinieniem głowy i poprowadził gości do pokoju.

Panował tam nieopisany bałagan. Książki i papiery sypały się z regałów, które zostały przytwierdzone do każdego centymetra ściany. Pleśń zebrała się w opróżnionych do połowy kubkach otaczających sfatygowany fotel na środku pokoju. Na jego oparciach wznosiły się chwiejne wieże z książek.

Jerome skierował się do kuchni.

– Chcecie kawy?

Żaden z gości nie wyraził chęci. Nick widział przez drzwi kuchni, że zakonnik gotuje wodę w czajniku.

– Emily, dawno się nie widzieliśmy, prawda? Jak się miewasz?

– Dobrze.

– Myślałem, że może nigdy cię już nie zobaczę.

– Mamy pewną książkę. Chcemy, żebyś rzucił na nią okiem.

Jerome wyszedł z kuchni z parującym kubkiem wyglądającym tak, jakby od tygodni nie był myty.

– Chcecie mi ją dać?

– Chcemy, żebyś nam pomógł.

Te słowa podziały na Jerome'a w nadzwyczajny sposób. Jego głowa uniosła się raptownie, oczy spojrzały gniewnie, a sylwetka zeszywniała.

– Wiesz, dlaczego tu jestem? – spytał, wyciągając rękę i wskazując zagrany pokój. Gorąca kawa rozlała się na jego palce i spłynęła na dywan, lecz Jerome tego nie zauważył. – Znasz powód tego zesłania? No, powiedz.

Emily schyliła głowę. Po jej policzku spłynęła łza. Nick zbliżył się do niej opiekuńczo, lecz ani ona, ani Jerome tego nie zauważyli. Nie odgrywał żadnej roli w ich wspólnej opowieści.

– Przykro mi – wyszeptała. – Gdybym mogła cofnąć...

– Postąpiłabyś tak samo. Ja także.

Gniew zakonnika przygasł równie nagle, jak zapłonął. Jerome podszedł i otoczył Emily ramionami. Nick nie widział jej twarzy, lecz sylwetka dziewczyny była sztywna jak trup.

Jerome pogłaskał ją po włosach.

– Nie zwódźmy się już wspomnieniami minionych dobrych chwil. Marnujemy sobie życie i zatruwamy słodycz samotności.

Emily łagodnie odsunęła się i wygładziła włosy.

– Przepraszam, że cię niepokoję. Ale potrzebujemy twojej pomocy. Poza tym... pomyślałam, że ci się to spodoba.

– Chcę zobaczyć.

Na znak Emily Nick wyjął z plecaka rozmrożony bestiariusz. Jerome oblizał wargi i wyciągnął rękę.

– Proszę.

Nick podał mu książkę. Jerome omal mu jej nie wyrwał. Ujął ją w dłonie niczym ksiądz czytający Ewangelię i przyjrzał się.

– Siedemnastowieczna okładka. – Obrócił ją w dłoniach. – Cielęca skóra. Ślepe wytłaczanie, przypuszczalnie niemiecka robota.

– Zdawało mi się, że książka pochodzi z piętnastego wieku – wtrącił Nick. Brat Jerome przeszył go karcącym spojrzeniem.

– Okładka została zmieniona. One zużywają się prędzej niż kartki. Tak jak ciała zawodzą wcześniej niż dusze.

Przeniósł książkę na biurko w sąsiednim pokoju i usiadł. Wyjął z szuflady poduszeczkę z pianki oraz parę cienkich rękawiczek. Wciągnął je na kościste palce niczym patolog szykujący się do autopsji i rozłożył książkę na blacie.

Wsunąwszy palec pod okładkę, delikatnie pociągnął, odrywając ją od kartki. Okładka spoczęła na poduszeczce.

Ze strony spojrział namalowany lew. Nick popatrzył na zakonnika, chcąc odgadnąć, czy ten rozpoznaje ilustrację. Starzec zerknął nań spod oka. Żaden nie zdradził, o co podejrzewa drugiego.

Jerome dotknął zmarszczonej kartki.

- Książka nie była dobrze przechowywana.
- Leżała w bibliotece, którą zalala woda.
- To rzecz oczywista. Mamy tu rysztok.

Nick patrzył, nie wiedząc, o czym mowa.

– Co to jest rysztok?
– Kości brakującej kartki. – Jerome rozsunął szerzej okładkę i pierwszą stronę. Nick zauważył krawędź wąskiego pasemka pergaminu ledwie sterczącą ponad grzbiet.

– Stronica została wycięta.

– Czy to normalne?

– Niestety, tak. Trudno jest ukraść książkę, ale łatwo zabrać z niej stronę.

Jedna kartka może przynieść tysiące dolarów. Wszystkie stare rękopisy są więcej warte w kawałkach niż w całości.

– Tak dzieje się od wieków – dodała Emily.

– Ta kartka nie zniknęła tak dawno. – Jerome wskazał kilka ciemnych smug na pierwszej stronie. – Widać tu ślady po przesiąkniętej kartce. Została wyjęta po zalaniu książki przez wodę.

Emily i Nick spojrzeli na siebie, jakby jedno zachęcało drugie do powiedzenia tego, co oczywiste. Jerome przyglądał się im z szelmowskim uśmieszkiem.

– Gillian była profesjonalistką i kochała książki – oznajmił po dłuższej chwili Nick. – Nigdy by jej w ten sposób nie okaleczyła. Na litość boską, ona pracowała w muzeum.

Emily unikała jego wzroku.

– Miło byłoby wiedzieć, co znajdowało się na pierwszej stronie – odparła.

– Może dowiemy się czegoś więcej.

Jerome pogrzebał w szufladzie i wydobyl z niej cienką metalową tubkę wyglądającą jak długopis. Przekręcił końcówkę i błysnął z niej snop jasnego purpurowego światła.

– Ultrafiolet – wyjaśnił, kierując światło na wewnętrzną stronę okładki.

Nick ze zdumieniem patrzył, jak na sztywnej kartce ukazują się ciemne litery niczym ukryte runy. W odróżnieniu od tekstu bestiariusza były zapisane wąskimi włóknistymi literami.

– Jak one się tam znalazły? – spytał szeptem Nick.

– Napisał je właściciel książki. Gdy książka przechodziła z rąk do rąk, została podarowana, kupiona lub skradziona, nowy właściciel wymazywał znak poprzednika. Ale ślady pozostały.

– Co tam jest napisane? Jerome wziął szkło powiększające.

– *Cest livre est a moy, Armand Comte de Lorraine.*

– I co to znaczy?

– Książka należała kiedyś do hrabiego Lotaryngii. Hrabia posiadał jeden z największych księgozbiorów w początkach nowożytności.

Nick nie wiedział, co Jerome określa mianem nowożytności, lecz domyślał się, że pojęcie to nie ma nic wspólnego z tym, co on uważa za współczesność.

– Co się z nim stało?

Jerome wzruszył ramionami.

– Zaginął. Dziedzice hrabiego wyprzedali kolekcję sztuki po sztuce lub pozwolili ją rozgrabić ludziom pozbawionym skrupułów. Wydaje mi się, że resztki trafiły w dziewiętnastym wieku do archiwum miejskiego w Strasburgu.

Okryte rękawiczką palce Jerome'a przewracały kartki bestiariusza jedna po drugiej aż do końca. Na ostatniej stronie nie było ilustracji, tylko parę wierszy tekstu oraz prostokątna brązowa plama na pergaminie wielkości pocztówki. Nick przełknął ślinę i stłumił w sobie chęć wyciągnięcia karty i przyłożenia jej do plamy. Pasowałaby idealnie.

– W tym miejscu coś było przyklejone – oznajmił Jerome, obrzucając gości podejrzliwym spojrzeniem.

Emily nachyliła się, starając się nie zbliżyć do zakonnika.

– Czy jest zdanie końcowe? Jakaś wskazówka dotycząca autora książki bądź osoby, która ją zamówiła?

– „Napisane ręką Libellusa i zilustrowane przez Mistrza Francisca. Wykonał on także inną księgę bestii, korzystając z nowej sztuki pisania”.

– Co to znaczy?

– Libellus i Francis to pseudonimy, których używali skryba i ilustrator

– odparła Emily. – *Libellus* znaczy po łacinie „mała książka”, a imię Francis przypuszczalnie nawiązuje do świętego Franciszka, który panował nad zwierzętami.

– Jednak pierwsze i drugie zdanie napisało dwóch różnych ludzi, posługując się dwoma różnymi atramentami.

Nick przyjrzał się staremu pismu i zdziwił się przyjemnie, widząc, że on także dostrzega różnicę. Nawet rozróżniał niektóre słowa: *Libellus... Franciscus... illuminatus*. Pierwsza linijka została zapisana tym samym czarnym atramentem, którym zanotowano cały tekst; druga wyglądała tak, jakby dopisano ją później brązowym inkaustem. Pismo było niewyraźne. Czy ta sama ręka wkleiła kartę do książki?

Jerome ujął w dłoń ultrafioletową latarkę i oświetlił tylną okładkę. Nick przypatrywał się uważnie, lecz nic nie zauważył. Jednak coś przykuło wzrok Emily.

– Co to jest?

– Nic. – Jerome odłożył latarkę i spojrzał wyzywająco na Emily. – Myślałem, że to drugi ekslibris, ale się pomyliłem.

– Na kartce. – Emily nie dawała za wygraną. Zanim Jerome zdołał zareagować, chwyciła latarkę i ustawiła ją niemal równoległe do papieru. Światło prawie nie dotykało powierzchni.

– Suchy druk.

Nick zmrużył oczy i tak jak przedtem zobaczył litery, których jeszcze przed chwilą nie było. Te jednak nie były zapisane wyblakłym atramentem, który ultrafioletowe światło wydobyło z ciemnego tła. Zdawało się, że umieszczono je wewnątrz pergaminu.

– Co tam jest napisane?

XLVI

Strasburg

– Napisane ręką Libellusa i zilustrowane przez Mistrza Francisca.

Siedziałem na posadzce oparty plecami o drewniany słup i po raz setny czytałem inskrypcję. Trzymałem książkę jak puchar, jak talizman. Mógłbym ją sprzedać i spłacić połowę swoich długów naraz, lecz nigdy bym tego nie zrobił.

Kaspar, który majstrował przy prasie, zerknął na mnie. Lubił patrzeć, jak czytam jego księgę. Opuściłem ją.

– Co to takiego?

Miał wzrok bystry jak zawsze. Odwróciłem książkę i uniosłem ją tak, by mógł zobaczyć moje dzieło. Puste miejsce pod zdaniem końcowym zajmowała teraz karta, którą tam wkleiłem: osiem bestii. Mapa, która przywiodła mnie do Kaspara.

Uśmiechnął się.

– Jesteś kolekcjonerem.

– Wyznawcą.

– Słusznie trzymasz tę kartę. Więcej ich nie będzie.

Popatrzyłem na niego.

– Stopiłem matrycę i sprzedałem ją.

Byłem wstrząśnięty, że tak piękna rzecz została na zawsze utracona.

– Wszystkie? Całą talię?

– Mniej więcej połowę. – Kaspar roześmiał się na widok wyrazu mojej twarzy. Wcale mnie to nie bawiło. – Sam widziałeś, co się stało z twoją

matrycą. Wypaczyła się po kilkudziesięciu odbitkach. To samo spotkałoby karty. Nic nie jest trwałe.

– Nie powinieneś był tego robić – utrzymywałem.

Klepnął mnie w ramię.

– Parę zachowało się w warsztacie Dunne'a. Skoro już o nim mówimy, muszę tam iść. Ma dla mnie robotę.

Zawinąłem bestiariusz w szmatkę i odprowadziłem Kaspara. Moja radość z książki się rozplynęła. Nic nie jest trwałe. Nic poza klęską, pomyślałem. I moimi zaręczynami z Ennelin.

Powlokłem się do apteki w Strasburgu, w której wciąż tolerowano mój kredyt. Ołowiany odlew, który wykonałem z matrycy Dunne'a, ledwie przetrzymał mój eksperyment: metal był tak miękki, że rozpląszczył się, gdy tylko dotknąłem nim papieru. Doznałem jednak takiego samego wrażenia jak wówczas, gdy ujrzałem pierwszy wydruk w warsztacie Konrada Schmidta w Kolonii. Wiedziałem, że mogę go wzmocnić. Stopiwszy go z cyną i antymonem, odkryłem, że odlew jest wyraźny. Nadzieja pozwalała mi rozproszyć lęk, który ogarniał mnie na myśl o Ennelin.

Strach nie opuszczał mnie, gdy przechodziłem obok ratusza miejskiego. Omal jej nie przeoczyłem. Obradował sąd, a przed budynkiem zgromadził się tłum ludzi czekających na orzeczenia. Mignęła mi, schodząc po stopniach, a ja wziąłem to za igraszkę mojej wyobraźni. Spojrzałem jednak ponownie i stało się jasne, że to ona. Za nią podążała matka. Weszły między ludzi i zniknęły, nim zdążyłem się do nich zbliżyć.

Ujrzawszy mężczyznę należącego do klanu kupców winnych, zapytałem, dlaczego wdowa i córka znalazły się w sądzie.

– Odbyła się sprawa dotycząca majątku zmarłego męża. Miał syna z pierwszego małżeństwa, który podważył jej prawo do dziedzictwa.

– I jak się zakończyła?

– Syn wygrał. Wdowie, jęgo macosze, został pokoi i miska strawy.

Nim zdążyłem zareagować, ciężka dłoń spadła na moje ramię i odwróciła mnie. Zobaczyłem ostatnią twarz, którą chciałem widzieć. Był to lichwiarz Stoltz, z którym regularnie się widywałem.

– Byłeś dziś rano w sądzie?

Pokręciłem głową jak oniemiały.

- Dom wdowy Ellewibel jest bez wartości.
- Przed chwilą się o tym dowiedziałem.

Lichwiarz chwycił mnie za kołnierz.

- Pożyczyłem ci pięćdziesiąt guldenów pod zastaw tego spadku.
- Mogę je spłacić.

Stoltz był drobnym, chudym i przebiegłym człowieczkiem. Mimo to przez chwilę zdawało mi się, że zechce wytrząsnąć ze mnie pieniądze. Coś jednak przykuło jego uwagę. Bez wątpienia był to inny nierzetelny dłużnik. Lichwiarz puścił moją rękę.

- Wkrótce złożę ci wizytę i porozmawiamy.

Puściłem się biegiem. Kobiety zniknęły, lecz domyślałem się, dokąd poszły. Dogoniłem je przed frontowymi drzwiami domu. Na mój widok oczy Ellewibel się zwężyły. Jej twarz miała posępny wyraz. Jej córka stała ze spuszczoneym wzrokiem i nic nie mówiła.

- *Herr Gensfleisch*. Przykro mi, to nie jest dobry moment na rozmowę.
- Wiem o tym.

Kobieta zebrała się w sobie i zmierzyła mnie poważnym wzrokiem.

– Kilka dni temu przyszedł pan i wyznał, że pańskie widoki nie są tak obiecujące, jak mi pan przedstawiał. Wzbudził pan mój podziw i potraktowałam pana wielkodusznie, choć nie byłam do tego zobligowana. Mam nadzieję, że odwdzięczy mi się pan tym samym.

– Nie będzie małżeństwa. – Jakże słodko te słowa zabrzmiały w moich ustach.

- Przystał pan na umowę. Nie może pan jej złamać.

– Pani ją złamała. Obiecała mi pani majątek męża, dwieście guldenów.

– Niczego podobnego nie obiecywałam – odparła szybko wdowa niczym hazardzista czekający, by położyć na stole swoją najlepszą kartę. – Obiecywałam roszczenie do dziedzictwa. W dobrej wierze mówiłam, że jest ono warte właśnie tyle. Nie mogłam przewidzieć, że sąd weźmie stronę mojego pasierba.

– Gdyby wspomniała pani o roszczeniach pasierba, mógłbym lepiej ocenić pani szanse na przejęcie spadku. – Ogarnęło mnie coś w rodzaju radosnej

dumy człowieka świadomego swej prawości. – Może gdyby raczyła pani potraktować mnie uczciwiej, byłbym bardziej skłonny pominąć skromność posagu Ennelin – zełgałem. – A tymczasem dwukrotnie mnie pani zwiodła. Umowa jest nieważna.

Mój głos musiał zdradzać radość. Ona zaś wznieciła gniew wdowy.

– Na tym sprawa się nie zakończy, *Hen Gensfleisch*. Za złamanie umowy zawlokę pana do sądu i tym razem sędzia stanie po mojej stronie.

Odwróciłem się do Ennelin.

– Żegnam, *Fraülein*. Przykro mi, że tak to się kończy.

Ego absolvo te. Odpuszczam ci. Nie musiałem kupować sobie odpustu. Nigdy nie czułem się bardziej wolny od grzechów.

XLVII

Belgia

Nick wlepiął wzrok w litery, które ukazały się na kartce.

– Co to jest?

– Suche tłoczenie – wyjaśniła Emily. – Powstaje przez wyciśnięcie słów w pergaminie za pomocą tępej stalówki, czegoś w rodzaju pióra bez atramentu. Widać go tylko wówczas, gdy spojrzy się we właściwe miejsce przy odpowiednim oświetleniu. Prosta, ale bardzo skuteczna technika. Czytałeś kiedyś kryminał, w którym detektyw szuka na kartce odcisku tego, co było napisane na sąsiednim arkuszu?

– Owszem.

– Tutaj odcisk wykonano rozmyślnie. Średniowieczni skrybowie często korzystali z suchego tłoczenia, by podkreślać linie. Niektórzy zmodyfikowali tę technikę i używali jej do pisania tajnych wiadomości.

– A więc co tu jest napisane?

Emily wolno czytała słowa, kierując na nie światło. Jerome obserwował ją. Jego wzrok wyrażał stan pośredni między gniewem i niechętnym szacunkiem.

– *Occultum in sermonibus regum Israel.* – Uniosła głowę. – „Która jest ukryta w Dziejach Królów Izraela”.

– Co to oznacza?

– To kontynuacja poprzedniego wiersza. On, Mistrz Francis, ilustrator, wykonał także inną księgę bestii, korzystając z nowej formy pisania, która jest ukryta w Dziejach Królów Izraela.

Nicka rozboleła głowa.

– Świetnie. Dziwię się, że chciało im się ukrywać tę informację. Przecież to zupełnie bez sensu. Nie ma mowy, by Gillian ją odkryła.

– A ja myślę, że owszem. – Zmęczona Emily mówiła tak cicho, że Nick z trudem ją słyszał. Powtórzyła. – Wydaje mi się, że ją odkryła. Dzieje Królów Izraela to zaginiona część Biblii.

Emily obserwowała reakcje mężczyzn. Nick był skołowany, brat Jerome zaś z trudem ukrywał złość.

– Mam rację, prawda?

Jerome bawił się rąbkiem szlafroka i milczał.

– Widziałam to w książce w Bibliothèque Nationale. *Zaginione księgi Biblii*. – Wskazała bestiariusz rozłożony na biurku. – Gillian wypożyczyła ją dzień po znalezieniu tego tomu. Jestem raczej pewna, że zauważyła inskrypcję. Ale do czego nas to prowadzi...

– Co masz na myśli, mówiąc o zaginionej księdze Biblii? – spytał Nick. – Chodzi o zaginiony egzemplarz czy o zaginiony fragment tekstu, coś w rodzaju Ewangelii Marii Magdaleny?

– Nie wiem. – Emily osunęła się na ścianę. – Nie przeczytałam tego dokładnie. Przypuszczam, że jest to coś podobnego do Apokalipsy lub Księgi Hioba. Ale czy to przybliży nas do odnalezienia Gillian...

– Gillian musiała czegoś szukać, opuszczając Paryż – oznajmił Nick. – To nie była ta karta ani ta książka, bo jedno i drugie już miała. W grę musiało wchodzić coś innego.

Emily spojrzała na otwartą książkę i skupiła wzrok na ilustracjach.

– Ta księga jest bezcenna. Bestiariusz, który niemal z całkowitą pewnością możemy przypisać Mistrzowi Kart do Gry, praktycznie przez niego podpisany. Samo odkrycie go pozwoliłoby Gillian zdobyć sławę naukową na całe życie. Dlaczego miałyby rezygnować z takiej szansy i uganiać się za czymś innym?

□ □ □

Owinęli książkę w gazetę, przeprosili gospodarza i wyszli. Mimo okazanej wrogości Jerome niechętnie ich odprowadzał. Ubrany w szlafrok poszedł z gośćmi do samochodu, stanął na chodniku i patrzył za nimi tak długo, aż

zniknęli. Nick żałował, że tak swobodnie rozmawiał z Emiliy w obecności zakonnik. Dopiero gdy znacznie się oddalili, zadał pytanie, które cisnęło mu się na usta.

– Dokąd teraz?

– Do Strasburga – odparła pewnie Emiliy.

Wciąż znajdowali się na przedmieściach wypełnionych szarymi kwadratowymi domkami stojącymi na prostokątnych działkach. Ogrzewanie przegrywało batalię z mroźnym powietrzem wpadającym przez wybitą szybę, lecz nawet zimno z trudem powstrzymywało Nicka przed zaśnięciem. Był odrętwiały, jego powieki zrobiły się ciężkie i sztywne jak beton.

– Dlatego że stamtąd pochodzi bestiariusz?

– Niewątpliwie właśnie tam wybrała się Gillian.

– Tego nie możesz wiedzieć. Prawdopodobnie wyprzedza nas o kilka długości. Jeśli wykombinowała, co kryje się za Dziejami Królów Izraela, mogła pojechać wszędzie.

– To prawda, ale jedynym znanym nam miejscem, do którego mogła się udać, jest Strasburg. Jednak zanim tam wyruszymy, proponuję znaleźć inny środek transportu. Jazda samochodem ukradzionym bandzie morderców to gwarancja bardzo krótkiej podróży.

– Nie możemy tak po prostu wejść do wypożyczalni samochodów – odparł ponuro Nick. – Policja już wie o mnie wszystko, a teraz mają jeszcze krwawy trop w magazynie w Brukseli. Atheldene pewnie dostarczył im kolejnych informacji. Wkrótce będziemy najbardziej trefnym towarem w całej Europie...

– Uważaj, na litość boską!

Emiliy złapała Nicka za rękę. Jego oczy otworzyły się raptownie. Nawet nie poczuł, kiedy się zamknęły. Adrenalina uderzyła mu do głowy, gdy zobaczył, że zniosło go prawie na środek ulicy, którą nadjeżdżał volkswagen. Skręcił kierownicę i chciał nacisnąć hamulec, ale jego noga trafiła na pedał gazu. Ogromny wóz szarpnął do przodu i w prawą stronę, o centymetry mijając raptownie skręcającego volkswagena. Nick odbił kierownicę w drugą stronę. Samochód błyskawicznie wrócił na prosty tor jazdy, lecz jednocześnie opony utraciły przyczepność na zamarzniętej szosie. Emiliy krzyknęła. Nick obrócił kierownicę i wcisnął hamulec. Auto zadrzało, gdy włączył się ABS, lecz się nie zatrzymało.

Wszystko to trwało ułamki sekund. Samochód okręcił się na jezdni o sto osiemdziesiąt stopni i rąbnął w krawężnik. Oboje siedzieli w milczeniu, oszołomieni. Z ogrodu spoglądała na nich ze zdumieniem dziewczynka w wełnianej czapce.

– Chyba przesiądziemy się do pociągu – powiedziała Emily.

XLVIII

Strasburg

Andreas Dritzehn pragnął zaskarbić sobie moją sympatię. Stół ugiął się pod dziczyzną, kapłonami, galaretkami i słodyczami. Pochwalił moje używane palto i śmiał się nawet wówczas, gdy ledwie podejrzewał, że zażartowałem. Raz po raz osobiście dolewał mi wina, mimo że nie brakowało służących. Ja zaś nie odmawiałem. Chciał podarować mi dużą sumę pieniędzy.

Kazałem mu czekać i co chwilę napelniałem talerz i kielich. Dyskutowałem obszernie o pogodzie, zbiorach, postępach w budowie katedry oraz o Paryżu. Byłem przeuroczym gościem. Kaspar, który siedział po przeciwnej stronie stołu, mówił niewiele. Jego humor palił się jak świeczka; można go było momentalnie ugasić. Gdy choć na chwilę przestawałem otaczać go uwagą, dąsał się i zamykał w sobie.

Wreszcie talerze zostały opróżnione, służba odprawiona, a kobiety rozeszły się do swoich izb. Dritzehn dorzucił polano do ognia i nachylił się ku mnie.

– Opowiedz mi o swoich zwierciadłach.

□ □ □

Podobnie jak wiele pomysłów tak i ten wziął się z konieczności. W tym wypadku przybrała ona postać dwóch mężczyzn, którzy pewnego popołudnia zaszli do mojego domu w St Argobast. Pracując w kuźni, nie zauważyłem ich nadejścia. Oni zaś obwieścili się, uderzając mnie pałką w ramię. Nie był to przyjacielski gest, lecz mocny cios, od którego zdrętwiała mi ręka. Upuściłem

chochłę i wrzasnąłem z bólu. Wrzący metal rozlał się do ognia, puszczając zjadliwą parę, która zapiekła mnie w oczy. Omal nie wylałem sobie na nogi całej zawartości tygła. Krztusząc się i jęcząc, odwróciłem się, by spojrzeć przybyszom w twarze.

Jednym z nich był ten, który mnie uderzył. Jeśli twarz człowieka odzwierciedla jego charakter, to w jego przypadku tak właśnie było. Nie miał prawego oka, dolnej części lewego ucha oraz lewej ręki. Jednak sądząc po uderzeniu, w prawym zostało siły za obydwa. Jego nos został złamany tyle razy, że wyglądał jak worek kamieni. Ułożone w szyderczy uśmiech wargi zdawały się na wieki pokiereszowane.

Drugi mężczyzna wyłonił się z długiego cienia towarzysza. Był nim lichwiarz Stoltz.

– Mielіśmy się wczoraj spotkać, żeby porozmawiać o twoich długach. Nie pojawiłeś się.

– Zapomniałem.

Jednoręki wykonał następny ruch. Moje oczy wciąż były zażawione od bólu i oparów, więc nie zauważyłem go dobrze. Poczułem tylko eksplozję bólu w kolanie. Osunąłem się na posadzkę.

Stoltz stanął nade mną.

– Zdziwiłbyś się, jak często w swojej robocie mam do czynienia z zapominałskimi. To jest tak, jakby pożyczenie człowiekowi złota momentalnie stępiło mu pomysłuńek. Na szczęście ja nie mam problemów z pamięcią.

Z mieszka przy pasku wyciągnął mały notes. Zadrzałem, przypomniawszy sobie urzędnika w Moguncji z ogromną wszechwiedzającą księgą, przed którą moja kradzież nie mogła się ukryć.

– Trzy miesiące temu pożyczyłem ci pięćdziesiąt guldenów.

Następny cios, tym razem w ramię, wzmocnił wymowę tego zdania. Przetoczyłem się na bok. Stoltz stanął nade mną.

– Dla niektórych pieniądze to osobliwa abstrakcja. Przepływają od człowieka do człowieka i z kraju do kraju i nie znają granic. W ciągu jednego dnia mogą przejść z rąk króla do rąk żebraka i z powrotem. Ale prawda o pieniądzech jest bardzo prosta. Są narzędziem takim samym jak miechy czy pług. W owym narzędziu mieści się wewnętrzna użyteczność. Nazywamy ją wartością.

Kopniak w zebra. Zasłoniłem twarz dłońmi. Nic nie pozbawia człowieka kredytu tak łatwo jak posiniaczone oblicze.

– Jeśli pożyczam ci pług, jego wartość polega na tym, że dzięki niemu uprawa ziemi może się stać bardziej owocna. I za to mi płacisz. Jeśli pożyczam ci pięćdziesiąt guldenów, płacisz mi za korzystanie z nich. Za korzystanie z tych pieniędzy miałeś mi płacić pięć szylingów miesięcznie.

Dwa smagnięcia pałąk boleśnie zgięły mi grzbiet.

– Już w zeszłym miesiącu nie wywiązałeś się z należności. A teraz dowiaduję się, że rękojmia, której udzieliłeś mi na pożyczkę, czyli posag Ennelin, okazała się bezwartościowa. Zerwałeś z nią zaręczyny.

– Jej matka mnie oszukała – jęknąłem błagalnie.

– Tym większy z ciebie głupiec. Nie zamierzam pozostać z rachunkiem w ręku. Zrywając zaręczyny, wyrzekłeś się zabezpieczenia. Warunki naszej umowy są takie, że mogę teraz żądać natychmiastowej spłaty całego kredytu.

– Nie mogę zapłacić. – Pieniądze ledwie prześliznęły się przez moje ręce, trafiając do Dunne'a i rozmaitych dostawców. Większość poszła jednak na spłatę zaległych pożyczek.

– W takim razie cię zrujnuję. – Stoltz skinął na swojego siepacza, a ten zamachnął się i rąbnął mnie pałąk w podeszwę stopy. Wrzasnąłem z bólu. – Kiedy Karl z tobą skończy, napuszczę na ciebie sądy.

– Proszę, na Boga...

Nieporadnie usiłowałem oddalić się od łotra. Pozwolił mi się nieco odczołgać, tak jak treser popuszczający smycz niedźwiedziowi. Nie mogłem odejść daleko.

Desperacja rozwiązała mi język.

– Zainwestowałem w wielkie dzieło. Takie, które z bożą pomocą uczyni mnie bogatym. Jeśli mnie teraz zrujnujesz, nic nie zyskasz. Pensy za guldeny. Jeśli poczekaasz, spłacę ci wszystko.

Stoltz milczał, lecz Karl stał nieruchomo. Odczytałem to jako zachętę.

– Obmyślam nową sztukę, dzięki której się wzbogacę.

– Co to za sztuka?

– Mówiłeś o pługach i polach. Wyobraź sobie, że jest to pług, który sprawi, że pola będą dawały dziesięć razy większy plon.

– Wyjaśnij to. – Stoltz nie miał czasu na zagadki. Karl zbliżył się do mnie i przesunął czubkiem pałki po moich żebrach.

Jednak ja nie mogłem tego powiedzieć. Nawet w takiej opresji. Leżałem zakrwawiony i posiniaczony, a oprawcy zapowiedzieli, że czeka mnie coś jeszcze gorszego. A mimo to nie mogłem. To była moja tajemnica, jakkolwiek daleka od spełnienia. Gdyby każdy ją poznał, straciłaby wszelką wartość. Musiałem zachować ją dla siebie.

Patrzyłem na chudą bezbarwną twarz wiszącą nade mną. Moją uwagę zwrócił błysk światła za głową lichwiarza. Zwierciadło pielgrzyma, które Aeneas podarował mi nad Renem. Wpatrywałem się w nie, modląc się o wybawienie.

Stoltz zrzucił ze stołu szklany słoć, rozbijając go o posadzkę. Drgnąłem.

– Ty mnie nie słuchasz.

Wbił we mnie wzrok, a Karl klepnął się pałką w nogę i oblizał spuchnięte wargi. Właśnie wtedy zaświtała mi ta myśl.

– Zwierciadła – wycharczałem.

– Co takiego?

Uniosłem rękę. Stoltz cofnął się, podejrzewając jakiś wybieg. Spojrzał na wiszące na ścianie lustro, które rzucało na jego twarz krąg odbitego światła.

– Ono cię nie uratuje.

– Nie w taki sposób, o jakim myślisz. Ale może... – Wstałem. Karl uniosł pałkę, aby mnie znów powalić, lecz Stoltz powstrzymał go gestem. Zdjąłem lustro z gwoździa i popatrzyłem. Moje myśli dwoiły się i troiły. – Zwierciadło zostało odlane ze stopu ołowiu i cyny. Pracowałem z tym stopem. Kurczy się przy ochładzaniu i ścisła wokół krawędzi formy. – Powiodłem palcem po zachodzących na siebie kręgach. – Kształt jest misterny i aby lustro wyciągnąć, trzeba strzaskać foremkę. Do każdego zwierciadła należy wyrzeźbić nową. Jest to powolne i kosztowne.

Nie miałem pewności, czy mówię prawdę, lecz postępowałem niczym dobry lekarz, który potrafi zdiagnozować chorobę po wyglądzie twarzy pacjenta. Ja czytałem w kształtach i przepływach metalu.

Wskazałem postaci wyrzeźbione na medalionach wewnątrz pierścieni.

– Spójrz, jakie płaskie i bez wyrazu są te twarze. Odlewając je tą metodą, nie można uzyskać dobrej jakości detalu. Ja potrafię je wytwarzać lepiej i taniej.

- W jaki sposób?
- Za pomocą nowego stopu. Takiego, który nie będzie się kurczył przy schładzaniu. Mogę wykorzystywać formy wielokrotnie i wytarzać wierniejsze kopie niż ta.

Wcisnąłem Stoltzowi lustro do ręki. Przesunął paznokciem po topornej rycinie.

- Ile ich zrobisz?
- Tysiąc. Przy cenie dwunastu szylingów za sztukę da mi to pięćset guldenów. Będę mógł spłacić twój kredyt z podwójną nawiązką.
- Pożyczanie pieniędzy na procent to grzech – ostrzegł mnie Stoltz. Karl zerknął nań, nie wiedząc, czy zasłużyłem na następny cios. Na moje szczęście okazało się, że nie. – Płacisz mi za korzystanie z pieniędzy.
- Wobec tego zapłacę ci podwójnie. Pieniądze będą podwójnie użyteczne.
- Nie wiedziałem, skąd bierze się moja ekstrawagancja ani nawet czy dotrzymam danego słowa. Wcale o to nie dbałem. W mojej głowie zajaśniała nagle obietnica nowego pomysłu. Pragnąłem jedynie rozpocząć dzieło.

□ □ □

Andreas Dritzehn położył na stole lustro, które mu dałem.

- Będziesz je sprzedawał pielgrzymom w Akwizgranie?
- Znasz tamtejsze relikwie?
- Słyszałem o nich.
- To najświętsze relikwie w cesarstwie. Błękitna suknia Maryi Dziewicy. Paski, które oplatały Jezuska w żłobku, i tkanina okrywająca jego skromność, gdy wisiał na krzyżu. Jest ponoć wśród nich także kawałek tkaniny, która oplatała głowę Jana Chrzciciela po tym, jak Herod ją ściął.
- Pełny przyodziewek – zauważył Kaspar.
- Raz na siedem lat wyjmuje się je ze skrzyń i wystawia na widok publiczny. Liczba pielgrzymów jest tak ogromna, że miasto z trudem może ich pomieścić. Księża wspinają się na rusztowania rozpięte między wieżami katedr. Każda uliczka, każdy plac, dach i okno stają się obserwatorium.

Andreas zmarszczył brwi.

– Pewnie trudno jest cokolwiek dojrzeć.
– Otóż to. – Nachyliłem się do niego podekscytowany. – Pielgrzymi noszą ze sobą zwierciadła takie jak to, by uchwycić niebiański blask promieniający od relikwii.

– Czy on jest widoczny?

– Tylko dla Boga – odrzekł z namaszczeniem Kaspar.

– Jednak święte lustra potrafią go uchwycić. Pielgrzymi owijają je w szmatki i zabierają do domu. Później, gdy są w potrzebie, mogą je odsłonić, by święte światło uleczyło ich dolegliwości.

– Ile zamierzasz ich wykonać?

Ta myśl zakiełkowała w mojej głowie od pierwszej chwili, gdy wymieniałem Stoltzowi liczbę. Przeprowadziłem rachunki, oceniłem fakty i ustaliłem bardziej realistyczną podstawę moich szacunków.

– Trzydzieści dwa tysiące.

Dritzehn omal nie upuścił lusterka na posadzkę.

– W czasie odsłaniania relikwii w Akwizgranie przebywa ponad sto tysięcy pielgrzymów. Wszyscy potrzebują luster, gdyż w innym razie pielgrzymka jest daremna. Nasze zwierciadła będą lepszej jakości niż te od konkurencji i tańsze. Jak powiedziałem, zdarza się to tylko raz na siedem lat. Następna pielgrzymka odbędzie się mniej więcej za dwadzieścia miesięcy. Wystarczająco dużo czasu dla nas.

– Jak postąpią złotnicy z Akwizgranu? Ich cech na pewno nie pozwoli zalać rynku twoimi lusterkami, gdyż drogo by ich to kosztowało.

– Akwizgrańscy złotnicy dawno temu wyzbyli się swoich praw. Nie są w stanie wytworzyć tylu zwierciadeł, by zaspokoić popyt. Pewnego razu doszło do wielkiej bijatyki: pielgrzymi, którzy nie mogli zdobyć luster, pobili się z tymi, którzy je mieli. Kilku wyzionęło ducha. Od tego czasu przywileje gildii akwizgrańskiej są zawieszane na sześć miesięcy każdego roku, gdy relikwie są wystawiane.

Dritzehn przycisnął lusterko do piersi i wymamrotał coś niewyraźnie. Cze-kałem, aż powtórzy swoje słowa.

– Jak mogę wziąć udział w tym przedsięwzięciu?

– Oprawki i zwierciadła będą wytwarzane osobno. Potrzebujemy kogoś, kto będzie polerował szkło.

– Mogę się tym zająć. – Dritzehn zmarszczył czoło. – Ale nie jako sługa. Jeśli mam w tym uczestniczyć, to w zamian za część zysków.

– Zyski będą bardzo znaczne – odparłem, jakby to był powód do zmartwień. – Dlatego przedsięwzięcie musi pozostać w sekrecie. Jeśli wiedza o naszej sztuce się rozniesie, nie będzie korzyści.

– Umiem dochować sekretu.

Zerknąłem na Dracha, który spoglądał powątpiewająco, odgrywając swoją rolę.

– Jestem tego pewny – powiedziałem. – Ale krąg musi być mały. Nie więcej niż pół tuzina ludzi. Połowa zysku przypadnie mnie i Kasparowi jako wynalazcom sztuki. Wynika z tego, że każdy, kto zainwestuje, musi wykupić co najmniej ćwiartkę reszty.

– Ile wypada?

– Osiemdziesiąt guldenów.

Dritzehn był kupcem i umiał rachować.

– Trzydzieści dwa tysiące lusterek... Po ile będziesz je sprzedawał?

– Po pół guldena.

– Szesnaście tysięcy guldenów. Połowa dla was, zostaje osiem. Ćwierć tej sumy to po mojemu dwa tysiące.

Wyszeptał tę liczbę, jakby ujrzał żywego Boga. Wiedziałem, co czuje. Nawet wtedy ogrom projektu budził moje zdumienie.

– Czy to może być prawda?

– Znamy sztukę i mamy ambicję, sam jesteś świadkiem. Potrzeba jedynie kapitału.

– Nic nie może nam przeszkodzić – zapewnił go Drach.

– Czy to właśnie szykowaliście przez cały czas w mojej piwnicy?

– Między innymi. – Zmieniłem temat. – Ale musisz zdecydować szybko. Jest wielu innych, którzy chętnie zajęliby twoje miejsce.

Dritzehn otarł czoło i zapatrzył się w ogień. Kaspar chciał coś powiedzieć, lecz klepnąłem go pod stołem.

– Przyjmę tę część, którą proponujecie.

– Nie będzie twoja, dopóki nie dostaniemy pieniędzy – zastrzegł Kaspar.

– Pięćdziesiąt guldenów możecie dostać dzisiaj. Resztę dostarczę jutro.

– Zastanowił się przez chwilę. – Podpiszecie umowę, że pieniądze będą wykorzystywane tylko dla dobra przedsięwzięcia.

– Oczywiście. Ale ja muszę mieć nad nim całkowitą kontrolę.

Dritzehn podszedł do kufra stojącego przy ścianie. Przyniósł papier, szkatułkę z zestawem do pisania oraz ciężką sakwę, która zabręczczała, gdy złożył ją na stole. Staralem się nie pożerać jej wzrokiem.

Odkorkował butelkę atramentu i zanurzył pióro. W blasku ognia inkaust skapywał z końcówki niczym krople złota.

□ □ □

Ogień się dopalał, a służba poszła spać. Dritzehn osobiście odprowadził nas do drzwi.

– Uważajcie w drodze do domu – ostrzegł. – Nie jest bezpiecznie nosić ulicami worki ze złotem.

– Nic mu się nie stanie.

Przeszliśmy na drugą stronę drogi i znaleźliśmy się za rogiem. O tej porze ulice były prawie puste. Prawie, lecz nie całkowicie. W cieniu pod szyldem piekarni stało dwóch mężczyzn. Zastąpili nam drogę. Jeden, rostry i postawny, opierał się na grubym kosturze. Drugi był niski i chudy.

– Zgodził się? – spytał Stoltz.

Wręczyłem mu sakwę, którą dostałem od Dritzehna. Stoltz zważył ją w dłoniach i przekazał Karlowi. Jednoręki z trudem trzymał jednocześnie sakwę i kij.

– Jest wszystko – oznajmiłem.

– Jeśli nie ma, wnet się o tym dowiesz.

Mężczyźni się oddalili. Obserwowaliśmy ich, aż zniknęli w ciemnej uliczce.

– Czy robimy to dla dobra przedsięwzięcia? – zapytał Drach. Moje sumienie było czyste.

– Skoro w ten sposób uratuję swoje nogi przed połamaniem, to z całą pewnością wyjdzie to przedsięwzięciu na dobre.

Stoltz mylił się co do pieniędzy. Nie są one pługiem ani miechem, który można wypożyczyć i zwrócić. Są one wodą napędzającą młyn przedsiębiorczości. Nie ma znaczenia, skąd pochodzą i dokąd trafiają. Byleby tylko płynęły.

XLIX

Francja

Porzucili samochód na parkingu. Nick zostawił okna otwarte i kluczyki na przednim siedzeniu z nadzieją, że ktoś ukradnie auto, zanim znajdzie je policja. Później poszli na dworzec kolejowy.

Nick przespał większość podróży do Strasburga, trzymając rękę na piersi w miejscu, w którym ukrył książkę pod kurtką. Po przebudzeniu zobaczył, że się ściemniło. Za oknami wirowały płatki śniegu, a niebo zapowiadało dalsze opady. Emily siedziała naprzeciwko i przyglądała mu się.

– Która godzina?

– Prawie południe.

Nick poczuł bolesną pustkę w żołądku.

– Umieram z głodu.

Emily sięgnęła do torebki i wyjęła papierowe zawiniątko.

– Kupiłam ci rogalika.

Nick oderwał kawałek pieczywa i wsunął sobie do ust. Czuł się tak, jakby nie jadł od tygodnia.

– Jesteś darem niebios. A nie masz tam przypadkiem filiżanki kawy?

Emily postawiła na stoliku papierowy kubek oraz położyła paczuski z cukiernicą i mlekiem w proszku. Nick wrzucił do kubka po trzy opakowania jednego i drugiego i zamieszał plastikową łyżeczką, pochłaniając resztę rogalika.

– A ty spałaś?

– Trochę. Nie mogłam przestać myśleć. – Emily wyjrzała przez okno. – Gillian musiała wiedzieć coś, czego my nie wiemy.

Nick milczał i czekał.

– Znalazła bestiariusz z kartą w środku. Każde z tych odkryć bardzo wiele znaczy. Ale nikomu o nich nie powiedziała, nawet Atheldene'owi.

– On tak twierdzi – wtrącił Nick.

Emily musiała mu przyznać rację.

– Następnie zamknęła kartę w skrytce bankowej, a książkę poddała głębokiemu zamrożeniu i znikła. Przypuszczam, że po to, by szukać tego drugiego bestiariusza. Dlaczego?

Nick wziął łyk kawy i pozwolił Emily mówić dalej.

– Wiedziała coś, co czyniło tę drugą książkę ważniejszą od tej, którą już miała.

– Ale co?

Emily się skrzywiła.

– Nie wiem. Ale musiała to szybko znaleźć. Spędziła w Paryżu zaledwie jeden dzień po przeczytaniu książki.

– Ten dzień, w którym spotkała się z Vandeveldem.

Nick przypomniał sobie wymijające odpowiedzi naukowca, jego chęć pokazania, że nie ma niczego do ukrycia. Najchętniej wyciągnąłby kartę i zaczął w niej szukać tego, co mogła dostrzec Gillian. Jednak bał się to zrobić nawet w pustym przedziale pociągu.

– Cokolwiek to jest, komuś bardzo na tym zależy. Szybkość, z jaką zjawili się w magazynie książek, a wcześniej w bibliotece, jest wręcz niewyobrażalna. Ale skoro wiedzą wszystko o książce, czemu nas ścigają, aby ją znaleźć?

Emily spojrzała przez szybę. Płatki śniegu kręciły się coraz prędzej.

– Być może ci ludzie wcale nie chcą jej znaleźć. Może chcą dopilnować, by pozostała ukryta.

Okolice Liège, Belgia

Brat Jerome siedział przy biurku i tarł zaczerwienione oczy. Spotkanie z Emily przyprawiło go o ból głowy. Sięgnął po plastikowy słóiczek zawsze stojący niedaleko biurka i wrzucił do niego dwie pigułki. Gdy był młodszy,

chlubił się tym, że jego organizm jest czysty. Świątynia, twierdza Boga. Teraz świątynia leżała w gruzach: dzięki kofeinie zachowywał czujność, środki uspokajające pozwalały mu zasnąć, kodeina uśmierzała bóle głowy, a tabletki od lekarza pomagały na serce. A inne proszki, których nie dostaje się na receptę, leczyły wspomnienia.

Spojrzał na swoje notatki.

bestiariusz

nova forma scribendi

Armand Comte de Lorraine (Strasbourg??)

Nowa metoda pisania. Emily zawsze miała bystry umysł, swoistą akademicką przebiegłość pozwalającą odgadnąć, kiedy potrzebne jest głębsze spojrzenie. Istniały jednak sprawy, o których nie wiedziała. Właśnie tego się w nim dopatrzyła: niezrównanej głębi doświadczenia. To była oszałamiająca mieszanka.

Dlaczego tu przybyłaś? – zastanawiał się Jerome po raz setny.

Cieszył się, że zdołał zachować pozory opanowania – całe życie spędzone w religijnej samodyscyplinie nie pozostało bez śladu – lecz kosztowało go to bardzo wiele wysiłku. Emily wciąż budziła w nim podniecenie, gniew i tęsknotę.

Zapomnieć o niej. Jerome skupił myśli na książce. Jeszcze jeden bestiariusz sporządzony nową metodą pisma i zilustrowany przez Mistrza Kart do Gry. To było nie do wiary. Skompromitowane hipotezy i bezpodstawne spekulacje okazałyby się prawdziwe. A może również inne, głębsze tajemnice, o których roztropni ludzie rozmawiali jedynie szeptem.

Ktoś zapukał cicho do drzwi frontowych. Serce Jerome'a drgnęło. To było nieznośne z jej strony, ale jemu to nie przeszkadzało. A więc wróciła. Zerwał się z fotela i pobiegł do drzwi, ściągając paskiem szlafrok. Nie wyjrawszy przez wizjer, otworzył zamek i rozwarł drzwi.

W progu stało dwóch mężczyzn. Obaj mieli na sobie grube czarne kurtki z podniesionymi kapturami. Wtargnęli do środka, zanim Jerome zdążył zareagować. Zatoczył się do tyłu i wpadł na ścianę. Niższy intruz rozpiął bluzę i wsunął dłoń za pazuchę, drugi zaś ściągnął kaptur. Ukazała się poryta zmarszczkami

twarz i arystokratyczna biała czupryna. Wydawało się, że czarne jak węgiel oczy sięgają do samej duszy Jerome'a.

– To ty – wycedził zakonnik.

Spotkał go tylko raz w życiu, przed trzydziestoma laty. Hiszpański ksiądz z mało znaczącego oficjum Watykanu odwiedził młodego obiecującego badacza, który zaczynał wyrabiać sobie nazwisko. Jednak nawet wówczas otaczała go aura grozy. Przez pół godziny wypytywał Jerome'a o jego badania. Cały czas zachowywał się sztywno i oficjalnie, lecz z jego postawy biło śmiertelne zagrożenie. Przypominał szermierza badającego gardę przeciwnika. Na koniec rzekł: „Istnieje na świecie wiele nieodkrytych ksiąg. Niektóre z nich są niepotrzebnie utraconymi skarbami, inne znikły nie bez powodu i winny pozostać w zapomnieniu. Jeśli kiedyś na taką natrafisz, musisz mnie o tym natychmiast zawiadomić”.

Później Jerome sporadycznie widywał zdjęcia owego księdza – najpierw w kościelnych biuletynach, później w gazetach, a wreszcie zobaczył go w telewizji. Wśród członków zakonu szeptem powtarzano plotki o metodach, dzięki którym ów kapłan pnie się do władzy. I wierzono w nie.

Teraz ksiądz stał w salonie mieszkania Jerome'a obok barczystego zbira ze złamanym nochem i świeżą blizną na brodzie. Na jego palcu lśnił kardynalski pierścień. Spojrzał na tonący w nieładzie pokój i na wpół opróżnione kubki z kawą nagromadzone wokół fotela.

– Miałeś dzisiaj gości?

– Jedyne wspomnienia.

Stojący za Nevadem dryblas wysunął dłoń spod kurtki. Trzymał w niej czarny pistolet. Mrużąc oko, wymierzył w Jerome'a i odbezpieczył broń. Jerome skrzywił się, słysząc metaliczne szczęknięcie.

– Wspomnienia czasami ozywają. – Nevado zrobił krok, a Jerome wzdrygnął się i przycisnął do ściany kościste ramiona. – Ty, bracie, masz powód, by się ich bać.

Jerome popatrzył w bezlitosne oczy. Nawet nie próbował wytrzymać ich spojrzenia. Ducha złamano w nim już dawno temu. Nie umiał się oprzeć: oni i tak wszystkiego się dowiedzą.

– Ona tu była – oznajmił Nevada. – Emily Sutherland, twoja mała Heloiza. Przyniosła książkę?

– Nikt tu nie przyszedł.

Głowa Jerome'a odskoczyła od ściany po bolesnym ciosie Nevada. Z wargi przeciętej kardynalskim pierścieniem popłynęła krew.

– Łgarz. Była tutaj. Przyproceedziła swojego nowego chłopaka, żeby się pochwalić? Żeby się z tobą podrażnić? A może tak jak kiedyś zaoferowała ci swoje ciało, jeśli im pomożesz?

Szlafrok Jerome'a się rozchylił. Wydawało się, że jego nagie ciało kurczy się pod wzrokiem Nevada. Zakonnik wyobraził sobie ręce kardynała na gardle Emily i jego nieruchomy uśmiech.

Istniał tylko jeden sposób, by ją ochronić. Jerome odepchnął się od ściany i omijając Nevada, rzucił się na pistolet. Wiedział, że nie ma szans go dosięgnąć. Broń drgnęła i w pierś Jerome'a wbiły się trzy pociski. Pierwszy przeszedł prosto przez serce. Zakonnik runął na ziemię, krew trysnęła na dywan.

– *Idiot* – syknął Nevada. – Mieliliśmy od niego coś wyciągnąć.

Rozejrzał się ponownie. Ogrom książek i bałaganu. Przeszukanie domu trwałoby godzinami. Za trzy godziny kardynał miał audiencję w Rzymie. Gdyby się nie zjawił, zaczęto by szeptać. Plotki nie miały dlań znaczenia, lecz jeśli ktoś sprawdzi, gdzie kardynał przebywał, sytuacja może się stać kłopotliwa. Nie mógł narażać się na to, że ktoś go tutaj nakryje.

Jednak Nevada zawdzięczał swoją karierę temu, że dostrzegał to, czego inni nie dostrzegali. Stał nieruchomo na środku salonu i powoli go lustrował. Rozbierał go wzrokiem na części. Ugo, jego goryl, czekał.

Przez otwarte drzwi kardynał zobaczył gabinet. Na biurku walał się stos książek i papierów, które odepchnięto na bok, by zrobić miejsce. Leżały tam szkło powiększające, cieniutka latarka ultrafioletowa, piankowa poduszeczka oraz para białych rękawiczek.

Nevado błyskawicznie przemierzył odległość do biurka. Ugo podążył za nim, zaskoczony szybkością, z jaką poruszał się starzec.

Ten zaś momentalnie znalazł wszystko, czego szukał. Na poduszeczce ścieleły się okruchy skóry, a leżąca obok książka była otwarta na stronie ukazującej damę z gromady dzikusów. W notesie widniała lista, którą Jerome sporządził tuż przed śmiercią.

Nevado przebiegł wzrokiem po notatce.

Armand Comte de Lorraine (Strasburg??).

Po jego plecach przebiegł dreszcz. A więc znaleźli ją. Dzieło jego życia zbliżało się do końca.

Odwrócił się do Uga.

– Jedź do Strasburga. Spotkam się z tobą najprędzej, jak będzie to możliwe. Odszukaj Amerykanina i jego znajomą oraz książkę, którą mają. Tylko to się liczy.

Sięgnął do kieszeni i wyjął złożony arkusz papieru.

– Jeśli zdobędziesz tę książkę, powiedz mi od razu, czy pierwsza strona wygląda tak samo jak ta. Zrozumiałeś?

Ugo skinął głową. Chciał wziąć kartkę do ręki, lecz Nevado jej nie wypuścił. Spojrzał czarnymi oczyma prosto w oczy ochroniarza.

– Jeśli coś się stanie, jeśli zostaniesz aresztowany lub zdemaskowany, niezwłocznie zniszcz ten papier. Nikomu nie wolno go zobaczyć. Jeżeli mnie w tym względzie zawiedziesz, twoja żona, dzieci i cała rodzina będą cierpieć tak, że nawet sobie tego nie wyobrażasz.

Dopiero wtedy obleczone w rękawiczkę palce kardynała puściły kartkę. Ugo omal nie stracił równowagi.

– Ci ludzie nie wiedzą, co znaleźli – mruknął Nevado, bardziej do siebie niż do swojego goryla.

Strasburg, Francja

Nick jeszcze nigdy nie był w Strasburgu. Gdyby usiłował sobie wyobrazić wygląd tego miasta, ujrzałby wielkie betonowe gmachy parlamentów, sądów i komisji europejskich. Tymczasem poczuł się tak, jakby cofnął się w czasie o tysiąc lat. Centrum miasta było zbudowane na wyspie; rzeka stanowiła jego naturalną fosę. Nad wąskimi uliczkami i alejkami zwieszały się domy zbudowane w połowie z drewna. Lodowaty wiatr dął między nimi ze zdwojoną siłą, smagając twarze ludzi płatkami śniegu. Belki wielu budynków zdobiły przeziwne stwory i groteskowe twarze z szyderczo wytkniętymi jęzorami.

Ulicą przemknął tramwaj. Nick wyciągnął rękę, powstrzymując Emilię, która zamierzała postawić krok na jezdni.

– Dzięki – rzekła z potulnym uśmiechem. – Szkoda, że nie przespałam się w pociągu. Jestem wrakiem.

Nick spojrzął na towarzyszkę. Emily zaczesła włosy pod beretem i podniosła kołnierz płaszcza. Jej policzki zaróżowiły się, a oczy jaśniały.

– Wcale nieźle wyglądasz jak na wrak.

Tak jak poprzednio, komplement wzbudził w Emily odruch obronny. Uśmiechnęła się.

– Poczuję się lepiej, kiedy wezmę prysznic i zjem coś ciepłego.

– Jak tylko wyjdziemy z archiwum.

Znaleźli się przed katedrą dominującą nad sercem miasta. Nawet niepokój o Gillian nie mógł przeszkodzić Nickowi w podziwianiu budowli. Jej fasada stanowiła oszałamiający splot gotyckich cech architektonicznych: wież i wieżyczek, rozetowych okien, szpiczastych łuków oraz posągów. Górząca nad całością wieżyca z różowego piaskowca była tak wąska, że zdawało się niemożliwe, by mogła osiągnąć taką wysokość.

Emily podążyła oczyma za spojrzeniem Nicka.

– Katedra jest niemal rówieśniczką kart do gry. Jeśli Mistrz kiedyś tu zawitał, zobaczył ją taką, jaką my ją widzimy.

– Bardziej ciekawi mnie to, czy Gillian zobaczyła ją trzy tygodnie temu.

Obeszli plac, mijając rzędy sklepików z lodami i pamiątkami. Latem turyści z pewnością tłoczyli się wokół lepkich smakołyków niczym osy, lecz w zimny styczniowy dzień nie było nikogo. W połowie puste stojaki z pocztówkami sterczały melancholijnie na chodniku wystawione przez optymistycznych sprzedawców. Polietylenowe pokrowce chroniły je przed śniegiem. Folia łopotała i szeleściła na wietrze, płosząc gołębie szukające pożywienia na bruku.

Archiwum mieściło się na tyłach ponurego kamiennego gmachu. Emily i Nick przeszli przez bramę i zwirową ścieżką dotarli do głównych drzwi. Stojące obok krzaki róż dawno temu przestały kwitnąć. Pozostały jedynie kolce.

Nick obrócił ciężki żelazny pierścień na drzwiach i wszedł do środka. Widok wnętrza go zaskoczył: nie było tam dębowych parkietów i zabytkowych

mebli, lecz korytarz z podłogą wyłożoną linoleum oraz gołe żarówki. W recepcji siedziała kobieta ubrana w surowo wyglądający kostium. Na ścianie wisiał plakat w plastikowej oprawie.

– *Bonjour* – powiedział Nick i odwrócił się do Emily. – Może ty wyjaśnisz?

– Mówię po angielsku – odezwała się archiwistka, nie podnosząc głowy. Coś notowała w zeszycie. – W czym mogę pomóc?

– Interesuje nas księgozbiór hrabiego Lotaryngii – oznajmiła Emily. – Dowiedzieliśmy się, że został włączony do tego archiwum.

Na skrzywionej dotąd twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Kobieta odłożyła długopis.

– Jest pani drugą osobą w tym miesiącu, która pyta o hrabiego Lotaryngii. *Etrange*.

– Kim była pierwsza? – spytał Nick. Archiwistka posłała mu spojrzenie pozbawione wyrazu. – Wysoka szczupła kobieta z rudymi włosami?

Wyjął z kieszeni portfel i wydobyl spośród kart kredytowych wytarte zdjęcie paszportowe. Jakoś nie zdobył się dotąd na to, by je usunąć. Na wszelki wypadek, powtarzał sobie. Zauważył, że Emily spogląda nań z ukosa.

– To była ona?

Archiwistka zrobiła zdziwioną minę.

– *Oui. C'est elle*. Ale miała jasne włosy.

– Pamięta pani, kiedy się tu zjawiała? Jaka to była data?

Francuzka przyglądała mu się zwężonymi oczyma.

– Zna pan jej nazwisko?

– Gillian Lockhart.

Kobieta jęła kartkować leżącą na blacie księgę zawierającą rejestr nazwisk, dat i podpisów. Na drugiej stronie Nick zauważył znajome pismo. Szerokie G i wyraziste linie kolejnych liter. Zawsze uważał, że podpis Gillian jest bardzo męski.

W lewej kolumnie obok nazwiska widniała data: 16 grudnia. Musiała przyjechać prosto z Paryża. Serce Nicka ożywiła nadzieja. Od tygodnia nie czuł jej tak wiele.

– Znalazła książkę, której szukała?

Archiwistka westchnęła.

– Powiem wam to samo, co powiedziałam tamtej kobiecie. Książki hrabiego Lotaryngii przybyły tutaj w dziewiętnastym stuleciu. Znaście historię Strasburga?

Nick pokręcił głową.

– W tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku atakuje nas armia pruska. Otacza miasto i bombarduje je. Większość miasta pali się, między innymi wielka biblioteka. Niektóre książki przetrwały, ale większość pochodzących od hrabiego Lotaryngii nie.

L

Strasburg

Często bywa tak, że przeznaczenie wlecze nas niczym fale oceanu i wszystkie nasze usiłowania obracają się wniwecz. Czasem jednak, choć rzadko, niosą nas po prądach tak szybko, że nawet aniołowie nie dotrzymaliby im kroku. Tego właśnie doświadczyłem w czasie owych złotych miesięcy w Strasburgu. Za pieniądze Dritzehna spłaciłem dawne pożyczki i odbudowałem swoją wiarygodność. Pozwoliło mi to zaciągnąć nowe kredyty na lepszych warunkach. Kupiłem do naszego projektu metal, który jednocześnie stał się zastawem pod następne pożyczki. Dokupiłem za nie jeszcze więcej metalu i wziąłem jeszcze więcej kredytów. Cudowny, chwalebny krąg. Naturalnie w tym okresie było niewiele dochodów na spłacanie pożyczek, lecz brałem to pod uwagę. Zgodziłem się, że nawiązka będzie dodawana do długu i zaległości nie mogły powstać aż do października następnego roku, kiedy zwierciadła zostaną sprzedane w Akwizgranie. Wtedy, uzbrojony w zyski, znów będę mógł skierować swoje wysiłki na drukowanie odpustów.

Zdarzało mi się wówczas śnić, że siedzę na wierzchołku olbrzymiej pnącej się ku niebu wieży z luster, która gnie się i kołysze niczym koniec liny na wietrze. Byłem tak wysoko, że aż kręciło mi się w głowie. Wiedziałem, że byle mocniejszy poryw wiatru może obalić wieżę i roztrzaskać ją na kawałki. Jednak tego nie uczynił.

Wytwarzanie zwierciadeł składało się z dwóch odrębnych procesów.

Kratkowe ramki należało odlać ze stopu, a stalowe lusterka wypolerować tak, by tworzyły lśniącą odblaskową powierzchnią. Na koniec elementy miały zostać połączone metalowymi klamerkami, lecz ustaliliśmy, że trzeba to zrobić jak najpóźniej. Z nadejściem wiosny mieliśmy wynająć barkę, która zawiezie ładunek Renem do Akwizgranu. Nie chcieliśmy, by lustra uległy zadrapaniu w czasie transportu. Żaden z nas nie wiedział, jak może to wpłynąć na ich święte właściwości. Ramki odlewaliśmy w St Argobast, gdzie miałem kuźnię, a w domu Dritzehna robiliśmy zwierciadła.



Pod koniec września koło fortuny znów się obróciło. Cały dzień spędziłem w Strasburgu, załatwiając następną partię metali i zapewniając wierzycieli, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Słońce chyliło się ku zachodowi, ja jednak nie musiałem się spieszyć. W ostatnich miesiącach często podróżowałem między domem i miastem, dlatego kupiłem sobie wierzchowca. Była to spokojna kobyła, której nadałem imię Merkury. Postanowiłem odwiedzić Dritzehna.

Zbliżałem się do jego domu, omijając dwa psy gryzące się w walce o ochłap mięsa, który spadł z wozu rzeźnika, gdy usłyszałem za sobą czyjś głos.

– Johann?

To, że ktoś zawołał mnie na ulicy po imieniu, nie było niczym nadzwyczajnym. Spędziłem w Strasburgu prawie cztery lata i moje imię dobrze znano choćby z tego względu, że wielu mieszkańcom miasta byłem winien pieniądze. Zaskoczył mnie ton głosu wołającego znamionujący zaskoczenie, jakby ów człowiek rozpoznał mnie po upływie długiego czasu. Nie miałem żadnych dawno niewidzianych przyjaciół, których pragnąłbym ponownie spotkać.

Odwrociłem się z przestachem. W pierwszej chwili go nie rozpoznałem. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, był młody, zdrowy i tryskał energią. Teraz jego twarz żłobiły zmarszczki, a włosy posiwiwały bardziej niż moje. Szedł o lasce, powłócząc nogą. Jednak niefortunne zdarzenia, które nań spadły, nie zdołały stłumić płonącego w nim wewnętrznego ognia.

– Aeneas?

– To naprawdę ty. – Rozpromienił się. – Byłem tego pewny. Lata potraktowały cię łagodnie. Inaczej niż mnie.

Zerknąłem na jego uwiędłą nogę.

– Co cię spotkało?

– Wybrałem się do Szkocji – odrzekł z grymasem na twarzy. – Barbarzyński to kraj. Ledwie ocalałem skórę. Potem mój statek zatonął i wracałem do domu pieszo.

To musiało być straszne przeżycie, lecz Aeneas powiedział o nim z taką rozkoszą, że aż parsknąłem śmiechem.

– W dniu, w którym się poznaliśmy, również ledwie uszedłeś z życiem – przypomniałem mu. – Powinieneś bardziej na siebie uważać. Co cię sprowadza do Strasburga?

– Mam się spotkać z paroma księżmi z Heidelbergu. Chyba chodzi im o to, abym szpiegował papieża. – Zmrużył oko. – Ale jestem Włochem, więc oczekują, że się spóźnię. Kiedyśmy się ostatnio widzieli, umówiliśmy się na spotkanie w karczmie. Nie sądziłem, że będziemy musieli czekać na tę chwilę aż sześć lat, lecz rad jestem, że cię wreszcie odnalazłem. Napijesz się ze mną?

Mylłem się, sądząc, że w mojej przeszłości nie ma twarzy, których widok sprawiłby mi radość.



Zaprowadziłem go do winnej piwnicy w pobliżu rzeki, w której nigdy przedtem nie gościłem. Nie chciałem, by Drach zobaczył nas razem. On i Aeneas przynależeli do innych części mojego życia. Wolałem, by się nie spotkali.

Aeneas uniósł kieliszek.

– Jesteś nadzwyczajnym człowiekiem, Johannie. Wynurzyłeś się z rzeczno-mułu w pełni ukształtowany, a potem zniknąłeś niczym duch. A teraz spotykam cię i widzę po twoim odzieniu, że jesteś zamożnym kupcem. *Varium et mutabile semper*, jak powiada poeta. Zawsze zmienny i zaskakujący.

Zmierzył mnie swoim charakterystycznym spojrzeniem pełnym nadziei, a zarazem badawczym.

– Przykro mi, że cię tak nagle opuściłem. Musiałem odejść.

Aeneas czekał na moje dalsze słowa. Widząc, że nie padną, skinął głową.

– No cóż, nawet ci, którzy wynurzają się z błota, mają przeszłość. Może pewnego dnia wyjawisz mi, jak się tutaj znalazłeś.

Zmieniłem temat rozmowy.

– A Nicholas? Jak on się miewa?

Mój przyjaciel posmutniał.

– Rzadko obecnie rozmawiamy. Wiesz, że papież rozwiązał sobór w Bazylei?

Nie wiedziałem o tym, choć słyszałem, że jeszcze niedawno sobór kontynuował obrady. Co parę miesięcy w kościele lub na rynku do moich uszu dochodziły jakieś wieści o nim. Dziwiłem się, że obrady, przy których sześć lat temu przez pewien czas asystowałem, wciąż się toczą.

– Sobór wreszcie zaczynał do czegoś dochodzić. W Kościele kryje się mnóstwo zgnilizny, a wszystko bierze swój początek na samym szczycie. Uczestnicy soboru poczynili pewne roztropne kroki, by zarządzić najpoważniejszym uchybieniem. Naturalnie obejmowały one ograniczenie władzy papiejskiej. My, to znaczy sobór, dążyliśmy do tego, by papież był sługą społeczności kościelnej, a nie jej władcą.

Aeneas mówił z ożywieniem, kołysząc się na stołku i raz po raz sprawdzając wzrokiem, czy podzielam jego zdanie. Staralem się nie okazywać zaangażowania, co jeszcze bardziej podsycało entuzjazm mojego rozmówcy.

– Z zazdrości o swoją pozycję papież rozwiązał sobór w Bazylei i zarządził, by obrady podjęto w Rzymie. Liczył na to, że tam, pod jego bokiem, łatwiej mu będzie wziąć radę w karby. Wielu się podporządkowało, lecz ci z nas, którzy dostrzegają konieczność reform, odmówili. Zostaliśmy w Bazylei i przegłosowaliśmy wniosek o zawieszeniu papieża, który ujawnił swoje prawdziwe oblicze.

– Nicholas powędrował do Włoch – domyśliłem się.

– Miał po temu swoje powody. Ja nie mogłem się z nimi zgodzić. On chce, by Kościół był zjednoczony, ja pragnę jego udoskonalenia. – Aeneas zapatrzył się posępnie w blat stołu. Raptem jego oblicze rozjaśnił uśmiech. – Ważniejsze jednak jest to, że płacą mi ci, którzy zostali w Bazylei.

Nie wiem, co się stało z owymi księżmi z Heidelbergu, którzy mieli się z

nim spotkać. Spędziliśmy parę godzin w karczmie, opróżniając kielichy wina i talerze stawy. Jak zwykle Aeneas więcej mówił, lecz mnie zadowalało słuchanie. Nie był wymagającym kompanem. Rozmowa z Kasparem zawsze przypominała pojedynek na miecze: żadne stwierdzenie nie przechodziło bez kontrargumentu, każda omyłka czy trywialne przekłamanie spotykały się z sarkastyczną ripostą. Nigdy nie wiedziałem, czy najblahszy komentarz nie wróci do mnie kamieniem lub nie zrani go tak, że mój towarzysz będzie się boczył przez całą wieczór. Było to ekscytujące, lecz zarazem męczące.

Aeneas natomiast chlubił się tym, że ani nie obraża innych, ani nie bierze niczego za złe. Udawało mu się to jedynie częściowo: tak bardzo lubił mówić, że słowa często wyprzedzały poczucie taktu. Zawsze jednak dostrzegał swoje błędy i żałował ich tak szczerze, iż nie sposób było mu nie wybaczyć.

– Rad jestem, że widzę cię w tak dobrym zdrowiu. – Uwierzyłem mu, gdyż zawsze czerpał radość z innych ludzi. – Jesteś żonaty?

Na mojej twarzy musiało się odbić wspomnienie katastrofy, którą okazały się zaręczyny z Ennelin.

– Jeśli o mnie chodzi, zakochałem się. Jestem zauroczony. W gospodzie, w której się zatrzymałem, jest pewna kobieta z Biscarosse. Ma na imię Agnes i jest niewymownie subtelna.

Wbrew sobie poczułem, że wciąga mnie jego opowieść.

– Czy podróżuje sama?

– Jej mąż jest kupcem. Zostawia ją, a sam podróżuje w dół i w górę rzeki w sprawach handlowych. Widziałem go dwa dni temu przy śniadaniu. To du-reń. Nie jest jej godzien.

– Tak wygląda twój plan reformy Kościoła? Będzie polegał na uwodzeniu cudzych żon?

Aeneas popatrzył na mnie ze smutkiem.

– Nie mogę przyjąć święceń kapłańskich. Ona skradła mi serce jednym spojrzeniem. Widzisz te podkrążone oczy? Nie mogę przez nią spać. Co noc chodzę pod jej drzwi i błagam, lecz ona jest zimna i twarda jak marmur. Nie przyznaje tego, lecz daje mi powody do nadziei. Może dziś w nocy wreszcie dokonam podboju. Muszę, gdyż jutro ruszam w drogę powrotną do Bazylei.

Zwiesił głowę niczym pies.

– Wiem, że ta miłość prowadzi do ruiny. Wolę jednak ten ból anizeli całe życie spędzone w tętym uspokojeniu. Potrafisz to zrozumieć?

– Rozumiem cię – szepnąłem. Tęsknota w moim głosie wzbudziła litość mojego towarzysza. Zerknął na mnie przelotnie.

– Nie będę pytał, bo i tak mi nie odpowiesz. Ale mam nadzieję, że obaj zdobędziemy to, czego pragną nasze serca.

Uniosłem kielich.

– A teraz czas już na mnie. – Wstał nagle. Gdyby ktoś inny tak się zachował, świadczyłoby to o niegrzeczności. U Aeneasa wskazywało jedynie, że jego ruchliwy umysł wykonał kolejną gwałtowną ewolucję. – Muszę się teraz zdrzemnąć, jeśli wieczorem mam zalecać się do mojej Agnes.

Smutno mi było go żegnać. Przypomniat mi o tej epoce mojego życia, w której wszystko było prostsze. Jedyną wartość miało skromne zadanie polegające na wiernym zapisywaniu słów Nicholasa. Oraz o tym, jak nędzne było moje położenie, zanim Aeneas mnie z niego wydobył. Ja zaś odplaciłem mu jedynie nagłymi zniknięciami i uchylaniem się od odpowiedzi na jego pytania. Byłem mu winien znacznie więcej i chciałem, by poznał moją wdzięczność.

– Przykro mi z powodu soboru. – Wyjąłem z sakiewki lusterko, które w złotym okresie stało się moim talizmanem i rękojmią naszej szczęśliwej fortuny. Wszędzie je ze sobą nosiłem. – Nigdy nie zapomnę twojej szczodrości.

Twarz Aeneasa zajaśniała radością. Wziął mnie w ramiona.

– Jakże się cieszę, że cię znalazłem. Mam nadzieję, iż nie znikniesz ponownie. – Ujął lustro w dłoń i przyjrzał mu się z uśmiechem. – Moje akwizgrzańskie lusterko. Prawie o nim zapomniatłem. Nie wiem, czy przyniosło mi wielkie szczęście, ale może odwróciło jakąś wielką katastrofę, która w innym razie by na nonie spadła. Może stałem zbyt daleko, by odczuć w pełni skutki cudownych promieni.

Zwrócił mi lusterko.

– Niedawno byłem w Akwizgraniu. Rada posłała mnie tam jako gońca.

– Czy w mieście dobrze się dzieje? – spytałem, udając bez troskę. Nie powiedziałem Aeneasowi o sekrecie luster. – Czy przyszłoroczna pielgrzymka odbędzie się zgodnie z planem?

– Och, to straszne. – Mój przyjaciel jął się szykować do wyjścia. Śpieszno mu było do gospody. – Wieści jeszcze do ciebie nie dotarły? Na północy wybuchła zaraza. Nikt nie wie, kiedy się skończy i ile dusz pochłonie. Władze Akwizgranu nie miały wyjścia i musiały odłożyć pielgrzymkę na przyszły rok.

Aeneas patrzył na moją posępną minę.

– Co się stało, Johannie? Wyglądasz tak, jakbyś znów miał zniknąć mi z oczu.

LI

Strasburg

Zameldowali się w hotelu nieopodal katedry. Nick czuł wewnętrzną pustkę. Gillian znów mignęła i znikła.

– Idę rozejrzeć się po mieście – oznajmiła Emily. – Co ty na to?

– Nie mam ochoty na zwiedzanie – burknął. Jednak rzuciwszy się na łóżko, uzmysłowił sobie, że nie może spać. Po dwóch minutach zbiegł na dół i dopędził Emily w holu. Właśnie miała wychodzić. – Zmieniłem zdanie.

Mimo że niedawno minęło południe, niebo było ciemne. W oknach hotelu paliły się ciepłe żółte światła. Ulicę przysypała cieniutka jak kurz warstwa śniegu, a pękate chmury zapowiadały dalsze opady. Nick spojrzał na ślady na śniegu. Wyglądały jak tropy dwojga dzieci zagubionych w leśnej głuszy.

Otulił się kurtką.

– Dokąd idziemy?

– Do katedry – odparła Emily. – Jest tam coś, co chcę zobaczyć.

Przeszli między rzędami czarno-białych domów z cegły i drewna i dotarli do zachodnich drzwi katedry. W środku było ciemniej niż na zewnątrz; Nick przez chwilę myślał, że świątynia jest zamknięta. Dostrzegał tylko widmowe szklane wizerunki unoszące się na zawrotnej wysokości. Na moment ogarnął go nabożny podziw, jaki w średniowieczu musieli odczuwać wierni wchodzący do sanktuarium. Mieli wrażenie, że mignął im przed oczyma obraz niebios.

Zdezorientowany półmrokiem, wyciągnął rękę i dotknął ramienia Emily, by upewnić się o jej obecności. Przysunęła się, jak gdyby pokrzepiona ludzkim

towarzystwem w obliczu zimnego majestatu średniowiecznego Boga.

Nick wskazał północną ścianę, na której widniały dumne szklane postacie nadnaturalnej wielkości.

– Kogo przedstawiają te witraże?

– Świątych cesarzy rzymskich. To jedna z najświetniejszych średniowiecznych kompozycji ze szkła.

Emily chrząknęła cicho. Nick jej nie widział, lecz znał już towarzyszące temu odgłosowi zmarszczenie czoła. Świadczyło ono o jej koncentracji.

– O czym myślisz?

– Królowie Izraela. – Nick nie był pewien, czy Emily zwraca się do niego, czy do ciemności.

– Powiedziałaś, że to święci cesarze rzymscy.

– Królowie Izraela to jeden z popularnych motywów średniowiecznej sztuki. Fasada katedry Notre Dame w Paryżu została ozdobiona dwudziestoma ośmioma posągami, które ich przedstawiały. Zdaje mi się, że witraż chóru kościoła Dom w Kolonii ozdobiono wizerunkami czterdziestu ośmiu królów. Uważa się, że jest to dwudziestu ośmiu królów Izraela oraz dwudziestu z Apokalipsy Świętego Jana.

– Jak to, uważa się? – spytał Nick. – Czy nikt tego nie wie?

– Budowniczości średniowiecznych katedr nie zawsze wyjaśniali, co przedstawiają tworzone przez nich dekoracje. Symbolika zawiera pewne wskazówki, lecz natura symboli jest taka, że są one dwuznaczne. Na przykład królowie na frontonie Notre Dame to bezsprzecznie motyw biblijny. Jednak nieprzypadkowo umieszczono ich na budowli, którą królowie Francji chcieli wykorzystywać jako symbol swojej potęgi. Umysłowość ludzi w średniowieczu była znacznie bardziej wyrafinowana, niż zwykło się sądzić. Ówczesna semiotyka czy symbolika, jakkolwiek to nazwiemy, była ściśle związana ze zjawiskami zachodzącymi w świecie. Gdybyś był człowiekiem świeckim, który w czternastym bądź piętnastym wieku staje przed katedrą Notre Dame, widziałbyś w posągach królów Izraela, lecz także królów Francji. Jeden król przeistacza się w drugiego, w zależności od sposobu, w jaki na nie patrzeć.

– Jakbym widział Gillian. – Nick sam się zdziwił, że to powiedział. – Ta sama osoba, a zupełnie inna w różnych okolicznościach.

– Każdy jest taki w pewnym stopniu. – Te słowa mogły zabrzmieć jak zaprzeczenie, lecz wypowiedziane łagodnie przez Emily wyrażały zgodę. – Nie możesz porzucać nadziei.

Nick nie wiedział, czy nawiązuje do zdjęcia spoczywającego w jego portfelu.

– Chcę ją znaleźć.

– Uratować damę z opresji. – To wyrażenie również mogło zabrzmieć drwiąco, lecz tak nie zabrzmiało. Nick usłyszał w nim odrobinę żalu. Uśmiechnął się.

– Nie myślałem o tym w ten sposób.

Wrócił myślą do nocy spędzonych w Gotyckiej Jaskini na zabijaniu potworów i zdobywaniu zamków. oraz do piątkowych wieczorów w liceum, gdy razem z kolegami siadywał w piwnicy. Rzucali kostkami i na podstawie liczby oczek orzekali, czy ich drużyna wciąż żyje, czy się rozpadła. Śmiertelnie niebezpieczne poszukiwania były wówczas takie niegroźne; czekało się na nie przez cały nudny tydzień w szkole. Jakże różniły się te czasy od przerażającej pustej rzeczywistości.

– Znalazłaś to, co chciałaś tutaj zobaczyć? – spytał, zmieniając temat.

– Chodziło mi o królów. Skojarzyli mi się z królami Izraela, to wszystko. Miałam nadzieję, że ich widok nasunie mi jakąś myśl. – Pokręciła głową. – Nic z tego.

Obeszli wnętrze katedry. Emily wskazywała rozmaite elementy spowitych półmrokiem naw. Posuwając się ze wschodu na zachód, obserwator widział coraz bardziej skomplikowaną architekturę; styl romański przechodził w gotycki. Zostało to utrwalone w kamieniu w ciągu setek lat, gdyż tyle trwała budowa katedry. Pokazała mu kolumnę, na której aniołowie trąbkami obwieszczają zmartwychwstanie, oraz liczne płaskorzeźby umieszczone na bocznych wieżyczkach i broszach. Początkowo Nick zwracał na wszystko uwagę z grzeczności, lecz misterne dzieła sztuki coraz bardziej go pochłaniały. Wychoząc z ciemnej katedry na zewnątrz, gdzie również panował półmrok, miał w głowie cały zestaw nowego słownictwa.

– Chcę kupić parę rzeczy do ubrania, zanim zamkną sklepy – oznajmiła Emily. Śnieg wciąż padał, osiadając na krawędziach katedry. – Zobaczymy się w hotelu.

– Uważaj na siebie – powiedział Nick.

LII

Strasburg

Dwudziestu ośmiu królów zasiadało na szklanych tronach. Dumni i tchnący powagą spoglądali z wysoka na ziemski padół. Tymczasem świat, na który patrzyły ich nieruchome oczy, tętnił ożywionym ruchem. Katedra rozbrzmiewała uderzeniami młotów, krzykami murarzy, skrzypieniem kołowrotek i piskami dzieci. Pośród tego zgiełku chór śpiewał litanię. Na tyłach kościoła stało w niszy dwóch ludzi i rozmawiało głośnym szeptem.

– Zapewniałeś, że nie wydarzy się nic złego. – Andreas Dritzehn nie był ani dumny, ani pełen powagi. Jego policzki zaczerwieniły się od gniewu, a pięści zacisnęły, jak gdyby szykował się do ciosu. Najpewniej chciał go zadać mnie. Właśnie dlatego nalegałem, abyśmy spotkali się w katedrze.

– Myślisz, że jesteś jedynym, który włożył pieniądze w to przedsięwzięcie? – Słabo mi się robiło na samą myśl o tym, choć nie oczekiwałem, by ten argument obudził współczucie Dritzehna.

– Trzeba przetopić gotowe lusterka i sprzedać metal.

– Nie. Kupiliśmy ołów, cynę i antymon. Teraz mamy stop. Nie można ich rozłączyć, tak jak nie da się stopić tych okien i uzyskać piasku i wapna.

– Sprzedaj więc stop.

– Ten metal to klucz do naszego przedsięwzięcia i naszych fortun. Jeśli go sprzedamy, inni zrozumieją jego siłę i nauczą się go wytwarzać. Jeśli jeden z nich okaże się złotnikiem z Akwizgranu, odleje zwierciadła i zabierze nam cały zysk.

– Niech sobie bierze. – Twarz Dritzehna spuchła od złości. – Chcę odzyskać swoje pieniądze.

– Pielgrzymka została odłożona, a nie odwołana. Wystarczy, że utrzymamy nerwy na wodzy i poczekamy jeszcze rok. Wtedy wzbogacimy się tak, jak sobie wymarzyliśmy.

– Nie mogę czekać jeszcze rok! – ryknął jak kastrowany żreback. Rozejrzałem się. Nikt nie usłyszał, gdyż piły cieśli wszystko zagłuszały. – Dlaczego nie posłuchałem mojego brata Jörga? – jęknął Dritzehn. – Ostrzegał mnie, że jesteś włóczęgą i kuglarzem. Że zrujnujesz moją rodzinę.

Właśnie wtedy, być może pierwszy raz w życiu, uprzytomniłem sobie, że ciąży na mnie odpowiedzialność. Byłem za stary na ucieczkę. Zbyt wielu ludziom byłem winien pieniądze, by zniknąć. Odszuka mnie jednoręki Karl lub ktoś jemu podobny i moje pogruchotane ciało zostanie znalezione pod tamą na kanale, oblepione szlamem i gałęziami.

Musiałem się uwolnić. Niczym pijak szukający ratunku w kolejnym hańdzie wina sięgnąłem po ostatnie znane mi lekarstwo.

– Znam jeszcze jedną sztukę. Jest mniej rozwinięta niż odlewanie luster, lecz może przynieść nieporównanie większy zysk. Wymaga jedynie cierpliwości.

Dritzehn pokręcił głową.

– Przejadły mi się twoje tajemne sztuki.

– Nigdy nie zastanawiałeś się, co robimy z Kasparem w twojej piwnicy? Lustra stanowiły tylko uboczną działalność, przygrywkę do znacznie większego dzieła.

Zobaczyłem, że pomimo rozpaczony Dritzehn nie potrafi ukryć zaciekawienia.

– Bo nigdy o tym nie mówiłeś.

– Naturalnie. Zwierciadła były wystarczającą tajemnicą. Ale ta nowa sztuka jest dziesięć razy większa. Tylko czterech ludzi wie o jej istnieniu.

– Czy uda się doprowadzić ją do końca przed upływem roku?

– Trudno orzec. Jak ci powiedziałem, jest mniej zaawansowana niż produkcja luster. Ale kiedy już powstanie, nie będzie opóźnień. Nie trzeba będzie czekać na pielgrzymkę ani na transport rzeczny. Nawet zaraza jej nie powstrzyma. Wymaga jedynie małej inwestycji.

Dritzehn chwycił mnie za kołnierz płaszcza i przycisnął do ściany katedry.

– Ogluchłeś? Nie dotarło do ciebie to, co powiedziałem? Nie mam więcej pieniędzy. Jak mam uchronić się przed bankructwem?

Z udawanym spokojem zdjąłem jego dłonie z kołnierza i odsunąłem się o krok. Światło połyskiwało na złotej spince w klapie jego płaszcza. Miała postać krzyżyka z Chrystusem owiniętego świętym werselem.

– A to?

Dritzehn osłonił dłonią spinkę.

– To podarunek od mojej żony.

Rzecz była pięknej roboty. Każdy mięsień w ciele Chrystusa zmagął się ze śmiercią, jak gdyby ciało nie pozwalało duchowi się wyzwolić. Litery były równiutkie, wybite w cieniutkim metalu z niewyobrażalną finezją. Ten widok przypomniał mi o zadaniu, które mnie czekało.

– Możesz pożyczyć od kogoś pieniądze. Jeśli zmienisz zdanie, znajdziesz mnie w domu w St Argobast.



Czasami odnosiłem wrażenie, że moim prawdziwym fachem jest pożyczanie pieniędzy, a praca z inkaustem i metalem istnieje tylko po to, by dać mi pretekst do zaciągania kredytów. Lustra stały się potworem zżerającym samego siebie, a gdy nic nie zostało, potrzebowałem nowego pomysłu, na którego realizację mógłbym się zapożyczać. W tych dniach nie myślałem już o sztuce w kategoriach zysku; nie zastanawiałem się nawet, czy coś z niej wyjdzie. Liczyło się jedynie to, by płynął strumień pieniędzy.

Trzy dni po naszym spotkaniu w katedrze Dritzehn zawitał do mojego domu. Zeszliśmy się w połowie drogi między stodołą i kuźnią. U naszych stóp kury dziobały w ziemi, a świnie zjadały się jabłkami, które spadły z drzewa za stodołą.

– Ile potrzebujesz? – spytał bez żadnych wstępów Dritzehn.

Od naszej rozmowy nie myślałem prawie o niczym innym.

– Sto dwadzieścia pięć guldenów.

Dritzehn zakrztusił się z oburzenia i zaczął gwałtownie kaszleć. Przyglądałem mu się z niepokojem. Lepiej, żeby nie wyzionął ducha, zanim jego pieniądze trafią do mojej sakiewki.

– To więcej, niż już ci pożyczyłem. Omal z tego powodu nie zbankrutowałem.

– Czasem, żeby przekroczyć rzekę, trzeba wejść głębiej do wody. A twój dom?

Otarł rękawem ślinę z ust.

– Co mianowicie?

– Możesz pożyczyć pod jego zastaw.

– Już to zrobiłem.

– Pożycz więcej – namawiałem. – Jeśli zaczniesz zalegać ze spłatą, zabiorą ci dom za tyle, ile jesteś dłużny. Lepiej wszystko postawić na sukces, niż przegrać za połowę ceny.

Wiedziałem, że przystanie na moją propozycję. W innym razie wcale by nie przyszedł. Po kilku minutach pogodził się z sytuacją. Wbił czubek buta w błoto, machnął ramionami i stuknął obcasami jak słomiana kukiełka na kiju.

– Teraz mogę ci dać czterdzieści guldenów. Resztę zbiorę w ciągu paru tygodni.

– Jesteś pewien? Kiedy nauczę cię tej sztuki, nie będziesz mógł zrezygnować ze współpracy. Jeśli masz wątpliwości, lepiej wracaj do domu.

Dritzehn chciał rękojmi.

– Te pieniądze zostaną wykorzystane tylko dla dobra przedsięwzięcia?

– Naturalnie – zapewniłem, już zastanawiając się, w jaki sposób najkorzystniej rozdysponować pieniądze między wierzycieli. – A zyskami podzielimy się w takiej samej proporcji jak poprzednio.

– A jeśli któryś z nas umrze, nim przedsięwzięcie zostanie doprowadzone do końca, cała inwestycja przejdzie na jego spadkobierców?

Spojrzałem na niego twardo.

– Czyżbyś spodziewał się umrzeć?

– Nie – odparł Dritzehn, ponownie zanosząc się kaszlem. Chciał przełknąć ślinę i jeszcze bardziej się zakrztusił. – Ale jestem starszy niż mój ojciec, kiedy zmarł. Życie jest krótkie, za każdym z nas podąża cień śmierci.

Przeżegnałem się.

– Ten sekret jest zbyt wielki, by narażać go na ryzyko dziedziczenia.

Jeśli któryś z nas pożegna się ze światem, zabierze go ze sobą do grobu.

To go poruszyło.

– Co z moją żoną? Ona musi coś dostać, jeśli umrę. Mam zastawić jej wdowią pensję?

– Kupiec inwestujący w podróż nie odzyska kapitału, dopóki statek przebywa na morzu. Wszelkie pieniądze, które włożysz w przedsięwzięcie, muszą pozostać w spółce, dopóki nie zostanie ono ukończone.

Dritzehn westchnął. Jego poszarzała twarz wyrażała poczucie klęski. Klepnięciem go w ramię i udałem entuzjazm.

– Puść w niepamięć to gadanie o śmierci. Za dwa lata będziesz się śmiał, że we mnie wątpiłeś.

□ □ □

Stałem przy bramie i odprowadziłem wzrokiem ponurego i zmizerniałego człowieczyne. Czy to ja wpędziłem go w taki stan? Zagubiony w labiryncie knowań i długów nie wiedziałem już, czy jestem jego dobroczyńcą, czy prześladowcą.

– Bardzo kąsał?

Kaspar wyłonił się ze stodoły. Miał podwinęte rękawy, a na jego dłoni widniał okrągły ślad po dociskaniu rylca do metalu.

– Zapłaci.

– Dlaczego więc się smucisz?

Kaspar wyciągnął rękę, by pogłodzić mnie po policzku. Jednak konfrontacja z Dritzehnem sprawiła mnie w smutny nastrój. Odsunąłem się.

– Co cię naszło? Sposępniałeś. Powłóczysz nogami, jakby cały świat spoczywał na twoich barkach.

– Może to ciężar złota, które jestem ludziom winien.

– Pamiętasz dawne czasy? Wtedy byłeś o wiele bardziej interesujący. Później dopadła cię obsesja złota, pożyczek i długów. Byłeś artystą, a stałeś się kasjerem.

– Finanse stanowią część sztuki tak samo jak ołów, atrament i miedź– odciąłem się. – Skala przedsięwzięcia to usprawiedliwia. Pragniesz tworzyć rzeczy rzadkiej i nieznanej urody i nikt cię w tym nie przewyższy. Jednak w tej

sztuce piękno jest pochodną skali. Kropla wody jest niczym, lecz rzeka to majestat. A ocean jest niezmierny.

– Przyjrzałeś się kiedyś kropli wody? Kiedy zwisa na gałązce w słoneczny poranek, w jej obłości odbija się cały świat. Rozciąga się, gdy gałąź drży, nie wiedząc, czy się utrzyma, czy spadnie i rozplynie się w ziemi. Oto piękno.

– Gdybym mógł trudnić się tą pracą za darmo i za darmo rozdawać jej owoce, tak właśnie bym czynił, Ale sam widziałeś, jak mnożą się koszty, a do końca wciąż daleko.

– Piękno albo jest, albo go nie ma. – Kaspar i ja mówiliśmy o czym innym.
– Jeśli wydrukujesz jeden odpust albo odlejesz jedno zwierciadło, jest tym, czym jest. Nie ma znaczenia, czy jest unikalne, czy istnieją tysiące takich samych.

– A złoto? Czy tysiąc guldenów jest piękniejsze od jednej monety?

– W twoich oczach owszem.

Dwa miesiące później Andreas Dritzehn zmarł.

LIII

Strasburg

Hotel zapewniał darmowy dostęp do Internetu w pokojach. Nick leżał dziesięć minut na łóżku i gapił się na gniazdko w ścianie, walcząc z pokusą niczym święty. Po tygodniu spędzonym bez wizyty w sieci czuł się jak człowiek pozbawiony kończyny; rozpaczliwie łaknął połączenia. Jednakże ci, którzy go ścigali, mieli niemal telepatyczną umiejętność tropienia jego ruchów. Czy narażać się na ryzyko?

Internet to nieogarniona i ogłuszająca rozmowa. Obecność jednego człowieka to zaledwie szept. Poza tym Nick znał kilka sztuczek. Wciąż targany wątpliwościami zsunął się z łóżka i podłączył laptop.

Praca w cyfrowej kryminalistyce sprawiła, że paranoicznie dbał o bezpieczeństwo. Zaczął od wyczyszczenia historii w przeglądarce; usunął wszystko, co mogłoby go niepostrzeżenie zalogować i zdradzić jego obecność na stronie, którą wcześniej odwiedzał. Następnie zamienił komputer w twierdzę. Włączył zaporę sieciową i zamknął wszystkie porty oprócz jednego, tak by wszelkie połączenia przechodziły przez jedną dobrze strzeżoną bramkę. Antywirus patrolował korytarze i dziedzińce fortecy, czujnie reagując na wszelkie objawy podejrzanej aktywności. Nick nie obawiał się frontalnego ataku, tylko szpiegów.

Teraz mógł wyruszyć poza obręb murów. Podłączył się do sieci i od razu przeszedł na stronę reklamującą się jako ta, która zapewnia anonimowość. Cieszył się ona popularnością wśród zбочeńców, przestępców oraz zwolenników

teorii spiskowych, bywa też jednak wykorzystywana do legalnych celów. Ujmując rzecz metaforycznie, Nick traktował ją jak czapkę niewidkę pozwalającą przemykać po łączach bez zostawiania śladów i uniemożliwiającą ustalenie, skąd przychodzi.

Mimo poczynienia tych wszystkich kroków był podenerwowany, jakby w środku nocy wśliznął się do salonu i potajemnie zajrzał do ojcowskiego barku z trunkami. Otwierając każdą stronę, czuł się tak, jakby stawał na skrzypiącej desce. Stopniowo jednak otaczał go strumień informacji. Zapomniał o niebezpieczeństwie i podążał coraz to nowymi ścieżkami wiedzy.

Rozpoczął od królów Izraela i odkrył jedynie szereg imion, które zaczynały się znajomo, a później ginęły w mroku niewiedzy: Dawid, Salomon, Roboam, Abiasz. Tak dotarł do Zedekiaha. W encyklopediach internetowych natrafił na przeżytą historię biblijną i nie znalazł niczego związanego z istotą sprawy.

Następnie przeszedł do Dziejów Królów Izraela. To, co zobaczył, przyprawiło go o szybsze bicie serca. Przeczytał, że Dzieje Królów Izraela to dzieło wymienione przyczynkowo w Księdze Kronik. Klik. Druga Księga Kronik, rozdział 33, wers 18: *A pozostałe dzieje Manassesa, jego modlitwa do Boga oraz słowa „Widzących”, którzy mówili do niego w imię Pana, Boga Izraela, są opisane w Dziejach Królów Izraela.* Klik. Tego rodzaju odnośniki były rozsiane po Starym Testamencie niczym zagubione wskazówki do innych ksiąg, które być może kiedyś istniały, lecz teraz występowały jedynie jako duchy nękające uczonych. Klik. Niczym przygody Sherlocka Holmesa, o których napomknęto doktorowi Watsonowi, lecz których Conan Doyle nigdy nie spisał. Klik. Przypadek polityka, latarni oraz wytresowanego kormorana.

Nick uświadomił sobie, że znalazł się w ślepych zaułku. Wrócił i poszedł drugim tropem, wpisując inne kluczowe słowo: imię Manassesa. Szesnasty król Izraela. Apostata pojmany i zabrany do Babilonu, który jednak odzyskał swoje królestwo po tym, jak wyraził skruchę za grzechy i nawrócił się na wiarę w Boga. Klik. Modlitwa słowami. Choć Dzieje Królów Izraela zaginęły (jeśli w ogóle istniały), ktoś mniej więcej w pierwszym wieku naszej ery zadał sobie trud i wymyślił modlitwę pokutną Manassesa, i przedstawił ją jako prawdziwą. Rodzaj fantastyki. Była podróbką, lecz podróbką tak starą, że nabrała własnej

wartości. Została włączona do Biblii jako część apokryfów.

Klik. Powrót do Biblii. *Kark zginam pod żelaznymi kajdanami, liczne są moje grzechy i nie dla mnie wytchnienie.*

Wiem, jak się czujesz, pomyślał Nick.

Na koniec wszedł na stronę Gillian. Wiedział, że to ryzykowne, lecz musiał tam zajrzeć.

GILLIAN LOCKHART

jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie ☹

(ostatnie uaktualnienie 02 stycznia 11:54:56)

Nic się nie zmieniło; Gillian nie wchodziła na swoją stronę. Spojrzał ponownie na zdjęcia, wśród których nie było jego podobizny. Wzdrygnął się na myśl o fotce Gillian, którą nosił w portfelu. Na wszelki wypadek zerknął do komentarzy.

Pojawił się jeden nowy.

Jesteś bezpieczna? Znalazłaś to? Zadzwoń, proszę.

Mam nowy numer: www.jerseypaints.co.nz

(wpis od: Olaf, 11 stycznia 17:18:44)

Przeczytał wiadomość trzy razy i sprawdził datę na zegarku. Dwa dni temu. Ostrożność podpowiadała mu, by nie szedł tym tropem. To była pułapka. W ogóle nie powinien był wchodzić do Internetu. Jednak nie mógł się oprzeć.

Na ekranie ukazała się nowa strona: obrazek przedstawiający uśmiechniętą krowę w barwach tęczy stojącą z pędzlem na drabinie. „Materiały malarskie przemysłowe i domowe”. Strona zawierała numer telefonu z kodem Nowej Zelandii oraz kilka komentarzy zadowolonych klientów. Nie było wzmianki o Olafie.

Sprawdził zabezpieczenia internetowe. Wszystkie pola były zielone. Wyglądało na to, że ze strony nie ładuje się żadne szkodliwe oprogramowanie.

Musiał podjąć ryzyko. Ujął słuchawkę telefonu hotelowego i wybrał numer uwidoczony na stronie. Z niewielkim opóźnieniem rozległ się obco brzmiący sygnał zagranicznego telefonu.

– Jersey Paints – powiedział głos z nowozelandzkim akcentem.

– Hej, witam. Zastałem Olafa?

Nastąpiło pełne zniecierpliwienia milczenie.

– Czy to ma być żart? Mówiłam już panu trzy razy, że nie ma tu żadnego Olafa. Proszę przestać wydzwaniać.

– Przepraszam.

Nick odłożył słuchawkę i opadło go poczucie winy. Nie powinien był dzwonić, nie powinien nawet zaglądać na stronę. A na pewno nie powinien był dzwonić z hotelu. „Mówiłam już panu trzy razy”. Ktoś inny przeczytał wiadomość i zdążył ją wykorzystać.

Od drzwi dobiegł jakiś hałas. Nick zamarł. Czyżby już po niego przyszli? Czy tak łatwo go namierzili? Usłyszał szmer karty przesuwającej się w elektronicznym zamku. Z przerażeniem spojrzał na okno, ale było zamknięte na stałe.

Światelko na zamku się zazieleniło. Kłamka stuknęła i zaczęła się przesuwać.

Nie było gdzie się schować; nawet łazienka znajdowała się na korytarzu. Nick chwycił torbę z książką i kartą. Może uda mu się prześliznąć obok intruza, przewrócić go i uciec.

A jeśli jest ich więcej?

Drzwi się otworzyły. Emily stała w słabo oświetlonym korytarzu z dwiema torbami na zakupy. Jej włosy były wilgotne od topniejącego śniegu. Spojrzała na torbę w rękach Nicka.

– Wychodzisz?

Nick z ulgą osunął się na łóżko.

– Myślałem... Sprawdzalem, czy książka jest na swoim miejscu. – Spojrzał ponownie na towarzyszkę. – Zmieniłaś się.

Odłożyła torby i powiesiła płaszcz na drzwiach. Zamiast spódnicy, którą nosiła od pobytu w Paryżu, miała na sobie obcisły sweter i dopasowane dzinsy. Nick pierwszy raz zobaczył ją w spodniach. Prawie się zawstydził niczym uczeń, który przypadkowo spotyka nauczycielkę w sklepie. Jednocześnie uderzyło go, jak świetnie Emily się prezentuje.

– Pomyślałam, że spodnie lepiej się nadadzą, jeśli znów przyjdzie nam uciekać – oznajmiła beznamiętnie.

Ściągnęła buty i osunęła się na łóżko obok Nicka. Znowu przydzielono im podwójne łoża, choć prosili o podwójny pokój. Leżeli obok siebie niczym para małżeńska w starym filmie. Nick ze zdziwieniem zauważył, że dobrze się z tym czuje.

– Pada coraz mocniej – oznajmiła po chwili. – Może nam być trudno wy-dostać się ze Strasburga.

– Jeśli istnieje jakieś miejsce, do którego możemy się udać.

Nick przetoczył się na bok i ujął w dłoń pilota leżącego na stoliku. Włączył telewizor i przerzucał francuskie kanały z teleturniejami i programami typu talk-show, aż znalazł kanał anglojęzyczny. Reporter w kurtce moro stał na tle zniszczonego krajobrazu, a żołnierze w jasnobrązowych mundurach przesu-kiwali jakąś lepiankę. Miejsce wyglądało na odludzie, ale przynajmniej było tam ciepło. Nick miał wrażenie, że pół życia spędził na błakaniu się w chłódzie.

Wyłączył dźwięk. Nieme obrazy przesuwały się na ekranie.

– Wszedłem na stronę Gillian. Ktoś zostawił dla niej wiadomość.

Emily nie odpowiedziała. Spojrzał na nią i zobaczył, że zasnęła. Jej oczy były zamknięte, ciemne włosy rozsypały się na poduszce wokół jasnej skóry twarzy. Podciągnął koc i okrył ją. Coś mruknęła we śnie i przetoczyła się na bok, przytulając się do jego boku.

Poczuł na sobie ciepło jej ciała. Rozeszło się po jego skórze, rozpuszczając lodową skorupę, która otaczała go od chwili, gdy zobaczył na ekranie kompu-tera wiadomość od Gillian. Wiedział, że to błąd. Kiedy Emily się obudzi, wpadnie w zakłopotanie, a jemu będzie wstyd. Ale nie chciał zakłócać jej snu.

Skierował wzrok na telewizor. Czytał podpisy i obserwował milczącą para-dę rzeczników prasowych, wszelkiej maści apologetów oraz gwiazdek po dru-giej stronie szklanej ściany. Jeszcze niedawno bohaterowie, złoczyńcy i opo-wieści snute w mediach wydawały mu się niesłychanie ważne. Teraz należały do innego świata.

Na ekranie znowu ukazał się obraz ze studia. Na pasku informacyjnym wy-sświetlił się napis: „Skompromitowany jezuita zamordowany”.

Nick sięgnął po pilota i włączył dźwięk. Prowadzący zniknął, a w jego miejsce ukazał się ziarnisty portret. Mężczyzna stał za blisko aparatu z tablicz-ką...

– To brat Jerome. – Emily usiadła, odgarniając włosy z twarzy.

Głos reportera dudnił w uszach Nicka.

„Sąsiedzi usłyszeli strzały... Policja zjawiała się na miejscu... Mafijna egzekucja... Wcześniej rano widziano podejrzanego samochód... Błyskotliwy uczony... Skandal seksualny...”.

Nick spojrział na Emily. Po jej twarzy spływały łzy. Chciał ją utulić, lecz wydawała się tak krucha, jakby mogła się rozpaść pod dotykiem.

– To ja go zabiłam – wyszeptała.

Materiał dobiegł końca i rozpoczął się następny. Zamiast twarzy brata Jerome'a na ekranie pojawił się obraz łodzi pełnej zatrwożonych uchodźców. Nick wyłączył głos.

– Nie mogłaś wiedzieć – rzekł cicho Nick.

– Zniszczyłam go.

– Wiem, jak się czujesz. – Nick nie dawał za wygraną. – Gdyby nie ja, Bret wciąż by żył. To siedzi we mnie jak trucizna. Ale nie wolno ci myśleć w ten sposób. Winni są ci, którzy go zabili.

– Ja za to odpowiadam – upierała się Emily. – On znalazł się tam przeze mnie.

– Dlatego że próbował cię wykorzystać, gdy byłaś jego studentką?

Emily przełknęła łzy i spuściła wzrok. Nick myślał, że nie usłyszała jego słów, lecz nagle powiedziała szybko:

– To nie była jego wina. Jerome i ja byliśmy kochankami. On się do mnie nie przystawiał. Mieliśmy romans. Kiedy uczelnia się dowiedziała, wyrzucono go. Z zakonu także. To go zniszczyło. Uniwersytet był jego życiem.

Nick przypomniał sobie starca z białymi włosami. Powstrzymywał się, by nie wyobrażać sobie jego kościstych paluchów ślizgających się po skórze Emily.

– Mimo to nie powinien był cię dotykać.

– Owszem, nie powinien był mnie dotykać – powtórzyła. – Ale to nie było tak, jak myślisz. To ja się w nim zakochałam, ja go uwiodłam, jeśli to właściwe słowo. Toja byłam zauroczona i uparta, nie chciałam odpuścić. Nie miałam świadomości tego, co robię. – Otarła łzę z twarzy. – Jerome nie mógł dać sobie rady z poczuciem winy i zerwał. Byłam na niego zła, pragnęłam jedynie zemsty. Doniosłam na niego z czystej złości. Zniszczyłam mu życie. A teraz zginął.

LIV

Strasburg

Oglądałem papier ze znajomym bólem złamanych nadziei. Niektóre litery były ledwie widoczne, inne zaś odcisnęły się tak mocno, że zalały je plamy atramentu. W kilku miejscach papier przedarł się, gdyż krawędzie odlanych w metalu form nie zostały dostatecznie wygładzone. Cały arkusz mocno się zamazał podczas zdejmowania z prasy. Drach miał rację: mogłem wydrukować dziesięć tysięcy egzemplarzy i wszystkie będą wyglądały tak samo okropnie.

Ująłem pilnik, pogodziwszy się z perspektywą kolejnego popołudnia spędzonego na niewdzięcznym mozole. Odlewanie metalowych form z wyżłobionej miedzianej płyty było łatwe, lecz nie przewidziałem, że będzie wymagało tak wielkiej dokładności. Jeśli jakaś litera znajdowała się o grubość włosa niżej od innych, ledwie dotykała kartki. Gdy odstawała o tę samą grubość, zalewała arkusz inkaustem. Litery powstawały w procesie wybijania ich stalowym punknikiem w miedzi, uzyskanie tej samej wysokości było zatem prawie niemożliwe. Pozostawało staranne piłowanie.

– Gdzie są foremki?

Kaspar uniósł głowę.

– Może w sakwie.

Zajrzałem do worka, który Kaspar przyniósł z domu Dritzehna. Było tam jedynie kilka grudek ołowianych odpadków.

– A może położyłeś je na stole.

Zacząłem grzebać wśród resztek papieru, narzędzi, miedzianych

tabliczek i odrzuconych foremek zalegających stół roboczy. Nadaremnie.

– Jesteś pewien, że je przyniosłeś?

Drach wzruszył ramionami.

– Tak mi się zdawało.

W takich chwilach nienawidziłem pracy z Kasparem. Jeśli nie zależało mu na czymś, co mało cenił, ignorował to i żadne wyrzuty doń nie docierały.

– Musiałeś je zostawić w prasie.

– Być może – przyznał.

– Mówiłem ci, żebyś je ze sobą zabrał. – Dritzehn od tygodnia leżał w łóżku złożony chorobą. Jego dom nawiedzali krewni, wścibscy znajomi oraz wieściziele przerażeni, że nie ujrzą więcej swoich pieniędzy. – Jeśli ktoś je zobaczy, nasza tajemnica będzie stracona.

– Zamknąłem drzwi na klucz.

Nie chciałem się z nim spierać. Tego roku było między nami za dużo kłótni. Odwróciłem się do niego tyłem i wyjrzałem przez wrota stodoły. Odetchnąłem chłodnym grudniowym powietrzem, by ochłonąć.

Na podwórku stał chłopiec. W pierwszej chwili wziąłem go za włóczęgę lub złodzieja, on jednak nie rzucił się do ucieczki, gdy wyszedłem ze stodoły i odezwał się do niego. Przyjrzawszy mu się, uświadomiłem sobie, że go znam. Było to posłaniec Hansa Dunne'a. Wyglądał tak, jakby całą drogę ze Strasburga pokonał biegiem.

– Dunne cię przysyła? – zawołałem.

Chłopak skinął głową.

– Kazał powiedzieć, że *Herr Dritzehn* nie żyje.

□ □ □

Wybrzuszone ściany i grube gonty nadawały domowi wygląd trumny. Okiennece były zamknięte, na zewnątrz nie wydostawał się ani jeden promień światła. Długo staliśmy na progu, zanim służący wpuścił nas do środka. Pachniało octem i żywicą, jako że w kominkach palono sosnowymi trocinami.

– Zejdź na dół i ratuj foremki – powiedziałem do Kaspara, wręczając mu klucze, którymi zamykaliśmy suterrenę. – Weź także śruby.

Aby ograniczyć skutki pojedynczych błędów, dzieliliśmy tekst na cztery osobno odlewane paski, z których każdy odpowiadał jednemu akapitowi. Później skręcaliśmy je razem, tworząc matrycę. Był to nasz najnowszy pomysł.

- A ty dokąd idziesz?
- Złożyć ostatnie uszanowanie.

Wziąłem świeczkę ze ściany i jąłem wspinać się po skrzypiących schodach. Cienie skakały na ścianach. Gdy wszedłem, skupiło się na mnie spojrzenie kilkunastu par oczu. Żałobnicy i służący zgromadzili się za progiem sypialni. Wszyscy wydawali się zjednoczeni w niemym oskarżeniu. Większość skupiła się wokół krępej niewiasty w białym welonie – żony Dritzehna, obecnie wdowy – oraz mężczyzny, którego się trzymała. Był nim brat zmarłego Jörg.

Zdjąłem kapelusz.

- Pani Dritzehn, przyszedłem wyrazić swój najgłębszy żal...

Na mój widok kobieta oderwała się od grupy żałobników i rzuciła na mnie.

– Tyś to zrobił! – wrzasnęła. – Ty i twój kompan. Andreas był zacnym i uczciwym człowiekiem, dopóki nie omamiliście go swoimi czarami. Jeśli ten dzień może przynieść coś dobrego, to tylko to, że nie będziecie już mieć wpływu na mojego męża. Kiedy zostanie pochowany, oddacie mi każdego pensa, którego wam dał.

Zasypała mnie razami. Szwagier oplótł ją rękoma i odciągnął ode mnie.

- Odejdź – rozkazał. – Ja załatwię tę sprawę.

Nieomal wepchnął kobietę do izby. Przez otwarte drzwi widziałem niewyraźny zarys ciała Dritzehna rozpląszonego pod całunem na łóżku.

Jörg zamknął drzwi i zmierzył mnie przebiegłym wzrokiem. Podczas wizyt w domu Dritzehna spotkałem go raz czy dwa i wcale mi się nie spodobał. Był niskim przygarbionym mężczyzną z obrzmiałymi policzkami i tępyim podbródkiem przypominającym stopę.

– Wpadła w histerię – oznajmił bez cienia współczucia. – To zrozumiałe. W takich chwilach interesy powinno się załatwiać z chłodną głową.

- Twój brat nie żyje – zauważyłem. – Interesy mogą poczekać.

– Rozmawiałem z Andreasem, zanim umarł. Opowiedział mi o waszym przedsięwzięciu. Żałował tylko tego, że nie dożyje chwili, gdy przyniesie ono wielkie bogactwo. Powiedział, że mnie powinny przypaść jego udziały.

– Jeśli tak powiedział, to znaczy, że choroba zaważadnęła jego umysłem. Ale odłóżmy to na kiedy indziej. Przyszedłem tu po to, aby opłakiwać śmierć Andreasa.

Była to prawda. Nie przeczę, że grałem na jego chciwości i zachęcałem do udziału w przedsięwzięciach, które miały mi przynieść większe zyski niż jemu. Jednakże Dritzehn był kupcem i spekulował zgodnie ze swoim osądem. Nie było moją sprawą, w jaki sposób finansował swoją działalność. Żałowałem go tak, jak człowiek żałuje drugiego człowieka.

– Pójdę sobie. Nie chciałem niepokoić jego rodziny w godzinie żałoby.

– Zaniepokoisz mnie bardziej, jeśli mnie nie wysłuchasz – powiedział groźnie Jörg. – Wiem, ile pieniędzy Andreas utopił w waszych knowaniach, choć nigdy mi nie powiedział, czym sobie na nie zasłużyłście.

– A zatem się nie dowiesz. Jego pieniądze i tajemnice pozostaną w spółce.

– Muszę więc zająć jego miejsce.

– Mam umowę podpisaną przez Andreasa, która mówi, że w razie jego śmierci spadkobiercy nie otrzymają nic, dopóki przedsięwzięcie nie zostanie doprowadzone do końca. Zmarł jako mój dłużnik.

Sam nie mogłem uwierzyć, że wypowiadam te słowa, zanim ciało Andreasa zdążyło ostygnąć.

– Zostawisz jego żonę w nędzy?

– Ty za nią odpowiadasz, nie ja. Będzie żyć w nędzy, jeśli na to pozwolisz.

– W takim razie pójdę do sądu! – krzyknął. – To, co ty i Andreas ukrywa-
liście, zostanie ujawnione przed całym miastem. Nie odsuniecie mnie na bok.

□ □ □

Spotkałem Kaspara przed domem.

– Znalazłeś foremki? Podał mi ciężką sakwę.

– Wyjąłem także śrubę z docisku. Nikt, kto go zobaczy, nie domyśli się, do czego służył.

– Ludzie i tak mogą się zwiędzieć. Brat Dritzehna groził, że zaciągnie mnie do sądu.

– Niech to robi. Tylko czterech ludzi spośród żywych zna tajemnicę. Saspace i Dunne nas nie zdradzą.

Te słowa nie dały mi wiele pociechy.

– Musimy iść do domu. Jörg Dritzehn pała chęcią odkrycia naszego sekretu. Nie zdziwiłbym się, gdyby włamał się do warsztatu.

Pożyczaliśmy konia dla Kaspara i pojechaliśmy po ciemku do St Argobast. Z całej jazdy utkwiał mi w pamięci chłód powietrza i zapach końskiego potu. Gdy tylko przybyliśmy na miejsce, roznieciłem ogień w kuźni i zapaliłem wszystkie lampy i świece, jakie zdołałem znaleźć. Z pomocą Dracha przeczesalem stodołę w poszukiwaniu każdego odlewu, który wykonaliśmy; zebraliśmy każdą foremkę, każdy kawałeczek ołowiu i metalu z wyżłobionymi literami. Zebrałem je w żelaznym kociołku i umieściłem go nad ogniem. Zostawiłem tylko wyżłobione miedziane tablice. Owinąłem je w worek i zakopałem pod kamieniem na podwórzu. Były zbyt kosztowne, bym mógł pozwolić sobie na ich utratę.

Dołożyłem węgla do ognia. Płomienie rozgorzały mocniej, foremki zaczęły się topić. Małe literki zamazały się i spłynęły po metalu niczym lzy.

– Czy to koniec naszego przedsięwzięcia?

Spojrzałem na Kaspara. Stał zbyt blisko ognia. Na jego policzkach zebrały się kropelki potu. Dźgnąłem pogrzebaczem upartą grudkę metalu, która nie chciała się rozpląnąć.

– Nawet jeśli odprawimy Jörga Dritzehna, co nam zostanie? Sztuka, która się nie sprawdziła, i przedsięwzięcie bez kapitału, za to z samymi długami. Ennelin, lustra, a teraz Dritzehn... Wszystko, czego się tkniemy, kończy się katastrofą.

Patrzyłem na tygiel, w którym ostatnie okruchy metalu zamieniały się w bezkształtną masę. Przypomniały mi się słowa wdowy po Dritzehnie: „Tyś to zrobił”.

Uniosłem głowę. Drach zniknął.

Poczułem obezwładniający strach. Czyżby Kaspar mnie opuścił? Czyżbym odstręczył go swoimi klęskami? Odwróciłem się od paleniska i popędziłem do stodoły.

Kaspar stał pochylony nad prasą. Z ulgą oparłem się o futrynę wrót. Stojąc do mnie tyłem, wyciągnął miedzianą płytę i umieścił ją w imadle. Zdjął z półki na ścianie piłę do metalu z drobnymi zębami.

– Powiedziałem, żebyś zebrał wszystkie płyty, abym mógł je zakopać.

Nie uniósł głowy.

– Ta nie należy do ciebie.

Przemierzyłem szerokość stodoły. Blask lamp oświetlał rowki wycięte w powierzchni układające się w wizerunek stada lwów i niedźwiedzi.

– To była forma do dziesiątki bestii. – Drach przyłożył ostrze piły do krawędzi płyty i powoli przeciągnął nią po metalu. Sypnęło iskrami.

– Co robisz? Nie wolno tego niszczyć. To jest twoja sztuka. Na miedzianej płycie pojawiła się wystrzępiona rysa.

– Nie niszczyć jej, tylko tworzę od nowa. Będziemy potrzebowali pieniędzy, by kontynuować twoją sztukę. Mogę zrobić więcej kart i je sprzedać. Zarobek nie będzie wielki, ale może nas uratować.

– Powiedziałeś, że połowy płyt już nie ma. A teraz niszczysz i tę.

– Ta karta stanowi sumę wszystkich. – Położył dłonie na płycie, zakrywając inne części. – Tu jest jedynka, dwójka, trójka... Mogę podzielić ją na kawałki i stworzyć dowolną kartę.

Objąłem go ramionami i przycisnąłem do siebie. Poczułem na sobie ciepło jego ciała. Byliśmy idealnie dopasowani. Kochałem go.

W tamtej chwili rozśpiewał się we mnie anioł. To, co Kaspar zrobił z kartą, ja mogę uczynić z odpustami.

Podrzemy wszystko na kawałki i rozpoczniemy od nowa.

LV

Strasburg

Na ekranie migwały nieme obrazy wojny i żałoby. Nick patrzył jak zahipnotyzowany. Śmierć brata Jerome'a wstrząsnęła nim i odebrała mu mowę.

Trzeba było złamać to zakłęcie. Chwycił pilota i wyłączył telewizor.

– Musimy stąd odejść.

W jego głosie pojawiła się pewność, której nigdy wcześniej nie czuł. Emily wyrwała się z odrętwienia.

– Nie mamy dokąd iść.

– Zacznijmy od tego, że wyjdziemy z hotelu. W telewizji powiedziano, że sąsiedzi po południu usłyszeli strzały. Sprawca jest zaledwie kilka godzin za nami.

– Mogli nas śledzić?

– To Jerome zasugerował Strasburg. Pokazał nam ekslibris i opowiedział o hrabim Lotaryngii. Musiał się domyślić, że tu przyjedziemy. Jeśli im powiedział...

Zeszli schodami do holu, a stamtąd wyszli na ulicę. Nick nie zauważył czarnego audi stojącego naprzeciwko hotelu. Śnieg padał mniej intensywnie, choć w stożkach światła pod latarniami wciąż wirowały białe płatki. Na ziemi leżało go już całkiem sporo. Emily i Nick zostawiali za sobą głębokie ślady, okrążając katedrę i skręcając w boczną uliczkę. Nick obejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Sklepy były zamknięte, pracownicy rozeszli się do domów.

Kilka ulic dalej znaleźli małe bistro. Nie było w nim wielu gości, lecz po zimowej pustce panującej na dworze wewnątrz wydało im się ciepło i przytulne. Palily się świece, a w powietrzu unosił się dymny zapach ziół, pieczonego mięsa i wina. Usiedli przy stole ukrytym za drewnianym filarem, który był niewidoczny z okien, lecz pozwalał obserwować drzwi. Zamówili *vin chaud* i *tartiflettes*. W innych okolicznościach byłby to wspaniały romantyczny wieczór: świece, grzane wino, kolana ocierające się pod małym stolikiem. Teraz intymność wydawała się Nickowi jeszcze jedną drwiną, szyderstwem świata, który wyrzucił go poza nawias.

Zakołysał kieliszkiem i popatrzył na fusy.

– Atheldene miał rację. Nie wiem, co to wszystko znaczy, ale to jest jakiś obłąd.

– Dla kogoś jednak coś to znaczy – zauważyła Emily. – Gdybyśmy nie byli na właściwym tropie, nie próbowano by nas powstrzymać.

– Nie znajdziemy Gillian. – Te słowa zabrzmiały gorzko w jego ustach. – Osiągnąłem tylko tyle, że kilku ludzi straciło życie. Bret, doktor Haltung, a teraz brat Jerome.

– Brat Jerome zginął z mojej winy – oznajmiła cicho Emily. – Gdybym cię tam nie sprowadziła, nie zostałby w to uwikłany.

– Gdybym ja cię tutaj nie sprowadził, ty nie byłabyś uwikłana. – Nick ścisnął mocno nóżkę kieliszka, tak że omal nie pękła.

Unióś wzrok. Emily wyglądała tak, jakby nie słyszała jego słów; jej twarz znieruchomiała, a oczy patrzyły beznamiętnie nad ramieniem Nicka. Chciał się obejrzeć, lecz złapała go za rękę i powstrzymała.

– Patrz na mnie. Trzy stoliki dalej siedzi mężczyzna, który obserwuje nas od pięciu minut.

Nick poczuł, że wzbiera w nim znajomy lęk.

– Jak wygląda?

– Ciemne włosy, mocno zbudowany. Zakrzywiony nos. Może być Włochem. Wszedł i nie zdjął płaszcza.

Nick zerknął na złocone lustro na ścianie, lecz nie zdołał zobaczyć podejrzanego mężczyzny. Jego mózg usilnie pracował.

– Mam pomysł. – Był cały spięty, lada chwila spodziewał się poczuć pistolet

na plecach. Skierował wzrok na Emily, aby się uspokoić. – Za chwilę zaczniemy się hałaśliwie kłócić. Ty zalejesz się łzami i pobiegiesz do łazienki. Ja wybiegnę z lokalu. Zostawimy plecak przy stoliku i zobaczymy, co on zrobi.

– A jeśli pogoni za tobą?

– Wtedy ty wyjdiesz za nim.

– A jeśli pójdzie za mną?

– Zacziesz krzyczeć na cały głos. Będę niedaleko. – Chwycił ją za nadgarstek. – Jesteś gotowa?

Skinęła głową, po czym nagle odepchnęła krzesło i zerwała się na równe nogi.

– Jak śmiesz tak mówić?! – krzyknęła. Brzęk sztućców i szmer rozmów ucichł. Nawet Nick się zdziwił. – Nie masz najmniejszego pojęcia, co czuję!

Rozejrzała się, uniosła ręce i pobiegła do toalety. Nick siedział przez chwilę jak oniemiały, a następnie odepchnął krzeselko tak, że wiszący z boku plecak był wyraźnie widoczny. Trzasnął dłonią w stolik, kładąc na blacie dwadzieścia euro, i ruszył w stronę wyjścia, nie odrywając wzroku od podłogi.

Zanim zamknął drzwi, usłyszał chrobot gwałtownie odsuwanego krzesła. Pobiegł po ubitym śniegu do najbliższego węgła, schował się za nim i wyjrzał.

Niemal w tej samej chwili drzwi restauracji gwałtownie się rozwarły i wyszedł z nich barczysty mężczyzna w długim czarnym płaszczu. Umieszczona nad drzwiami latarnia zalała go żółtym światłem. Nick zobaczył ciemne włosy i śniadą skórę, nos boksera oraz swój plecak w dłoni intruza. W jego sylwetce było coś znajomego. Może widział go w magazynie książek w Belgii? Rozejrzał się szybko w jedną i w drugą stronę i wyjął kluczyki z kieszeni. Zaciśnął dłoń i stojące po drugiej stronie ulicy czarne audi zamigotało pomarańczowymi światłami. Na dachu nie osiadł śnieg, więc samochód nie mógł tam długo stać. Nick usiłował przeniknąć wzrokiem przyciemnione szyby auta. Chciał zobaczyć, czy w środku ktoś jest.

Mężczyzna przemierzył jezdnię i otworzył drzwiczki po stronie kierowcy. Nick podjął decyzję. Śnieg tłumiał odgłos jego kroków. Mężczyzna sięgnął dłonią do plecaka. Przypuszczalnie sprawdzał, czy książka jest w środku. Usłyszał Nicka dopiero wtedy, gdy ten był tuż za nim. Nick zamachnął się i uderzył tamtego prosto w brzuch. Cały gniew, strach i frustracja nagromadzone przez

tydzień skupiły się w tym jednym ciosie. To było ostrze wściekłości. Mężczyzna zgiął się w pół; kluczyki wypadły z jego dłoni na śnieg. Nick kopnął je pod samochód, a potem rąbnął przeciwnika kolaniem w twarz i chwycił plecak.

Jednak Nick był amatorem, a tamten zawodowcem. Cios kolaniem wytrącił go z równowagi, ale nie powalił. Wielka dłoń wysunęła się i zacisnęła na rękę Nicka. Przekręcił dłoń i Nick poczuł się tak, jakby wrywano mu rękę w łokciu. Stopy utraciły przyczepność i runął plecami na śnieg.

Stracił oddech. Mężczyzna cofnął się o krok. Przez ułamek sekundy Nick myślał, że odwróci się i ucieknie. On jednak tylko robił sobie miejsce. Sięgnął za pazuchę i wyciągnął pistolet. Broń wydawała się maleńka w jego wielkim jak końskie kopyto łapsku.

Tak by się to skończyło. Rozlana na śniegu wokół ciała krew stężałaby i zamarzła. Nigdy by się nie dowiedział, co się stało z Gillian, nigdy by nie zrozumiał, dlaczego przybył do tego zimnego zakątka Francji tylko po to, by dokończyć żywota. To było tak niesprawiedliwe, że zawrzała w nim wściekłość.

Emily wynurzyła się z ciemności i rzuciła się na tamtego. Była zbyt drobna, by zrobić na nim wrażenie, lecz zdołała chwycić go za rękę i odciągnąć od Nicka.

On zaś skoczył na nogi i chwycił pistolet. Zacisnął dłoń na zimnej lufie i trzymał, walcząc o życie. Przez chwilę cała trójka tworzyła pulsującą płataninę kończyn, kołyszącą się i zataczającą wokół kawałka stali. Nagle coś się zmieniło. Nick stracił równowagę i poczuł, że jego policzek utkwiał w śniegu przygwożdżony ciężarem czyjegoś ciała.

– Nic ci nie jest?

Emily dźwignęła się i wstała. Nick także się pozbierał. Wciąż trzymał pistolet za lufę niczym małą maczugę. Gdzie jest przeciwnik?

Duży cień przemknął pod uliczną lampą. Nick się rozejrzył.

– On ma plecak.

– Poczekaj! – krzyknęła Emily, lecz Nick już puścił się biegiem. Śnieg skrzypiał mu pod nogami, a ręce pracowały tak mocno, że prawie nie zauważał ciężaru broni, którą trzymał. Przeciwnik był silny, ale nie umiał szybko biegać. Nick bez trudu utrzymywał go w zasięgu wzroku, gdy pędzili pustymi uliczkami. Czarno-białe domy z cegły i drewna wynurzały się z mroku jak

szkielety. Ich ukryte za okiennicami okna nie widziały gorączkowej pogoni.

Mężczyzna zerknął przez ramię, a potem skoczył w nieoświetloną boczną uliczkę. Jego duże ślady były widoczne na śniegu tym lepiej, że odcisnęło się w nim niewiele innych stóp. Nick zbliżał się do przeciwnika. Zauważył czarny połysk wody. Przebiegł po moście i obejrzał się.

Kamienic było mniej, zamiast nich pojawiły się trawniki i drzewa. Po prawej stronie dostrzegł gąszcz drewnianych murków i wieżyczek. Dziecięcy plac zabaw. Od mroźnego powietrza Nicka drapało w płucach. Widział jednak ściganego, który znajdował się zaledwie dwadzieścia kroków przed nim. Przełknął ślinę i biegł dalej.

Woda otaczała drzewa ze wszystkich stron. Musieli wbiec na wysepkę na rzece. Szereg zalanych blaskiem wysokich wież rysował się na tle ciemności w miejscu, w którym wyspa się kończyła.

Napastnik znalazł się w pułapce. Zwolnił kroku i stanął. Nick wykonał ślizg na oblodzonej ścieżce. Zachował dystans do przeciwnika. Uniósł dłoń, gdy tamten się odwrócił. Stali naprzeciwko siebie wśród drzew i śniegu w odległości dwunastu kroków niczym uczestnicy pojedynku. Ale tylko jeden z nich miał pistolet.

– Kim jesteś? – zawołał Nick. Noc pochłonęła jego słowa.

Mężczyzna nie odpowiedział. Spojrzał na plecak zwisający z jego dłoni i upuścił go na ziemię. Ruch przykuł uwagę Nicka. W tej samej chwili ręka Włocha wsunęła się do kieszeni. Nick znów skierował wzrok na przeciwnika. Mając nieprzyjemną świadomość, że popełnił błąd, uniósł pistolet, lecz jego palec zawahał się na spuście.

Tamten nie wyciągnął jednak drugiego pistoletu, tylko kartkę papieru. Złożył ją kilkakrotnie, a potem zaczął drzeć na kawałki.

– Przestań! – krzyknął Nick. Drobniutkie fragmenty posypały się na ziemię niczym płatki śniegu. Nick poruszył pistoletem, ale nie mógł z zimną krwią zastrzelić człowieka.

Promień jasnego światła omiół park. Rzeką nadpływała duża barka; szyper nie zamierzał ryzykować w ciemności. Za sekundę Nick będzie wyglądał jak aktor na scenie w blasku reflektorów. Opuścił broń i przycisnął rękę do boku. Ani on, ani jego przeciwnik nie śmieli się ruszyć. Wyglądali jak dwie sarny

zaskoczone na środku szosy.

Barka znalazła się na ich wysokości. Rzeka była w tym miejscu tak wąska, że kadłub niemal ocierał się o brzeg. Pokład był kilkadziesiąt centymetrów poniżej stóp Nicka. Oślepiający snop światła zalał park. W tej samej chwili Włoch skoczył. Przesadził reling i spadł na barkę niczym kamień. Nick podbiegł, lecz zobaczył tylko ścianę światła.

Zachrzęściły kroki. Odwrócił się błyskawicznie. Emily biegła przez park. Wokół niej niczym tuman mgły unosiła się para z wydychanego powietrza.

– Gdzie on jest?

Nick wskazał barkę znikającą za zakrętem rzeki.

– Wymknął się.

Podszedł do miejsca, w którym leżał plecak, i spojrzał na ziemię. Gdy jego oczy przywykły do ciemności, dostrzegł na śniegu kilka skrawków papieru i podniósł jeden z nich. Przypominał zwykły papier biurowy z zapisanym fragmentem słowa.

– Co to jest?

– Coś ważnego. Kiedy osaczyłem tego faceta, myślał tylko o tym, by to zniszczyć.

Uklękli na śniegu, drżącymi rękoma zamiatając ziemię i zbierając kawałeczki papieru. Nick dziękował Bogu, że nie ma wiatru. Zebrawszy wszystkie, które udało im się znaleźć, umieścili je w kieszeni plecaka. Emily spoglądała powątpiewająco na stos mokrych papierków niewiele większych od konfetti.

– Myślisz, że zdołamy coś z tego odczytać?

Nick się skrzywił. Poświata miasta odbiła się od śniegu, nadając jego twarzy niesamowity wygląd. Składam kawałki w jedną całość.

– Dysponujemy odpowiednimi środkami. Damy radę.

LVI

Podrzemy wszystko na kawałki i rozpoczniemy od nowa.

Uwolnwszy bestie z płaskiej klatki miedzianej płyty, Drach mógł sporządzić dowolną kartę, jaką chciał. Nawet jeśli zostało jedno zwierzę, mógł drukować je na tej samej karcie tyle razy, ile zapragnął. System był nie tylko doskonały, lecz pozwalał również na nieograniczoną zmienność.

Nie był to nowy pomysł. Wkroczyliśmy na tę drogę, dokonując podziału na cztery części matrycy do drukowania odpustów. Jednak nie podążyliśmy nią wystarczająco daleko. Pewnego popołudnia naliczyłem w tekście odpustu trzy tysiące siedemdziesiąt cztery znaki. Mogliśmy odlać każdy z osobna i złożyć je w jedną stronę. Tysiąc połączonych dusz tworzy jeden Kościół.

Hansowi Dunne'owi plan ten nie przypadł do gustu.

– Ilekroć napotykanie jakiś problem, znajdujecie odpowiedź, która stwarza dziesięć nowych problemów, a nie rozwiązuje pierwszego – upomniał mnie. Zapłaciłem mu jednak ponad sto guldenów za wykonanie miedzianych tablic, które okazały się tak kłopotliwe. Zignorowałem go.

Kasparowi także nie spodobał się mój pomysł.

– Działasz przeciwko sobie. Usiłujesz wspiąć się na górę, licząc kamienie. Przez resztę życia będziesz tak utrudniał tę sztukę, że nic nam ona nie przyniesie.

Pod koniec października wędrowaliśmy przez las. To było jak podróż przez ogień: zewsząd otaczały nas liście płonące żywymi odcieniami szkarłatu, ochry, żółci i pomarańczy. Drżały w podmuchach lekkiego wiatru. Niebezpieczny był to czas na wędrówki.

– Nawet jeśli ci się powiedzie, wyjdzie tak jak ze zwierciadłami – drażnił się ze mną Kaspar.

Wiele się wydarzyło od tamtej nocy, kiedy zmarł Andreas Dritzehn. Jego brat Jörg wytoczył mi proces sądowy, domagając się dopuszczenia do spółki, i przegrał. Sędzia przyznał mu piętnaście guldenów. Pielgrzymka do Akwizgranu odbyła się i minęła, relikwie schowano na następnych siedem lat. Część luster, w które pielgrzymi chwyтали święte promienie, wyszła z mojego warsztatu, lecz nie było ich wiele. Po pierwsze, znaczną ilość metalu musiałem sprzedać, by spłacić nawiązkę od długów. Później szyper barki oszukał nas, a myto, które trzeba było zapłacić na rzece, zdziesiątkowało nasze zasoby. Przy każdej okazji akwizgrańskie gildie rzucały nam kłody pod nogi. Z lawiny cyny i ołowiu, którą zamierzałem spławić Renem, wyszła wążutka strużka. Rzeka złota, której spodziewałem się w zamian, podzieliła ten los. Po spłaceniu kosztów, inwestorów oraz długów – między innymi piętnastu guldenów zasądzonych Jörgowi Dritzehnowi – pozostał śladowy wręcz dochód.

Kaspar nie cierpiał, gdy jego uwagi zbywało się milczeniem. Podjął trzecią próbę:

– To szaleństwo wyruszać teraz w drogę. Słyszałem, że w zeszłym tygodniu Breisgau zostało zrównane z ziemią. Puścili wioskę z dymem, a na węglach upiekli inwentarz. Niektórzy powiadają, że upiekli i pożarli również mieszkańców.

Wstrząsnął mną dreszcz. Od wielu miesięcy okolice Strasburga pustoszyła plaga dzikusów zwanych *Armagnaken*, które to słowo oznacza „biednych głupców”. Stanowili oni resztkę wielkiej armii, która od lat krążyła po Europie, służąc temu lub innemu księciu. Podstępna zmowa króla Francji, cesarza Niemiec i włoskiego papieża pchnęła ich do Szwajcarii, by spustoszyli Bazyleę. Król chciał się ich pozbyć z Francji, cesarz zamierzał przyłączyć Szwajcarię do cesarstwa, a papież dążył do tego, by raz na zawsze położyć kres obradom soboru, które Aeneas i jego towarzysze toczyli od ponad dziesięciu lat. Szwajcarzy stawili czoło *Armagnaken* i pokonali ich straszliwym kosztem. Niedobitki umknęły i zaczęły siać spustoszenie na terenach wzdłuż biegu Renu. Ludzie powiadali, że takiej pożodze i rozlewowi krwi może dorównać jedynie apokalipsa. Wiosną maruderzy dotarli w pobliże Strasburga. Tysiące ludzi poniosło śmierć.

Knieja straciła swój urok. Spoglądałem w jej głąb, usiłując dojrzeć, co czai się za rozplomionym listowiem.

□ □ □

– Nick? Co, u diabła, się z tobą dzieje? Doszło mnie wiele złych wieści.

Urthred Nekromanta kroczył po swojej komnacie. W kominku huczał ogień.

Szętany jednorożec stał posłusznie w kącie.

– Długa historia. Potrzebuję pomocy.

– Gdzie jesteś?

– W Strasburgu.

– To w Kentucky?

– We Francji.

– Słusznie. – Na twarzy Urthreda widniał woskowy grymas. – Tak się składa, że przebywam obecnie daleko od Francji.

– Potrzebny mi jest skaner dużej rozdzielczości i potężny kanał transmisyjny. Najszybszy, jaki jest dostępny. Przyszło mi na myśl, że możesz kogoś znać.

Urthred stuknął kosturem w kamienną posadzkę. Trysnął spod niego snop błękitnych iskier.

– A niech mnie, Nick, nie mam z tobą łatwego życia. Która u ciebie godzina?

Nick spojrział na zegarek.

– Dwudziesta pierwsza.

– Wiesz, wcale nie jest fajnie. – Nastąpiła pauza, a po niej pełne irytacji westchnienie. – Sprawdzę, czy mam jakieś kontakty wśród cierpiących na bezsenność francuskich speców od baz danych, którzy palą się do pomocy ludziom uciekającym przed wymiarem sprawiedliwości. Nie oddalaj się zbytnio.

Urthred zniknął w chmurze dymu. Nick zdjął słuchawki z uszu i uniósł głowę znad laptopa. Ekran zapełniały spowite pajęczynami mury wieży Nekromanty oraz tumany mgły. W rzeczywistości Nick znajdował się w podziemnym barze przy Quai Saint Jean, którego ściany były grubo pomalowane czerwoną farbą. Wnętrze wypełniała zawiesina dymu z papierosów. Nick miał wrażenie, że klienci baru są równie dziwaczni jak mieszkańcy Gotyckiej Jaskini: mieli poprzekłuwane wszystkie możliwe fragmenty ciała, włosy ufarbowane na

czerwono, purpurowo lub zielono, a na ich szyjach i pasach kołysały się stalowe łańcuchy. Żaden nie wyglądał na takiego, który przyszedł po to, by skorzystać z darmowego bezprzewodowego łącza internetowego.

– Jesteś pewien, że to odpowiednia chwila na gry komputerowe? – zapytała Emily siedząca obok niego na wytartym stołku i popijająca szkocką z colą.

– Znasz slogan „Sieć to komputer”? – Pokręciła głową. – W wymiarze ludzkim sieć to Randall. Urthred. Jeśli istnieje ktoś, kto może nam pomóc, Randall przypuszczalnie go zna.

– Nie rozumiem. Przecież mamy tutaj łącze internetowe.

– Ale nie dość szybkie. A musimy zeskanować obrazy. Nie da się tego zrobić za pomocą aparatu w telefonie komórkowym.

Na ekranie komputera niktąd pojawił się Urthred. Nick włożył słuchawki, usiłując nie zwracać uwagi na drwiące spojrzenia.

– Znalazłem – oznajmił chełpliwie. – Słyszałeś o mieście Karlsruhe?

– Nie.

– Znajduje się w Niemczech. Według Interweb to mniej więcej godzina jazdy od ciebie. Hochschule für Gestaltung. To jakaś szkoła techniczna. Na wydziale informatyki jest tam laska, która może cię zalogować do sieci. Nazywa się Sabine Friman.

Nick się zawahał.

– Dostaniemy się tam bez samochodu?

– A ja co, chłopiec na posyłki? – Urthred zbliżył się do wielkiej księgi rozłożonej na pulpicie w kształcie orła. – Podają, że jest pociąg ze Strasburga do Frankfurtu o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt, który zatrzymuje się w Karlsruhe. Wagon restauracyjny też mam ci znaleźć?

– Jakoś trafimy. – Nick wyciągnął rękę do pokrywy laptopa, by go zamknąć. – Ale musisz mi załatwić jeszcze jedną rzecz.

□ □ □

Być może w lesie czaiły się niebezpieczeństwa, lecz dotarliśmy do celu bez szwanku. Schlettstadt było niepozornym miasteczkiem leżącym około trzydziestu kilometrów od Strasburga w górę biegu Illu. Podobnie jak wiele miast w owym czasie trwało w stanie gotowości do oblężenia. Na murach stali wartownicy,

a bramę otwarto nam dopiero wówczas, gdy dowiedliśmy, że nie mamy broni. Podejrzliwe spojrzenia odprowadzały nas, gdy krętymi uliczkami zdążaliśmy pod górę w stronę kościoła.

– Zauważyłeś, że złotnicy zawsze mają warsztaty w pobliżu kościołów? – mruknął Drach. – Jezus nauczał ubóstwa i wyrzeczenia się ziemskich dóbr.

– Nie mów za głośno. Wszyscy biorą nas tu za awangardę *Armagnaken*. Nie pogarszaj dodatkowo sytuacji, robiąc z nas wyzwolonych heretyków.

Znaleźliśmy cel naszej wyprawy w otynkowanym na czerwono belkowanym domu o stromym dachu. W zasadzie nie różnił się od innych warsztatów złotniczych: na ścianach umieszczono narzędzia oraz skrzynki z paciorkami i drutem, za kratą gabloty lśniła patera, a tu i ówdzie widniały ślady rtęci oraz roztopionego metalu.

Jednak wyroby nie były świeże. Z pieca na tyłach domostwa nie unosił się dym, a kowadła milczały. To były chude czasy dla złotników: nie sposób obrać złota, gdy leży ono ukryte pod materacami i podłogą.

Oparłem się na pustej ladzie i zajrzałem do środka. Jakiś mężczyzna siedział na taborecie, zdejmował pierścionie z pręta i polerował je.

– Pan jest Götz? – spytałem.

Skinął głową. Był w wieku około trzydziestu lat. Miał bujną brązową czuprynę i szczupłą twarz. Przedstawiłem się.

– Należę do cechu złotniczego w Strasburgu. Widziałem broszę pana roboty z Chrystusem na krzyżu. – Brosza stanowiła własność Andreasa Dritzehna. Dyskretnie dowiedziałem się, kto ją zrobił. – Liternictwo na inskrypcji jest wyborne. Bardzo dokładne.

Götz w milczeniu przyjął komplement.

– Domyślałem się, że wyźłobił pan litery punktakiem.

Tamten spojrzał na mnie. Przyjąłem to ze zrozumieniem.

– Nie chcę wykraść pana sekretu. Chcę go kupić.

Położyłem na ladzie sakiewkę z monetami.

– Chcę, żeby zrobił pan dla mnie zestaw punktaków takich jak pańskie.

Götz popatrzył na sakiewkę, ale jej nie dotknął.

– Mogę panu wyciąć punktaki. – Zawahał się. – Ale nie dokładnie takie jak moje własne.

– To znaczy?

Mężczyzna ostrożnie dobierał słowa.

– Chodzi panu o punktaki, które będą odciskały każdą literę w metalu. Takich nie mam.

– Ale na broszce...

– Może pan przeszukać mój warsztat od góry do dołu i nie znajdzie pan ani jednego punktaka z literą.

Przywołałem w pamięci szczegóły wyglądu broszki.

– Wszak nie wyciął ich pan ręcznie?

Götz odsunął od siebie sakiewkę.

– Wolałbym tego nie mówić.

Zły i bezradny już miałem odejść. Zatrzymał mnie jednak połysk złota w gablocie. Spojrzałem przez ołowiowe szkło.

– Mogę obejrzeć ten puchar?

Widziałem jego wątpliwości, lecz sakiewka wciąż leżała na ladzie, a ja byłem być może jedynym klientem, jakiego miał w tym tygodniu. Otworzył szafkę i podał mi puchar. Naczynie miało około osiemnastu centymetrów wysokości, wybrzuszoną nóżkę oraz misę wysadzaną granatami. Na podstawie widniał werset z Ewangelii Świętego Jana.

Przyglądałem mu się przez chwilę, dotykając palcami ostrych nacięć. Linie były zbyt proste i równe jak na wycięte ręcznie. Musiały zostać wytłoczone. Tymczasem Götz twierdził, że nie ma literowych punktaków.

Odłożyłem puchar i wziąłem sakiewkę.

– Dziękuję panu.



Wysiedli z taksówki pod Hochschule für Gestaltung. Nick dostrzegął w ciemności jedynie grupkę prostokątnych, nieciekawie wyglądających budynków otoczonych drzewami. Sabine Friman stała obok drzwi i czekała na przybyszów. Była drobną kobietą. Miała krótkie blond włosy sterczące wokół jej uszu jak u elfa, niebieskie oczy oraz opaloną twarz. Było zimno, lecz ona miała na sobie jedynie oliwkowozielony top i spodnie bojówki.

– Przybywa Wędrowiec – powiedziała. Mówiła perfekcyjnie po angielsku ze skandynawską wyrazistością. – Mielicie dobrą podróż?

Wprowadziła gości do środka. Mimo późnej pory na korytarzach przebywało wielu studentów. Było ciepło, jasno i schludnie. Nick od dawna nie czuł się tak bezpiecznie.

– Randall uprzedził mnie, czego wam trzeba. – Sabine otworzyła drzwi jednym z kluczy przyczepionych do paska. W małym, pozbawionym okna pomieszczeniu znajdował się monitor komputerowy i skaner ustawiony na składanym plastikowym stoliku. – Skaner ma rozdzielczość dwa tysiące czterysta dpi. Jesteśmy bezpośrednio podłączeni do sieci bazowej i-dwadzieścia jeden.

– Świetnie. Możemy zacząć od skanera?

Sabine uniosła klapę urządzenia i wyciągnęła rękę. Zdziwiła się, gdy Nick sięgnął do kieszeni i podał jej garść kartoników wyglądających jak kartki z pozdrowieniami.

– Zapomniałeś o czyichś urodzinach?

Nick odwrócił jedną z kartek. Na lśniącej powierzchni widniała mozaika ułożona z drobnutkich skrawków papieru.

– Potrzebowaliśmy refleksyjnego tła o wysokim kontraście. Na dworcu nie było niczego innego. – Tak się szczęśliwie złożyło, że pociąg był prawie pusty, toteż niewielu pasażerów zachodziło w głowę, dlaczego dwoje młodych ludzi okleja papierkami kartkę pocztową. – Dzięki temu łatwiej będzie zeskanować obraz.

Sabine ułożyła kartki na skanerze i zamknęła wieko. Urządzenie zamruczało, po panelu wolno przesunęła się linia zielonego światła.

– Trzeba jeszcze załadować obraz – oznajmił Nick, siadając na metalowym krzeselku. – Teraz będzie ciekawie.

Sabine nachyliła się nad jego ramieniem i popatrzyła na ekran.

– Jak to dokładnie działa?

– Ładujemy obrazki na serwer, którego mój program jest klientem. Program pobiera kawałeczki i zamienia je w pojedyncze obrazy. Następnie analizuje kształt krawędzi liter i słów i składa je w pierwotną całość. Tak jakby układał puzzle.

Emily spojrzała na komputer, jakby to był przedmiot z innej planety.

– Nie możesz tego zrobić na swoim laptopie?

– Moc obliczeniowa potrzebna do takiej operacji przekracza możliwości

domowego komputera. – Nick otworzył przeglądarkę i wpisał adres strony. – To tak jakby rozwiązać wszystkie możliwe wyniki partii szachów, tyle że bierki są tysiące i mają różne kształty. Obróbki dokonują potężne serwery centralne. Te należą do ludzi, którzy finansują moje badania.

– Któż to taki?

– FBI.

Nawet chłodna jak lód i opanowana Sabine straciła rezon.

– Chcesz się stąd włamać do sieci komputerowej FBI?

– Nie będę się nigdzie włamywał. Podejdę do drzwi frontowych, podam aktywną nazwę użytkownika i hasło.

Sabine spojrzała nań z ukosa.

– Randall wspomniał, że ostatnio nie masz dobrych układów z policją.

– Miał na myśli nowojorską policję. Sekcja FBI, która mnie finansuje, znajduje się daleko od tej, która zajmuje się ściganiem czarnych charakterów. Jeśli dopisze nam szczęście, prawa ręka nie powie lewej, co jest grane. W końcu nikt się nie spodziewa, że wejdę do komputera FBI.

– Może. – Emily splotła ręce na piersi i przeszła pod drugą ścianę salki. Sabine zerknęła na nią i na Nicka.

– Chcecie coś do picia?

– Coś z kofeiną. To będzie długa noc.

Sabine wyszła. Emily zbliżyła się, żeby zobaczyć, co robi Nick. Ku jej zdziwieniu zeskanowany obraz ustąpił miejsca gęstemu lasowi, przez który Nick prowadził jednookiego mężczyznę w szarym płaszczu i brązowym hełmie.

– Gotycka Jaskinia?

Nick nie uniósł głowy.

– Ci, którzy nas śledzą, podążali za nami krok w krok. – Emily zauważyła, że palce Nicka zaciśnięte na myszce pobielaly. – Nie chcę, żeby Sabine skończyła tak jak brat Jerome, dlatego wybieram okrężną drogę.

Wędrowiec wydostał się na polanę otaczającą olbrzymi dąb. Drzewo było bardzo wiekowe. Konary zwisały nisko, a pomarszczoną korę znaczyły ślady chorób. Pień otaczało kłębowisko sękatych korzeni wystających z ziemi.

– Przybyłeś. – Zza drzewa wychynął Urthred Nekromanta. Jego twarz wyrażała rozczarowanie.

– Udało ci się? – spytał Nick.
– Opowiadałem ci kiedyś o tym, jak FBI złożyło mi wizytę, kiedy miałem szesnaście lat. – Urthred przyjrzał się listkom na niskiej gałęzi dębu. – Nie były to najszcześniejsze chwile mojego życia.
– Chcę tylko, żebyś doprowadził mnie do drzwi.
– Wszystko jest przygotowane. – Urthred wskazał podnóże drzewa. Gruby korzeń rozszczepił się na dwoje niczym pęknięta podkova i rozgarnął ziemię. W rozgałęzieniu ział trójkątny ciemny otwór. – Oto twoja droga.

Wędrowiec wskoczył i pochłonął go mrok. Ekran zrobił się czarny. Nick czekał, co się stanie. Zielona dioda na karcie sieciowej migiała intensywnie, lecz ekran wciąż był pusty. Czyżby Randall nawalił?

– Czy coś powinno się wydarzyć? – zapytała Emily.
– Poprosiłem go o otworzenie bezpiecznego łącza z serwerami FBI w Waszyngtonie. Mam nadzieję, że dzięki temu nikt nie zdoła nas namierzyć. – Nick zabębnił palcami w blat biurka, nie spuszczać oka z monitora. Widział jedynie swoje odbicie. – Jeśli się tam dostaniemy

Pojawił się niebieski ekran z godłem państwowym i nazwą FEDERAL BUREAU OF INVESTIGATION u góry. Nick nigdy nie myślał, że tak się ucieszy na jej widok. Wpisał swoje hasło i wstrzymał oddech.

Hasło przyjęte

Ekran znów się zmienił i ukazała się na nim lista plików i folderów. Nick kliknął jeden z nich i wprowadził nazwę. Światelka na łączu internetowym oszalały, a zielony pasek przesuwający się na ekranie sygnalizował przesyłanie pliku.

– Jak długo będziemy musieli czekać? – zapytała Emily.
– Może w pół godziny się załaduje. A później... – Nick wzruszył ramionami. – Program napisano tak, by radził sobie z workami strzępów materiału naraz, więc z jednym arkuszem powinno pójść szybciej. Z drugiej strony nie wiemy, czy mamy wszystkie kawałki i czy bardzo nasiąkły w śniegu. No i pozostaje kwestia obrazu, który widniał na arkuszu. Im więcej szczegółów, zwłaszcza słów, tym łatwiej algorytm go rozpracuje.

- Nick, jesteś tam? – Z głośników komputerowych dobiegł oderwany od ciała głos Randalla. Nick nachylił się do mikrofonu, który wcześniej podłączył.
- Poszło idealnie.
- Właśnie to chcę ci powiedzieć. Ktoś węszy wokół tego połączenia. Logując się, musiałeś uruchomić jakiś dzwonek alarmowy.
- Czy ten sygnał pochodzi z Waszyngtonu?
- Nie wygląda na to. Ile jeszcze czasu potrzebujesz? Nick spojrzął na pasek stanu.

PRZESYŁANIE: 12 %

- Trochę to potrwa.

□ □ □

- Odbyliśmy tę podróż nadaremnie – mruknął z wyrzutem Kaspar. Zauważyłem jednak, że mówiąc to, zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

Podjąłem grę.

- A ja uważam, że była pożyteczna.

Zamilkł na chwilę, udając, że nie chce usłyszeć, co mam do powiedzenia. Ja zaś udawałem, że nie chcę mu wyjawiać swoich myśli.

- Jak to?

– Każda litera ma inny kształt, lecz każda składa się z pewnej liczby podstawowych kształtów. Kreska, kropka, laseczka. Zdaje mi się, że za pomocą zestawu sześciu, może dziesięciu punktaków można wybić niemal każdy znak.

Drach prychnął.

– Redukowanie. Kartkę dzielisz na słowa, a słowa na litery. Teraz litery rozdrabniasz na linie. Później będziesz chciał stworzyć każdą linię z pojedynczych drobin metalu. I wciąż nie wiesz, jak sprawić, żeby to wszystko ułożyło się w całość.

- Götz to wie.

- Czemu więc go nie zatrudnisz?

– Może to zrobić. – Miałem dość Dunne'a. Podejrzywałem, że dawno przestał wierzyć w nasze przedsięwzięcie i teraz widzi we mnie tylko strumień

łatwych pieniędzy, z którego chce czerpać najdłużej, jak się da. – Wpierw jednak muszę wiedzieć, o co poprosić Götza.

Westchnąłem. Próby zrozumienia projektu na wszystkich poziomach od gotowej matrycy po najdrobniejszy fragment każdej litery pochłonęły cały mój umysł. Każdy poziom był uzależniony od innych, a najmniejsza modyfikacja jednego zmieniała wszystko. Przypominałem kogoś, kto chce wyobrazić sobie projekt katedry i jednocześnie znać każdą cegłę, z której budowla się składa. Czasem dostrzegałem harmonię całości, czułem jej wibracje. Częściej jednak męczył mnie ból głowy.

– Powinniśmy wracać.

Kaspar obejrzał się i zerknął na wieżę zegara.

– Ściemni się, zanim pokonamy połowę drogi.

– Znajdziemy gospodę.

Minęliśmy bramę i znaleźliśmy się na szlaku do Strasburga. Niebo zasnuły wiszące wysoko obłoki. Pozbawione blasku słońca liście nie mieniły się kolorami. Wyglądały staro. Ich widok wprowadził mnie w melancholijny nastrój. Patrzyłem na ich pomarszczone oblicza. Lśniąca zieleń młodości ustąpiła przed suchym brązem. Ujrzałem w nich odbicie własnej twarzy. Sakiewka ze złotem ciążyła mi w kieszeni jak ołów.

Nie zajechaliśmy daleko, gdy obok szmeru liści i wody dał się słyszeć nowy odgłos. Do naszych uszu doleciało stukanie kopyt i pomruk rozmowy. Spojrzeliśmy na siebie, zesłiśmy z traktu i przycupnęliśmy za dwoma niskimi dębami. Ścisnąłem sakiewkę za pazuchą i wyteżyłem wzrok.

LVII

Karlsruhe

PRZESYŁANIE UKOŃCZONE

– Teraz zaczną się schody.

Nick wziął głęboki oddech i wystukał na klawiaturze kilka poleceń. Ikony plików znikły, ekran pokrył się mglistą purpurą. Jeden po drugim pojawiły się białe kleksy niczym krople deszczu na szybie. Niektóre poblakły i rozplynęły się, inne zaś skupiły się w grupki i rozszerzyły na cały ekran. Efekt był hipnotyczny.

– Piękne – rzuciła Emily. – Czy to właśnie wykonuje ten program?

Nick stuknął klawisz. Ekran znikł.

– To wizualizacja. Ci, którzy wypisują czeki, lubią coś takiego widzieć. Dzięki temu napływają granty, lecz działanie jest spowolnione.

Emily spojrzała z niepokojem na zegarek.

– Musimy tutaj czekać? Nie możesz zostawić uruchomionego programu i odebrać wyników gdzie indziej?

– Program nie jest do tego przeznaczony. Federalni zaczynają przebierać nogami, gdy zostawia się poufne informacje bez opieki. Nawet w komputerze. Jeśli się wylogujesz, program się wyłącza.

– A więc musimy tu siedzieć?

Nick odsunął krzesło i otworzył puszkę coli.

– Jeśli masz ochotę, możesz udać się na wędrowkę po rozległym świecie Gotyckiej Jaskini.

Nacisnął klawisz i znów ukazało się wnętrze lasu. Urthred siedział na skraju polany i drapał się szarpanymi ruchami. Oznaczało to, że Randall jest zajęty.

Emily spojrzała na lśniący las.

– Czy wszystkie gry wideo mają furtki, którymi można się dostać do komputerów FBI?

– Randall jest magiem siedemdziesiątego pierwszego stopnia. – Nick zauważył, że Emily niewiele to wyjaśnia. – Robił coś dla wydawców Gotyckiej Jaskini. Ma szeroki dostęp.

– Oraz mnóstwo kłopotów.

Wędrowiec się odwrócił. Urthred zaszedł go od tyłu. Najwyraźniej Randall wcielił się w swoją postać.

– Rozszalała się prawdziwa burza. Ktoś był wszechstronnie przygotowany na twoje wejście na konto i próbuje je przydusić. Zmasowany atak typu bot.

– Co to znaczy? – spytała Emily.

Nick zakrył mikrofon.

– Tamci mają sieć komputerów zombie, czyli zainfekowanych wirusem, i wykorzystują wszystkie, by jednocześnie łączyły się z serwerem FBI. – Pomyślał przez chwilę. – Wyobraź sobie fontannę, do której ludzie chodzą napić się wody. Jeśli każdy podchodzi po kolei, wszystko gra. Ale co się stanie, jeśli fontannę otoczy rozszalały tłum ludzi, którzy biją się i chcą zaczerpnąć odrobiny w tym samym czasie? Zbierze ich się tylu, że zablokują dopływ i woda przestanie wypływać. Rura zostanie zatamowana albo pęknie i fontanna zamieni się w ruinę. Właśnie do tego dążą ci, którzy organizują atak.

– Uda im się?

– Już udało im się wkurzyć federalnych – oznajmił z głośników głos Randall. – Teraz nam także siedzą na karku.

– Myślisz, że zamkną program?

– Wątpię. Chcą, żebyś pozostał zalogowany.

– Dlaczego?

– Żeby dowiedzieć się, gdzie jesteś.

□ □ □

Zza zakrętu gościńca wyłoniły się dwa konie. Obaj jeźdźcy mieli na sobie kolczugi, a w dłoniach dzierżyli lance. Nie widziałem insygniów, choć to i tak niewiele znaczyło. Wielu rycerzy straciło swoje odzienie na rzecz *Armagnaken*. Przypadłem mocniej do ziemi.

Jednak jeźdźcy stanowili przednią straż. Za nimi podążała grupa pieszych mężczyzn i kobiet, którzy śmiali się i rozmawiali. Było ich około dwudziestu. Wielu szło z kosturami i miało na sobie peleryny z uniesionymi kapturami chroniącymi przed jesiennym chłodem. Byli to pielgrzymi, którzy przypuszczalnie zmierzali do kaplicy Świętego Teobalda w pobliżu Strasburga.

Odetchnąwszy z ulgą, wyszedłem na drogę. Jeden z jeźdźców dojrzał nas i popędził konia. Nie uskakując ze szlaku, zrobiłem znak krzyża. Jeździec spał wierzchowca tuż przede mną.

– Coście za jedni?

– Wędrowcy w drodze do Strasburga. Możemy przyłączyć się do kompanii?

Spośród pielgrzymów wystąpił tęgi ksiądz z oficjalną miną.

– Możecie zapłacić?

Zamilkłem stropiony.

– Szlak jest niebezpieczny. – Ksiądz wskazał jeźdźców. – Wyłożyliśmy na tych strażników z własnej kieszeni. Jeśli chcecie skorzystać z ich opieki, powinniście się dołożyć.

Lęk przeważał nad moim poczuciem niesprawiedliwości.

– Mogę się dołożyć.

Kapłan wyciągnął rękę.

– Od razu.

Sięgnąłem za połą koszuli i wsunąłem dłoń do mieszka. Chciałem wydobyć miedź, a nie złoto. Pielgrzym chwycił monetę, obwąchał ją i wskazał na Kaspara.

– Za niego także.

– Kiedy bezpiecznie dotrzemy do celu.

□ □ □

Drzwi otworzyły się raptownie. Zaskoczony podczas drzemki Nick omal nie spadł z krzesła. Sabine weszła do pokoju z dwiema puszkami coli. Na ekranie Urthred i Wędrowiec zataczali nierówne kręgi wokół polany skąpanej w blasku nieprawdopodobnie jasnego księżyca.

– Robicie postępy?

Nick potarł oczy.

– Nie wiem. Która godzina?
– Czwarta rano.
– Szlag by to trafił. – Otworzył palcem puszkę, usiłując sobie coś przypomnieć. Coś, o czym myślał przed zaśnięciem. Był pewien, że to ważne.

– Kiedy operacja na serwerze dobiegnie końca, musimy się stąd szybko związać. Ty też. Ścigają nas typy spod ciemnej gwiazdy. Lepiej, żeby cię tu nie było, kiedy się zjawią.

Sabine skinęła głową.

– Mam samochód.
– Świetnie.
– Hej, Nick – warknął z komputera głos Randalla. – Mamy problem. Tamci znaleźli słabe ogniwo naszego łącza.

Nick chwycił słuchawki i wsunął jedną na ucho.

– Jakie słabe ogniwo?
– Gotycką Jaskinię. Ustawiłem to tak, że gra działa jak zawór. Nie mogą spenetrować połączenia między Waszyngtonem a grą ani między grą a miejscem, w którym się znajdujesz. Ale nie można ich powstrzymać przed wejściem.

W głośnikach rozległ się tętent kopyt. Wędrowiec rozejrzył się dookoła. Coś poruszało się w głębi kniei.

– No to pięknie.

Spomiędzy drzew wychynął rycerz na monstualnym koniu. Światło księżycy odbijało się od ostrych ćwieków, którymi najeżona była jego czarna zbroja. Przyczepione do nich wystrzępione wstęgi powiewały na wietrze. Nick, który widział już takie rzeczy, podejrzewał, że są to strzępy ciał rozszarpanych wrogów. Za pasem rycerza pysznił się niewielki arsenał złożony z kolczastych obuchów, mieczy oraz toporów, a w prawej ręce tkwiła przerażająco długa lanca.

Wędrowiec dobył miecza.

– Rycerz Śmierci nie jest nową postacią. Oni musieli już tutaj być.
– Pewnie wykupili go od jakiegoś młodego Koreańczyka na eBayu. – Urthred Nekromanta zacisnął pięść. Z jego kostura wypłynął mglisty obłoczek i zamienił się w kopułę blasku, która otoczyła maga.

– Nie będą wiedzieli, jak się nim posługiwać.

Rycerz krążył na koniu. Nagle wierzchowiec stanął na tylnych nogach. Z jego pyska buchnął płomień i zalał polanę. Ziemia poczerniała, krzak się zapalił.

– Może kupili postać razem z użytkownikiem – rzekł Nick.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – Emily usiadła na krześle obok niego. – Co się stanie, jeśli zginiesz w grze?

– Wypadasz i nie wolno ci się zalogować przez czterdzieści osiem godzin.

– To bardzo źle?

– Nasze łącze z głównym serwerem FBI biegnie przez grę. Jeśli zginiemy w Gotyckiej Jaskini, zostaniemy wylogowani, a program się zamknie.

– To nie wszystko. – Randall cofał się powoli w stronę drzewa, tak by magiczna osłona podążała wraz z nim. – Nie miałem czasu, by zabezpieczyć połączenie z tej strony. Jeśli się do niego wedrą, wyśledzą miejsce, w którym się znajdujesz.

– A więc co robimy? – zapytała Emily.

– Nie możemy zginąć. I nie wolno ich wpuścić do tej dziury pod drzewem. Rycerz opuścił lancę i ruszył do szarży.



Zatrzymaliśmy się przy rozwidleniu traktu w lesie. Nadchodziła noc. Pielgrzymi od godziny przycichli, pilnie rozglądając się za kryjówką. Jeźdźcy naradzali się z otyłym księdzem. Usłyszałem strzępy ich niespokojnej rozmowy. Jeden miał w pamięci gospodę stojącą półtora kilometra od Strasburga. Drugi jej nie pamiętał, lecz był pewien, że boczna droga prowadzi do wioski, w której znajdziemy schronienie. Pielgrzymi pragnęli odpoczynku. Słońce zaczęło się kryć za drzewami.

Zbrojni postanowili, że ruszymy w stronę wioski. Skręciliśmy na nierówną drogę biegnącą przez las ku rzece. Wkrótce ciepła woń dymu przyniosła obietnicę kominka, ognia i pieczystego. Przyspieszyliśmy kroku, chcąc prześcignąć ciemność oraz potwory, które mogła ściągnąć.

– Nadstaw uszu – rzekł Kaspar.

– Co mówisz? – Wytężyłem słuch. Słyszałem tylko szmer rzeki i wiatru poruszającego koronami drzew. – Nic nie słyszę.

– Zachodzi słońce. Dlaczego koguty nie pieją? Gdzie szczekanie psów i nawoływania dzieci? Gdzie kościelne dzwony?

Wtem ciszę rozdarły krzyki. Jeźdźcy popędzili konie. Pielgrzymi ruszyli za nimi biegiem, nie chcąc pozostać w tyle. Kaspar i ja zamykaliśmy pochód. Minęliśmy zakręt i ukazała się wioska.

Nie była duża: składała się z kilkunastu chat i stodół otaczających kościółek na polanie. Za kościołem, nad brzegiem rzeki, wznosił się kamienny młyn. Wieś była opuszczona. Jedyny dźwięk wydawało obracające się koło.

Po chwili moje oczy przywykły do światła gasnącego dnia. Wioska została spustoszona. Na zawiasach kołysały się roztrzaskane drzwi. Ziemia przed młynem była biała jak śnieg od mąki wysypanej z rozciętego worka. W kilku miejscach ciemniały plamy krwi. Dym, który wyczuliśmy w lesie, nie pochodził z kuchennych palenisk ani z pieców piekarni, tylko z popiołów.

Strażnicy objechali wioskę z mieczami w dłoniach. Zagląдали do chat przez stłuczone okna i otwarte drzwi. Większość pielgrzymów skupiła się na placu przed kościółkiem, choć kilku odważyło się rozproszyć. Jedna z kobiet ubrana w białą suknię zapuściła się do kościoła. Być może chciała się pomodlić, a może myślała, że znajdziemy tam schronienie, gdyż kościół jako jedyny budynek w wiosce miał nienaruszony dach.

– Gdzie się podziiali wieśniacy? – zapytał Kaspar.

– Może zdążyli uciec?

Kaspar wskazał ciemne plamy na dywanie z mąki.

– Komuś się nie udało.

Jeden z jeźdźców podjechał do nas. Przedwieczorny cień skrywał jego twarz.

– Musimy stąd odejść – oznajmił posępnie.

– Odejść? – Ksiądz okazywał gniew nawet w tym strasznym miejscu. – Jest już prawie ciemno. Któż może wiedzieć, gdzie są sprawcy tego nieszczęścia? Jeśli teraz ruszymy w drogę, możemy ich napotkać w ciemności i będziemy straceni.

– Popiół jest wciąż ciepły. Nie odeszli daleko i mogą wrócić. Za stajnią znaleźliśmy trzy spętane muły.

– Wolałbym...

Ciszę rozdarł nagły wrzask. Ksiądz także krzyknął i padł na kolana. Pielgrzymi obejmowali jeden drugiego i rozglądali się trwożnie. Kobieta w białej sukni stała w drzwiach kościoła. Dół jej sukni był zbryzganym krwią, a twarz wyrażała trwogę.

– Nie podchodźcie tutaj! – zawołała. – Nie patrzcie na to.

Kilkoro pielgrzymów, nie zważając na jej ostrzeżenie, rzuciło się w stronę kościoła. Kaspar złapał mnie za rękaw.

– Ile pieniędzy masz w sakiewce?

– Wystarczająco dużo, by warto mnie było zabić.

– Może uda nam się przekupić strażników i namówić ich, by zawieźli nas do Strasburga. Gdyby każdy wziął jednego z nas...

Grupa pielgrzymów zaczęła się rozpraszać. Część poszła spojrzeć na masakrę w kościele, część zaglądała do opuszczonych domostw; jeszcze inni ruszyli w stronę stodoły, licząc na to, że zabiorą dla siebie muły. Nad chaosem górowały postacie dwóch jeźdźców, którzy siedzieli na wierzchowcach i gorączkowo się naradzali.

Na nasz widok przerwali rozmowę.

– Czego chcecie?

– Chcemy dopomóc – odparł Drach.

– Macie miecz?

– Nie, ale mamy plan. Ta zbieranina nie zdoła się obronić laskami i scyzorykami. Nasza jedyna nadzieja w tym, że ktoś pojedzie i sprowadzi pomoc.

Strażnicy w milczeniu wymienili spojrzenia.

– Tak się szczęśliwie składa, że mój towarzysz ma sakiewkę pełną złota. Jeśli zawieziecie nas do najbliższego miasta, możemy wynająć gromadę zbrojnych i sprowadzić ich tutaj. Ale musimy ruszać niezwłocznie, zanim *Armagnaken* zwietrzą naszą obecność.

– Niegorszy plan – orzekł jeden ze strażników. – Powiedzieć księdzu?

– Nie ma czasu.

– A zatem ruszajmy... Chryste w piekle!

Wierzchowiec bez żadnego ostrzeżenia stanął dęba. Z jego piersi trysnęła czarna w półmroku posoka. Tuż pod szyją konia tkwiła strzała. Kaspar i ja odskoczyliśmy, ledwie unikając zmiżdżenia przez kopyta, które runęły na ziemię. Rozpaczliwe rzenie konia zmieszało się z krzykiem przygniatanego jeźdźca.

Od strony lasu doleciał piekielny wrzask. Do wioski wpadli *Armagnaken*.



Koń ponownie zionął ogniem. Ochronna kopuła zamigotała i ściemniała, lecz nie znikła. Gdy tylko płomień zgasł, Nick popędził. Dym ze spalonej ziemi pozwolił mu zbliżyć się niepostrzeżenie. Widząc przed sobą olbrzymie kopyta, skoczył. Koń wierzgnął i zamachał kopytami, lecz nie zdążył odzyskać zdolności ziania ogniem.

Nick zawisł w powietrzu, uniósł miecz nad głowę, a następnie zadał potężny cios w tył hełmu jeźdźca. Siła uderzenia odrzuciła go, dając mu czas na jeszcze jedno uderzenie w szyję przeciwnika. Upadł na ziemię, a jeździec się zachwiał.

Zerknąwszy w dolny róg ekranu, w którym kolorowy pasek pokazywał stan sił wroga, Nick zaklął. Ledwie zdołał go drasnąć.

– Uważaj na konia! – krzyknął Urthred.

Nick skoczył w lewą stronę i odcoczył się w samą porę. Pomknęła za nim ściana ognia. Wyglądała tak realistycznie, że prawie czuł gorąco na policzku. Jeszcze sekunda, a zostałyby pochłonięty przez płomienie.

Błysnęło niebieskie światło i przetoczył się pod ochronny parasol Urthreda. Płomienie uderzały o niego jak fale, lecz nie mogły się przebić.

– Musisz go stąd odciągnąć – rzekł Randall. – Nie utrzymam długo tarczy. Tracę moc.

– Nie dobioreę się do niego, póki siedzi na koniu.

– Pamiętasz smoka pod Wieżą Charn?

– Powiedzmy.

Nick czuł się zakłopotany, prowadząc taką rozmowę w obecności Emily. Prawie nie sposób było pogodzić salkę komputerową ze świetlówkami i metalowymi krzesłami z desperacką bitwą w krainie fantazji toczącą się na ekranie. Jednak i jedno, i drugie było na swój sposób prawdziwe.

Wędrowiec stanął na nogach. Sięgnął do fałdów płaszcza i wyciągnął żelazną tarczę niemal tak wielką jak on sam. Uniósłszy ją, przykucnął, szykując się do skoku. Urthred kołysał się za nim niczym pacynka na snopie światła wypływającym z jego kostura. Jego siły topniały. Czarny rycerz dostrzegł

słabość przeciwnika i spiął konia do następnej szarży. Z nozdrzy wierzchowca snuł się dym, z jego pyska sypały się iskry.

Urthred zakręcił się w miejscu i osunął. Kostur potoczył się na ziemię. Rycerz ruszył do szarży. Tylko Nick zagradzał mu drogę. Spod podkutych żelazem kopyt tryskał kurz. Ziemia drżała. Za sekundę zostanie stratowany lub nadziany na lancę czarnego rycerza.

Nick skierował miecz w stronę pędzącego wierzchowca. Rycerz dostrzegł przeciwnika. Nick mógłby przysiąc, że słyszy jego śmiech. Wobec ogromu konia i długości lancy ostrze jego miecza wyglądało jak igła.

Palce Nicka zatańczyły na klawiaturze, wystukując skomplikowany wzór. Miecz w dłoni Wędrowca załśnił niczym stopiony metal na czerwono, a potem na biało. Z koniuszka miecza wytrysnął snop światła, drgnął i w jednej chwili stęzał w stal. Miecz stał się włócznią. Wędrowiec wbił drzewce w ziemię i ustawił broń na sztorc.

Jej ostrze wbiło się głęboko w pierś wierzchowca. Ograniczenia gry sprawiły, że z rany polało się niewiele krwi. Siła rozpędu rzuciła zwierza na tarczę Wędrowca i obaliła go. Potoczył się po ziemi.

Z okropnym rzeniem koń opadł na kolana. Czarny jeździec zeskoczył z siodła. Lanca wypadła mu z dłoni przy upadku wierzchowca. Teraz dzierżył w niej olbrzymią maczugę.

Wędrowiec został odrzucony tak daleko, że znalazł się za wciąż leżącym bezwładnie Urthredem. Czarny rycerz nadchodził. Wirująca nad jego głową maczuga wydawała niesamowity świst. Nick sięgnął po włócznię, lecz ta nadal tkwiła zatopiona w piersi konia.

Raptem Urthred znów stał na nogach, a z czubków jego palców strzelały trzeszczące błyskawice. Rycerz odskoczył, lecz za wolno. Zakłęcie Urthreda trafiło go prosto w pierś i odrzuciło niemal na skraj polany.

Urthred zaczął kroczyć w jego stronę. Nick wstał i pobiegł po swoją włócznię.

– Nie jest taki twardy.

Pasek w rogu ekranu zmniejszył się o połowę i przybrał pomarańczowy kolor. Czarny rycerz został trafiony, ale nie pokonany.

– Ile jeszcze czasu potrzebujemy? – spytał Randall.

Nick nie odpowiedział. Z głębi lasu dochodził narastający dźwięk, który przypominał rój owadów nadlatujących z ogromną prędkością i przeraźliwie brzęczących. Las zadrżał.

Wędrowiec podniósł miecz i obrócił się. Znał ten odgłos. Przykucnął, gdy spomiędzy drzew wynurzyła się awangarda armii goblinów.



Armagnaken wysypali się z lasu niczym polegli, których pole bitwy wyrzuciło ze swego łona. Półnaczy, ociekający błotem i odziani w niedopasowane zbroje, dzierżyli w dłoniach skradzione miecze, włócznie, łuki oraz zardzewiałe narzędzia rolnicze. Runęli na pielgrzymów z radosnym wyciem. Otyły ksiądz zgiął przyszpilony do stodoły włócznią, która wbiła się w jego brzuch. Jeden z jego towarzyszy usiłował się bronić kosturem, lecz został powalony. Zabójca odciął mu głowę niczym kurczęciu, uniósł ją, a następnie kopnął przez uliczkę za uciekającymi kobietami. Głowa uderzyła jedną z nich w nogę. Kobieta potknęła się i przewróciła. Zanim zdążyła się podnieść, *Armagnaken* już ją dopadli.

Wszystko działo się bardzo szybko. Drugi jeździec, który jeszcze przed chwilą stał koło mnie, zniknął. Zobaczyłem tylko błysk zbroi znikającej w lesie. Kilku napastników popędziło za nim, obrzucając go przekleństwami i kamieniami. Wierzchowiec pierwszego strażnika rzucał się u moich stóp skąpany w błocie i krwi. Kopyta ginącego zwierzęcia wciąż miały tyle siły, że nie mogło być mowy o ratowaniu jeźdźca uwiecznionego pod jego cielskiem. Zapewne nie zdołalibyśmy uratować siebie.

Koń zarżał po raz ostatni, przetoczył się na bok i znieruchomiał. Rzuciłem się ku niemu. Nie zważając na błagania strażnika, pochwyliłem wypuszczony przezeń miecz i pobiegłem. Nigdy nie trzymałem w dłoni miecza, więc nie wiedziałem, że jest tak ciężki. Przeciągnąłem go po ziemi niczym pług i podałem Kasparowi.

– Nie trać na to czasu. – Wyciągnął sztylet spod płaszcza i odrzucił futerał.
– Masz nóż?

– Tylko scyzoryk.

Przez wszystkie godziny, które spędziłem na ostrzeniu tym nożykiem piór i trzciny, nie przyszło mi do głowy, że kiedyś może od niego zależeć moje życie.

Wielu pielgrzymów już leżało martwych, lecz kilku zdołało utworzyć linię obrony w wąskim odstępie pomiędzy domami. Dźgali napastników kijami, a jeden zdołał znaleźć zakończony pazurem tasak, którym machał ze śmiertelnym dla wrogów efektem. Jednak zwrócił tym uwagę *Armagnaken*, których cała gromada zaroiliła się wokół niego.

– Młyn jest kamienny, nie zdołają go spalić – powiedziałem. – Może uda nam się ukryć w składzie.

– Znajdziemy się w pułapce. Za nami będzie tylko rzeka.

Pamiętałem o tym, że Kaspar boi się wody. Ale w ciemnym lesie nie zajdziemy daleko. Nie czekając na jego kontrargumenty, rzuciłem się biegiem przez plac.



To był desperacki bój. Nick siedział pochylony nad klawiaturą, naciskając sekwencje klawiszy, po których Wędrowiec wykonywał całe szeregi błyskawicznych pchnięć i gard. Nie grał w tę grę od miesiący, lecz komendy w jakiś sposób utrwaliły się w jego podświadomości. Otaczała go horda goblinów, a tymczasem czarny rycerz krążył w tle, kierując natarciem.

Wędrowiec powalił goblina i dźgnął go w plecy, sparował pchnięcie mieczem i przeskoczył nad ostrzem włóczni. Wylądował za wrogiem, obrócił się i jednym cięciem pozbawił stwora głowy. Urthred obracał się i skakał niczym tancerz, odpierając oblegających go wrogów. Koniuszek jego laski płonął magicznym ogniem: każdy goblin, którego nim dotknął, odskakiwał z wypaloną blizną.

– Trzymaj się blisko drzewa. – Głos Randalla był spokojny i pełen skupienia. Na ekranie mag wykonał salto w powietrzu i zatoczył laską pełny krąg. Ciała leżały przez chwilę, a potem znikły. Jednak niemal natychmiast ukazywali się kolejni napastnicy, starając się odeprzeć Urthreda od wielkiego dębu.

Nick usiłował postąpić naprzód, lecz gobliny obiegly go, dźgając ze wszystkich stron. Komputerowo generowane ataki nie słabły, a tymczasem zmęczenie zaczęło się dawać Nickowi we znaki. Goblin rzucił się do ataku. Nick wykonał unik i podniósł gardę, lecz Wędrowiec stał dziwnie nieruchomo, wystawiony na ciosy.

Nacisnął niewłaściwy klawisz. Uderzył w klawiaturę, chcąc naprawić błąd,

ale było za późno. Włócznia goblina wbiła się prosto w brzuch Wędrowca. Zatoczył się do tyłu, machając rękoma. Nick usiłował podnieść miecz i bronić się, lecz gra nie reagowała na jego rozpaczliwe komendy. Pasek zdrowia zacierwienił się. Goblin uniósł włócznię, szykując się do zadania ostatecznego ciosu. Z laski Urthreda skoczyła błyskawica, która oderwała goblina od ziemi. Stwór zakreślił się w powietrzu i zniknął. Wędrowiec dźgnął następnego wroga i odwrócił się, by podziękować...

– Urthredzie!

Czarny rycerz zwietrzył swoją szansę i postanowił wkroczyć do walki. Armia goblinów była niczym sfera psów u jego stóp. Stał jak olbrzym nad Urthredem, kręcąc nad głową kolczastą kulą. Urthred wykonał zwrot, zamachnął się laską i wykrzyknął zaklęcie.

Jednak poprzednie uderzenie gromem wyczerpało resztkę jego czarodziej-skiej mocy. Obuch trafił w laskę i roztrzaskał ją na dwoje. Gobliny wycofały się posłusznie, tworząc krąg wokół walczących. Urthred zmęczonym ruchem dobył miecza.

– Idź do drzewa.

Mag zataczał się niczym pijak, uchylając się i uskakując przed najeżoną kolcami morderczą kulą. Głos Randalla w głośnikach świadczył o jego zmęczeniu. Nick zerknął na dąb. Ponad spletanymi korzeniami ukazała się świetlista kula i zawisła między konarami niczym zakazany owoc.

Czarny rycerz musiał wiedzieć, czym ona jest. Z rykiem wściekłości zamachnął się kolczastym obuchem i trafił Urthreda w bok głowy. Ten osunął się na ziemię. Gobliny z triumfalnym wrzaskiem rzuciły się, by go dobić.

– Randall?

Mag nie odpowiedział. Czarny rycerz ruszył w stronę drzewa, kopniakami torując sobie drogę wśród goblinów. Nick zerknął na jego pasek zdrowia. Awatar był zakrwawiony i posiniaczony, z jego szaty zostały strzępy. Jeden cios go wykończy. Między nim a drzewem musiało być pięćdziesiąt goblinów, a czarny rycerz zbliżał się do drzewa.

□ □ □

Wśliznęliśmy się pomiędzy dwa domy i przycupnęliśmy za wiklinowym płotem. Prawie zapadła noc; walczący wyglądali jak chmura zamazanych

kształtów, z której wydobywały się ostre dźwięki. Napastnicy zapalili pochodnie. Okna domów ukazywały obrazy straszliwego pogromu.

Usłyszałem kroki z lewej strony i schyliłem się. Przez nierówny płatek zobaczyłem przebiegającą kobietę ściganą przez dwóch bandytów. Jeden żartobliwie wymachiwał ogromną maczugą. Wydała mi się zbyt wielka, by można ją było dźwignąć, lecz po chwili zauważyłem, że jest to lutnia, którą mężczyzna trzymał za gryf. Musiał ją ukraść ze splądrowanego domu. Zamachnął się ponownie i chybił, roztrzaskując instrument o słup, którego nie dostrzegł w ciemności. Lutnia brzęknęła i jęknęła, pękając na dwoje. Bandyta odrzucił ją i kontynuował pościg.

Droga była prosta. Przesadziwszy płot, popędziliśmy do drzwi młyna. Moja noga w czymś ugrzęzła; omal się nie przewróciłem, ale strach dodał mi sił i biegłem dalej. Gdy znaleźliśmy się na rozsypanej mące, wokół naszych stóp unosiły się szare chmury podobne do duchów. Wpadliśmy do wnętrza budynku.

Pachniało tam jak w stajni. Pod moimi nogami szeleściła słoma, unoszący się w powietrzu kurz przywarł mi do języka. Słyszałem obracanie się kamienia, trzeszczenie osi i szmer wody przepływającej pod podłogą. Młyn mozolnie pracował, nie bacząc na rozgrywający się na zewnątrz dramat. Znalazłem w tym osobliwą pociechę.

Wysunąłem rękę i oparłem się na ramieniu Kaspara. Po omacku szukaliśmy drogi w zagraconym pomieszczeniu, uważając, by nie wpaść na część maszyny.

Dotarliśmy do ściany i zaczęliśmy posuwać się wzdłuż niej. Wymacałem drzwi i otworzyłem je. Zimne powietrze owionęło mi twarz, a do uszu wdarły się odgłosy obracającego się koła. Spojrzawszy w dół, zobaczyłem srebrną pianę wokół łopatek.

– Nie tędy – szepnąłem. Zostawiłem uchylone drzwi, by wpuścić światło do środka, i brnąłem dalej.

Raptem wewnątrz młyna rozbłysło niczym latarnia. Okręciłem się na pięcie, mrugając. W drzwiach stało dwóch *Armagnaken*. Pierwszy był przygarbiony i wyglądał jak ogr z haczykowanym nochalem i nabrzmiałymi policzkami. W jednej dłoni trzymał płonącą pochodnię, a w drugiej topór. Drugi bardzo się od niego różnił: przypominał anioła z miękkimi jasnymi włosami mieniącymi się

złoto w blasku głowni. Miał delikatną skórę i wąskie ramiona. Dziwnie było patrzeć na tę piękną postać w tak strasznej chwili.

Spostrzegli nas od razu. Ogr zarżał z radości, a anioł się uśmiechnął. Uniósł ręce i zobaczyłem, że są do łokci unurzane we krwi. W jednej trzymał sierp.

Ogr skierował się w prawo, stąpając wśród zwalonych belek i połamanych mebli ścielących się na podłodze. Anioł stał przy drzwiach i patrzył. Uśmiech ani na chwilę nie zniknął z jego twarzy.

Kaspar uniósł sztylet i ruszył w stronę ogra. Uchylił się przed drągami koła, które wciąż się obracało, i ominął kamień leżący na środku młyna. Powinienem być pójść mu na pomoc, lecz stałem struchlały z przerażenia. Nóż w mojej dłoni wydawał się wąty jak trzcinka.

Ogr pozwolił Kasparowi się zbliżyć. Nigdzie mu się nie spieszyło. Młynarze musieli dokonywać jakichś napraw, gdy napadli ich *Armagnaken*. Między dwoma kozłami stała szeroka deska; ostrze piły wciąż tkwiło w nacięciu. Deska stanowiła naturalną barierę między przeciwnikami. Spoglądali na siebie niczym dwa koty rozdzielone płotem. Kaspar się przyczaił. Był szybszy od ogra, lecz tamten bez wątpienia miał więcej wprawy.

Może jednak zabił już zbyt wielu ludzi. Z pogardliwym spojrzeniem opuścił gardę. Kaspar dostrzegł swoją szansę i zaatakował. Niemal w tej samej chwili, jak gdyby już nie chciało mu się jej nosić, ogr wypuścił z ręki pochodnię.

Rozpętał się straszliwy koszmar jak ze snu. Spod nogi Kaspara trysnął pióropusz trocin, który zajął się od płomienia z pochodni. W jednej chwili buchnął ogniem. Kaspar wylądował w nim i ryknął z bólu. Zawadziwszy o deskę, upadł w objęcia płomieni. Podbiegłem do niego.

Zapomniałem o drugim wrogu. Ten zaś skoczył w moją stronę, okrążając wirujące kamienne koło. Za nim kołysały się olbrzymie cienie. Zamachnął się sierpem, mierząc w moją głowę, a ja odskoczyłem. Prawie mi się udało.

Tyłna część ostrza zawadziła o mój policzek. Powinna być tępa, lecz bandyta zaostrzył obie strony niczym brzytwy. Szpic mógł wyłupić mi oko jednym dźgnięciem.

Z mojego policzka popłynęła krew. Anioł zbliżał się do mnie. Jego sylwetka na tle ognia wyglądała jak sama śmierć. Odczołgałem się do tyłu. Kaspar wciąż

wił się w płomieniach. Słyszałem jego krzyk mimo huku ognia.

Nagle wyczułem dłoń na drewnianej podłodze coś twardego. Był to długi gwóźdź, prawdopodobnie zostawiony przez cieślów. Zaciśnąłem go w pięści tak, że czubek sterczał między kostkami moich palców. Uklęknąłem, obserwując, jak się zbliża. Wróg pomyślał, że się modłę, i parsknął śmiechem. Zakrwawioną lewą ręką uczynił znak krzyża, a prawą uniół sierp, by złożyć ze mnie ofiarę.

Rzuciłem się do przodu, wyciągając rękę w stronę jego buta. Może myślał, że błagam o litość, gdyż się zawahał. Pchnąłem, wkładając w cios cały ciężar ciała. Gwóźdź przeszedł przez jego stopę aż do podłogi.

Anioł zawył i machnął wściekle sierpem, lecz ja zdążyłem się odtoczyć. Chciał mnie dosięgnąć, ale w tej chwili był przygwożdżony.

Podbiegłem do Kaspara. Połowa jego ubrania się spaliła. Nie widziałem, co jest skórą, co popiołem, a co kością. Odwróciłem go, by zdławić płomień, lecz kiedy go poruszałem, prześlizgiwały się na drugą stronę.

Ogień objął cały środek pomieszczenia, tworząc nieprzenikniony mur. Jedyną ucieczką stanowiła rzeka. Objąłem Kaspara i powlokłem w stronę wysokich drzwi. Gdy się wyprostowałem, dym wpadł mi do płuc. Zakręciło mi się w głowie i omal nie runąłem na biednego Kaspara, który był ledwie przytomny.

Obejrzałem się. Anioł uwolnił się z uwięzi, pozostawiając kawał krwawego mięsa przybitego do podłogi. Kulejąc, zbliżał się do mnie wśród oparów dymu. Ostrze sierpa płonęło odbitymi płomieniami. Pode mną, za otwartą furtą, woda przelewała się przez olbrzymie koło.

Stałem naprzeciwko anioła, odgradzając go od Kaspara. Upuściłem nóż do ognia i byłem bezbronny. Zamachnął się sierpem, a ja cofnąłem się, potknąłem o bezwładne ciało Kaspara i zatoczyłem. Rozpostarłem ramiona, by oprzeć się o ścianę.

Poczułem jedynie przeraźliwą pustkę. Spadałem. Moja ręka z okropnym trzaskiem uderzyła w koło. Odbiłem się od niego niczym kamień i runąłem w spienioną czarną wodę.



Ekran pociemniał. Nick omal nie wrzasnął. Czyżby goblin go ugodził? Jego pasek zdrowia wciąż pokazywał zapas życia. Rozejrzał się. Nie było to jednak powolne odchodzenie w objęcia śmierci. Po niebie przesuwiał się ogromny cień. Gdy słońce ponownie się ukazało, ujrzał gigantycznego orła rybołowa pikującego w stronę czarnego rycerza. Jego wyciągnięte szpony wbiły się w zbroję, zostawiając na niej głębokie nacięcia.

Gobliny zostawiły rozpadające się zwłoki Urthreda i rzuciły się na nowego wroga. Jednym uderzeniem ogromnych skrzydeł rybołów zmiotł ich i rzucił na napierające od tyłu szeregi.

Nick dostrzegł swoją szansę. Gobliny były zaprogramowane tak, by atakować większe zagrożenie, toteż droga do drzewa stała się otworem. Rzucił się w jego stronę, przeskakując ponad kilkoma wymierzonymi weń włóczniami i strącając pozostałe, zanim zdążyły uderzyć. W rogu ekranu zobaczył, że rybołów macha skrzydłami, odpierając gobliny, które zdołały się do niego zbliżyć. Czarny rycerz ujął lancę w dłoń niczym oszczep, mierząc prosto w serce ogromnego ptaka.

Ten zaś uniół się w powietrze. Kilka goblinów wiło się i krzyczało w jego szponach. Rycerz cisnął lancę. Rybołów obrócił się, chcąc uniknąć ugodzenia, lecz był zbyt wielki. Lanca przebiła jego skrzydło i ptak runął na ziemię.

Czarny rycerz pędził w stronę drzewa i trofeum unoszącego się wśród jego konarów. Jednak Wędrowiec miał bliżej. Przesadził splątane korzenie, skoczył i chwycił świetlistą kulę. Gałęzie śmignęły obok jego twarzy, ale nie mogły go zadrapać. Z okrzykiem furii czarny rycerz zamachnął się kolczastym obuchem i cisnął nim jak młotem prosto w głowę Wędrowca. U dołu ekranu pojawił się komunikat zapisany gotycką czcionką:

Włók został pobrany

Nick wcisnął klawisz Escape.



Rzeka była mocna, znacznie mocniejsza od moich wyczerpanych kończyn.

Musiałem włożyć wszystkie siły w utrzymanie się na powierzchni. Krzychałem, by zachować przytomność, by pokazać ciemnościom, że wciąż dyszę. Ryczałem na ojca i przeklinałem go za to, że sprowadził mnie na ten świat. Krzychałem do Kaspara. Mówiłem mu, że żałuję. Mówiłem, że go kocham.

Nurt zaniósł mnie w dół rzeki i osadził na szerokim zakolu. Na bliższym brzegu zobaczyłem poświatę lampy. Wybawiła mnie w ostatniej chwili. Pogrążyłem się w zimnym odrętwieniu, z którego już bym się nie obudził. Musiałem żyć. Byłem to winien Kasparowi. Ostatkiem sił doплынаłem do mielizny i doczłapałem się do miejsca, w którym było wydeptało brzeg. Podczołgałem się i rozciągnąłem w błocie.

□ □ □

– Możemy to gdzieś wydrukować?

Nick miał zdrętwiałe palce; ścięgnięta jego nadgarstków zeszywniały od bitewnego wysiłku. Oderwał wzrok od ekranu. Sabine stała przy drzwiach, ciężko dysząc.

– Twój komputer jest już podłączony do drukarki w moim gabinecie.

Kliknął klawisz i odepchnął krzesło, lecz Emily już stała.

– Ja pójdę.

Sabine wskazała gabinet po przeciwnej stronie korytarza. Przepuściła Emily i oparła się o futrynę drzwi, splatając ręce na piersi.

– Kim był ten czarny rycerz?

– Widziałaś go? – Nickowi dudniło w głowie. Każdy ruch oczami sprawiał, że ból kłuł go w skronie.

Sabine odwróciła się i lekko uniosła prawą rękę. Nick dopiero teraz zauważył tatuaż na jej ramieniu. Przedstawiał olbrzymiego orła rybołowa z rozpostartymi skrzydłami i obnażonymi szponami.

– Randall kazał mi na ciebie uważać.

– Dzięki. – Nick wsunął kartę pamięci do gniazda komputera i skopiował plik. Nawet na niego nie spojrział. – Gdybyś mnie nie ocaliła, wszystko byśmy utracili. Cokolwiek to było.

– Nick? – Emily przepchnęła się obok Sabine. Jej twarz wyrażała zdumienie. Drżącą ręką położyła wydruk na biurku. – Wiem, co znalazła Gillian.

LVIII

Okolice Strasburga

Uklęknąłem w kaplicy i pomodliłem się. W każdej niszy paliły się świece. Ich blask odbijał się od szeregów namalowanych na ścianach świętych i proroków. W kopule pod absydą sponad ołtarza Chrystus spoglądał na mnie, przyciskając ogromną księgę do piersi. Patrząc na niego, nie mogłem powstrzymać łez.

Tej nocy wydarzyły się cuda, lecz przed brzaskiem będzie ich potrzeba więcej. Bydło, które wydeptało ścieżkę do rzeki, należało do klasztoru. To jego światło ujrzałem z rzeki. Jakoś zdołałem przebrnąć w ciemności przez pole do bramy. Początkowo nie chciano mi otworzyć; mnisi wzięli moje błagania za podstęp *Armagnaken*. Ja zaś zjawiłem się nocą i wyglądałem jak nędzna otumaniona poczwara. Dali jednak wiarę mojej desperacji. Wszystkie cele były zapełnione, więc zaprowadzili mnie do kaplicy.

Po nieszpórach w powietrzu wisiała woń kadzidła. Wkrótce nadejdzie świt i mnisi zjawią się na jutrznię. Tymczasem byłem sam.

Modliłem się. Modliłem się tak, jak nie zdarzyło mi się od czasów dzieciństwa, gdy jeszcze uważałem, że mam duszę wartą zbawienia. Modliłem się każdym gramem swojego ciała. Opróżniłem moje jestestwo i uczyniłem zeń naczynie dla Boga. Okazałem pogardę każdemu popełnionemu grzechowi. Błagałem o przebaczenie. Wyrzekłem się wszelkiego zła. Od tej pory będę wiódł nieskazitelne życie. Byleby tylko Bóg ocalił Kaspara.

Byłem wszelako marnym naczyniem, popękany i dziurawy. Z całych

sił wlewałem w siebie modlitwy, a one się wylewały. W ciszę kaplicy wsączały się inne myśli. Czulem, jak płynie przeze mnie przeszłość.

Ślepiec w Paryżu. „Wiedzie, czym naprawdę jest Kamień? Lekiem, który koi wszelką chorą materię tego świata”.

Nicholas siedzi przy biurku w pustym pokoju. „Nie opuszczasz mnie, Panie, lecz strzeżesz mnie na każdym zakręcie z najczulszą troską”.

W przedniej części kościoła stał pulpit. Na jego cokole wyrzeźbiono obraz wszelkiego stworzenia. Kwiaty, bestie i ludzie pięli się ku górze, czterej aniołowie dźwigali zaś na ramionach ogromną otwartą Biblię.

Podszedłem, by się przyjrzeć. Każda stronica miała wielkość płyty nagrobkowej i była zapisana wyolbrzymionymi literami, które nawet najbardziej ślepy mnich mógł odczytać przy blasku świec. Księga zawierała niewiele ozdób i upiększeń, które uradowałyby oko Kaspara. Surowe było jej piękno.

Zacisnąłem oczy i położyłem palec w przypadkowym miejscu. Modliłem się, by Bóg przemówił do mnie słowami pociechy i nadziei. Otworzyłem oczy.

Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę jakże, żeby on już zapłonął.*

* Łk 12, 49.

Te słowa nie niosły pociechy. Jednakże w mojej rozpaczynie najbardziej rozgniewało mnie nie okrucieństwo słów, lecz błąd w tekście. To była drwina ze mnie. Jak mogę znaleźć ukojenie w boskiej doskonałości, skoro może ją zepsuć pomyłka skryby? Wpatrywałem się w pismo – czyste, równe, wyraźne i... błędne. Przyszły mi na myśl odbitki moich miedzianych matryc: nierówne i postrzępione, czasem ledwo widoczne, lecz niosące wyrazisty sens.

Spojrzałem na Jezusa Chrystusa i zadałem sobie pytanie, co było zapisane w Jego księdze. Odezwały się kolejne wspomnienia.

Mistrz mincerz, który z poważną miną usiłuje zaimponować mojemu ojcu. „Każda musi być dokładnie taka sama jak inne, gdyż w przeciwnym razie cała nasza robota jest nic niewarta”.

I znów Nicholas: „Różnorodność prowadzi do błędu, błąd zaś do grzechu”.

Kaspar: „Byłeś artystą, a stałeś się kasjerem”.

Wiedziałem, dlaczego pomyłka w tekście Biblii tak mnie dotknęła. To byłem ja. Moja dusza miała być księgą podyktowaną przez Boga, lecz kopiści tak bardzo zepsuli ją omyłkami, że zatraciła wszelki sens.

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo.

Słowo było Bogiem, było doskonałe. Ja zaś byłem nędznym stworzeniem równie dalekim od Słowa jak gwiazdy od morza.

Ogrom mojego zepsucia przytłoczył mnie. Nigdy nie czułem się taki podły. Zdawało mi się, że każdy mój grzech jest jak twarda krosta tryskająca z mojej skóry. Padłem krzyżem na ziemię. Trucizna wypłynęła ze mnie strumieniem i zwymiotowałem. Nawet gdy mój żołądek się opróżnił, nie mogłem przestać. Wstrząsały mną suche skurcze dopóty, dopóki ostatnia kropla nie wycisnęła się z moich kości.

Leżałem na posadzce, dysząc i jęcząc. Z głębi siebie wzywałem Boga. A On odpowiedział. W tamtej kaplicy, pod okiem Chrystusa spoglądającego na mnie z góry, pojąłem wieczność. Całe moje ciało ogarnęła wibracja. Księga mego jestestwa rozpadła się na słowa, które je ukształtowały, słowa na litery, a litery na odciski ostrego dłuta, które je pierwotnie wryło. W jednej chwili zostałem przeniesiony z najodleglejszych pustkowi świata i pogodzony z Bogiem.

Połykliwe nitki biegingy od gromnic i okręcały się wokół mnie. Owinęły mnie smugami światła i szeptały ciepłe słowa do mojej duszy. Robak, demon, który tak długo we mnie zamieszkiwał, poszedł precz. Jego skurczone ścierwo leżało na posadzce wśród żółci i trucizny.

Zawsze byłem z Bogiem, lecz w swoim grzechu Go nie znałem. Wyczuwałem go przez całe życie, podążałem za nim, nawet o tym nie wiedząc. Zasada doskonałości, jedność wszystkich rzeczy. Jeden Bóg, jedna wiara. Jedna jedyna doskonała substancja we wszechświecie.

„Bóg jest postacią doskonałą, w której wszelkie różnice się jednoczą”.

Wezmę ołów i przemienię go. Stopię, zamieszam i zmienię jego kształt. Pokryję go olejkami i wycisnę. Z pospolitego metalu uczynię samo Słowo Boże.

„Oczyszczacie go, łączycie z Kamieniem dopóty, dopóki ziarna uwięzione w metalu nie zakwitną, dopóki w jedności perfekcji nie przyjmie dowolnej postaci, jakiej zażądacie”.

Odkupię plugawę niedoskonałości swej duszy.

Nie po to, by zdobyć bogactwo lub majątek, lecz by udoskonalić cały świat.

LIX

Karlsruhe

Noc jeszcze nie ustąpiła. Panowała absolutna ciemność, gdy wybiegli z budynku i popędzili przez parking. Samochód okazał się starym volkswagenem golfem. Miał obtłuczone i wgniecione boki, a dach przykrył pięciocentymetrowy kaptur śniegu. Emily i Nick czekali, aż Sabine oczyści drapaczką przednią szybę. Uruchomienie wychłodzonego silnika potrwało jeszcze dłużej. Rura zakrzuszyła się, a potem plunęła spalinami. Sabine zsunęła się z fotela kierowcy i skinęła na Nicka.

– Bierz go.

Nick się zdziwił.

– A ty?

– Mogę się zabrać ze swoim chłopakiem. Teraz będzie lepiej, jeśli tu zostanę. Postaram się, żeby was nie namierzyli.

Nick przypomniał sobie brata Jerome'a i pokręcił głową.

– Dość już dla nas zrobiłaś. Jeśli uważasz, że czarny rycerz był straszny w grze, to lepiej, żebyś nie spotkała się z nim oko w oko. Ci ludzie nie mają skrupułów. Połowa z tych, którzy nam pomagali, już nie żyje.

– Teraz mi to mówisz? – Sabine uśmiechnęła się nerwowo. – Rodzice mojego chłopaka mają domek w Schwarzwaldzie. Mogę tam zostać przez jakiś czas.

– Uważaj na siebie – rzekł Nick.

– Wy też. I przyprowadź mi samochód, dobrze?

– Należę ci pełny bak paliwa.

Nick wsunął się za kierownicę. Emily usiadła po stronie pasażera i wychyliła się na zewnątrz.

– Czy macie w kampusie bibliotekę?

Sabine wskazała okrągły budynek po przeciwnej stronie boiska piłkarskiego.

– Jest otwarta non stop.

– Dzięki za wszystko.

Nick wrzucił bieg. Dwa razy prawie rozbił samochód podczas wyjeżdżania z parkingu, gdy zarzuciło go tyłem na lodzie. Odzyskał panowanie nad autem w ostatniej chwili i zdołał uniknąć zderzenia z latarnią. Zerknął w lusterko z nadzieją, że Sabine jednak nie zmieniła zdania.

– Dlaczego pytałaś o bibliotekę?

– Muszę coś sprawdzić.

Twardy ton głosu Emily zniechęcił Nicka do sprzeciwu. Był zbyt zmęczony. Z ledwością prowadził auto. Zatrzymał się obok krawężnika przed biblioteką.

– Nie gaś silnika – powiedziała Emily.

Wbiegła po schodach do budynku, a Nick siedział za kółkiem i czekał. Pocierał dłonie, żałując, że nie ma rękawic. Rachityczne ogrzewanie starego golfa nie mogło się mierzyć z ostrym porannym mrozem.

Jego wzrok powędrował w dół i spoczął na zamazanym białym kształcie rysującym się w ciemności. Na fotelu pasażera leżała kartka. Wydruk. Emily musiała o niej w pośpiechu zapomnieć. Zapalił górne światło i przyjrzał się arkuszowi. Wybiegając z laboratorium komputerowego, nawet nań nie spojrział, a gdy zapytał Emily, co odkryła, dziewczyna tylko położyła palec na ustach.

Obrazek w jego dłoni wyglądał jak niedokończona układanka, dzieło kogoś, kto był zbyt niecierpliwy i nie chciało mu się mozolić przy układaniu tła. Nick ustawił program tak, by ten pomijał fragmenty pozbawione wszelkich znaków. W ten sposób przyspieszył proces składania całości. Uzyskał obraz w kształcie klepsydry. Emily coś w nim dostrzegła, jednak jemu sprawiło to trudność. Połowę zajmował wizerunek przypominający wołu z nadzwyczaj długim ogonem. Cyfrowa rekonstrukcja nie była doskonała: lekko zniekształcone fragmenty

nachodziły na siebie, nadając całości postać impresjonistycznej plamy. Słabe światło w samochodzie nie ułatwiało Nickowi zadania. Mimo to był prawie pewien, że rozpoznaje artystę po stylu. Widział ostatnio tyle dzieł Mistrza Kart do Gry, że stał się ich znawcą.

Pod wizerunkiem widniało kilka wierszy tekstu. Ten okazał się wyraźniejszy, gdyż wybrane przez Nicka algorytmy programu były nastawione na tekst, lecz mimo to miał trudności z jego odczytaniem. Litery były grube, gęsto upakowane w liniach i nieregularne: pionowe kreski wyglądały solidnie jak kolumny katedry, natomiast łuki i ukośne linie wydawały się delikatne jak nitka.

Wyłowił z plecaka bestiariusz uratowany z magazynu w Brukseli i otworzył go na pierwszej stronie. Porównał książkę z wydrukiem. Obrazki w bestiariuszu zostały zepchnięte na margines, a te na kartce pyszniły się na środku. Piśmo na wydruku wyglądało schludniej, lecz gdy Nick próbował je odczytać, trudno mu było rozpoznać litery.

Ciemność rozdarł ostry biały błysk. Nick odwrócił się z przestachem. Czyżby ktoś ich zauważył? Strzela czy robi zdjęcia?

Błysk się powtórzył. Nie był to jednak flesz aparatu ani efekt wystrzału, lecz blask lampy stroboskopowej umieszczonej na fasadzie biblioteki. Dźwięk, który Nick wziął za swoje urojenie wywołane paniką, był stłumionym dzwonkiem alarmowym.

Nagle odgłos przybrał na sile, gdy drzwi frontowe raptownie się otworzyły. Emily wybiegła na schody, wpadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi.

Nick spojrzał na książkę, którą trzymała w dłoniach. Był to duży cienki tom oprawiony w czerwono-czarne sukno.

– Ukradłaś książkę z biblioteki?

– Wypożyczyłam. – Wsunęła książkę do kieszeni na drzwiczkach samochodu. – Jedź już.

Auto ruszyło i potoczyło się po drodze. Nick zerknął w lusterko, lecz nie zauważył, by ktoś za nimi jechał.

– Powiesz mi teraz, o co w tym wszystkim chodzi?

LX

Moguncja, 1448

Na zboczach wzgórz stało dwóch starszych mężczyzn. Przechodzień mógłby ich wziąć za braci. Obaj byli w tym samym wieku; zbliżali się do pięćdziesiątki. Mieli siwe brody, a ich szczupłe sylwetki spowijały futra chroniące przed jesiennym chłodem. Ich rysy różniły się w szczegółach, lecz postarzałe twarze wyrażały głód ludzi, którzy wciąż mają coś do zrobienia na tym świecie.

Mężczyźni nie byli braćmi. Jednym z nich był Johann Fust, a drugim ja. Wokół nas pracowali robotnicy. Zbierali kamienie i układali je w stosy, z których miały powstać mury. Pośrodku pola cieśle wznosili wieżę strażniczą. Gdy nadejdzie wiosna, na pustkowiu zostaną zasadzone winne latorośle, które zakwitną i zamienią się w winnicę. Miałem nadzieję, że w ten sam sposób dzięki ziarnkom posianym przez Fusta rozkwitnie moje przedsięwzięcie.

Nie rozmawiałem z nim od piętnastu lat, kiedy to spotkaliśmy się przypadkowo w pracowni Oliviera w Paryżu. W pewnym sensie było to dziwne, że nie rozmówiliśmy się wcześniej. Przebywałem tam od roku, a Moguncja nie była tak wielkim miastem, by dwaj mężczyźni parający się książkami i papierami nie natknęli się na siebie. Ja jednak aż do tej pory unikałem Fusta.

Rozczarowań, które spotkały mnie przez te lata, nie zliczę. Kaspar powiedział mi kiedyś, że sekret druku kart do gry nie jest jedną wielką zagadką, lecz składa się na nią wiele innych: właściwości atramentu, metalu, prasy i papieru. Każdy element musi mieć właściwą formę i proporcję. Pod tym względem przypominało to alchemię, jakkolwiek przynosił efekty znacznie lepsze niż

wysiłki, które dawno temu podjąłem w Paryżu. Jeśli jednak sztuka ta składała się z dziesiątków tajemnic, z których każdą należało rozwikłać i pojąć, moja obejmowała sto albo tysiąc zagadek. Każda z nich mi się wymykała. I jak zauważył kiedyś Dunne, ilekroć rozwiązywałem jakiś problem, przysparzałem sobie dziesięciu nowych.

Wszelako inaczej niż kiedyś nie wpędzają mnie one w rozpacz. Byłem pełnym zapału pielgrzymem, który wyruszył w podróż, nie znając szlaku. Sądząc, że wędrowka będzie krótka, błędziłem na ślepo w gęstym lesie. Teraz odnalazłem drogę, choć jej cel był dalszy, niż sobie na początku wyobrażałem. To zaś dało mi pewność, której nie mogły nadwątlić ani kamienie, ani pęcherze od oparzeń.

Jednak mimo że wiara podtrzymuje pielgrzymą, wędruje on w świecie ludzi. Wciąż potrzebowałem pieniędzy i właśnie dlatego przybyłem do Moguncji. Porzuciłem miasto gościńców i wróciłem do miasta swojego urodzenia niczym stary niedźwiedź powracający do gawry. Wyruszając przed trzydziestoma laty, zostawiałem dom, matkę, dwoje rodzeństwa oraz przyrodnią siostrę, która ukradła mój spadek. Teraz wszystko znikło oprócz starego domu, który ostatecznie mi przypadł.

Winnica Fusta stała na wzgórzu wznoszącym się z rzecznej doliny za miastem. W dole widać było mury i wieżyce Moguncji rozciągającej się ku brzegowi Renu, nad którymi dominowała wielka czerwona kopuła katedry. Nad miastem rozsunęła się brązowa mgiełka dymu niezliczonych palenisk. Jesienne słońce stało w zenicie, lecz ani jeden dzwon nie obwieszczał południa. Kościoły stały pogrążone w ciszy. Tworzyło to osobliwe wrażenie i w istocie tak miało być.

– Wybrałeś sobie dziwny czas na powrót po tak długiej nieobecności – oznajmił Fust. – Złota Moguncja utraciła swój blask.

Wiedziałem o tym. Od dziesięcioleci patrycjusze zasiadający w radzie miejskiej, ludzie podobni do mojego ojca, zawiadywali przemyślnym systemem rent, dzięki któremu dochody z podatków trafiały do ich kieszeni. Odsetek, który sobie wypłacali, ustawicznie narastał podobnie jak moje długi, aż wreszcie miasto musiało ogłosić upadłość. Wśród rozgniewanych wierzyteli znalazł się także Kościół, który zawiesił wszystkie usługi w mieście. Mszy nie

śpiewano, dzieci nie były chrzczone, a zmarłym odmawiano chrześcijańskich pochówków.

– W Moguncji wciąż musi być trochę bogactwa.

Za dalekimi murami warsztaty rzemieślnicze wszelkiego rodzaju rozsiadły się na brzegu rzeki, a tragarze i dźwigi ładowali na barki bele towarów. Trzy łodzie młynarskie kołysały się na cumach, mieląc resztki płonów ze żniw.

– Na przykład ta winnica. Trzeba lat starannego pielęgnowania, by urodziła owoce. Nie zakładałbyś jej, gdybyś nie sądził, że perspektywy miasta są zaciemnione na wieki.

– Zawsze będzie popyt na wino. Im gorzej się dzieje, tym więcej wina ludzie potrzebują.

Fust przez dłuższą chwilę patrzył na grudowatą ziemię, a potem spojrzał na mnie. Dlaczego tu przybyłeś? – pytały jego przenikliwe oczy. Ale nie zamierzał mnie ponaglać.

– Nie tylko wino wypływa spod prasy – oznajmiłem. Czekał. Z sakwy, którą trzymałem na ramieniu, wyjąłem arkusz papieru.

– Odkryłem nową sztukę. Pisanie bez pióra.

Fust rozwinął papier i przyjrzał mu się.

– Odpusty?

– To jedynie początek. – Sięgnąłem ponownie do sakwy i wydobyłem małą książeczkę. Cztery złożone na czworo arkusze dawały szesnaście kartek.

– Łaciński elementarz Aeliusa Donatusa. Potrzebuje go każdy uczeń w każdej szkole.

Fust mierzył mnie zniecierpliwionym spojrzeniem. Dobrze wiedział, co trzymam w ręku.

– Sprzedałem ich ze trzysta. Skrybowie nie nadążają z kopiowaniem.

– Mogę je kopiować szybciej i taniej niż najlepszy skryba. W ciągu miesiąca wyprodukuję tyle egzemplarzy, ile sprzedałeś.

Fust obserwował w milczeniu pracę w winnicy i nic nie mówił. Targował się w Paryżu i w Wiedniu i wiedział, jak trzymać emocje na wodzy. Nie umiał jednak całkowicie ukryć swojego zdziwienia.

Spojrzał na książkę i przeczytał pierwsze wersy.

– Nie ma poprawek – zauważył.

Podręcznik różnił się od rękopisów, gdyż nie było w nim skreśleń i bazgrołów na marginesach.

– Ta nowa metoda pisania pozwala sprawdzić i skorygować każde słowo, zanim znajdzie się na stronie.

Fust nie wytrzymał. Popatrzył na mnie twardo, nie wiedząc, czy robię z niego głupca.

– Klienci lubią widzieć poprawki – rzekł.

– To skazy, które zniekształcają pismo.

– Dowodzą, że autor przykładowo sprawdził swoją robotę.

– Gdyby jednak przyłożył się w najwyższym stopniu, nie byłoby czego poprawiać.

– Tylko Bóg jest doskonały.

– Wobec tego ja zbliżę się do doskonałości na tyle, na ile to możliwe.

Mój rozmówca jeszcze raz przyjrzał się kartce.

– Przed tobą jeszcze wiele pracy. Pismo to nie tylko ortografia. Jakkolwiek te strony zostały zapisane, nie zapisano ich równo.

– Właśnie dlatego potrzebuję kapitału. Po to, by udoskonalić wynalazek. Przyszło mi na myśl, że skoro zajmujesz się handlem książkami, może cię to zainteresować. – Wyciągnąłem rękę po podręcznik. – Może się myliłem.

Fust nie oddał mi książki.

– Nowa metoda pisania pozwalająca sprawdzić tekst przed zapisaniem i stworzyć w ciągu miesiąca więcej egzemplarzy, niż skryba napisze przez całe życie – powtórzyłem. – Ile to jest dla ciebie warte?

Fust uśmiechnął się nieznacznie.

– Sam mi to powiesz.

Znudziło mi się gromadzenie drobnych pożyczek, które ledwo starczały na spłacenie odsetek od ostatniej. Nie chciałem też tworzyć syndykatu inwestorów, z którymi użeranie się zabierało mi więcej czasu niż sama praca. Postanowiłem osiąść w Moguncji. Oznaczało to, że potrzebuję jednego kredytodawcy tak mocno zaangażowanego w projekt, by nie pozwolił mu upaść.

– Tysiąc guldenów.

Fust uniósł dłonie i dmuchnął.

– Bajeczna kwota. W jaki sposób ją wydasz, by móc ją spłacić?

– Chodź ze mną, to zobaczysz.

LXI

Okolice Mannheimu, Niemcy

– Patrzysz być może na pierwszą lub drugą książkę, jaka została wydrukowana.

Samochód stał w zatoczce. Emily rozłożyła wydruk i bestiariusz na kolanach, a Nick obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Przed nimi była jedynie ciemna kępa sosen uginających się pod ciężarem śniegu. Na autostradzie A5 mknęły z szumem samochody.

– Pierwsza wydrukowana książka, ale gdzie?

– Pierwsza w ogóle wydrukowana. Ścisłe mówiąc, pierwsza wydrukowana za pomocą ruchomej czcionki.

Nick znał wyrażenie „ruchoma czcionka”, choć było ono dla niego jak anonimowa twarz w tłumie, a nie bliski przyjaciel. Takie nazwy widuje się na gazetowych listach w rodzaju Sto Największych Wynalazków albo Ludzie, Którzy Zmienili Świat. Zwykle kojarzyło się z jednym nazwiskiem.

– Gutenberg?

– Otóż to. – Skóra Emily zrobiła się szara i nosiła oznaki zmęczenia. Bez szminki i kredki jej wydatne usta i ciemne oczy wtopiły się w tło twarzy. Jednak spoglądała na leżące na kolanach strony z niesłabnącym zapalem. – Ile o nim wiesz?

– A co w ogóle wiadomo?

– Niewiele. Tak mało, że do osiemnastego wieku był prawie zapomniany. Za życia przysporzył sobie wielu wrogów, którzy po śmierci zrobili wszystko, by wymazać jego dziedzictwo. Dopiero setki lat później uczeni przeanalizowali dokumenty i odkryli prawdę.

– Jaką mianowicie?
– Poskładali wszystko w całość. – Emily posłała Nickowi nieśmiały uśmiech, by upewnić się, że zrozumiał żarcik. – Ruchoma czcionka. Opracował metodę odlewania poszczególnych liter w sztabkach metalu, a następnie składał je w słowa, zdania, i w ten sposób wydrukował całą Biblię.

Nick wyobraził sobie proces składania Biblii litera po literze.

– To musiało długo trwać.
– Przypuszczalnie całe lata. Ale jedyne alternatywne rozwiązanie stanowiło ręczne pisanie. Kiedy strona była już gotowa, mógł wydrukować dowolną liczbę egzemplarzy. Później rozbierał ją i wykorzystywał litery do stworzenia innej strony. Nieskończenie elastyczna metoda, a zarazem pozwalająca tworzyć produkt całkowicie standardowy, który można powtarzać tak często, jak się chce. Był to prawdopodobnie największy krok naprzód w przekazywaniu informacji pomiędzy wynalezieniem alfabetu i Internetu.

– Kiedy to się stało?
– W połowie piętnastego wieku.
– Czyli w epoce Mistrza Kart do Gry.

Emily uniosła książkę, którą wzięła z biblioteki. Na okładce nie było nic oprócz złoconej sylwetki pasącego się jelenia. Nick rozpoznał ją od razu. To samo zwierzę widniało na kartach. Emily odwróciła książkę tak, by było widać jej gabinet.

– *Gutenberg i Mistrz Kart do Gry* – przeczytał Nick.
– Natrafiłam na nią w Nowym Jorku, gdy zaglądałam do karty Gillian. Nie ty pierwszy zastanawiasz się, jaki związek ma jeden z drugim. W Princeton znajduje się zdobiony egzemplarz Biblii Gutenberga, którego ilustracje wyglądają jak kopie kart do gry. Autor tej książki zasugerował, że być może Gutenberg i Mistrz współpracowali przy tworzeniu ilustracji do Biblii. Człowiek, który udoskonalił druk tekstu, oraz ten, który udoskonalił metodę druku rycin. Atrakcyjna hipoteza.

– Czy są na to jakieś dowody?
– Wyłącznie poszlaki. Większość argumentów zawartych w tej książce została przenicowana. – Emily patrzyła na wydruk, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom. – A teraz mamy to.

W oddali zawyła syrena. Nick usiłował się skupić.

– Czy ta książka nie przypomina bestiariusza, który znaleźliśmy w Brukseli?

– Bestiariusz został napisany ręcznie, a ta książka jest wydrukowana. Widzisz, jakie regularne są czcionki, jak równo biegnie linia. To samo można powiedzieć o ilustracjach. Wizerunki w bestiariuszu narysowano ręcznie. Trudno ocenić po rekonstrukcji, ale wygląda na to, że ta ilustracja została wydrukowana w taki sam sposób jak karty.

Syrena wyła coraz głośniej. Nick przetarł szybę i wyjrzał. Oprócz volkswagena Sabine na parkingu znajdował się jeszcze srebrny opel. Kierowca stał odwrócony tyłem, opróżniając pęcherz na śnieg pod drzewami.

– Mamy zatem wydrukowany obraz pochodzący z połowy piętnastego wieku i pewną ilość drukowanego tekstu. Skąd ten przeskok aż do Gutenberga?

Emily wskazała litery.

– Gutenberg był pierwszy. On nie tylko wynalazł prasę drukującą; musiał wynaleźć lub udoskonalić wszystko. Stopy metali do odlewania czcionek oraz narzędzia do ich wykonywania. Proces składania stron i utrzymywania ich na właściwym miejscu. A także atramenty.

Nagle Emily zamilkła.

– Atramenty...?

Syrena wyła ogłuszająco. Autostradą przemknęła karetka na sygnale. Nick odetchnął głęboko. Para błyskawicznie skropiła się na przedniej szybie. Emily nawet tego nie zauważyła.

– Właśnie to musiało wzbudzić czujność Gillian. – Wyciągnęła kartę. – Spójrz.

Wskazała palcem skupisko ciemnych plam w dolnym rogu karty.

– Atrament Gutenberga służył ze swego połysku. Nie blaknął. Ma tak ciemną i głęboką barwę, jakby dziś wyszedł spod prasy.

– Jak to możliwe?

– Nikt tego nie wie. Jest unikalny nawet wśród pierwszych drukowanych książek. Próbowano ustalić jego skład na wszelkie sposoby, nawet przy użyciu spektrometrów.

– PIXE – wtrącił Nick. – Vandevælde.

– Gillian musiała zauważyć atrament i odgadła, od kogo pochodzi. Van-
develde pewnie potwierdził jej domysły.

– Zanim go dopadli. A ty jak na to wpadłaś?

– Wskazówką była czcionka. Gutenberg także ją wynalazł. To nie był wybór między Times New Roman i Ariałem; musiał zaprojektować każdą literę, a później wyciąć ją w sztabkach metalu do odlewania. W pierwszych książkach każda czcionka jest równie unikalna jak pismo ręczne.

Emily przesunęła palcem po złożonych cyfrowo literach.

– Oto praprzodek wszystkich. Czcionka, której użył do wykonania swojego arcydzieła, Biblii Gutenberga. Z tego, co wiadomo, była to jedyna wielka księga, którą wydrukował. To tak jakby odnaleźć egzemplarz zaginionego dramatu Szekspira z autografem autora zilustrowany przez Rembrandta.

– Jeszcze go nie znaleźliśmy – przypomniał Nick. – Mamy tylko wydruk rekonstrukcji jednej stronicy podartej na strzępy przez jakiegoś draba w Strasburgu. I nie sądzę, że był to oryginał, chyba że Gutenberg drukował na papierze biurowym.

– Mierzyłeś do niego z pistoletu, a on myślał tylko o tym, by zniszczyć ten skrawek papieru. To prawdziwa kopia czegoś, co gdzieś istnieje.

LXII

Moguncja

Jak na tak duży gmach, Hof zum Gutenberg wyglądał nad podziw bezpretensjonalnie; wąska uliczka nie zapewniała miejsca, z którego można było objąć w pełni jego rozmiary. Na poziomie gruntu zlewał się niepostrzeżenie z sąsiednim budynkiem, a jego większa część znikiała za rogiem w alejce. Należało mocno zadrzeć głowę, by dojrzeć szpiczasty dach. Większość ludzi wołała omijać żywe zwierzęta, gnój oraz skóry wiszące na hakach przed warsztatem kuśnierza po przeciwnej stronie ulicy. Było to doskonałe miejsce dla toczącej się w budynku działalności.

– Słyszałem, że po powrocie do Moguncji przyjąłeś inne nazwisko – powiedział Fust.

– Gutenberg. – Odrzuciłem nazwisko ojca i wykorzystałem nazwę swojego pierwszego i ostatniego domu, by stworzyć wizerunek człowieka majątnego, co miało swoją wagę w niektórych interesach, przede wszystkim jednak pozwalało mi się zakotwiczyć. To było moje miejsce.

Gdy przestępowaliśmy próg, jak zawsze spojrzałem na herb zdobiący zwornik łuku. Była nim postać zgarbionego pielgrzyma w wysokiej stożkowej czapce, zgięta niemal wpół pod ciężarem ukrytego brzemienia, które dźwigał pod płaszczem. Zastanawiałem się, cóż to za brzemię. Opierał się na lasce, a drugą rękę z miską wyciągał po jałmużnę. Nie wiedziałem, w jaki sposób postać ta stała się naszym rodzinnym herbem; nawet ojciec nie umiał tego wyjaśnić. Jak zawsze jednak poczułem więź z utrudzonym pielgrzymem błagającym o datki na dokończenie wędrówki.

Od powrotu byłem zapracowany. Frontowe pokoje, które ojciec wykorzystywał do wystawiania sukna i towarów, zabito deskami. Teraz były zastawione mnóstwem mebli wyglądających tak, jak gdyby mieszkańcy szykowali się do przeprowadzki. Zaczął na nich osiadać kurz.

Poprowadziłem Fusta do następnego pokoju, a potem korytarzem obok spiżarni. Zatrzymaliśmy się przed okutymi żelazem drzwiami prowadzącymi do tylnego skrzydła.

– Przysięgasz na Maryję i wszystkich świętych, że nie ujawnisz nikomu tego, co zobaczysz i usłyszysz?

Fust skinął głową. Otworzyłem drzwi.

Na środku pomieszczenia trzech mężczyzn siedziało przy stole, który specjalnie został tam ustawiony. Pili wino, choć żaden nie wyglądał na zadowolonego. Wiedzieli, jaka jest stawka.

Przedstawiłem ich.

– Konrad Saspach ze Strasburga jest cieślą, wyrabia kufry. Buduje także nasze prasy, które niebawem zobaczysz.

Saspach był jednym z garstki ludzi, którzy urosli w moich oczach, odkąd ich poznałem. Miał teraz krzaczastą białą brodę proroka, a jego ręce były przerażliwie pomarszczone. Wydawało się niemożliwe, by umiały obrócić pilnik lub wykonać piłą proste nacięcie. Saspach był zawsze luźno związany z naszym przedsięwzięciem, lecz gdy zaprosiłem go, by przyjechał ze Strasburga, zgodził się chętnie.

– Götz von Schlettstadt, złotnik grawerujący kostki i formy, których używamy.

Wkrótce po tym, jak go poznałem, *Armagnaken* splądrowali jego miasto i złupili warsztat. Złotnik bez złota nie utrzyma swojej działalności. Zaraz potem przybył do Strasburga i zaproponował mi swoje usługi. Chętnie przyjąłem propozycję, gdyż był najstarszym złotnikiem, jakiego kiedykolwiek znałem. Wszystkie metale były w jego rękach jak glina.

– Ojciec Heinrich Günther. – Młody mężczyzna z poważnym wyrazem twarzy i skupionym wzrokiem był wikarym w pobliskim kościele Świętego Krzysztofa aż do dnia, gdy w czasie dysputy między arcybiskupem i papieżem popełnił grzech i wziął stronę zwierzchnika swojego przełożonego. Arcybiskup

pozbawił go beneficjum i zostawił bez pensa.

Spoglądali na Fusta albo wpatrywali się w swoje puchary, w zależności od nastroju. Te sieroty lub wyrzutki stanowiły mój cech, bractwo rzemieślników. Gdyby tylko znalazł się wśród nich Kaspar, moje szczęście byłoby całkowite.

– Co macie ze sobą wspólnego? To brzmi jak początek dowcipu: cieśla, złotnik, ksiądz i... – Popatrzył na mnie. – A ty kim jesteś, Hansie Gutenbergu?

Kopistą? Drukarzem na papierze? Żebrakiem? Głupcem?

– Pielgrzymem. – Moja odpowiedź go dotknęła, przeto zmieniłem temat: – Najpierw zademonstrujemy potęgę naszej sztuki.

Wręczyłem Fustowi kartkę papieru. W rogach znajdowały się otworki, a mniej więcej pośrodku biegła linia nakreślona przy użyciu linijki.

– Napisz tutaj swoje nazwisko.

Opornie jak człowiek podejrzewający, że robią z niego durnia, Fust wziął pióro ze stołu i napisał na linii nazwisko.

– Papier jest wilgotny – zauważył.

– Taki lepiej przyjmuje atrament.

Saspach wziął papier i zniknął w sąsiednim pokoju. Zza drzwi dobiegło przeciągłe skrzywienie brzmiące jak odgłos naciągniętej cumy trzymającej statek na uwięzi. Potem rozległ się głuchy łoskot, chrobot i brzęk. Oczy Fusta się zwężyły, inni zaś udawali, że nic nie słyszą.

Mój współnik wrócił i triumfalnie złożył arkusz przed Fustem.

– *Liebe Gott* – mruknął ten drugi.

Jego nazwisko wciąż widniało na kartce, tak jak je zapisał. Jednak poprzednio było niczym samotny kwiat na ugorze czystego papieru, teraz zaś tkwiło pośród ogrodu. Wokół niego błyskawicznie zakwitły setki słów, jakby otaczając go pajęczyną. Nazwisko stanowiło obecnie część zdania.

***Winiojszym orzekamy, że Johann Fust
grzechy owe ma odpuszczone,
i że ich plama jest usunięta.***

– Bez piór, bez biurek. Umysł się nie zagapił, ręka się nie pośliznęła. Za każdym razem wychodzi doskonała kopia. I, jak sam się przekonałeś, jest gotowa w okamgnieniu.

Fust wyglądał jak ktoś, kto wpadł do dziury i odkrył jaskinię pełną złota. Wskazał podręcznik do gramatyki, który pokazałem mu w winnicy.

– Ta książka również wyszła z tego pomieszczenia?
– Każda jej stronica.
– Nie sposób jej odróżnić od prawdziwej.
– Może jest prawdziwa, tak jak złoto jest prawdziwe w porównaniu z ołowiem, a słońce z księżycem.

Wszelako kupiecki umysł Fusta nie mógł długo wytrwać w osłupieniu. Już dostrzegąłem w jego oczach kalkulacje, szacunki i rachunki.

– Do czego potrzebujecie mojego tysiąca guldenów? Wszystko jest gotowe.

– To zaledwie początek. Dowód, że rzecz taka jest możliwa. By zrobić użytek z tej sztuki, potrzebuję więcej pras i sprzętu, więcej rąk do pracy, więcej papieru i welinu.

– Aby drukować odpusty i podręczniki do łaciny?

Pokręciłem głową i pochyliłem się nad stołem. Poprzysiągłem sobie, że nie tknę wina, gdyż mogłoby zaciemnić moje myśli. Tymczasem już opróżniłem kielich. Trunek popłynął w moich żyłach.

– Nowe przedsięwzięcie, śmielsze niż wszystko, czego się do tej pory podjęliśmy. Mimo osiągnięć wciąż jesteśmy tylko czeladnikami nowej sztuki. Teraz stworzymy nasze arcydzieło.

LXIII

Nadrenia-Palatynat, Niemcy

Nick wybrał pierwszy lepszy zjazd z autostrady i jechał dopóty, dopóki nie zauważył motelu. Emily spała na fotelu obok. Czuł się pusty w środku. Jego ciało było jak trzęsący się zbiornik, w którym zostały ostatnie krople adrenaliny i kofeiny. Siłą woli powstrzymywał się przed zamknięciem oczu. Zadrzał z ulgi, wjeżdżając na parking na tyłach hotelu, i prawie się rozpląkał na widok zwyczajnego pokoiku z solidnym brązowym łóżkiem.

Emily odrzuciła kołdrę i usiadła na skraju posłania, by zdjąć buty i skarpety. Patrzyła przez chwilę na Nicka. Było to dziwne spojrzenie, którego nie rozumiał.

Wzruszyła ramionami, ściągnęła sweter przez głowę i zsunęła dzinsy. Pod spodem nosiła tylko krótką białą haleczkę i bieliznę. Stała pośrodku dywanu lekko zarumieniona niczym dziewica w noc poślubną, niewiedząca, co robić. Nick starał się na nią nie patrzeć.

– Chcę, żebyś mnie przytulił.

Skinął głową. Był tak zmęczony, że nawet nie czuł się niezręcznie. Rozebrał się do bokserek i położył obok Emily. Położył się obok niej, wsuwając kolana w zagłębienia jej kolan i przyciskając piersi do jej łopatek. Zadrzała. Odsunął się, lecz ona wzięła go za rękę i przycisnęła do swojej talii.

– To miłe. Tyle czasu minęło. – Westchnęła. – Nie tamto. Po prostu... ciepło.

– Chyba wiem, co chcesz powiedzieć.

Wtulila się w niego. Nick położył dłoń płasko na jej brzuchu, bojąc się dotknąć jej tam, gdzie nie powinien, a jednocześnie tego pragnąc. Pamiętał, jak leżał w ten sposób z Gillian. Odczuwał to samo zmieszanie: byli tak blisko, a zarazem byli tak świadomi dystansu. Ten nigdy nie znikał.

Nick usnął.

LXIV

Moguncja

Po wyjściu Fusta krążyłem po domu. Światło dnia bledło; wnet zrobi się za ciemno na pracę. Jeszcze przez chwilę trwał wysiłek będący życiem i oddechem tego domu. Wyszedłszy na podwórze, czułem ciężką woń wrzącego oleju wzmocnioną zapachem węglowego dymu. Kuchnia w domu mojego ojca stała się naszą odlewnią czcionek, a w przylegającej do niej pralni gotowaliśmy atramenty. Iskry strzelające w kuźni towarzyszyły szlifowaniu na kole nowych czcionek.

Wspiąłem się po zewnętrznych schodach i przeszedłem kładką do głównego budynku. Wokół wewnętrznego dziedzińca biegła galeria. Mijając okna, zaglądałem do środka. W izbie, w której wyrabiano matryce na monety, Götz wycinał litery z miedzianych kwadratów. Ojciec Günther ślęczał w sąsiednim pomieszczeniu nad biurkiem, na którym spoczywała mała Biblia. Obok niego leżał arkusz papieru, a w jego dłoni tkwiło pióro, które nie przestawało się poruszać, gdy czytał. Dla kogoś nawykłego do obserwacji kopistów przy pracy był to nienaturalny widok: pióro tańczyło po stronie w górę i w dół, od wiersza do wiersza, w pozornie przypadkowy sposób. Nie zatrzymywało się ani na chwilę, by nakreślić choćby jedną literę, tylko pozostawiało szlak kropek i linii niczym ptak na śniegu. Jeśli Günther kogoś przypominał, to nie skrybę, lecz kupca dokonującego inwentaryzacji towaru. W rzeczywistości ojciec Günther dokonywał inwentaryzacji każdej litery w każdym słowie Księgi Rodzaju.

Zauważywszy mnie, krzyknął przez otwarte drzwi:

– Uzyskałeś to, czego chciałeś?!

– Da nam osiemset guldenów teraz, a resztę później. – Była to mniejsza suma od tej, o którą poprosiłem, lecz większa niż ta, której się spodziewałem. – Jego rękojmią będzie sprzęt. W zamian za wyłączność na sprzedaż dzieła, które stworzymy, zgodził się także nie pobierać nawiązki. Zamówił pięćdziesiąt egzemplarzy podręcznika Donatusa za trzy miesiące. – Roześmiałem się. – Szkoda, że nie widziałeś jego miny. Nie mógł uwierzyć, że coś takiego jest możliwe.

– A więc nie zauważył, że podręcznik jest sfalszowany?

– Owszem, sfalszowany, ale bezbłędnie. – Odpust był autentyczny, lecz podręcznik, który pokazaliśmy Fustowi, stanowił owoc dwóch nocy rozpaczliwego mozolu ojca Günthera oraz jego gęsiego pióra. Musiało się tak stać, gdyż doszliśmy do wniosku, że nie zdążymy zrobić wystarczającej liczby czionek, by złożyć na czas wszystkie szesnaście arkuszy.

– Za trzy miesiące nie będzie to miało znaczenia – dodałem.

Następna izba tonęła w ciemności, lecz przechodząc, uchwyciłem powiew stęchlizny od składowanego tam wilgotnego papieru. Galeria kończyła się schodami prowadzącymi na najwyższe piętro. Już miałem na nie wejść, gdy w mroku rozległo się żałośnie brzmiące pukanie do drzwi. Ktoś czekał przy bramie.

Stałem bez ruchu. Do Gutenberghof nikt nie przychodził, a zwłaszcza o tej porze. Czyżby Fust się rozmyślił i chciał się wycofać ze swoich obietnic? A może to straż miejska? Upłynęło ponad dwadzieścia pięć lat od dnia, gdy pełniwszy zbrodnię, umknąłem z domu Konrada Schmidta, lecz pukanie do drzwi wciąż mroziło mi krew w żyłach. Czekałem.

Beildeck, mój sługa, otworzył bramę. Słyszałem, jak nawołuje do przybyśsza, lecz odpowiedzi były zbyt ciche, bym zdołał je usłyszeć. Drzwi zatrzeszczały.

Wychyliłem się nad schodami i spojrzałem. Z głębokiego cienia pod łukiem bramy wyłoniła się jakaś postać. Poruszała się wolno, zgarbiona nad laską,

która przy każdym kroku stuknęła o kamienie. Zatrzymała się na środku dziedzińca. Nagle mężczyzna spojrzał prosto na mnie, jakby wiedział, że tam jestem.

Nogi ugięły się pod mną. Chwyciłem się poręczy.

– Kaspar?

Rozległ się chrypliwy śmiech brzmiący jak krakanie wrony.

– *Hier bin ich.* Oto jestem.

LXV

Nadrenia-Palatynat, Niemcy

Nick nie wiedział, kiedy się zbudził. Pochmurny dzień i grube zasłony sprawiały, że w pokoiku panował zmierzch. Przeżył w ponurej szarości cały ostatni tydzień – jedyne oświetlenie stanowił blask lamp w przedziałach pociągów, ulicznych latarni, reflektorów samochodowych i gołych żarówek. Czuł się jak mucha tonąca w bursztynie.

Jednakże bursztyn jest zimny, a Nicka spowijało promieniujące ciepło. Był otulony kocami, pościelą oraz Emily. Jej halka się uniosła, więc czuł na brzuchu jej nagie plecy. Ich ciała połączyły się w łuk.

Ciepło Emily rozgrzało Nicka i obudziło w nim pragnienie. Rozchylił jej włosy, by całować szyję, gładził obnażone ramię, które zamknęło się na kocu. Odwróciła się w jego stronę, jej wargi szukały pocałunku. Zobaczył jej zamknięte oczy i się odsunął, lecz położyła mu dłoń z tyłu głowy i przyciągnęła go do siebie.

Pragnienie wezbrało i zmieniło się w pożądanie. Przesunął ręką po jej udzie, a następnie zacisnął dłoń na jej biodrze, ocierając się o nią. Emily westchnęła. Przesunęła jego rękę do góry. Przez cieniutki napięty materiał halki poczuł jej pierś.

Ułożyła się na plecach i pociągnęła Nicka. Podał się chętnie.



Obudziwszy się po raz drugi, leżał sam w łóżku. Głowa już go nie bolała, lecz czuł wilczy głód. Emily ubrała się i siedziała przy komodzie, z której

zrobiła prowizoryczne biurko. Przed nią leżała książka ukradzioną z biblioteki oraz arkusz z grafiką wielkości plakatu, na którym notowała coś ołówkiem.

Nick usiadł. Opadły go wspomnienia, które mogły być snami, oraz marzenia, które mogły być wspomnieniami; taką miał nadzieję. Zaczerwienił się.

Emily uniosła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dobrze spałeś?

– Mmm. – Szukał w jej twarzy jakiejś oznaki żalu; zauważył, że Emily przygląda mu się w taki sam sposób.

– Nie chcę, żebyś pomyślał... – zaczęła. – Wiem, że nie powinnam...

– Nie. – Źle to zabrzmiało. – To znaczy tak, powinnaś. Nie powinnaś...

– Ja nie chcę wchodzić pomiędzy ciebie i Gillian.

Rozbiegane myśli Nicka nagle stanęły.

– Gillian?

– Wiem, co ona dla ciebie znaczy.

– Nie wiesz. – Zrzucił pościel i wstał nagi. Zakłopotana Emily odwróciła głowę. – Myślisz, że kiedy ją znajdziemy, porwę ją w ramiona i odjedziemy w stronę zachodzącego słońca?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– W takim razie po co to robimy?

Nick wytrzymał jej spojrzenie i uprzytomnił sobie, że już nie zna odpowiedzi.

– Idę pod prysznic.

Prysznicą nie było, tylko wanna. Nick ochlapał się letnią wodą, a potem się ubrał. Gdy wyszedł z łazienki, Emily siedziała po turecku na posłanym łóżku wśród rozłożonych książek i papierów.

– I co masz?

– Próbuję ustalić związki między Gutenbergiem a Mistrzem Kart do Gry.

Ta wymiana zdań scementowała ich niewypowiedziane porozumienie. Emily się rozluźniła. Nick usiadł w kącie łóżka.

– Powinniśmy przyjąć, że Gillian nie zobaczyła kartki, którą złożyliśmy w całość. Musiała podążyć innym tropem.

– Słusznie. – Nick przyjrzał się wielkiemu arkuszowi rozpostartemu na łóżku. Pokrywała go nieregularna siatka, której linie przecinały się z zagięciami.

Większość krutek była pusta, lecz w niektórych widniały tajemnicze zapiski: „f.212r Dolna linia, podobieństwo”. W pionowej kolumnie po lewej stronie znajdowały się wizerunki z kart w postaci miniaturowych rysunekczków.

– Co to takiego?

– Zestawienie ksiązek i rękopisów z ilustracjami wyglądającymi jak karty do gry. Jest tu lista obrazków oraz dzieła, w których się znajdują. Jednym z nich jest Biblia Gutenberga w Princeton, o której ci wspomniałam.

Nick zsunął się z łóżka i podszedł do niskiego stolika przy drzwiach, na którym stał czajnik oraz pudełko z herbatą.

– Nie kapuję. Jeśli książki Gutenberga wyróżnia to, że wszystkie egzemplarze są takie same, czy nie powinny mieć takich samych ilustracji?

Emily pokręciła głową.

– Podobnie jak wielu rewolucjonistów Gutenberg ubrał swój wynalazek w bardzo konserwatywne szaty. Ludzie obawiają się zmian. Nie sprzedawał nowinki; usiłował przekonać ich, że odkrył lepszy sposób tworzenia czegoś, co dobrze znają. W tym wypadku były to manuskrypty. Zgodnie z tą samą zasadą pierwsze samochody przypominały wozy konne.

Nick napełnił czajnik.

– W średniowieczu nie kupowało się ksiązek tak jak teraz. Wszystko powstawało we współpracy. Najpierw trzeba było znaleźć tekst i skrybę do jego skopiowania, który przepisywał go na zeszytach złożonych z ośmiu do dziesięciu stron. Następnie zanosilo się zeszyty do introligatora, który je zszywał i umieszczał w okładce. Później kaligraf wpisywał tytuły oraz tytuły rozdziałów na czerwono bądź niebiesko, ilustrator zaś dodawał obrazki. Czarną, dziękuję.

Nick wyjął z pudełka dwie torebki herbaty i wrzucił je do kubków.

– Niektóre spośród pierwszych stron Biblii Gutenberga świadczą o tym, że eksperymentował on z dwubarwnym drukiem po to, by drukować nie tylko tekst, ale także tytuły rozdziałów. Jednak szybko z tego zrezygnował, przypuszczalnie dlatego, że było to zbyt trudne i czasochłonne. Gutenberg nie chciał zmieniać metody wytwarzania ksiązek, tylko sposób reprodukcji tekstu.

Nick przypomniał sobie wyrażenie umieszczone na końcu bestiariusza: „nowa metoda pisania”.

– Już dawno powinnam była sobie uświadomić, co to znaczy. Ale wracając do twojego pytania. Wszystkie teksty Biblii Gutenberga są w zasadzie identyczne, ale każdy zachowany egzemplarz jest unikalny. Każdy został oprawiony i zilustrowany inną ręką.

– Ten, który znajduje się w Princeton, wykonał Mistrz Kart do Gry?

– Niektóre wizerunki w tamtym wydaniu to kopie figur z kart do gry – sprostowała Emily. – Możliwe, że ilustrator zobaczył karty i skopiował je albo że obaj ilustratorzy czerpali ze wspólnego źródła.

– Ale teraz mamy arkusz z innej książki, który stanowi łącznik między Gutenbergiem i Mistrzem. – Nick nalał parującej wody do kubków. – Załóżmy, że to coś więcej niż zbieg okoliczności.

– Zgoda. Dlatego chciałam zerknąć na ilustracje z egzemplarza w Princeton. Może mają jakąś wspólną cechę, wskazówkę, na którą trafiła Gillian.

– I znalazłaś?

– Jeszcze nie. Na tym diagramie są podane tylko numery stron. Muszę zobaczyć tekst, który do nich pasuje.

Nick popatrzył na nią.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zwędzić następnej książki z biblioteki.

LXVI

Moguncja

Zaprowadziłem go do salonu i nalałem wina. Wieczór był zimny, lecz Kaspar trzymał się z dala od ognia, jak gdyby blizny po oparzeniach w młynie wciąż wzdragały się przed gorącym. Jego ubranie cuchnęło wilgocią i błotem; zakrzepła krew znaczyła jego policzek w miejscu podrapanym przez osty lub gałęzie.

– *Armagnaken* wywlekli mnie z płomieni – zaczął. – Byłem w połowie martwy lub więcej niż w połowie. Nie wiem, dlaczego to zrobili. Powinni byli zostawić mnie na spalenie. Wzięli mnie jako jeńca. Jako zabawkę.

Zadrzałem. Drach siedział nieruchomo, toteż bałem się, że pęknie na kawałki przy najdrobniejszym ruchu.

– Robili mi rzeczy, w które byś nie uwierzył. Nie starczyłoby ci wyobraźni. W okrucieństwie okazywali bezgraniczną inwencję. Nauczyli mnie takich rzeczy...

– Gdybym wiedział, że żyjesz, poruszyłbym niebo i ziemię, aby cię ocalić – powiedziałem szybko.

– Szukałbyś w niewłaściwych miejscach.

Patrzyłem na niego w blasku ognia. Był bladym odbiciem mężczyzny, którego niegdyś kochałem. To, co kiedyś było jego chlubą, zapadło się. Prawa strona twarzy, pocięta głęboko wrytymi bliznami, przypominała jedną z jego miedzianych tablic. Ogień spalił połowę jego włosów, a reszta została ogolona, więc pokryta nierównymi plamami czaszka wyglądała jak zwierzęca skóra. Oczy, które połyskiwały wszystkimi kolorami, kiedy go poznałem, przesłoniła czerń.

– Jak długo...?

– Miesiące? Lata? – Kaspar wzruszył ramionami. – Nie liczyłem. W końcu uciekłem i powlokłem się do Strasburga, ale ciebie już tam nie było. Rozpytywałem o ciebie i dowiedziałem się, że wyjechałeś do Moguncji. Od tego czasu wędrowałem tutaj.

Pochyliłem się niezręcznie i dotknąłem jego ramienia.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Modliłem się za ciebie każdej nocy.

Kaspar skulił się niczym wąż.

– Szkoda twojego oddechu. Bóg nie ma władzy nad *Armagnaken*.

Gniew w jego spojrzeniu przeraził mnie. Milczałem.

– Ale tobie się powiodło. – Wypowiedziane chrapliwym głosem słowa zabrzmiały jak oskarżenie. – Futrzany kołnierz, złoto na rękawach. Szacowny mieszczanin w domu ojca.

– Wciąż mam więcej długów niż dochodów.

– I wciąż gonisz za marzeniem o doskonałości?

– Za naszym marzeniem.

Kaspar zacisnął pięść. Po chwili rozprostował palce – wydawały się twarde jak szpony.

– Od lat o niczym nie marzyłem.

Wstałem, chcąc zająć jego myśli czym innym.

– Chodź, pokażę ci, czym się trudnimy.

Począł za mną galerią. Zaprowadziłem go do pomieszczenia, w którym stały prasy. Kolumny księżycowego blasku zalewały maszyny srebrzystą poświatą.

– Każdą literę ustawiamy osobno – mamrotałem, drżąc. – Nie uwierzyłybyś...

Zimna ręka chwyciła mnie za szyję i przygięła do ziemi. Moja twarz przywarła do mokrego od atramentu łożyska prasy. Zgięty w pół z trudem łąpałem oddech. Kaspar trzymał mnie jedną ręką, a drugą gmerał przy pasku.

– Co robisz?! – zawołałem. – W imię Chrystusa, Kasparze...

Dławił mnie, napierając raz po raz od tyłu. Ze wszystkich stron otoczył mnie trupi smród mokrej ziemi.

– Wiesz, co oni mi robili? – wysyczał mi do ucha Kaspar. – Ile wycierpiałem, gdy ty bawiłeś się swoimi zabaweczkami?

– Myślałem, że nie żyjesz.

Jego ręce rozdzierały moje ubranie, drapiąc skórę.

– Proszę, nie w taki sposób.

– Co to ma znaczyć?

Języki światła rozbiegły się po izbie. Kaspar w jednej chwili odskoczył ode mnie. Wydawało się, że cienie gromadzą się wokół niego jak całun. Wstałem i rozejrzałem się.

W drzwiach stał ojciec Günther z lampą w dłoni i wyteżał wzrok.

– Johann? Usłyszałem krzyk.

– Prasa zatrzeszczała. Pokazywałem ją... swojemu przyjacielowi.

Günther obrócił lampę tak, by wydobyć z ciemności twarz Kaspara. Przyjrzał mu się badawczo, lecz nic nie powiedział.

– Jeśli wszystko w porządku... – rzekł powątpiewająco.

– Nic mi nie jest.



Kaspar wrócił, lecz nie taki sam. Wchłonał go kryjący się w jego naturze mrok, który dawniej traktowałem jako nieodłączny cień jaśniejącego słońca. Po tamtej strasznej nocy, w której się na mnie rzucił, nie opowiadał o tym, co przecierpiał, ani, Bogu dzięki, nie napastował mnie. Przebaczyłem mu, ale nie mogłem się pogodzić z pomniejszych zmianami w jego osobie. Z drobnymi okrucieństwami, z dzikością spojrzenia. Potrafił niczym duch spowić izbę chłodem, gdy tylko do niej wkroczył. Opierałem się przed tą myślą tak długo, jak mogłem, lecz w końcu musiałem się do niej przyznać. Już nie kochałem Kaspara.

Mimo wszystko jego talent pozostał żywy. Nawet dręczące go demony nie mogły ugasić jego zainteresowania pracą nad księgami. Zachęcałem go do działania z nadzieją, że może ono wywabić z niego choć część trucizny i skierować jego myśli na czystsze sprawy. Dałem mu pokój na poddaszu, a także inkaust, pióra, pędzle, papier oraz wszystko, czego potrzebował. On zaś odwdzieczył mi się za to.

Pokazał mi swoje dzieło pewnego wieczoru, gdy wspiałem się na strych. Reszta pracowników rozeszła się do domów. Kaspar siedział przy pochylonym biurku w końcu izby. Pisał intensywnie i nie podniósł głowy, by na mnie spojrzeć.

Schyliłem się, by zobaczyć, co leży na biurku. Na arkuszu papieru wielkości dwóch odpustów przecinały się nikle linie i zamaszyste łuki przypominające zarys katedry. Grubszą linią był narysowany prostokąt na środku papieru, podzielony na dwie masywne kolumny. Kaspar zacieniował je płaskim ołówkiem. Widać było jedynie napis na pierwszym filarze wykonany mocnymi, starannie nakreślonymi literami: *In principio creavit deus celi et terram*. Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię.

– Tak powinno to wyglądać – oznajmił Kaspar. Przesunął palcem po jednym z łuków. – Harmonijne proporcje. Twoja księga doskonała.

Łagodnie położyłem rękę na jego ramieniu, wyobrażając sobie kolumny wypełnione rzędami słów.

– Jest piękna.

Zdawało się, że czeka na coś więcej. Ja jednak milczałem. Kaspar westchnął.

– Widzisz, jak zapisałem litery, by wypełniły całą kolumnę od brzegu po brzeg? Żaden skryba by tego nie dokonał, chyba że przez przypadek. Próbowalem tuzin razy napisać tę jedną linijkę. Tymczasem dzięki czcionkom masz kontrolę nad dokładnym położeniem każdego słowa, każdej litery. Tak jak Bóg.

Od razu wiedziałem, że ma słuszność. Poczulem znajomą wibrację, echo anielskich śpiewów. Do tej pory tak bardzo absorbowało mnie równe drukowanie poszczególnych liter, że nie obejmowałem wzrokiem całości obrazu. Mogliśmy układać słowa tak, by każdy wiersz był solidny jak rzeźbiony kamień. Ogromne kolumny tekstu wspierające ciężar Słowa Bożego. Coś, czego nie mogła uczynić ludzka ręka.

Moje stare oczy zaszyły mgłą w blednym świetle. Przez sekundę skupiłem wzrok nie na zapisanych kolumnach, lecz na szerokich białych polach, które je otaczały. Tło i pierwszy plan zamieniły się miejscami. Czysty papier stał się oknem otaczającym mglistą ciemność za szybami. Zapisane ołówkiem znaki zawirowały niczym krople inkaustu w wodzie, splatając się w słowa mówiące o Bogu.

Był to ostatni, najlepszy dar, jaki otrzymałem od Kaspara.

LXVII

Nadrenia-Palatynat, Niemcy

Poobijany volkswagen włókł się ulicą. Nikt go nie zauważał, może z wyjątkiem śnieżnych bałwanów trzymających straż na podmiejskich trawnikach. Gdyby go ktoś dostrzegł, zdziwiłaby go nierównomierna jazda samochodu, który szarpanym ruchem pokonywał kilka metrów, hamował raptownie, a potem znów zrywał się do jazdy. Manewry te powtarzały się co kilka chwil. Można by pomyśleć, że kierowca boi się lodu, gdyby nie to, że po południu tego samego dnia jezdnia została odśnieżona i posypana solą. Może zabłądził albo był pijany. To mogłoby tłumaczyć fakt, że volkswagen za każdym razem przystawał w cieniu.

– W innej okolicy aresztowano by nas za nieobyczajne zachowanie – mruknął zniecierpliwiony Nick.

Przespali krótki dzień, a teraz był już wieczór. Nick minął trzy posesje i zatrzymał samochód. Emily siedziała obok niego z otwartym laptopem na kolanach. Blask ekranu stanowił jedyne oświetlenie we wnętrzu auta.

– O, tu jakiś jest. – Stuknęła dwa razy w klawisz. – Niestety, zakodowany.

Nick ponownie nacisnął pedał gazu. Godzinę temu wyjechali z motelu, by znaleźć kawiarenkę internetową, lecz w sennym miasteczku nie było punktów obsługi turystów. Pojechali do biblioteki publicznej, ale była zamknięta. Wreszcie wpadli na pomysł, by podłączać się niepostrzeżenie do domowych sieci w okolicy zabudowanej domkami jednorodzinnymi.

Skręciwszy za rogiem, Nick zatrzymał samochód obok przysypanych śniegiem koszy na śmieci. Emily nachyliła się nad ekranem.

– Może to? „Rodzinna sieć Hauserów, niezabezpieczone połączenie bezprzewodowe”.

– Właśnie czegoś takiego szukamy.

Nick wziął komputer od Emily i połączył się z Internetem.

ŁĄCZENIE Z HOSTEM 190.168.0.1

Pojawiła się zielona ikonka w kształcie wieży radiowej. Przekazał laptop Emily, która otworzyła przeglądarkę i wpisała adres. Na ekranie ukazała się marmurkowa powierzchnia pergaminu.

– To jest to?

– W British Library znajdują się dwie Biblie Gutenberga. Obie zostały zeskanowane i udostępnione w Internecie.

Emily odwróciła laptop, tak aby Nick mógł lepiej widzieć ekran. Na stronie widniał tekst podzielony na dwie kolumny równe jak wycięte nożem. Upływ czasu sprawił, że pergamin zbrązowiał, lecz atrament po setkach lat zachował intensywnie czarną barwę. Czcionka była gotycka i wyglądała na starą, lecz układ strony był zaskakująco przejrzysty.

– Rozumiem, dlaczego ludzie tak się tym ekscytują.

– Te proste marginesy stanowiły jego wizytówkę. Skrybowie nie potrafili utworzyć takich równych marginesów po prawej stronie. Można to osiągnąć tylko wówczas, gdy ma się swobodę przesuwania czcionki i dokładnego jej ustawiania.

– Facet musiał być perfekcjonistą.

Emily sięgnęła po wydruk elektronicznie zrekonstruowanej strony. Na odwrocie obok krótkich opisów figur karcianych umieściła szereg liter i liczb.

– Czytaj mi numery stron.

Nick nie mógł ich znaleźć. Emily wskazała mu odpowiednią kolumnę.

– F sto siedemnaście r?

– F oznacza *folio*, czyli dwustronny arkusz. Średniowieczne książki nie miały takiej numeracji, jaką dziś stosujemy, więc historycy numerują je od pierwszego arkusza. Ostatnia litera to *recto* albo *verso*, pierwsza kartka arkusza występująca jako prawa stronica, gdy otwierasz książkę, albo odwrotna strona. Zatem nasza trzecia strona to byłoby...

– F dwa r – dokończył Nick. – Górna strona drugiego arkusza. Jasne.

Odczytywał numery stron jeden po drugim. Zaczynały się od f.117r – wyliczył, że jest to mniej więcej dwieście trzydziesta trzecia strona – a kończyły na f.280r, czyli około trzystu dwudziestu pięciu stron dalej. Był to czasochłonny proces. Emily musiała znajdować odpowiednie zeskanowane strony, czytać łaciński tekst, a później odgadywać, z której biblijnej księgi pochodzi. Odczytywała go Nickowi, który zapisywał odnośnik obok numeru strony i opisu wizerunku.

Jednak jego myśli krążyły gdzie indziej. Skomplikowany system numeracji obudził jakieś niejasne skojarzenie w mózgu, tak jak kamyk w bucie podrażnia nerwy. Trapiło go to nadal, podczas gdy Emily kontynuowała poszukiwania.

– Co jest następne?

Nick zerknął na listę.

– F dwieście dwadzieścia sześć r.

– Mam. – Emily spoglądała przez chwilę na ekran. – „Grzechów przeze mnie popełnionych jest więcej niż piasku w morzu. Nie jestem godzien, by patrzeć na majestat Niebios za sprawą ogromu moich niedostatków”.

Nick czekał, aż Emily określi rozdział i wiersz. Milczała, więc spojrzął na ekran. Ona też się w niego wpatrywała.

– Co to jest?

– Jaka ilustracja towarzyszy tej stronie?

Nick zerknął na diagram.

– Kopia niedźwiedź.

– Taki sam jak na karcie?

Nawet nie musiał tego sprawdzać.

– Dlaczego pytasz?

– Na tej stronie znajduje się modlitwa Manassesesa. – Odwróciła do Nicka zarumienioną twarz. – Modlitwa uważana za część zaginionej księgi biblijnej, *Dziejów Królów Izraela*.

– „Wykonał on także inną księgę bestii, korzystając z nowej sztuki pisania”...

– ...”która jest ukryta w *Dziejach Królów Izraela*”. No i jest. Opatrzona ilustracją z karty na tej samej stronie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu Nick. – Wszystkie wskazówki się

łączą, ale tworzą zamknięty krąg. Biblia z ilustracjami Mistrza Kart do Gry znajduje się w Princeton, tak? Gillian nie mogła jej szukać, musi więc istnieć inna książka, która stanowi łącznik między kartą, Biblią i bestiariuszem znalezionym przez Gillian w Paryżu.

- Inna księga bestii.
- Zatem gdzie ona jest?

Emily wpatrywała się w ekran. Para skropiła się na szybach, zasłaniając świat na zewnątrz. To zbyt banalne, pomyślał Nick: dwoje ludzi w zamglonym samochodzie zmierzających donikąd.

- Musi być jeszcze jeden element układanki – oznajmiła Emily.
- Może znajdował się na pierwszej stronie bestiariusza. Tej, która została wycięta.
- A może tu jest coś więcej. Jeszcze nie obejrzelśmy wszystkich rysunków Mistrza.

Emily nachyliła się i znów zaczęła wystukiwać słowa na klawiaturze, myśląc się w nerwowym pośpiechu. Nick zerknął na ekran. Na stronie internetowej ukazała się zadrukowana strona: piętnastowieczny tekst zapisany na bydłęcej skórze i wyświetlony na ekranie ciekłokrystalicznym. Różniła je techniczna przepaść, lecz uderzyło go, jak bardzo są do siebie w istocie podobne. Obydwa stanowiły nośniki informacji. Bez względu na to, w jaki sposób zapisze się numer strony albo rozdział Biblii i wiersz, jest to tylko adres, pod którym poszukuje się danych.

Strona 233, f.117r, Księga Sędziów 5,4. W gruncie rzeczy wszystkie trzy zapisy kierowały do tego samego fragmentu: „Ziemia wtedy drżała, kropiły Niebiosy”. Według tej samej zasady liczby 190.168.0.1 stanowiły wygodny odpowiednik szerokopasmowego łącza domu rodziny Hauserów.

Co by się stało, gdyby to odwrócić? Gdyby informacja kierowała do liczby?

Nick obrócił skrawek papieru, który trzymał w dłoniach. *Recto* i *verso*, tył i przód. Spojrzał na wołu na zamazanym sztychu i przypomniała mu się uśmiechnięta krowa stojąca na drabinie z pędzlem w kopycie.

Mam nowy numer, www.jerseypaints.co.nz.

Emily przestała pisać i zagubiona w myślach patrzyła w okno. Nick chwycił laptop.

- Jeszcze nie skończyłam – zaprotestowała.

– To potrwa chwilę.

Z radosnego zdenerwowania palce ślizgały mu się po klawiaturze; dopiero za trzecim razem prawidłowo wpisał adres. Ze szczytu drabiny spoglądała uśmiechnięta tęczowa krowa.

Nacisnął klawisz. Adres zamienił się w szereg cyfr, które Nick zanotował na kartce papieru.

Emily nachyliła się wciąż nadąsana.

– Co to jest?

– Każdy adres internetowy przekłada się na numer. – Nick otworzył drzwiczki samochodu. Czterdzieści metrów dalej stał okryty śniegiem automat telefoniczny. – Może to jakiś inny numer.

Podbiegł do telefonu. W blasku lampy leciały z góry płatki świeżego śniegu. Gdy wybierał numer, palce omal nie przymarzły mu do metalowych klawiszy.

Odstęp między dzwonekami ciągnął się jak wieczność. Każdy trzask na linii brzmiał niczym podnoszenie słuchawki z widełek.

– *Ja?*

– Czy to Olaf? – spytał po niemiecku Nick.

Na chwilę zapadła cisza.

– Kto dzwoni?

– Chodzi o Gillian Lockhart.

Mężczyzna milczał.

– Mam zły numer?

– Kim pan jest?

– Jej znajomym z Ameryki. Gillian zaginęła, próbuję ją odnaleźć.

– Ha. – Następną dłuższą pauza. – Nie wiem, gdzie ona jest.

Nick mocniej zacisnął palce na słuchawce. Jego oddech zmroził szklaną ściankę budki.

– Ale wiem, dokąd się wybierała.

Teraz z kolei Nick zamilkł, bojąc się, że jedno niewłaściwe słowo wszystko zniweczy.

– Proszę przyjechać do Moguncji, to panu powiem.

LXVIII

Moguncja

Pod rzeźbionym pielgrzymem wyszedłem na dwór i skierowałem się w stronę katedry i rynku. Nie był daleko, lecz na tej krótkiej przestrzeni ulica wielokrotnie rozszerzała się i zwężała. Miejscami była tak wąska, że ledwo można było nią przejść z wózkiem, a gdzie indziej tworzyła niewielkie placyki, na których plotkowano, sprzedawano ciastka oraz grzane wino z taczek. Krótki spacer po tej ulicy stawał się opowieścią o wielu rozdziałach.

Jedno z takich szerokich miejsc znajdowało się przed kościołem Świętego Kwintyna. Kobiety przychodziły tam po wodę z fontanny w murze kościoła. Na rogu naprzeciwko stał wysoki dom. Tynk pomiędzy drewnianymi belkami miał kolor rozpuszanej czerwieni, na której namalowano girlandy. Dom nazywał się Humbrechthof i należał do mojego dalszego kuzyna Salmana, który mieszkał w nim aż do czasu, gdy przed kilkoma laty komitet rzemieślniczy przejął zarządzanie Moguncją. Obawiając się, że nowi rajcy zrujnują stare rody, Salman umknął do Frankfurtu. Od tego czasu dom stał pusty. Pisałem do niego, dając mu do zrozumienia, że sytuacja w mieście przekracza jego najgorsze obawy i stale się pogarsza. Zaproponowałem, że przejmę od niego dom za symboliczny czynsz, by ocalić go przed motłochem, który niechybnie zamieni go w burdel albo kościół szatana. Skwapliwie wyraził zgodę.

Minąwszy bramę, przeszedłem korytarzem pod głównym budynkiem. Znalazłem się na dziedzińcu. Był tam już Fust i inni: Saspach, ojciec Günther, Götz, Kaspar oraz młodzieniec, którego nie znałem. Fust wskazał go skinieniem głowy.

– Mój adoptowany syn, Peter Schoeffer.

Był to chudy młodzian o poważnym wyrazie twarzy. Miał pryszczatą cerę i jasne włosy targane podmuchami listopadowego wiatru. Zdawało mi się, że jest bardzo nieśmiały, kiedy jednak podałem mu rękę, spojrział mi w oczy z nadzwyczajną intensywnością.

– To dla mnie zaszczyt, *Herr* Gutenberg. – W jego jasnych oczach błyszczał zapal. – Ojciec opowiedział mi o pańskiej sztuce. Może pan na mnie absolutnie polegać. Dziękuję Bogu, że wezmę udział w tym przedsięwzięciu.

– Od pisania bolą go ręce – zażartował Fust. Stał od syna nieco za daleko jak na oddanego ojca, niczym stary pies lękający się szczeniaka.

– A więc tutaj urządzimy warsztat – oznajmił Götz. Dom świetnie nadawał się do naszych celów: nie był wysoki, ale za to szeroki i miał okazałe okna wychodzące na podwórze. Mój kuzyn i jego przodkowie ogrodzili duży ogród, połączyli budynki gospodarcze i podwyższyli je tak, że niemal dorównywały domowi. Całkowicie zamknęli dziedziniec, który przypominał teraz ogródek gospody lub rynek i był całkowicie niewidoczny z zewnątrz.

Rozwinąłem arkusz papieru, który trzymałem pod pachą, i przybiłem go gwoździem do drzwi magazynu. Większość moich towarzyszy widziała go już wcześniej, lecz tylko Kaspar znał całość.

– Oto powód, dla którego się tu zebraliśmy.

Na stronie widniały dwie idealnie ułożone kolumny tekstu, dokładnie tak, jak nakreślił je Kaspar. Zaciemnione szarym ołówkiem pola wypełniły się tekstem, mozolnie ułożonym i wydrukowanym w Gutenberghof. Tekst był czarny z wyjątkiem incipitu w pierwszym wierszu zapisanego krwistą czerwienią.

**Tak oto zaczyna się księga *Bresith*,
którą zwiemy *Księgą Rodzaju***

Laseczka litery N w następnej linijce zwisała nisko i zamieniała się w spiralne pnące wijące się wzdłuż krawędzi strony. *Na początku...*

Kartka trzepotała się i łopotała na wietrze; musiałem ją przytrzymać, aby się nie rozdarła.

– Wszystko, co tutaj widzicie, zostało odcisnięte na papierze za pomocą maszyny Saspacha.

Tym razem była to prawda: strona została wykonana bez żadnych sztuczek ani wybiegów. Układaliśmy tekst raz i wtóry, aż każda linia idealnie wpasowała się w swój rząd; wciskaliśmy pergamin między słowa, by stworzyć między nimi równe odstępki. Nasyciliśmy incipit czerwienią i odcisnęliśmy ponownie. Wreszcie umieściliśmy całą stronę w drugiej prasie, by dodać rytowany inicjał wykonany przez Kaspara.

Schoeffer zareagował pierwszy. Dopóki Fust nie pokazał mu odpustu, nigdy nie widział żadnej naszej pracy. Spodziewałem się z jego strony zdumienia i podziwu. Podeszedł i przyjrzał się dokładnie.

– Słowa są wyblakłe.

– Użyliśmy starych czcionek – wyjaśniłem. – Niektóre są nierówne, inne nie trzymają odpowiedniej wysokości. Götz szykuje nowy zestaw, który poprawi odcisk.

– Wyrównanie jest bliskie doskonałości.

– Lepszego nie uzyskasz.

– Absolutnie doskonale – uściśliłem. – Jeśli przeprowadzisz pionową linię wzdłuż marginesu, dotknie ona krawędzi każdej ostatniej litery. – Bóg jeden wie, ile papieru zmarnowałem, by osiągnąć ten efekt.

– Jest doskonale – przyznał Schoeffer – choć na takie nie wygląda. – Zastanowił się przez chwilę. Był młody i bezczelny, lecz mimo to wszyscy czekali na jego słowa. – Niektóre linie kończą się pomniejszych czcionkami, myślnikami oraz przecinkami. Są tak małe, że linia wydaje się krótsza niż w rzeczywistości.

Wskazał fragment tekstu w połowie stronicy.

**Bóg nazwał tę suchą powierzchnię ziemią,
a zbiorowisko wód nazwał morzem*.**

* Rdz 1, 10.

– Gdyby ustawić przecinek na marginesie, tekst byłby równiej rozłożony i przyjemniejszy dla oka.

Spojrzałem na Kaspara. Siatka blizn na jego twarzy uwypukliła się gniewnie.

– Musimy to sprawdzić – powiedziałem. – To nie jest takie proste jak wzięcie pióra do ręki i dodanie kreski na końcu wiersza.

Kaspar posłał chłopcu mordercze spojrzenie. Ksiądz Günther roztropnie zmienił temat.

– Ile Biblii wykonamy?

– Sto pięćdziesiąt. Trzydzieści na welinie, resztę na papierze. Obliczyłem, że dziennie wydrukujemy dwie stronicę każdego wydania. Zimą mniej. Będziemy mieli dwie prasy, które Saspach zbuduje o tam. – Wskazałem budynek po przeciwnej stronie dziedzińca. – Ustawimy je w holu i w salonie.

– Trzeba będzie wzmocnić posadzki – zauważył Saspach.

– W pomieszczeniach poniżej stoją kolumny z cegły. Wykorzystamy je jako składy papieru. Kiedy skończysz prasy, możesz zbudować wyciąg do transportowania papieru do pras.

– A prasa w Gutenberghof? – spytał Götz.

– Jest za mała. Będziemy na niej drukować odpusty, podręczniki i wszystko, co można sprzedać. Możemy wykorzystać odpadki i ścinki z Biblii, których będzie mnóstwo.

Fust uniósł rękę w poważnym geście.

– Nie będzie. To, co zostanie kupione do drukowania Biblii, pójdzie na Biblię. – Zatoczył łuk laską, pokazując dziedziniec i mierząc każdego z obecnych surowym spojrzeniem. – Rozumiecie? To jest nasze wspólne przedsięwzięcie. Nie chcę, by moje zainwestowane pieniądze wpadały jednymi drzwiami i wyciekały drugimi. Wiem, że wielu z was będzie często wychodziło do Gutenberghof; niektórzy tam mieszkają. Co robicie w wolnym czasie i ze swoimi materiałami, to wasza sprawa. Ale każdy pens wplacony na ten projekt pozostanie w nim. Nie zniknie ani jeden skrawek papieru, ani jedna czcionka i kropla atramentu.

– Z twojej inwestycji w przedsięwzięcie nic nie zostanie zabrane – zapewniłem go szybko. – Wszystko będzie rozliczane do ostatniego przecinka. Tak jak liczone są monety w mennicy.

– Wiesz, że chciałbym, abyś skupił wszystkie swoje wysiłki na tym interesie.

– Dałem ci słowo, że nic go nie opóźni. Jednak miną miesiące, jeśli Bóg da, zanim będziemy mogli rozpocząć tutaj produkcję. Upłynie rok, nim osiągniemy pełną moc. Nawet jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, potrzeba będzie dwóch lat na ukończenie Biblii. Prasa w Gutenberghof zapewni nam dochód w ciągu tych chudych lat i miejsce do szkolenia nowych uczniów.

Podszedłem do schodów.

– Teraz pokażę wam, gdzie to się będzie odbywało.

LXIX

Nadrenia-Palatynat, Niemcy

Spędzili noc w hotelu. Zapłacili z góry; ich zapas euro się wyczerpywał. Gdy nadeszła noc, rozebrali się bez słowa i położyli razem. Spali przytuleni do siebie, ich naga skóra stanowiła jedyne źródło ciepła w pokoju. O siódmej wstali i odjechali.

W ślad za opadami śniegu przyszła mgła; świat stał się wilgotny i ponury. Przejechali przez Ren o świcie, prawie go nie widząc, i ruszyli na północ. Emily trzymała laptop na kolanach, lecz go nie otworzyła. Biała cisza całkowicie ją pochłonęła. Jedyne samochody, które mijali, były wraki porzucone przy szosie.

– Moguncja była domem Gutenberga – powiedziała Emily głosem niewiele donońszszym od daremnego szumu grzejnika. – Ciekawa jestem, dlaczego Olaf wybrał właśnie to miasto.

Wyzaczył spotkanie o jedenastej w kościele Świętego Stefana. Był to białony budynek wykończony czerwonym piaskowcem z zaokrągloną stożkową kopułą. Stał na szczycie wzgórza ponad miastem; spoglądając z tarasu, Nick widział ośnieżone dachy i anteny tonące we mgle. Na chwilę ogarnął go przeźmożny lęk, jak gdyby wyczuł niewidzialnych wrogów wężących na śniegu w poszukiwaniu jego tropu. Otrząsnął się i wszedł do środka.

Miał wrażenie, że znalazł się w akwarium. Wnętrze kościoła wypełniała delikatna niebieska poświata, która zdawała się gęsta i namacalna niemal jak woda. Padała z okien tworzących błękitną mgławicę nakrapianą białymi plamkami gwiazd i dusz unoszących się ku niebu.

Za ołtarzem błękit stawał się tłem dla bardziej dosłownych obrazów. Nick

podszedł, by im się przyjrzeć. Anioł z bajecznymi skrzydłami niósł w ramionach omdlałe ciało. Nadzy Adam i Ewa przyglądali się jabłku, a niebieski wąż wił się w gałęziach drzewa. Złoty anioł czytał książkę, wykonując salta nad zapaloną menorą.

– Okna są nowe. Kościół spłonął w czasie wojny.

Nick odwrócił się gwałtownie. Starzec owinięty zjedzonym przez mole kocem podjechał z tyłu na wózku inwalidzkim. Jego wiek wskazywał, że mężczyzna mógł na własne oczy widzieć zniszczenie kościoła. Wkłęśłe usta ukrywały zęby, jeśli jakieś miał, a spod wysłużonej czapki sterczały siwe kępy włosów.

– Nowe okna zrobił Chagall – ciągnął niespiesznie starzec wyraźnym głosem. Nick podejrzewał, że nie ma wiele do roboty poza zaczepianiem turystów. Tego dnia on i Emily mogli stanowić jego jedyny łup. – Byliśmy bardzo dumni, gdy tak wielki artysta zgodził się poświęcić pracę naszemu małemu kościółkowi.

– Są dobre. – Nick usiłował zerknąć niepostrzeżenie nad głowę starca. Olaf nie powiedział, jak mają go rozpoznać. Nick bał się, że go przeoczą.

– Ale średniowieczne okna też mi się podobały. Widziałem je w dzieciństwie, przed wojną. Były piękne i takie egzotyczne. Jelenie, lwy i niedźwiedzie, ptaki...

– Kwiaty. – Nick spojrzał na starca, sięgając do pamięci. – Dzikusy.

– Otóż to. Średniowieczna symbolika w wielkim natężeniu. Patrząc z bliska, nigdy nie wiadomo, w którą stronę się skierować.

– Pan jest Olafem? – zaryzykowała Emily.

Starzec głośno zakaszłał. Zakonnica klęcząca w pierwszej ławce uniosła głowę i zmarszczyła brwi.

– Moje imię na pewno nie brzmi Olaf. Ale mi służy. Poszukajmy jakiegoś miejsca do rozmowy.

Machnięciem ręki odmówił Nickowi, który chciał popchnąć wózek, i skierował się na tyły kościoła.

– Cieszę się, że pana znaleźliśmy – rzekł Nick. – Ukrycie numeru telefonu było sprytnym posunięciem.

Olaf zmierzył go przebiegłym spojrzeniem.

– Dziwi się pan, że człowiek w moim wieku potrafi przeczytać e-mail. I

nie ma mowy, by wiedział, czym jest adres IR Ale ja zawsze poszukiwałem wiedzy. Za mojego życia pojawiło się i odeszło wiele sposobów jej zdobywania.

Okrążył wózkiem ostatnią ławkę, pochyliwszy się jakby do modlitwy. Nick i Emily usiedli obok niego. Wskazał ścianę z fotografią ukazującą piramidę płomieni strzelających z kościoła. Wystawały z niego tylko strome wierzchołki dachu, wysokie i czarne jak kapelusz czarownicy.

– Nieskończone jest boskie piękno – oznajmił zagadkowo. – Kościoły można odbudowywać tak, by były piękniejsze niż przedtem. Ale historia... Nie można wynająć Chagalla, by ją zrekonstruował. – Mężczyzna westchnął ciężko. – Wierzycie? Jesteście chrześcijanami?

– Raczej nie – odparł Nick.

– Ja kiedyś wierzyłem. Później doszedłem do wniosku, że nie wierzę. Teraz nie mam już pewności.

W smutnym milczeniu zapatrzył się w okno. Spoglądał w bolesny zakątek odległej przeszłości.

– Obiecał pan powiedzieć nam coś o Gillian – przypomniał Nick. Wydawało się, że Olaf go nie słyszy.

– Miałem czternaście lat, gdy skończyła się wojna.

Nick dokonał szybkich obliczeń w myślach. Zdziwienie musiało uwidocznić się na jego twarzy.

– Myśli pan, że wyglądam staro na swój wiek. – Olaf znów odkaslnął. – I tak też się czuję. Ale dojdziemy do tego. Na razie proszę mnie sobie wyobrazić. Byłem na tyle dorosły, by utrzymać karabin w dłoni, gdy Żukow przekroczył Odrę. I wystarczająco młody, by czuć się dumnym z Niemiec. Nawet gdy powiedziano nam prawdę o tym wszystkim, czego Niemcy dzisiaj się wstydzą, ja odczuwałem dumę. Te czyny popełniali faszyci. Ja byłem Niemcem. Dlatego zostałem historykiem. Chciałem odebrać naszą historię potworom i cudzoziemcom, którzy ją zawłaszczyli. Podążałem dalej i dalej w przeszłość, uciekając przed trucizną, która nas wszystkich zaraziła. Moje pokolenie budowało nową przyszłość za pomocą *Wirtschaftswunder*, a ja kopałem jej fundamenty. Nowa, czysta przeszłość.

Westchnął.

– Musicie zrozumieć, że bycie historykiem w Niemczech oznacza opętanie

przez piękną kobietę, która podzieliła się sobą ze wszystkimi oprócz ciebie. Prawie nie uświadczy się archiwum czy biblioteki, która w tym lub innym okresie nie została splądrowana, spalona albo zniszczona. Czasem zachowała się odbitka oryginalnego dokumentu, a czasem zniszczono nawet kopie. Tak było zawsze, ale po wojnie sytuacja stała się nie do wytrzymania. Młody badacz, który chce zrobić karierę, potrzebuje dokumentów i odkryć, które może opublikować. Tymczasem nasze archiwa poszły z dymem, obróciły się w popiół. Aż pewnego dnia, przeszukując stare księgi rachunkowe w klasztornej bibliotece, znalazłem to, czego pragnąłem. Skarb.

– Co to było? – spytała Emily.

– List. Arkusz papieru zapisany piętnastowiecznym charakterem. W rogu widniały dwie tarcze z greckimi literami chi i lambda połączone pętlą przywiązaną do szyi kruka. Od razu wiedziałem, czyj to herb.

Olaf uniósł głowę i spojrział na przybyszów.

– Johanna Fusta. Wiecie, kim on był? – Tkwił zbyt głęboko w przeszłości, by czekać na odpowiedź. – Fust był współnikiem w interesach Johanna Gutenberga. Gutenberga, rzecz jasna, znacie. Wszyscy znają Gutenberga. Według tygodnika „Time” był człowiekiem tysiąclecia. Jednak gdybyście pięćset lat temu przybyli do Moguncji, wszyscy znali Fusta, a Gutenberga nie znał nikt. Gutenberg wydrukował jedną książkę, a Fust i jego syn Peter Schoeffer wydrukowali ich sto trzydzieści. List Fusta to jak list świętego Pawła. A ja go znalazłem.

– Co było w nim napisane?

Naczynia krwionośne nabrzmiały na knykcjach dłoni Olafa zaciśniętych na postrzępionym kocu.

– Powinienem być go opublikować. Powinienem być powiedzieć bibliotekarzowi, co znalazłem. Powinienem być wszystko powstrzymać. Ale tego nie zrobiłem.

Rozejrzał się spod oka po kościele.

– Ukradłem go. Prawie bezwiednie wsunąłem list do kieszeni. Nareszcie znalazłem się w wieży mojej śpiącej królowny. Nie chciała mi się oddać, więc ją wziąłem. W bibliotece nie było żadnych zabezpieczeń. Zakonnicy myśleli, że nie mają nic godnego kradzieży.

– Nie opublikował pan żadnej pracy?

– List był zaledwie początkiem, wskazówką do znacznie większych rzeczy. Naturalnie mogłem coś opublikować. Wróciłbym do archiwum, udałbym, że znalazłem list, i ogłosił swoje odkrycie. Ale wówczas ryzykowałbym, że zostanę z haczykiem, podczas gdy ktoś inny odejdzie z rybą. A ja byłem zazdrosny niczym stary mąż o młodą żonę. Tyle że ja miałem dwadzieścia cztery lata, a ona pięćset. Ukryłem ją. Była moją tajemnicą.

Olaf zawiązał nitkę koca na kostce palca wskazującego. Jego koniuszek zrobił się biały. Mężczyzna jakby tego nie zauważał.

– Strzegłem swojej prywatności, ale nie dość dobrze. Byłem młodym mężczyzną, chciałem imponować kobietom, błyszczeć jaśniej niż rywale naukowcy, którzy czasem bywali konkurentami w miłości. Rzucałem sugestie i uwagi, pozwalałem na spekulacje. Byłem lekkomyślny, a uważałem się za spryciarza. Któregoś dnia przybył do mnie pewien mężczyzna. Młody ksiądz, ojciec Nevado. Zjawił się w moim domu. Był chudy. Wszyscy byliśmy wtedy szczupli, ale on się wyróżniał. Miał czerwone usta niczym wampir. Oznajmił mi, że przybywa z Włoch, choć oczywiście był Hiszpanem. Domyśliłem się, że pracuje dla Watykanu. „Słyszałem, że dokonał pan niezwykłego odkrycia”, powiedział. „List, którego autor twierdzi, że Kościół mu coś ukradł – odparłem arogancko. – Ksiądz przybył, żeby to zwrócić?”. Oczy księdza były czarne jak lód. „Ten list jest własnością Kościoła świętego”. Wtedy na mnie spojrzął. Powiedziałam wam, widziałem martwe oczy Rosjan, którzy maszerowali na nasze karabiny dopóty, dopóki nie zalali ich łuf własną krwią. Widziałem, jak rozstrzelali dzieci i gwałcili dziewczynki na ulicach. Nic nie przeraziło mnie tak, jak spojrzenie tamtego księdza. „Odda mi pan ten list – rzekł. – Odda mi pan wszystkie kopie, przekłady również. Poda mi pan nazwiska wszystkich, którym pan o nim powiedział. Nigdy więcej pan o nim nie napomknie. Zapomni pan o jego istnieniu”. Wtedy mnie złamał. Byłem historykiem średniowiecza, wiedziałem, co Kościół może zrobić swoim wrogom. Nawet w dwudziestym wieku. To było w jego głosie, w jego oczach. Oddałem mu list i wszystkie notatki. „Jeśli powie pan o tym komuś, będzie pan cierpiał jak potępieniec”, usłyszałem od niego. Milczałem więc. Przez dziesięć lat oddawałem się pracy. Ukończyłem pracę naukową i znalazłem posadę na prowincjonalnej uczelni. Uczęszczałem na seminaria i warsztaty, zapraszałem kolegów na kolacje i prawilem

komplementy ich żonom. Usłużnie publikowałem recenzje. Ożeniłem się. Jednak moja rana nigdy się nie zagoiła. Napisałem książkę. Małą książeczkę interesującą jedynie historyków, jeśli w ogóle kogokolwiek. Ale byłem z niej dumny. Dla mnie była zemstą. Książd zabrał mi skarb, który wyniosłby moją karierę na wysokość Olimpu, ale mimo to się wspiałem. I nie umiałem się powstrzymać, by nie wydać cichego okrzyku triumfu. To był przyczynek, nic więcej. Drobny przypis, na który czytelnik nawet nie zwróci uwagi. Napisałem ją wyłącznie z poczucia dumy. Dwa tygodnie przed dystrybucją nakładu wydawca wezwał mnie do swojej siedziby. Czyścił okulary i wyrażał głęboki żal. Oznajmił, że moją pracę obciąża bardzo poważne podejrzenie o plagiat. „Ależ w mojej książce nie ma ani śladu plagiatu”, zaprotestowałem. Musicie wiedzieć, że dla akademika to coś takiego jak oskarżenie, że bije swoje dzieci. Przez pięć lat wykrwawiałem się, by napisać tę książkę. „Z pewnością nie – odparł mój wydawca. – Ale tamci zażądają od nas wielkiego odszkodowania i jeśli przegramy, czeka nas bankructwo. Pańska książka jest ważna, ale nie wolno mi dla pana narażać losu wszystkich innych autorów”. „Co więc zrobimy?”. „Oni domagają się, byśmy odzyskali wszystkie egzemplarze i oddali je na przemiał. Nie są mściwi. Zaproponowali nawet, że wezmą na siebie koszty zniszczenia książek”. „Kto? – zapytałem. – Kim są ci ludzie, którzy decydują o tym, co może, a co nie może zostać opublikowane?”. Naturalnie domyślałem się. „Czy to był książd?” Mój wydawca bawił się piórem. „Proszę przynieść egzemplarze, które ma pan w domu. Ze wszystkich musimy się rozliczyć”. Trzy dni później wracałem z żoną samochodem z przyjęcia. Była późna noc, zimno. Może wypilem o kilka sznapsów za dużo, ale wtedy wszyscy tak robili. Wyjechałem zza zakrętu. Jakiś dureń wpadł w poślizg i zostawił samochód na środku jezdni. Nie miałem szans.

Olaf splótł dłonie.

– Moja żona zmarła od razu, a ja spędziłem pół roku w szpitalu i wyszedłem na wózek inwalidzkim, z którego nigdy nie wstałem.

– Złapano ludzi, którzy to zrobili? – spytała Emily.

– Samochód był kradziony. Policja orzekła, że jacyś młodzi ludzie ukradli samochód, żeby poszaleć, i spanikowali, kiedy samochód wpadł w poślizg. Nie dałem temu wiary. Potem zostawiłem moją historię. Była zbyt niebezpieczna.

Napisałem kilka przewodników po Moguncji, udzielałem się ochotniczo w muzeum. Tamci ludzie odebrali mi przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Przeżyłem czterdzieści lat, pragnąc umrzeć. Nigdy o tym nie opowiadałem.

– Ale opowiedział pan Gillian – zauważył Nick. Mężczyzna odchylił się do tyłu.

– Pięć lat temu moja druga żona zmarła na raka. Prawie się ucieszyłem, bo przynajmniej nie było to moją winą. Nie mieliśmy dzieci. Niczego więcej nie mogą mi odebrać. Kiedy Gillian Lockhart nawiązała ze mną kontakt, pomyślałem, że to moja ostatnia szansa. Rana wciąż się nie zagoiła.

– Jak pana znalazła?

Olaf się zaśmiał.

– Znacie paradoks Hawkinga?

– Stephen Hawkinga? – odezwał się Nick. – Z jego obliczeń wynikało, że gdy materia wpada do czarnej dziury, wszelka informacja o niej znika. To jednak jest sprzeczne z fundamentalnym prawem fizyki, które mówi, że informacji nie sposób zniszczyć.

– Wykazano, że doktor Hawking się pomylił. Nawet w czarnej dziurze jakaś informacja pozostaje. Tak samo było z moją książeczką. Gdzieś w taki czy inny sposób kilka egzemplarzy wyciekło z czarnej dziury, którą stworzył dla nich ojciec Nevada. Jedna stała sobie na półce bibliotecznej, którą może wiedzieć gdzie, przez pięćdziesiąt lat. Czekala. Aż do chwili, gdy jakaś firma internetowa rozpoczęła digitalizację zbiorów w ramach projektu gromadzenia wszelkiej wiedzy. Gdyby ojciec Nevada się o tym dowiedział, przypuszczalnie rozdarłby na strzępy całą światową sieć komputerową, żeby się jej pozbyć. Jednak nawet on nie może przypilnować wszystkiego. Gillian znalazła ją pierwsza. A potem odnalazła mnie. Siedziałem w tym kościele i powiedziałem jej to, co wam. Podobnie jak ja przed pięćdziesięcioma laty tak ona była zbyt uparta, by słuchać ostrzeżeń.

– Powiedział jej pan o liście?

– Owszem, ale dla niej ważniejsze były informacje na temat biblioteki.

– Jakiej biblioteki? – Nick czuł się jak pijak brnący po zamrzniętym jeziorze, który ślizga się i przewraca, nie wiedząc nawet, po jakiej otchłani błądzi.

– *Bibliotheca Diabolorum*. Diabelska Biblioteka.

Niebieska poświata szczerzej otoczyła Nicka. Emily przysunęła się do niego blisko. Młody ksiądz recytował litanie przy ołtarzu.

– Wiecie o niej?

Nick i Emily pokręcili głowami.

– Tylko garstka ludzi słyszała tę nazwę. To rekonstrukcja, legenda. Piekło przeklętych ksiąg. Ostatnie zaklęcie zrozpaczonego naukowca, gdy wszelkie poszukiwania jakiegś księgi zakończyły się fiaskiem: musiała trafić do Diabelskiej Biblioteki.

– Czy ona istnieje?

– Musi istnieć. – Dłonie Olafa drżały. Ich palce były ciasno splecione. – Omal mnie nie zabili, żeby ją chronić. Przypis w mojej książce brzmiał: „Powinniśmy brać pod uwagę możliwość, że niektóre książki ze zbiorów Johanna Fusta uległy konfiskacie i przypuszczalnie trafiły do tak zwanej Diabelskiej Biblioteki”. Właśnie z powodu tego zdania zabili moją żonę.

– Czy tę informację znalazł pan w liście Fusta?

– Niezupełnie. Sami możecie zobaczyć.

Olaf obrócił się na siedzisku i zaczął gmerać przy wózku. Był to stary model z drewnianymi oparciami przykręconymi do metalowej ramy. Jedna śruba była luźna. Olaf sięgnął pod nią palcami i wyjął złożony w harmonijkę kawałek papieru szerokości oparcia.

Podał go Nickowi.

– Informacja przetrwa nawet w najczarniejszej dziurze.

Do Wielebnego Ojca w Chrystusie
kardynała Aeneasa Silvio Piccolominiego:

Piszę ten list, by pokornie zaznajomić Waszą Ekszelencję z niesprawiedliwością, którą rozmaici włóczędzy i szubrawcy popełnili w imię Kościoła. Czyny te, gdyby Wasza Ekszelencja je znał, wywołałyby u niego płynący z głębi duszy żal taki sam jak ten, który ja odczuwam. Wczoraj po południu dwóch ludzi przybyło do mojego domu o nazwie Humbrechthof obok kościoła Świętego Kwintyna. Zakłócili różne prace prowadzone tam przez mojego syna, których charakterem nie chciałbym

zaprzątać Waszej Wielebności, a następnie przetrząsnęli warsztat w poszukiwaniu pewnej książki. Choć książka ta jest mała i niepozorna pod każdym względem, trafiła w moje posiadanie od pewnego szlachetnego człowieka znanego Waszej Wielebności.

Wbrew moim gorącym protestom ludzie ci zabrali ze sobą książkę. Niniejszym zwracam się z prośbą do Waszej Wielebności, by – jeśli Wasza Wielebność dowie się o tym haniebnym uczynku – raczył znaleźć owych złoczyńców i zwrócił mi moją prawowitą własność.

Johann Fust
Humbrechthof, Moguncja

Emily wpatrywała się w skrawek papieru pomarszczony jak skóra Olafa.

– Pamięta pan list słowo w słowo?
– Ksiądz odebrał mi wszystkie papiery, ale nie mógł pozbawić mnie pamięci. Nawet po wypadku. Od tego czasu nie minął ani jeden dzień, bym go nie wyrecytował.

– Kim był ten Piccolomini? – indagował Nick.
– Synem rolnika, który został kardynałem, a później papieżem. Był również powieściopisarzem, poetą, wędrownym pisarzem i zapalonym jeźdźcem.

– Prawdziwy człowiek renesansu.
– Kilkadziesiąt lat przed początkiem renesansu. Nawiasem mówiąc, to właśnie od niego znamy jedyną relację naoczego świadka dotyczącą sławnej Biblii Gutenberga. Widział ją na targu we Frankfurcie i opisał w liście do znajomego kardynała.

– „Pewnego szlachetnego człowieka znanego Waszej Wielebności” – przeczytała Emily. – Myśli pan, że chodziło o Gutenberga?

– Gillian tak uważała.

Olaf uniósł głowę. Jego oczy były blade; kolor wyciekł z nich dawno temu. Skierował je na Emily, a następnie na Nicka. Pochylił się, jak gdyby chciał dostrzec coś w oddali.

– Miała rację.

Emily wyjęła z torebki cyfrową rekonstrukcję i podała Olafowi. Papier drżał w jego dłoniach.

Mężczyzna westchnął głęboko i spoczął nieruchomo na wózku. Zmarszczki na jego twarzy powoli zwiotczały, jakby ciało opuściła wewnętrzna energia. Mruknął coś do siebie po niemiecku. Nickowi zdawało się, że powiedział: „Ranę może uleczyć jedynie ta włócznia, która ją zadała”.

– Dziękuję.

– Czy Gillian mówiła, gdzie natknęła się na odnośnik do Diabelskiej Biblioteki? – indagowała Emily.

– Tu, w Moguncji. W Stadtarchiv, archiwum państwowym.

– Założę się, że już go nie ma – oznajmił Nick. – Ci, którzy odebrali panu książkę, dobrze zacierają po sobie ślady.

– Przybywszy tutaj, wasza przyjaciółka też już o tym wiedziała, ukryła więc swoje znalezisko.

– Powiedziała panu gdzie?

– Tam, gdzie się na nie natknęła – odparł Olaf. Przez chwilę Nickowi zdawało się, że jego umysł zaczyna błędzić. – Wskazówkę, nie powiedziała, jaka to wskazówka, znalazła w wykazie ksiąg w klasztorze benedyktynów w Eltville. Wykaz znajdował się w pudle z katalogiem kodów kreskowych. Gillian zamieniła kody kreskowe. W wykazie klasztoru Eltville nic nie znajdziecie. Jeśli jednak poszukacie siedemnastowiecznego traktatu o agronomii, zdziwicie się. – Olaf zapisał odnośnik na papierze.

– Był pan tam i widział tę rzecz?

Starzec pokręcił głową.

– To byłoby zbyt niebezpieczne. Nawet teraz.

Wyciągnął rękę i chwycił Nicka za ramię. Ten wzdrygnął się, mimo że w uścisku zwiędłych palców nie było siły.

– Powiedziałem, że ta biblioteka, jeśli istnieje, jest piekłem potępionych książek. Ale książki nie cierpią na torturach tak jak ludzie. Bądźcie ostrożni.

LXX

Moguncja

Upalny czerwcowy dzień. Słońce sączyło się przez każdą szczelinę między ciasno stojącymi domami, odparowując luźno zwisające pranie i zamieniając leżący na ulicach gnój w twarde jak kamień kawałki. Dzieci bawiły się w fontannie przed kościołem Świętego Krzysztofa, chlapiąc się wśród okrzyków radości. Rzeźnicy odłożyli tasaki i machali szczotkami z końskiego włosia, daremnie usiłując odpędzać chmary much. Miasto pogrążyło się w letargu ogłupiałe od smrodu i gorąca.

Szedłem ulicą z Gutenberghof w stronę Humbrechthof. Za mną dwóch uczniów ciągnęło wózek ręczny załadowany beczkami. Sąsiedzi nie wiedzieli, co knujemy za drzwiami i zasłoniętymi oknami Humbrechthof, ale byli pewni, że popadamy w pijaństwo. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że przetaczaliśmy po ulicach takie mnóstwo beczek?

Oto moja podróż życia, myślałem: niespełna sto metrów. Obok piekarza, od którego w dzieciństwie kupowałem słodkie ciastka, księgarza sprzedającego podręczniki, z których się uczyłem, oraz płatnerza, który próbował uczyć mnie fechtunku, gdy ojciec jeszcze sądził, że wyrosnę na godnego dziedzica. Gdybym minął Humbrechthof i pokonał taką samą odległość, dotarłbym do mennicy, w której po raz pierwszy ujrzałem doskonałość. Teraz kroczyłem wolniej. Stronica mojej duszy nosiła wiele odcisniętych znaków; jedne były widoczne, a inne znał jedynie autor. Pismo było gęste, pełne skreśleń i poprawek; nowe słowa zostały zapisane na wyblakłym tekście wciąż widocznym pod spodem.

Tu i ówdzie czubek pióra rozdarł papier. Poplamiała go woda, ogień wywinął krawędzie.

Dziś rozpocznę nową stronę.

W ciągu siedmiu miesięcy Humbrechthof uległ przemianie. Wszystkie ściany zostały pobielone w celu ochrony przed wilgocią. Strzechę z budynków gospodarczych zerwano i zastąpiono dachówkami. Chwasty na dziedzińcu wydeptało wiele stóp, a tuż przy dawnej piekarence wykopano drewnię. Obok leżały grube belki. Wszystkie drzwi świeciły nowymi zamkami, a z okna dachowego sterczał ciężki blok z kółkiem. Puste beczki takie jak te, które przed chwilą zostały dostarczone, stały w kącie, czekając na powtórne użycie.

Uczniowie rozładowali wózek i odszpuntowali beczułki. W środku wśród słomy spoczywały duże słoje z atramentem. Chłopcy zabrali się do ich wyciągania, lecz skinąłem na nich, by czym prędzej udali się za mną. Reszta pracowników zauważyła nasze przybycie i wyszła z papierni, składu atramentu, narzędziowni i refektarza. Podążyli za mną schodami i korytarzem do pomieszczenia, w którym stała prasa.

Byli tam wszyscy. Fust z miną potępieńca przed Sądem Ostatecznym; Götz w skórzanym fartuchu kowalskim; ojciec Günther, który poplamionymi palcami dotykał krzyżyka; Saspach z młotkiem w dłoni, gotów coś poprawić w ostatniej chwili przy prasie. Otaczali ich nasi czeladnicy i uczniowie z obu domostw, których było w sumie prawie dwudziestu. Nawet Sarum, rudy kocur, który strzegł papierni przed szczurami, przycupnął za nogą od stołu. A na samym środku stała prasa.

Wyglądała niczym brama: dwie grube pionowe belki były połączone u góry i pośrodku ciężkimi poprzeczkami. Słupki przybito gwoździami do sufitu i podłogi, tak że całe urządzenie zostało wplecione w tkanę domu. Ze środka zwisał wałek śrubowy, trzymając całą płytę nad długim stołem wystającym poza słupki niczym fartuch. Utrzymywał on płaskie łożysko na prowadnicach, które można było wsuwać pod prasę i wyciągać, by zmieniać papier i czcionkę. Prasa mało przypominała chwiejny przyrząd, który przed kilkunastoma laty po raz pierwszy postawiliśmy w piwnicy domu Andreasa Dritzehna.

Stanąłem przed maszyną i zwróciłem się do załogi. Nie pamiętam, co mówiłem, i wątpię, by ktoś zwrócił na to większą uwagę. Jedyne ważne słowa leżały osadzone w ołowiu na łożysku prasy. Zakończyłem modlitwą, by Bóg zesłał swoje błogosławieństwo na nasze skromne przedsięwzięcie, które ofiarujemy Jego imieniu i na Jego chwałę.

Gdy tylko skończyłem, Kaspar wystąpił przed resztę. Nie patrzył na zgromadzonych. Zawsze był zdolny do głębokiej koncentracji, lecz po swoich straszliwych przejściach nabył umiejętność wręcz zapalczywego ignorowania wszystkich, którzy go otaczają. Przypuszczam, że potrzebował zbroi chroniącej go przed spojrzeciami i drwinami, które jego zdeformowana postać prowokowała na ulicy.

Odkorkował dwie butelki: dużą z czarnym atramentem i mniejszą z czerwonym. Zamoczył pędzel w czerwonym inkauscie i starannie pomalował nim czołówkę. Następnie wylał czarny inkaust na bloczek spoczywający obok prasy. Płyn był gęsty i lepki niczym nafta.

Rozprowadził równo nożem atrament na płycie, a następnie wziął do rąk dwie skórzane kule na kijkach. Zamoczył jedną w atramencie i potarł o drugą. Gdy brązowa skóra pokryła się jednolicie czernią, natarł obiema metalowe czcionki na prasie. Robił to krótkimi okrągłymi ruchami, jak gdyby ugniatał ciasto. Matrycę pokryła cienka warstewka inkaustu.

Kaspar się odsunął. Westchnąłem z ulgą. Chciałem, by w tym uczestniczył, gdyż jego ręce malarza najzręczniejsz obchodziły się z atramentem, lecz również dlatego, że tak się godziło. Był moją gwiazdą przewodnią, początkiem wszystkiego, co później nastąpiło. Mimo to jednak – jak zawsze – czułem się odrobinię nieswojo. Obecność widowni czyniła Kaspara nieprzewidywalnym; rozpalała w nim niebezpieczne ognie.

Przy bokach prasy stało dwóch młodych mężczyzn: uczeń Keffer, którego przywiozłem ze Strasburga, oraz Peter Schoeffler. Kaspar sprzeciwiał się, by ten zaszczyt przypadł Schoefflerowi, lecz nie zmieniłem swojej decyzji. Był to polityczny gest wobec Fusta, ale Schoeffler zasłużył sobie na wyróżnienie jako najbardziej obiecujący z moich uczniów. Miał smykałkę do książek, której brakowało naszej załodze złożonej ze złotników, cieśli, księży i malarzy.

Schoeffer rozłożył płachtę welinu na tablicy przychepionej sześcioma kołkami do łożyska prasy. Złożył ją tak, że welin zawisł nad pokrytą inkaustem czcionką, a następnie odsunął tackę, która utkwiała na swoim miejscu pod płytą. Potem wraz z Ruppelem chwycili za rączkę wałka śrubowego i obrócili go.

Ja sam chętnie bym to uczynił, lecz byłem starcem, a czynność ta wymagała siły. Wałek zatrzeszczał i płyta się obniżyła. Przytrzymali ją przez chwilę, a później odkręcili wałek.

Keffer wyciągnął tackę i rozwinął płachtę, odsłaniając spodnią stronę welinu. Poluzował kołki, wyciągnął welin i zrobiwszy ruch, jakby chciał go pokazać, wręczył go mnie. Wszyscy zgromadzeni ścieśnili się, by lepiej widzieć.

Strona połyskiwała tysiącami liter mokrych i czarnych jak smoła.

**a początku Bóg stworzył niebo i ziemię.
Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem:
ciemność była nad powierzchnią bezmiarów wód,
a Duch Boży unosił się nad wodami*.**

* Rdz 1, 1-2.

Tekst nie był pełny. Początkowe „N” Kaspar wycisnie za pomocą miedzianej tablicy. Jutro arkusz zostanie zadrukowany na odwrocie. Po dwóch dniach stronicze zostaną złożone, zszyte, a następnie oprawione wraz z pozostałymi. Pierwsza strona wyglądała nieskazitelnie. Każda litera nowej czcionki Götza odbiła się wyraźnie i w całości tak równo, jak nie zdołałby napisać żaden śmiertelny skryba.

Spojrzałem na Kaspara, chcąc podzielić się z nim swoim triumfem. Unikał mojego wzroku i spoglądał na welin. Jego twarz była ściągnięta, jak gdyby ugryzł kwaśne jabłko. Wiem, na co patrzył: na wyrównanie marginesu. Peter Schoeffer miał rację. Obraz doskonałości był lepszy, gdy rzeczywistość była mniej doskonała. Nie rozumiałem, dlaczego tak jest, ale tak właśnie było.

Już chciałem podejść do Kaspara i objąć go, przypomnieć, że triumf należy tak samo do niego, jak do mnie, gdy stanął przede mną Fust. Miał zaczerwienione policzki i trzymał kieliszek wina. Klepnął mnie w ramię.

– Dokonałeś tego, Johannie. Pozbawimy pracy wszystkich skrybów i zdobników w Moguncji.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Jeśli Bóg da, będzie to pierwsza strona pierwszego egzemplarza. Pozostało ich jeszcze prawie dwieście tysięcy do zrobienia.

Prawdziwa próba nastąpiła dziesięć minut później, gdy Shoeffler i Keffer umieścili pod prasą drugi arkusz welinu. Shoeffler wyjął go i zawiesił na wieszaku obok pierwszego. Popatrzyłem na oba, szukając wzrokiem najmniejszych zniekształceń różniących pierwszy i drugi.

Były nie do rozróżnienia. Doskonałe kopie.

Promień światła padł na bąbel powietrza w szybie, rozpościerając wachlarz kolorów na przeciwległej ścianie. Oto nowe przymierze. Przypomniałem sobie starca w Paryżu.

„W chwili osiągnięcia doskonałości rzuci światło podobne do tęczy. To będzie znak”.

Napawałem się chwilą doskonałości i pragnąłem, by trwała wiecznie.

LXXI

Moguncja

Był zbyt sławny, żeby się tym zajmować. Nie pragnął chwały. Gardził kolegami, którzy paradowali w telewizji, wygłaszając publicznie informacje, które powinny zostać za zamkniętymi drzwiami Matki Kościoła. Po powrocie do domów ludzie ci często zastawali Nevada, który informował ich, że znaleźli nowe powołanie w zapadłych diecezjach na odległych kontynentach. Łamanie ich sprawiało mu przyjemność; czuł się jak ogrodnik przycinający gałązki psujące kształt drzewa.

Teraz jednak znajdował się blisko szczytów swojej profesji. Na takiej wysokości trudno jest całkowicie uniknąć spojrzeń i kryć się w cieniu. Stał się widzialny. Po śmierci poprzedniego papieża w gazetach ukazywały się zdjęcia kardynałów, między innymi Nevada. Ignoranci komentatorzy pisali ignorancie artykuły dla czytelników ignorantów, bez tchu spekulując, czy jest *papabile*. Czytał je, a później używał jako podpałki w salach Watykanu. Przez całe życie palił tego rodzaju śmieci. Tylko na to zasługiwały.

Wszelako błędu, który raz wyśliźnie się na szeroki świat, nie sposób do cna wykorzeńić. Może pięć lat temu, gdy się zaczęło, ale nie teraz. Mimo to kardynał wiedział, że musi to zrobić. Niektórzy nazwaliby to losem bądź przeznaczeniem. Dla kardynała Nevada było to po prostu spełnienie woli bożej.

Zasłonił szalem usta i wszedł do kościoła.



Zjechali w dół ku staremu miastu i rzece. Domy w Moguncji wydawały się zbudowane w innej skali. Ich wysokie ściany przytłaczały Nicka i Emily, którzy szli obok siebie zaśmieżonymi ulicami.

Archiwum mieściło się w nowoczesnym gmachu przy głównej arterii; nieopodal znajdował się park, a za nim płynął Ren. Przy nabrzeżu po przeciwnej stronie stał na cumach prom pasażerski.

Zdążyli w samą porę. Archiwum miało zostać za chwilę zamknięte; archiwistka najwyraźniej chciała ze względu na śnieg wcześniej wyjść do domu. Jednak otworzyła im z kwaśną miną i wpuściła do piwnicy. Oświetlone gołymi żarówkami półki ugięły się pod ciężarem książek. Archiwistka wyciągnęła płaskie tekturowe pudła spod stosu teczek i położyła na stole znajdującym się przy ścianie pod przewodem grzewczym.

– Czytelnia jest już zamknięta. Możecie pracować godzinę. Dajemy wam godzinę, a później was zamkniemy.

□ □ □

Olaf siedział na wózku i przyglądał się aniołom. Czasem, gdy jego oczy zaszyły mgłą, doznawał złudzenia, że wyrwały się ze swego szklanego więzienia i suną swobodnie po błękitnym niebie. Wyobrażał sobie, że jego pierwsza żona Trudi bawi się wraz z nimi i czuje się szczęśliwsza niż wówczas, gdy z nim była.

Wózek szarpnął do przodu. Ktoś go szturchnął i pchnął. Olaf uniósł pomarszczoną rękę, spodziewając się przeprosin – przywykł do takich drobnych zdarzeń – lecz ich nie usłyszał.

Odwróciwszy się, ujrzał twarz ze swoich sennych koszmarów.

□ □ □

Dwanaście stronic zapełniały pojedyncze kolumny równego pisma. Przez stulecia w katalogu dokonano rozlicznych modyfikacji. Wiele pozycji zostało wykreślonych za pomocą linijki, a marginesy stały się przestrzenią, na której toczyła się równoległa opowieść złożona z nazwisk, dat i zapisanych w pośpiechu liczb.

– Czego szukamy?

– Tego, czego poszukiwała Gillian, gdy znalazła odnośnik do Diabelskiej Biblioteki. Przypuszczalnie jakiejś książki z piętnastego wieku. Może to być bestiariusz lub tytuł, którego nigdy wcześniej nie słyszeliśmy.

Nick zerknął na pierwszy wiersz katalogu, ale dał za wygraną, widząc średniowieczne łacińskie pismo.

- Jak jest ułożony katalog?
- Chronologicznie.
- Zatem znalezienie książek z piętnastego wieku nie powinno być trudne.
- Chronologicznie według dat nabycia książek przez klasztor – uściśliła

Emily.

Nick spojrział na nią z niedowierzaniem.

- To ma być uporządkowanie informacji?

Emily opiekuńczym gestem położyła dłoń na stronie.

- Katalogi z kartami zostały wynalezione dopiero w osiemnastym wieku.

Do tego czasu po prostu odnotowywano książki przybywające do biblioteki. Sprzedane lub zaginione zwyczajnie wykreślano. Sam rozumiesz, dlaczego bibliotekarze byli tak ważni dla klasztorów.

Pochyliła się nad pierwszą stroną.

– Wiele z tych ksiąg to Biblie bądź modlitewniki. Przypuszczalnie możemy je pominąć.

– Chyba że mnisi użyli tego samego fortelu co Gillian – mruknął Nick. – Jeśli książka budziła kontrowersje, mogli ją błędnie zaklasyfikować. – Wskazał pozycję na środku strony. – Co to jest?

– *De natura rerum*.

– Z jakiego okresu?

– Książka powstała około trzechsetnego roku przed naszą erą. – Emily nie mogła powstrzymać uśmiechu. – To dzieło Arystotelesa.



Olaf od piętnastego roku życia przypuszczalnie nie wierzył w Boga. Wierzył jednak w przeznaczenie i był już w takim wieku, że potrafił je rozpoznać. Nie stawiał oporu, gdy kardynał Nevado chwycił oparcie wózka i wyprowadził go na zewnątrz. Kościół był jak wypełnione błękitem łono, a świat poza nim zalewało brudne żółtawe światło.

– Dobrze się ukryłeś – powiedział głos do jego ucha. – Od tygodnia próbujemy cię odszukać.

– Zawsze się tego spodziewałem.
– Ale w gruncie rzeczy w to nie wierzyłeś. – Kółka pośliznęły się na wirażu. – Ludzkość, choć tak przebiegła, nie jest przystosowana do oszustwa. Pokładamy zbyt wielką ufność w doświadczeniu. Jeśli raz nam się uda, zakładamy, że zawsze tak będzie. Jednak im częściej podejmujemy ryzyko, tym większa szansa, że nam się nie powiedzie. Zdradziłeś nas raz wobec tej Amerykanki i wymknąłeś się. Nie powinieneś być wyznaczać spotkania po raz drugi w tym samym miejscu.

Olaf patrzył przed siebie.

– Chciałem popatrzeć na anioły.
– Mam nadzieję, że się napatrzyłeś. Przez dłuższy czas nie ujrysz ani jednego.

Olaf nagle się ożywił. Obejrzał się, lecz zobaczył jedynie długi czarny płaszcz górujący nad nim na podobieństwo ściany.

– Czego chcecie się ode mnie dowiedzieć?
– Niczego. Wszystko wiemy.

Kardynał sięgnął do kieszeni i wyciągnął duży nóż rybacki. Przyłożył go do linki hamulcowej wózka i przeciął ją jednym ruchem.

– Niech Bóg wybaczy ci grzechy i błędy, które popełniłeś – rzekł cicho. Okrytą rękawicą rękę położył w geście błogosławieństwa na głowie Olafa i trzymał ją tam przez chwilę. A później pchnął wózek.

Zbocze było strome i gładkie jak szkło. Olaf zamachał rękoma i złapał kółka za obręcze, lecz na twardym śniegu nie miało to żadnego znaczenia. Wózek ześliznął się i potoczył na dwupasmową obwodnicę miasta.

Nevado patrzył, jak odbija się od przodu ciężarówki, w którą uderzył. Przeleciał na drugą jezdnię, podskoczył i zniknął pod kołami nadjeżdżającego samochodu.

□ □ □

Nick niewiele mógł zrobić. Przechadzał się wzdłuż regałów i czytał naklejki na pudłach, zastanawiając się, jakie zagadki mogą się w nich kryć. Gdy to go znudziło, włączył komputer i zaczął stawiać pasjansa. Przegrawszy trzy rozdania z rzędu, wrócił do Emily.

– Znalazłaś coś?

Emily zmarszczyła brwi.

– Trudno powiedzieć. Wiele z tych tytułów brzmi obco. Nie mogę ustalić dat.

Zegar w komputerze pokazywał, że minęło już pół godziny. Nick bez większej nadziei aktywował bezprzewodową kartę sieciową. Ku jego zaskoczeniu niemal natychmiast wykryła sieć.

– Może się na coś przydam.

Przysunął pudło do stolika i wykorzystał je jako zaimprovizowany stółek. Emily czytała tytuły, a on wpisywał je do przeglądarki. Stopniowo opracowywali część katalogu napisaną w połowie piętnastego wieku. Zegar w prawym rogu ekranu odliczał minuty.

– Tu coś jest – oznajmiła Emily. – Brak szczegółów, sam tytuł. *Liber Bonasi*.

Nick wpisał słowo „Bonasi”.

Czy chodziło ci o: *Bonsai*?

Ukazała się lista nazw i usług związanych z drzewkami bonsai.

– Nic się nie pokazuje.

– To dziwne. – Emily zajrzała do katalogu. – Wpisz „Bonasus”. To może być pospolitsza forma.

Japońskie szkółki drzewek znikły. Nick przewinął wyniki nowego wyszukiwania, usiłując coś z nich wywnioskować.

– Wygląda na to, że *Bonasus* to łacińska nazwa jakiegoś gatunku polskiego żubra. Podobno sikają na dziką trawę, której używa się, by nadawać smak wódce. Co za paskudztwo.

Spojrzał na Emily, która nagle znieruchomiała.

– Tak jest tu napisane.

– Spróbuj wpisać „Bonnacon”.

Emily przeliterowała słowo. Nick wpisał je w wyszukiwarce i kliknął pierwszy wynik, który się pojawił. Emily wstała i obesła stół.

– To jest to.

Na ekranie ukazał się nowy obraz. Przedstawiał dziwne zwierzę z muskularnymi bokami, zakrzywionymi rogami i rozdwojonymi kopytami. Ścigało je

trzech rycerzy z włóczyniami, lecz zostali porażeni gromem strzelającym z zadu bestii na podobieństwo pioruna.

Nick przeczytał podpis:

– Bonnacon, znany także jako Bonasus. Mityczna bestia z grzywą konia, tułowiem byka i zakrzywionymi do tyłu rogami nieprzydatnymi w walce. Zaaakowany ucieka, wypuszczając za sobą gnój na długości do trzech kilometrów, który pali prześladowców niczym ogień.

Słuchając jednym uchem, Emily wyciągnęła z torebki zrekonstruowany obraz i położyła obok komputera. Nick spoglądał to na papier, to na ekran.

Oba przedstawiały to samo zwierzę. Nie były identyczne, lecz najwyraźniej należały do tego samego baśniowego gatunku. To, co Nick wziął za krzaczasty ogon, było chmurą ognistych ekskrementów tryskającą ze zwierzęcia.

– Gówno jak napalm – zauważył Nick. – Dobrze, że nigdy nie przechodziłem za tym zwierzęciem.

– *Liber Bonasi* oznacza *Księgę Bonasusa*. To może być pseudonim, tak jak Libellus czy Mistrz Francis.

Nick obszedł zagracony stolik, by jeszcze raz spojrzeć na katalog.

– Czy jest tam mowa o Diabelskiej Bibliotece?

– Nie. – Emily wskazała pozycję. Tytuł został wykreślony, lecz od innych usuniętych wpisów różnił się tym, że obok nie było daty ani opisu losów książki. Margines pozostał czysty.

– Olaf powiedział, że Gillian znalazła odnośnik w tym archiwum.

– Gdybyś chciał przenieść niebezpieczną księgę do tajemnej biblioteki, raczej nie odnotowywałbyś tego faktu w katalogu.

– Nie w taki sposób, by ktoś mógł to zobaczyć.

Nick wyjął telefon komórkowy i włączył go. Dotknął komórki po raz pierwszy od wyjazdu z Paryża. Ekran rozświetlił się białoniebieskim blaskiem.

– Wprawdzie to nie ultrafiolet, ale może coś zobaczymy. Przystawił komórkę płasko do średniowiecznego katalogu.

Światło rozlało się po kartce. Drobnymi ruchami zmieniał kąt nachylenia wyświetlacza, starając się dostrzec na papierze wypukłe znaki.

– Co to jest?

Na papierze widniało minimalne zadrapanie, prawie niewidoczne w słabym świetle. Zwiększył jasność ekranu, śledząc nacięcia niczym archeolog

przesiewający piasek. Przeliterował go znak po znaku. Kilka razy musiał się cofać, popełniwszy błąd.

Bib Diab. Portus Gelidus.

Na stalowych schodach zadudniły kroki. Nick podskoczył, ale była to tylko archiwistka. Emily chwyciła katalog i odłożyła go do pudła.

Kobieta stuknęła palcem w zegarek.

– Czas na was.

Podążyli za nią. Gdy znaleźli się na schodach, Nick spytał:

– Czy nazwa Portus Gelidus mówi coś pani?

Zaskoczona archiwistka zmarszczyła czoło.

– W czasach historycznych tak nazywało się Oberwinter. Jest to wioska w górach nad Renem. – Wyszła do holu i wskazała okno frontowe. Za ruchliwą szosą znajdowało się molo. Chorągiewki zwiślały bezwładnie na drzewcach. – Możecie tam dotrzeć promem.

□ □ □

Nevado spojrział na ulicę; wciąż była pusta. Jego kapelusz skrywał twarz tak, że nie mógł jej zobaczyć ktoś patrzący z góry przez okno. Była również niewidoczna dla kamer bezpieczeństwa. Wątpił, czy policja będzie sobie zaprzętać głowę sprawdzaniem przyczyn wypadku. Wszystko wydawało się jasne: stary człowiek stracił kontrolę nad wózkiem na lodzie, ześliznął się ze zbocza i zginął. Tragedia. Kardynał oddalił się różnym krokiem i dotarł do ulicy, na której odgarnięto śnieg. Gdzieś w oddali zawyły syreny.

Wibracja w kieszeni przypomniała mu, że dzieło jeszcze nie jest zakończone. Otworzył telefon i słuchał przez chwilę.

– Nic nie rób. Czekaj na mnie.

□ □ □

Niegdyś Moguncji bronił kamień; teraz jego ściany stanowiły śnieżne blanki zepchnięte przez pługi do krawędzi dwupasmowej autostrady oddzielającej brzeg rzeki od reszty miasta. Ruch uliczny stanął, samochody usunęły się na bok, aby karetka mogła przejechać. Ktoś musiał wpaść w poślizg, o co przy tej pogodzie było bardzo łatwo. Nick wyteżał wzrok, lecz nic nie wypatrzył.

Przemknęli między unieruchomionymi autami i wyszli na szeroką betonową promenadę nad Renem. Spadło na nich uderzenie porywistego wiatru, który marszczył wodę, tworząc na niej białe ostre zęby. Marynarz w granatowym mundurze odwinął linę z trapu. Nick i Emily przyspieszyli kroku.

– Czy ta łódź płynie do Oberwinter?

Odpowiedź, jeśli taka padła, została zagłuszona przez wycie silników promu. Powietrze wypełniły kłęby olejowych spalin. Marynarz ściągnął z kółka dwa bilety i wsunął Nickowi do ręki.

– Zapłacicie na pokładzie. Może was dowieziemy. – Spojrzał na niebo. – A może nie.

Pokonali drewniany trap i weszli do kabiny. Nie obejrzel się, toteż nie zobaczyli mężczyzny przebiegającego przez autostradę między samochodami, które po dłuższej przerwie ruszyły z miejsca. Podszedł do słupa z rozkładem rejsów promu. Nie widzieli również mężczyzny w czarnym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem, który nadszedł minutę później.

Ugo usłyszał nadchodzącego Nevada i obejrzał się.

– Pierwszy przystanek jest w Rüdeshheim, niedaleko.

Kardynał pokręcił głową. Prom przepływał między dwiema ogromnymi barkami węglowymi.

– Wiemy, dokąd oni zmierzają.

LXXII

Moguncja

Prom oderwał się od mola, ostrożnie wpływając między dwie barki załadowane drewnem z lasów w górze rzeki. Sierpień był mokry. Woda mocno uderzyła w bok małego promu, gdy ten wychynał spomiędzy większych jednostek. Przez burtę przetoczyła się brązowa fala. Marynarz zaczął gorączkowo wioślować, a pasażerowie chwyтали się jeden drugiego i żegnali znakiem krzyża. Patrzyłem na skupisko ich twarzy z bezpiecznego nabrzeża. Siedziałem kiedyś na tym promie jako nastolatek o pobladłej twarzy wyruszający w szeroki świat. Jakże daleko zawędrowałem.

Fust wyszedł ze składu, minął trupę wędrownych aktorów, którzy przed chwilą zsiadli z promu, i zbliżył się do mnie. Powitał mnie tak jak zawsze.

- Ile stron?
- Dziewięć.
- Gdzie powinniśmy być?
- Na dwudziestej pierwszej.
- Już takie opóźnienie. – Zmarszczył brwi. – Dlaczego?
- Przy tak wielkim projekcie niektóre trudności pojawiają się dopiero z czasem. Czcionki zużywają się prędzej, niż przewidywaliśmy. Zużywamy więcej atramentu, nie wiem dlaczego. I wciąż nie możemy ustawić równo inicjałów.
- Druga prasa?
- Saspach obiecuje, że będzie gotowa za dwa tygodnie.
- Mówił to dwa tygodnie temu.

– Jeden słupek nie został odpowiednio sezonowany. Saspach nalegał, żebyśmy rozebrali maszynę i zaczęli od nowa.

Fust się skrzywił.

– Perfekcjonista.

– Nie z tego wynika nasze opóźnienie. Zecerom więcej czasu zabiera ułożenie tekstu niż drukarzom jego wydrukowanie. Podzieliłem ich na dwa zespoły zajmujące się różnymi częściami Biblii, ale Günther wciąż znajduje zbyt wiele błędów. Wczoraj odsyłał jedną stronę z powrotem piętnaście razy, zanim była gotowa. Nawet wówczas błędy się wkradają. Wczoraj wydrukowaliśmy dziewięć egzemplarzy jednej stronicy, nim zauważyliśmy, że dwie linijki były odwrotnie ułożone.

– Na papierze czy na welinie?

– Na welinie.

– Powinniście wpierv drukować na papierze – zganił mnie Fust. – Pomyłki taniej by nas kosztowały. I nie powinienes przywiązywać tak wielkiej wagi do drobnych uchybień. Jeśli będziemy powtarzać każdą stronę z powodu jednego błędu ortograficznego, nie zdążymy przed Sądem Ostatecznym.

Poczułem swędzenie na twarzy. Sama myśl o niedoskonałości w książce kłuła mnie niczym kolec. Fust się odwrócił.

– Chodź ze mną.

Podążyłem jego śladem, omijając kałuże. Zerknąłem na niebo; nim nadejdzie wieczór, kałuż będzie jeszcze więcej. Przed pójściem spać muszę sprawdzić dach w pielni.

– Twoje dzieło jest nadzwyczajne, Johannie.

Milczałem. Ilekroć Fust zwracał się do mnie po imieniu, budziła się moja czujność. Z góry dobiegło skrzypienie żurawia, za pomocą którego wyładowywano z barki worki z niegaszonym wapnem. Jeden był dziurawy i biały proszek sypał się, sycząc w zetknięciu z powierzchnią wody.

– Wiem, że przy każdej nowej sztuce powstają trudności. Problemy, których nie przewidzieliśmy. Ale nie wolno do nich podchodzić pobłaźliwie. Trzeba reagować zdecydowanie, bo kłopoty będą się gromadzić. Należy też brać pod uwagę inne względy.

Dotarliśmy do magazynu nieco oddalonego od mola. Był zbudowany jak

zamek, miał wąskie okienka i dach otoczony murkiem z blankami. Fust pokazał strażnikowi glinianą tabliczkę, a ten wpuścił nas do środka. W środku pachniało trocinami i winem. Znajdowały się tam bele sukna i słoje z oliwą, a jedną część zapełniały stopy skrzyń opatrzonych woskowymi pieczęciami oraz namalowanymi symbolami kiści winogron.

Fust wyjął scyzoryk z mieszka przy pasie i podważył wieczko najwyższej skrzynki. Przeciął ceratę kryjącą zawartość. Wiedziałem, co kryje się w środku, gdyż otworzyłem tuzin takich skrzynek w magazynie w Humbrechthof. Była to bela papieru kruchego i lśniącego od kleju, którym został zagruntowany.

- Nie zamawiałem papieru – powiedziałem.
- Ja go zamówiłem.

Naliczyłem jeszcze dziewięć skrzyń. Każda zawierała dwa rzędy, co dawało prawie tysiąc arkuszy. Stanowiło to jedną czwartą tego, co już wykorzystaliśmy.

– Ile to kosztowało? Nawet po uwzględnieniu odpadów mamy aż za wiele do naszych potrzeb.

– Rozmawiałem z klientami. – Fust krzepiącym gestem położył mi rękę na ramieniu. – Dyskretnie. Dokonałem pewnych obliczeń. Sam powiedziałaś, że największa część roboty to złożenie strony. To koszt stały niezależny od tego, czy drukujemy jeden egzemplarz, czy tysiąc. Kiedy strona jest gotowa, wydrukowanie na prasie odbywa się stosunkowo szybko. Zatem im więcej egzemplarzy drukujemy, tym lepiej rozkładamy koszt składu strony. Koszty dodatkowego czasu, papieru i atramentu prawie się spłacają.

- O ile egzemplarzy więcej?

Fust wyprowadził mnie na zewnątrz.

– Trzydzieści. Wszystkie na papierze. Według moich obliczeń zwiększy to nasze koszty o dziewięćdziesiąt guldenów, z mojej kieszeni, a przysporzy dziewięćset guldenów zysku.

– Jeśli je sprzedamy – przestrzegłem. – Ich drukowanie jeszcze bardziej opóźni nasz harmonogram.

– Nie możemy dopuścić do poślizgu. Pieniądze, które zainwestowałem w druk książek, są pożyczone na procent i muszą być spłacone w ciągu dwóch lat.

- Długi można renegocjować – odparłem lekkim tonem. Może zbyt lekko. Fust odwrócił się i zmierzył mnie twardym spojrzeniem.
- Książka powstanie na czas. Musimy zdwoić wysiłki. Może należy przemyśleć od nowa pewne aspekty procesu drukowania.
- Które mianowicie?
- Na przykład tytuły. Byłem w pomieszczeniu prasy i widziałem, ile czasu tracimy na pokrywanie matrycy dwoma kolorami atramentu. Czasem czarny atrament przelewał się na czerwony i całą matrycę należało wyjmować, ścierać i na nowo pokrywać inkaustem.
- To jest czasochłonne – przyznałem – ale nie będziemy mogli sprzedawać książek po takiej cenie bez ozdobnych tytułów. – W rzeczy samej czułem wstręt na myśl, że ktoś inny przyłoży rękę do mojej książki, łamiąc jej spójność.
- Nonsens. Klienci nie będą wiedzieli, co tracą. Każdy, kto kupuje Biblię, spodziewa się, że będzie musiał wynająć kaligrafa, który napisze tytuły, a także intrologatora i ilustratora.
- Ilustratora nie będzie musiał wynajmować. W książce będą matryce rysunków Kaspara.
- Stanęliśmy przy nabrzeżu. Woda uderzała o betonową ścianę. Stado łabędzi dziobało wodorosty ciągnące się od kamieni.
- One też muszą zniknąć.
- Fust nie musiał na mnie patrzeć, by wiedzieć, jaki jest wyraz mojej twarzy.
- Wiem, że to twój drogi przyjaciel. Ale zainwestowaliśmy w to przedsięwzięcie za dużo, by zwykła przyjaźń mogła narazić je na szwank.
- Zwykła przyjaźń.
- On jest kimś więcej niż przyjacielem. Był źródłem i podstawą wszystkiego, czegośmy dokonali. Odciskał swoje karty za pomocą matrycy, kiedy ja kopiowałem książki w Paryżu.
- A więc zrozumie, że nowa sztuka wymaga kompromisów. Bardzo w to wątpiłem.
- Czy jest coś jeszcze?
- Powinieneś się przyjrzeć procesowi składu. Peter uważa, że możesz zmieścić jeszcze dwa wiersze na stronie, nie zmieniając jej wyglądu. Więcej

linijek na stronie to mniej kartek w książce. Mniej papieru i czasu, więcej pieniędzy. Tych kilka zmian pozwoliłoby nam oszczędzić połowę czasu, który poświęcimy na drukowanie dodatkowych egzemplarzy.

– Zastanowię się nad tym – odparłem sztywno.

Mimo swoich lat poczułem się jak dziecko, któremu odmawia się obiecanej zabawki. Chciało mi się płakać.

Fust zdjął różaniec z nadgarstka. Zakręcił paciorkami, które poruszyły się niczym kostki na liczydło.

– Nie możesz robić wszystkiego sam, Johannie. Ta księga to prawdziwy cud. W ciągu dwóch lat stworzymy tyle egzemplarzy, ile jeden człowiek wykonałby, gdyby żył dwa razy dłużej. Nie wolno nam się przeliczyć.

– To było moje marzenie – wyszeptalem. – Słowo Boże w takiej postaci, jaką Bóg dla niego zamierzył.

– Słowa się nie zmieniają. To jedynie ornament. Na miłość boską, odpuść. Zbyt wiele zainwestowaliśmy, by przegrać z takiego powodu.

– Nie robię tego dla zysku.

– Czyżby? Widziałem twoją twarz, gdy powiedziałem ci, ile zarobimy za dodatkowe egzemplarze. Ale możesz nie robić tego dla zysku. Ja chcę zarobić. A ty pracujesz dla mnie.

– Jesteśmy współnikami.

– Jeśli nie odpowiadają ci warunki, chętnie rozwiążę umowę. – Fust zaniknął dłoń na różańcu. – Nie chciałem tego powiedzieć. Wiem, ile to przedsięwzięcie dla ciebie znaczy. Ale ty, właśnie ty, musisz brać pod uwagę względy praktyczne.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem znów zakręcił różańcem. Westchnął i chciał odejść, lecz coś sobie przypomniał.

– Wczoraj zrobiłem remanent naszego zapasu welinu. Brakuje trzech skór. – Przyjrzał mi się uważnie. – Doszły mnie słuchy, że w zeszłym tygodniu wydrukowałeś partię podręczników w Gutenberghof.

– Pergamin, którego mieliśmy użyć, zamókł. Po wysuszeniu pękałby jak ciasto. Obiecałem, że książki zostaną dostarczone na czas, więc pożyczyłem trochę materiału z Humbrechthof. Uzupełnię zapas, gdy tylko dostanę nową partię.

Oczy Fusta pały.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem? Wszystko, co jest przeznaczone na nasz projekt, ma w nim pozostać. Nie możesz sobie pożyczać tak jak robotnik w winnicy, który nurza usta w winogronach właściciela. Tym razem przymknę na to oko, ale niech to się więcej nie powtórzy.

Zostawił mnie na molu. Koła barki młynarskiej się obracały. Raptem przyszło mi na myśl, że przed kilkudziesięcioma laty moja matka musiała stać tutaj i patrzeć, jak jej najmłodszy syn wsiada na barkę płynącą do Kolonii z jedną czystą koszulą na grzbiecie. Czy płakała? Czy czuła, że odbiera się jej życie? Najpierw odszedł mąż, a potem dziecko. Czy myślała o tym, co mogło się zdarzyć?

Krople deszczu padały na moją twarz, mieszając się ze łzami.

LXXIII

Ren

Nick stał na dziobie promu. Woda przyskała mu na policzki, ale on wolał to niż duszną od dymu papierosowego kabinę. Czuł się tak, jakby płynął do wnętrza baśni. Nie nowoczesnej, w której zwierzęta przerzucają się bon motami, a piosenki są tak napisane, by dobrze brzmiały w roli dzwonek telefonicznych, lecz staroświeckiej opowieści utkanej z ludowej przędzy wywiedzionej z ciemnego boru i skalistych gór. Ren snuł się stromymi dolinami okrytymi śniegiem pod wysokimi klifami, z których syreny wabiły niegdyś żeglarzy na zatracenie. Posępne zamczyska strzegły każdego wzgórza, obserwując sunącą w dół rzeki łódź. Niektóre popadły w ruinę, a inne wyglądały tak, jakby wystarczył dźwięk trąbki, by ich obrońcy powstali do boju.

– Dobrze się złożyło, że popłynęliśmy promem. – Emily wskazała brzeg. Wzdłuż rzeki biegła jedna droga przytulona do stoku. Była prawie niewidoczna pod śniegiem. – Ani jednego auta. Pewnie ją zamknęli.

– Bardzo dobrze – potwierdził Nick. – Trudniej będzie nas śledzić. Chyba że jest jeszcze jeden prom.

– Barman powiedział, że dzisiaj to ostatni. A jutro żaden nie popłynie, jeśli lód zrobi się grubszy.

– Bardzo dobrze – powtórzył Nick, jak gdyby chciał przekonać samego siebie. Trawił go lęk. Nie był to nagły przyływ adrenaliny wywołany poczuciem, że jest się ściganym. Tego miał pod dostatkiem w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Ten strach sięgał głębiej. Zimne palce zaciskały się powoli na jego gardle, a on czuł, że zapada się w pustkę. Miał wrażenie, że nie istnieje droga odwrotu. Emily wyjęła pomiętą chusteczkę i zaczęła ją drzeć w palcach. Skrawki wpadały do wody.

- Sądziś, że to znajdziemy?
- Masz na myśli ją?
- Przepraszam. – Kawalek papieru spadł na powierzchnię. Rzeka nasączyła go wodą.

Nick milczał. Przysunął się do Emily. Ta przechyliła głowę, opierając ją na jego ramieniu.

- Zastanawiam się, co ma z tym wszystkim wspólnego modlitwa Manassesesa – oznajmiła Emily.

– To znaczy?

– Podążamy śladem Gillian. Ale za czym ona podążała? Jeśli wyruszyła do Oberwinter, to tylko dlatego, że znalazła coś w archiwum w Moguncji. Nie było to nic związanego z modlitwą Manassesesa lub kopiującym niedźwiedziem.

– Może obrazki pchnęły nas na zły trop – odparł Nick. – Dzieje Królów Izraela to podobno zaginiona księga Biblii, tak? Może autor chciał w ten sposób powiedzieć, że jego książka trafiła tam, dokąd trafiają zaginione książki. Do Diabelskiej Biblioteki.

– Ale ten niedźwiedź. Sądziś, że wizerunek z karty przypadkowo znalazł się w modlitwie Manassesesa?

Niedźwiedź jest kluczem.

– Sama mówiłaś, że średniowieczni artyści stale kopiowali się nawzajem.

– Mam wrażenie, że podążamy tropem, który ktoś zostawił nam przed pięciuset laty. Suche pismo, ukryte księgi, powtarzające się obrazy... Ale nie jestem pewna, czy wszystko to wskazuje na Oberwinter.

– Gillian była tego pewna.

Nick odsunął się nieco, ale tylko tyle, by móc wsunąć rękę do kieszeni i ją ogrzać. Wyczuł pod palcami cienki korpus telefonu. Do palców wróciło krążenie krwi, gdyż poczuł swędzenie.

Po chwili uprzytomnił sobie, że to nie skóra go swędzi. Telefon wibrował. Dzwonił, ale zagłuszało go monotonne buczenie silnika i szum wody. Nick zapomniał go wyłączyć, gdy wykorzystał aparat do oświetlenia papieru w archiwum.

Wyjął komórkę z kieszeni i spojrzał na nią jak na zabytek obcej cywilizacji. Był zmęczony, a telefon dzwonił. Odebrał połączenie.

– Nick? Tu Simon.

Omali nie upuścił telefonu. Emily spojrzała na niego i bezgłośnie poruszając ustami, spytała kto dzwoni.

– Atheldene – wyszeptał Nick, po czym powiedział do mikrofonu: – Skąd masz ten numer?

– Zadzwoiłeś do mnie z Nowego Jorku. Dzwonię od dwudziestu czterech godzin. Nie dostałeś moich wiadomości?

– Gdzie jesteś?

– W Moguncji. To nad Renem, nieopodal Frankfurtu.

Czy głos Simona nie jest przesadnie swobodny? Zbyt pewny siebie i spokojny? A może Nickowi tylko się zdaje?

– Ładnie w tej Moguncji? – spytał niedbale.

– Jest tam romańska katedra i sklepik, w którym sprzedają czekoladowe popiersia Gutenberga. – Sarkazm pasował do Atheldene'a. – Ale nie z tego powodu tutaj przebywam. Zadzwoiłem do biura w Paryżu i dowiedziałem się, że dzień po moim wyjeździe przyszła do mnie paczka ze stemplem z Moguncji. Moja sekretarka rozpoznała charakter pisma Gill.

– Co w niej było?

– Coś, co powinieneś zobaczyć. Możecie przyjechać do Moguncji?

– Nie w tej chwili. Możesz mi powiedzieć, jaka jest treść?

– Łatwiej byłoby ci pokazać.

Nickowi zaczęło dudnić w głowie.

– Na litość boską, Atheldene, my szukamy Gillian. To nie pora na łami-główki.

– Racja. Może mi powiesz, gdzie jesteś?

Nick się zawahał. Atheldene westchnął zdesperowany.

– Słyszałeś o dylemacie więźniów? Dwóch mężczyzn w celi. Jeśli sobie zaufają, wyjdą na wolność. Jeśli nie, obaj zawisną na szubienicy. To my siedzimy w tej celi.

Nick wciął milczał, jak gdyby utknął w gąszczu niepewności.

– Gill na pewno odwiedziła Moguncję przed dwoma tygodniami. Byłem w tamtejszym archiwum. Pamiętają ją. Jesteśmy blisko, Nick.

– Co było w paczce, którą przysłała?

Atheldene zamilkł na chwilę.

– No dobrze. Chcesz ode mnie fantu? To była pierwsza strona bestiariusza, z którym umknęliście w Brukseli. Ktoś ją wyciął; przypuszczam, że Gillian ją odnalazła. Zrobiłem zdjęcie telefonem i zaraz ci je wyślę. Nie rozłączaj się.

Nick czekał. Czyżby to była kolejna pułapka? Z każdą sekundą, gdy telefon był włączony, jego niepokój wzrastał.

Cichy dzwonek oznajmił, że wiadomość dotarła. Atheldene musiał go usłyszeć.

– A teraz powiedz, gdzie jesteś?

Może sprawiło to zmęczenie, a może fakt, że protekcyjny i obcy głos Atheldene'a niósł w sobie coś znajomego. Być może przesądził jego zdesperowany ton. Jeśli sobie nie zaufamy, obaj zawiśniemy.

– Zmierzamy do miejscowości Oberwinter nad Renem. Zadzwoń do ciebie, kiedy tam dotrzemy, i wtedy pomyślimy, co dalej.

– Spróbuję się tam dostać. Perspektywy podróży wyglądają w tej chwili ponuro. – Odchrząknął. – Słuchaj, przykro mi, że rozdzieliliśmy się w Brukseli. Powinniśmy byli trzymać się razem. Ze względu na Gill.

– Będzie lepiej, jak się rozłączę.

– Zaczekaj...

Głos Atheldene'a zamilkł, słowa zamieniły się w trzaski. Po kilku sekundach znów się odezwał.

– ...czym ona jest.

– Co to było?

Nick się rozejrzał. Minęli zakręt między dwiema górami ograniczającymi rzekę i blokującymi sygnał telefoniczny.

– Tracę zasięg.

Znowu rozległy się trzaski, a potem zapadła cisza.

Nick przerwał połączenie. Był roztrzęsiony i omal nie wyłączył od razu telefonu, lecz migająca ikonka na ekranie przypomniała mu o zdjęciu wysłanym przez Atheldene'a.

– Skoro nie ma sygnału, trudno będzie namierzyć aparat. Otworzył zdjęcie i podał telefon Emili. Trudno było coś zobaczyć na małym ekranie. Naciskała klawisze, aby powiększyć obraz.

– Typowy początek bestiariusza. „Lew to najdzielniejsza z bestii i nie

lęka się niczego...”. Jest ilustracja. – Obrazek przedstawiał lwa z wygiętym grzbietem ryczącego tak głośno, że zdawało się, iż od ryku drżą znajdujące się obok słowa.

Nick wziął aparat od Emily i przesunął zdjęcie. Telefon omal nie wypadł mu ze zgrabiających palców.

– Co to takiego?

Obok dolnej krawędzi strony znajdował się znaczek zbyt nikły jak na element ilustracji.

– Może to plamka?

Nick powiększył zdjęcie. Piksele rozmyły się, a potem same się wyostrzyły. Ktoś byle jak nabazgrał – bo trudno było określić to innym słowem – prostokątną wieżę z trójgiem drzwi i okazałym krzyżem obok.

– Krzyż oznacza, że jest to kościół albo klasztor. To by pasowało. Gdyby Diabelska Biblioteka naprawdę istniała, klasztor byłby najbezpieczniejszym miejscem do jej przechowywania.

Nick popatrzył jeszcze przez chwilę na obrazek, a następnie wyłączył aparat.

– Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem, mówiąc Atheldene'owi, gdzie jesteśmy.

Emily ujęła jego dłoń i ścisnęła ją.

– Teraz już nic na to nie poradzisz.

Zapatrzył się w wodę. Czarne grzbiety skał przesuwwały się pod powierzchnią niczym krążące rekiny.

Jeśli sobie nie zaufamy, obaj zawiśniemy.

LXXIV

Moguncja

Przez całą zimę harowaliśmy jak woły. Październikowe deszcze zalały pola i zmieniły drogi w bagno, a my toniliśmy w grzęzawisku atramentu oraz ołowiu. Patrzyłem, jak woźnice kaleczą sobie ramiona, wyciągając z błota ciężkie podwoły, i odczuwałem pewną więź z nimi.

Śnieg spadł w grudniu. Fust nie pozwalał palić w Humbrechthof, toteż marliśmy. Musiałem na zmiany wysłać załogę do Gutenberghof, by ludzie modli odtając przy piecu, w którym gotowaliśmy inkaust i przetapialiśmy zużyte czcionki. Krótkie ciemne dni stały się jeszcze krótsze. Pewnego ranka ułożony w ryzy wilgotny papier zamarzył na kość. Prasy zacięły się, a atrament nie chciał przywierać do strony.

Jednak ludzka maszyna okazała się jeszcze węższa. Wytwarzałem więcej książek niż jakikolwiek inny człowiek w dziejach, tymczasem moje palce prawie nie dotykały papieru ani atramentu. Cały dom zamienił się w jeden wielki mechanizm równie skomplikowany jak dzieła Saspacha. Ja byłem sprężyną, która wprawiała go w ruch. Przy zbyt dużym nacisku mechanizm pęka, a przy zbyt małym nie odcisnie znaku. Musiałem wiedzieć, ile stron złożą zecerzy każdej godziny, każdego dnia, każdego tygodnia, i ilu pracowników będzie do tego potrzeba, tak aby drukarze ani nie siedzieli beczynnienie, ani nie musieli się spieszyć. Musiałem zobaczyć, który uczeń jest swarliwy lub spokojny, nie dbały lub pedantyczny, i dobrać mu odpowiedniego współpracownika. Musiałem pilnować, by forma nie trafiła na prasę przed kontrolą, i decydować, jak rozmieścić gotowe kwaterniony w magazynie, by właściwie je podzielić

przed złożeniem w książki. Były to niewidzialne mechanizmy wymagające przemyślenia, poczucia porządku i wyobraźni, tak samo nieodzowne w naszej sztuce jak wynalazki zbudowane z drewna czy żelaza.

Poza tym był jeszcze Kaspar. Przydzieliłem mu kierowanie prasą, lecz po trzech dniach znikł. Prasa stała beczynnie przez cały ranek, a Fust miotał się w gniewie. Kiedy znaleźliśmy go w karczmie przy piwie, oznajmił mi, że nie chce tej pracy. Odparłem, że dam ją Schoefferowi, co tak go rozwścieczyło, iż zgodził się zostać. Wnet jednak pożałowałem tej decyzji. Spóźniał się, klócił z pomocnikami i w krótkim czasie obraził połowę pracowników w Humbrechthof. Czasem upierał się, by drukować stronę po raz drugi z powodu najdrobniejszej plamki, a kiedy indziej machał ręką na najokropniejsze pomyłki. Później spędzałem całe popołudnie w magazynie, usiłując je odnaleźć.

Zbyt długo trwało, nim przyznałem przed sobą, że Kaspar nie nadaje się do tej pracy. Rozkosz sprawiało mu to, co nowe. Uwielbiał dziką wolność wynajdywania. Tymczasem nasza praca wymagała zarówno sztuki, jak i dyscypliny. Novum stanowiła jej żelazna rutyna.

Pewnego wieczoru zacząłem mu to tłumaczyć.

– W tym domu jesteście bractwem. Służymy Bogu, naszej sztuce i sobie nawzajem. Księgi, które tworzymy, nie są moje, twoje ani Fusta. Należą do Boga. Im bliższe są doskonałości, tym bardziej zbliżają się do Boga.

– Czy Bóg zbierze zyski, kiedy je sprzedasz?

Sfrustrowany pokręciłem głową.

– Nie rozumiałeś. Ta praca jest nudna i jednostajna...

– Jak wbijanie gwoździ młotkiem.

– ...ale liczy się to, że ją wykonujemy. Jesteśmy niczym mnisi odmawiający modlitwy w niezmiennym cyklu, który stanowi zwierciadło Boga.

– Mnich byłby z ciebie jak się patrzy – rzekł okrutnie Kaspar. – Gdybym chciał prowadzić bezbarwne i jednostajne życie, zostałbym rolnikiem. Orka, siew, żęcie, orka, siew, żęcie. Orałbym wciąż tę samą redlinę, aż wyorałbym sobie grób. – Bliźny na twarzy Kaspara nabiegły krwią. – Ale potrafię więcej, podobnie jak ty. Stać mnie na więcej niż naciśnięcie dźwigni i wytłoczenie kolejnego egzemplarza twojej książki na modłę młynarza mielącego mąkę.

Kiedy po raz drugi odszedł ze stanowiska, co nieuchronnie musiało nastąpić, pozwoliłem mu odejść. By nie pogarszać sytuacji, powierzyłem tę pracę Kefferowi, lecz wprawilo go to w zakłopotanie i uraziło Schoeffera, gdyż obaj wiedzieli, że ten drugi jest lepszym kandydatem. Wypłacałem Kasparowi pensję, lecz nie było dlań miejsca w Humbrechthof. Czasem – choć rzadko – zachodził i kręcił się po domu. Siedziałem jak na szpilkach, dopóki nie odszedł. Zdaje mi się, że sprawiało mu przyjemność sianie zamętu w naszej pracy. Resztę czasu spędzał w Gutenberghof, zajmując się ilustrowaniem.

Czułem smutek, choć taki koniec był nieunikniony. W którymś miejscu naszej podróży nasza sztuka przestała być wspólna i stała się moja.



W kwietniu sprawy zaczęły przybierać lepszy obrót. Dzięki dłuższym dniom nie musieliśmy wykorzystywać każdej minuty, a pracownicy spojrzeli na swoje zadania świeżymi oczyma, nie musząc ich wyteżać w mroku. Ręce, które drżały przy dotykaniu lodowatych czcionek, teraz podnosiły je łatwo i zręcznie układały w szeregach. Każdy dzień upływał w rytmie stukotu czcionek w łożyskach, przy skrzypieniu prasy i terkocie wózków dowożących świeży inkaust. Fust jak zwykle witał mnie pytaniem: „Ile stron?”, lecz już nie krzywił się na moją odpowiedź.

Tłumaczyłem Kasparowi, że przypominamy mnichów, i była to prawda. Byliśmy zamknięci przed światem jak w klasztorze. Przechodnie na ulicy słyszeli dźwięki dochodzące z wnętrza, ale nigdy nie wiedzieli, co dzieje się za bramami. Praca nad księgą stanowiła naszą regułę zakonną. Dźwiganie papieru i atramentu o świcie było naszą jutrznią; poranne zebranie w drukarni, gdy przydzielaliśmy dzienne zadania, było kapitułą, na nieszpory zmywaliśmy zaś atrament z matryc i pras, odkręcaliśmy ramy i odnosiliśmy czcionki do zecerni, gdzie nazajutrz miały zostać złożone od nowa. Razem pracowaliśmy, razem jedliśmy, klóciliśmy się i śmialiśmy: stanowiliśmy bractwo.

Przez większość dni moje zajęcia trzymały mnie z dala od prasy: odpowiadałem na pytania, rozwiązywałem spory, ustalałem zapłaty i robiłem rachunki. Zdarzały się jednak chwile spokoju, gdy cały dom obracał się zgodnie z wyznaczonym porządkiem niczym planety krążące po swoich orbitach wokół

Ziemi. W takich godzinach byłem najszczęśliwszy. Przechadzałem się po domu, spoglądając na świat, który powołałem do życia, i nie mogąc wyjść z podziwu dla aktów stworzenia odbywających się codziennie pod tym dachem.

Rzecz jasna, nie zawsze świeciło słońce. Pracownicy się kłócili, prasa szwankowała, pojawiały się błędy, zwłaszcza po rozłożeniu zepsutej strony i rozrzuceniu czcionki. Materiał znikał, dochodziło do zaciekłych kłótni z Fustem. Z czasem ciężar naszego przedsięwzięcia zaczął mnie przygniatać. Leżałem sam w łóżku, obsesyjnie licząc strony wydrukowane i złożone oraz te, które jeszcze pozostały. Opuścił mnie dreszcz oczekiwania i przygody, zacząłem wyglądać końca. Za każdym razem, gdy przekraczałem próg Gutenberghof, spoglądałem na pielgrzyma zgiętego pod niewidzialnym brzemieniem i ogarniała mnie litość.

Nie wolno mi jednak narzekać. W porównaniu z tym, co zdarzyło się przedtem, oraz z tym, co nadeszło później, były to dobre czasy.

LXXV

Oberwinter

Nikt nie zszedł z promu w Oberwinter poza Nickiem i Emily. Łódź ledwie przystanęła; gdy dotarli do końca nabrzeża, zobaczyli tylko jej światła bledące w oddali. Przeszli pustą szosę i tunel pod torami kolejowymi, a następnie minęli kamienną bramę i znaleźli się w wiosce. Pochylały się nad nimi krzywe domy, jak gdyby w drewnie, z którego je zbudowano, zachował się ślad pamięci pni, którymi niegdyś było. Nie było samochodów, ludzi ani nawet odcisków stóp na śniegu. Gdyby nie światełka na choinkach za zasłonami w oknach, można by pomyśleć, że cofnęli się do średniowiecza.

Minęli kilka pensjonatów usytuowanych wzdłuż brzegu rzeki, lecz wszystkie były ciemne i zamknięte. Na drzwiach wisiały przyczepione pinezkami kartki z informacjami, z których wynikało, że większość pozostanie zamknięta aż do Wielkanocy. Od zimna Nicka rozboleły stopy. Opadł go lęk, że nie znajda noclegu i będą błądzić ulicami, aż zamarzną na śmierć.

Główna ulica kończyła się placem miejskim o nieregularnym kształcie. Górował nad nim szeroki trzykondygnacyjny budynek o dachu przypominającym domek z piernika. Opis widniejący na tynku wykonany splątaniem gotyckim pismem głosił, że jest to hotel Drei Könige. Nick z niewypowiedzianą ulgą zobaczył, że palą się w nim światła.

W hotelu było niemal równie zimno jak na dworze. Nick i Emily zadzwonili i czekali. Nick zobaczył rzędy kluczy na haczykach za biurkiem.

– Wygląda na to, że znajdzie się dla nas pokój.

Emily zatrzęsa się z zimna.

– Wzięłabym nawet szafę, gdyby była w niej ciepła woda i kołdra.

Drzwi otworzyły się i wyszedł z nich jakiś mężczyzna. Miał na sobie szlafrok i trzymał w ustach papierosa bez filtra. Papieros był tak krótki, że Nick obawiał się o wąsy nieznanego. Był pierwszym żywym człowiekiem, którego ujrzeli w Oberwinter, lecz wcale nie wyglądał na zdziwionego pojawieniem się gości.

Zdjął klucz ze ściany i wskazał do góry.

– Drugie piętro, numer siedem.

Pokój nie wyglądał imponująco. Stało w nim kilka mebli pokrytych grubo lakierem, noszących liczne ślady po papierosach, a na podłodze rozpościarał się wyłysiały chodnik. Gdy Nick dotknął blatu biurka, na jego palcu zebrała się skondensowana wilgoć. Z otwartych drzwi łazienki wiał na jego plecy zimny podmuch. Zjrzał do środka. Na parapecie, w miejscu, w którym brakowało szyby, zebrał się śnieg. Może uda się zatkać dziurę ręcznikiem.

Znalazłszy się w łazience, poczuł dziwny dreszcz. Miał wrażenie, że zna to miejsce. Obraz zaciemnił się w jego oczach. Nick nie stał już w łazience, lecz siedział przed komputerem w pokoju oddalonym o tysiące kilometrów. Widział scenę, która od tamtej chwili powtarzała się w jego głowie każdego dnia. Lustro i ta sama zasłona prysznicowa z choinkami. Jednak ściana była biała. Na wideo miała brązowy kolor, nie miał co do tego wątpliwości.

Wybiegł z pokoju na schody.

– Dokąd idziesz? – zawołała Emily.

Nie zatrzymał się. Na piętrze znajdowało się pięć pokoi. Wszystkie miały otwarte drzwi, jak gdyby ktoś żywił słabą nadzieję, że zawitają do nich goście. Jedne były oznaczone napisem PRIVAT. Nick wchodził na palcach do każdego i zaglądał do łazienek. Żadna łazienka nie była w kolorze brązowym.

Wrócił na klatkę schodową. Coś go tknęło i przyjrzał się dokładniej drzwiom opatrzonym napisem. Framuga była nowa, drewniana, a zamek stanowił najbardziej błyszczącą rzecz w całym hoteliku. Pośrodku drzwi widać było cztery zagłębienia w miejscach wypełnionych gipsem. Odstąpiwszy nieco, ujrzął wyblakły cień cyfr tworzących liczbę czternaście.

Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Obejrzał się. Emily stała na klatce przed pokojem, spoglądając nań z konsternacją.

– Co ty wyprawiasz?

Nick zszedł na dół i policzył klucze wiszące nad biurkiem. Było ich trzynaście; po kluczu do ich pokoju zostało puste miejsce. Znieruchomiał na chwilę i usłyszał jedynie dalekie odgłosy meczu piłkarskiego dochodzące z telewizora w pokoju na tyłach.

Z bijącym sercem skoczył za biurko i zdjął klucz z ostatniego haczyka. Na breloczku nie było numeru, a mosiądz lśnił jak nowiutki pens. Gładkiej powierzchni nie znaczyła ani jedna rysa. Nick przycisnął klucz do nogi, by nie dzwonił podczas wchodzenia po schodach.

– Jeśli ktoś się pojawi, zatrzymaj go – powiedział do całkowicie zdeorientowanej Emily.

Zbliżył się do drzwi. Jego wyobraźnię wstrząsały koszarne wizje. Klucz wsunął się do zamka i cicho obrócił. Gdy drzwi zaskrzypiały i minimalnie się uchyliły, Nick poczuł dreszcz, jak gdyby przeszedł przez niego duch.

Od razu wiedział, że jest we właściwym pokoju. Sączące się z klatki światło ukazywało obraz totalnego zniszczenia. Pokój został przenicowany. Zerwano deski z podłogi i boazerię ze ścian, łóżko było zdemontowane, a materac rozpruty. Nicka ogarnęły mdłości. Nie było jednak śladów krwi, a równe cięcia nie wyglądały na takie, które wymierzono w ludzkie ciało.

Nacisnął włącznik, ale światło się nie zapaliło. Spojrzawszy do góry, zobaczył wiązkę przewodów zwisających z sufitu w miejscu, w którym odkręcono i zdjęto lampę.

– Co tu się stało?

Nick prawie podskoczył ze strachu. Emily podeszła z tyłu i spoglądała nad jego ramieniem na zdemolowany pokój. Wyglądała na przerażoną.

– Miałaś stać na czatach.

– Miałeś mi wyjaśnić, co jest grane.

– Kiedy Gillian odezwała się do mnie tego dnia, gdy zaginęła, zostawiła włączoną kamerę internetową.

Nick ruszył ostrożnie przed siebie, balansując na belkach niczym na podkładach kolejowych. Drzwi łazienki stały otworem, wyłamane potężnymi

uderzeniami. Rama wisiała na odłamkach drewna. Jedno spojrzenie do wnętrza potwierdziło jego podejrzenia.

– Gillian znajdowała się właśnie w tym miejscu. Pamiętam brązowe kafelki na ścianach. I zasłonkę.

Boczna płyta wanny została zerwana, lecz zasłonka z choinkami wciąż wisiała z sufitu. Nick ją odsunął. W glazurze na wysokości ramienia znajdowała się mała półka. Okno powyżej wychodziło na zaśnieżony dach.

– Właśnie tam musiała postawić laptop.

Rozejrzał się, usiłując wyciszyć krzyk brzmiący echem w jego pamięci. Zwinięte linoleum odsłaniało listwy, a lustro zdjęto i oparto o wieszak na ręczniki. Do połowy zużytą rolkę papieru toaletowego położono na grzejniku; wciąż tkwiła w plastikowym uchwycie wyrwanym ze ściany. Tak jakby ktoś musiał sobie zrobić przerwę w połowie demolki.

– To nie są przypadkowe zniszczenia. Ci ludzie czegoś szukali.

Emily się rozejrzała.

– Jeśli tutaj było, prawdopodobnie to znaleźli.

– Może.

– Nie ma sensu czekać, aż wrócą i nas znajdą. – Emily skierowała się do drzwi. – Mówię serio, Nick. Wszystko znikło.

Jednak Nick jej nie słyszał. Spoglądał na grzejnik, przywołując wspomnienie.



Walentynki. Po przebudzeniu Gillian przysunęła się do niego. To był najlepszy walentynkowy poranek w jego życiu. Przyniósł jej do łóżka gofra i Bloody Mary, denerwując się, że Gillian może to uznać za zbyt sentymentalne. Podejrzewał, że nie będzie miała czasu na walentynki, i nie zdziwiłby się, gdyby zamiast tego zaproponowała wycieczkę do pomnika ofiar wojny albo do garkuchni. Ona jednak uśmiechnęła się i otarła o niego, lecz kiedy chciał ją pocałować, odsunęła się, rozlewając sok pomidorowy na pościel.

– Najpierw musisz znaleźć prezent, który dla ciebie mam – oznajmiła z błyskiem w oku mówiącym, że czeka go niełatwe zadanie.

Przewrócił mieszkanie do góry nogami. Nawet Bret zdziwił się na widok

takiego bałaganu. Gillian obserwowała go, rzucając podpowiedzi, które wydawały się zupełnie bez sensu. Gofry ostygły. Nick prosił ją kilka razy, żeby zdradziła kryjówkę, ale ona ze śmiechem odparła, że miłość znajdzie drogę. W końcu zezłoszczony ubrał się i wybiegł do parku.

Gillian nie ujawniła kryjówki.

Bret znalazł to po czterech dniach. Siedział na muszli i oglądał świński magazyn, gdy skończył się papier. Wygramolił się z ubikacji ze spodniami opuszczonymi do kostek. W jednej ręce trzymał małą kopertę, a w drugiej tekturową tutkę.

– Zdaje się, że to dla ciebie.

Bret otworzył kopertę. W środku znajdowała się karteczka ze złotym kluczykiem z plastiku i podpisem: „Klucz do mojego serca”. Na klapce koperty Gillian napisała dwa słowa.

„Masz mnie”.

□ □ □

– Gillian знаła pewną sztuczkę.

Podszedł do grzejnika i zdjął rolkę z uchwytu. Wsunął palec do tutki, mówiąc sobie: Niczego się nie spodziewaj.

Była tam szpara. Nick wcisnął w nią palec i rozdarł. Tekturowy rulonik odskoczył. W miejscu, w którym powinien się znajdować wiotki papier toaletowy, Nick wyczuł uginanie się papieru listowego. Wyciągnął go. Były to dwie kartki postrzępione u góry. Wyrwano je z notesu ze spiralką.

Na schodach rozległo się skrzypienie.

LXXVI

Moguncja

Nasz dom nawiedziły diabły. Wielu spośród załogi w to uwierzyło. Jesienią i zimą na naszą pracę padł nagły cień. Ludzie nie opowiadali w mojej obecności o swoich lękach; wiedzieli, że mi się to nie spodoba. Jednak do moich uszu dochodziły strzępy rozmów zza otwartych drzwi, wypowiedane po cichu nerwowe uwagi. Wiedziałem, że niektórzy wciąż źle patrzą na prasę. Jej potęga zdawała im się nienaturalna. Czuli się nieswojo wobec łatwości, z jaką przekraczała ludzkie możliwości. Ten i ów przypisywał jej potęgę czarnej magii. Sądziłem, że te pomysły muszą pochodzić od mieszczan, nieświadomych i lękających się działalności toczącej się za murami naszych domów. Jednakże wielu takich, którzy winni być bardziej rozumni, podzielało tego rodzaju przesady.

Ja zaś muszę przyznać, że działały się rzeczy dziwne. Czasem w nocy mogłem przysiąc, że słyszę trzeszczenie i stukot prasy. Sądziłem, że moje troski wdzierają się do snów, lecz powoli odkryłem, że inni także słyszą owe odgłosy. Pewnej nocy rozległ się głośny trzask, który obudził cały dom. Rzuciliśmy się biegiem do prasy i znaleźliśmy nowy słój atramentu roztrzaskany na posadzce. Winą obarczyliśmy kota lub jaskółki, które wlatywały przez okno.

Stopniowo całą rzecz obrócono w żart. Kiedy zecer sięgał do pudełka i w miejscu litery „e” znajdował „x”, gdy w ryzie papieru zabrakło dwóch arkuszy, gdy narzędzia Götza tępiły się z dnia na dzień, gdy matryca pozostawiona

w prasie rano okazywała się odwrotnie ustawiona – pracownicy robili znak krzyża i mówili, że to wina demonów zamieszkujących prasę.

Pewnego ranka zastałem zecerów w stanie wielkiego poruszenia. Rzadko się ich takich widywało, gdyż większość z nich była z natury poważna i spokojna. Oglądali wierszownik z czcionką. Nieco się uspokoiwszy, Günther wyjaśnił, że po przyjściu do pracy znaleźli wierszownik na biurku. Nikt nie wiedział, skąd się tam wziął.

Zaniosłem go do korektorni i pokryłem czcionkę inkaustem, a następnie przycisnąłem kciukiem papier do czcionki. Ukazała się surowa linijka tekstu.

tifex jest najosobliwszą bestią z pyskami na

– To nie jest biblijny werset – oznajmił Günther.

Posłałem mu ostrzegawcze spojrzenie. Nie chciałem, by straszyl kolegów.

– Oczywiście, że to jakiś nonsens. Któryś z uczniów wśliznął się w nocy do pracowni i zabawił się w zecera.

– Izba była zamknięta na klucz – zauważył asystent Günthera.

– W takim razie musiałeś zapomnieć wyjąć klucz z zamka.

– Albo Kaspar Drach go otworzył.

Zgromiłem go wzrokiem.

– Drach nie miał z tym nic wspólnego. Nigdy nie przychodzi do tego domu.

– Wczoraj po południu widziałem, jak kręci się obok składu papieru.

– Pomyliłeś się.

Wyciągnąłem rękę po liniał, by przyłożyć mu za tę impertynencję, ale trafiłem ręką na wierszownik. Przewróciłem go i litery rozsypały się po stole. Zdanie przestało istnieć.

– Widzicie? Nie ma o czym mówić.

Jednakże moje myśli nie chciały się tak łatwo rozproszyć. Gdy pracownicy zajęli się znów robotą, wyszedłem i pospieszyłem do Gutenberghof. Zajrzałem do drukarni, w której tłoczono nową partię odpustów, a potem wszedłem na poddasze do Dracha.

Nie byłem tam od miesiąca. W izbie panował rozgardiasz, lecz nawet w

bałaganie Dracha było coś ascetycznego. Wszystkie powierzchnie od podłogi do biurka w rogu izby zasłaniały białe płachty welinu i papieru. Na niektórych widniały strzępy zdań, inne były pomalowane, a jeszcze inne wypełnione szkicami w węglu. Niektóre wyglądały jak stroniczki ksiąg gotowe do oprawienia, inne zaś pozostały czyste jak śnieg. Stałem w drzwiach.

– Skąd się to wszystko wzięło?

– Z kóz – odparł Kaspar. Miał na sobie jedwabny fartuch, który wkładał do malowania. – I ze szmat. Powinieneś zapukać.

Zsunął się ze stołka i uklęknął na podłodze. Pozbierawszy papiery, ułożył je na słomianych siennikach w kącie. Ominąłem go i podszedłem do biurka, by zobaczyć, nad czym pracuje.

Był to kwaternion Biblii. Na jedną chwilę oko mnie zwiódło. Myślałem, że widzę swoją księgę. Nie zdążyłem jednak przynieść sobie wstydu, gdyż odżyłem trzeźwością myślenia. Księga była olbrzymia, o jedną czwartą większa od mojej. Nawet złożona zajmowała całe biurko, tak że nie starczało miejsca na farby. Żółto-brązowe litery były równo ustawione, lecz moje oko wyrobione po miesiącach patrzenia na wydrukowaną Biblię dostrzegło, że są krzywe jak zęby starca. Dziwnie mi o tym mówić, lecz spojrzawszy na nie, poczułem coś w rodzaju odrazy.

– To nie twoja Biblia – oznajmił Kaspar. – Zamówił ją wikariusz z katedry.

Ogarnął mnie podziw dla ilustracji. Stronę otaczały gęsto splecione, wybijające pnącza roślinne, spośród których wyzierały charakterystyczne stwory zamieszkujące świat Kaspara. Jeleń cofał się przed dzikusem mierzącym w niego rozwidloną włócznią; dwa lwy siedziały na łodydze kwiatu z żałobnymi minami, a pod nimi wśród płatków róży krył się pysk demona. W rogu siedział niedźwiedź i wygrzebywał łapą korzenie rośliny.

– Przeszedłeś samego siebie.

Kaspar pogładził giętki i miękki arkusz welinu.

– Jeśli będziesz robił po swojemu, więcej takich nie będzie. Znasz Reissmana, skrybę mieszkającego nad Trzema Koronami? Napisanie tego zajęło mu rok i trzy miesiące. Mniej więcej w tym samym czasie ty wyprodukujesz ich sto razy tyle, i to po dwakroć. Jak on ma przeżyć?

– Twoje karty istnieją od dwudziestu lat. Nie brakuje artystów. – Wzruszyłem ramionami. – Czy jeden człowiek robi światu różnicę?

Odwrociłem się od biurka i spojrzałem na resztę papierów. Większość spoczęła pod kocem na posłaniu Kaspara, lecz kilka pozostało na wierzchu. Na jednym z arkuszy zauważyłem szkice wołu z zakrzywionymi do tyłu rogami, a na innym węża z ludzką twarzą.

– Przyjąłeś jakieś zamówienia? Może na jakiś bestiariusz?

Drach milczał.

– Dziś rano w zecerni zastaliśmy fragment dziwnego zdania. Wyglądało jak wyjęte z bestiariusza. – Usiłowałem spojrzeć Kasparowi w oczy, lecz wyslizgiwał się niczym węgorz.

– To musiała być sprawka demona prasy. – Spojrzał na mnie spod oka. – Albo Petera Schoeffera. Ambitny z niego młokos. Nie chce strawić życia na tłoczeniu Biblii. Podśluchałem go przedwczoraj w kuźni: uważa, że powinieneś wykorzystać drugą prasę i rozpocząć coś nowego.

– Jeden z pracowników widział wczoraj, jak snujesz się po Humbrechthof. – Nie dawałem za wygraną.

Kaspar odwrócił się i spojrzał na monumentalną Biblię spoczywającą na biurku. Ujął pędzel w dłoń.

– Musiał mnie pomylić z *Herr Fustem*. Jak on się miewa?

– Miewałby się lepiej, gdyby papier nie ginął z naszych zapasów – odparłem, wpatrując się w stosy materiałów na łóżku. Kaspar jak zwykle mnie ignorował.

– A jego córka Christina?

Patrzyłem nań ze zdumieniem.

– Skąd miałbym to wiedzieć? Spotkałem ją zaledwie dwa razy, gdy Fust zaprosił mnie na obiad. Nie może mieć więcej niż piętnaście lat.

– To wystarczy, by wyjść za mąż.

Roześmiałem się przesyconym żółcią śmiechem starca.

– Wciąż próbujesz mnie wyswatać? Bogu dzięki, mam już pieniądze Fusta. Nie potrzebuję posagu jego córki.

Kaspar zanurzył pędzel w muszli ostrygi napełnionej różem.

– Tak mi przyszło na myśl. Może powinieneś się postarać...

– Mam jego pieniądze – powtórzyłem.

– ...żeby kto inny ich nie przejął.

Pędzel liźnął stronę niczym język węża, barwiąc korpus dzikusa. Widząc, że nic rozsądnego nie usłyszę od Kaspara, odwróciłem się do drzwi.

Błysk srebra przyciągnął mój wzrok. Było to jedno z naszych zwierciadełek. Dopiero teraz je zauważyłem. Spojrzałem na swoje zdeformowane odbicie i zapragnąłem, by święte promienie lustra usunęły przepaść, która powstała między mną a Kasparem.

LXXVII

Oberwinter

Od schodów dobiegało skrzypienie. Nick i Emily zamarli. Wiatr zdmuchnął śnieg z dachu i zatrzęsł oknami. Czekali, spodziewając się, że skrzypienie zamieni się w tupot nóg.

Nic się nie stało.

– Wynośmy się stąd. – Nick odłożył rolkę na miejsce i skierował się do drzwi. Zamknąwszy drzwi, nie obejrzał się. Wolał nie myśleć, co mogło się tam wydarzyć.

Zeszli na palcach na dół najprędzej, jak zdołali. Na podeście schodów na pierwszym piętrze Nick usłyszał szmer głosów na dole.

– Nie możemy tutaj zostać – szepnął. – Ci ludzie nie mogli zdemolować pokoju bez wiedzy właściciela.

– Zgoda. Ale dokąd możemy pójść?

– Dokądkolwiek.

Właściciel stał w holu pochylony nad ladą. Mówił coś cicho do telefonu. Machnął ręką na Nicka i Emily, lecz papieros w ustach i słuchawka nie pozwalały mu zwrócić się do gości.

Nick położył klucz na ladzie i żwawym krokiem skierował się do drzwi.

– Wychodzimy tylko na kolację. Za godzinę będziemy z powrotem.

□ □ □

Znaleźli *weinstube* w domu przy głównym placu z widokiem na rzekę i tory kolejowe. Był to przytulny lokal z książkami na półkach oraz butelkami starego wina ustawionymi na parapetach. Kelner chciał posadzić gości przy oknie,

lecz Nick wybrał stolik z tyłu, za staroświecką prasą do tłoczenia wina. Nie miał pewności, przed kim się ukrywa. Przypuszczalnie trafili do jedynej otwartej knajpy w Oberwinter.

Nie zamierzał spędzać w niej dużo czasu, lecz spojrzawszy na menu, uprzytomnił sobie, że umiera z głodu. Od śniadania nic nie jadł. Zamówili gulasz i kluski *spätzle*. Kiedy kelner zniknął w kuchni, Nick wyjął z kieszeni kawałki papieru i wygładził je na stoliku.

– Czy to pismo Gillian?

Nick skinął głową. Zmęczonym umysłem próbował ogarnąć to, co jest napisane na pomiętych karteluszkach. To było niczym powtórka z niedawnej przeszłości. Nazwiska, jeszcze tydzień temu nic nieznaczące, rzucały mu się w oczy, poruszając wspomnienia, które nie zdążyły się dobrze uformować. *Van-velde – atrament B42???? Inne rysunki MKG w Biblii G? 08.32 Paryż, przyj. Strasburg 14.29. Zadzwoń do Simona. Czy niedźwiedź jest kluczem?*

Notatki zajmowały trzy strony. Spisano je w różnym czasie atramentami w odmiennych kolorach; zawierały skreślenia i zakreslenia i były połączone strzałkami prowadzącymi do kolejnych pytań. Palimpsest poprzednich trzech tygodni z życia Gillian.

Czwarta strona zawierała coś innego. Pisma było niewiele, natomiast widniał na niej szkic wyglądający jak plan budynku. Z grubsza przypominał pięciokąt z nieregularnymi bokami i kanciastymi projekcjami. Do jednego narożnika biegła kropkowana linia, a do zarysu budynku przylegało czerwone X pogrubione w miejscu zetknięcia. Na marginesie Gillian napisała: „Kloster Mariannenbad”, a poniżej umieściła listę:

lina

szpadel

lampa czołówka

szczypce przegubowe

pistolet?

– *Kloster* oznacza „klasztor” – oznajmił Nick.

– To by pasowało do zdjęcia, które przysłał Atheldene. Kelner wynurzył się z kuchni i postawił na stoliku dwa parujące talerze z jedzeniem. Nick zakrył papier rękawem.

– Podać państwu coś jeszcze?

Emily uśmiechnęła się z trudem. Jej ściągnięta twarz zdradzała wyczerpanie.

– Rozmawiamy i właśnie się zastanawialiśmy... Słyszał pan o miejscu zwanym Kloster Mariannenbad?

– W Oberwinter?

– To klasztor.

Mężczyzna przepraszająco pokręcił głową.

– Nic znam takiego miejsca.

– A zamek?

Kelner się roześmiał.

– To romantyczny Ren. Mamy tu zamki co pół kilometra.

– Gdzieś w pobliżu? Czy są takie, które nie leżą na szlaku turystycznym?

Kelner zastanawiał się przez chwilę.

– Mamy zamek Wolfsschlucht. Ale jest zamknięty.

– W zimie?

– Na stałe. Prywatny. Zdaje się, że należy do jakiegoś Amerykanina.

Mężczyzna oparł dłonie na biodrach i spojrział na książki stojące na półkach nad głowami gości. Nick i Emily czekali. Kelner zdjął stary tom z postrzępioną okładką i zagiętymi rogami. Tytuł brzmiał *Piękne Oberwinter*.

– Jeśli chcą się państwo więcej dowiedzieć, może tu coś się znajdzie.

Nick wertował książkę, a Emily pochłaniała jedzenie.

– O, jest. Zamek Wolfsschlucht.

W czasach średniowiecznych w budowlu mieścił się klasztor poświęcony Dziewicy Maryi. Tradycja głosi, że wzniesiono go na miejscu tułtejszego sanktuarium, lecz nigdy nie zostało to potwierdzone. Klasztor podlegał archidiecezji mogunckiej i posiadał jedną z najświetniejszych bibliotek w Niemczech. Większość tego rodzaju fundacji została rozwiązana w czasach reformacji protestanckiej w szesnastym wieku, lecz klasztor złożył petycję na ręce cesarza Karola V i otrzymał status *reichsfrei*, co oznaczało, że jest wyjęty spod pieczy miejscowych władz i podlega bezpośrednio samemu cesarzowi. Mieszkańcy Oberwinter wciąż

szczęcą się tym, że sam papież interweniował u cesarza w sprawie mnichów, obiecując mu w zamian poparcie w wojnie z Francją.

Klasztor został ostatecznie rozwiązany Ustawą sekularyzacyjną z 1802 roku. Tytuł własności przeszedł na hrabiów Schoenberg, którzy przekształcili zabudowania w zamek. W istocie klasztor świetnie nadawał się do tego celu. Stoi na wierzchołku stromej skały nad Renem, a z trzech stron otacza go Wolfsschlucht, czyli „wilcza gardziel”. Armie napoleońskie maszerujące przez krainę Renu nawet nie próbowały go zdobywać.

W 1947 roku zamek został sprzedany anonimowemu dobroczyńcy. Jest zamknięty dla zwiedzających, lecz wciąż można go podziwiać z rzeki i dociekać, jaka historia kryje się za starożytnymi murami.

– Ostatnie zdanie brzmi dość smutno – zauważyła Emily. – Jak gdyby autora trawiła taka sama ciekawość jak nas.

– To złe miejsce. – Kelner wrócił z koszykiem chleba. Zniżywszy głos, rozejrzał się dla teatralnego efektu po pustej restauracji. – Dziadek mówił mi kiedyś, że w czasie wojny faszyci często tam zachodzili. Zawsze w środku nocy. Powiedział, że być może był tam nawet Reichsminister Joseph Goebbels.

Nick miał ochotę zapytać kelnera, w jaki sposób Goebbels dostał się do zamku, lecz akurat wtedy kobiecy głos wezwał kelnera do kuchni. Mężczyzna przeprosił, a Nick zerknął do książki.

– Jest ilustracja.

Rozłożył tom na stoliku i odwrócił go przodem do Emily. Utrzymana w ciemnej tonacji sugestywna rycina przedstawiała samotne zamczysko sterczące na skalnym występie w wąwozie między dwiema górami. Grubymi kreskami zaznaczono pochmurne niebo, a w tle czerniła się wzburzona rzeka.

– Czy to tam musimy dotrzeć?

– Tak, jeśli Gillian tam dotarła.

Nick położył obok szkic nakreślony przez Gillian. Trudno było z niego wynioskować, jaki jest plan zamku, lecz dwie wieżyczki mogły odpowiadać dwóm narożnikom pięciokąta, a przysadzista wieża wznosząca się z tyłu mogła być stołpem. Nick obrócił rysunek.

– To musi być tam.
– Z opisu wynika, że papież zadał sobie wiele trudu, by zapewnić klasztorowi bezpieczeństwo. Musi się w nim znajdować coś, co chciał ukryć przed protestantami.

– Albo nazistami.

Emily przyjrzała się planowi.

– Jak Gillian dostała się do zamku?

– Przez tę wieżę z tyłu. – Nick wskazał literę „X”. – Musiała znaleźć w niej wejście.

Emily przeczytała listę, którą Gillian sporządziła na marginesie.

– Albo podkopała się za pomocą szpadla, świecąc sobie czołówką.

– Może będziemy improwizowali. – Nick zawołał kelnera. – Nasz samochód zakopał się tuż za miastem. Czy mógłby pan pożyczyć nam szpadel i kawałek sznura, abyśmy mogli się wydostać?

Kelner zdziwił się, ale był zbyt grzeczny, by kwestionować prośbę Nicka. Wyszedł i po chwili wrócił ze szpadlem ogrodowym, latarką oraz niebieską nylonową linką.

– Doskonale.

Nick zapłacił rachunek, wydając resztki euro. Czuł się głupio, nie mogąc wręczyć kelnerowi napiwku. Włożył kurtkę i wziął szpadel do ręki.

Kelner otworzył im drzwi. Podmuch wiatru cisnął do wnętrza płatki śniegu. Stojące na stole szklanki zadzwoniły. Mężczyzna wyjrzał na ciemną ulicę.

– Życzę powodzenia.

LXXVIII

Frankfurt, październik 1454

Gdy odwiedzamy miejsca z dzieciństwa, zwykle okazują się małe i znikome w porównaniu ze wspaniałością tego, co mamy w pamięci. Frankfurt był inny. Zdawało się, że tego roku cały świat przybył na targi do Wetterau. Jeden plac zajęli wytwórcy tkanin; ich namioty przypominały miasteczko we wszystkich kolorach, jakie można sobie wyobrazić. Były tam ciężkie barchany i gabardy, a obok nich bizantyjskie jedwabie połyskliwe niczym anielskie skrzydła. Z zadaszonej hali targowej dochodziła ciepła woń niezliczonych przypraw: pieprzu, cukru, cynamonu, goździków oraz wielu innych, których nigdy nie próbowałem.

Ustawiłem nasz stragan w narożniku rynku między papiernikami i pergaminnikami. Wśród setek kupców byliśmy jedynymi sprzedawcami książek na targu, a mnie trudno było przekrzyknąć panujący zgiełk. Po wielu latach lęku o zachowanie tajemnicy z trudem wydobywałem z siebie głos.

Na moim miejscu powinien stać Fust. To on był naszym sprzedawcą i on obmyślił plan pokazania pierwszych owoców naszego trudu. Jednak dzień wcześniej zaczął się uskarżać na gorączkę, więc przyjechałem zamiast niego. Dobrze, że tak się stało. Ostatnimi czasy zbyt dużo przebywałem w Humbrechthof. Zbliżał się termin Fusta, a drukowanie Biblii wciąż się opóźniało. Ciągła świadomość tego faktu – liczenie i przeliczanie planów, dostaw i godzin pracy – niezmiernie mi ciążyła. Bałem się tej podróży. Nie umiałem wyobrazić sobie siebie z dala od przedsięwzięcia ani jego beze mnie. Ale Fust nalegał. „Peter z tobą pojedzie. Dobrze ci to zrobi”, przekonywał.

Po godzinie spędzonej na szlaku do Frankfurtu wiedziałem, że miał rację. Jesienne powietrze zaróżowiło mi policzki i oczyściło głowę; dojrzała woń spadłych jabłek i liści odblokowała moje zmysły. Nawet okrzyki pokątnych kupców, którzy narażali się na gniew władz miejskich, oferując towary poza rynkiem, nie irytowały mnie, lecz przyjemnie dźwięczały w uszach. Wieczorem łatwo wdałem się w rozmowę z innymi kupcami w gospodzie. Siedziałem dłużej niż zwykle i za dużo wypilem, wskutek czego nazajutrz bolała mnie głowa.

Rankiem pierwszego dnia targów do mojego stoiska podeszło raptem trzech ludzi. Omal nie doliczyłem czwartego, lecz ów człowiek chciał tylko, żebym wskazał mu drogę do garbarzy. Nie miałem wiele do roboty poza zabijaniem pcheł, które rozgrzały mi łóżko w gospodzie. Radość z wyrwania się poza Moguncję przyblakła; w myślach układałem długie skargi wobec Fusta na daremną podróż. Jednakże po południu goście zaczęli napływać szerszym strumieniem. Nazajutrz rano ledwie za nimi nadażalem. Wielu było kapłanami i mniachami, lecz musieli pochlebnie wyrażać się o tym, co zobaczyli. Niebawem majątniejsze dłonie przewracały kartki, a grube pierścienie ocierały się o welin. Zobaczyłem opatów, arcydiakonów, rycerzy. Później niespodziewanie pojawił się biskup.

Mniej więcej co godzinę powtarzała się ta sama scena: stojąc przy straganie, zachwalałem zalety swoich ksiązek, gdy zjawiał się młodzieniec w poplamionym atramentem fartuchu i z potarganą czupryną. Przepychał się przez tłum i oglądał strony Biblii, po czym odwracał się do zgromadzonych i głośno oznajmiał:

– To oszust.

Unosił kwaternion tak, by każdy mógł go widzieć.

– Ten człowiek twierdzi, że tekst jest doskonały, ale najwyraźniej nawet go nie przeczytał. Nie ma ani jednej poprawki.

Sięgał pod fartuch i rozwijał przed ludźmi skrawek pergaminu.

– Moje dzieło natomiast jest doskonałe.

Publiczność, rozumiejąc, czego jest świadkiem, wybuchała śmiechem. W porównaniu z mlecznobiałymi stronicami i gładkim jak aksamit tekstem Biblii dzieło skryby przedstawiało żalosny widok. Brzegi były postrzępione, okładka pożółkła (poprzedniego wieczoru oblaliśmy ją piwem), a słowa prawie nikły pod chaosem poprawek.

– Nie został ani jeden błąd – oznajmiał.

– Tu również – odpowiadałem.

Młodzian zginał się w pół, wypinając pośladki w stronę publiczności, i wsadzał nos w Biblię.

– Nie widzę ani jednej pomyłki – przyznawał niechętnie. Wśród zgromadzonych odzywał się szmer.

– Ale każdemu raz może dopisać szczęście. Brałem do ręki dwa następne kwaterniony.

– A trzy razy? Jeśli przybędziecie do mojego warsztatu w Moguncji, ujrzycie jeszcze sto takich na sprzedaż. Wszystkie są identyczne w swojej doskonałości.

Peter Schoeffer (gdyż to on był gniewnym skrybą) wypinał pierś.

– Mogę zrobić tyle samo. – Machał palcami, dokonując obliczeń. – Będą gotowe w roku tysiąc pięćsetnym.

– Moje będą gotowe w czerwcu. – Podnosiłem głos, zwracając się do tłumu. – Każdy, kto zechce nabyć książkę lub zobaczyć więcej przykładów cudownej nowej metody pisania, może mnie odwiedzać do piątku w mojej kwatery pod szyldem dzikiego jelenia albo później w Hof zum Gutenberg w Moguncji.

Wielu przeciskało się bliżej naszego straganu, chcąc dowiedzieć się więcej. Schoeffer zdejmował fartuch, wygładzał włosy i stawał obok mnie.

– W ciągu dwóch lat dwudziestu ludzi wykonało prawie dwieście egzemplarzy – chwalił się przed dwoma holenderskimi kupcami. Kopnąłem go pod stołem. Nie chciałem, by zdradzał zbyt wiele na temat naszej sztuki ani nawet skłaniał ludzi do dociekań nad jej arkanami.

Zanim jednak zdążyłem się odezwać, nowy przybysz zwrócił moją uwagę. Widziałem z daleka, że się zbliża, a właściwie dostrzegałem poruszenie tłumu, który się przed nim rozstępował. W istocie dostrzegałem jedynie koronę jego mitry. Nawet ona ledwie wystawała ponad gąszcz ludzkich głów. Wygładziłem surdut i ułożyłem kwaterniony na stole.

– Biskup Triestu – oznajmił ksiądz.

Ukloniłem się.

– Wasza Eminencjo.

– Johann?

Szpiczaste nakrycie głowy odchyliło się do tyłu i wyraźnie zobaczyłem gładko ogoloną oliwkową twarz. Nawet wówczas go nie rozpoznałem. Tytuł przesłonił mi człowieka, który przede mną stał.

– Aeneas?

□ □ □

– Stałeś się pobożny, a wszak kiedyś zarzekałeś się, że nigdy nie przyjmiesz święceń.

– Doprawdy? – Aeneas był autentycznie zaskoczony. – Pewnie miałem na myśli to, że jeszcze nie jestem gotowy.

Wkroczyliśmy do krużganka katedry. Tłum księży i sług zgromadzonych przy drzwiach dociekał, kim jestem.

– Gdy spotkaliśmy się ostatnim razem w Strasburgu, uczestniczyłeś w soborze, który miał pokrzyżować szyki papieżowi. – Wskazałem na bogate szaty. – Teraz jesteś jego ambasadorem.

– Niczego się nie wypieram, lecz grzeszyłem ignorancją. Błagałem papieża o wybaczenie, a on mi go udzielił.

Aeneas wypowiedział te słowa poważnie, lecz nawet on nie umiał sprawić, by zabrzmiały spontanicznie. Odniosłem wrażenie, że wielokrotnie je powtarzał.

– Próbowaleś także uwieść mężatkę. Zdobyłeś ją? Zarumienił się, ale ze wstydu, a nie z powodu wyrzutów sumienia.

– Trochę ciszej. Wiesz, że niebiosa bardziej radują się z jednego nawróconego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy nigdy nie zbłądzili.

Minęliśmy zakręt krużganka.

– Naprawdę nie jestem tym człowiekiem, którym byłem, gdyśmy się ostatnio widzieli. Sobór w Bazylei... – Aeneas machnął ręką, jakby odpędzał nieprzyjemną woń. – Ci ludzie byli tacy nużący, Johannie. Nie rozumieli, że sprawa jest przegrana. Wyrzekli się papieża, wyrzekli się siebie nawzajem. Niektórzy nawet wyrzekli się mnie. Zaproponowano mi posadę sekretarza cesarza Fryderyka, a ja ją przyjąłem. Udałem się do Wiednia.

Uśmiechnął się do mnie, zapomniawszy o gniewie.

– Jeśli istnieje nudniejsze miasto w chrześcijańskich ziemiach, modlę się,

bym nigdy go nie ujrzał. Żydzi mniej cierpieli w Babilonie niż ja na wygnaniu. Wszelako Bóg działa w nieodgadniony sposób. Właśnie tam usłyszałem głos swojego powołania. Na tym podzielonym, pełnym klik i koterii dworze pojąłem, że nasz przyjaciel Nicholas miał słuszość. Jedność jest wszystkim.

– W Strasburgu większą wagę przykładaleś do doskonałości niż do jedności – przypomniałem mu.

– Ale czy może istnieć doskonałość bez jedności? Jedność to fundament doskonałości. Ty zaś swoimi księgami osiągnąłeś jedno i drugie. Są istnym cudem.

– Jeśli są cudem, to dokonał się on dzięki ludzkiemu trudowi. – Przyszedł mi na myśl Andreas Dritzehn i straszliwe rany Kaspara. – Oraz krwi.

Aeneas położył rękę na moim ramieniu.

– Niczego ci nie odbieram, Johannie. Nadzwyczajny z ciebie człowiek. *Multum Ule et tetris iactatus et alto*, doprawdy. Pozwól mi jeszcze raz zerknąć na te strony.

Przekazałem mu kwaternion, który ze sobą przyniosłem.

– Absolutnie wolny od pomyłek – przyznał z podziwem. – A czy to, co powiedziałeś, że masz jeszcze sto dokładnie takich samych, było prawdą?

– Liczba jest bliższa dwustu.

– Jak to osiągnąłeś? – Zobaczywszy wyraz mojej twarzy, Aeneas szybko się wycofał. – Wiem, że masz swoje tajemnice. Ale to, powtarzam się, lecz nie ma innego słowa, jest cudowne. Czy za pomocą tej sztuki możesz wykonać wszystko?

– Wszystko, co da się napisać.

Moja odpowiedź bardzo uradowała Aeneasa. Wydawało się, iż tańczy po krążganku, mimo że wciąż opierał się na lasce. Gdy dotarliśmy do następnego węgła, zawołał:

– Wyobraź to sobie, Johannie! Ta sama Biblia, ta sama msza, te same modlitwy w każdym kościele na ziemiach chrześcijańskich. Te same słowa rozbrzmiewające w Rzymie, Paryżu, Londynie, we Frankfurcie, w Wittenberdze i Bazylei. Doskonała jedność. Kolumny twojej księgi staną się filarami Kościoła silniejszego, czystszeo i bardziej zjednoczonego niż kiedykolwiek przedtem. Radość dla Boga.

– To tylko księga – zauważyłem.

– Czym jednak są księgi? Atramentem i welinem? Nagromadzeniem znaków nakreślonych za pomocą trzciny na stronie? Wiesz, że tak nie jest. Są rosą, z której powstaje opar czystej myśli. – Na chwilę zawiesił głos oczarowany własną elokwencją. – Chrystus i święci mogą przemawiać do nas bezpośrednio, lecz częściej czynią to poprzez księgi. Jeśli potrafisz wytwarzać je w takiej liczbie i z tak nieskazitelnym tekstem, całe chrześcijaństwo będzie mówiło głosem, który sięgnie samego nieba.



Jego słowa ogrzewały mnie przez całą drogę do Moguncji. Powtórzyłem je Peterowi i toczyliśmy przyjemną rozmowę o książkach, które możemy stworzyć dla dobra Kościoła. Radowałem się, gdyż nigdy nam się łatwo nie układało. Entuzjazm Petera do pracy często zdawał mi się zbyt natarczywy i ganiłem go, kiedy zaś chciałem udzielić Peterowi zachęty, on traktował to jako naprzykrzanie. Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że żywił głęboką pasję dla pracy nad książkami i był o nią zazdrosny: patrzył nieufnie na motywy kierujące innymi ludźmi i wierzył wyłącznie tym, które nim powodowały.

Wciąż śniłem o przyszłych księgach, gdy wjeżdżaliśmy na most i przekraczaliśmy bramy Moguncji. Peter zabrał próbki kwaternionów do domu, ja zaś odprowadziłem konie do gospody, z której je wypożyczyliśmy. Było prawie ciemno, lecz nie mogłem się doczekać spotkania z Fustem. Chciałem podzielić się z nim naszym sukcesem. Pospieszyłem do Humbrechthof.

Furtka była zamknięta. Wsunąłem klucz, ale nie chciał się obrócić. Poirytowany zadzwoniłem dzwonkiem wiszącym obok słupka.

Okienko rozwarło się i z cienia kaptura błysnęło jedno oko. Rozpoznałem twarz Fusta, ale nie rozumiałem, dlaczego bawi się w odźwiernego.

– Wpuścisz mnie?

Jego oblicze miało twardy wyraz.

– Przykro mi, Johannie. Ten dom nie należy już do ciebie.

LXXIX

Oberwinter

Pod bramą zalegał cień tak głęboki, jakiego Nick jeszcze nigdy nie widział. Zadrzał, gdy mijali bramę. Po kilku krokach się obejrzał. Miasteczko już zniknęło wśród mgieł i murów. W oknie za zasłonami jarzyło się ciepłe migające światło choinki. Ktoś puszczał z odtwarzacza smutną pieśń śpiewaną sopranem. Za murami nie było nic oprócz ciemności.

Nick i Emily maszerowali szosą, siłą nawyku trzymając się krawędzi, mimo że drogą nie jechał ani jeden samochód. Rychło zeszli na środek, maszerując ramię w ramię. Ich buty chrzęściły w głębokim do kostek śniegu. Nick ciągnął za sobą szpadel. Raz lub dwa usłyszeli dudnienie znad rzeki i zobaczyli odległe jak gwiazdy światła przepływających promów.

Nie wiedział, jak długo szli. Odległość na mapie nie wydawała mu się duża, lecz na mrozie, wśród jednostajnej bieli, mając za jedyny zegar własne kroki, odnosił wrażenie, że wlecze się bez końca. Zagubiony w myślach przeoczyłby skręt, gdyby Emily nie pociągnęła go za rękaw.

– Czy to jest ścieżka?

Dotarli do miejsca, w którym droga ciasno okrążała zbocze góry. Tuż przed zakrętem zrobiono ścieżkę biegnącą pod górę w wąwozie. Emily wskazała ciemną szczelinę w ścianie posępnego przysypanego śniegiem lasu.

Nick zapalił latarkę. Zanim spojrział na ścieżkę, coś przykuło jego wzrok. Był to znak stojący przy krawędzi drogi, który ledwie wystawał ponad zwały

śniegu spiętrzone przez pługi. Podszedł i stał warstwę śniegu i lodu.

– Wolfsschlucht Brücke – przeczytał. – Most Wilczej Gardzieli.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem mostu, i nagle uprzytomnił sobie, że na nim stoi. Wyrzawszy za barierkę, zobaczył rozwarły otwór karbowanej rury znikającej pod szosą.

– To chyba tutaj. Ścieżka, którą zobaczyłaś, musi być zamrożonym potokiem.

Wspięli się na oblodzoną barierkę i zsunęli po umocnionym brzegu. Zamarznięty strumień biegł w stronę lasu niczym wąska biała wstążka.

Nick dotknął ręką płaszcza Emily.

– Ty nie musisz tam iść.

Odsunęła jego dłoń i bez słowa ruszyła pod górę.

Mimo że podążali wzdłuż potoku, las jawił się nieprzenikniony. Wydawał się żywy. Niskie konary zawadzały o kurtkę Nicka, drapały w twarz, smagały nogi i sypały śnieg za jego kołnierz. Podłoże było tak samo niebezpieczne. Śnieg przykrył zarysy kamieni i korzeni czające się pod spodem. Nick nie odważył się użyć latarki z obawy, że z zamku ktoś może patrzeć. Nawet w miejscach, w których szli po płaskim, nie było bezpiecznie, gdyż zwykle oznaczało to, że kroczą po zamrożonym rozlewisku. W pewnej chwili stopa Nicka przebiła się przez śnieg aż do lodu. Pośliznął się, zachwiał i upadł na plecy. Szpadel zadzwięczał o kamień. Nick leżał przez moment, słuchając echa odbijającego się w lesie.

Oślepieni śniegiem i gałęziami omal nie przeoczyli zamku. Jego obecność sygnalizował tylko nikły błysk światła w nieprzeniknionej ciemności. To wystarczyło. Nick odbił w prawo, brnąc przez podszyt niczym dzik. Wokół rozszalała się śnieżycą; gałęzie trzeszczały i uginały się. Jeśli szybko nie odnajdzie zamku, zgubi się na zawsze.

Drzewa dochodziły do skalnej ściany. Nick oparł się o nią, dysząc i trzęsąc się. Woda ze stopionego śniegu ciekła mu po plecach. Światło znikło, lecz gdy zadarł głowę tak, że czuł ból w szyi, widział kamienne mury na szczycie zbocza ciemniejące na tle szarych chmur. Były bardzo wysoko.

Za plecami Nicka rozległ się trzask i Emily wyszła z lasu. Zgubiła czapkę i płatki śniegu błyszcząły w jej włosach niczym diamenty.

– Jak się tam dostaniemy?

Nick wołał nie myśleć, na jaką wysokość wznosi się zamek.

– Radzisz sobie ze wspinaczką?

– Nie wspiniałam się od czasu, gdy skończyłam dziesięć lat. Gillian umiała się wspinać. Jedną z ich najmniej udanych randek odbyła się na ścianie wspinaczkowej, na którą chodziła co środę. Wdrapała się ze śmiechem do sufitu, a Nick nawet nie zdążył rozpracować uprząży zabezpieczającej. Kiedy wreszcie zdołał pokonać mniej więcej dwa i pół metra ścianki, nadgarstki bolały go przez tydzień.

– Zdaje się, że będę musiał spróbować.

Spoglądał na zbocze, usiłując odgadnąć, jak Gillian je pokonała. Czarna ściana nie dawała żadnych wskazówek. Przesunął palcami po powierzchni, starając się wyczuć próg bądź szczelinę, od której mógłby zacząć. Wystarczyłby występ nie większy od kolana.

– Tędy nic nie przejdzie.

Postawił stopę na nierówności, odepchnął się i poszukał ręką oparcia. Wyczuł tylko gładki jak szkło lód. Pomacał wokół, stracił równowagę i upadł na ziemię. Śnieg prawdopodobnie złagodził upadek, choć Nick tego nie odczuł.

Emily schyliła się nad nim.

– Nic ci nie jest?

Otrzeptał się i wstał.

– Gillian nie była alpinistką. Nawet ona nie wdrapałaby się po gładkiej ścianie.

Podszedł do skały i ponownie jej się przyjrzał, przesuwając dłońmi po szerokich nierównościach. Emily trzymała się z tyłu. Wsunęła rękę do kieszeni i spojrzała na kartkę pozostawioną przez Gillian, która teraz była pomięta i wilgotna od śniegu.

– Może ona tam nie weszła. – Emily klepnęła Nicka w ramię i wskazała na papier. – *Mariannenbad* znaczy Sadzawka Maryi. W przewodniku było napisane, że nieopodal średniowiecznego klasztoru znajduje się jej sanktuarium.

– Sądzisz, że Gillian wymodliła sobie wejście?

– Kaplice maryjne często budowano nad źródłami. Ludzie uważali, że woda, która z nich tryska, ma moc uzdrawiającą. – Słowa Emily zabrzmiały miękko w śnieżnym otoczeniu, jak gdyby drzewa także nasłuchiwały. – Wspinaliśmy się wzdłuż strumienia, który musi skądś wypływać.

Obeszli podstawę skały, brodząc w głębokim śniegu. Wyglądał tak, jakby zawsze tam leżał. Wszelkie zagłębienia i groty musiało dawno zasypać.

– Co to jest?

W głosie Emily zabrzmiał ton nadziei. Nick podszedł do niej szybko. Osłaniając dłonią promień latarki, zaświecił na skałę.

– To wygląda jak osuwisko.

Na ziemi u stóp urwiska leżał rozsypany stos kamieni. Okrywający go śnieg był cienki i nierówny. Płytkie zagłębienie odchodziło od ściany. Postawiwszy na nim stopę, Nick wyczuł lód.

– Tędy biegnie nasz strumień.

Emily już wdrapywała się po kamieniach. Leżąc płasko na brzuchu, odgarniała śnieg.

– Zdaje mi się...

Rozległ się rumor i stłumione westchnienie Emily. Kamienie osunęły się pod jej ciężarem. Odcoczyła się w bok. Nick skoczył, by ją złapać.

– Nic ci się nie stało? Otrzepała się.

– Zdaje mi się, że tam jest otwór. Przysypany śniegiem, ale niezbyt grubo.

Nick ostrożnie wspiął się po skalistym stoku. Kilka razy kamienie omal nie poleciały pod nim w dół. Nieruchomiał, a serce podchodziło mu do gardła. Emily miała rację. Między rumowiskiem i krawędzią skały znajdował się prześwit. Nick wszedł w śnieg, odgarniając go szpadlem. Za warstwą śniegu nic nie było. Wsunąwszy rękę po łokieć, nie poczuł nic prócz powietrza.

Emily spoglądała na niego z dołu.

– Przejdiesz?

Nick się odwrócił.

– Można to sprawdzić tylko w jeden sposób.

Mimo że śnieg był odgarnięty, Nick z ledwością mógł się precyzyjnie przycisnąć. Zadrapał sobie policzki o skałę, a na jego plecach sypał się śnieg. Czółgał się na

brzuchu. Na chwilę całe jego ciało znalazło się pod skalną ścianą. Sparaliżowała go wizja kamieni, które wałę się z góry i go miażdżą.

Raptem podłoże zaczęło się obniżać. Nick wysunął rękę, aby się na czymś oprzeć, lecz trafił w pustkę. Stoczył się po zboczach wraz z lawiną kamieni. Poo-
bijany wylądował z pluskiem na twardej powierzchni.

Zapalił latarkę.

Siedział w strumieniu płynącym przez dno wąskiej pieczary. Rozpostarłszy ramiona, sięgał nimi obu ścian. Ze sklepienia zwieszały się stalaktyty niczym wosk, znacząc mlecznobiałym osadem wodę, która zniknęła w pękniętej rurze biegnącej pod rumowiskiem.

– Nick?

Głos Emili wdarł się w ciemność. Dochodził z góry i zza pleców Nicka. Odwróciwszy latarkę, zobaczył, że Emily zerka z otworu.

– Uważaj przy schodzeniu.

Emily zsunęła się po zboczach głową naprzód. Nick złapał ją i pomógł wstać na nogi. Jaskinia miała akurat tyle wysokości, by mogli stanąć w przygarbionej pozycji. Na tylnej ścianie Nick dostrzegł rzeźbiony wizerunek Maryi Dziewicy z dzieciątkiem na rękach. Rzeźba była toporna; wyróżniało się jedynie miejsce nad główką dziecięcia odbijające blask latarki niczym aureola.

– Ten posąg był przeznaczony dla pielgrzymów – wyjaśniła Emily. – W średniowieczu przypuszczalnie wierzono, że ten, kto go dotknie, zostanie uleczony, jego modlitwy będą wysłuchane albo dopisze mu szczęście.

Pod rzeźbą znajdowała się płytka kamienna sadzawka, potok przelewał się przez jej krawędź. Wzrok Nicka przykuło coś błyszczącego. Uklęknął i wsunął rękę do lodowatej wody, po czym wyciągnął płaską ćwierćdolarówkę.

– Gillian zawsze wrzucała ćwierćdolarówki do fontann szczęścia.

– Dokąd więc poszła?

– Wiemy, gdzie jest zamek.

Nick zaświecił latarką na sufit. Mimo że wiedział, czego szuka, chwilę potrwało, zanim połapał się w lesie stalaktytów i ich cieni. Na skraju pieczary dostrzegł ciemne miejsce, które nie było cieniem. Był to otwór w sklepieniu,

szyb biegnący ku górze w stronę zamku. Na ścianie zauważył płytkie grzbiety wykute w skale niczym drabina.

Emily dotknęła jego ręki.

– Jesteś pewien?

– To, co zrobili Gillian, stało się w hotelu. Widziałem obraz z kamery, pamiętasz? Jeśli dostała się do tego zamku, musiała z niego wyjść.

– A jeżeli dowiedzieli się, jak tego dokonała?

– Wówczas zablokowaliby otwór. – Nie pozwalaj sobie na myślenie, bo odpuścisz. – Śnieg musiał go przysypać, zanim go znaleźli.

Zarzucił plecak na ramię i jął się wspinać.



Śliskie ściany pokrywał miałki muł przywierający do palców. Jednak szyb był tak wąski, że dawał oparcie. Przytrzymując się kamiennych szczebli, Nick wspinał się szybko, znikając i pojawiając się w snopie światła latarki, którą trzymała Emily. Starał się nie patrzeć w dół.

Gdy dotarł do szczytu, światło zamieniło się w daleki nikły punkcik. Nick nawet nie wiedział, że jest na górze. Sięgnął ręką do następnego szczebla i poczuł gładki kamień blokujący przejście. Znieruchomiał, opierając ciężar ciała o ścianę. Jeszcze jeden ślepy zaułek. Jednak w jego żyłach krążyła adrenalina: wiedział, że Gillian tędy szła. Przystawił ramię do kamienia i naparł.

Kamień ustąpił łatwiej, niż Nick oczekiwał. Opierając się mocno o ścianę, omal nie puścił kamiennego szczebla. Zesztywniał i ustabilizował pozycję, a następnie odsunął kamień na bok. Otwór miał akurat taką szerokość, by można było się przez niego przecisnąć. Nick podciągnął się i wyrzwał.

Znajdował się w zamku. Dotarł do małej okrągłej komnaty, która musiała się mieścić w podstawie wieżyczki. W ciemności biegły ku górze spiralne schody. Zadarł głowę, rozglądając się za migającą diodą kamery bezpieczeństwa lub alarmu. Niczego takiego nie było.

Emily wynurzyła się z otworu. Złapała się ręki Nicka, wodząc wzrokiem po komnacie i zasłaniając palcami światło latarki.

– Myślisz, że ktoś nas usłyszał?

– Miejmy nadzieję, że nie.

Wspięli się cicho po schodach. Na pierwszym podeście znajdowały się drzwi prowadzące do długiego, nisko sklepionego korytarza. Ukryte za łukami światła rzucały żółte jasne plamy na kamienne płyty posadzki.

Emily zadrżała.

– To wygląda jak jakiś loch.

Ścianę przecinał szereg dębowych drzwi nabitych groźnie wyglądającymi żelaznymi guzami i opatrzonych ciężkimi zasuwami. Wszystkie drzwi miały kratki prawdopodobnie przeznaczone do tego, by strażnicy mogli zerkać na potępieńców, których pilnowali. Nick podszedł do najbliższych drzwi i zajrzał do środka.

Na posadzce leżały zwłoki rozplaszczone w kałuży krwi.

W jednej chwili spadły na Nicka niczym potężny cios wszystkie koszmary i tłumione lęki. Padł na kolana i zwymiotował. Wszystko na próżno.

Jednak mimo rozpaczki wiedział, że coś się nie zgadza. Podniósł się i zmusił, by spojrzeć ponownie do wnętrza mrocznej celi.

Strach wyprowadził go w pole. To nie była Gillian.

Trup miał na sobie długi biały strój, który Nick omyłkowo wziął za sukienkę. Połowę twarzy pokrywała krew, która również go zmyliła. To nie mogła być Gillian. Był to mnich w sutannie przewiązanej sznurem w pasie. Nick dostrzegł tonsurę tuż ponad otworem po kuli, która przebiła głowę nieboszczyka.

Ogarnęła go tak wielka ulga, że omal nie zwymiotował po raz drugi. Zmusił się do myślenia. Krew wyglądała na mokrą, krawędzie kałuży wciąż się rozszerzały. Ten, kto to zrobił, nie odszedł daleko.

Kątem oka zobaczył zbliżającą się Emily, która chciała zerknąć do środka. Odepchnął ją.

– Lepiej nie.

Emily spojrzała nań badawczo, lecz się zatrzymała.

Ruszył do kolejnych cel, szykując się na następne koszmarnie widoki. Na szczęście nie zobaczył więcej trupów. Jedną izbę zapelniały beczki po oleju; Nick pomyślał, że to bardzo niebezpieczne w zamku mieszczącym średnio-wieczną bibliotekę. Czuł woń wydostającą się przez kratkę. W następnej izbie

znajdowały się stalowe regały. Kolejna była pusta, choć na murze widniały ciemne plamy. Jak bardzo są stare?

Zbliżył się do ostatnich drzwi. Mokre spodnie przywarły do skóry na nogach, pomagając mu stać. Adrenalina powoli odpływała. Jakiś głos krzyczał w jego głowie, nakazując ucieczkę. Spojrzał przez kratkę.

Na posadzce siedziała młoda kobieta, opierając głowę na kolanach. Włosy zwisały jej na twarzy, a nagie ramiona pokrywały plamy sińców. Musiała wy czuć ruch za drzwiami, bo uniosła głowę.

– Nick?

LXXX

Moguncja

– Nie możesz tu wejść.

Oko Fusta patrzyło na mnie przez okienko w drzwiach. Twarz tak mocno przywarła do drewna, że pomarszczona skóra zdawała się z niego wycięta.

Nie zrozumiałem, o czym mówi mój współnik.

– Czy to jakiś żart?

– Złamałeś warunki umowy. Wycofuję swój kredyt.

Wciąż nie mogłem pojąć znaczenia jego słów. Kontynuowałem dyskusję, zachowując się jak kurczak pozbawiony głowy, który, tryskając krwią, biega po podwórku.

– Powiadasz, że ile ci jestem winien?

– Dwa tysiące guldenów.

Roześmiałem się jak obłąkaniec. Nie wiedziałem, co innego mogę zrobić.

– Wiesz, że nie mogę ich spłacić. Każdy pens, który posiadam, zainwestowałem w drukowanie Biblii. Zastawiłem ostatni łachman, żeby wziąć kredyty na ich produkcję.

Oko mierzyło mnie beznamiętnym spojrzeniem.

– Skoro nie możesz spłacić, wszystko musisz oddać w zamian. Przejmę warsztat i sam dokończę produkcję Biblii.

– Jak możesz? – Tysiąc pytań skupiło się w jedno.

Fust postanowił udzielić mi najbardziej zwięzłej i pragmatycznej odpowiedzi.

– Pracownicy wiedzą, kto wypłaca pensje. Dokończą pracę. Jutro się z tobą spotkam i rozmówię.

Zatrzasnął okienko.

Dziesięć lat nadziei szczezło w jednej chwili. Walilem pięścią w furtkę tak długo, aż prawie ją wyważyłem. Polecałem Fusta wszystkim grzesznym i diabelskim mocom, tymczasem przechodnie gromadzili się i patrzyli na mnie. Nikt się nie ulitował i nikt nie wyszedł z Humbrechthof, choć wszyscy musieli mnie słyszeć.

Kiedy gniew wysączył się ze mnie do ostatniej kropli, powlokłem się do domu.



Spotkaliśmy się w winnicy nieopodal kościoła Świętego Stefana. Kiedy ostatnio tam byłem, plac budowy tonął w błocie. Teraz otaczał go kamienny szaniec, a równe rzędy winnej latorośli sięgały do pasa. Następnej wiosny wydadzą pierwsze owoce, a za rok powstanie z nich wino. Zapragnąłem wyrwać wszystkie i spalić.

Zgodnie z sugestią Fusta każdy z nas przyprowadził świadka. Omal nie wziąłem ze sobą Kaspara, lecz przemyślałem to i zaprosiłem Keffera, mistrza prasy. Fustowi towarzyszył Peter Schoeffer. On i Keffer stanęli przy murze i obserwowali, a Fust i ja ruszyliśmy wzdłuż rzędów bezlistnych winogron.

– Przykro mi, że do tego doszło.

Wzrok mojego rozmówcy wyrażał bez troskę człowieka pewnego zwycięstwa, który już planuje następną bitwę. Na wzgórzu nie było za nim nic oprócz pustego szarego nieba.

– Od początku to planowałeś? Zwabiłeś mnie na tę drogę, a potem osaczyłeś jak rozbójnik, gdy cel wędrowki wreszcie znalazł się w zasięgu wzroku?

Twarz Fusta wyrażała rozczarowanie.

– Miałem o tobie lepsze mniemanie, Gutenberg. Myślałem, że razem możemy dokonać czegoś nadzwyczajnego. Nie spodziewałem się, że będziesz mnie okradał każdej nocy, gdy śpię.

Patrzyłem na niego.

– Kiedy byłeś we Frankfurcie, zrobiłem przegląd w Humbrechthof.

Sprawdziłem wszystko, co ma związek z naszym wspólnym przedsięwzięciem. Wiesz, ile ukradłeś? Dwieście arkuszy welinu. Tuzin słoików inkaustu. Pięćdziesiąt guldenów przepadło bez śladu. Myślałeś, że nikt nie zauważy?

– Nie ukradłem ani jednej rzeczy.

– Zatem sobie pożyczyłeś. Na pewno powiesz, że zamierzałeś zwrócić we właściwym czasie.

– Niczego nie wzięłem. Wszystko, czego używaliśmy w Gutenberghof, było oddzielone od tego, co wykorzystywaliśmy do drukowania Biblii.

– A tamte odpusty?

– To był błąd, który popełniłem dwa lata temu. Nigdy go nie powtórzyłem.

– *Czy Etiopczyk może zmienić swoją skórę, a lampart swoje pręgi? ** – Machnął na mnie laską. – Rozpytywałem się o ciebie. Jak na tak długie i niezwykłe życie pozostawiłeś niewiele śladów na świecie, ale nie wszystkie twoje tropy znikły. Burmistrz Strasburga chętnie opowiedział mi to i owo.

* Jr 13, 23.

– Burmistrz Strasburga? – zdziwiłem się. – Któż to taki?

– Nazywa się Jörg Dritzehn. Powiedział mi, jak wciągnąłeś jego brata w przedsięwzięcie, którego nie rozumiał, wydusiłeś z niego wszystkie pieniądze, a później ukradłeś jego część, gdy zmarł.

– Wszystko, co robiłem z jego bratem, było zgodne z umową.

– A wszystko, co ja robię, jest zgodne z naszą. Przysięgałeś, że pieniądze, które ci pożyczyłem, pójdą na wspólny zysk. Nie zaś do twojego portfela, podczas gdy ja ponoszę całe ryzyko związane z drukowaniem Biblii.

– Przysięgam, że tak nie było. – Przed moimi oczyma stanęła wizja: moje przepiękne Biblie, cała doskonałość mego życia, zamknięte przede mną w Humbrechthof. – A nawet jeśli tak, po co przy tym teraz obstawać? Za parę miesięcy zysku starczy dla nas obu. Jeśli uważasz, że jestem ci coś winien, jeśli mam ci coś wynagrodzić, spłacę to z nawiązką, kiedy Biblie się sprzedadzą.

Na ustach mojego współnika ukazał się ponury uśmiešek. Przyjął moje słowa jako wyznanie winy. Zrozumiałem, że zawsze do tego dążył. Wytaczając oskarżenie teraz, nie pozostawił mi szansy spłacenia długu. Niedokończone Biblie nie zostaną wycenione według wartości końcowej, lecz na tyle, ile

kosztował materiał. Gdyby sąd przyznał Fustowi choćby połowę tego, czego żąda, mógłby je przejąć wraz z prasami, czcionkami i zapasem papieru za pół darmo. Kiedy je sprzeda, cały zysk trafi do jego rąk. Spojrzałem w stronę murku, pod którym stał Peter Schoeffler.

– Przypuszczam, że to on będzie nadzorował dalszy druk Biblii.

Fust skinął głową.

– Dobrze go wyuczyłeś.

Ponownie ogarnął mnie gniew.

– Będziesz musiał sobie znaleźć nowy lokal. To ja dzierżawię Humbrechthof.

– Już nie. – Fust wręczył mi zalakowany papier. – Od twojego kuzyna Salmana. Unieważnił waszą umowę i przeniósł własność na mnie.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Obiecałem mu wykorzystać swoje wpływy w radzie miejskiej, aby jego własność nie poniosła żadnego uszczerbku. I zaproponowałem mu podwójną stawkę czynszu.

Chciałem, by ziemia mnie pochłonęła, oplotła korzeniami winorośli i zmiążdżyła. Oparłem się o słup ogrodzenia.

– Proszę, nie ma potrzeby...

– Data rozprawy została wyznaczona – przerwał mi Fust i odwrócił się. – Szósty listopada, godzinę przed południem w klasztorze karmelitów bosych. Jeśli masz coś na swoją obronę, tam będziesz mógł to powiedzieć.

LXXXI

Oberwinter

Nick odsunął rygiel. Skobel był stary, ale dobrze naoliwiony. Zawiasy zakrzypiały, lecz tylko przez chwilę. Drzwi się otworzyły.

– Przeszedłeś.

Gillian rzuciła mu się w ramiona i zaczęła go całować w usta. Pozwolił jej. Od tak dawna pragnął tej chwili – na długo zanim usłyszał o ósemce bestii, o Mistrzu Kart do Gry i o wszystkim innym. Nie sypiał przez całe noce, pragnąc jej, aż świt ogarniał Nowy Jork. Było warto; było tak słodko, jak sobie wymarzył.

Ale nie zdążył jej uchwycić. Zaczęła tracić swój blask, mimo że trzymał Gillian w ramionach. Myślał o niebezpieczeństwie, o tym, jak się wydostaną, o rzeczach, które Gillian zrobiła niepotrzebnie, o Emily. Nie wypuszczając Gillian z objęć, otworzył oczy. Emily patrzyła na nich z chłodnym zrozumieniem. Jego uśmiech wyrażał zakłopotanie.

Uścisk Gillian rozluźnił się i osłabł. Nick wypuścił ją z ramion. Chciał zadać tysiąc pytań, choć wielu odpowiedzi wolałby zapewne nie usłyszeć. To jednak musiało poczekać.

– Musimy się stąd wydostać.

Gillian się cofnęła. Jej twarz była ściągnięta i wymizerowana, policzki zaczerwieniły się od mrozu. W świetle żarówki cienie pod jej oczyma wydawały się jeszcze ciemniejsze. Miała na sobie pizamę.

– Jak się czujesz? – spytał Nick.

– Bywało lepiej. – Gillian się wyprostowała. – Nie, już jest lepiej. Bogu

dzięki, że przyszedłeś. – Dopiero teraz zauważyła Emily. – I ty. Nawet cię nie znam.

Emily uśmiechnęła się uprzejmie, jak gdyby przedstawiano je sobie w czasie wieczornego koktajlu.

– Pracuję w Cloisters. Choć nie jestem pewna, czy mam jeszcze posadę.

– Nie pamiętam cię.

– Zaczęłam po twoim odejściu.

– Skoro mowa o odchodzeniu. – Nick spojrzął na bose stopy Gillian. – Na dworze leży pół metra śniegu, a do miasta daleka droga. Masz jakieś buty?

– Jeszcze nie możemy odejść. – Gillian zdjęła z nadgarstka gumkę i upięła włosy w koński ogon. Nick i Emily patrzyli na nią ze zdumieniem. – W zamku nikogo nie ma. Od wczoraj rana nie słyszałam żadnych odgłosów.

– Gówno prawda – odparł Nick. – Na końcu tego korytarza leży umarłak i jeszcze cieknie z niego krew. Ten, kto go zastrzelił, nie może być daleko.

– Daj spokój. Nie chcesz się dowiedzieć, o co w tym wszystkim szło?

– O ciebie.

Gillian posłała mu swój charakterystyczny uśmiech skrzata. Kiedyś byłby wniebowzięty; teraz grymas wydał mu się wystudiowany.

– Spędziłam w tej celi dwa tygodnie, a wcześniej przez miesiąc tropiłam tych drani. Zrobili takie rzeczy... – Jej wzrok powędrował w stronę Emily. – Jeśli chcecie odejść, idźcie. Ja nie ruszę się bez tego, po co przyszłam.

– Oczywiście, że nie. – Nick ze zdziwieniem przyłapał się na tym, że czuje pokusę. Myślał, że będzie inaczej, że radość zdominuje wszystko inne. Tymczasem okazało się, że jest skołowany tak jak zawsze. Dręczyło go znajome poczucie, że jest o dwa kroki z tyłu i patrzy w niewłaściwą stronę.

Została porwana, uwięziona i Bóg wie co jeszcze. Myślałeś, że rozplynie się w twoich objęciach?

Spojrzał na Emily, która leciutko wzruszyła ramionami.

– To potrwa pięć minut.

□ □ □

Gillian знаła drogę. Dotarła do drzwi na końcu korytarza, a następnie ruszyła spiralnymi schodami w górę i znalazła się na szerokim szańcu. Nick zadrżał, gdy owionął go nocny mróz. Po prawej stronie dostrzegł mały dziedziniec zasypany śniegiem, dwie szpiczaste wieże strzegące bramy oraz kwadratowy stołp sterczący w ciemności. Po drugiej stronie w dole zaśnieżony las biegł ku rzece. W oddali zabrzmiał dźwięk syreny mgłowej.

- Schylcie się – szepnęła Gillian.
- Mówiłaś, że nikogo tu nie ma.
- Nie warto ryzykować.

Przemknęli wzdłuż muru, trzymając głowy poniżej poziomu blanek. Później zeszli schodami na dziedziniec. Okrążyli go, posuwając się w cieniu stodół i magazynów, pod drabinką oplecioną zwiędłą winoroślą i obok kamiennej studni. Na śniegu ciemniały odciski opon i stóp; Nick zastanawiał się, czy są świeże.

Zaabsorbowany spoglądaniem przed siebie, nie patrzył pod nogi. Trafił w coś nogą, potknął się i upadł. Oparł się na rękach.

Ze śniegu spoglądał nań trzyoki potwór niczym straszdyło z bestiariusza. Jego skórę pokrywały granatowe i czarne plamy, a wargi znieruchomiały w martwym krzyku. Nick otworzył usta, lecz z jego zmarzniętych płuc nie wydostał się żaden dźwięk. Odczołgał się panicznie, zawadził o coś kolaniem i znów się potoczył. Znalazł się twarzą w twarz z następnym potworem.

Było to dwóch zakonników. Podobnie jak ten, który leżał w lochu, mieli w czołach otwory po kulach. Krwi było znacznie mniej: mróz i śnieg musiały ją niemal natychmiast zamrozić.

Nick się pozbierał.

- Naprawdę musimy stąd zmiatać.

Teraz nawet Gillian się przestraszyła. Jednak ona zawsze czuła się w swoim żywiole, udowadniając, że potrafi zrobić to, co innych napawa lękiem. Zanim Nick zdążył ją powstrzymać, podbiegła wzdłuż ściany do drzwi stołpu, obróciła żelazny pierścień i otworzyła. Nick zaklął i podążył za nią.

- Czy oni tu niczego nie zamykają?
- Jedyne wejście do zamku, to, które znają, prowadzi przez ruchomy most wiszący nad trzydziestometrowym jarem. Przez pięćset lat wszystko działało jak należy.

Mówiąc to, Gillian poprowadziła Nicka i Emily korytarzem, a potem pchnęła dwuskrzydłowe drzwi. Otworzyli szeroko oczy.

Znaleźli się w czymś, co wyglądało jak katedra zbudowana z książek. Gotyckie kolumny grube na dwa i pół metra wznosiły się do ciemnego belkowanego sklepienia. Cała przestrzeń zapełniona była półkami, a każda półka zastawiona książkami. Na wszystkich poziomach drewniane galerie wiły się wokół kolumn i wzdłuż regałów, tworząc baldachim podobny do leśnego. Posadzka stanowiła odbicie tego wizerunku: przeróżne gatunki drewna splecione w ogromnej intarsji wiły się zwojami niczym listowie.

– Oto *Bibliotheca Diabolorum*. Diabelska Biblioteka.

Gdy weszli nieco dalej, Nick zobaczył, że książki nie stoją swobodnie na półkach, lecz są zasłonięte siatką z cienkiego drutu. Niektóre były bardzo, bardzo stare; po ich grzbietach biegly sznury przypominające żyłaki; inne miały popękane płócienne okładki i postrzępione brzegi jak staroświeckie tomiki. Powietrze przesycone było dusznym zapachem starego papieru i inną, ostrzejszą wonią przypominającą benzynę.

Emily spojrzała przez kratki, by przeczytać tytuły. Wstrząsnął nią dreszcz.

– Nic dziwnego, że nazywają ten księgozbiór Diabelską Biblioteką. Są tu bodaj wszystkie książki, jakie napisano o czarnej magii. Oraz takie, o których nigdy nie słyszałam.

– Nie dzieje się tak bez powodu – odparła Gillian.

Szybkim krokiem przeszła do końcowej części sali. Woń benzyny przybrała na sile; niektóre tomy były mokre. Zanim Nick zdążył się nad tym zastanowić, Gillian wyciągnęła rękę po małą skórzaną książeczkę, prawie niewidoczną wśród ogromnych sąsiednich książek. Swoim okiem laika Nick ocenił, że znajdujące się w tym miejscu książki są starsze niż pozostałe. Zdziwił się, że nie chroni ich siatka. Po chwili zrozumiał dlaczego. Książka, którą wyciągnęła Gillian, zaterkotała. Zobaczył ciężki łańcuch mocujący ją do ściany. Większość ogniów pociemniała ze starości, lecz jedno błyszczało metalicznie.

– Szczypce przegubowe – rzekł Nick, przypominając sobie listę.

– Pewnie ich nie macie. Moje zabrali tamci.

Nick nie nadążał myślami za Gillian. Nie wiedział, komu przybywał na ratunek, lecz nie było to wcielenie Gillian, które spacerowało po zakazanych zamczyskach jak po własnym mieszkaniu. On bardziej by się pilnował, grając w grę wideo.

– Kim właściwie są oni?

– Kościół? Mafia? – Gillian wzruszyła ramionami. – Od czasów cesarstwa rzymskiego Włosi zdołali zorganizować tylko dwie rzeczy: Kościół katolicki oraz mafię. To chyba nic dziwnego, że obie organizacje ze sobą współpracują.

– Ale dlaczego...

Gillian oparła książkę na półce.

– Spójrz na to.

LXXXII

Moguncja, 6 listopada 1455

Noc przyniosła mgłę. O brzasku miasto znikło. Z okna sypialni nie widziałem nawet domu naprzeciwko, tylko koniuszek dachu sterczał z mgły niczym dziób okrętu. Włożyłem palto obszyte futrem i przypomniałem sobie chłopca, który przed trzydziestoma pięcioma laty ubierał się w tym samym pokoju, a następnie udał się do sądu i usłyszał, że jest zbyt nisko urodzony, by odziedziczyć majątek ojca.

Dom był pusty. Tym, którzy przy mnie zostali, powiedziałem, żeby nie przychodzili dzisiaj do pracy. Nawet służba była nieobecna. Nie prosiłem Kaspára, by odszedł, ale zajrzawszy do jego izby, zobaczyłem, że go nie ma. Po trosze byłem rozczarowany, a po trosze czułem ulgę. Krążyłem po opustoszałym obejściu zbyt przybity, by chciało mi się rozpalić ogień. Powinienem przygotować sobie jakąś obronę, lecz ilekroć o tym pomyślałem, moja dusza pogrążała się w smutku.

Wszedłem do warsztatu i spojrzałem na prasę. Stała na samym środku niczym szubienica. Docisk był uniesiony, tablice z atramentem suche, a obok piętrzyły się ryzy czystego papieru. Powiodłem dłonią po szorstkiej powierzchni ramy. Dotknąłem palcami czcionki w łożysku i spojrzałem na czerwony odcisk na skórze. Czułem w sobie to, co tamtego ranka w Paryżu: pustkę. Spoglądałem w ogień i wyczarowywałem tęczę. Teraz pamiętałem tylko popiół.

Jednak przypomniałem sobie również ten dzień w Paryżu, w którym po raz

pierwszy zetknąłem się ze sztuką Kaspara. Wszedłem do sypialni i zdjąłem z półki jego bestiariusz. Przerzucałem wytarte palcami strony, znów tak jak niegdyś podziwiając mistrzostwo. Wiele bestii wyglądało prawie jak ludzie: płochy jelen z brodą na piersi; zakochany jelen spoglądający na Dziewicę Maryję i nieświadom obecności czających się myśliwych; żubr z łotrowską radością rażący napastników ognistymi odchodami.

Otworzyłem książkę na ostatniej stronie, by spojrzeć na kartę z czterema niedźwiedziami i czterema lwami, która tak daleko mnie zaprowadziła.

Napisane ręką Libellusa i zilustrowane przez Mistrza Francisa.

Wykonał on także inną księgę bestii, korzystając z nowej sztuki pisania.

Zamrugąłem oczami. Do kolofonu dodane zostało drugie zdanie, napisane w pośpiechu wodnistym brązowym atramentem. Był to charakter pisma Kaspara. Musiał je dopisać tuż po odejściu od prasy, gdyż na karcie widniały plamy inkaustu.

– Byłem ciekaw, kiedy znajdziesz moją kartkę.

Przeszedł mnie dreszcz. Kaspar zjawił się cicho niczym demon. Stał w drzwiach i obserwował mnie z krzywym uśmieszkiem. Uniosłem książkę.

– Co to znaczy?

– To, co jest napisane.

Wychynął z cienia i podał mi cienką oprawioną w skórę książeczkę.

– Podarunek dla ciebie.

□ □ □

Nick drżącą ręką otworzył tomik. Raptem opadło go nieoczekiwane rozczarowanie. Podobnie czuł się w pokoju hotelowym w Paryżu, otworzywszy kopertę pozostawioną przez Gillian i wreszcie zobaczywszy kartę. Dobrze znał pierwszą stronę. Była wyraźniejszą i czytelniejszą wersją tej, którą komputer zrekonstruował w Karlsruhe. Żubr ze złośliwym uśmieszkiem spryskujący ognistymi ekskrementami ścigających go ludzi: mnicha, rycerza i kupca.

– „Lew to najdzielniejsza z bestii i nie lęka się niczego”. – Gillian wyciągnęła rękę, by przewrócić stronicę, ocierając się o niego. Nick się wzdrygnął. – „Lecz o ileż dzielniejszy jest robak, najsłabsza z bestii, nieustannie drżąca, że może zostać stratowana, lecz mimo to pokornie żerująca pod stopami olbrzymów i potworów. Z czasem ściąga na ziemię nawet najszlachetniejsze wśród bestii”.

– Ten tekst brzmi inaczej – zauważyła Emily.

Nick spojrział na następną ilustrację. Przedstawiała lwa, lecz nie w królewskim majestacie, znanego z kart. Zwierz leżał na boku z przekrzywioną koroną na łbie. Zmierzwiona grzywa rozdzieliła się, a kolonia larw wyzerała mu wnętrzości. Zamglone ślepia miały taki wyraz, jak gdyby lew wciąż żył. Za nim czaiła się ciemna postać. Jej twarz skrywał cień kaptura, widać było jedynie rząd olbrzymich wyszczerbionych zębów.

Tej nocy Nick zobaczył obrazy, które na zawsze pozostały w jego pamięci. Miał wrażenie, że ogląda festiwal groteskowych obsesji: kopulujące bestie, zdeformowane ciała, okrucieństwo, tortury i gnicie. Za sprawą Breta Nick miał okazję zobaczyć niektóre spośród najmocniejszych obrazów, jakie oferuje Internet. W porównaniu z ich obrzydliwym realizmem czarno-białe ryciny w książce mogły się wydać zwyczajne, niemalże naiwne. Jednak nawet po upływie pięciuset lat zachowały w sobie dziką moc wydobytej prawdy bijącej z udreżonych twarzy i poniżonych ciał, szokującej głębiej niż jakakolwiek fotografia.

Każda strona przynosiła nowe wyimaginowane bestie: *monasticus*, gibki eunuch, nieustannie lizał blizny po genitaliach; *equevore*, mężczyzna z głową konia, był obdarzony członkiem tak olbrzymim, że musiała go osłaniać osobna kolczuga i hełm. Za nim ścielił się rząd kobiet, które gwałcił dopóty, dopóki nie pękły na dwoje. Na wszystkich rycinach czaiła się zakapturzona postać śledząca wydarzenia z zębiskami wyszczerzonymi w uśmiechu okrutnej uciechy.

Na przedostatniej stronie stwór z tułowiem świni i ludzką głową ubrany tylko w czapkę kłęczał na czworakach. Pies w koronie gwałcił go w akcie sodomii, a drugi trzymał go za uszy i wpychał przyrodzenie do ust pół człowieka, pół świni. Wyraz dziekiej ekstazy wykrzywiający pulchną twarz świadczył o tym, że świni sprawia to przyjemność. Trudno było stwierdzić, jakiej płci jest

ten stwór, gdyż miał męskie genitalia, lecz z rozdętego brzucha zwisały kobiece piersi karmiące stado dzikusów ujadających u jego stóp. Za nimi widniała zakapturzona postać z szyderczym uśmiechem trzykrotnie powiększona na podobieństwo pióropusza dymu.

– Kto to jest? – zapytał Nick.

– Świnia w czapce to papież – wyjaśniła Emily. – Psy to król Francji i święty rzymski cesarz Niemiec. Wziąwszy pod uwagę datę i miejsce, sądzę, że miał to być rodzaj metafory ukazującej napaści *Armagnaken* w latach czterdziestych i pięćdziesiątych piętnastego wieku.

– A ta postać z tyłu?

Gillian spojrzała na niego błyszczącymi oczyma.

– Nie domyślasz się?



Ostatnim zwierzęciem w bestiariuszu był szczur. Wydawało się, że został dodany po namyśle. Zakapturzona postać strasząca na kartkach książki na tej stronie była nieobecna.

– „Szczur podąży za gęsią do jej gniazda i morduje młode”.

Obok tekstu widniała ilustracja przedstawiająca scenę pustoszenia domu. Szczur w czapce podobnej do nakrycia głowy Fusta siedział na zadzie i odrywał główkę puchatemu gąsiątku, które jeszcze nie opuściło jajka. Ślepią młodej gąski rozszerzone z przerażenia spoglądały na matkę, nie rozumiejąc, dlaczego ta nie przychodzi z pomocą. Matka patrzyła bezradnie na dramat. Jej wydarte skrzydła leżały na ziemi bezużyteczne, a krew tryskała z piersi, z której wyrwano serce. Udęczona rozpaczą gęś nawet tego nie zauważyła. Młody szczur o twarzy Petera Schoeffera przyczepił się zębami do jej nogi.

Przyznaję, że moją pierwszą reakcją nie było oburzenie ani gniew, lecz zazdrość. Rosnące stopy kwaternionów mojej Biblii spoczywały w magazynach Humbrechthof, a Kaspar zebrał pierwsze owoce mojego dzieła. Pokonał mnie.

Spoglądał na mnie wzrokiem pełnym zapału.

– I co sądzisz?

– To jest... – Osunąłem się na łóżko, gdy potworność tego, co zrobił, przedarła się do mojej świadomości. – Obsceniczne.

– Ale piękne. Właśnie o tym marzyliśmy, zanim Fust rozdarł nas na strzępy.

– Kaspar uklęknął obok mnie i pogładził stronicę. – Moje ryciny i twoje słowa.

– To nie są moje słowa.
– Nasze dwie sztuki zespolone w jedną. Oto nasze arcydzieło. – Wskazał tytuł rozdziału. – Zdołałem nawet wytłoczyć tytuły na czerwono.

Przewertowałem książkę. Co do jednego Kaspar się nie pomylił: książka była nieskazitelna. Miała ładne proporcje i dokładnie wyrównane strony; zdawało się, że każda kropla inkaustu błyszczy. Ilustracje lśniły złotem, lecz był to połysk czystej trucizny.

– Ile takich wykonałeś?

– Trzydzieści.

– Są tutaj?

– Niedaleko stąd.

– Przynieś je – rozkazałem. – Musisz je przynieść, by zostały zniszczone.

Uśmiech nie znikł z ust Kaspara, choć był wymuszony.

– Czemu miałbym je niszczyć? Są doskonałe.

– Są odrażające! – zawołałem. – Wziąłeś z mojej sztuki wszystko, co było dobre i szlachetne, co mogło przyczynić się do zbawienia świata, po czym to zbrukałeś. Jesteś kusicielem, wężem w ogrodzie.

– A ty jesteś ślepym głupcem. – W jednej chwili przerażający gniew odmienił twarz Kaspara. – Chwiejnym idiotą, który napotkał potęgę i nie potrafi objąć jej rozumem. Ja zaprząłem ją do jedynej siły na świecie, która na nią zasługuje.

Siedziałem na łóżku skołowany. Zapadła między nami cisza, a w tej ciszy rozległo się skrzypienie schodów. Gapiliśmy się na drzwi zastygli w boju niczym bestie i myśliwi ukazani w książce.

Na schodach ukazał się ojciec Günther.

– Johannie, dochodzi jedenasta. Czekają na ciebie w sądzie.

Moje kości zmieniły się w wosk.

– Nie mogę iść.

Günther spoglądał to na mnie, to na Kaspara niczym nieświadomy widz rozgrywającego się kataklizmu.

– Ależ musisz. W przeciwnym razie zostaniesz osądzony sumarycznie i wszystko utracisz.

Upadłem plecami na łóżko. Sąd, rozprawa, Fust – wszystko to nic nie znaczyło. Kaspar rozłożył moją istotę na części i rozsypał je. Każda część, która

coś znaczyła, poszła na zatracenie.

– Idź z Kefferem. Przekażecie mi, o co Fust mnie oskarżył.

Günther się zawahał.

– Jeśli nie będziesz mógł mu odpowiedzieć...

– Idźże już.

– Czy jesteś chory? Może przekonam sąd, by odroczone rozprawę. – Ksiądz zerknął na Kaspara, błagając wzrokiem o pomoc. On jednak bawił się okładką książki i milczał.

– Zostaw mnie – syknąłem. – To już skończone.

Günther rzucił ostatnie zdumione spojrzenie na Kaspara i pospiesznie opuścił izbę. Usłyszałem jego kroki na schodach i trzaśnięcie drzwi, gdy wychodził z domu.

Załamionymi oczyma popatrzyłem na Kaspara. Dotknąłem gładkiego jak skóra jagnięcia welinu, z którego sporządził swoje porażające dzieło.

– Fust oskarża mnie o to, że ginął pergamin i atrament, że czcionki pojawiały się w niewłaściwych miejscach. To twoja sprawka.

– Po części tak, ale nie wiesz wszystkiego. Ksiądz Günther prowadził dochodowy interes na boku, przez cały poprzedni rok zaopatrując skrybów w Moguncji w papier. Często w nocy, zakradając się do prasy, zastawałem Petera Schoeffera podczas ćwiczenia fachu. Może wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie. – Kaspar zaśmiał się ze mnie. – Zawsze byłeś kiepski w ocenie ludzkich charakterów, Johannie.

Spoglądałem na niego, usiłując trzymać w całości zdruzgotane fragmenty swojego serca.

– Dlaczego mi to zrobiłeś?

– Zrobiłem to dla ciebie, aby ukazać ci potencjał twojego dzieła. Tak jak wąż wyzwolił Adama z ogrodu doskonałości, w którym Bóg trzymał go niczym więźnia, tak ja chciałem ci unaocznić to, co można osiągnąć.

Drach wskazał bestiariusz, który podarował mi w Strasburgu.

– Wiesz, ile ta książka kosztowała człowieka, który ją zamówił? Pięćdziesiąt guldów. A czymże ona jest, jeśli nie zwierciadłem jego próżności? Dałem mu to, za co zapłacił. Jednak dzięki twojej prasie, Johannie, możemy zmienić porządek rzeczy.

Dotknął blizn na twarzy.

– Wiesz, skąd je mam. Dlatego że król, cesarz i papież, bez wyjątku sami chrześcijanie, w imię Boga dokonali gwałtu na swoich krajach. Jednak w trakcie tortur *Armagnaken* nauczyli mnie, że istnieją inne moce władające tą ziemią. Nauczyłem się od nich sekretów, takich, których nawet Kościół się boi.

– Sekretów? – powtórzyłem niczym echo.

– Ta książka to zaledwie początek. Za pomocą twojej prasy możemy napisać wszystko i wydrukować w tylu egzemplarzach, że nawet bogacze i Kościół nie zdołają powstrzymać tej fali. Zmieciesz ich wszystkich potokiem ognia i papieru. Wiesz, dlaczego kler ślini się nad twoją Biblią? Bo uważa, że jeśli zdobędzie władzę nad twoją sztuką, zapanuje nad światem.

Niemal płakałem z bezradności.

– Ależ ja tego pragnąłem. Doskonałej jedności.

– Dlaczego akurat ty miałbyś jej pragnąć? – Kaspar wściekle zacisnął dłoń. – Posłuszeństwa wobec Kościoła, który wysysa krew z biedaków, podczas gdy biskupi paradują w złocie i futrach? Kościoła, który woli zbierać datki, niż chrzczyć? Który sprzedaje pokwitowania za oczyszczenie z grzechów popełnianych przez księży po dziesięciokroć? Oni nie zasługują na ten wynalazek, Johannie. Dzięki mocy, której nam przysporzy, możemy go wykorzystać do ich zniszczenia.

Kaspar wyjął książkę z moich dłoni.

– Ja nie wymyśliłem bestii zaludniających tę księgę. Zacerpnałem je z życia. Myślałem, że kto jak kto, ale ty zdołasz to pojąć.

Ukryłem twarz w dłoniach. Usłyszałem cichy odgłos książki upadającej na posłanie obok mnie, a potem skrzywienie desek. Może poczułem delikatne dotknięcie, pocałunek albo pieszczotę na czole, a może było to tylko moje odczucie. Kiedy uniosłem głowę, Kaspara nie było.

□ □ □

– Rozumiem, dlaczego Kościół chciał utrzymać w tajemnicy istnienie tej książki.

Nick zamknął tomik. Swędziała go skóra, jak gdyby larwy wypełzły z kart i zaczęły go pożerać. Od dawna nie czuł się tak brudny.

Emily wydawała się psychicznie poturbowana. Jej twarz pobrała tak bardzo, że zrobiła się niemal przezroczysta.

– W tej książce jest tak wiele brutalności i nienawiści. Trudno sobie wyobrazić, że wyszła spod ręki tego samego człowieka, który wydrukował Biblię Gutenberga.

– Dowodzi tego krój czcionki.

– Myślisz, że ukryto ją po to, by ocalić sławę Gutenberga? – spytał Nick.

Gillian zmierzyła go karcącym spojrzeniem.

– Czy ty chociaż przyjrzałeś się tej książce? To nie jest wyłącznie satyra.

Popatrz na marginesy.

Nick niechętnie otworzył książkę po raz drugi i spojrzał na ozdobne krawędzie. Gdy tylko zobaczył rysunki, wiedział, że nigdy ich nie zapomni. Jeśli to możliwe, były jeszcze gorsze niż same ilustracje. Nie umiałby ich opisać słowami.

– To jest chore.

– Bardziej, niż ci się zdaje. One nie są ozdobnikami. Stanowią podręcznik.

– Co masz na myśli?

– Jak sądzisz, dlaczego postać w kapturze powiększa się ze strony na stronę? Zbliża się. W ilustracjach tej książki kryje się tajemnica, tak jak w starych traktatach o alchemii. To jest księga mocy.

Nick przyglądał się Gillian i jak zwykle nie wiedział, co naprawdę kryje się w jej głowie.

– Ale ty chyba nie wierzysz, że to prawda? – W jej oczach widział, że Gillian chce uwierzyć.

– Ktoś w to wierzy – odparła.

Nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzawszy na rycinę, przywołał na myśl rozbawione inteligentne bestie przedstawione w książce, którą uratowali w Brukseli.

– Ona tak bardzo różni się od tamtego bestiariusza.

Gillian nagle znieruchomiała.

– Tego z Rambouillet? Znaleźliście go? Mogę zobaczyć?

Nick wyjął książkę z plecaka i położył ją obok drugiej. Wyglądały prawie identycznie. Otworzył okładkę i spojrzał na inskrypcję.

Napisane ręką Libellusa i zilustrowane przez Mistrza Francisa.

Wykonał on także inną księgę bestii, korzystając z nowej sztuki pisania.

– „Która jest ukryta w Dziejach Królów Izraela”. – Emily dopowiedziała niewidzialne słowa.

Gillian zmarszczyła brwi.

– Nigdy nie udało mi się odgadnąć, co to dokładnie znaczy. Przypuszczam, że to zdanie musi w jakiś sposób dotyczyć tego miejsca oraz zaginionych ksiąg.

Nick spojrział na piętrzące się regały. Ile jeszcze tajemnic kryje stara skóra i butwiejący pergamin? Ile jeszcze porażających wizji i diabolicznych rytuałów zawarli w nich ci, którzy trudnili się poszukiwaniem najciemniejszych mocy na Ziemi?

Poczuł na szyi zimny powiew. Chłód przypomniał mu, że nie mogą zbyt długo marudzić w tym miejscu.

– Jak się stąd wydostaniemy?

– Nie wydostaniecie się.

Nick odwrócił się raptownie. Podwójne drzwi były otwarte. Przez chwilę omal nie uwierzył, że zaklęcia z książki odniosły skutek. Mężczyzna ze śnieżnobiałymi włosami mierzył całą trójkę oczyma ciemnymi jak węgiel. Wiatr trzepotał połami jego płaszcza, które sięgały do kostek.

– Myślę, że coś dla mnie macie.

□ □ □

Rzuciłem się na łóżko i zapłakałem. Zostałem zdradzony. Fust i Kaspar pospołu wszystko mi odebrali.

Zapadłem w półprzytomny sen i otoczył mnie koszmar żarłocznych bestii, oszalałych mężczyzn i rozwiązłych kobiet, które ożyły i zstąpiły ze stronic książki Dracha. Diabelski młyn połykał ludzi i mielił ich na proch. Papież z rozszczępionymi kopytami siedział na tronie i wydawał na mnie straszliwy wyrok.

Obudziło mnie głośnie walenie w drzwi. Czyżby sąd tak prędko podjął decyzję? Nie wiedziałem, jak długo pozostawałem nieprzytomny, a wyjrawszy

przez okno, zobaczyłem tylko mgłę.

Drzwi otworzyły się raptownie. Na schodach zadudniły kroki cięższe od kroków Günthera. Łuski spadły mi z oczu i zbyt późno, niczym ogarnięty wyrzutami samobójca spadający z wysoka na ziemię, uświadomiłem sobie w pełni oszałamiający ogrom tego, co utraciłem. Teraz żałowałem swojej lekkomyślności.

Do izby wpadło dwóch mężczyzn. Nie byli to strażnicy sądowi, lecz uzbrojeni żołnierze w liberiach o barwach arcybiskupa. Krzyczeli na mnie, ale byłem zbyt oszołomiony, by zrozumieć ich słowa. Zwlekli mnie z łóżka; jeden mnie przytrzymał, a drugi uderzył pięścią w twarz. Zdawało mi się, że opadł mnie następny senny koszmar, ale poczuwszy smak krwi w ustach, stwierdziłem, że to musi być rzeczywistość.

Skrepowali mi ręce i wzięli mój bestiariusz, nie zaglądając do niego. Druga książka pełna bezceństw, która wyszła spod ręki Dracha, zsunęła się za materac. Zawiazali mi worek na szyi i wyprowadzili.

LXXXIII

Starzec był sam. Nick chciał się na niego rzucić, lecz Gillian złapała go z tyłu za ręce.

– Nie rób tego.

W tej samej chwili w drzwiach stanął Włoch ze złamanym nosem, ten sam, z którym Nick stoczył walkę w Strasburgu. Skrzywił się i wycelował do Nicka z pistoletu.

Starzec ruszył w głąb pomieszczenia. Im bliżej podchodził, tym lepiej Nick widział jego oczy. Były głęboko osadzone i lśniły jasnym blaskiem jak diamenty.

– Ojciec Nevado? – domyślił się Nick.

– Kardynał – poprawił go starzec. – Zrobiłem postępy.

– Nie spodziewałem się hiszpańskiej inkwizycji.

Nevado uśmiechnął się zimno.

– Teraz inaczej nazywamy ten urząd. Ale ogólnie rzecz ujmując, tak. Jesteś bardzo dobrze poinformowany.

– Spędzam dużo czasu w bibliotekach.

To adrenalina zmusza do wysiłku sponiewierany umysł, który za chwilę zgaśnie, pomyślał Nick. Przecież w innym razie nie przerzucałbym się drzwiami z człowiekiem, który lada moment mnie zabije.

Przynajmniej znalazłem Gillian. Ta myśl była pocieszająca.

– Jeśli to jest Diabelska Biblioteka, to kim ty jesteś?

– Aniołem strzegącym sztolni, do której wyrzuca się zaginione dzieła.

Emily się rozejrzała.

– Czy wszystkie te książki są zaginione? Jestem pewna, że niektóre z nich już widziałam.

Nick spojrział na nią z zaskoczeniem. Czy to mogło ją obchodzić? Czy jej dusza naukowca do końca zachowała ciekawość? A może to tylko prymitywny ludzki instynkt każe mówić i jak najdłużej odwlekać to, co nieuniknione?

Nevado chętnie jej odpowiedział.

– Część z tych książek nie istnieje poza tym pomieszczeniem, jednak większość krąży po świecie. Niektóre nawet wywarły na niego wpływ. Wbrew przypuszczeniom ignorantów ta biblioteka nie jest jedynie więzieniem potępionych ksiąg. Papież Pius Drugi stworzył ją jako szkołę walki z występkiem. Ci, którzy walczyli na pierwszej linii z grzechem i szatanem, mogli tutaj lepiej poznawać swoich wrogów.

– To zabawne – odparł Nick. – Zajrzałem do jednej z tych książek i nie zobaczyłem nikogo prócz papieża.

– Pierwszą książką w tej bibliotece była *Liber Bonasi*, która przed wami leży. Nie najstarszą, ale pierwszą. Miała ona osobiste znaczenie dla papieża Piusa. Znał Johanna Gutenberga i wspierał go, uważając, że prasa drukarska spłodzi doskonalszą wiarę. W owym czasie Kościół nosił wiele ran. Papież uważał, że prasa je oczyści. Tymczasem okazało się, że lepiej nadaje się do rozsiewania kłamstw i zdrożności.

– Szkodliwe oprogramowanie – wtrącił Nick. – Ta książka jest wirusem. Prasa rozsiewa go znacznie szybciej niż dotąd. Ludzie czytają i się zarażają. Powstaje szeroki krąg zakażonych, których można wykorzystywać do organizowania ataków.

– Reformacja – dodała Emily.

– Wątpię, by papież Pius myślał o tym w ten sposób, ale owszem, tak jest. Doprawdy nie ma na świecie nic, czego Kościół wcześniej nie widział. Pius miał świadomość, że jeśli szkaradziejstwo Gutenberga się ujawni, prasa drukarska zostanie potępiona jako narzędzie diabła. Zatarł wszelkie ślady po *Liber Bonasi* i wydał dekret, zgodnie z którym każdy egzemplarz powinien być starty z powierzchni ziemi. Wydrukowano trzydzieści egzemplarzy. Jeden pozostał tutaj, by służyć jako przykład. Dwadzieścia osiem wytropiono w ciągu

stuleci, wyniesiono z bibliotek i kolekcji, w których leżały zagrzebane, a następnie zniszczono. Tylko jeden pozostaje na zewnątrz, a wy mi go przynieśliście.

Nickowi zrobiło się słabo. Spojrzał do góry, starając się oczyścić umysł, lecz wieżycy ksiąg wznoszące się w ciemności tylko pogorszyły sprawę.

– Dlaczego w ogóle się fatygujecie? – spytała Emily. – Gutenberg, Mistrz Kart do Gry, ten, kto stworzył tę książkę, kimkolwiek był, zwyciężył. Każdy pożyteczny wynalazek można wykorzystać w niewłaściwy sposób. Bez względu na to, ile egzemplarzy bestiariusza wyszło spod prasy, wy i tak wydrukowaliście więcej Biblii. Czy to wam się nie opłaciło?

Nevado po raz pierwszy się rozgniewał. Jego niezdradzająca wieku twarz nagle się postarzała.

– To odwieczna bitwa dobra ze złem. Nie wolno zawierać kompromisów z szatanem. Papież Pius się mylił. Kościół nigdy nie był silniejszy niż wówczas, gdy książki były rzadkie i drogie, pisane pojedynczo w języku znanym jedynie nielicznemu bractwu. Trzymanie tutaj tych ksiąg było jak pielęgnowanie węża na naszej piersi. Powinno było się je zniszczyć.

– Nie wiedziałam, że Kościół tak wzbrania się przed paleniem książek.

Gniew minął. Krwistoczerwone wargi ułożyły się w okrutny uśmiech.

– Wszystko w swoim czasie. Jak sądzicie, dlaczego ścierpiałem tutaj waszą obecność?

Adrenalina się wyczerpywała. Nick czuł zbliżające się załamanie.

– Włamaliśmy się.

– Dlaczego znaleźliście ukrytą mapę, drabinę wiodącą do wieży? Myślicie, że tak głęboko tkwimy w średniowieczu, iż nawet nie umiemy zamknąć drzwi?

– Nie dziwiłoby mnie to – mruknął Nick.

– Ta chwila, gdy dekret papieża Piusa wreszcie się spełnił, jest najodpowiedniejsza, by położyć kres jego głupstwu. Biblioteka spłonie, a wy wraz z nią. Znajdą wasze kości wśród popiołów i obciążą was odpowiedzialnością.

– Dlaczego nie zrobisz tego sam?

Nevado uniósł ręce. Ich skóra była cienka jak pergamin, żyły wyglądały jak rzeki płynące tuż pod powierzchnią, lecz dłonie były nieruchome jak lód.

– Myślicie, że jestem stary i słaby? Wiele osiągnąłem, ale moja droga jeszcze nie dobiegła kresu. Wciąż mam ambicje.

– Czy spalenie bezcennego zbioru ksiąg pomoże ci zostać papieżem?

– Niewielu kardynałów w konklawe dowie się o tym fakcie. Większość spośród tych, którzy się dowiedzą, przyjmie go z radością. Usłyszą, że międzynarodowa szajka złodziei dzieł sztuki włamała się do biblioteki, by ukraść rękopisy. Złoczyńcy obezwładnili mnichów i strażników i nie sposób było ich powstrzymać. W swej chciwości okazali lekkomyślność. Upuścili papierosa, papier się zajął, biblioteka została utracona. Ogień dosięgnął złodziei, którzy spłonęli tak, że trudno nawet zidentyfikować ich ciała.

– I to my mamy być tą międzynarodową szajką złodziei dzieł sztuki?

– Dlaczego nie? Człowiek ścigany za morderstwo w Nowym Jorku, biegły komputerowiec, który zdołał unieszkodliwić nasz system bezpieczeństwa. Badaczka średniowiecza znana z wrogości wobec Kościoła i pracownica firmy aukcyjnej zhańbiona kradieżą dzieł, które miała wycenić. Przybyliście tu z własnej woli, podążając za znalezionymi tropami.

– Jak na kogoś, kto chciał, żebyśmy tutaj dotarli, bardzo starałeś się nas zabić.

– Poniósł mnie pośpiech. Zginąłbyś w Nowym Jorku, gdyby moi współnicy zdołali tego dokonać, albo w Paryżu, Brukseli lub Strasburgu. Zawsze się wymykałeś. Dziwiłem się, że opierasz się siłom znacznie większym od twoich, modliłem się do Boga, by wydał cię w moje ręce. Wreszcie zrozumiałem. Doprowadził cię tutaj, abys przyniósł mi książkę i spełnił moje zamierzenie. Zaiste niezbadane są Jego drogi.

Kardynał wyjął papierosa z kieszeni i zapalił. Na jego ustach pojawił się nostalgiczny uśmiech.

– Rzuciłem palenie piętnaście lat temu. Mój lekarz powiedział: papierosy cię zabiją.

– Jest tylko jeden problem – odezwała się Emily. – Masz niewłaściwą książkę.

□ □ □

– Gdzie są pozostałe księgi?

Zawsze ten sam głos, wciąż te same pytania. Pragnąłem odpowiedzieć, ale nie mogłem. Przygniatał mnie ogromny ciężar. Kruszył moje umęczone ciało, dławił mi płuca i zginał kości, aż pękały.

– Nie wiem.

Niczego nie wiedziałem. Gdzie jestem. Od jak dawna tam przebywam. Kto mnie pojmał i jak zdobył książkę. Moją głowę spowijał worek. Znałem jedynie brzęk łańcuchów, zapach mokrych kamieni i płonącej smoły i niekończące się pytania, na które nie potrafiłem udzielić odpowiedzi.

Byłem nagi – to wiedziałem – i przywiązany do drewnianej ramy niczym pergamin rozciągnięty do suszenia. Na moim brzuchu spoczywała płaska deska dociskana wielką i wciąż rosnącą liczbą kamieni. Była to nadzwyczajnie stosowna kara: ja, który poświęciłem się tłoczeniu inkaustu, ołowiu i papieru, sam trafiłem pod prasę. Zachodziłem w głowę, czy to Fust ich poinformował.

– Ludzie opowiadają o nowej sztuce, którą odkryłeś. Czy to właśnie było twoje zamierzenie? Chciałeś stworzyć narzędzie herezji?

– Chciałem ulepszyć świat. – To pragnienie wydawało mi się kiedyś niesłychanie ważne. Trawiło mnie niczym płomiem. Teraz moje słowa zabrzmiały słabo.

– Dążyłeś do osłabienia Kościoła?

– Pragnąłem go wzmocnić.

– Chciałeś wzywać moce ciemności?

– Chciałem szerzyć prawdę.

Inkwizytor pochylił się nade mną. Odgadłem to po zapachu cebuli z jego ust. Wyczułem powiew powietrza na szyi, gdy czymś – może książką? – machnął przed moją twarzą.

– To nazywasz prawdą? Najbrudniejsze łgarstwa i oszczerstwa, jakie obmyślił diabeł? Nawet spojrzenie na tę książkę jest grzechem śmiertelnym.

Palilo mnie w piersiach.

– Ja nie zrobiłem tej książki – wykrztusiłem. Zignorował mnie tak jak zawsze. Ból tortur może złamać ciało człowieka, lecz to daremność niszczy jego duszę. Pytania nigdy się nie zmieniały, odpowiedziom nigdy nie dawano wiary.

– Ile ich napisałeś?

– Trzydzieści – odparłem skwapliwie, niemal wdzięczny za szansę udzielenia odpowiedzi. – Powiedział, że było ich trzydzieści.

– Jedną wysłano z obsceniczną notką arcybiskupowi. Drugą znaleziono na schodach kościoła Świętego Kwintyna, jej doskonałą kopię. Czy to robota diabła?

– To moja sztuka – wydyszałem.

– A więc się przyznajesz?

Ogarnął mnie strach. Czyżbym się przyznał? Pragnąłem to sprostować. Wypiąłem pierś przygniecioną deską, by wciągnąć powietrze do płuc, ale wydobyłem z siebie tylko zdławiony jęk. Zdałem sobie sprawę z bezsensownej daremności swoich usiłowań i znieruchomiałem. Nie obciążę się bardziej, niż oni to zrobili. Mam tutaj umrzeć.

Usłyszałem jego śmiech.

– Nie umrzesz tutaj.

– Kiedy dowiemy się tego, co chcemy wiedzieć, spłoniesz w Moguncji jako heretyk.

Z mojego ciała wydobyło się ciche westchnienie, być może mój ostatni oddech. Zawsze wiedziałem, że taki będzie mój koniec. Właśnie tę lekcję usiłował mi wpoić ojciec tamtego dnia we Frankfurcie. Skonam jak heretyk, fałszerz, który podrobił walutę.

Pomimo wszystko śmiałem się. Był to obłąkańczy rechot mojej ulatującej zgniętej duszy. Spędziłem pół życia dręczony lękiem przed śmiercią na stosie za śmiertelne grzechy, które popełniłem przeciwko ciału i naturze. A spłonę za książkę, której nie stworzyłem. Uznałem to za rodzaj sprawiedliwości.

Mój śmiech rozwścieczył inkwizytora. Krzyknął na swoich pachołków. Usłyszałem łoskot kamieni i trzask dwóch żeber pękających pod ich ciężarem.

– Gdzie jest reszta książek?

Ból pochłonął mnie i wcisnął w objęcia nieświadomości.



Przez sekundę Nevado stał całkowicie nieruchomo. Następnie przepchnął się obok więźniów i ruszył w stronę ściany pomieszczenia. Jego siepacz się zbliżył.

Nevado wziął bestiariusz.

– Tę książkę przynieśliście?

Nick milczał. Miał okropne przeczucie, że nic, co powie, nie może ich uratować. Od duszącej woni benzyny i papierosów kręciło mu się w głowie.

Nevado otworzył okładkę. Wystarczyło mu jedno spojrzenie.

– To nie ta książka. Zwyczajny bestiariusz. – Odsunął książkę na bok i odwrócił się do Gillian. Jego twarz nabiegła krwią. – Powiedziałaś mi, że przyniosą *Liber Bonasi*.

– Jest w niej kolofon mówiący o drugiej księdze – wydukała Gillian. – Z niego się dowiedzieliśmy. Doprowadził nas tutaj.

– To bezwartościowe. – Nevado opierał się o regał, nie zważając na papierosa spoczywającego o centymetry od gęsto upakowanych książek. Nick prawie nie zwrócił na to uwagi. W jego głowie, niczym huk wystrzału, brzmiały słowa kardynała. „Powiedziałaś mi?”. Odwrócił się do niej.

– Ty mu powiedziałaś, że przybywamy?

– Ależ skąd. – Gillian uniosła rękę i zaczęła okręcać lok włosów wokół palca. – Powiedziałam, że książka, którą znalazłam w Paryżu, jest tą, której szuka. Musiałam. A on pomyślał, że będziecie ją ze sobą mieli, kiedy was tu zwabi.

Patrzyła Nickowi prosto w oczy, błagając, by jej uwierzył. Nick chciał tego i prawie uwierzył.

– A list z instrukcjami, jak się tutaj dostać? – spytała Emily.

– Nie wiem. Znalazł je, kiedy mnie schwytał, i umieścił tam, gdzie mogliście je znaleźć. – Gillian zobaczyła wyraz twarzy Nicka. – No co?

– Wiesz, gdzie je ukrył?

Gillian patrzyła na niego. Znał to spojrzenie; już je kiedyś widział. Patrzyła w ten sposób, szukając odpowiedzi, którą ktoś chciał usłyszeć. Otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła.

– Schował je w rolce papieru – oznajmił Nick. – Ty mu o tym powiedziałaś?

Załamala się. To także już znał.

– Musiałam. Zabiłby mnie, gdybym na to nie przystała.

– A co twoim zdaniem zamierzał zrobić, kiedy nas złapie i zobaczy, że mamy niewłaściwą książkę? Powiedzieć, że doszło do wielkiego nieporozumienia, i puścić nas wolno?

Jego serce waliło jak młotem. Oczy bolały go od samego patrzenia na Gillian. Zdawało mu się, że zamienił się w kamień.

– Dość. – Nevado się odwrócił. Jego twarz spowijał dym do połowy wypalonego papierosa. Krzyknął coś po włosku do swojego ochroniarza. – Postanowiłem...

Gillian bez najmniejszego ostrzeżenia rzuciła się w jego stronę. Zanim goryl zareagował, wyrwała papierosa z ust Nevada, odwróciła się i rzuciła go na półkę. Nasączone olejem papiery natychmiast zajęły się ogniem, jak gdyby od pięciuset lat czekały na płomienie.

– Nie!

Zdawało się, że Nevado poniewczasie zmienił zdanie. Podbiegł do regału i ściągał płonące tomy z półek, depcząc je jak obłakany. Podmuchał wiatru porwał luźne kartki i cisnął je o półki, wznecając nowe płomienie wysoko poza zasięgiem ludzkich rąk. Rąbek płaszcza Nevada również zapłonął.

Nagle cała ściana buchnęła ogniem.

LXXXIV

W gęstniejącym dymie Nevado rzucił się w stronę drzwi. Nick chciał skoczyć za nim, lecz niemal natychmiast rozległ się łoskot wystrzałów. Zanurkował, pociągając za sobą Emily i nakrywając ją własnym ciałem. Gdy podniósł głowę, drzwi się zatrzaskiwały.

Gdzie jest Gillian? Nick się rozejrzył. Czarny dym wzbijał się z książek. Gillian znikła. Czyżby Nevado zabrał ją ze sobą? Czy to była część ich umowy?

Nagle ją zobaczył. Leżała na posadzce w pobliżu regału. Opierając się na rękach, próbowała się odczołgać. Na jej plecy sypał się deszcz gorącego popiołu i płonących skrawków papieru, lecz ona nie przyspieszała. Nie mogła, gdyż za jej nogą wlokła się ciemna rzeka krwi. To był prezent pożegnalny Nevada.

Nick podbiegł do Gillian, wsunął ręce pod jej pachy i wyciągnął ją na środek. Emily oderwała rękaw swetra i zawiązała go na udzie Gillian, by zatamować krwawienie. Jej twarz pobladła od szoku.

– Przykro mi, Nick – wymamrotała. – Wybacz.

Nie było na to czasu. Płomienie już rozbiegały się do ścian komnaty, którą zaczynał wypełniać dym. Nick wyciągnął rękawiczki z kieszeni i podał jedną Emily.

– Osłaniaj tym twarz.

Oddychając przez wilgotną wełnę, Nick popędził do drzwi. Na ich całkowicie gładkiej powierzchni nie było zamka ani klamki.

„Myślicie, że tak głęboko tkwimy w średniowieczu, iż nawet nie umiemy zamknąć drzwi?”

Kopnął w nie, lecz nawet nie zaskrzypiały. Osiągnął tylko tyle, że zabolą go noga. Napał rękoma i poczuł nieubłaganą siłę metalu. Ludzie spłoną znacznie wcześniej niż stalowe drzwi.

Podbiegł do Emily i Gillian.

Nie odslaniając twarzy, Emily wskazała do góry. Między belkami krążyły gęste kłęby dymu. Na chwilę odsunęła rękawiczkę.

– Dym wydostaje się na zewnątrz – oznajmiła, zaczerpując tchu. – Tam musi być otwór. W dachu.

Nick miał co do tego wątpliwości, ale nie było innej drogi. Spojrzał na regały biegnące po ścianach niczym olbrzymie schody. Łączyły je drabiny i galerie, choć do niektórych już zbliżały się płomienie. Nawet jeśli zdołają dotrzeć na szczyt, przypuszczalnie znajdą się w pułapce.

Trzeba próbować, powiedział sobie. Otoczył ręką ramiona Gillian, dźwignął ją i skierował się do najbliższej drabiny.



Zimne powietrze na dziedzińcu przyszło jak zmiłowanie. Nevado upadł na kolana w śnieg, by ugasić resztki ognia tłącego się na krawędzi płaszcza i ochłodzić oparzenia na nogach. Ugo obserwował go niepewnie.

– Nie zgasimy ognia? – spytał.

Nevado spojrzął za siebie. Z zewnątrz szalejące w środku piekło było prawie niewidoczne. Okna w wieży zostały dawno zamurowane. Jedyłą wskazówkę stanowiła woń dymu, niemal kojąca w zimną śnieżną noc. Pióropusz wznoszący się z dachu nikł w ciemności.

– Wasza Ekscelencja dobrze się czuje?

Nevado zauważył, że się trzęsie. Nie chciał, by tak to się skończyło, w pośpiechu i niechlujnie, poza jego kontrolą. Edykt papieża Piusa wciąż nie został ostatecznie wypełniony. A widok płonących ksiąg, choć czaiło się w nich zło, nadspodziewanie mocno wstrząsnął kardynałem.

Jednak ścieżki Pana są niezbadane. Może to jedynie drobna korekta, pomyślał. Ostrzeżenie dla jego dumy, że tylko Bóg jest doskonały. Plan kardynała i tak się powiedzie.

Odwrócił się do Uga.

– Daj mi broń.

Ugo zdziwił się, lecz bez słowa podał kardynałowi pistolet. Nevado poczuł jego ciężar. Był o wiele mniejszy od karabinów, które poznał w młodości, gdy musiał się bronić przed republikańskimi bandami czyhającymi w lasach wokół kościoła jego ojca w Andaluzji. Jednak mechanizm działał tak samo. Kardynał spojrzął na łódkę i bezpiecznik.

– Niech Bóg cię błogosławi.

Wystrzelił dwa pociski w pierś Uga. Włoch osunął się bezgłośnie. Krew sączyła się na śnieg niczym atrament.

Obezwładnili strażę i nie dało się ich powstrzymać. To było przykre, ale konieczne. Nikt nie zarzuci mu, że nie poczynił wszelkich nieodzownych kroków.

Dla pewności strzelił jeszcze raz, a potem cisnął broń w śnieg koło stołpu. Ten, kto będzie prowadził śledztwo, wyciągnie odpowiednie wnioski. Kardynał pospieszył do stajni, obok której stał zaparkowany jego samochód.

□ □ □

Tylna ściana wieży tonęła w płomieniach. Wyglądała jak witraż czarny od ołowiu w miejscach, w których regały jeszcze nie runęły. Ogień wysysał powietrze i zamieniał całą izbę w gigantyczne palenisko. Nick został w samym podkoszulku przesiąkniętym potem. Koszulą przytroczył do nogi Gillian prowizoryczną szynę zrobioną z dwóch kawałków półki. Trzymała się regałów, kuśtykając.

Kładka była wykonana z metalowej siatki, toteż spoglądając w dół, widziało się odległość od posadzki. Pomost się nie spali, ale może ich usmażyć. Nick już czuł gorąco metalu pod podszewami butów. Na razie kamienne filary nie pozwalały płomieniom dotrzeć do tej części biblioteki, lecz to nie potrwa długo. Zamieć płonących skrawków wirowała na prądach gorącego dymu i powietrza.

Ten, kto projektował bibliotekę, nie ułatwił uciekinierom zadania: drabiny były rozmieszczone naprzemiennie na końcach każdej galeryjki, więc trzeba było iść zygzakiem, by pokonać każdy poziom i dotrzeć do następnego. Nickowi kojarzyło się to z prymitywną grą wideo polegającą na wspinaczce pod ostrzałem bananów i ognistych kul miotanych przez goryle. Różnica polegała

na tym, że kule ognia były aż nadto prawdziwe.

Najtrudniej było na drabinach. Emily wspinała się pierwsza, a potem kładła się na brzuchu i wyciągała ręce. Nick dźwigał Gillian, trzymając ją za biodra. Starła się im pomagać, wciągając się po szczeblach, lecz dym, ból i utrata krwi przyprawiły ją o zawroty głowy.

W pewnej chwili pośliznęła się, straciła oparcie i omal nie spadła za krawędź. Nick trzymał ją mocno i wyciągnął.

– Zostaw mnie. – Gillian pogładziła go po policzku. – Ratuj się.

Gdyby istniała szansa uratowania się, być może Nick poczułby pokusę. Dźwignął Gillian na ramiona i zaczął się wspinać. Nie sprzeciwiała się.

Emily krzyknęła coś do niego, lecz ryk płomieni zagłuszył jej głos. Wskazała w dół. Ogień ogarnął kolumny; płomienie pędziły po regałach.

Rozpoczął się śmiertelny wyścig. Wzięli Gillian i potykając się, wywindowali ją do następnej drabiny. Otoczył ich dym, snując się przez otwory w kracie niczym trujący gaz. Nicka rozboleły płuca; jego skóra skwierczała od gorąca.

Wydostali się na coś w rodzaju balkonu. Spojrzawszy w dół, Nick odniósł wrażenie, że stoi na kolumnie ognia. Dym nadał mu ponury krwawy odcień; było go tak dużo, że zasłaniał prawie wszystko.

Jednak Emily miała rację: dym unosił się pod sufit. Mrużąc oczy, Nick dostrzegł ciemny otwór w sklepieniu. Znajdował się zbyt wysoko i za daleko od ściany, by można było skorzystać z regałów.

– Poczekajcie tutaj.

Uklęknął i poczołgał się na kolanach. Rozgrzany metal parzył go w dłonie, wziął więc dwie książki i używał ich jak rękawic ochronnych. Na końcu rzędu regałów wciśnięta za filar stała stara drewniana ławka, na której zebrał się kurz; może umieszczono ją tam po to, by ten, kto wspiął się tak wysoko, nie musiał znosić wybranej książki na sam dół. Nick chwycił ją i powlókł po rusztowaniu, przymykając oczy podrażnione dymem. Książki spadały z półek; w pewnej chwili ławka ześliznęła się i zakleszczyła pod poręczą. Nick wyrwał ją rozpaczliwym szarpnięciem.

Nawet nie zauważył, że dotarł do Emily, dopóki nie poczuł jej ręki na plecach. Zrozumiała od razu. Wspięła się na ławkę i wyciągnęła ręce w stronę

okienka. Mimo to nie mogła go dosięgnąć. Nick złapał ją za nogi, ścisnął je i podniósł.

Zachwiała się i przez krótką chwilę bał się, że dziewczyna poleci na bok i pociągnie za sobą ich oboje. Nagle znieruchomiała, uchwyciwszy rękami brzegi okienka. Wciągała się. Gdy znalazła się na górze, Nick podsadził Gillian, a potem sam się wspiał. Wysunąwszy głowę przez otwór, poczuł chłodne powietrze. Zacerpnął go głęboko i nagle się zakrztusił, gdy otoczyła go chmura dymu. Rozejrzał się.

Na dachu panowała odwilż. Ogień roztapiał śnieg, a woda spływała na kamienną kładkę, na której stali. Nick zacerpnął jej garść, by obmyć oczy. Była ciepła. Kałuże zaczęły parować.

Zostawił Gillian z Emiliy i obiegł wieżę dookoła, brodząc w brei i wyglądając za ścianę. Szukał drabiny albo wyjścia ewakuacyjnego, lub chociażby wystających cegieł, po których mogliby dostać się na dół. Niczego nie było.

Woda na dachu zaczynała puszczać bąbelki. Nick spostrzegł z przerażeniem, że nie jest to wyłącznie woda. Ołów zaczął się topić i spływał do przeciążonych rynien. Wkrótce całość się zawali. Zaniósł Gillian pod balustradę, aby była jak najdalej od rzeki płynnego metalu. Przygarnął do siebie Emiliy, lecz milczał. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Poczuł dudnienie w uszach, które narastało i całkowicie pochłonęło ryk płonącej biblioteki. W górce ukazało się oślepiające białe światło, które omiało ich niczym oko przeznaczenia.



Czułem zbliżającą się śmierć. Przygniatający mnie ciężar był tak ogromny, że zdawało mi się, iż rozpląta mi skórę i wyłupi serce. Głowa bolała, jakby wtłoczono do niej całą krew z mojego ciała. Napuchła niczym pęcherz. Wisiałem na wadze skalibrowanej precyzyjnie jak waga złotnika. Na jednej szali leżały kamienie, a na drugiej moje życie. Wystarczyło dołożyć jedną monetę, by zmiażdżyć mnie na śmierć.

– Co ma znaczyć drugi bestiariusz, który znaleźliśmy w twoim domu?

Pytania nigdy się nie kończyły. Ciężar na moich piersiach już dawno odebrał mi mowę. Mimo to musiałem jęczeć, rozpaczliwie wciągając powietrze

i mamrotać niezrozumiale, by przekonać dręczycieli, że staram się odpowiadać. Gdybym milczał, dodaliby jeszcze więcej kamieni.

– Kto ci pomagał?

Milczałem. W ciągu całej męczarni na to pytanie nie udzieliłem odpowiedzi.

Moje milczenie rozzłościło inkwizytora. Usłyszałem dobrze znany zatrważający rozkaz. *Alium*. Jeszcze jeden. Kłapanie posłusznych stóp. Zgrzyt kamieni.

Nagle łoskot. Stłumione krzyki, które nagle przybrały na sile, i podmuch powietrza. Rumor upuszczanego kamienia. Czyżby gniołcząca mnie deska pękła i obciążenie runęło na ziemię? Nie czułem tego. Czyżbym skonał?

Próbowałem usłyszeć słowa. Po głosie inkwizytora każdy nowy głos jawił mi się jako chłodny strumień na pustyni.

– Musisz to natychmiast przerwać – mówił ktoś. – Usuń kamienie.

– To jest pałac arcybiskupa. Nie masz tu żadnej władzy, księżu biskupie.

– Kardynale – poprawił go nowy, lecz znajomy głos. – Wznoszę się coraz wyżej, a ty będziesz spadał jak ten kamień do bardzo głębokiej studni, jeśli w tej chwili nie uwolnisz mojego przyjaciela.

– Ten człowiek to heretyk.

– Służy Bogu wierniej, niż ty kiedykolwiek służyłeś.

Nastąpiła pauza wypełniona boleśniejszą nadzieją aniżeli najgorsza tortura, której doznałem. A potem – chwała Bogu! – rozległ się odgłos zdejmowania kamieni. Wciągnąłem powietrze do płuc i poczułem, że pierś unosi się o włos wyżej niż poprzednio.

– Prędej – ponaglił kardynał. – Jeśli on umrze, zajmiesz jego miejsce.

Strużka kamieni zamieniła się w kaskadę spadającą na posadzkę niczym budulec burzonej do fundamentów wieży. Odpryski kamieni odbijały się od mojego policzka, lecz prawie ich nie czułem.

Zdjęto ze mnie deskę. To było jak otwarcie drzwi. Czyjeś palce pogmerały przy węzłach wokół mojej szyi, rozplątując je.

Światło oślepiło mnie niczym poranne słońce nad Renem. Wokół spoglądającej na mnie twarzy utworzyła się aureola. Nawet w tym okrutnym miejscu

zdobył się na uśmiech, choć był on zabarwiony głęboką troską.

– Doprawdy nadzwyczajny z siebie człowiek.



Samochód zarzucił, gdy Nevado wszedł w zakręt. Wiedział, że jedzie za szybko. Droga wiła się i pięła przez las, strome ciasne zakręty nagle przechodziły w oblodzone puste gardziele wśród drzew. W blasku reflektorów świat wyglądał jak karbowany tunel zbudowany z drzew i śniegu. Kardynał patrzył prosto przed siebie.

Droga wyprostowała się i Nevado poczuł ulgę. Autostrada do Moguncji była zamknięta, lecz jego łódź stała na cumach w Oberwinter. Przed świtem kardynał znajdzie się we Frankfurcie, a potem złapie pociąg pospieszny do Bazyli i dotrze do przyjaciela, który przysięgnie, że Nevado od dwóch dni nie opuszczał Szwajcarii. Zadzwoń z policji, a on ze smutkiem przekaze Watykanowi straszną nowinę.

Nevado uświadomił sobie, że traci uwagę, i natychmiast skierował ją na drogę. Zbliżał się do zakrętu, na którym osuwisko porwało drzewa, otwierając widok na wąwóz. Kardynał ostrożnie nacisnął hamulec. Samochód zatrzęsł się lekko i zatrzymał. Nevado spojrzał poprzez dolinę. Ogromny pióropusz dymu przesłaniał gwiazdy; płomienie migotały w okienkach w dachu, które otworzył, by lepiej się paliło. Uśmiechnął się, uspokajając oddech. Wszystko przebiegało po jego myśli.

Jasne białe światło przesunęło się po nim niczym anioł. Samochód zadrżał od wibracji przelatującego helikoptera. Kto to może być? Czyżby go dostrzeżono? Nagle cały plan zdał mu się chwiejny.

Zdjęty strachem Nevado nacisnął pedał gazu. Zrobił to za mocno. Silnik zawył rozpaczliwie i koła zabuksowały, wyrzucając za sobą śnieg. Kardynał wcisnął gaz jeszcze mocniej, gorączkowo manewrując dźwignią biegów. Maszyna ryknęła, a potem koła chwyciły przyczepność. Auto skoczyło przed siebie. Oślepiony światłem Nevado za późno dostrzegł zakręt. Chciał skrócić i z całej siły nadepnął pedał, nie wiedząc, że naciska dopchnięty do końca gaz.

Szosa nie ograniczała barierki ani drzewa, na których wóz mógłby się zatrzymać, przeleciał więc nad urwiskiem i runął do wąwozu. Ostatnią rzeczą,

którą zobaczył kardynał, były światła reflektorów odbite w śniegu. Dwa jaśniejące punktu pędziły mu na spotkanie niczym oczy mściwego Boga. Wrzasnął ze strachu.

Mała fontanna ognia trysnęła wśród drzew na południowym zboczu parowu. Przez chwilę płonęła niczym papierowa kula, a potem zgasła, pozostawiając na dziewiczym śniegu czarną plamę.



Nick osłaniał twarz przed blaskiem i spoglądał w niebo. W tumanie wirującego śniegu dostrzegł śmigła helikoptera obracające się niczym gigantyczne nożyce. Światło odbijało się od szklanej owiewki; widać było prostokąt otwartych drzwiczek. Ktoś w nich stał i patrzył w dół. Nick zamachał rozpaczliwie ręką, wzywając pomocy. Wirnik zagłuszył jego krzyk, zrobiło się ciemno.

Ktoś jednak musiał go zobaczyć, gdyż ze śmigłowca wysunęła się lina. Po chwili Nick dojrzał mężczyznę, który zsuwał się po niej niczym pająk. Stał na dachu i zbliżył się do Nicka. Miał na sobie wyglądający znajomo zielony dres. Jednak jego twarz skrywał olbrzymi hełm.

Nick wskazał leżącą za balustradą Gillian. Krew przesiąkła przez prowizoryczny bandaż i utworzyła kałużę na ziemi. Mężczyzna w dresie skierował kciuk do góry. Razem posadzili dziewczynę prosto i założyli jej uprząż.

Emily zasłoniła ucho dłońmi.

– Kim są ci ludzie?

Nick wzruszył ramionami. Reflektor świecił mu w oczy, toteż nie potrafił dostrzec oznaczeń na śmigłowcu. Przemknęło mu przez myśl, że są to podwładni Nevada, którzy zabiorą Gillian i zostawią jego i Emily na pastwę płomieni. Jednak po minucie, która ciągnęła się w nieskończoność, człowiek pająk znów zsunął się po nitce. Tym razem przyniósł dwie uprzęże i ochraniacze na uszy. Nick i Emily zapięli się i zostali wciągnięci do góry, a tymczasem z walącego się dachu buchały płomienie ognia. To było jak lot nad wulkanem.

Wirnik zadudnił intensywniej, gdy tylko znaleźli się na pokładzie. Nickowi wydawało się, że powietrze walczy z nim; przygniatało go do ziemi. Czuł się tak, jakby na jego barki napierał wielki ciężar. Lina zakołysała się, lecz w śmigłowcu czekały mocne ręce i wciągnęły go do środka.

Gillian leżała w tylnej części kabiny przypasana do noszy. Sanitariusz podłączył jej kroplówkę do ręki i włożył maskę tlenową. Twarz zsiniała, lecz powierzchnia maski pokryła się mgiełką. Gillian oddychała.

Poczuł, że ktoś klepie go w rękę, i odwrócił się. Na ławeczce naprzeciwko siedziało dwóch mężczyzn. Jeden był zaniepokojony i nieco osłabiony, drugi zaś miał na ustach ponury uśmiech. Byli ostatnimi ludźmi, których Nick spodziewał się ujrzeć.

LXXXV

Spoczywałem na łóżku w gospodzie, choć nie wiem, gdzie to się działo. Twarde leże pokryte znikomą ilością słomy nie przynosiło wiele ulgi moim kończynom, lecz po udręce, którą wycierpiałem, było jak wór miękkiego puchu. Aeneas podsunął mi do ust kubek z wodą. Nie byłem w stanie pić i połowa płynu rozlała się po tunice.

– Naprawdę jesteś kardynałem?

Przyłożył palec do warg, choć nikt nie mógł nas podsłuchać.

– Wkrótce nim zostanę. Do tej pory ci durnie się nie dowiedzą.

– Dziękuję.

– Kiedyś ty ocaliłeś mi życie. Teraz spłaciłem dług.

Wziął książkę, którą odebrał inkwizytorowi, i przez chwilę czytał ją w milczeniu. Blask w jego oczach przygaśł.

– Jak ją zdobyli? – spytałem. Z przesłuchania wywnioskowałem, że nie znaleźli egzemplarza, który zsunął się za posłanie. Gdyby go znaleźli, przypuszczalnie już bym nie żył.

– Pozostawiono ją dla arcybiskupa na stopniach katedry. Arcybiskup widział strony Biblii i rozpoznał twoją sztukę. Od razu odgadł, że to ty musiałeś wykonać tę książkę. – Aeneas zmierzył mnie spojrzeniem, które przenikało niemal do mojej duszy. – Zrobiłeś to?

– Książka powstała w moim domu przy użyciu moich narzędzi.

– Ale nie ty jesteś jej autorem?

Pokręciłem głową.

– Nie pytaj mnie, kto nim jest.

Moja prośba była nieuprawniona i Aeneas się nastroszył. Jednak w następnej sekundzie gniew mojego wybawcy minął i w jego miejsce pojawiła się pełna znużenia rezygnacja.

– Skoro utrzymałeś język za zębami na męczarniach, nie wykorzystam przyjaźni, by wydobyć z ciebie odpowiedź. Ale dowiemy się.

Pomyślałem o Drachu, o jego zmiennym charakterze i migotliwych afektach. Jeśli istnieje człowiek, który potrafi się rozpląnąć, to jest nim właśnie on.

– Nigdy go nie znajdziecie.

– Oby nam się udało. Wielu w Kościele uważa go za najgorszego heretyka od czasu Jana Husa. A może i gorszego. Hus mógł wypisywać swoje niegodziwości tylko w jednym egzemplarzu naraz.

Aeneas odłożył książkę.

– Pamiętasz, co ci mówiłem we Frankfurcie? Twoja sztuka pozwala przemawiać do serc ludzi. Ta książka to zaraza. Mocą twojej sztuki może roznieść plagę herezji tak daleko i głęboko jak nigdy dotąd. Może rozedrzeć świat chrześcijański na części.

– Albo związać go w całość. – Oparłem się na łokciu i chwyciłem Aeneasa za rękę. – Tego, co odkryłem, nie da się wymazać. Nie wyplenisz herezji, pozbywając się mojej sztuki. Gdybym wyobraził sobie, jak wielka jest jej potęga, być może byłbym ostrożniejszy, ale to wciąż tylko narzędzie. Słowa są tłoczne na papierze, lecz to ludzie je układają. Lepiej zwalczać ich myśli niż narzędzia, którymi się posługują.

Mój głos osłabł. Aeneas kiwał głową.

– I dlatego musimy otoczyć ją opieką. – Włożył książkę do skórzanego mieszka i zawiązał go. – Wykorzenimy to zło i całkowicie je unicestwimy. Odszukamy człowieka, który je stworzył, i wymażemy jego imię z kart historii. Zrobię, co w mojej mocy, by cię ochronić... jak widzisz, mam pewne wpływy... a ty nigdy nikomu o tym nie powiesz.

To był jedyny raz, gdy słyszałem w jego głosie taką powagę. Na mgnienie oka ujrzałem wewnętrzną siłę, która wyniosła go tak wysoko.

– Jeśli zaś chodzi o ciebie, to sądzę, że zasłużyłeś na coś lepszego niż to,

co cię spotkało z rąk przyjaciół. Zobaczę, co się da zrobić. – Wziął ze stojącego obok stolika jakąś książkę i wsunął mi ją do rąk. Zadrzałem, czując ją w rękach; myślałem, że to dzieło Kaspara. Wtedy uprzytomniłem sobie, że to mój bestiariusz. Na ostatniej stronie wciąż tkwiła przyklejona karta. Obie książki łatwo można było ze sobą pomylić.

– Miał ją inkwizytor. Zwracam ci ją. Niebawem postaram się odzyskać więcej twoich dóbr. – Uśmiechnął się do mnie słabo. – Przekonasz się jednak, że Kościół nie jest twoim jedynym wrogiem.

□ □ □

Nick spojrzał na twarze siedzących naprzeciwko mężczyzn. Byli ostatnimi, od których spodziewał się ratunku. Atheldene nie pasował do tego otoczenia, ubrany w wełniany płaszcz. Obok siedział człowiek w granatowej kurtce i w czapce bejsbolówce ze znacznikiem nowojorskiej policji. Nick myślał, że pozbył się go na dobre w Nowym Jorku.

– Detektyw Royce?

Gdyby pokazał to na migi, osiągnąłby ten sam efekt, gdyż w kabinie ledwo słyszał samego siebie. Ktoś z załogi podał mu słuchawki.

– Przybyłeś, żeby mnie aresztować?

Royce pokręcił głową i wskazał na tylną część kabiny.

– Twoją dziewczynę.

– Gillian? Ona...

– Jest złodziejką.

Nick nie mógł w to uwierzyć.

– Chcesz ją ścigać za to, że zabrała kartę z Paryża? Po tym wszystkim?

– Nie chodzi o kartę. Simon ściga ją od miesięcy.

Nick spojrzał na Atheldene'a, który nie wyglądał na policjanta.

– Ty jesteś glina?

– Pracuję w domu aukcyjnym, ale mam znajomych w jednostce do zwalczania kradzieży dzieł sztuki w Scotland Yardzie. Od czasu do czasu wyświadczam im jakąś przysługę. Przed paroma miesiącami poprosili mnie, żebym miał oko na Gillian. Rozmaite przedmioty znikają z Cloisters w Nowym Jorku i trafiały na sprzedaż w Londynie, ale muzeum nie mogło niczego udowodnić.

Postanowili napisać jej pierwszorzędne referencje i odprawić do Stevens Mathison. Wkrótce sytuacja powtórzyła się i u nas.

Nick wskazał kciukiem Royce'a.

– On też brał w tym udział?

– Dopiero kiedy pokazałeś się w Paryżu. – Royce błysnął zębami w uśmiechu; sprawiał lepsze wrażenie niż w sali przesłuchań. – Simon zadzwonił do Londynu, a tamci wiedzieli już o tobie od Interpolu. Uderzyli do mnie. Miałem to specyficzne wrażenie, że na coś wpadłem. Przyszło mi na myśl, że zamiast cię przemykać za morderstwo i utrudnianie śledztwa, trafię na coś ciekawego, śledząc cię.

– Atheldene prawie zginął w Brukseli. To też było zaplanowane?

Anglik bawił się guzikiem płaszcza.

– To było prawdziwe. Miałem stracha. Znajomi gliniarze wzywają mnie, gdy ktoś sprzedaje przedmiot, którego nie powinien posiadać, albo żebym stwierdził, czy obiekt będący przedmiotem ubezpieczenia jest autentyczny. Nie przywykłem do takich sytuacji jak ta w Brukseli.

Śmigłowiec okrążył górę. Chmury się rozdzieliły, odsłaniając zimny księżyc.

– Co to takiego? – Atheldene wskazywał zbocze wzgórza. Wśród drzew płonął ogień wyglądający jak złoty paciorek na tle srebrzystego lasu.

W słuchawkach odezwał się głos pilota mówiący z niemieckim akcentem.

– Może rozbił się jakiś samochód. Zadzwonię na policję w Oberwinter.

– Czy mogą także przysłać wóz strażacki? – Atheldene obrócił głowę, by spojrzeć na zamek. Dach musiał się zawalić, gdyż płomienie bez przeszkód strzelały ze skorupy wieży.

– Na tej drodze to niemożliwe. Może rano.

– Diabelska Biblioteka – mruknął Atheldene. – Wyobraź sobie, że spędzasz w tym miejscu chociaż pół godziny.

– Zamieniłbym się z tobą – odparł równie cicho Nick. – Bibliotekarz by ci się nie spodobał.

– Trafiłeś w sedno. Ale szkoda tych dzieł.

Emily sięgnęła za koszulę i wyjęła książkę w wytartej skórzanej okładce.

– Nie wszystkie przypadły.

Atheldene omal nie rzucił się na nią, lecz przypomniał sobie o manierach.

– Czy to jest...?

– Nie. Tamta była przytwierdzona do ściany, więc nie mogłam. Ale złapałam tę. Wolę ją od tamtej. – Podała książkę Nickowi. – To dla ciebie.

Nick pokręcił głową. Spojrzał na Gillian oddychającą spazmatycznie przez sen.

– Ja znalazłem to, po co przybyłem.

KOLOFON

*Co mówię wam w ciemności, powtarzajcie na świetle,
a co słyszycie na ucho, rozgłaszajcie na dachach! **

* Mt 10, 27.

Dziwnie było znaleźć się ponownie w Humbrechthof. Stukot pras, szczęk czcionek w wierszownikach, okrzyki i przekomarzanie uczniów domagających się papieru, inkaustu albo piwa. Jednakże to już do mnie nie należało. Cel ożywiający dom uległ zmianie: stał się praktyczny, rutynowy, nieobarczony dreszczykiem wielkiego odkrycia. Kaspar i ja, Götz, Keffer i inni kreśliliśmy mapę nowej krainy. Teraz przybyło drugie pokolenie, by budować drogi i stodoły, osuszać bagna, siać zboże i oswajać pustkowia. Widziałem wiele nowych twarzy; zerkano na mnie, gdy przechodziłem, ale bez zainteresowania. Paru mnie rozpoznawało i odwracało głowę lub podawało mi rękę – w zależności od tego, na co pozwalało im sumienie. Petera Schoeffera nie było wśród nich.

– Wyjechał do Frankfurtu – oznajmił mi Fust, przyjmując mnie w swoim gabinecie. – Ma tam sprawy do załatwienia z księgarzem. Powinien już wrócić. Będzie mu przykro, że się z tobą nie spotkał. Nie wątpię, że zatrzymała go jakaś niewiasta.

Nie sprostowałem kłamstwa. Byłem ciekaw, czy Fust wie o tym, że Schoefffer sypia z jego córką. Fust niewłaściwie odczytał wyraz mojej twarzy.

– Bardzo wysoko cię cenił. Jako artystę i wynalazcę. Nic nie zabolalo go tak bardzo, jak konieczność wyboru między nami. Jest moim dziedzicem, ale i twoim.

Fust zdjął z biurka niewielki bloczek grawerowanego metalu i podał mi. Sztabka rozpadła mi się w rękach. Zacząłem przepraszać, lecz wnet się domyśliłem, że tak miało być. Mniejszą część stanowiła pękata, misternie rzeźbiona litera B: wśród kresek i wybrzuszeń rosły kwiaty, kwitły gałęzie drzew i ogar gonił kaczkę po łące. Pasowała do otworu w drugim kawałku metalu, którego krawędzie zappełniało bujne listowie. Obie części spasowano tak dokładnie, że nie było widać łączenia.

– Wynalazek Petera. Wewnętrzną część pokrywa się czerwonym inkaustem, a zewnętrzną granatowym. Następnie umieszcza się je między czarnymi matrycami i drukuje inicjały. Używamy tego do drukowania psalterza dla katedry.

Pokazał mi odbitkę na kartce papieru. Była wyraźniejsza niż dzieła najlepszego zdobnika lub typografa.

– Piękne – przyznałem.

Może się myliłem. Może w tym domu pozostało jeszcze niejedno do wynalezienia.

– Wciąż idzie za wolno. Peter jest do ciebie pod tym względem podobny. Ma obsesję jakości i nie myśli o kosztach.

Zapadła niezręczna cisza. Fust rozproszył ją, przesuwając papiery na biurku. Po chwili znalazł to, czego szukał.

– Myślę, że powinniśmy zakończyć nasze sprawy. – Podał mi dokument do podpisania i przypieczętowania. – Przykro mi, że jest to konieczne. Psalterz się opóźnia, Kościół zwleka z zapłatą, więc muszę pożyczyć więcej pieniędzy. Żyd dowiedział się o naszych zatargach i zażądał zapewnienia, że godzisz się na wszystkie warunki podyktowane przez sąd. – Fust zapalił świeczkę i sięgnął po wosk do pieczętowania.

– Wybaczysz mi, jeśli zachowam ostrożność przy podpisywaniu tego, co mi podsuwasz?

– Naturalnie. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Nielatwo było mu dopiec.

Przeczytałem dokument do końca. Fust zabierał wszystko, co znajdowało się w Humbrechthof: prasy i czcionki, atrament i papier, meble oraz cały sprzęt do ostatniego wierszownika. Zatrzymywał również ukończone Biblie, by sprzedać je dla zysku. Gutenberghof, stojące w nim prasy i wszystko inne zostawało moją własnością. Był czas, gdy paliła mnie niesprawiedliwość tego

wyroku; teraz mój gniew ostygł. To należało do przeszłości.

Złożyłem podpis na dole i wycisnąłem pieczęć w miękkim wosku. Odcisk i forma. Fust zrobił to samo.

– Masz nową pieczęć – zauważyłem. Czarny ptak z jarzmem na szyi trzymał dwie czarne tarcze z literami i gwiazdami.

– Wytwórnia Książ Fust i Schoeffer. Peter ją zaprojektował. Będziemy nią stemplować wszystkie nasze dzieła. Znak jakości. Klienci właśnie tego oczekują.

Nie przypadło mi to do gustu. Takie postępowanie wydawało się większym świętokradztwem niż wszystko, co kiedykolwiek zrobiliśmy z Kasparem. Postawienie swojego znaku na dziele sztuki i przypisanie go sobie było zawłaszczeniem daru bożego.

Fust i tym razem źle odczytał moją niechętną minę.

– Przykro mi – powtórzył. Chciał, abym mu uwierzył. – Ulica między naszymi domami nie jest długa. Bez wątplenia będziemy się spotykać. Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi.

Byłem na tyle stary, że kłamstwo prawie mnie nie bolało.

– Ja też mam taką nadzieję. Ale nie teraz. Na jakiś czas opuszczam Moguncję.

Fustowi nie udało się ukryć ulgi.

– Dokąd się udajesz?

– Mam pewną sprawę w Strasburgu.

□ □ □

Miasto było skąpane w blasku kwietniowego słońca. Na wpół drewniane domy i gotyckie wieżyczki lśniły ciepłym światłem. Jaskrawe kolory ozdobiły plac, na którym stojaki z ręcznikami plażowymi, kartkami pocztowymi oraz przewodnikami wykwitły niczym wiosenne kwiaty. Tłum turystów radował się świętami wielkanocnymi, a z góry spoglądali na nich kamienni królowie i aniołowie, lwy, rycerze i węże.

Nikt nie zwracał uwagi na parę młodych ludzi spacerujących po placu ze splecionymi dłońmi. Weszli do katedry zachodnimi drzwiami, minęli monumentalną fasadę i zanurzyli się w głębokim cieniu wiecznie spowijającym wnętrze.

Po lewej stronie na ścianie północnej szereg królów na witrażu ożył dzięki padającemu z zewnątrz światłu. Nickowi szybciej zabiło serce. Ścisnął dłoń Emily.

Atheldene czekał na nich w połowie długości nawy tuż przed miejscem, w którym boczna kaplica przerywała procesję monarchów. Miał niezręcznie narzuconą na garnitur fluorescencyjną kamizelkę, a na jego głowie tkwił kask. U podnóża kolumny tuż za nim kamieniarz w kombinezonie stał w hydraulicznej windzie.

– Mam nadzieję, że się nie mylicie. Nawet sobie nie wyobrażacie, ile papierków trzeba wypełnić, żeby rozpruć jedno z arcydzieł gotyckiej architektury. Zwłaszcza jeśli chcą tego dokonać ludzie będący dla kościelnej hierarchii *personae non gratae*. Musiałem powołać się na wszystkie wyświadczone przysługi i wymyślić najbardziej niedorzeczne preteksty.

Nick wyjął z plecaka bestiariusz. Zza ostatniej kartki sterczał róg wytartej karty do gry. Wsunął ją z powrotem na miejsce. Niebawem będzie je musiał zwrócić: karta zostanie dołączona do talii w Bibliothèque Nationale w Paryżu, a książka trafi do British Library w Londynie. Wszystko zostało dyskretnie zorganizowane przez dom aukcyjny Stevens Mathison. Nickowi, który nigdy nie miał książki starszej niż sześćdziesiąte pierwsze wydanie *Supermana*, przykro było się z nimi rozstawać.

Jednak w bestiariuszu pozostała jeszcze jedna tajemnica do ujawnienia. Nick otworzył go na odrestaurowanej pierwszej stronie wyciętej przez Gillian, a później specjalistycznie wszytej na swoje miejsce. W dolnym rogu widniał szkic prostokątnej budowli stojącej w ramionach krzyża, który zauważyli podczas rejsu barką w Oberwinter.

Emily ostatecznie go rozszyfrowała.

– To nie jest budowla z krzyżem, tylko taka, która stoi na skrzyżowaniu – oznajmiła pewnego wieczoru w Nowym Jorku.

Nickowi ten pomysł nie zaimponował.

– Wydatnie skróciłaś listę możliwości.

– Owszem, jeśli wie się coś o życiu Gutenberga. – Westchnęła zniecierpliwiona. – Strasburg, miasto gościńców. Skrzyżowanie szlaków Europy.

– A ta budowla...

– To katedra.

Strzelali na oślep. Szkic mógł przedstawiać każdy gmach z łukowatymi drzwiami. Nie ukazywał nawet wysokiej wieży.

– Wszystko się zgadza. Skrzyżowania, królowie na ścianach i Dzieje Królów Izraela. Gutenberg.

Tak więc wrócili do kościoła na skrzyżowaniu, w którym dwudziestu ośmiu władców nieznanymi królestw stało w swoich szklanych grobowcach.

– Manasses był szesnastym królem Izraela. – Emily odliczała czwórkami królów w oknach, aż doszła do znajdującego się naprzeciwko miejsca, w którym stali. – Ludwik Pobożny.

– To by pasowało.

– Gillian będzie sobie pluła w brodę, jeśli mamy rację – rzekł Atheldene.

Nick zamilkł. Przemierzył Europę, by odnaleźć Gillian, i o dziwo zdołał ją ocalić. Wciąż nie wiedział, co właściwie znalazł. Już nie leżał przez całe noce na łóżku, dumając o tym, co mogło się zdarzyć. Nie chciał już, by go objęła i szeptała do ucha, że wszystkiego żałuje i że prosi, żeby dał jej jeszcze jedną szansę. Jednak na niektóre pytania nie sposób było odpowiedzieć. Gillian zawsze pozostanie tańczącą na horyzoncie dzikuską, nieujarzmioną i niepoznaną.

Emily i Nick włożyli żółte kamizelki. Dźwig wyniósł ich obok kolumny wysoko ponad głowy turystów. Ten i ów spojrzął w górę, lecz widok odblaśkowych ubrań świadczył o tym, że nic ciekawego się nie dzieje. Bijący w oczy kamuflaż.

– W jaki sposób Gutenberg się tutaj dostał? – dziwił się Nick.

– Kiedy tu przebywał, katedra wciąż była budowana i przebudowywana. Kolumny prawdopodobnie otoczone były rusztowaniami.

Dźwig powoli znieruchomiał. Znajdowali się prawie na równi z twarzami królów tuż przed rzeźbami zdobięcymi kolumny. Spośród liści sterczała męska głowa. Orzeł z wężem w dziobie...

– Kopiający niedźwiedź.

Nick wiedział, że wizerunek tam jest. Atheldene zauważył go z ziemi i przysłał zdjęcie. Mimo to poczuł niespodziewany dreszcz podziwu. Z tak bliskiej odległości widział, jak bardzo zwierzę przypomina rysunek z karty. Było odrobinę pomniejszone, tak by mieściło się na kolumnie. Bardziej płaski grzbiet i ostrzejsze zgięcie kolana przydawały mu determinacji. W dolnym

rogu pod węszącym nosem wywiercono w kamieniu mały otwór.

Niedźwiedź jest kluczem.

Kamieniarz wyjął cienkie metalowe narzędzie przypominające wziernik dentystyczny.

– Jeżeli natrafię na cement, przerywamy – ostrzegł.

Kamienia nie trzymał jednak cement, tylko nagromadzone warstwy pyłu i sadzy, które utworzyły czarną maź. Mężczyzna oczyścił je przyrządem. Ukazała się wąska szczelina.

– Mucha nie siada – rzucił Atheldene. Chwycił niedźwiedzia za nos i pociągnął. Kamień wysunął się gładko, niemal ochoczo. Z pomocą kamieniarza Atheldene złożył go na podłodze windy. W kolumnie ział prostokątny otwór.

– Coś tam jest.

Emily wsunęła rękę do środka i wyjęła zardzewiałe metalowe pudełko mniej więcej rozmiarów puszki ciastek. W sam raz na książkę. Drżącymi dłońmi Atheldene wsunął ostrze noża, pod wieczko i podważył je. Wszyscy troje wyciągnęli szyje, by zajrzeć do wnętrza.

– Rozsypała się...

Pudełko kryło w sobie grubą warstwę skrawków przypominających płatki mydła lub liście zebrane na ognisko. Większość nosiła ślady pisma; niektóre połyskiwały złotem bądź czerwienią ilustracji, gdy padło na nie światło z witraży. Ani jeden kawałek nie miał więcej niż dwa centymetry średnicy.

– Para wodna musiała dostać się do środka. Jeśli pergamin został wcześniej wystawiony na działanie promieni słonecznych, wilgoć go skruszyła.

Emily włożyła lateksowe rękawiczki i ujęła jeden fragment. Atrament wciąż był czarny i lśniący.

– Czcionka pasuje do *Liber Bonasi*.

– W niektórych miejscach się różni. – Atheldene wskazał drugi kawałek, na którym słowa zapisano brązowym atramentem. Nawet Nick widział, że są napisane ręcznie, a nie wydrukowane.

– ...wiele imion... gęsie mięso... – Atheldene wsypał fragmenty z powrotem do pudełka. – Nie mam pojęcia, co to jest.

Emily szybkim ruchem wyłowila jeszcze kilka skrawków.

– Wygląda na to, że tu były dwie książki. *Liber Bonasí* oraz znacznie dłuższy rękopis. Wszystko uległo wymieszaniu.

Nick zjrzał do pudełka. Nawet nie próbował oszacować, ile fragmentów pergaminu zawiera. Tysiące, może miliony. Niektóre przypuszczalnie rozpadły się do cna, inne mogły być nieczytelne. Ale on miał czas.

Uśmiechnął się do Emily.

– Razem poskładamy je w całość.



Wszedłem po raz ostatni do Gutenberghof, jak zawsze zerkając na pielgrzymka. Po torturach inkwizytora przypominałem go bardziej. Moje plecy się przygięły, szyja opadła. W zimne dni trudno mi było oddychać. Jednak brzemię, które tak długo nosiłem ukryte pod płaszczem, prawie się ulotniło.

Czekali na mnie na górze. Saspach i Götz, Günther, Keffer i Ruppel oraz paru innych, których nazwiska nie figurują w mojej kronice, mimo że widywałem ich przy prasie niemal codziennie. Skryba Mentelin, który rozpoczął pracę nad nowym zestawem czcionek po tym, jak Fust odebrał mi moje; Numeister, Sweynheim, Sensenschmidt i Ulrich Han. Brakowało tylko Kaspara. Pośrodku, górując nad wszystkimi, stała prasa. Tak jak my, postarzała się. Poplamiona inkaustem i wyszczerbiona od uderzeń młotkiem, którego używaliśmy, gdy się zacinała. Walec nie był już prosty, lecz w rękach dobrych pracowników maszyna wciąż dawała szesnaście stron na godzinę.

– Odchodzę – oznajmiłem bez niepotrzebnych wstępów. Rozległ się szmer rozczarowania, lecz nikt nie był wzburzony. Po procesie i tym, co nastąpiło później, współpracownicy widzieli, jak powoli odrywam się od zajęć toczących się w domu. Gdy wielkie dzieło drukowania Biblii dobiegło końca, nie starczyło mi entuzjazmu na kalendarze i podręczniki łaciny.

– Keffer pokieruje warsztatem pod moją nieobecność. Tymczasem skupi się na tekstach, które mamy już złożone, odpustach i tym podobnych, dopóki nie zgromadzimy kapitału i nie wyszkolimy nowych czeladników. Pozostali są mile widziani w domu tak długo, jak zechcą tu gościć. Ale nie marnujcie czasu. Uczcie się sztuk, których nie znacie. Jeśli jesteście zecerem, naucz się kucia

czcionek; jeśli zawsze warzyłeś inkaust, naucz się, jak go rozprowadzać w taki sposób, by za każdym razem dawał dobrą odbitkę. Dzielcie się hojnie swoją wiedzą. Potem wróćcie do rodzinnych miast albo wyjedźcie do tych, o których zawsze marzyliście, i zakładajcie tam własne warsztaty. Szkolcie czeladników i pozwólcie im szkolić ich własnych. Nie wstępujcie do żadnych cechów, tylko stawiajcie każdemu wymaganie, by wykonał swoje mistrzowskie dzieło. Propagujcie tę sztukę we wszystkich zakątkach chrześcijańskiego świata, by wszyscy ludzie mogli czytać, uczyć się, rozumieć i wzrastać. Będziecie popełniali błędy. Tylko Bóg jest doskonały. Niektórzy ludzie, może nawet znajdą się tacy wśród was, wykorzystają opracowaną przez nas sztukę do niegodziwych celów. To nieuniknione. Narzędzie jest zbyt potężne, by można je było utrzymać w rękach jednego lub dwóch ludzi. Jeśli tylko potrafimy odcisnąć na tym świecie dobro, którego w innym razie by nie było, nasza sztuka pozostanie jego błogosławieństwem.

Zostawiwszy ich, wyszedłem na ciepłe kwietniowe słońce. Porzuciłem swoje marzenie: nie stworzę ani jednej rzeczy doskonałej. Byłem jedynie człowiekiem. W młodości by mnie to zniszczyło, teraz czułem tylko ulgę po zrzuconiu wielkiego brzemienia. Zawarłem pokój z niedoskonałym światem.

Nie oddaliłem się nawet o dziesięć kilometrów od Moguncji, gdy wpadłem na pomysł, jak mogę udoskonalić prasę.

Nota historyczna

Jak na człowieka, którego wynalazek odmienił świat, Johann Gutenberg pozostawił nader mało śladów odcisniętych na kartach historii: parę pokwitowań, wzmianek w dokumentach cywilnych oraz fragmentarycznych zapisów czterech spraw sądowych, do których odniesienia znalazły się w niniejszej powieści. Większość owych tropów nasuwa więcej pytań niż odpowiedzi. Realia życia, które ujawniają – szpiegostwo przemysłowe, umowy o nieujawnianiu tajemnic, prawa własności intelektualnej, wyśrubowane inwestycje kapitałowe, pokątne finansowanie, sądowe dochodzenie roszczeń – są dobrze znane każdemu współczesnemu biznesmenowi z Doliny Krzemowej. Przypominają one, że druk był wyjątkowym, skomplikowanym i kosztownym przedsięwzięciem wymagającym ogromnych sum pieniędzy inwestowanych przez wiele lat, a także umiejętności zarządzania i organizowania linii produkcyjnych prawie nieznanymi w średniowieczu. Geniusz Gutenberga obejmował inżynierię finansową oraz logistykę na równi z talentem do wytwarzania atramentów, obróbki metalu, mechaniki i papieru. Pisząc tę książkę, dałem wyobraźni całkowitą swobodę w przedstawieniu początków życia Gutenberga. Późniejsze rozdziały, których akcja toczy się w Strasburgu i Moguncji, są mocniej zakotwiczone wśród nielicznych ogólnie przyjętych faktów.

Jednak życie Gutenberga to otwarta księga w porównaniu z kolejami losu Mistrza Kart do Gry. Nie pozostało po nim nic poza dziełami, mglistą znajomością czasu i miejsca, w którym żył, oraz zgody co do tego, że był pierwszym człowiekiem, który odciskał rysunki za pomocą żłobionych miedzianych matryc. Podobnie jak wiele innych przełomowych dzieł artystycznych, do których

bez wątplenia należy Biblia Gutenberga, jego karty są nie tylko technicznie innowacyjne, lecz także zasługują na miano prawdziwych arcydzieł.

Koncepcja, że ci dwaj giganci początków drukarstwa mogli się spotkać i ze sobą współpracować, jest pociągająca, jakkolwiek nie da się jej dowieść. Obaj działali w pierwszej połowie piętnastego wieku w Nadrenii i obaj używali prasy do stworzenia pierwszych dzieł powstałych w wyniku procesów masowej produkcji. Tak jak napisałem w książce, kilka rycin Mistrza pojawia się w ilustrowanej Biblii Gutenberga znajdującej się obecnie w bibliotece Uniwersytetu Princeton. Inne wykorzystano w olbrzymiej pisanej ręcznie Biblii, która musiała powstać w Moguncji w tym samym czasie, w którym Biblia Gutenberga schodziła z prasy.

Jeśli zasada średniowiecznej sztuki wymagała, by artysta nie pozostawiał swoich śladów na dziele pochodzącym ostatecznie od Boga, Gutenberg i Mistrz Kart do Gry podporządkowali się jej aż nadto dobrze. Nazwisko Mistrza nie jest znane historii, Gutenberg był przez niemal dwieście lat zapomniany za sprawą działalności propagandowej Fusta i Schoeffera. Łącząca obu twórców pasja masowej produkcji tekstów oraz ilustracji sprawiła, że cały współczesny świat jest ich pomnikiem.

Podziękowania

Pragnę podziękować wszystkim, którzy mi pomagali i zachęcali mnie do napisania tej książki. Doktor Natalii Nowakowskiej z Somerville College w Oksfordzie za to, że podzieliła się ze mną wynikami swoich badań nad początkami drukarstwa; Maxime'owi Préaudowi z Bibliothèque Nationale w Paryżu, który wspaniałomyślnie pozwolił mi obejrzeć oryginalne karty do gry; doktorowi Allenowi oraz Forum Pisarzy Książek Sensacyjnych; Oliverowi Johnsonowi, współpracownikowi i redaktorowi; rodzinie Banse'ów i Isabelli Paul za gościnę w Niemczech i nie tylko; mojej rodzinie, zwłaszcza ojcu za znajomość spraw niemieckich; Jonowi, Sarah i Agnes Hawkinsów, dla których *The Rhineland Testament* pozostaje jedną z wielkich fikcyjnych opowieści historycznych; mojej agentce Jane Conway-Gordon pomimo jej gróźb odebrania mi ciasta czekoladowego; Międzykontynentalnej Agencji Literackiej; Johnowi Kelly'emu; Charlotte Haycock i wszystkim pracownikom Random House; personelowi British Library w Londynie oraz Boston Spa, bibliotekom Minster Library w Yorku oraz JB Morrell na Uniwersytecie w Yorku.

Po napisaniu ośmiu książek łatwo byłoby mi przejść do porządku dziennego nad cierpliwością i wsparciem mojej żony Emmy, mnie tymczasem wydają się one jeszcze bardziej wyjątkowe. Dzięki niej nadzwyczaj trudny okres pisania niniejszej powieści był jednym z najspokojniejszych, jakie pamiętam.

Mój syn Owen przyszedł na świat miesiąc po tym, jak zacząłem pisać tę książkę. Wybrał się ze mną w podróż badawczą, uświetniając ją swoją obecnością, i zobaczył więcej gotyckiej architektury, niż jest to bezpieczne dla pięciomiesięcznego niemowlęcia. Postawił również sporo znaków przestankowych w tekście w chwilach, gdy zdołał sforsować moją linię obrony i dostać się do klawiatury. Urodził się w świecie, w którym rewolucja komunikacyjna zapoczątkowana przez Gutenberga przybiera niewyobrażalne nowe wymiary. Tę książkę właśnie jemu poświęcam.